

Trzecia granica

Pamięci Józefa Krzeptowskiego

CZEŚĆ PIERWSZA

ZBÓJNICKA DROGA¹

- Uciekamy - powiedział Jędrzek Bukowy do Mrowcy. Ten spojrzał na niego uważniej. Przymrużył oczy i mruknął jakby do siebie:

- Jak chcesz, ale ja nie ociekam. Nie ma głupich.

Bukowy uśmiechnął się cierpko.

- Boisz się?

- Nie. Tylko nie mam ochoty siedzieć w pace.

- To będziesz siedział w obozie.

- Jeszcze nic nie wiadomo.

- Mówił mi porucznik. - Skąd wie?

- Gadał z Węgami... Z tym oficerem, co nas eskortuje.

- Jeszcze nic nie wiadomo - powiedział spokojnie Władek Mrowca. Opuścił nogi poza platformę wagonu, przygarnął do siebie gąsiorek wina, pociągnął. Pił długo. Wino spływało mu po brodzie. Bukowy wzruszył ramionami. Usiadł obok Władka. Zapatrzył się.

Jechali przez wielką Nizinę Węgierską. Wzdłuż torów ciągnęły się spalone słońcem pola kukurydziane. Dalej było pastwisko, a na pastwisku w przesyconym światłem tumanie kurzu ciągnęło stado bydła. Potem w kępach zielonych drzew ukazała się osada; małe gliniane domy stały w połodze zachodu. I znowu kukurydziane pola w szeleście suchych liści i słonecznym pyłe.

Bukowemu krajobraz ten wydał się obcy. Obca mu była bezkresna, spalana równina, obce płaskie, zaciągnięte mgłą niebo, nawet wsie wyłaniające się z kęp drzew, tchnęły dziwną obcością. Zatęsknił nagle za górami. Przymknął oczy. Poczł ożywczy powiew idący od regli, zapach

smreków, usłyszał szum potoku i zobaczył swój dom stojący wśród soczystych jesionów, w zielonej ramie łąk.

- Uciekam - wyszeptał.

- Co mówisz? - usłyszał wesoły głos Władka. Ocknął się. Władek podał mu gąsiorek. - Coś taki struty? Żle ci? Madziary witają nas jak swoich. Wino dają, winogrona, morele... Wnet dziewczęta będą przyprowadzać - zażartował.

Jędrrek odsunął gąsiorek. Powiedział sucho:

- Porucznik mówił, że nas internują. Osobno oficerów, osobno żołnierzy. Żołnierze będą musieli pracować. Nas wiozą do Komarom.

- Skąd wiesz?

- Co się tak głupio pytasz? - zachnął się zniecierpliwiony. - Ten madziarski oficer dobrze wie, dokąd nas wiezie. Podobno jest tam twierdza, a w murach cholernie wilgotno... Mnie tam nie zobaczą. Szkoda gadać.

- Ej, Jędrus, Jędrus... - zaśmiał się Władek. - Nie zobaczą cię w Komarom, ale wylądujesz za kratkami. Capną cię żandarmi i tyle.

- Mnie nie tak łatwo capnąć.

- Nie kozakuj. Mówię ci, lepiej przeczekać. Zobaczymy, co i jak, a potem można będzie wyrywać.

- Nie - wyszeptał z uporem. - Ja do tej twierdzy nie pojedę.

*

Zbliżali się do Budapesztu. Spoza kęp, drzew, na tle blednącego nieba widać było przedmiejskie domy w rozsypce, a nad nimi groty wież kościelnych i bryły wyższych budynków. Bukowy wyjął ze swego tornistra zmianę bielizny, ręcznik, mydło, szczotkę do zębów. Zapakował je do torby po masce gazowej. Był zdecydowany, że właśnie tutaj ucieknie. Kiedy zapinał torbę, usłyszał za sobą głos Mrowcy.

- Zbierasz się?

- Jak widzisz - odparł spokojnie.

- Ryzykujesz?

- Taki już jestem.
- Powiedziałaś porucznikowi?
- Nikomu nie mówiłem... tylko tobie.
- W mundurze capną cię od razu.
- Postaram się o cywilne ubranie.
- I co będziesz robił?
- Nad tym się nie zastanawiałem.
- Kozak z ciebie. - Władek pokręcił z uznaniem głową.

Bukowy odwrócił się, spojrzał mu w oczy.

- A ty?
- Ja?... Mówiłem ci, że poczekam. Teraz jeszcze nie warto.
- Myślałem, że brykniesz ze mną. Władek położył dłoń na ramieniu Bukowego. -
- Trzymaj się, Jędreku.
- Trzymaj się.

Podszedł do drzwi wagonu. W drzwiach było tłoczno. Żołnierze, jak gdyby rozochoceni widokiem wielkiej stolicy, zaczęli śpiewać: "Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani..." Bukowy uśmiechnął się cierpko i żałośnie. Drażniła go ta piosenka. Oczyma wyobraźni zobaczył granicę węgierską, gdzie po szesnastu dniach walk i ciągłego cofania się składali broń. Widział czarne czapki węgierskich żandarmów z pękami kogucich piór i tępe, pozbawione wyrazu spojrzenia. Potem przypomniał sobie moment, kiedy odłączył się na chwilę od oddziału; uklęknął po polskiej stronie granicznego słupka, spod darni wyrwał palcami wilgotną, kamienistą ziemię. Zgarnął ją w chusteczkę... Teraz poczuł jej ciężar na piersi pod żołnierską bluzą. Grudy ojczystej ziemi... Po co to uczynił? Nie wiedział. Nie wiedział również, czy kiedyś rzuci tę garstkę ziemi pod przyzbę swojego domu. Wtedy był słoneczny poranek, grzbiety gór wylaniały się z mgieł, a dołem szumiał ukryty w buczynie potok. Szli w milczeniu, z wargami zaciśniętymi bólem, z oczami utkwionymi w ziemi i kolejno składali broń na rozłożonej na trawie plandecie.

Tylko jeden Tadek Opiela nie złożył broni. Bukowy - jak na zdartej taśmie filmowej - zobaczył teraz jego stężałą z bólu twarz, zacięte usta, nabiegłe smutkiem oczy. Starszy strzelec Opiela, karabinowy z erkaemów, ścisnął w dłoni mausera i z trwożnym niedowierzaniem patrzył na towarzyszy, a kiedy przyszło rzucić karabin, z jego piersi wyrwał się nieludzki skowyt. Zawrócił nagle. Tłumiąc płacz, łkając tylko jękliwie, długo biegł wzdłuż szeregu osłupiałych żołnierzy, a potem zniknął nagle w gąszczu smreczyny, po polskiej stronie granicy.

To było trzy dni temu. Teraz zbliżali się do Budapesztu. Już w dali widać rampę towarowego dworca, a na peronie wpatrzonych w ich stronę ludzi. Pociąg wtoczył się wolno na podmiejską stację. Żołnierze wyskakiwali z wagonów. Bukowy został jeszcze chwilę na miejscu. Nie mógł pojąć, co się wokół niego dzieje. Zrobiło się tłoczno. Węgrzy ruszyli ławą ku wagonom. Kobiety biegły z kwiatami, z koszyczkami pełnymi owoców, mężczyźni trzymali się nieco z tyłu. Nieśli gąsiorki wina, paczki z jedzeniem. Młoda dziewczyna z opaską Czerwonego Krzyża na ramieniu dźwigała kufle z pieniącym się piwem. Starszy mężczyzna w słomkowym kapeluszu uniósł do góry rękę, drżącym głosem starał się przekrzyczeć wrzący tłum.

- Jeste Polska ne zginęła! Polak, Wenger dwa bratanki! Nech żyje! - wołał łamaną polszczyzną. Za nim staruszka w czarnej sukni zakrywała oczy, chcąc powstrzymać płynące łzy.

Bukowy rozejrzał się bacznie. W głębi peronu, pod budynkami magazynów zobaczył czarne czapki z kogucimi piórami. Żandarmi stali spokojnie; spod nasuniętych na oczy czapek obserwowali kłębiący się tłum.

"Obstawili dworzec" - pomyślał. Zrozumiał jednak, że na lepszą sytuację nie może liczyć. Zarzucił więc torbę na ramię i wolno zsunął się z platformy wagonu. Przemykał się wzdłuż pociągu. Przed ostatnim wagonem chciał przejść na drugą stronę pociągu, lecz nagle stara kobieta w czerni zagroziła mu drogę.

- Fiam - powiedziała po węgiersku - kis fiacskam... - W głosie jej było tyle tkliwości i żalu, że chociaż nie rozumiał, co mówi, zatrzymał się gwałtownie. Ona chwilę patrzyła na niego pełnymi łez oczyma, nagle uniosła sękatą rękę i niemal matczynym ruchem pogłaskała go po twarzy.

Spojrzał w jej oczy wtopione w szare bruzdy zmiętej twarzy i nagle powiało zapachem rodzinnego domu. Ujrzał matkę stojącą na progu, skamieniałą i pełną troski. I wtedy coś go chwyciło za gardło. Chciał powiedzieć choćby słowo, ale głos zamarł mu w piersi. Chwycił tylko kobietę za kruche ramiona, przygarnął do siebie. I naraz zrobiło mu się ciepło. Poczł, że wszystko w nim taje. Tulił ją jeszcze chwilę, lecz wnet pomyślał, że trzeba uciekać.

Cofnął się. Odszedł bez słowa. Pod złączami wagonów przepelznął na drugą stronę. Zobaczył przed sobą pusty tor, dalej nasyp, a pod nasypem starą, walącą się szopę. Jeszcze raz spojrzał za siebie. Nikt go nie zauważył. Przebiegł więc kilka kroków i zsunął się zrecznie z nasypu. Chciał ukryć się za szopą, lecz w tym momencie spoza węgła wyłonił się młody mężczyzna. Na widok polskiego munduru jego twarz rozpromienił uśmiech.

- Polak! Lengyel katona! - zawołał gromko. Nie zwracając uwagi na zakłopotanie Bukowego, ruszył z wyciągniętym przed siebie gąsiorkiem. - Dobrze, madziarskie wino! - powiedział zachwycony tym nieoczekiwanym spotkaniem. - Napij się, bracie!

Mówił niezłe po polsku, więc Bukowy zatrzymał się zdumiony. Węgier, spostrzegłszy jego zakłopotanie, wyjaśnił rzeczowo:

- Ja pol Wenger, pol Polak. Moja mama z Krosno... Maria Stokowska... Ja był u dziadek w Krosno. Pij, brat! Dobrze, madziarskie wino...

Chciał mu podać gąsiorek, lecz Bukowy cofnął się.

- Nie mogę. Uciekam.

- Człowiek. A na co ty uciekał? My przyjaciel... Wenger Polak dwa bratanki...

- I do szabli, i do szklanki - dokończył za niego Bukowy i nagle roześmiał się.

- I do szklanki - huknął rozbawiony Węgier. Znowu uniósł gąsiorek, jak gdyby chciał napić Bukowego, lecz ten powstrzymał go stanowczym ruchem.

- Ty, może mógłbyś mi dać stare cywilne Ubranie?

- Mogę... Dlaczego nie... Tylko napij się z Geza dobre, madziarskie wino.

Tym razem Bukowy ustąpił. Chwycił gąsiorek w dłonie, ustami przywarł do szyjki, przechylił i pociągnął tak mocno, że aż mu zabulgotało w gardle. Pił długo i łapczywie, a kiedy przestał, oddał gąsiorek Gezie.

- Teraz ty pij - rozkazał.

Węgier pociągnął z gąsiorka. Potem wierzchem dłoni wytarł usta. Bukowy roześmiał się głośno.

- To załatwione. Gdzie masz to ubranie?

- Co tak spieszno? Mamy czas... Najpierw idziemy na dobra madziarska kolacja... na csirke paprikas, na gulyas... Madziarska kuchnia dobra... a ty głodny...

Bukowy czuł, że w jego żyłach rozchodzi się ciepło. Zrobiło mu się nagle lekko i wesoło. Trącił Gezę w ramię.

- Coś ty taki gościnnie? Nie znasz mnie.

- Nie gadaj... Ty lengyel katona. Ja pol Polak... Moja matka...

- Dobra... już wiem - przerwał mu Bukowy. - Ale najpierw pójdziemy po ubranie.

- Najpierw dobra madziarska kolacja... Cigany zene... - zrobił taki ruch, jakby pociągnął smyczkiem po strunach. - Lubisz cygańska kapela?

- Ech, ty - roześmiał się Bukowy. - Niech ci będzie, ale jak mnie złapią, to...

- Nie złapiom, nie złapiom - zaśmiał się Geza. Chwycił Bukowego pod ramię i pociągnął w stronę ulicy.

Nie pamiętał, jak długo siedzieli w tej knajpie. Wiedział jednak, że musi stąd uciekać.

Noc... Dokoła rozpalone winem, spocone twarze i pałające ogniem oczy. Na stacji gwizdała lokomotywa, a tu, pod zwisami gałęzi, dzwoniły cygańskie cymbały. I nagle nad sobą ujrzał skrzypka. Cygan miał twarz hinduskiego bożka, a oczy zamyślonego Buddy. Smyk w jego ciemnej dłoni latał jak błysk na rozkołysanej wodzie. Bukowy siedział zasepiony. Widział przed sobą stół z zalany winem obrusem i pełno szkła, połyskującego ognikami świetlnych refleksów. Słyszał chrypliwy głos pijanego Gezy.

- Nie martw się, brat... Za dwa miesiące Hitler kaput... Francuzi, Anglicy z wami... Linia Maginota... Duże bombowce...

- Z nami - roześmiał się szyderczo Bukowy.

- A gdzie byli, jak myśmy się bili? Na co czekali? Na co?

Geza spojrzał zdziwiony, jakby nie rozumiał, o co mu chodzi. Bukowy walnął pięścią w stół:

- A nas zostawili samych. - Wtem złapał Gezę za ramię i przyciągnął do siebie. - Widziałeś kiedyś natarcie czołgów?

Ten uśmiechnął się głupkowato.

- Ja?... Czołgi? Człowiek, skond ja widział natarcie - czołgi?

- No to posłuchaj - powiedział twardo. Zamilkł na chwilę. Ludzie, którzy siedzieli przy stole, chociaż nie zrozumieli, co mówi, wpatrywali się z uwagą. Bukowy zacisnął wargi. Przygarnął do siebie szklankę wina. Wypił. Potem postawił szklankę z łoskotem. - Najpierw - cisza, zupełna cisza, jakby ziemia zamarła. Potem ziemia zaczyna drżeć. Nic nie widzisz, tylko ziemia drży. A potem nadlatują sztukasy. Pikują. - Pełnym wyrazu gestem ręki zobrazował swe opowiadanie.

Zwiii... zwiii... zwiii... Ziemia drży i jęczy niebo. A ludzi zupełnie paraliżuje. Ściskasz karabin i nie wiesz, co robić. Najchętniej wkopałbyś się w ziemię... po uszy... jak kret... A ziemia drży coraz mocniej. Patrzysz przed siebie. Już się toczą w kurzu... z ogromnym hukiem. Już plują ogniem. Czujesz, że wali się na ciebie żelazo i ogień. A ty... jak robak przyklejony do ziemi... mały i bezsilny...

- Nagle urwał, potoczył po ludziach spojrzeniem i zakrył dłońmi oczy. - Człowieku, kto by to wytrzymał?

Nastała chwila ciszy. Ludzie spoglądali po sobie, jak gdyby chcieli zapytać - co się stało. Ktoś

z boku zagadnął: "Co on mówi? O czym opowiada?" Geza uniósł palec do ust gestem nakazującym milczenie. Potem napełnił szklanę winem. Podsunął ją Bukowemu.

- Napij się, brat! Nic na to nie poradzisz. Bukowy oderwał dłonie od twarzy. Odsunął szklanę. W jego oczach pojawił się żywszy błysk.

- A byli tacy, co wytrzymali! - powiedział jak gdyby do siebie. - Tadek Opięła ze Starego Sącza... karabinowy... To był kozak! Miał zimną krew. Podpuszczał czołgi na pięćdziesiąt metrów i grzał do nich z cekaemu.

Geza uniósł ręce gestem niedowierzania.

- Do czołga z cekaemu?...

Bukowy pokiwał głową. Naraz zachnął się gniewnie i znowu walnął pięścią w stół.

- Ale co to pomogło? Trafił jeden... drugi... a inne szły na nas. Potem w lasach było już inaczej. To oni nas się bali, a nie my ich. Bo nocą szliśmy na bagnety. Gdyby były tylko noce... Ale potem nadchodziły dni...

Geza objął go mocno ramieniem.

- Nie martw się, brat! Nic ci to nie pomoże. Ludzie klepali go po ramionach. Wykrzykiwali przyjaźnie:

- Dzielny polski żołnierz!

- Jeszcze wojna nie przegrana!

- Polak Węgier dwa bratanki!

- Józef Bem! Generał Dembiński! Stefan Batory!

Ktoś przywołał Cygana. Ten kocimi ruchami sunął ku stołowi. Siwy, tęgi mężczyzna o oczach jak rozżarzone węgle zaintonował czardasza. Cygan w mig podchwycił nutę. Smyk zamigotał połyskliwie, zadzwoniły cymbały, zahuczały basetle...

Ktoś odsunął sąsiednie stoliki. Młoda kobieta w kwiecistej sukni jak jasna smuga wypłynęła nagle ze strefy cienia. Ruchy jej były miękkie, pełne powabu. Zaczęła tańczyć. Siwy Madziar ujął jej kibić. Ruszyli zrazu wolno, rytmicznie, potem coraz szybciej. Zdawało się, że jasna suknia płynie wśród stolików w mżącym z lampionów świetle niby trzepocący motyl. I nagle w oczach Jędrka Bukowego wszystko stało się barwnym ruchem, korowodem podporządkowanym rytmowi muzyki: ogorzałe twarze mężczyzn, rozpalone oczy, zalotne uśmiechy kobiet, pęczniejące w gałęziach lampiony, szkło... wszystko zawiroowało mu w głowie. Zdawało mu się, że płynie w tym potoku światła, barw i cieni, unosi się, staje się nieważki.

Właśnie wtedy w jasnym prostokącie drzwi bufetu zjawił się żandarm. Błysnęły kogucie pióra,

a ręcione pęcherzyki światła potoczyły się po ostrzu nasadzonego na karabin bagnetu. Twarz żandarma tonęła w cieniu czaka.

Bukowy zastygł w oczekiwaniu. Był pewny, że żandarm podejdzie do niego, lecz ten jeszcze go nie spostrzegł. Rozglądał się Wśród tańczących bliżej par. Jędrak zerknął w bok. Gezy nie było przy stole. Podniósł się więc wolno i krok za krokiem cofał się w stronę drzwi. Wtedy dopiero żandarm zahaczył go bystrym spojrzeniem. Uniósł gwałtownie rękę, jakby go chciał zatrzymać, a gdy Jędrak nie usłuchał rozkazu, ruszył w jego stronę. Bukowy nie czekał dłużej. Odwrócił się, kilkoma susami znalazł się w strefie cienia. Dalej były wielkie pnie drzew, a za nimi wysoki mur. Zawahał się, lecz po ułamku sekundy zrozumiał, że to jedyna droga ucieczki. Rozpędził się. Skoczył... końcami palców uchwycił krawędź muru. Na chwilę zawisnął całym ciężarem ciała, lecz wnet, jak na górskiej wspinaczce, podciągnął się, wsparł kolanami i z ogromnym wysiłkiem wspiął się na mur.

W tym momencie wśród pni zobaczył sylwetkę żandarma. Biegł w stronę muru wołając coś po węgiersku, a za nim pędzili mężczyźni. Kapela już nie grała. Jędrak zeskoczył z muru. Znalazł się w niewielkim warzywnym ogródku. Z prawej miał dom z oświetlonymi oknami, z lewej starą szopę. Na łańcuchu szarpał się zajadle pies. Jakaś kobieta krzyczała w oknie. Nie było czasu na rozważania. Bukowy pomknął przez zagony wprost ku szopie. Pies rzucił się na niego, lecz jeden mocny kopniak osadził go i uspokoił. Bukowy minął szopę. Przed sobą, wśród drzew, zobaczył furtkę. Pchnął ją. Nie ustąpiła. Cofnął się. Nabrał rozpędu. Była niższa od muru, więc przesadził ją jednym zrywem, a gdy opuścił się na drugą stronę, znalazł się na ulicy.

Była to wąska podmiejska uliczka ginąca wśród ogrodów. W dali migotało nikle światło gazowej latarni, a przez zasieki gałęzi przebijały od czasu do czasu oświetlone okna. Było pusto... Słyszał tylko skowyt psa w ogrodzie, a dalej za murem zmieszane, niewyraźne głosy biesiadników. Ruszył w przeciwną stronę. Krok miał chwiejny i oddech ciężki. Wypite wino szumiało mu w głowie.

Gdy znalazł się w kręgu światła, usłyszał czyjeś kroki. Ktoś biegł. Ciężkie, podkute buty wybijały niespokojny rytm o płyty chodnika. Bukowy obejrzał się. Był pewny, że to ten sam żandarm. Pchnął więc pierwszą napotkaną furtkę. Wąska ścieżka zaprowadziła go do ukrytego w gąszczu krzewów domu. Zobaczył przed sobą oszkloną, ciemną werandę. Minął ją i po chwili znalazł się w gęstwinie zarośli. Ukrył się w cieniu. Widział przed sobą ciemną ścianę domu. Tylko w małym okienku płonęło światło. Jasną smugą ciekło na ścieżkę i rozproszone ginęło w plątaninie krzewów.

Znowu było zupełnie cicho, po chwili znowu odezwał się tupot podkutych butów. Bukowy wcisnął się głębiej w krzaki. Nasłuchiwał. Biegący człowiek zatrzymał się. Zaskrzypiały zawiasy furki i znowu zadudniły ciężkie kroki. Wnet na tle oświetlonego okna ukazało się czako żandarma. Ktoś uchylił okiennicę. Po chwili Bukowy usłyszał niezrozumiały dlań dialog; żandarm pytał ostro, ukryta za okiennicą kobieta odpowiadała nieśmiało, zdziwionym głosem. Wiedział, że chodzi o niego. Czekał. Był już tak zmęczony, że zrezygnował z ucieczki.

Rozmowa urwała się po chwili. Żandarm zawrócił; przeszedł kilka kroków i nagle błysnął ręczną latarką. Snop światła przeciął mrok i wkrótce zgasł. Żandarm oddalił się.

Kiedy jego kroki ucichły, Bukowy wyszedł z krzaków. Zbliżył się ostrożnie do furki. Wtem za

węglem domu ujrzał starą kobietę w narzuconym na ramiona szalu. Drgnął, zatrzymał się; ona wydała krótki, stłumiony okrzyk i cofnęła się gwałtownie.

- Niech się pani nie boi - powiedział szeptem po polsku.

Nie zrozumiała go. Cofnęła się jeszcze o pół kroku, wysunęła przed siebie rękę, jakby się chciała bronić.

- Bitte... ruhe... - spróbował łamaną niemczyzną. - Ich bin polnische Soldat.

- Lengyel katona - gestem bezradnego zdumienia załamała ręce i zaraz dodała nieporadną mową niemiecką: - Haben Sie aber Glück... Ungarische Gendarmerie... Wiessen Sie?

- Aber ja... - odparł ujęty jej miłym głosem. Był jednak tak wyczerpany i spojony, że zachwiał się. Kobieta podtrzymała go ramieniem.

- Seine Zug weg... Daleko, daleko... - dodała po węgiersku. - Ist sehr pózno... Müssen Sie schlafen.

Bukowy rozłożył bezradnie ręce.

- Sehr gut schlafen, aber... gdzie? Kobieta pogroziła mu żartobliwie.

- Sie trinken... Zu viel trinken.

Bukowy złapał się za głowę ruchem wyrażającym zupełną bezradność.

- Zu viel... mit ungarische Kameraden... Głowa boli.

Kobieta roześmiała się cicho.

- Boli... boli... - przedrzeźniała go żartobliwie. Naraz niemal matczynym ruchem ujęła go pod ramię i pociągnęła za sobą ku werandzie. - Koramen Sie... heute schlafen...

Tkwiał jeszcze chwilę w miejscu, zdumiony tym nieoczekiwanym obrotem sprawy. Nie mógł uwierzyć, że nagle wśród tej głuchoj nocy w nieznanym mieście spotyka kogoś, kto bez zastrzeżeń udziela mu pomocy. Kobieta szarpnęła go energiczniej.

- Kommen Sie... Pózno...

Ruszył za nią bez oporu. Przeszli przez ciemną werandę, przez przedpokój i skierowali się ku wąskim i spadzistym schodom. Drewniane stopnie zatrzeszczały cienko pod ich stopami, a kiedy zatrzymali się w ciasnej sionce, kobieta pchnęła drzwi, przekręciła kontakt. W głębi, w nikłym świetle zakurzonej żarówki ukazało się poddasze, mały pokoik oszalowany popękkanymi deskami i aż po sufit zawalony gratami. Kobieta ujęła Bukowego za rękę, zaprowadziła go do wielkiej pluszowej kanapy, potem spod okna wyciągnęła koc.

- Schlafen Sie gut! - powiedziała miękkim głosem.

Bez słowa zwałił się na kanapę. Był tak zmęczony, że nie nakrył się kocem. W głowie szumiało mu wino, a ciało wydało mu się ciężkie jak ołów.

Jeszcze chwilę widział nad sobą sylwetkę starej kobiety. Potem wszystko runęło w miękką, bezdenną ciemność.

3

Kiedy się ocknął, zdawało mu się, że leży w kącie towarowego wagonu, a obok niego śpi Władek Mrowca. Jadą już bardzo długo przez spaloną słońcem Nizinę Węgierską... Nie wiadomo dokąd i w jakim celu. Głowę miał ciężką, usta spieczone. Paliło go pragnienie.

- Władek, podaj manierkę - rzucił jak przez sen.

Nikt mu nie odpowiedział. Wtedy zerwał się. Przetarł oczy. Nad sobą zobaczył starą szafę, na szafie wypchaną, oskubaną przez mole sowę; dalej małe zakurzone okno i gałązkę wpychającą się na poddasze. Przypomniawszy sobie wczorajszy wieczór, Gezę, knajpę, żandarma, ucieczkę i starą kobietę. Nagle roześmiał się, bo cała sytuacja wydała mu się nierzeczywista, jakby wymyślona. Śmiał się długo i zdrowo, lecz wnet ogarnęło go zakłopotanie. Tarł bezradnie zarośnięty policzek. Zastanawiał się, co ma dalej robić. Nie należał do ludzi, którzy się zbyt długo wahają. Pchnął energicznie drzwi...

Naraz zatrzymał się. Usłyszał bowiem, że na dole ktoś wchodzi do przedpokoju. Wnet na tle staroświeckiej tapety zobaczył młodą kobietę. Miała na głowie biały czepek pielęgniarce, a na ramionach czarną pelerynkę. Miękkim krokiem podeszła do wiszącego w głębi lustra, zrzuciła z ramion pelerynkę, zdjęła wolno czepek. Spod czepka wysypały się gęste pukle kasztanowych włosów. Przeczesała je palcami.

Jędrak zobaczył w lustrze odbicie jej twarzy. Była młoda, świeża i ładna; wysokie czoło, wyraźne łuki brwi, oczy duże o figlarnym spojrzeniu, usta mocno wykrojone. Stała przed lustrem i wolnymi ruchami rozczesywała opadające na ramiona włosy. Nagle drgnęła. Spozobregła w lustrze Bukowego. Odwróciła się gwałtownie.

- To pan jest tym polskim żołnierzem - powiedziała wesoło po węgiersku.

Bukowy zeszedł kilka stopni niżej.

- Nie rozumiem - wybąkał zmieszany.

- Ne rozumem, ne rozumem... Trzeba się nauczyć węgierskiego. Rozumem?

- Nie rozumiem - roześmiał się Bukowy. Kobieta machnęła z rezygnacją ręką.

- Po niemiecku nie będziemy rozmawiać, bo ja znam tylko parę słów - rzuciła, marszcząc filuternie nos.

Stanowczym ruchem ujęła Bukowego pod ramię i zaprowadziła go do łazienki. Tutaj podała mu czysty ręcznik, mydło, a potem przyjrzała mu się uważnie.

- Kiedy pan ostatni raz się golił? - przejechała dłonią po jego ostrej jak szczotka brodzie. Nie czekając na odpowiedź, podała mu z szafki przybory do golenia. - Wojenny zarost - szczebiotała. - Za kwadrans ma pan być wmyty, ogolony i wypucowany. Rozumem? - rzuciła żartobliwie po polsku.

- Rozumiem, ale nie wszystko - uśmiechnął się rozbawiony.

- To w porządku. Ja tymczasem przygotuję śniadanie - uderzyła go ręcznikiem i zniknęła za drzwiami.

Bukowy spoglądał chwilę na zatrzaśnięte drzwi. Uśmiechnął się, pokręcił z podziwem głową.

- Wspaniała dziewczyna! Dla niej warto by nauczyć się tego przeklętego języka.

*

- Kiedy pan wyjeżdża do obozu? - zapytała przy śniadaniu starsza pani Varfalvi.

- Ja?... Ja wcale nie chcę do obozu - zaprotestował stanowczo Bukowy.

Siedzieli przy nakrytym białym obrusem stole, a Jędrkowi wydawało się, że śni. Po tylu dniach tułaczki, poniewierki, po dniach klęski i rozczarowań nagle znalazł się w atmosferze spokoju, ciepła i serdeczności. Biały obrus, srebrne nakrycie, aromatyczna kawa, chrupiące bułeczki... To wszystko wydawało się zupełnie nierealne. Rozmawiali ze starszą panią po niemiecku. Ewa przysłuchiwała się uważnie, posyłając Jędrkowi uśmiech lub przelotne spojrzenie. Czasem prosiła babcię o przetłumaczenie czegoś, co ją interesowało, czasem sama wtrącała pojedyncze słowo.

- Przecież pan jest żołnierzem, a słyszałam, że żołnierze muszą być internowani - podjęła starsza pani.

- Nie, proszę pani, ja nie potrafię żyć w zamkniętym obozie.

- Może pan boi się żandarmerii? Niech pan będzie spokojny. Pójdę na dworzec i zapytam, kiedy przyjedzie następny transport. Przyłączy się pan do transportu i nikt panu nie zrobi krzywdy.

- Nie o to chodzi - starał się wytłumaczyć jej Bukowy. - Pani mnie nie rozumie. Ja jestem

górale, ja nie potrafię... Ja całe życie w górach... w Zakopanem.

- W Zakopanem - zainteresowała się nagle Ewa. - Słyszałam o Zakopanem - zwróciła się do babci. - To wspaniała miejscowość. Opowiadała mi Marika, wiesz, ta lekarka. W trzydziestym ósmym była zimą w Zakopanem.

Bukowy wskazał palcem na siebie.

- Tak, ja z gór, z Zakopanego. - Zaczął pomagać sobie gestami. Wstał od stołu, przybrał postawę narciarza i balansując zręcznie ciałem, udawał, że jedzie na nartach. - Ja jestem narciarzem... Slalom, zjazd... Międzynarodowe zawody... A latem wspinaczka, alpinizm... Latem jestem ratownikiem. Ewa ożywiła się. Stała obok Jędrka i niezdarne naśladowała jego ruchy.

- Ja też jeżdżę... w Matrze... ale zupełnie kiepsko...

- Bardzo kiepsko - przetłumaczyła Bukowemu pani Varfalvi. - Najczęściej na nosie i na tym, na czym się siedzi.

Zrobiło się nagle wesoło. Jędrak wyzbył się zakłopotania. Jął za pośrednictwem babci tłumaczyć Ewie.

- To nie szkodzi. Ja jestem dobrym instruktorem. Nauczę Ewę...

- Ale kiedy? Kiedy?

- No właśnie. Może spotkamy się po wojnie.

- Eee... - skrzywiła się Ewa. - Niech pan zostanie w Peszcie. Mamy tu blisko góry, a jak przyjdzie dobra zima, to pojeździmy.

- Jeżeli pani chce - rzucił bez zastanowienia.

- No widzisz babciu, widzisz - natarła z humorem Ewa. - On góral, narciarz i w ogóle bohater Wysokich Tatr, a babcia chce go wpakować do obozu dla internowanych. Niech mu babcia powie, żeby został u nas. Jakoś się ułoży.

- Głupstwa pleciesz - roześmiała się babcia.

- Wcale nie plotę. Niech mu babcia powtórzy. Kiedy pani Varfalvi przetłumaczyła Jędrkowi życzenie Ewy, ten spojrzał zdumiony.

- Teraz?...

- Odpocznie pan u nas. Może pan zamieszkać na poddaszu. Uprzątniemy.

- To niemożliwe. Przecież ja... bez papierów... Można powiedzieć, dezterter...

- To co pan właściwie chce robić?

Pytanie zaskoczyło Bukowego. Co właściwie teraz robi? Zasepił się. Kilka razy przeczesał palcami czuprynę.

- Zgłoszę się do polskiego konsulatu. Staruszka pokiwała z politowaniem głową.

- Tak, tak... a po drodze pana złapią.

- Muszę zdobyć cywilne ubranie.

- A papiery?

- Papiery wyrobię sobie w konsulacie. A potem...

- Co on mówi? - wtrąciła nagle Ewa. - O jakim konsulacie?

A gdy babcia wytłumaczyła jej treść rozmowy, naburmuszyła się i natarła na Bukowego:

- Konsulat - w porządku, ubranie - w porządku, ale my pana tak łatwo nie puścimy.

- Najpierw muszę to wszystko załatwić - zwrócił się do pani Varfalvi. - A potem... Nie chciałbym paniom robić kłopotu.

- To dla nas nie kłopot... - uśmiechnęła się łagodnie. - Widzi pan... mieszkamy same... Ja jestem wdową, a rodzice Ewy są w Veszprem. Weselej byłoby nam z panem.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - wtrąciła energicznie Ewa. Podeszła do szafy, wyjęła z niej jakieś cywilne ubranie. - Powiedz mu babciu, żeby przymierzył - poprosiła.

- Ależ Evike, to przecież ubranie dziadka. Dziadek był dużo niższy od pana... i szczuplejszy.

- Nie szkodzi - powiedziała wesoło. - Chodzi przecież tylko o to, żeby się dostać do konsulatu.

*

Dwie godziny później Bukowy z Ewą jechali taksówką w stronę ulicy Vaczi. Bukowy nigdy zapewne nie przypuszczał, że będzie występował w odświętnym ubraniu byłego urzędnika kolejowego, pana Frigyesa Varfalvi, nieboszczyka, który od pięciu lat "spoczywał w Panu" na podmiejskim cmentarzu w Budakeszi. Czuł się w tym stroju raczej nieswojo, ubranie bowiem składało się ze sztuczkowych spodni, wizytowej marynarki - wszystko w najlepszym gatunku i przesycone zapachem naftaliny. Jędrak miał wrażenie, że go ktoś wbił w przyciasny pancierz. Marynarka przy każdym ruchu pękała w szwach, a spodnie wrzynały mu się w mięśnie brzucha i nie

pozwalwały swobodnie oddychać. Jednym słowem - katorga. Modlił się, żeby ta podróż trwała jak najkrócej.

Tymczasem z przedmieścia Ujpest na Vaczi był spory kawał drogi. Jechali przez wielkie, milionowe miasto. Kiedy znaleźli się w śródmieściu, Jędrak zapomniał o piekielnym pancerzu. Zaczął się rozglądać z wzrastającym zainteresowaniem; oto Wielkie Bulwary, okazałe budynki, ogromne tafle wystaw, wytworne fasady eleganckich kawiarni, kina z barwnymi reklamami. Na jezdni ruch, na chodnikach tłum przechodniów, a wszystko w nieznanej, nieco egzotycznej atmosferze i w przyspieszonym rytmie.

"Skąd ja się tutaj znalazłem? Co ja tu robię?" - powtarzał w myśli i co chwila zerkał w stronę Ewy, jakby chciał się upewnić, że nie śni. Ewa pokazywała mu bardziej znane budowle: Dworzec Zachodni, Parlament, pomnik Kossutha, po drugiej stronie Dunaju zamek królewski i Górę Gellerta.

Wreszcie znaleźli się na Vaczi. Taksówka zatrzymała się przed zasobnie wyglądającą kamienicą. Bukowy spostrzegł nad bramą orła i polski napis.

- To tu - powiedziała Ewa.

Wysiedli. Zbliżyli się do bramy. Chwilę stali w milczeniu. Ewa ujęła jego dłonie. Uśmiechnęła się ciepło.

- Życzę panu dużo szczęścia. Niech pan załatwi jak najlepiej i wraca do nas.

Bukowy wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem.

- Ne rozumem - zażartowała. - To nic. Ma pan nasz adres? Adres! - dodała po niemiecku.

Bukowy sięgnął do kieszeni. Wyjął złożoną karteczkę.

- Mam, mam. Jak tylko załatwię, zaraz przyjadę.

Uścisnęła mocniej jego dłonie, spojrzała mu jaśniej w oczy i nagle odeszła wolnym krokiem, a kiedy znowu się odwróciła, skinęła mu ręką.

- Powodzenia! Glück!

- Dziękuję – zawołał za nią. - Dziękuję za wszystko.

Siedzący za biurkiem urzędnik ogarnął Bukowego zdumionym spojrzeniem. Był to mężczyzna w sile wieku, barczysty, żyłasty. Twarz miał suchą i surową, oczy patrzące przenikliwie. Przesunął nagle leżące na biurku papiery i jeszcze raz zmierzył Jędrka chłodnym wzrokiem. Nagle na jego surowej twarzy pojawił się kpiący uśmiezek.

- Cóż to za maskarada? - zapytał ubawiony. Bukowy wzruszył ramionami.
- Uciekłem z transportu - wyjaśnił rzeczowo. - Potem przebrałem się w byle co.

Twarz urzędnika nagle stężała.

- To wy wojskowy?
- Tak.
- Z jakiego oddziału?
- Z dwudziestego pułku piechoty. Plutonowy... Urzędnik chlasnął dłonią w blat biurka.

- To nie mamy o czym gadać. Musicie wrócić do oddziału. Taki porządek. I takie zarządzenie władz węgierskich. My załatwiamy tylko uchodźców cywilnych. Jędrk uśmiechnął się przekornie.

- Jeżeli pan chce, to mogę być cywilem.

- Człowieku, nie zawracaj mi głowy. Widzieliście tych ludzi na schodach. Mamy tu urwanie głowy, a wy - przetarł dłonią spoconą łysinę - wy mi tu wyjeżdżacie z takimi sprawami. Nie - rzekł stanowczo. - Zgłosicie się na dworcu do komendy wojskowej, a oni was odtransportują gdzie należy.

Bukowy zachnął się.

- To nie ze mną... Ja do obozu nie pojedę.

Tamten drgnął, chciał krzyknąć, lecz powstrzymał się i wycedził chłodno, głosem nie znoszącym sprzeciwu:

- A my was nie zarejestrujemy. Mogę wam najwyżej dać papierek, żeście się tutaj zgłosili, żeby was żandarmeria nie przymknęła...

- Dziękuję - mruknął zadziornie Bukowy.

- W takim razie róbcie, co chcecie, tylko nie zabierajcie mi czasu.

Bukowy cofnął się o pół kroku, jak gdyby chciał się lepiej przyjrzeć swemu rozmówcy. Przymrużył zaczepnie oczy.

- Dziękuję - powiedział z naciskiem. - Myślałem, że mi pan pomoże. - Rzucił mu wzgardliwe spojrzenie i energicznym krokiem podszedł do drzwi, lecz w tej samej chwili drugie boczne drzwi uchyliły się nagle, a w nich stanął młody mężczyzna. Jędrak obejrzał się instynktownie.

Chwilę patrzyli na siebie. Nagle tamten uniósł ręce gestem radosnego przywitania i zawołał wesoło:

- Jędrak! Chłopie, skądże się tu zjawił?

Bukowy poznał go. Kilka błyskawicznych skojarzeń: Kasprowy, wiosna, słońce, szaleńcze zjazdy, dansing w "Empire", opalone twarze. A potem wspólna wycieczka na Pyszną, Błyszcz, Kamienistą, Jarzębicy, zjazd przez Cielęce Tańce... Tak, to przecież Antek Wichniewicz, młody inżynier z Krakowa.

Już był w jego ramionach, już ściskali się mocno, serdecznie, aż do utraty tchu. Chaotyczna wymiana pierwszych wiadomości, radosne podniecenie nieoczekiwanego spotkania... Naraz Wichniewicz odsunął się od niego, ogarnął roześmianymi oczami i parsknął:

- Jędrak, wyglądasz, jakbyś wrócił z pogrzebu. Człowieku, co z tobą?

- Jak cię widzą, tak cię piszą - zażartował Bukowy i posłał urzędnikowi znaczące spojrzenie.

Wichniewicz nie zrozumiał tego przytyku. Zwrócił się do urzędnika:

- Panie majorze, nawet pan nie ma pojęcia, z kim pan rozmawiał - wskazał na Bukowego. - To przecież Jędrak Bukowy, mistrz Polski w konkurencjach zjazdowych i najmorowszy chłop pod słońcem.

Twarz majora wydłużyła się nagle, jego oczy zaokrągliły się. Chrząknął niepewnie i rzucił wymijająco:

- Ze góral, to się domyśliłem, bo strasznie zadziorny.

- Góral - wykrzykiwał radośnie Antek Wichniewicz - i do tego fantastyczny narciarz, wspaniały taternik i w ogóle klasa. Mówię panu, z nieba nam spadł. Tacy ludzie będą nam teraz potrzebni.

Wichniewicz znalazł się na ulicy Uri. Była to zaciszna, stara uliczka na Górze Zamkowej w Budzie, z dwóch stron ciągnęły się pełne dziwnego nastroju, piękne renesansowe kamieniczki. Szedł głęboko zamyślony. Spieszył się na odprawę do swego szefa, pułkownika Obertyńskiego. Zatrzymał się przed bogato rzeźbionymi, ukrytymi w renesansowym portalu drzwiami. Zakołatał starą kołatką. Wkrótce drzwi otworzył mu młody człowiek, przypominający z wyglądu i postawy oficera.

- Cześć, Roman - przywitał go Wichniewicz.

- Cześć. Pospiesz się. Wszyscy na ciebie czekają.

Wichniewicz skinął mu głową, zerknął przelotnie na zegarek.

- Dziesięć po dziewiątej... Ale mnie stary objedzie.

Skierował się do widniejących w końcu korytarza drzwi. Pchnął je. Kilku siedzących wokół stołu mężczyzn zwróciło ku niemu twarze. Obertyński, szczupły, wysoki mężczyzna o siwiejących skroniach, zmarszczył czoło.

- Przepraszam, panie pułkowniku - rzucił Wichniewicz. - Załatwiałem z Hajosem pewną ważną sprawę...

- Wiem - przerwał mu spokojnie pułkownik.

- Proszę siadać... Więc możemy zacząć - zwrócił się do siedzących wokół stołu mężczyzn. Wśród nich Wichniewicz zobaczył zastępcę Obertyńskiego - majora Smygę, Fakulskiego - urzędnika konsulatu do specjalnych poruczeń, Dederkiewicza z komitetu.

Obertyński podszedł do rozwieszanej na ścianie mapy. Rozejrzał się po obecnych i zaczął cicho, lecz dobitnie, jak dowódca na odprawie:

- Chciałem panom zakomunikować, że wczoraj otrzymaliśmy instrukcje od generała Sikorskiego z Paryża... - jeszcze raz powiódł spojrzeniem po obecnych, jak gdyby chciał sprawdzić, jakie wrażenie zrobiła na nich ta wiadomość. Potem ciągnął niskim, pięknym głosem: - Ja osobiście otrzymałem polecenie zorganizowania przerzutu ludzi z Węgier do Francji. Według pobieżnych obliczeń, granicę przekroczyło około dziesięciu tysięcy Polaków, z tego według naszych informacji siedemdziesiąt procent stanowią żołnierze lub ludzie zdolni do służby wojskowej. Chodzi nam o to, żeby tych ludzi w jak najkrótszym czasie przerzucić do Francji.

Pułkownik odwrócił się do mapy i energicznie przejechał dłonią po południowej części Węgier.

- Proszę uważać. Według moich założeń powinniśmy przerzucić ludzi do Jugosławii, a stamtąd transportować ich statkami do Marsylii. Na granicy jugosłowiańskiej mamy kilka cywilnych obozów uchodźców, na przykład w Nagykanizsy i w Baresu. W tych obozach najłatwiej będzie zorganizować punkty przerzutowe. Organizację przerzutów przez granicę jugosłowiańską powierzam majorowi Smydze.

Smyga wyprostował się po żołniersku.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Dodam panu jeszcze kilku ludzi - dorzucił Obertyński. - Z Węgrami dojdziemy łatwo do porozumienia. Gorzej będzie z Serbami, ale tę sprawę załatwią nasi ludzie w Belgradzie.

W tym momencie Fakulski, mały drobny mężczyzna, ubrany z wyszukaną elegancją, uniósł rękę.

- Czy mogę coś dorzucić?

- Proszę - skinął głową Obertyński.

- Jeżeli chodzi o przerzut do Francji, jest jeszcze inna droga. Na własną rękę nawiązaliśmy kontakt z Włochami. Włosi zgodzili się przepuszczać przez swe terytorium naszych ludzi poniżej lat osiemnastu i powyżej czterdziestu.

- To świetnie - uśmiechnął się Obertyński - ale większość uchodźców to przecież ludzie w granicach tych lat.

- Będziemy im doprawiać wąsy - zażartował Dederkiewicz. - Albo odmładzać.

Obertyński skarcił go surowym spojrzeniem.

- Panowie, teraz nie pora na żarty. Wichniewicz wstał unosząc rękę.

- Panie pułkowniku, jest jeszcze jedna sprawa, - Proszę - skinął nań Obertyński.

- Jak panu wiadomo, już teraz uciekają ludzie z Polski na Węgry. Wczoraj na przykład przyszło pięciu górali z Zakopanego.

- Wiem...

- Jestem pewny, że ten ruch będzie się stale nasilał. Chodzi więc o to, żeby tym ludziom również ułatwić przejście.

- Dziękuję - przerwał mu Obertyński. - Właśnie o tym chcę teraz mówić. Mamy dość dokładne informacje z kraju, że ze stref granicznych, zwłaszcza z rejonu Żywca, Podhala i Nowego Sącza, ludzie masowo zaczynają uciekać przez Słowację na Węgry. Prócz tego w kraju zostało sporo oficerów i podoficerów, którym udało się zwać z niewoli. Jest również duża liczba ogromnie nam potrzebnych fachowców, zwłaszcza z przemysłu lotniczego i zbrojeniowego. Ludziom tym należy ułatwić ucieczkę i przejście. Sprawy techniczne rozpracujemy w najbliższych dniach. - Zamilkł na chwilę, potem rzucił Wichniewiczowi przyjazne spojrzenie. - A organizację przerzutów z kraju powierzam panu, panie Wichniewicz.

Wichniewicz odwzajemnił się uśmiechem. - Dziękuję, panie pułkowniku.

Panie Jędrku, cóż to za przedpotopowe ubranie wisi w tej szafie? - zwrócił się Woryński do Bukowego.

Jędrak golił się przed lustrem. Teraz zerknął w stronę otwartej szafy i uśmiechnął się niemal tkliwie.

- A to dziwna historia. Pożyczyła mi je jedna śliczna Węgierka, kiedy zwiąłem z transportu.

- To nie mógł jej pan oddać?

- Właśnie, w tym cały sęk. Miałem jej adres na kartce i, cholerny świat, zgubiłem. A szkoda, bo dziewczyna była pierwsza klasa... - Zwrócił ku lustru namydloną twarz i przejechał maszynką, pozostawiając na policzku ciemny pas opalanej skóry. - I strasznie mi głupio, bo jeszcze pomyśli, że zabrałem ubranie jej dziadka i zwiąłem.

- Głupia historia - powiedział Woryński. Był to młody student Politechniki Lwowskiej. Miał jasne włosy, twarz szesnastoletniego chłopca i uśmiech niewinnej dziewczyny. Teraz w pośpiechu pakował walizkę. Wrzucał do niej z szafy swoje rzeczy i Ubijał kolaniem.

- Głupia historia - powtórzył Jędrak. - Już dwa razy jeździłem w to miejsce i w żaden sposób nie mogłem znaleźć tego domu. To gdzieś daleko na przedmieściu, świat zabity deskami. Chciałem nawet dać ogłoszenie do gazety...

- Za bardzo się pan tym przejmuje. - Woryński dopchnął kolaniem górę chaotycznie rzuconych rzeczy i z wysiłkiem zamykał walizkę.

- A pan - zerknął w jego stronę Bukowy - jutro już będzie we Włoszech, w Trieście albo Mediolanie...

- Tak - potwierdził skwapliwie młodzieniec. - Widział pan mój paszport? Według paszportu mam w tej chwili siedemnaście lat.

- Ma pan szczęście, bo na więcej pan nie wygląda. Mam nadzieję, że skrobnie pan jaką kartkę z Riwiery albo z Turynu.

- Musowo.

- Tylko nie wiadomo, czy pan mnie tutaj zastanie.

- Pan też do Francji?

- Jeszcze nie wiem. Czekam... jestem do dyspozycji tych z góry - przymrużył porozumiewawczo oko i zaczął myć twarz w stojącej na krześle miednicy.

- Szkoda, że pan ze mną nie jedzie - powiedział z odcieniem żalu Woryński. - Dobrze nam tu było, zżyliśmy się ze sobą.

Od dwóch tygodni mieszkali we wspólnym pokoju, w obozie cywilnym w Hidegkut pod Budapesztem. Uchodźców umieszczono w prywatnych kwaterach. Węgrzy byli dla nich niezwykle serdeczni i gościnni. Niejeden wieczór spędzili z gospodarzami przy suto zastawionym stole i niejeden gąsiorek wina wysączyli, gawędząc do późnej nocy.

Po spotkaniu z Wichniewiczem w konsulacie Bukowy otrzymał papiery cywilnego uchodźcy, umieszczono go niedaleko Budapesztu i polecono, by czekał na dalsze dyspozycje. Wichniewicz dał mu do zrozumienia, że w najbliższej przyszłości wykorzystają go do nawiązania łączności z krajem.

- Było nam morowo, panie Krzysiu - podjął Bukowy rozmowę. - Chętnie bym z panem sypnął się do Włoch. Byłem dwa razy w Cortinie na zawodach... ale to góry. Warto by zobaczyć Turyn, Genuę... a potem Francję.

- Czy ja wiem... - rzucił w zamyśleniu student. - Czy to warto tak się włóczyć? Jedni uważają, że to wycieczka krajoznawcza, inni traktują to jako przygodę. A ja panu powiem, że najchętniej wróciłbym do kraju. Między swoimi zawsze najlepiej. - Zabrał z poręczy łóżka tani płaszcz z lichego drelichu, zarzucił go na ramię i podszedł do Jędrka.

- No to... cześć, panie Jędrku. Jędrak dłużej przytrzymał jego dłoń.

- Cześć... Dobrze pan powiedział. Najlepiej wśród swoich... - Ucisnął go, klepnął w ramię. - Złam kark, stary... I pisz.

Spojrzeli sobie w oczy, twardo, po męsku. Student chwycił walizkę. Wyszedł. Bukowy stał jeszcze chwilę wpatrzony w nie domknięte drzwi. Ogarnęło go dziwne uczucie... Ktoś odjeżdża, ktoś rusza w nieznane. Nie wiadomo, co go czeka na tej drodze. Nie wiadomo, czy znowu ich drogi skrzyżują się...

Z zadumy wyrwały go czyjeś kroki w sieni. Po chwili w progu zjawiała się Marysia, młoda, wesoła i pełna temperamentu dziewczyna. Przebywała w Hidegkut z polecenia i na rozkaz majora Smygi.

- Panie Jędrku - zawołała zdyszana - galopem! Telefon do pana w kancelarii.

- Od kogo?

- Nie mam pojęcia. Niechże pan się ruszy! Nie będą na pana czekać. - Złapała go za rękaw i pociągnęła stanowczo.

Bukowy ruszył, zrazu wolno, potem puścił się biegiem. Gdy wpadł do kancelarii obozu i podjął słuchawkę, usłyszał głos Wichniewicza:

- To ty, Jędrzek? Łap taksówkę i przyjeżdżaj do Pesztu. Czekam w "Astorii".
- A co się stało? - zapytał zdumiony.
- Przyjeżdżaj. Wszystkiego dowiesz się na miejscu.

*

Wichniewicz lubił kawiarnię w hotelu "Astoria". Urządzona w dawnym stylu - wygodne, wyściełane fotele, stylowe stoliki, ciężkie zasłony - stwarzały klimat solidnego, spokojnego dobrobytu. O tej porze było jeszcze pusto. W kącie wyższy oficer węgierski w mundurze błyszczącym od złota czytał w skupieniu gazetę. Naprzeciw siedziała starsza pani w eleganckim angielskim kostiumie. Z błogim uśmiechem delektowała się filiżanką kawy. Obok dwie młode kobiety rozprawały o czymś z werwą, lecz przyciszonym głosem.

Wichniewicz wcisnął się wygodnie w klubowy fotel, rozłożył gazetę, ale nie czytał. Był zbyt zajęty własnymi myślami.

Po chwili w wejściu, na tle witraża, ukazała się zgrabna sylwetka Bukowego. Wichniewicz skinął mu dyskretnie. Jędrzek podszedł szybko, usiadł obok.

- Co się stało? - zapytał. Wichniewicz położył mu dłoń na ramieniu.
- Miałem nosa, że cię zostawiłem pod Budapesztem... Mamy nareszcie robotę.
- A co?
- Wyobraź sobie, dostałem polecenie zorganizowania przerzutów z kraju.
- To świetnie. Co mam robić?
- Człowieku, przecież mówiłem, że spadłeś mi z nieba, a ty się jeszcze pytasz. Znasz słowacki?
- Znam.
- Znasz góry?
- No... jasne...
- Masz ochotę walnąć się do Zakopanego?

- Mam.

- To wszystko załatwione.

- Co załatwione ? - zdziwił się Bukowy.

- Za kilka dni idziemy razem do Zakopanego. Jędrrek z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Coś taki tajemniczy?

Wichniewicz skinął na stojącego w kącie jak mumia kelnera.

- Zaraz ci wszystko wytłumaczę, ale wpierw musimy się napić po podwójnym koniaku. Czy ty nie rozumiesz, że zaczynamy nareszcie prawdziwą robotę? Przestajesz być uchodźcą, zostajesz moim pierwszym kurierem.

Kelner zjawił się bezszelestnie i w profesjonalnym, pełnym szacunku ukłonie czekał na dyspozycje.

- Dwa podwójne koniaki - rzucił mu swobodnie Wichniewicz.

- Dwa podwójne - powtórzył z szacunkiem i drobnymi kroczkami poszybował w głąb sali.

- Cieszę się, że w tę pierwszą drogę pójdziemy razem - powiedział Wichniewicz.

Bukowy zamyślił się. Był wprawdzie przygotowany na podobną wiadomość, lecz mimo to Wichniewicz zaskoczył go.

- Zaraz, zaraz... Jeszcze mnie nie zapytałeś, czy się zgodzę - powiedział z nutką przekory.

- Jestem przekonany, że i ty się cieszysz. Nie masz zamiaru gnić tutaj w Budapeszcie. To nie dla ciebie.

- Skąd wiesz? - przekomarzał się Jędrrek.

- Nie udawaj. Przecież z ciebie harnaś.

- A gdybym chciał dostać się do Francji, do wojska?

- Zgrywasz się. Przecież ty bez gór to tak jak ryba bez wody. - Urwał, gdyż w tym momencie zjawił się bezszelestnie kelner i postawił przed nimi dwa kieliszki koniaku i dwie wody z lodem. Wichniewicz uniósł kieliszek. - Za naszą pierwszą turę! - wznosił toast.

Bukowy wypił.

- Kiedy wyruszamy?

- Za kilka dni. Muszę tymczasem wpaść do Koszyc. Mam tam dobrego znajomego, kolegę, z

którym studiowałem w Wiedniu.

- Węgier?

- Nie... wyobraź sobie, Polak, Szymek Borecki. Ożenił się ze Słowaczką. Teraz prowadzi garbarnię pod Koszycami. Świetne zahaczenie. Żyje dobrze z Węgrami i Słowakami, ma liczne kontakty. Jestem pewien, że zorganizuję z nim punkt przerzutowy. Ty tymczasem przygotuj się do drogi i pomyśl o swoich znajomościach. Przecież znasz sporo sportowców i wspinaczy z tamtej strony. Każdy kontakt może się nam przydać.

- A po co my właściwie idziemy? – zagadnął Bukowy.

Wichniewicz zaskoczyło to pytanie. Dopiero po chwili zorientował się, że do tej pory nie wyjaśnił Jędrkowi celu wyprawy.

- Już ci wspomniałem, że powierzono mi zorganizowanie przerzutu z kraju na Węgry. Idę na rekonesans. Przy sposobności mamy jeszcze dwa zadania. - Zamilkł na chwilę. Rozejrzał się, chcąc sprawdzić, czy ktoś ich nie dosłyszy. Nikt jednak nie zwracał na nich uwagi. Dorzucił więc spokojnie: - Słyszałeś o rewelacyjnym polskim karabinie przeciwpancernym?

- Oczywiście. Widziałem pod Rozwadowem, jak nasi grzali z tych karabinów do niemieckich czołgów. Wspaniała broń.

- To wyobraź sobie, że na Węgrzech nie znalazł się ani jeden egzemplarz. Musimy przynieść...

- No dobrze - przerwał mu Bukowy - ale skąd go wytrzaśniesz?

- Nie martw się. Mamy już dokładne wiadomości od oficerów. Jeden taki karabin zakopali żołnierze u chłopca w stodole. Mam plan. To niedaleko, pod Tarnowem.

- To pierwsze, a drugie zadanie? – zagadnął Jędrak.

- Będziesz tragarzem - zażartował Wichniewicz.

- Tragarzem?

- Musimy przenieść kilka milionów złotych... Na plecach, oczywiście.

Bukowy wzruszył ramionami.

- Przecież to papier... nic nie wart...

- Mylisz się. W kraju wciąż jeszcze stemplują. Mam znajomych urzędników w krakowskich bankach. Na pewno nam pomogą. A forsa, sam rozumiesz, będzie nam w kraju potrzebna.

- Rozumiem - powiedział w zamyśleniu Bukowy. Naraz baczniej przyjrzał się Wichniewiczowi. - Ty, Antoś... nie gniewaj się na mnie... Wiem, że jeździsz na nartach i jesteś

wysportowany, ale czy ty wiesz, co znaczy taka droga?

Wichniewicz uśmiechnął się przyjaźnie. Położył mu dłoń na kolanie.

- Ej, ty góralu! Ty góralu! Z tobą mogę iść na koniec świata. - Potem skinął szybko na kelnera: - Proszę jeszcze dwa koniaki. - A Jędrkowi szepnął do ucha: - Harnaś jesteś. Pijmy za takich jak ty harnasiów.

7

Po tygodniu Bukowy, Wichniewicz i Borecki wyruszyli z Koszyc. Przed nocą mieli dojść do małej górskiej osady - Martinec.

Szli lesistą doliną wzdłuż bystrego potoku. Zapadał zmierzch. W głębi lasu było już mroczno, lecz gdy droga przecinała polany i poręby, w górze ukazywał się czysty płat nieba z nasiąkniętymi słońcem obłokami. Potem znowu zagłębiali się w mroczne tunele wyżłobione wśród gładkich, popielatych pni buków. W dole w kamiennym korycie szumiał potok, a gdy wiatr przeszedł ponad koronami drzew, zdawało się, że i w górze przewala się spieniona woda.

Szli w milczeniu. Bukowy czuł bolesny ciężar wypchanego plecaka, lecz w miarę upływu czasu doznawał błęgiego uczucia spokoju. Oto kojący wpływ marszu - nie trzeba myśleć, wszystko zostaje zgubione w miarowym rytmie kroków. Jest tylko ruch...

Borecki zatrzymał się nagle.

- To już niedaleko. Wy poczekajcie tu na mnie. Pójdę po Palinkasa. - Skinął im ręką i wnet zniknął za zakrętem drogi.

W dali słychać było pianie kogutów i poszczekiwanie psów - znak, że osada znajdowała się blisko.

Bukowy wysliznął się z rzemieni ciężkiego plecaka. Usiadł pod potężnym pniem buka, wyciągnął z ulgą nogi. Wichniewicz zeszedł po kamieniach na brzeg potoku. Zanurzył dłonie w wodzie, wycierał nimi spoconą twarz. Nagle zwrócił się do Bukowego:

- Jak dotąd, wszystko idzie dobrze.

Plan pierwszego przejścia obmyślili razem z inżynierem Boreckim, o którym wspominał Wichniewicz w czasie rozmowy w "Astorii". Borecki miał ich skontaktować z Palinkasem. Zaręczał, że jest to idealny przewodnik; mieszka niedaleko granicy, zna wszystkie przejścia, zna ludzi, a przede wszystkim mówi po węgiersku równie dobrze jak po Słowacku. Palinkas miał ich

nocą przeprowadzić przez granicę, a potem, już po słowackiej stronie, oddać pod opiekę pewnego karczmarza, który powinien im ułatwić znalezienie taksówki lub samochodu. Postanowili bowiem przejechać przez Słowację, żeby niepotrzebnie nie narażać się na spotkanie z żandarmerią lub, co gorsza, z Hlinkową Gardą. Wydawało im się, że plan jest najodpowiedniejszy i najlepiej dostosowany do sytuacji.

Tymczasem Borecki zbliżał się do domu Palinkasa.

Dom stał pod lasem, ukryty pod trzema pięknymi wiązami, osnuty tajemniczym mrokiem. Było zupełnie cicho. Nawet pies nie zaszczekał. Borecki zbliżył się ostrożnie. Zatrzymał się przy drewnianej bramce. Coś go tknęło boleśnie. Zobaczył bowiem ślepe okna zasłonięte okiennicami. Stał chwilę w tej nabrzmiałej ciszy, nie wiedząc, co robić. Wreszcie pchnął furtkę. Zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy i znowu zapanowała cisza.

Okrążył obejście. Wszędzie panowała martwota, jak gdyby powiew strachu wymiótł życie z całej zagrody. Ogarnął go lęk, chciał się wycofać. Podszedł jednak do drzwi i załomotał pięścią.

- Jest tam kto? - zapytał zdławionym głosem.

Nikt mu nie odpowiedział. Tylko z dachu zerwał się nagle dziki gołąb. Zafurkotał w powietrzu skrzydłami, kolistym lotem zginął w konarach wiązów. Borecki nasłuchiwał jeszcze chwilę. "Co się mogło stać? Co się mogło stać" - powtarzał w myśli. Uniósł nagle dłoń do czoła. Pod palcami poczuł zimne kropelki potu. Otarł je pośpiesznie, zaczął się wycofywać, a kiedy mijał trzy wiązy, przy furtce zobaczył nagle sylwetkę mężczyzny. Poznał Palinkasa.

- To wy, Palinkas? - rzucił niedorzeczne pytanie.

- Ja - odezwał się w mroku spokojny głos.

- Co tu się dzieje? - wykrzyknął Borecki, zbliżając się do wyłaniającego z mroku mężczyzny.

- A nic, panie inżynierze - odparł tamten szeptem. - Są ci Polacy?

- Są. Czekają w lesie. Ale co u was?

- Chodźmy stąd - powiedział tamten tonem, w którym można było wyczuć ostrzeżenie. Skinął na inżyniera i zamiast ku drodze, skierował się prosto do lasu. Kiedy oddalili się kilkaset metrów, Palinkas zatrzymał się nagle.

- Niech się pan nie boi, panie inżynierze - rzucił nieco zaczepnie. - Wszystko będzie w porządku.

Borecki spojrzał z niedowierzaniem.

- Coś się musiało stać. Gdzie wasza żona? Gdzie dzieci?

- Żona wyjechała z dziećmi do Rożnawy, do swego brata.

- Dlaczego?

- A... mieliśmy tu małą rewizję – Palinkas uśmiechnął się cierpko, trąc dłonią policzek. - Ale niech się pan nie boi. Ja zrobię, co do mnie należy.

- Rewizję? - w głosie Boreckiego zabrzmiała nuta zdumienia.

- No... nic takiego. Przyszli żandarmi i szukali. Przetrzęsnęli cały dom.

- Czego szukali?

- Nie mówiłem panu? - zapytał kpiąco Palinkas.

- Nie...

- Przecież pan wie, że jestem przemytnikiem.

- Domyślałem się tylko.

Palinkas ujął go pod ramię, jakby go chciał uspokoić.

- Myślałem, że pan wie... I niech pan będzie spokojny. Powiedziałem, że przeprowadzę, to przeprowadzę. Pan mnie zna. Słowo, to słowo.

- A was nie szukali?

- Miałem szczęście. Nie było mnie w domu.

*

Wichniewicz spojrział na zegarek.

- Już czterdzieści minut na niego czekamy. Bukowy wzruszył spokojnie ramionami.

- Możemy jeszcze trochę poczekać. - Zeszedł do potoku, ściągnął buty i z ogromną ulgą zanurzył nogę w lodowatej wodzie. Spod kamienia, na którym usiadł, wyrwał się nagle mały pstrąg i zygzakami smyrnął pod prąd. Bukowy powiedział do Wichniewicza:

- Pstrągi są w tym potoku. Tamten syknął zniecierpliwiony.

- Cholerny świat. Co się mogło stać?

- Co się tak denerwujesz? Może coś mają do załatwienia.

- Toby nas uprzedził. Wyobrażasz sobie, co by to było, gdyby...

Bukowy roześmiał się.

- Jeszcześmy nie ruszyli, a ty... - nie dokończył. Splunął do wody. - Idziemy, idziemy, dróżecki nie wimy, ale ludzie wiedzą, to nam dopowiedzą... - zanucił cicho z góralską. Potem dodał głośniejszym głosem: - Tak, bracie, trzeba być przygotowanym na wszystko. W najgorszym razie pójdziemy sami.

Kiedy kończył te słowa, nad potokiem zagrzecotał żwir, a po chwili z krzaków wyłonili się Borecki z Palinkasem.

- Co się z tobą stało? - przywitał ich zniecierpliwiony Wichniewicz.

Borecki był blady i zasępioły. Podszedł bliżej do Wichniewicza.

- Słuchaj - powiedział niepewnie - sytuacja trochę się pogmatwała... Ty musisz sam decydować.

- A co? - odezwał się spokojnie Bukowy.

- U Palinkasa była rewizja. Szukali kontrabandy.

- Znaleźli?

- Nie.

- To co się pan martwi?

Palinkas poruszył się niecierpliwie. W mroku widać było jego śniadą, niemal cygańską twarz, błyszczące niebieskawo białka oczu i zdrowe zęby wychylające się spod mięsistych warg. Skinął głową na Bukowego, jakby wyczuł w nim bratnią duszę.

- Nic się nie stało - powiedział po słowacku głosem, w którym zabrzmiała nutka lekceważenia. - Będę miał trochę kłopotu, ale powiedziałem, że przeprowadzę, to przeprowadzę.

Bukowy uśmiechnął się do niego porozumiewawczo.

- No to, bracie, idziemy.

- Zaczekaj - zastopował go Wichniewicz. - Trzeba się zastanowić.

- Ryzyk-fizyk... - zażartował Bukowy. - A ty, Antoś, może chcesz wrócić do Koszyc?

- Nie... - mruknął zamyślony Wichniewicz.

- Ale jeśli była rewizja, to go pewno szukają. Palinkas roześmiał się sucho.

- Mnie tak łatwo nie znajdą. Możecie być spokojni. Oni po nocach nie mają ochoty styrnać się

po wierchach. A zresztą... ja znam takie drogi, którymi tylko jelenie chodzą. Nadłożymy ze trzy kilometry, ale możemy iść zupełnie śmiało. - Naraz drasnął Wichniewicza kpiącym spojrzeniem. - A bać się, panie, nie macie czego.

Ten zwrócił się do Jędrka:

- No co?

- Ja mogę iść. A ty?

Wichniewicz zastanawiał się chwilę. W końcu przeciął ręką powietrze.

- Idziemy!

8

Borecki wrócił do Koszyc. Bukowego i Wichniewicza Palinkas poprowadził bocznymi ścieżkami. Po godzinie marszu na góry opadła mgła. Droga stawała się coraz uciążliwsza. Zapadła zupełna ciemność. Szli niemal po omacku. Przepychali się przez gęste młodniki, przez zasieki, a im dłużej szli, tym czas uciekał wolniej, a ciężar plecaków zdawał się nie do zniesienia. Mieli takie wrażenie, że na barkach dźwigają góry.

Skalista ziemia stała się śliska od rosy, zaczęło mżyć, przenikliwy ziąb dokuczał zmęczonym ludziom. Kilka razy przegrodziły im drogę wezbrane potoki. Nie było czasu ani ochoty na przebieranie się. Forsowali je, brnąc po pas w lodowatej wodzie. Przy jednej z takich przepraw Wichniewicz pośliznął się, dał się znieść prądowi.

Na szczęście zatrzymał się na płyciźnie, lecz dalej szedł już markotny i zdeprymowany.

Po północy Palinkas zatrzymał się na niewielkiej polanie, wśród buczynowych młodników.

- Granica już niedaleko - powiedział, zrzucając z ramion plecak.

- To chodźmy dalej - odezwał się Jędrzek Bukowy.

Wichniewicz położył się w wysokiej trawie. Nie miał sił wyswobodzić się z rzemieni plecaka. Palinkas spojrział na niego.

- Nie ma się co spieszyć. Granicę najlepiej przechodzi się o świcie. Nocą można się naciąć na patrol. O świcie wszyscy są zmęczeni. - Nałamał kilka suchych patyczków i w mig rozniecił małe ognisko.

Bukowy obserwował go bacznie. Podobał mu się ten człowiek; w jego ruchach, w błysku kocich oczu, w kpiącym tonie było coś zbójnickiego, coś, czym przesiąka człowiek obcujący stale z naturą. A ten sposób rozpalania ogniska... Tak samo czynią to juhasi na halach i kłusownicy.

Z mokrych gałązek sączył się gęsty dym. Przyjemnie było czuć zapach smolnych gałązek. Wnet płomienie przebiły się przez świeżą cetynę, a na polance zrobiło się jasno. Palinkas wyciągnął z plecaka kawał paprykowanej słoniny i manierkę z rumem. Podał manierkę Bukowemu.

- Pij! Madziarski rum.

Jędrak pociągnął łyk. Rum był mocny i aromatyczny. Przyjemnie drażnił podniebienie.

- Dobry - pochwalił. Odciał nożem kawał słoniny i położył go na chleb. Manierkę podał Wichniewiczowi. - Łyknij Antoś, to ci dobrze zrobi.

Wichniewicz z trudem zsunął z ramion plecak. Na kolanach dotarł do ogniska. Łyknął, lecz w tej samej chwili zakrzuszył się.

- Jestem cholernie wypruty - powiedział do Jędrka. - I boli mnie noga.

Bukowy spojrział z obawą.

- Co z nogą?

- Zdaje mi się, że po tej kąpieli otarłem piętę.

- Pokaż. - Nie czekając, przesunął się bliżej, zdjął mu but, ściągnął ostrożnie skarpetę.

- Mówiłem ci, żebyś wziął wełniane skarpety - powiedział. W świetle ogniska obejrzał piętę. Była czerwona i nabrzmiała.

Palinkas nie zwracał na nich uwagi. Z apetytem głodnego wilka zajadał chleb ze słoniną. Potem znowu pociągnął z manierki.

- Na zmęczenie najlepszy rum. Czujesz, jak rozchodzi się gorącem po żyłach? - Naraz w jego zbójckich oczach pojawił się dziwny błysk.

- Ty - zwrócił się do Bukowego - ja tam nie lubię się wypytywać, ale powiedz, po co wy idziecie do Polski?

Bukowy zamienił z Wichniewiczem ostrzegawcze spojrzenie. Po chwili uśmiechnął się chytrze i zażartował:

- Na wycieczkę, bracie.

Tamten zmrużył pałające blaskiem oczy.

- Bo widzisz... Teraz to Polacy chodzą na Węgry... Tych to rozumiem... Uciekają przed Niemcami... Ale wy? Zresztą, co to mnie obchodzi.

- A ty - zahaczył zaczepnie Bukowy - dlaczego nas przeprowadzasz?

Palinkas zamyślił się. Potem nagle uśmiechnął się, a jego zdrowe, białe zęby błysnęły w świetle ogniska.

- Ja... już wam mówiłem... Ja przemytnik, znam tu każdą ścieżkę.

- No dobrze... ale my nie kontrabanda.

- Inżynier Borecki dobry człowiek - rzucił wykrętnie. - Dla niego to robię.

- Tylko dla niego?

- No i dlatego, że lubię Polaków,

- A ty Węgier czy Słowak?

- Ja? - zastanowił się. - Ani Węgier, ani Słowak. Ojciec mój był Węgrem, ale wychowała mnie matka, Słowaczka. Tu w okolicach dużo takich ludzi.

- Ale kim się czujesz?

Palinkas nie odpowiedział. Złapał rozżarzony patyk i odpalił od niego papierosa. Pociągnął dwa razy, splunął i rzucił papierosa za siebie.

- Trzeba spać - powiedział przeciągle. - Do świtu jeszcze daleko. - Skulił się, przysunął bliżej do ogniska i za chwilę zdrowo zachrapał. Bukowy przez mokre ubranie czuł ciepło jego ciała i zapach męskiego potu. Plecami przylgnął do jego piersi. Było mu ciepło. Pomyślał, że właśnie tak śpią na nocnej wyprawie kłusownicy albo taternicy podczas biwaku w ścianie. Spod zgiętego ramienia zerknął w stronę Wichniewicza. Ten siedział przy ognisku tępo wpatrzony w tańczące na dogasających gałązkach płomienie. Wyglądał bardzo zmęczony.

- Weź moje wełniane skarpety - powiedział Jędrek. - Przykryj się moją wiatrówką. I chodź bliżej. Razem będzie nam cieplej.

*

Palinkas obudził się pierwszy. Świtało. Nad polaną, pomiędzy kłębów mgły wyłonił się płat jasnego nieba. Z gałęzi skapywały ciężkie krople rosy, a od ziemi szedł cierpki zapach opadłych liści. Palinkas przeciągnął się, spojrzał w górę i pomyślał, że będzie pogoda. Potem szybko zaczął

rozpalać ognisko.

Po śniadaniu ruszyli w drogę. Szli jeszcze pół godziny gęstymi, płonymi przylaskami, potem przed nimi wyłoniła się porośla z rzadka jałowcem i głogiem halizna. Palinkas zatrzymał się w buczynowych zaroślach.

- Tu już granica - pokazał w stronę trawiastego zbocza. - Za tym grzbietem słowacka strona.

Bukowy poprawił rzemienie plecaka. Chciał ruszyć pierwszy, lecz Palinkas zatrzymał go.

- Czekaj! Wy tu zostaniecie na chwilę, a ja pójde się rozejrzeć. Tak będzie lepiej. - Skinął ręką i wolnym krokiem ruszył przed siebie. Szedł chwilę ścieżką wydeptaną przez owce, potem ostrym zakosem zaczął pokonywać stromiznę. Sucha trawa miękko ugiwała się pod jego stopami, a w jałowcach poświstywał ostry wiatr.

Kiedy był już na przechyle, zobaczył przed sobą dwa smereczki, a dalej podchodzący aż pod grzbiet wzniesienia młodnik, przez który biegła droga. Widać było dwie koleiny wyżłobione w skalistej caliźnie. Ruszył ostrożnie tą drogą. Chciał się upewnić, czy jest wolna i bezpieczna. Kiedy doszedł do zakrętu, nagle drgnął. Przed sobą zobaczył dwóch słowackich strażników granicznych.

W pierwszej chwili chciał uciekać, lecz opanował się. Przyspieszył tylko nieco kroku i zebrał się w sobie. Szedł prosto na nich.

- Dobry dzień! - przywitał ich niemal wesoło.

Jeden z nich, czarny, z baczkami i nasuniętą na czoło czapką, zatrzymał go:

- Czekaj!

Drugi odsunął się o dwa kroki i wolno zdjął karabin z ramienia.

Ten czarny ogarnął go ostrym spojrzeniem.

- Skąd idziecie?

- A... ja tu z wierchu... Szukałem owiec - odparł zuchwale i bez zastanowienia.

- Dokumenty! - rozkazał strażnik głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Palinkas uśmiechnął się po swojemu, kpiąco i nieco cierpko. Wolnym ruchem sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Potem tę samą ręką wyciągnął przed siebie, jakby się chciał usprawiedliwić.

- Zapomniałem - powiedział spokojnie.

Ten drugi, wysoki, o końskiej szczęce podniósł wyżej lufę karabinu.

- Bez dokumentów w strefie granicznej? - W głosie jego zabrzmiały zdumienie i groźba.

- Przecież wam mówię, że owiec szukałem. Ten wysoki zmrużył oczy.

- Może wy z tamtej strony?

- Gdzie tam... ja z Hradka... Ja Słowak. Strażnik o końskiej szczęce zwrócił się do towarzysza.

- Ty, Stano, znasz go?

- Nie.

- To co nas bujasz? My ludzi z Hradka dobrze znamy.

- Ja tu niedawno do ciotki przyjechałem - starał się jeszcze bronić, lecz ze spojrzeń strażników i z ich tonu zrozumiał, że już się nie wymiga.

9

Zaszyci w buczynowym młodniku, Bukowy i Wichniewicz długo czekali na Palinkasa. Ze wzrastającym niepokojem, w milczeniu spoglądali w stronę trawiastego grzbietu. Nikt jednak się nie ukazał. Nie słyszeli ani strzału, ani żadnego odgłosu, tylko wiatr szeleścił w czerwonych liściach buków.

- Ty, słuchaj - odezwał się Wichniewicz - może on nas wystawił do wiatru?

- Nie - zaprzeczył stanowczo Jędrrek.

- Może nas zostawił, a sam...

- Nie - przerwał mu Bukowy. - Ja znam się na ludziach On nie należy do takich.

- To co?... Przecież dałby przynajmniej jakiś znak.

Bukowy schylił się po plecak.

- Wpada się zawsze w najgłupszy sposób - powiedział jakby do siebie.

Wichniewicz spojrział z obawą.

- To znaczy... zostaliśmy na lodzie.

Jędrrek podrzucił plecak i wśliznął się zrećźnie w rzemienie.

- Co robisz? - zapytał Wichniewicz z niepokojem w głosie.

- Przecież nie będziemy tu czekać. Jeszcze nas capną. Spróbujemy sami odnaleźć tę karczmę.

Wichniewicz ociągał się chwilę, lecz widząc, że Jędrak nie czeka, zarzucił plecak i ruszył za nim. Bukowy, od dzieciństwa zżyty z górami, miał nieomylny instynkt i bezbłędnie orientował się w terenie. Teraz wiedział, że nie mogą pchać się prosto na grzbiet. Prowadził więc wzdłuż zbocza zarośniętego karłowatą buczyną i jałowcami, dopiero w miejscu, gdzie zarośla podchodziły pod sani przechył grzbietu, zawrócił w kierunku granicy. Wnet między krzakami zobaczyli słupek graniczny. Szybko przebyli kawał nagiego zbocza i znowu zaszyli się w zaroślach. Niżej był już las. Bukowy odnalazł wydeptaną przez pasterzy ścieżkę. Był pewny, że poprowadzi ich do wsi.

Nie mylił się. Po godzinie marszu znaleźli się nagle na skraju lasu. W dole leżała wieś. Wzdłuż rozległej doliny ciągnęła się droga, a po jej obu stronach, nieregularnie rozrzucone, stały w kępach drzew domy. Spośród lśniących jeszcze zorzą dachów jak biały stalaktyt wystrzelała smukła wieża kościoła.

Zatrzymali się. Bukowy z uśmiechem przyglądał się krajobrazowi. Było w nim coś dziwnie swojskiego, przywołującego wspomnienia z własnych stron. Wieś budziła się do życia. Nad domami snuły się dymy; słyhać było porykiwanie krów, podzwanianie pustych wiader, poszczekiwanie psów. Spoza opłotków wyszła dziewczyna w czerwonym sweterku. Gnała przed sobą sznur rozgęganych gęsi; z krytego gontem dachu zerwało się nagle stado gołębi, wzbiło się ponad kępy drzew i niewidzialnym ścięciem spięło korony drzew z mglistym błękitem nieba. Na zagorzałym zboczku pod lasem zazbyrkały dzwonki; stado owiec jak obłoczek sunęło wolno po spłowiałych trawach, a kudłaty owczarek uwijał się w kłębowisku, zaganiając oporne zwierzęta. Dalej, pod lasem, kobiety kopały ziemniaki; jak barwne plamy przesuwwały się ich postacie na ochrowym tle ziemi, a wszystko w miedzianorudej ramie czerwieniejących buków i pod czystym już niebem jesiennego poranka.

Z zadumy wyrwał go Wichniewicz.

- Musimy odszukać Tabora - powiedział cicho.

Bukowy ocknął się.

- Tak... ale lepiej będzie, jeżeli ja tam sam pójde. Ty czekaj tu na mnie.

- Dlaczego? - zdziwił się Wichniewicz.

- Bo nie znasz słowackiego - osadził go Jędrak. - Czekaj tu na mnie, a jakby coś się stało, to wracaj tą samą drogą. - Skinął mu ręką i szybkim krokiem zaczął zbiegać wzdłuż kamienistej miedzy. Po drodze przypomniał sobie słowa Palinkasa: "Karczma jest na skraju wsi... Trzeba minąć kępę jaworów, potem białą kapliczkę, a potem trzeci dom.."

Wszystko się zgadzało. Kiedy doszedł do drogi i minął olszynowy zagajnik zobaczył przed sobą trzy stare jawory w pysznej szacie żółkniejących liści, a dalej białą kapliczkę. Przy kapliczce

minął chłopą jadącego pustym wozem. Pozdrowił go głośno i wesoło po słowacku. Chłop odmruknął tylko, ale Bukowy był zadowolony z tej próby. Woźnica nie objawiał bowiem ani zdziwienia, ani zainteresowania przechodniem.

Za kapliczką droga ginęła w cieniu jesionów, a wśród pni czerniły się spalone słońcem ściany pierwszych zabudowań. Bukowy szedł już coraz pewniej; pozbył się uczucia lęku i zakłopotania, doznawał nawet pewnego zadowolenia. Lubił ryzykować.

Trzeci dom był okazalszy, a od strony drogi jaśniał świeżymi deskami dobudowanej niedawno werandy.

Bukowy bez wahania wszedł na werandę. Za uchylonymi drzwiami zobaczył połyskujący mosiądzem bufet, a za nim tęgawą kobietę. Myła w zlewie kufle i szklanki. Ruszył w jej stronę, a gdy minął drzwi, kącikiem oka spostrzegł w rogu przy zastawionym butelkami stole kilku mężczyzn. Z wyglądu i ubioru przypominali drwali, tylko jeden z nich miał na sobie nowy mundur leśniczego, a obok na ławce leżał myśliwski kapelusz z borsuczą kitą.

Na widok Bukowego mężczyźni zamilkli, unieśli oczy znad stołu i pełnymi zaciekawienia spojrzeniami odprowadzili go aż do bufetu.

- Dzień dobry! - Bukowy przywitał kobietę po słowacku. - Macie piwo?

Obrzuciła go nieufnym wzrokiem.

- Ciemne czy jasne?

- Jasne.

Bez słowa podeszła do kurka. Po chwili do kufła potoczyła się z sykiem piana. Bukowy stał i czuł, jak rośnie w nim napięcie. Było cicho. Mężczyźni tępawo przyglądali mu się. Nie widział ich, lecz na plecach niemal fizycznie wyczuwał ich spojrzenia. Zdawało mu się, że dłużej nie wytrzyma, lecz w tej chwili kobieta z rozmachem postawiła przed nim kufel. Zanurzył w chłodnej pianie spieczone wargi i nagle doznał uczucia ulgi. Wypił piwo duszkiem.

- Dobrze macie piwo...

- Preszowskie.

- To poproszę jeszcze jedno.

Gdy kobieta toczyła drugie piwo, zagadnął już spokojniej:

- A gospodarz w domu?

Znowu obrzuciła go nieufnym, nieco jędzowatym spojrzeniem, lecz wnet odwróciła się ku uchylonym drzwiom, za którymi widać było pękate beczki wina, i zawołała:

- Frano... Frano, ktoś do ciebie.

Po chwili z ciemnej sieni wytoczył się tęgi, szpakowaty mężczyzna ;ze spoconą i nalaną twarzą. Rękawy koszuli miał odwinięte, a na osypanym gęsto włosom przedramieniu widniał tatuaż.

- A co? - zapytał świdrując przybysza małymi, bystrymi oczami.

Bukowy przechylił się nieco przez ladę. - Ja od Istvana Palinkasa z Koszyc - powiedział cicho.

Oczy Tabora nagle przygasły, a nalana twarz stężała.

- A wy skąd? - zapytał przeciągle. Jego ostrzegawcze spojrzenie poszybowało w stronę siedzących pod oknem drwali. - Może z Horehronia?

- Nie... ja Spisak - odparł niepewnie.

- A mówicie jak horehrońcy.

Bukowy poczuł się nagle nieswojo. Spodziewał się, że Tabor przyjmie go przychylnie. Tymczasem zaczynał go indagować. Rzucił więc zuchwale :

- Macie pozdrowienia od Palinkasa.

Tabor syknął i nagle jego twarz aż po zawiniętą szyję oblał purpurowy rumieniec.

- Mówicie, że jesteście ze Spiszu... Ale skąd? - zapytał już głośno, jak gdyby chciał, by go usłyszeli siedzący pod oknem ludzie.

- Ze Spiskiej Białej - odparł wyzywająco. W tej samej chwili usłyszał, że za nim ktoś podnosi się od stolika. Na twarzy Tabora zobaczył przerażenie. Odwrócił się. Zbliżał się ku niemu mężczyzna w zielonym mundurze leśniczego.

- Ze Spiskiej Białej?... - powiedział tamten, wpatrując się dociekliwie. Bukowy widział jego płaską, osypaną jasnym zarostem twarz i mętne od alkoholu, niebieskie oczy. Cofnął się, lecz leśniczy przytrzymał go za rękaw. - Ze Spiskiej Białej? - powtórzył. - A dlaczego powoływaliście się na Palinkasa?

- Palinkasa? - odparł Bukowy ostro. - Toście się przesłyszeli.

- O, nie, bracie - szarpnął go tamten. - Dobrze słyszałem... Palinkas...

Bukowy zrozumiał, że palnął straszne głupstwo, a właściwie od samego wejścia do tej karczmy popełnia błąd za błędem. Zbyttno sobie zaufał, nie zachował ostrożności, a teraz znalazł się w niebezpieczeństwie. Był jednak na tyle rozsądny, że ogarnął leśniczego ostrym, śmiałym spojrzeniem i stanowczo odtrącił jego rękę.

- A właściwie, czego ode mnie chcecie? Tamten zmrużył mętnawe oczy.

- Ja?... Czego?... A czego wy od Palinkasa? Bukowy wzruszył ramionami.

- A co wam do tego? Leśniczy zaśmiał się chrypliwie.

- To, bracie, nie wiesz, że Palinkasa rano prowadzili finance... Skutego. - Chciał znowu chwycić go za rękaw, lecz Jędrak uchylił się w porę.

- Nic mnie to nie obchodzi.

Leśniczy zacisnął mocno usta, aż mu wargi zbieleły.

- Poczekaj... może inaczej z tobą pogadamy. Bukowy obejrzał się. Był teraz przygotowany na najgorsze. Pomyślał, że w razie niebezpieczeństwa jednym kopniakiem obezwładni leśniczego i ucieknie. Droga była wolna. W tej samej chwili usłyszał zza bufetu głos Tabora.

- Spokojnie, panie Szpengel. Dlaczego pan zaczepia moich gości ?

Bukowy zdziwił się. Nie oczekiwał pomocy ze strony Tabora. Chciał coś powiedzieć, lecz zanim zdołał otworzyć usta, leśniczy znowu natarł na niego.

- Może wy razem z Palinkasem szmuglujecie? Może czekasz na niego? Jak chcesz, to zaraz zadzwonimy na posterunek.

Bukowy posłał mu pełne wzgardy spojrzenie.

- Niech pan dzwoni.

Pewność, z jaką to powiedział, osadziła nieco leśniczego.

- Ciekawe... - powiedział z namysłem. - Mówicie, że jesteście ze Spiszu, a pewno wracacie z Koszyc...

- Ja was nie pytam, skąd wracacie - przerwał mu stanowczo Jędrak.

- Właśnie - wtrącił spokojnie Tabor i dał Bukowemu ledwo widoczny znak głową, żeby wychodził. Ten sięgnął do kieszeni po pieniądze. Tabor zastopował go: - Już zapłacone - powiedział z naciskiem. Ruch głową, ton głosu - wszystko mówiło wyraźnie: "wyrwyj stąd, bracie, póki czas". Bukowy uśmiechnął się kącikiem ust.

- No to... do widzenia.

- Z Bohom - odetchnął z ulgą karczmarz. Jędrak przeszedł obok drwali, nie rzuciwszy im nawet spojrzenia. Słyszał za sobą suchy, pijacki śmiech leśniczego i jego słowa:

- Może pozdrowić od was Palinkasa?

Nie odwrócił się. Szedł zrazu wolno, jak gdyby dźwigał na ramionach nieznośny ciężar i nie

mógł się go pozbyć. Deski podłogi skrzypiały pod jego stopami. Zdawało mu się, że nigdy nie dojdzie do schodków... Nareszcie droga, orzeźwiający cień jesionów i chłód powiewu na rozpalonej twarzy, a jednak czuł, że koszula klei mu się do ciała, a za uszami i z czoła spływają drobne strużki potu. Szedł coraz szybciej i miał takie uczucie, jakby go ktoś ścigał. Nie śmiał jednak odwrócić głowy. Dopiero przy kapliczce obejrzał się... Droga była pusta.

Za kapliczką skręcił w opłotki. Wzdłuż sadu z karłowatymi jabłonkami pchał się w stronę lasu. Nie mógł jeszcze pozbierać myśli ani pozbyć się lęku. Wiedział jedynie, że spartaczył całą robotę. Trzeba było zająć do karczmy od tyłu, od sieni i wywołać karczmarza. Na pewno inaczej by wtedy z nim rozmawiał.

Kiedy docierał do skraju lasu, usłyszał, że ktoś za nim biegnie. Odwrócił się gwałtownie, lecz wnet się uspokoił - zobaczył bowiem chłopca, który wołał za nim:

- Hej, zaczekajcie! Zaczekajcie!

Przystanął. Oparł się plecami o pień drzewa i czekał, aż chłopiec się zbliży.

- Czego chcesz? - zapytał ostro. Chłopiec przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Tata kazał wam przyjść za godzinę.

- Ty od Tabora?

- Tak... tylko prosił, żebyście zaszli od podwórza, żeby was nikt nie zobaczył.

"Jednak nie wszystko stracone" - pomyślał i ogarnęła go radość. Miał ochotę uścisnąć chłopca, lecz ten stał w oddaleniu i przyglądał mu się nieufnie.

Chłopiec uśmiechnął się przekornie, zmarszczył łuszczący się nos, błysnął żywo burymi oczami, przechylił głowę i nagle roześmiał się.

- Dziękuję - rzucił wesoło Bukowy.

- A wy pewno Polak... Bo tu już nieraz Polacy do taty przychodzili.

Bukowy świsnął przez zęby.

- Pojętny z ciebie chłopak! Malec wzruszył ramionami.

- No a jak... - zrobił komiczny grymas, obrócił się na pięcie i biegiem ruszył z powrotem. Bukowy patrzył za nim jeszcze chwilę, a gdy chłopiec zniknął w opłotkach, ruszył w stronę lasu. Przedzierając się mozolnie przez zarośla, brodząc po pas w jałowcach, dotarł do miejsca, gdzie czekał Wichniewicz. Na jego widok Antek uniósł się. - Jak poszło? - zapytał.

Bukowy splunął ze złością.

- Mało nie wpadłem. Wyglupiłem się jak jasna cholera, ale jednak miałem szczęście...

10

Kiedy po godzinie Bukowy ubliżał się do karczmy, Tabor czekał już na niego w ogrodzie. Wskazał mu małą furtkę w płocie i zaprowadził bez słowa do szopy, gdzie był skład pustych butelek, gąsiorków i beczek. Twarz miał zasepioną, a jego bure oczy spoglądały z niepokojem na Bukowego.

- Człowieku - zaczął niskim głosem - wkopałbyś mnie i siebie. Nie mogłeś mnie wywołać albo... - machnął zniecierpliwiony ręką. - Dobrze, że tak się skończyło. Słyszeliście, że Palinkasa złapali finance na granicy?

- Tak - mruknął Bukowy, nie kryjąc zakłopotania. - A kto to był ten w zielonym mundurze?

- Szwab i do tego hlinkowiec. Mieliście szczęście. Mógł was porządnie wpakować. - Nagle spojrzał dociekliwiej i z naciskiem zapytał: - A wy... czego ode mnie chcecie?

- Palinkas mówił, że możecie wystarać się o taksówkę albo inny samochód.

Tabor rozłożył ręce gestem wyrażającym bezradność.

- Człowieku, nie macie pojęcia, co się tu teraz dzieje. Wczoraj finance złapali dwóch Polaków. Postawili na nogi całą straż graniczną. Zamknęli granicę nawet dla małego ruchu... A wy - samochód?... - Nie, bracie, widzę, że znowu chcesz mnie wpakować. Radzę wam, wracajcie do Koszyc.

- Łatwo wam powiedzieć - wracajcie. Zrozumcie mnie... nie mogę.

- Ja nic wam nie poradzę. Nie znam żadnego kierowcy. A zresztą, kto teraz będzie się narażał...

Bukowy cały czas obserwował go uważnie. Wyczuł, że Tabor odgrywa przed nim scenę, którą już wcześniej wyreżyserował w myśli. Aktorem był znakomitym. Jego żywe, pełne wyrazu gesty nerwowa mimika, cieniowanie głosu - wszystko obliczone było na przekonanie rozmówcy. Jędrak postanowił skończyć ten seans i zagrać w otwarte karty. Domyślał się, że Tabor, mając kontakt z Palinkasem, brał prawdopodobnie udział w przemyśle, a w każdym razie czerpał z niego zyski. Powiedział więc chłodno:

- Przecież my nie chcemy, żebyście się narażali za darmo.

Przez otyłą twarz karczmarza przebiegł nagły skurcz, a jego oczy nasiąkły oleistym blaskiem. Zagryzł wargi.

- Rób, co chcesz, ale ja ci teraz nie mogę pomóc - rzekł bez przekonania i uczynił taki gest, jakby go chciał wyprosić.

Bukowy uśmiechnął się przekornie.

- Słuchajcie... dobrze zapłacimy.

Tabor uniósł ręce jak aktor wzywający na pomoc nadprzyrodzone siły.

- Człowieku, zwariowałeś! Mnie życie droższe niż pieniądze.

Bukowy przymrużył kpiące oko.

- Nawet niż dolary?

Twarz karczmarza nabrała wreszcie normalnego wyrazu.

- Dolary? - powtórzył z nabożeństwem. - Skąd ty masz dolary?

- To już moja sprawa - uśmiechnął się porozumiewawczo, a potem dokończył chłodno, z naciskiem: - Może jednak namyślicie się?

Tabor grał teraz zafrasowanego poczciwca: masował chwilę kark, mierzwił włosy, wreszcie podrapał się za uchem.

- Zaraz... zaraz... Słyszałem, że ma tu przyjechać jeden z Dobszyny z towarem do sklepu. Mogę z nim pogadać... Ale nie wiem, czy się zgodzi.

- Jemu też zapłacimy.

Tabor błysnął przebiegle oczami.

- A ile?

- To jest sprawa do obgadania. Zastanówcie się i powiecie mi, kiedy wszystko będzie załatwione.

- No tak - powiedział przeciągle i, żeby dograć rolę do końca, uniósł ręce w wymownym geście.

- Ej, wy Polaki... Polaki... Przez was same kłopoty.

*

Tabor postawił na stole karafkę wina.

- Nie denerwujcie się, Miko zaraz tu będzie. Siedzieli w starej szopie na beczkach od piwa.

Jedli w milczeniu gulasz, który uprzednio przyniósł im karczmarz z kuchni. Było mroczno. Pod powałą tliła się słaba żarówka. Pajęczyny rzucały na ściany fantastyczne wzory. Zdawało się, że całą szopę osnuły smugami cieni. Wichniewicz nalał do szklanek wina.

- Dobry był ten gulasz - powiedział jakby do siebie.

- I wino dobre - uśmiechnął się gospodarz. Spojrzał wyczekująco na Wichniewicza. Ten w mig pojał, o co mu chodzi. Wyjął z myśliwskiej kurtki portfel, zaczął odliczać zielone banknoty, a gdy skończył, przesunął je w stronę Tabora.

- Tak jakżeśmy się umówili.

Karczmarz zgarnął plik dolarów, złożył starannie, potem wsunął do tylnej kieszeni spodni. W jego oczach pojawiły się weselsze błyski. Sięgnął po szklankę.

- No to za dobrą drogę!

Wypili w milczeniu. Tabor odstawił szklankę. Chwilę masował solidne udo.

- Mieliście szczęście, że Miko się zgodził. Odwiezie was do Szczyrbskiego...

- Do Trzech Studniczek - poprawił go Bukowy.

- No jasne... Dokąd chcecie. To porządny człowiek. Możecie na nim polegać. W tej chwili za oknami usłyszeli warkot silnika, a potem jasne snopy światła wdarły się przez zakurzone okno do szopy.

- Już jest - powiedział z ulgą Tabor. Czekali w milczeniu. Silnik umilkł, światła zgasły, a za chwilę w drzwiach szopy ukazała się sylwetka mężczyzny.

- To właśnie Miko - wskazał gospodarz ręką na wchodzącego.

W milczeniu uścisnęli sobie dłonie.

Miko był niski, szczupły, łysawy. Twarz sucha, śniada, rysy i wejrzenie łagodne, wzbudzające zaufanie. Miał na sobie skózaną kurtkę szoferską, a pod nią narciarski sweter z surowej wełny. Powściągliwe ruchy i cała postać wyrażały spokój i opanowanie. W mowie też był oszczędny.

- Chcecie jechać nocą? - zapytał.

- Jak wolicie - odparł Wichniewicz.

- Nocą spokojniej...

Tabor nalał mu wina. Kierowca pił drobnymi łykami, a kiedy odstawił szklanę, baczniej przyjrzał się Polakom. Potem spojrział w okno. Za szybami widać było zarys budynku, a dalej drzewa i siniejące nad nimi niebo.

- Będzie deszcz - rzucił.

- To dobrze czy źle? - zapytał Wichniewicz.

- Dla was dobrze. Bezpieczniej... Dla mnie gorzej. Ale to się nie liczy.

Tabor położył przed nim kilka banknotów.

- To twoja część, Miko.

Ten sięgnął po nie z zażenowaniem.

- Dziękuję - zwrócił się raczej do Polaków niż do gospodarza. Zwinął je w rulonik i wepchnął do górnej kieszeni kurtki. Nagle jego chłodny wzrok spoczął na Wichniewiczu. Uśmiechnął się dziwnie i zapytał: - A wam na Węgrzech źle było?

Wichniewicz zwlekał chwilę z odpowiedzią. Zamienił z Bukowym krótkie, ostrzegawcze spojrzenie, jak gdyby chciał zapytać: "Do czego on zmierza"? - lecz wnet uśmiechnął się zdawkowo.

- Źle nam nie było.

- Chyba nie wiecie, co się tam u was dzieje? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, uniósł szklanę i skinął ku nim przyjaźnie. - Na zdrowie.

Zaczęli się zbierać. Kiedy wyszli z szopy pierwsze krople deszczu zabębniły o blaszany dach karczmy. Miko poprowadził ich do wozu. Była to stara ciężarówka sauer, z budą osłoniętą plandeką. A pod plandeką pod sam dach piętrzyły się chaotycznie stare graty: połamane krzesła, cebrzyki bez dna, kredens bez szuflad, dywan, worki wypchane garnkami. Bukowy zamienił z towarzyszem zawiedzione spojrzenia.

- Nie bójcie się - uspokoił ich Miko. - To specjalnie tak załadowałem, żebyście się mieli gdzie ukryć, A w razie czego mówcie, żeście się schowali bez mojej wiedzy.

- Przeprowadzka - zaśmiał się w ciemności Tabor.

- Żebyś wiedział - potwierdził Miko. - Jeden kolejarz przenosi się do Ružomberoku. Wykombinowałem, że jedno przy drugim...

- Masz głowę na karku, Miko.

Kierowca wspiął się na wóz, odsunął komódkę zagrządzającą wejście do wnętrza.

- Pakujcie się - skinął na Polaków. Pierwszy wskoczył Bukowy. Przecisnął się między gratami,

dotarł aż pod szoferkę. Tam w blasku latarki zobaczył ułożoną w poprzek kanapę.

- Pierwszorzędne siedzenie - zażartował.

- Podróż w luksusowych warunkach - roześmiał się Wichniewicz. - Teraz możemy spać jak w sypialnym wagonie.

*

Bukowy zapadł w odrętwienie. Niby przez grubą i miękką zasłonę słyszał chrypliwy warkot silnika i świst opon na mokrym asfalcie. Było zimno, wilgotno. Wystające z kanapy sprężyny uwierały go boleśnie. Poruszył się więc nerwowo i zmienił pozycję.

- Nie śpisz? - usłyszał w zupełnej ciemności głos Wichniewicza.

- Nie.

Błysnęła latarka. Wichniewicz w snopie światła spojrział na zegarek.

- Jeżeli dobrze pójdzie, to jeszcze przed świtem będziemy w Tatrach - powiedział ziewając. Wyjął z leżącego u nóg plecaka termos z kawą. Wolno odkręcał nakrętkę.

- Czuję się jak w trumnie - powiedział nagle Bukowy. - Nie lubię być zamurowany. Duszno mi... a jakby co się stało, to nawet nie zipniemy.

- Nie narzekaj, nie narzekaj! – Wichniewicz podał mu kubek z kawą. Chybnęło nieco wozem i Jędrzek poczuł gorącą kawę na dłoni.

- Cholera, rozlała się... - Zostało jeszcze trochę w kubiku, więc uniósł ostrożnie do ust i pił małymi łyżkami. - Wcale nie narzekam - wrócił po chwili do tamtej rozmowy - tylko nigdy nie lubiłem być zamknięty. Nawet w górach nie lubię grot ani jaskiń. Czuję się, jakbym się dusił.

Wichniewicz odebrał kubek. Nalał sobie.

- Mieliśmy szczęście z tym Miko. Wygląda na porządnego chłopca. Może się nam w przyszłości przydać. Trzeba będzie z nim pogadać.

Miko tymczasem pochylił się nad kierownicą, zmęczone oczy wbił w wycinek oświetlonego asfaltu. Deszcz nie przestawał padać. Asfalt lśnił od wilgoci, a na poboczach płynęła mętna, spieniona woda. Wycieraczki z trudem oczyszczały zroszoną szybę. Droga pięła się w górę. Niedawno minęli Spiską Nową Wieś, miasto było puste i ciche jak wymarłe. Teraz zaczęły się serpentyny. Co chwila w słupach światła ukazywała się ściana lasu, a pnie wyznaczały miejsce zakrętu. I co chwila nowa fala deszczu zalewała zmętniała szybę. Miko czuł ogarniające go

zmęczenie, Chciał jednak wykorzystać sprzyjające okoliczności - w taką noc nikt ich nie zatrzyma - jechał więc bez najmniejszego postoj.

Skończyły się serpentyny. Wóz wspiał się na najwyższy punkt wzniesienia, a droga opadała prostą przecinającą las krechą. Miko odetchnął, wyprostował się i na chwilę z ulgą przymknął oczy. Zdawało mu się, że deszcz nie wali już z taką siłą... Spod tablicy wyjął paczkę papierosów, zębami wyłuskał jednego i zapalił. Sięgnął po manierkę z herbatą.

Wtedy właśnie daleko, na skraju szosy, ujrzał stojący samochód. Mignęły czerwone światelka, ktoś wyszedł z za maski wozu na środek drogi

Miko zwolnił. Zobaczył stojącego z uniesioną ręką żołnierza. Zaklął, lecz wnet uspokoił się. Wojsko nie zwykło przeprowadzać rewizji.

Zatrzymał się kilka kroków przed żołnierzem. Wtedy z samochodu wyskoczył podoficer. W strugach deszczu zbliżył się do szoferki. Zasalutował.

- Dokumenty! - powiedział suchym, urzędowym tonem.

Miko przez uchyloną szybę podał mu dokumenty. Tamten przyświecał latarką i pobieżnie przejrzał papiery.

- Co wieziecie?

- Rzeczy... To znaczy meble... Jeden kolejarz przeprowadza się z Dobszyny do Ružomberoku.

- A gdzie ten kolejarz?

- Nie ma go. Ja sam jadę.

- To dobrze... Jaka nośność tego wozu?

- Dwie i pół tony.

- To wystarczy - szybkim ruchem oddał kierowcy dokumenty. Ten odetchnął z ulgą, lecz ucieszył się za wcześnie, bowiem podoficer dorzucił ostro: - Rekwirujemy wóz na dwa dni.

Miko doznał takiego uczucia, jakby mu ktoś zadał cios między oczy.

- Panie wachmistrzu - powiedział zdławionym głosem - przecie mówiłem wam, że wiozę rzeczy do Ružomberoku.

Podoficer machnął lekceważąco ręką.

- Za dwa dni fez zdążycie - okrążył wóz i z drugiej strony wsiadł do szoferki.

Miko jednak nie ruszył. Powiedział opanowanym już głosem:

- To bezprawie. Ja protestuję. Zatrzymujecie mnie w środku drogi...

- Nie czytaliście rozporządzenia o rekwizycji prywatnych pojazdów? - przerwał mu sucho wachmistrz.

- Nie zarekwirowali mi w sierpniu ani we wrześniu, a wy...

- No jazda - uciął podoficer głosem nie wróżącym nic dobrego. - Jak się będziecie szarpać, to zatrzymam wóz na miesiąc.

Miko zagryzł wargi. Myślał w tej chwili nie o sobie ani o swym samochodzie, lecz o dwóch ludziach ukrytych pod plandeką.

- Dokąd mam jechać? - zapytał rozdrażniony.

- Jedźcie prosto... - za naszym wozem. Bukowy i Wichniewicz zdziwili się, kiedy wóz nagle zatrzymał się na szosie. Jędrrek trącił towarzysza.

- Ty - szepnął - to coś dziwnego.

Potem usłyszeli czyjś głos. Dochodził do nich niewyraźnie, więc nie mogli zrozumieć rozmowy. Jedno było pewne - ktoś ich zatrzymał. Bukowy przysłuchiwał się chwilę. Nagle postanowił przedostać się do kłapy i zorientować się w sytuacji. Zsunął się z kanapy.

- Co robisz? - Wichniewicz złapał go za pasek wiatrówki.

- Nie mogę wytrzymać w tej trumnie.

- Ciszej! - syknął Wichniewicz i jeszcze mocniej go przytrzymał.

Jędrrek zamilknął, znieruchomiał, lecz gdy wóz ruszył, powiedział zniecierpliwiony:

- Nie mogę wytrzymać. Podejdę do kłapy. Zobaczę, co się dzieje.

Wichniewicz puścił go. Przedrzeć się do kłapy nie było jednak łatwo. Przed odjazdem Miko zabarykadował przejście żelazną umywalką. Bukowy starał się ją przesunąć, lecz każdy ruch wywoływał jazgot i pobrzękiwanie. Postanowił więc przeczołgać się przez gmatwaninę stalowych prętów. Położył się na boku, wsunął ręce między pręty, potem, napierając nogami, wtłoczył głowę i tułów. Czynności te zabrały mu sporo czasu, a gdy wóz znowu się zatrzymał, Jędrkek utkwiał między prętami. Zaklął cicho i pomyślał: "Teraz to jestem zupełnie ugotowany".

Wojskowy samochód doprowadził wóz Mika do koszar. Minęli oświetloną wartownię, budynki koszar, skręcili w aleję, która Wkrótce zawiodła ich do magazynów. Tu zatrzymali się przy rampie.

Po drodze kierowcy przychodziły różne myśli. Może spróbować ucieczki. Puścić wojskowy wóz przodem, a samemu skręcić w boczną drogę, wyskoczyć z ciężarówki i zbiec... Może

spowodować wypadek: rozpedzić ciężarówkę i rąbnąć w tył wojskowego samochodu? Może... Czuł, że wzrasta w nim napięcie, a gdy zatrzymali się przy rampie, ogarnęła go zupełna bezradność. "Niech się dzieje, co chce" - pomyślał.

Dwaj żołnierze wyskoczyli z samochodu i nagle zjawili się w smugach nie wygaszonych świateł. Podoficer krzyknął do nich głośno:

- Chłopcy, wyładować graty pod dach! Stuknęli obcasami, znikli za ciężarówką.

Wkrótce Miko usłyszał, że opuszczają klapę. Z rezygnacją sięgnął po papierosy.

- Zapalicie? - podsunął paczkę podoficerowi.

Ten długo wyłuskiwał papierosa z pudełka. Miko szukał zapalek. Wolną ręką oklepywał kieszenie i nagle w górnej kieszeni kurtki obok pudełka zapalek wyczuł rulonik dolarów. W jednej chwili powziął decyzję.

Zapaloną zapalną podał podoficerowi. Ten, jakby się chciał usprawiedliwić, powiedział już łagodniej :

- Nie martwcie się. Za dwa dni będziecie mieli wóz z powrotem. A za benzynę to wam zwrócimy.

Miko przymrużył oczy i zapytał z naciskiem:

- Może jednak dałoby się jakoś inaczej załatwić?

Tamten wzruszył ramionami.

- Człowieku, wiecie jak teraz... U nas jeszcze stan wojenny, nawet mrugnąć nie można.

- Odstawię tylko rzeczy do Ruzomberoku, a rano wrócę.

- Nie da rady... Wóz jest potrzebny od zaraz. Miko wyciągnął dyskretnie rulonik banknotów.

Ujął go w palce i podsunął pod oczy wachmistrza.

- A może jednak zrobilibyście to dla mnie... W tej samej chwili usłyszał łoskot spadającej z platformy blaszanej wanny. Zrozumiał, że żołnierze zaczęli wyrzucać rzeczy.

Na widok banknotów podoficer cofnął się gwałtownie, lecz w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania. Miko zauważył to chytre i łapczywe spojrzenie. Bliżej podsunął banknoty.

- No wiecie, jak to jest - powiedział pojednawczo. - Ludzie ludźmi, a żyć trzeba.

- Dolary? - zapytał tamten mile zdziwiony.

Miko skinął tylko głową. Podoficer sięgnął szybko po pieniądze, wyrwał zwitek z palców kierowcy i schował do kieszeni. Na jego ustach zagrał uśmiech zażenowania.

- Trzeba żyć - powtórzył cicho - a życie teraz coraz cięższe. - Nagle pchnął drzwi, wyskoczył z szoferki. Po chwili rozległ się jego tubalny głos: - Hej, chłopcy, pakować te graty z powrotem! Za słaby ten wóz i za mały.

11

Od Trzech Studniczek droga wiodła stromo przez las. Deszcz przestał już padać, lecz drzewa stały jeszcze po czuby we mgle, a na polanach dymiło białym oparem. Było w lesie bardzo kielzno i mokro, bo ze smreków ciurczyła ciągle woda.

- Po wierchach przykurzyło - powiedział Bukowy, gdy się zatrzymali.

Wichniewicz z ulgą zrzucił z ramion plecak. Usiadł na powalonym pniu, z kieszeni plecaka wyciągnął termos.

- Mamy jeszcze trochę kawy...

- A jak twoja noga?

- Kiepsko. Czuję, że zaczyna mi puchnąć. - Nalał do kubka kawy. Podał Bukowemu. Nagle uśmiechnął się do swoich myśli. - To wszystko głupstwo - powiedział kręcąc głową - bo gdyby nie Miko, to siedzielibyśmy teraz na posterunku żandarmerii gdzieś w Nowej Wsi albo w Popradzie.

- Tak - Bukowy przełknął łyk kawy. - Ten Miko to naprawdę pierwszorzędny chłop. Słyszałeś, co mi powiedział, jak mu chciałem dać za te dolary zegarek? "To nieważne. Nie wiedziałem, że życie zależy czasem od kilku zielonych papierków". Cholernie honorowy. Nie chciał przyjąć. Mówił, że on tak samo ryzykował jak my.

- Co tu dużo gadać - wtrącił Wichniewicz. - Klasa. Dał mi adres i powiedział, że możemy na niego liczyć. A taki facet to przecież skarb.

- No tak - potwierdził w zamyśleniu Bukowy. - Takie przeżycia zbliżają ludzi i wiążą ich z sobą. Czasem na zawsze...

Wichniewicz sięgnął po kubek, a gdy oparł się na bolącej nodze, syknął i skrzywił się żałośnie.

- Pokaż mi nogę - rzucił twardo Bukowy.

- Eee... głupstwo, jak idę, to mnie nie boli. I w ogóle, kto by się przejmował...

- Nie zwracaj głowy - przerwał Jędrak. - Czasem od takiego głupstwa wszystko zależy. - Nie pytając o pozwolenie, jął rozsnurowywać but. - Mówiłem ci, żebyś kupił w Peszcie grube wełniane skarpety, a ty jak panienka w fildekosowych... - Ściągnął mu but z nogi razem ze skarpetką. Przyjrzał się pięcie. Była zdarta do krwi, a pod skórą tworzył się ropny naciek. Jędrak pokręcił z przyganą głową: - Aleś się, bracie, urządził. Nie mamy przy sobie opatrunku. Jeszcze jedna nauczka, że w drogę inaczej trzeba się przygotować. - Tyle mieliśmy czasu...

- To pierwszy raz. Później będziemy mądrzejsi - zażartował Wichniewicz.

Jędrak szperał chwilę w swoim plecaku. Znalazł czystą chusteczkę, złożył ją po przekątnej, zrobił prowizoryczny opatrunek. Potem oddał Antkowi swoje wełniane skarpety.

- Nie wygłupiaj się - sprzeciwił się Wichniewicz. - Chcesz, żebyśmy obaj mieli obtarte nogi?

- Moje nogi góralskie - zażartował - a twoje ceperskie. Ja pół życia boso przechodziłem.

Po krótkim odpoczynku ruszyli w dalszą drogę. Wnet porzucili szlak turystyczny prowadzący do Koprowej wąską, ledwo zaznaczoną ścieżyną zaczęli piąć się pod strome zbocze, upłazami omijać uczęszczaną przez ludzi dolinę. Szli teraz między gęstymi polami kosodrzewiny, po piargach i trawiastych płasniach. Mgła z wolna rzedła, rozchodziła się, ostry wiatr zmiatał ją z upłazów. Przez chmury przebijało słońce, jasnymi domami znaczyło skaliste zbocza. Zrobiło się weselej.

Bukowy rozglądał się. Czuł, że krew zaczyna w nim żywiej krążyć, a krok staje się lżejszy i oddech swobodniejszy. Nareszcie znalazł się w swoim żywiole. Na twarzy czuł ożywczy powiew wiatru, w nozdrzach zapach żywicy, górskich ziół i świeżego śniegu, a gdy ostrym zakosem wspięli się pod Szaradny Żleb, mgły nagle ustąpiły, wyłoniły się osypane pierwszym śniegiem szczyty.

Jędrak zatrzymał się. Zobaczył przed sobą spiętrzone urwiska Krywania i jego szczyt wylaniający się z mgieł jak fasada odlanej z miedzi wieżycy. Stał wpatrzony w grę cieni i światła na oblepionych śniegiem urwiskach i ścianach, w strzępy mgieł leżących jeszcze po głębokich żlebach, w płat nieba fiołkowy od słońca. Był tak zapatrzony, że nie spostrzegł, kiedy Wichniewicz dołączył do niego. Dopiero gdy Antek trącił go, powiedział cicho, nie odrywając wzroku od szczytu:

- Widzisz... Krywań to przewodnik i kamrat zbójników. A perć, którą idziemy, to zbójnicka droga. Tędy chodzili nasi na Liptów, na zamki węgierskich grafów. A Krywań zawsze im przewodził. - I zanucił cicho, lecz dobitnie:

Popod Krywań, bez źleby, pod Banie

Idę na zbój, nie smuć się, kochanie...

Pod wieczór doszli do Czeskiej Tomanowej. Wichniewicz włókł się coraz wolniej, a noga coraz bardziej mu dokuczała. Bukowy musiał co chwila przystawać, czekać na niego. Niecierpliwił się bardzo, lecz starał się tego nie okazywać. Wiedział, że Antek nie może iść szybciej. Sani był też porządnie zmachany. Za Zaworami, chcąc ulżyć towarzyszowi, wziął jego plecak, i teraz, nadmiernie obciążony, z trudem pokonywał strome podejścia pod Tomanową Przełęcz. Gdy wreszcie z nadludzkim wysiłkiem dowlekli się do przełęczy, Wichniewicz runął na trawę i długo leżał bez ruchu.

- Jestem cholernie wypruty - powiedział zgaszonym głosem.

Bukowy starał się go pocieszać.

- Ja też... ale damy sobie radę. Hala już niedaleko, a w szałasie nocleg jak w hotelu - zażartował.

Wichniewicz uniósł się na łokciach.

- Cholernie mi przykro, że masz ze mną tyle kłopotu.

- To głupstwo. Najważniejsze, że już jesteśmy u siebie. To już Polska...

- Boli mnie noga.. Nie wiem, czy dojdę do szałasów.

- Jak nie dasz rady, to prześpimy w kosówce. Antek zacisnął z bólu zęby, podniósł się z wielkim wysiłkiem. Sycząc, zaczął wolno kuśtykać. Ruszyli w stronę hali. W dole widniały już szałas - puste o tej porze roku i jakby opuszczone, rzucały długie cienie na pożółkłe trawy. Bokami w żlebach czerwieniał pysznie jafer, w kosodrzewinie złociły się skorusy, a niżej stał w granatowych cieniach las. Lekkie, seledynowe mgły wisiały nad czubami wysokich świerków.

Dowlekli się wreszcie do szałasów. Wichniewicz opadł bezwładnie na ziemię. Oparł się plecami o ścianę. Przymknął oczy.

- Jędrak... - powiedział z wysiłkiem - dalej już nie dam rady...

- To nic. Przenocujemy, a jutro...

- Nie - przerwał mu Wichniewicz. - Mam lepszy pomysł. Ja tu zostanę z plecakami, a ty...

- Nie ma mowy - zaprotestował Bukowy.

- Posłuchaj mnie... Tak będzie lepiej, bo nie wiem, czy jutro potrafię zejść.

- Jutro - podjął ożywiony tą myślą Bukowy - jutro przyjdę z kimś po ciebie albo przyjadę

wozem.

- Tak będzie lepiej... Mówię ci, że lepiej. - Antek opadł znowu na ścianę, przymknął oczy i dodał w zamyśleniu: - Idź już, Jędreku, bo późno się robi.

12

Zbliżał się do rozstajów pod Ornakiem. Mroczno już było w dolinach, a od północy szedł chłodny powiew wiatru. Przyprószone świeżym śniegiem wierchy jarzyły się nad lasem na tle czystego jak szkło nieba. Szedł coraz szybciej i coraz większa radość go ogarniała, gdy pomyślał, że za dwie godziny może być w domu. Wtem z dołu, spoza zakrętu drogi usłyszał skrzypienie kół i turkot obręczy na kamieniach, a potem parsknięcie konia. Zatrzymał się gwałtownie. Chwilę nasłuchiwał. Odgadł, że od Pysznej jedzie wóz. Chciał go przepuścić, ale wnet pomyślał, że całą drogę będzie musiał wlec się za wozem. Zaryzykował...

Ruszył wolno, a kiedy minął zakręt, na drodze zobaczył konia ciągnącego wóz załadowany szafasowym sprzętem: cebrzykami, wiadrami, formami do wyciskania oscypków. Na wozie siedział stary góral, a młody wyrostek lat około czternastu, trzymając się osłony hamował kulikiem koła. Zobaczył czarny góralski kapelusz, wytarty serdak, bukowe portki z postrzępionymi ozdobami, a widok wydawał mu się tak swojski, tak bliski, że nie namyślając się wiele, ruszył biegiem i zawołał z daleka:

- Hej, stryku, może byście mnie przewieźli? Stary zwrócił gwałtownie głowę w jego stronę.

Chłopiec dał jakiś znak ręką. Bukowy nie zrozumiał ich. Zwolnił, lecz wciąż jeszcze zmierzał ku toczącemu się wozowi. Chłopiec znieruchomiał, jakby oczekiwał czegoś groźnego. I wtedy właśnie Bukowy usłyszał okrzyk:

- Halt!

Był tak zaskoczony, że siłą rozpędu przebiegł jeszcze kilka kroków i dopiero wtedy zobaczył wychodzącego zza drzew Niemca. Pociemniało mu w oczach, a postać niemieckiego grenzschutzta rozplynęła się na chwilę. Ale to był ułamek sekundy. Potem nagle wszystko stało się przeraźliwie wyraźne. Jędreku zerwał się do ucieczki. Z boku zobaczył drugi stalowy mundur. Skręcił więc z drogi i, jak nurek do wody, skoczył w zieloną gęstwę smreczyny. Wtedy poczuł potężne uderzenie w ramię, jakby go ktoś ugodził ostrym kamieniem i jednocześnie tuż za nim zagrał automatyczny pistolet. Potknął się, a gdy chciał się zerwać, w ramieniu poczuł kłujący ból. Podparł się zdrową ręką i znowu ruszył przed siebie. Za sobą usłyszał okrzyki Niemców, a potem druga seria posypała się w smreczynę. Minęła go jednak, widział tylko jak ścięte pociskami gałązki opadają w gęstwinę. Z ogromnym trudem przeciskał się przez zasieki poplątanych gałęzi, kiście smreczyny ostre jak szpilki

chłostały go po twarzy, sęczkowaty chrust zdierał mu skórę do krwi, ręka piekła coraz boleśniej. A za sobą słyszał łomot ciężkich butów i trzask łamanych gałęzi. Ścigali go.

Nareszcie wyplątał się z gąszczu. Przed sobą zobaczył stromy piarzysty brzeg, a w dole spieniony potok. Skoczył. Usłyszał grzechot zsuwającego się piargu, zwinęło go i razem z sunącymi kamieniami stoczył się do potoku. Bystra woda porwała go, poniosła poprzez śliskie głazy. Zachłysnął się. Zdawało mu się, że tonie, lecz wnet wypłynął na płyciznę.

Z jednej strony wznosił się wysoki brzeg, z drugiej - widział szary, osuszony słońcem kamień. Nie było gdzie się ukryć. Bukowy dźwignął się na klęczki. Daleko, bardzo daleko zobaczył świerk. Zdawało mu się, że tam powinien szukać schronienia, lecz gdy chciał wstać, spostrzegł, że wokół niego woda barwi się krwią. I wtedy ogarnęła go wielka słabość. Nie miał sił dowieść się do smreka. Dopiero grzechot i plusk spadających z brzegu kamieni poderwał go znowu do ucieczki. Wstał. Na chwiejących się nogach biegł po płyciznie ku zwisom gałęzi. Było już za późno. Niemiec zobaczył go z wysokiego brzegu.

- Halt! Halt! - zawołał napiętym do ostateczności głosem, & gdy Bukowy nie zatrzymał się, posłał w jego stronę serię z automatu. Pociski pruły łagodny nurt wody i rykoszetami odbijały się od kamieni. Bukowy upadł na twarz, leżał chwilę nieruchomo, a gdy się podniósł na klęczki, Niemiec stał już nad nim.

- Wstawaj! Podnieś się! - wrzeszczał. Bukowy patrzył na niego pełnymi bezradności oczyma. Tamten uderzył go kolbą. Jędrak chciał wstać, lecz zachwiał się i znowu upadł twarzą do wody. Wtedy Niemiec złapał go za ramię i dowlóknął do brzegu.

- Wstawaj! - rozkazał już spokojniej. Bukowy z wielkim trudem dźwignął się na klęczki. Ranne ramię zapiekło boleśnie. Niemiec zobaczył krew ściekającą razem z wodą po jego dłoni. Pomógł mu wyprostować się, ujął pod ramię i poprowadził do drogi.

Na drodze zobaczyli wóz. Młody góral wciąż podtrzymywał kulik do hamowania wozu. Stary zsunął się z osłony i czujnie śledził każdy ruch Niemca.

Na wysokim brzegu odezwał się czyjś głos. Jak przez mgłę Bukowy zobaczył drugiego grenzschutzę wołającego coś do swego towarzysza. Ten dał mu znak ręką, by dołączył do nich. Potem krzyknął na górala, żeby zrobił dla niego miejsce na wozie. Stary bez pośpiechu zaczął przesuwać leżące na wozie przedmioty. Kiedy otarł się o stojącego obok Bukowego, spojrzał na niego dziwnie, jakby chciał mu dać smak ostrzegawczy.

Niemiec powiesił automat na szyi. Drżącymi ze zdenerwowania dłońmi zapalał papierosa. Pierwsza zapalka zgasła. Rzucił ją ze złością. Wyłuskiwał z pudełka drugą. Wtedy stało się coś nieoczekiwane. Góral podszedł do chłopca, wyrwał spod koła kulik i błyskawicznym ciosem uderzył Niemca w tył głowy. Ten rozpostarł szeroko ręce, jakby chciał szukać oparcia, potem zachwiał się i z łomotem upadł na plecy.

I nagle wszystko stało się przyspieszonym ruchem. Chłopiec bez słowa złapał lejce, stary chwycił Bukowego wpół i jednym zrywem posadził go na wozie, sam złapał się osłony i już w biegu

skoczył na wóz, a młody góral podciął konia biczem. Koń pomknął jak spłoszony. Zaturkotały koła na kamienistej drodze, zatrzeszczały osłony i dyszel, a koń poszedł w galop. Stary obejrzał się za siebie. Zobaczył leżącego na drodze Niemca, drugiego jeszcze nie było. "Zanim dojdzie, zanim zmiarkuje, co się stało..." - pomyślał z otuchą, a potem napiętym głosem krzyknął na chłopca:

- Warcyj, Jasiu! Warcyj!

Chłopiec uniósł się i jeszcze mocniej smagnął konia. Droga wiodła w dół. Rozpędzony wóz zaczął w pędzle bujać się od skraju do skraju, a chłopiec zachwiał się. Zdawało się, że wyleci za osłony, lecz w ostatniej chwili przykucnął i opadł ciężko na worek z owsem. A koń rwał z wszystkich sił, bijąc tylnymi kopytami o orczyk.

W tym szaleńczym pędzie dojechali do miejsca, gdzie boczna droga skręcała w stronę Miętusiej.

- W Miętusią, Jasiu, w Miętusią! - zawołał stary.

Chłopiec powstrzymywał rozpędzonego konia. Skręcili gwałtownie między wysokie pnie smreków. Zrzuciło wozem. Koło mocniej uderzyło o przydrożny kamień i trzasnęło. Wóz zachwiał się, osiadł na osi. Koń włókł go jeszcze chwilę, lecz wnet stanął w miejscu. Góral zaklął, zeskoczył z wozu i nie namyślając się, rzucił zdławionym głosem.

- Wyprzęgaj, Jasiu, ale piorunem!

Obejrzał się bojaźliwie za siebie, lecz droga była pusta.

13

Gwiazdy gęsto osypały przepastne niebo, a chudy księżyc zawisł nad Kominiarskim Wierchem. Do Słodyczek, osady góralskiej położonej za

Gubałówką, zbliżała się dziwna grupa. Młody chłopiec prowadził konia. Na koniu, przewieszony przez grzbiet, leżał nieruchomo człowiek, a obok kroczył stary góral w zsuniętym na tył głowy kapeluszu i bacznie uważał, żeby tamten nie spadł z końskiego grzbietu.

Polany stały w siwym szronie, z daleka wyglądały jak jeziora pokryte cienką warstwą lodu. Ludzie i koń byli bardzo zmęczeni; leżący na grzbiecie konia człowiek zwisał bezwładnie. Czasem tylko jęknął boleśnie, czasem zacharczał. Wtedy góral podchodził bliżej, ujmował zwisającą dłoń i mówił łagodnie:

Cicho, chłopce, cicho... Już niedaleko... Już...

Zza lasu wyłonił się spadzisty dach, cały w szronie i w blasku księżyca. I pies zaszczezał wesoło, jakby przeczuł zbliżanie się swoich. Stary chlasnął dłonią w zad konia.

- Wiooo, kaśtan! Wiooo!

Koń ruszył raźniej. Zaiskrzyło się spod jego kopyt, a chłopiec puścił się truchtem. Minęli kępę starych, nagich już drzew i wjechali w opłotki. Z domu wyszła kobieta. Stała w bijącym od otwartych drzwi świetle i zawołała wystraszona:

- To ty, Bartuś?

- No wej - rzucił pośpiesznie chłopiec.

- A ka wóz?

Stary wyłonił się zza konia.

- Maryś - powiedział cicho - o nic nie pytoj, ino idź do Symonów, bier konia i jedź wartko po dochtora!

Kobieta dopiero teraz ujrzała człowieka leżącego na grzbiecie konia.

- Jezusie, Maryjo... a kto to?

- O nic nie pytoj - ofuknął ją stary. - Kie bedzies marudzić, to nam kipnie.

Stary zbliżył się do konia. Złapał Bukowego za nogi i ostrożnie zsunął go z grzbietu na swe ramiona. Niósł go do szopy z sianem. Tani go położył. Bukowy otworzył ciężkie powieki.

- Gdzie ja jestem? - zapytał słabym głosem.

- Nic sie nie bój, chłopce... Nic ci sie złego nie stanie.

Bukowy złapał go mocno za rękę.

- Słuchajcie... w Tomanowej jest mój kolega... Ranny... Musicie jechać po niego.

- Gdzie w Tomanowej ?

- W szałasie... Musicie jutro go sprowadzić. Stary uniósł rękę, jakby go chciał uspokoić.

- W Tomanowej... Dobrze, chłopce... Jak trza, to jutro po niego pójdziemy. - Przyjrzał się uważniej Bukowemu i nagle zapytał: - A cyjeś ty?

- Jo? - odparł z trudem Jędrak. - Jo Bukowy z Zakopanego.

- No, wej - zamruczał stary - od razu tak myślołek... - Zdjął z siebie serdak, nakrył nim Jędrka.
- A teraz o nic sie nie martw. Będzie dochtor i syćko w porządku.

Był luty 1940 roku.

Jędrzek Bukowy wrócił do domu z Dzianisza, gdzie od października ukrywał się u ciotki Honorki. Teraz stał przy zaćmionym szronem oknie i bezmyślnie patrzył na rosnące przed domem jesiony. Splecione szarymi węzłami nagich konarów zdawały się podierać chłodne, zimowe niebo. Prószył drobny śnieg; połyskliwymi płatkami osiadł na szybie. Wszystko tonęło w bieli.

W szaromglistym krajobrazie zjawiała się nagle ciemna sylwetka. Ktoś szedł między opłotkami brodząc po kolana w śniegu. Po chwili Bukowy poznał Twardoszową, właścicielkę niewielkiego pensjonatu na ulicy Chałubińskiego. W narciarskich spodniach, kapturze, górskim kożuchu, z głową szczelnie opatuloną chustką, przebijała się z trudem przez nawiane zasy. Dotarła wreszcie do jesionów i wnet ruszyła szybciej wydeptaną ścieżką. Wkrótce zniknęła za węglem domu. Na dole zaskrzypiały drzwi. Dał się słyszeć śpiewny głos matki i za chwilę ciężkie kroki zadudniły na prowadzących na poddasze schodach. Bukowy otworzył drzwi.

- Panie Jędrku - przywitała go radośnie Twardoszową - już kilka razy byłam u pana. Chciałam się koniecznie z panem zobaczyć.

- Proszę, niech pani wejdzie - zaprosił ją ruchem ręki. - Mnie długo nie było w domu.

- A tak... mówiła mi mama, tylko nie chciała powiedzieć, gdzie pan się ukrywa.

Twardoszową weszła do pokoju. Była to mała izba, którą jeszcze przed wrześniem Bukowy przygotował dla siebie. Drewniane, skośne ściany, kilim na podłodze, tapczan zarzucony wełniakiem, kilka zdjęć gór - wszystko to tworzyło miłą i przytulną atmosferę. Twardoszową wykutała się z chustki i kożucha i bacznie przyglądając się Jędrkowi, powiedziała:

- Jakie to szczęście, że wreszcie pana zastałam. Mam dla pana bardzo ważne wiadomości.

- Od kogo? - zdziwił się Bukowy.

- Od przyjaciół. No, co pan tak na mnie patrzy? Antek Wichniewicz kazał się panu kłaniać.

- Antek! - ucieszył się Bukowy. - A gdzie on teraz jest?

- W Budapeszcie, panie Jędrku. Ale mam z nim stały kontakt.

- To znaczy... ktoś przychodzi! z Budapesztu.

- Nie ktoś, tylko kilku wspianiałych chłopców, których pan oczywiście dobrze zna. Ostatnio był Władek Mrowca.

- Mrowca? - zawołał zdumiony. - Przecież on był w obozie w Komarom.

- Był, ale już dawno zwiął i teraz śmieje się z pana. Opowiada, jak pan uciekał z transportu i jak pana złapali węgierscy żandarmi.

- To nieprawda! - zaprotestował wesoło. - Władek zawsze lubi bujać. A gdzie on teraz?

Twardoszowa usiadła na tapczanie.

- Niech pan się nie niecierpliwi. Zaraz panu po kolei opowiem. Po pierwsze, Antek Wichniewicz załatwił wszystko, co miał wtedy załatwić, i szczęśliwie wrócił do Budapesztu z Jaśkiem Lasakiem...

- A co z tym karabinem przeciwpancernym?

- O, właśnie... niech pan mi nie przerywa. Poszedł z karabinem. A nogę tu wyleczył. Żałował tylko, że nie może wracać z panem. - W tym miejscu ściszyła nieco głos i dodała poważnie: - Poleciał mi powiedzieć, że czeka na pana. Chce koniecznie mieć pana w Budapeszcie.

- To nie taka prosta sprawa - uśmiechnął się nikłe Bukowy. - Jeszcze trochę boli mnie ręka. Muszę się podleczyć.

- Wygląda pan znakomicie, a ręka... Pan przecież z żelaza.

- Żelazo też się czasem kruszy - zażartował.

- No, no... Niech pan nie będzie taki skromny. Niech pan lepiej powie, kiedy pan wyrusza do Budapesztu?

- Nie tak szybko - odparł stanowczo. Twardoszowa posmutniała.

- Myślałam, że mi pan pomoże - powiedziała zatroskana.

- A co się stało?

- Muszę pana wtajemniczyć w pewne sprawy.

Mogę przecież panu zaufać. Zresztą inżynier Wichniewicz upoważnił mnie do tego. - Spojrzała baczniej na Bukowego i ściszyła nieco głos. - U mnie w "Bałamutce" jest punkt dla ludzi, którzy uciekają na Węgry.

Bukowy tarł z roztargnieniem policzek.

- Domyślałem się...

- A w tej chwili mam na karku kilku młodych lotników. Jutro zjawią się następni. Nie chciałabym, żeby za dużo obcych ludzi kręciło się jednocześnie. Pan rozumie, to się rzuca w oczy - mówiła szarpiąc nerwowo frędzle góralskiej chustki.

- Rozumiem... - powiedział Jędrak w zamyśleniu.

- Myślałam, że pan mi pomoże. Niech pan sobie wyobrazi, co za pech! Od tygodnia czekam na Mrówce. Nie wiem, co się stało... Do tej pory nie zjawił się, a chodził jak zegarek. Już trzy grupy przeprowadził na Węgry. - Naraz podniosła się, wstała i ujęła Jędrka za ramię. - Panie Jędrku, niechże mi pan pomoże!

- Chętnie - odrzekł spokojnie - ale proszę mi wierzyć, ręki jeszcze nie wyleczyłem i nie czuję się na siłach.

Kobieta opuściła bezradnie ręce.

- Co ja teraz zrobię?... - Może mi pan coś poradzi, może pan zna kogoś pewnego ?

- Kogoś pewnego... - zastanawiał się. - Z nikim się nie spotykam. Pani rozumie... Tyle czasu nie było mnie tutaj. Właściwie nie wychodzę z domu, nawet nie wiem, co się tutaj dzieje.

- No tak - wyszeptała tonem rezygnacji. - Będę musiała sama kogoś znaleźć. - Potem, zarzucając na mamiona kozuch, dodała już weselej: - A pan niech szybko dochodzi do zdrowia. Będzie pan nam bardzo potrzebny.

Bukowy podał jej chustkę.

- Postaram się. I bardzo mi przykro, ale jestem jeszcze za słaby. A pani wie, jakie teraz warunki. Takiej ostrej zimy dawno już nie było.

15

W tym samym dniu inżynier Zdaniecki z synem Marcinem jechali saniami z Poronina do Zakopanego. Do Poronina dojechali warszawskim pociągiem. Nie chcieli wysiadać w Zakopanem, gdyż podróżni ostrzegali ich, że na zakopiańskim dworcu Niemcy coraz częściej wyłapują zamiejscowych przybyszów. Sanie mknęły szybko po wyslizganej płozami drodze, z konia kurzyła gęsta para, a z drzew osypywał się mroźny pył śnieżny. Początkowo jechali w zupełnym milczeniu. Pierwszy odezwał się wąsaty gazda.

- Panowie to chyba nie turyści - zagadnął nagle i uśmiechnął się porozumiewawczo.

Inżynier ruchem głowy pokazał plecak.

- Jak to nie turyści? - powiedział wesoło. - Widzicie przecież plecaki.

- Teraz na turystykę nie pora. Widzi mi się, co panowie bez zieloną granicę... - przymrużył niemal filuternie oczy. - Ale mi o tym nie musicie gadać.

Inżynier uśmiechnął się, lecz nie podjął tematu. Gazda, zniechęcony milczeniem, zeskoczył z sanek i dla rozgrzewki biegł chwilę, wywijając batem.

- Wio, Baśka! Wio, starał - pokrzykiwał głośno, potem zręcznie wspiął się na sanie.

Chwilę znowu jechali w milczeniu, lecz widać było, że góral ma ochotę na pogawędkę, bo wiercił się niespokojnie, aż wreszcie znowu przemówił:

- Bez granicę teraz nie tak łatwo. Śniegi wielkie, panie... a dziś nocą było trzydzieści dwa stopnie mrozu...

- Na dwoje babka wróżyła - rzucił wesoło inżynier Zdaniecki. - Jak wielki śnieg i mróz, to mniej granicy pilnują.

- No, wej - mruknął bez przekonania góral. - Ale już niejeden w górach ostał. Opowiadał mi jeden kolejarz z Nowego Targu, co pod Niedzicą dwóch ludzi w zaspach naśli... Na kość byli zmarznięci. Jakisi pon z panią.

- Ja też o tym słyszałem - włączył się do rozmowy Marcin. - Opowiadali w pociągu, że na Słowacji sporo Polaków w szpitalach z odmrożonymi nogami.

- No, wej - potwierdził żywo gazda. - Dyc w taką zimę bez góry iść to nie śpas. No, ale co robić... Lepiej nogi odmrozić, niż coby cię tu łapili i na gestapo zawiedli.

- Są aresztowania? - zapytał inżynier.

- Ej, panie - powiedział cierpko gazda. - W listopadzie dwunastu z Palace wywieźli... Do Chochołowskiej, panie, i tam rozstrzelali. Znaliście, panie, Władka Zycha?

- Tego olimpijczyka, biegacza? - wyrwał się Marcin.

- No, dyc... Jego tyz rozstrzelali. Z Niemcami, panie, to nie śpas. - Zeskoczył znowu z sanek, podciął konia batem.

Potem powtórzył, kręcąc głową:

- Mówię wam, panowie, z nimi ni ma śpasu. Wiooo! - pognał konia, a sanie gładko pomknęły po wyslizganej drodze.

Po południu byli w Zakopanem. Inżynier z daleka zobaczył trzy wyniosłe jasionie. Na tle

mroźnego nieba wyglądały jak nowoczesna rzeźba. Dobrze znał te drzewa, zawsze wzbudzały w nim podziw - wiosną w delikatnej koronce świeżego Ustawia, latem w pióropuszu zielonych koron i zimą - nagie, lecz krzepkie, smukłe.

Zdanieccy od dawna przyjeżdżali do Bukowych; ich przyjaźń z góralami, z góralskim światem łączyła się z tą starą zagrodą pod trzema jasionami. Teraz, kiedy zbliżali się do domu, poczuli się bezpieczniejsi. Za szopą zaszczekał pies, zabrzączał łańcuch, a od domu powiało dobrze znanym zapachem - sieczki, schnącego pod dachem drzewa i dymu.

- Cicho, Buśtyn! Cicho - uspokoił inżynier kudłatego owczarka, któremu spoza zwałów śniegu wystawał tylko czarny nos.

Na progu zjawiała się nagle stara Bukowa. Ze zdumienia uniosła ręce.

- Pan inżynier! Marcin! - A skądżeście się wzieni?

- Widzicie, gaździno - tłumaczył się inżynier - nie mieliśmy nawet czasu napisać.

- Pójdźcie wartko do izby, bo straszny ziąb bierze - zapraszała ich uradowana.

W sieni zjawił się Jędrak, na widok inżyniera rozwarł szeroko ramiona.

- A to niespodzianka! - Uścisnęli się mocno, serdecznie. Z ich spojrzeń, uśmiechów widać było, że są ze sobą zżyci i ogromnie do siebie przywiązani. Inżyniera ogarnęło nagle wzruszenie. W stojącym przed nim rosnym, dorodnym młodym mężczyźnie ujrzał małego góralika, który kiedyś prowadził go na pierwsze wycieczki, a potem jako młodzieniec uczył go wspinaczki. Przycisnął go jeszcze mocniej do siebie.

- Jędrus - powiedział zdławionym głosem.

- Teraz już jestem spokojny.

Potem, kiedy po pierwszej gorączkowej wymianie wiadomości znaleźli się w izbie, a Bukowa podała im w dzbanku dymiące mleko, inżynier spojrzał poważnie na Jędrka.

- Mówię ci, Jędrus, nie można było już dłużej wytrzymać. Po wrześniu zaszyłem się u siostry w Milanówku, ale i tam nie czułem się pewny. Wylapywali wszystkich inżynierów i techników z Okęcia, a mnie szukali w całej Warszawie. Nie mogliśmy dłużej czekać.

- Za ojcem rozesłali listy gończe - dodał Marcin.

Był to dwudziestoletni młodzieniec o pięknej kasztanowej czuprynie, zielonych bystrych oczach i sylwetce rasowego sportowca. Miał ujmujący uśmiech i od pierwszej chwili wzbudzał sympatię.

- Rozumiesz - dodał po chwili. - Dowiedzieli się, że ojciec pracował nad konstrukcją nowego myśliwca.

- Mieli znakomite informacje - wyjaśnił inżynier. - Ktoś musiał sypać. Więc rozumiesz, chłopie, że lepiej było wiać...

- A co chcecie robić? - zapytał Jędrrek.

- Jak to, co? - zdziwił się Marcin. - Idziemy na Węgry.

- A najchętniej poszlibyśmy z tobą - dodał inżynier.

- Panie inżynierze - wtrąciła nagle Bukowa. - Z Jędrkiem płono... Nie wicie, co się z nim działo... - Spojrzała wyczekująco na syna.

Ten krótko wyjaśnił sytuację.

- Chętnie bym z wami poszedł - dokończył - ale sami rozumiecie...

Inżynier zasepił się.

- No to... zmartwiłeś nas, chłopie. Byliśmy pewni, że... - urwał nagle i uśmiechnął się do Jędrka. - Przykro nam, ale jakoś sami damy sobie radę.

Bukowy popatrzył zaniepokojony.

- Możecie przecież poczekać...

- O, nie - zaprotestował żywo inżynier. - Nie będziemy narażać ani was, ani siebie. A zresztą na mnie czekają w Budapeszcie...

- Bo ojciec ci nie wspomniał - wyjaśnił Marcin - że wszystkie rysunki techniczne nowego samolotu są już w Budapeszcie. Zabrał je specjalny kurier. Teraz czekają na ojca.

- To co innego - zamyślił się Bukowy. Po chwili powiedział niemal wesoło: - Tak szczerze mówiąc, jestem o was spokojny. Pan inżynier zna góry jak własną kieszeń, a ty... - zwrócił się do Marcina - z ciebie świetny taternik.

- No jasne - podjął inżynier i jego siwe oczy nabrały nagle blasku. - Pamiętasz, Jędrrek, jakżeśmy w listopadzie robili grań Żabiego Konia? Gorszych warunków nie należy się spodziewać.

Jędrrek uśmiechnął się do własnych myśli. Oczyma wyobraźni zobaczył gładką ścianę oblepioną śniegiem i lodem, a na niej nikła postać inżyniera. Wyszli wtedy z Morskiego Oka w słoneczny poranek, a potem na grani złapała ich straszliwa kurniawa. W ciągu pół godziny ściana, którą forsowali, stała się płytą z lodu i śniegu. I w samym środku pod niewielką przewieszką wypadł mu ze skostniałej ręki młotek do wbijania haków. Od tej chwili prowadził ich tylko z ręczną asekuracją, a jednak pokonali tę ścianę. Tak, inżynier Zdaniecki mimo czterdziestu ośmiu lat był jeszcze w pełnej sprawności fizycznej, a przy tym miał w sobie męski hart i stalową odporność.

- Pamiętam - powiedział. - To była ściana, a wy macie przed sobą tylko przełęcz. Ale - dodał

w zamyśleniu - góry w zimie są zawsze groźne. - Naraz zapytał: - W takim razie, kiedy idziecie?

- Odpocznemy jeden dzień, a jutro, jeśli pogoda pozwoli, na noc ruszymy w góry.

*

Na drugi dzień przygotowywali narty do drogi.

W szopie było ciemno i zimno. Przez zawiane śniegiem okienko widzieli skłon zbocza Pod Reglami. Wiatr niósł przez pustkowie welony sypanego śniegu, a czuby drzew gięły się, sypiąc białą kurniawę. Zdawało się, że zbocza płynię w śnieżnej zamieci. Bukowy wyjrzał przez okno.

- Zdaje mi się, że dzisiaj nie wyjdziecie - zwrócił się do Zdanieckich.

- Może do jutra ucichnie - powiedział inżynier.

Marcin podszedł do okienka, paznokciami zdrapał warstwę gęstego szronu.

- Duże jak jasny gwint. Trzeba koniecznie przeczekać. - W głosie jego można było wyczuć nartę zadowolenia. Miał przed sobą jeszcze jedną noc w cieplej izbie i w wygodnym łóżku.

Bukowy uśmiechnął się do niego porozumiewawczo.

- Nie ma się co śpieszyć. Niedobrze wam u nas?

- Dobrze, dobrze - burknął inżynier. - Tylko czas leci, a na mnie tam czekają. - Odkręcił uchwyt imadła i wyjął z niego nartę. Przyjrzał się bacznie ślizgowi deska, którą przed chwilą cyklinował. - Dobrze będzie, co? - zwrócił się do Bukowego.

Jędrak chwycił deskę i obejrzał doświadczonego okiem.

- Stare "zubki" - powiedział niemal pieszczotliwie. - W trzydziestym szóstym wygrałem na nich bieg zjazdowy w Bańskiej Bystrzycy. Solidna robota. Może pan na nich przejść przez dziesięć granic - zażartował i oddał nartę Zdanieckiemu.

Drzwi zaskrzypiały cicho, a w progu ukazała się opatulona chustą Bukowa.

- Jędrak, co będzie z tym drzewem? - zapytała.

- Przecież stary Zuzaniak miał wozem przywieźć.

- Mioł, ale nie przywiózł. Trzeba będzie iść ku niemu. Już bez tydzień mnie zwodzi i zwodzi.

- Dobrze, mam, zaraz tam pójde.

Zapadał zmierzch.

Bukowy przebrnął przez usypane na połach zaspy. Znalazł się na drodze Pod Regłami. Na twarzy czuł ostre igiełki śniegu, a mroźny wiatr zapierał mu oddech. Nasunął więc kaptur wiatrówki na głowę i mocując się z wiatrem, brnął na oślep. Dopiero w lesie uspokoiło się nieco; śnieg lekko wirował między czubami drzew.

Kiedy zbliżał się do domu Zuzaniaków, poprzez świst wiatru usłyszał góralską muzykę. Poczuł się różnie. Ostatni odcinek drogi przebył biegiem. Pchnął drzwi i znalazł się w zacisznej sieni. Z izby dochodziły cienkie tony skrzypiec, góralskie podśpiewywanie i śmiechy. Naraz ktoś otworzył drzwi do izby, a w świetle i w kłębach pary Bukowy zobaczył ciżbę młodych ludzi. Dziewczęta wciągnęły go do środka, otoczyły rozszczebiotanym wiankiem. Młody Staszek Zuzaniak stanął przed kapelą, zachłysnął się i zaśpiewał z wysokiej nuty:

Owiecki mi zbrykały,
 Dziewcyny mnie kochały,
 A jo rzucił owiecki,
 Ostawił kechanecki,
 Poseł na zbój,
 na Liptów z chłopcami...

Gwizdnął na palcach, przytupnął, potem, jak tokujący cietrzew, jał drobnymi kroczkami zbliżyć się do Anielki Hycówny. Zwyrtnął ją kilka razy w jedną i drugą stronę. Smyki mignęły jak błyski światła, zabuczały basy, a tancerze w coraz szybszym rytmie sunęli przez zatłoczoną izbę.

Bukowy podszedł do starego Zuzaniaka.

- Jo do wos, Wojciechu - powiedział. - Mama mówiła, coście jej obiecali drzewo zwieźć z lasu.

- No dyć... - zaśmiał się góral. Czarne oczy błysnęły mu wesoło. - Com obiecoł, tom obiecoł, ale kto by to w taką kurniawę do lasu po drzewo jeździł.

- Juści - zawtórował mu wesoło Jędrak - ale nam końcy się drzewo. Nie chcecie chyba, coby my zamazli?

Zuzaniak podrapał się za uchem.

- Ba, jakoż bym chcioł? No to, Jędruś, kie jedziemy?

- Mogliby my i jutro.

- Jutro nie do rady. Przyjdź pojutrze z rana, to pojedziemy... A powidz mamie... - nie zdążył dokończyć, bo dziewczęta porwały Jędrka na środek izby. Otoczyły go zwartym kręgiem, chwyciły się za ręce i zadreptały w takt muzyki. Wtedy właśnie ktoś zapukał w okno. Muzyka nagle ucichła, tancerze znieruchomieli. Pierwsza z ławy zerwała się stara Zuzaniakowa.

- Chyba nie Niemcy - powiedziała jakby do siebie i zamieniła z Wojciechem ostrzegawcze spojrzenie. Po chwili była już w sieni. W kłębach bijącej od drzwi pary Bukowy zobaczył w sieni Twardoszową.

- A to pani - przywitała ją z ulgą gaździna - Chodźcie do izby, pani Twardoszowa, bo straszny ziąb. - Chwyciła ją za rękaw i pociągnęła za sobą. Twardoszowa powstrzymała ją stanowczo.

- Nie... przepraszam, ja tylko na chwilę. Nie ma tu u was Romka Buńdy?

- Romka? No dyć jest.

- To niech go pani poprosi. Gaździna spojrzała zdumiona.

- To nie możecie z nim w izbie pogadać?

- Mam ważną sprawę - ucięła zniecierpliwiona. Cała była osypana śniegiem, a jej zsiniała twarz zdradzała zdenerwowanie.

- No, wej... - mruknęła zawiedziona gaździna i, zostawiwszy Twardoszową w sieni, weszła do izby. Chwilę rozbieganymi oczyma szukała Romka Buńdy. Ujrzała go w kącie przy muzykantach. Był to niski, krępy góral o okrągłej, nieco nalanej twarzy i małych bystrych oczach. Zuzaniakowa podeszła do niego. - Romek, pani Twardoszową chce z tobą porozmawiać.

Buńda wzruszył ramionami.

- Twardoszową? A czego ona chce ode mnie? - podniósł się i wolnym krokiem ruszył do drzwi. Muzyka znowu zaczęła grać drobnego.

Twardoszową, zacierając skostniałe dłonie, drepcząc w miejscu, czekała na Buńdę. Ten zjawiał się po chwili.

- Panie Buńda - chwyciła go kurczowo za ramię. - Niech mnie pan ratuje..

Na jego pełnej, rumianej twarzy odbiło się zdumienie.

- A co się stało ?

- Czy pan mógłby przeprowadzić przez granicę pięciu ludzi?

- Pięciu? A co to za jedni?

- Moi znajomi. Chyba pan ma do mnie zaufanie.

- No do pani... Do pani na sto procent. Tylko... pani wie, jak teraz...

- Wiem, wiem - przerwała mu szybko. - Ale niech pan mi wierzy, ci ludzie muszą jutro wyruszyć z Zakopanego.

- Co im się tak śpieszy? - rzucił już weselej.

- Nie wiem - odparła szorstko. - Zresztą to nie nasza sprawa.

- Młodzi?

- Młodzi. Po dwadzieścia kilka lat.

- Jeżdżą na nartach?

- Tak. Nawet dobrze.

Na twarzy Buńdy zjawił się uśmiech.

- No to co się pani martwi! Twardoszową ścisnęła mocniej ramię górala.

- Będę panu niezmiernie wdzięczna. Wyratował mnie pan z okropnej biedy. Dziękuję panu, panie Buńda.

Ten spoważniał nagle, chociaż na jego twarzy błąkał się jeszcze chytry uśmieszek.

- Nie ma za co, pani Twardoszową. Ale wdzięczność nie wystarczy...

Cofnęła się gwałtownie i baczniej przyjrzała się góralowi, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi. Wyczuł to spojrzenie, więc dodał pośpiesznie:

- Pani sama wie, że to wielkie ryzyko i za "Bóg zapłać" nie przeprowadza się ludzi przez granicę.

- Ach, o to panu chodzi - powiedziała oschle. - Rozumiem, ale te sprawy to już pan z nimi sam załatwi. Sądzę, że dojdziecie do porozumienia.

- Jak tak, to w porządku - odetchnął z ulgą, - I niech im pani powie, że polskich pieniędzy nie biorę.

Głos kobiety stał się ostry, prawie nieprzyjazny.

- Już panu mówiłam, że sam się pan z nimi umówi. Niech pan jutro rano przyjdzie do mnie. Im bardzo zależy na czasie.

- A mnie na zapłacie - rzucił z wyzywającą szczerością.

Uśmiechnęła się cierpko, nasunęła chustkę głębiej na czoło.

- Jestem pewna, że się dogadacie - powiedziała z nutką kpiny. - Do jutra, panie Buńda. - Odwróciła się, pchnęła drzwi i zniknęła w wirującej zamieci.

Buńda stał jeszcze chwilę. Myślał o przeprawie. Jesienią przeprowadzał kilka razy ludzi przez granicę, ale wtedy były zupełnie inne warunki. Teraz, kiedy od Bożego Narodzenia chwyciła ostra zima, a mrozy dochodziły do trzydziestu stopni, przejście przez góry nie należało do wycieczek. Naraz ocknął się. Usłyszał skrzypnięcie drzwi, a w progu zobaczył Jędrka Bukowego.

- Co chciała od ciebie pani Twardoszowa? - zapytał Bukowy zaczepnie.

- A co ci do tego? - szarpnął się Buńda.

- Pewno cię prosiła, żebyś ludzi przeprowadził na Słowację?

- Skąd wiesz?

- Domyślam się.

- Toś zgadł, bracie.

- A ty... zgodziłeś się?

Buńda cofnął się, objął stojącego w cieniu Jędrka baczny spojrzeniem.

- A co?...

- Nic - odparł tamten. - Tylko wiesz, jakie teraz warunki. A ludzie to nie kontrabanda...

Buńda cofnął się jeszcze o pół kroku, a w jego oczach pojawiły się złe błyski. Wiedział, do czego pije Bukowy. Znany był bowiem między ludźmi jako zawodowy przemytnik. Chciał zakłąć, lecz opanował się. Zagryzł tylko wargi, a potem powiedział napiętym głosem:

- Jędreku, powiedz lepiej, o co ci chodzi?

- Widzisz, bracie - odparł tamten z lodowatym spokojem - ja dobrze wiem, jak to jest w

górach.

- A ja to może nie wiem?
- Co innego iść samemu, a co innego z ludźmi.
- O mnie bądź spokojny. Dam sobie radę. Bukowy pokiwał znacząco głową.
- Nie bądź taki pewny, Romek. Dobrze się zastanów.

Buńda uśmiechnął się kpiąco.

- Bądź spokojny - powtórzył z naciskiem. - I radzę ci, nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

17

Po nocnej zamieci przyszedł dzień czysty, słoneczny. Rano jeszcze prószył suchy, drobny śnieg, lecz w południe wypogodziło się, a spoza chmur i mgieł wyłoniły się dalekie przedziwnie błękitne szczyty.

Zdanieccy od rana przygotowywali się do wymarszu; sprawdzili sprzęt, uzupełnili zapasy żywności, smarowali narty. Właśnie przy tej czynności zastał ich w szopie Jędrka.

- Zdaje się, że będziecie mogli wyjść - powiedział poważnie.

Inżynier wyjrzał przez okno, za którym widać było stojące w bladym zimowym słońcu Regle.

- Wypogodziło się - stwierdził krótko, jakby w ten sposób chciał potwierdzić słowa Jędrka. Ten podszedł do opartych o ścianę, wysmarowanych "klistrem" nart Marcina.

- Za grubo - stwierdził. - Musisz trochę zeszkrobać, bo będzie ci kleiło. - Nie czekając na Marcina, chwycił nóż i zaczął szybko zdierać zbyt grubą warstwę smaru. Po chwili zwrócił się do inżyniera:

- Którędy chcecie iść?
- Myślę, że przez Pysznińską Przełęcz.
- Nie radzę. Po takiej dujawicy będzie szczyry lód, a tam przecie stromo.
- To co, może przez Tomanową?

- Dużo lepiej. Obmyśliłem już zresztą cały plan. Wieczorem odprowadzę was do Pisanej. Będzie wam raźniej.

- To wspaniale, wspaniale - ucieszył się Marcin.

- A potem pójdziecie już sami. Tylko żebyście się nocą nie pchali na przełęcz. To nic wam nie da. Zmachacie się tylko, a jutro będziecie wypruci. Zresztą wiecie, co znaczy iść nocą na nartach. Najlepiej przenocujcie w szałasach na hali.

- No jasne - potwierdził z zapałem Marcin. - Mamy przecież śpiwory.

- Odpoczniecie, wyśpicie się, a rano zobaczycie, jakie warunki. Gdyby była pogoda, to jednym skokiem bez wysiłku można przejść do Szczyrbskiego albo nawet dalej.

*

O zachodzie słońca wyruszyli z domu. Szli drogą Pod Reglami aż do wylotu Małej Łąki, potem skręcili w dolinę. Ten odcinek drogi był przetarty przez sanie, więc nie nastęczał kłopotu. Mordęga zaczęła się dopiero przy podejściu na Przysłop Miętosi. Droga była stroma, nie skalana ani jednym śladem, a śnieg kopny i syпки. Przypięli więc narty i wspinali się mozolnie w zapadającym mroku.

Bukowy torował drogę. Unosząc wysoko czuby nart, zakładał głęboki ślad. Śnieg osypywał się z potraconych gałęzi, rozbijał się przy każdym kroku. Zdawało się, że utoną w jego mroźnej, rozpylonej masie.

Z wielkim wysiłkiem dobrnęli wreszcie na halę. Minęli zasypane po dach szałas i zaczęli zjeżdżać ku Kościeliskiej. Kiedy wydostali się z lasu, spoza chmur wypląnął księżyc i nagle cała dolina stanęła w martwym blasku. Czuby smreków sterczały jak groty wielkich harpunów, skały połyskiwały polewą lodu, zasypane głazy potoku niosły na kamiennych plecach kopiaste góry śniegu, a pod lodową przykrywą ciurczyła woda. W nie zmaconej ciszy zdawało się, że ktoś prętem uderza w puste butelki. I było śnieżnie, mroźno, srebrzyście i groźnie.

Szli w zupełnej ciszy, w milczeniu pokonywali zalaną martwym światłem drogę, a kiedy po forsownym marszu doszli do Hali Pisanej, zatrzymali się bez słowa, jak gdyby bali się zmaćić tę śnieżnoksiężycową zadumę.

Pierwszy odezwał się Bukowy:

- Na mnie już czas... Muszę wracać - w głosie jego zabrzmiała nuta żalu.

Inżynier podszedł bliżej.

- Dziękujemy ci, Jędrus.

- Nie ma za co. Poszedłbym dalej, ale sam pan rozumie... Nie chciałem nic mówić, ale przy podchodzeniu czuję jeszcze rękę.

- Damy sobie radę - zapewnił go Marcin. - Żeby tylko pogoda się utrzymała.

- I pamiętajcie - radził Bukowy - nie pchajcie się nocą na przełęcz.

- To się wie - uśmiechnął się Marcin. - Przeczekamy noc w szałasie.

Inżynier mocno ucisnął dłoń Bukowego, przesunął głębiej rzemienie plecaka, złapał za kijki i pierwszy ruszył posuwistym krokiem. Śnieg zaskrzypiał cienko pod nartami, a spod talerzyków kijków wzbily się nikłe obłoczki mroźnego pyłu. Marcin ruszył za nim, a gdy ujechał kilka kroków, oburzał się i zawołał cicho:

- Cześć, Jędrak! Może spotkamy się w Budapeszcie.

- Cześć! Trzymajcie się! - Bukowy gestem pożegnania uniósł kijek, potem go z wolna opuścił. Stał w zamyśleniu, wpatrzony w ciemną bruzdę narciarskiego śladu. Znowu rozchodzą się czyjeś drogi. Kto wie, czy się kiedyś skrzyżują. Co ich czeka na tym narciarskim szlaku i dokąd ich ten nikły ślad doprowadzi? Odepchnął się mocno kijkami. Narty pomknęły miękko po przetartym śladzie.

18

W tę samą noc przez zaspy śnieżne przebijała się grupa młodych lotników z Romkiem Buńdą. Drogę mieli już przetartą, lecz na Tomanową dobrnęli dopiero przed świtem. Wyruszyli bowiem dużo później, a w marszu mieli kilka nieoczekiwanych postojów. Na samym początku jednemu z lotników urwała się linka od kandaharów. Okazało się, że nie mieli zapasowej. Zanim ją naprawili, a raczej związali prowizorycznie drutem, minęło sporo czasu. Buńda zdenerwował się, ofuknął nieszczęsnego lotnika, lecz ten słusznie zwrócił mu uwagę, że to on, jako przewodnik, powinien mieć przy sobie zapasową linkę. Doszło do pierwszego starcia. Potem, jeszcze przed Pisaną, musieli przepakować jeden plecak, w którym dzwoniło nieznośnie. Wreszcie za rozwidleniem dróg prowadzących na Pyszną, Ornak i Tomanową najsilniejszego i najroślejszego z lotników złapały kurcze żołądka. Musieli przeczekać, aż przyjdzie do siebie. Buńda był coraz bardziej rozdrażniony, tracił panowanie nad sobą. Zarządził, by niedomagający wrócił sam do Zakopanego.

- Jeżeli Kazik ma wrócić, to wracamy wszyscy razem - zaprotestował żywo niski, krępy blondynek Maciek Boruń.

Buńda zachnął się gniewnie.

- To po to my szli bez całą noc - powiedział z góralska - coby się wracać? Jo tu przewodnie czy pon?

- Pan - odparł zadziornie Boruń. - Ale

Lorant to nasz kolega i nie puścimy go samego.

- Dajcie spokój - przerwał im słabym głosem Kazik Lorant. - Ja już czuję się dużo lepiej. Możemy iść...

Buńda zbliżył się niego.

- Panie, cy pon wi, co pon gado?

- Wiem.

- To pon biere na siebie odpowiedzialność.

- Tak nie można, panie Buńda - wtrącił Jurek Orbanowicz, zgrabny, drobny, o śniadej jak u Cygana twarzy. - Idziemy razem i wszyscy jesteśmy odpowiedzialni.

- A pan powinien zdecydować, czy wracamy, czy dalej idziemy razem - dodał z boku Mietek Salecki, wysoki, rosły lotnik, z blizną na czole. Buńda spojrzał nań chmurnie.

- To niech pon prowadzi, jak pon taki mądry.

- Naprawdę nie ma się o co kłócić - uspokoił ich Lorant. Schylił się po plecak. - Czuję się coraz lepiej i jestem pewny, że za chwilę mi przejdzie. - Wślizgiwał się już w rzemienie plecaka. - Mówię wam, że dam sobie radę. - Chwycił za wbite obok kijki.

- Panie - powiedział Buńda - niech się pon dobrze zastanowi, bo to nie śpas, tylko poważna sprawa.

Lorant nie oglądając się, zaczął ciąć czubami nart puszyste zwały śniegu. Po chwili Buńda wyprzedził go. Pochylił się, wsparł się mocniej nartami o śnieg i jał energicznie pracować kijkami. Za nim ruszyli wszyscy. Szli jak cienie w tajemniczej poświacie księżycowej nocy.

Kiedy zbliżali się do Hali Tomanowej, księżyc schował się za wyniosły garb Kamienistej. Na matowe niebo natarły cienkie jak bibuła chmury. Gwałtowny powiew wzbił z martwej płaszczyzny pył śnieżny, zawirowało, a potem po zboczach z dziwnym sykiem przebiegły wężyki wznieconego śniegu. I nagle całe zbocze, jakby popłynęło w sieniej pomroce nadchodzącego świtu. Buńda dał znak, żeby się zatrzymali.

- Bestyjo - mruknął zatroskany - zacyno duć.

Spoza przechyłu wyłoniły się szalasy. Były po dachy zasypane śniegiem i zdawać by się mogło, że to wielkie maliniaki przykute czapami lodu, gdyby nie ciemniejsze trójkąty krokwi. Buńda ze

zdumieniem spostrzegł, że szparami w ścianach najbliższego szałasuszący się dym. Targnął nim lęk. Może to Niemcy zaczęli się w nocy? Wahał się chwilę, lecz wnet nakazał lotnikom ukryć się w zaroślach, a sam ostrożnie zbliżał się do szałasus. Z daleka ujrzał wyraźne smugi dymu i poczuł zapach tłęcej się cetyny, a przed drzwiami zobaczył tunel przekopany w śniegu. Ktoś nocą przedostał się do szałasus. Buńda zaryzykował. Nie zdejmując desek, podszedł do drzwi i kilka razy uderzył weń kijkami. Cofnął się przezornie. Nasłuchiwał. Nagle drzwi załomotały, a w progu ukazał się wystraszony inżynier Zdaniecki. Chwilę stali naprzeciw siebie, zaskoczeni nieoczekiwanym spotkaniem. Pierwszy odezwał się Buńda:

- To pon tu som!? - odetchnął z ulgą.

- Nie, z synem. A wy?

- Dyc jo tu z całą wycieczką - zażartował. Inżynier zmrużył porozumiewawczo oko.

- Pewno idziemy w jedną stronę.

- Tak się widzi - roześmiał się Buńda i nagle uniósł kijek, dając znak lotnikom, żeby się zbliżyli.

Z lasu wysypało się pięć szarych postaci. W nikłym świetle widać było tylko ich mgliste zarysy. Zdaniecki uniósł dłonie do ust i głośnie zawołał:

- Chodźcie, panowie! Szybciej! Tu ciepło. Odsapniecie trochę.

Godzinę później siedzieli kręgiem wokół dogasającego ogniska. Humory im dopisywały. Palili papierosy. Gawędzili. Maciek Boruń nadział na patyk kawał kiełbasy. Opiekał go nad ogniem. Zaskwierczał przyjemnie skapujący na żar tłuszcz, rozszedł się błogi zapach. Boruń uśmiechnął się i powiedział do inżyniera:

- Widzi pan, dłużej nie mogliśmy czekać. Przewodnik, który miał nas przeprowadzić, nie wrócił jeszcze z Budapesztu.

- To panom pilno na Węgry - zauważył Zdaniecki.

- Pan się chyba orientuje, że na nas czekają.

- Panowie pewno lotnicy?

- Skąd pan wie?

- Nietrudno poznać - uśmiechnął się porozumiewawczo Zdaniecki. - Pan na przykład ma spodnie przerobione z mundurowych. Z którego pułku?

- Z pierwszego.

Z kąta z drugiej strony odezwał się Orbanowicz:

- A ja pana też skądś znam - powiedział nieco zaczepnie. - Jeżeli się nie mylę, to kilka razy widziałem pana podobiznę w pismach fachowych.

- Oczywiście! - zareagował żywo Marian Seban. Na jego chłopięcej, piegowatej twarzy zagościł wyraz największego podziwu. - To przecież pan inżynier Zdaniecki, sławny konstruktor z PZL-u. Latałem na pańskiej maszynie szkoleniowej.

W szalacie zawrzało. Lotnicy wstawali i z szacunkiem ściskali dłoń inżyniera. Tylko Lorant nie ruszył się ze swego miejsca. Siedział blady, osowiały. Zaciskał zęby, żeby nie jęczeć z bólu.

Buńda z respektem spoglądał na Zdanieckiego.

Inżynier, i do tego konstruktor, jednym słowem lepszy pan. Od takiego można by dobrze zarobić. Może dołączy do grupy, a wtedy... Na razie lepiej poczekać. Dla zwrócenia na siebie uwagi powiedział głośno:

- Toście się panowie piknie dobrali. Piloci, konstruktorzy... Można z wami fruwać bez wierchy.

Inżynier Zdaniecki skinął głową.

- Tak... dobraliśmy się znakomicie, tylko pogoda nam się psuje.

Buńda wzruszył lekceważąco ramionami.

- Taka pogoda najlepsza na przejście. Ślady piknie zaduje, a grenzschatze nie pokażą się w górach... Jo już wini najlepiej.

Inżynierowi nie spodobał się jego pyszałkowy ton. Powiedział więc z naciskiem:

- Radziłbym jednak przeczekać. Może się uspokoi. Tu na dole dmucha cholernie, a na grani będzie jeszcze gorzej.

Orbanowicz poruszył się niespokojnie.

- Panie inżynierze, tydzień czekaliśmy w Zakopanem. Szlag nas trafiał. Nasi koledzy już dawno w Budapeszcie.

- Ba, we Francji. - wtrącił piegowaty Marianek. - Tydzień temu dostaliśmy kartkę pocztową z Marsylii. Mieli szczęście. Zaraz ich z Budapesztu skierowali do Francji. Podobno jedzie się normalnie z paszportem przez Włochy.

- Jeżeli Franek pisał z Turynu, to jasne, że jadą przez Włochy - dodał Boruń.

Zdaniecki uśmiechnął się nieco kpiąco.

- To pięknie, pięknie... Tylko panowie zapominacie, że tutaj nie Marsylia, nie Turyn, tylko

Tomanowa i góry.

- Może byśmy jednak poczekali - wtrącił chudy jak tyka Salecki.

- Nie wygłupiaj się, stary - natarł nań Orbanowicz, a potem razem z Boruniem i Sebanem zakrzyczeli go na dobre:

- Człowieku, jakie ty masz rozpoznanie? Zanim nas zarejestrują, zanim wyrobią nam paszport...

- A ja nie mam zamiaru dłużej tu kisać - przeciął stanowczo dyskusję Orbanowicz.

Inżynier Zdaniecki znowu uśmiechnął się kącikiem ust.

- Zapominacie panowie, że nie jesteście jeszcze w Budapeszcie.

Boruń cmoknął zniecierpliwiony.

- Słyszałem, że można tę trasę przebyć w trzy doby.

- Zależy, w jakich warunkach - podjął Zdaniecki poważnie. - Mamy przed sobą dwie zielone granice i trzecią... najtrudniejszą.

Lotnicy zamienili ze sobą zdziwione spojrzenia, jak gdyby nie zrozumieli, do czego zmierza inżynier, a Orbanowicz po chwili zapytał wprost:

- O jakiej trzeciej granicy pan myśli?

- O granicy wytrzymałości.

W tym miejscu wtrącił się nagle Buńda.

- Panie, pon tak gado, jakby pon ich prowadził, a nie jo.

Zdaniecki wysunął przed siebie rękę gestem usprawiedliwienia.

- Przepraszam, że się wtrącam, ale mam spore doświadczenie, od trzydziestu lat chodzę po górach. A wy - jego poważne spojrzenie spoczęło na Bundzie - wy może jesteście przewodnikiem?

Tamten machnął ręką.

- Jo, psinie, lepiej mom góry od przewodników. O mnie się, panie, nie turbujcie.

Zdaniecki skwitował to oświadczenie wzruszeniem ramion. Buńda tymczasem wstał od dogasającego ogniska i złapał za ramię swego plecaka.

- No, panowie - rzucił wesoło - zbierajcie się, bo trza iść.

Jurek Orbanowicz ruszył pierwszy po swój sprzęt, ale po drodze natknął się na siedzącego w

kącie Kazika Loranta. Zaniepokoić go jego mętne, matowe spojrzenie i sine, zaciśnięte wargi.

- A ty Kazik... jak się czujesz? - zapytał z obawą w głosie.

Lorant nic nie odpowiedział. Wstał z wysiłkiem i zaczął zapinać plecak. Maciek zatrzymał się przy nich.

- Kazik, powiedz... Może jednak zostaniemy? Ten zachnął się i rzucił opryskliwie:

- Przestańcie się mną zajmować. Już wam mówiłem, że lepiej się czuję. - Chwycił oparte o ścianę deski i z posępną zaciętością przekroczył próg. Za nim wyszli inni. Zdanieccy tkwili przy ognisku. Urbanowicz, który ostatni wyszedł z szałas, zawołał przez drzwi:

- A panowie?

- My... chyba poczekamy, aż się wyklaruje - odparł niezdecydowanie inżynier.

- Może byśmy jednak spróbowali - wtrącił Marcin z odcieniem prośby. - Razem będzie nam różniej.

Inżynier wahał się chwilę, a gdy jeszcze raz spojrzął za odchodzącymi, ogarnęło go nagle uczucie osamotnienia. Pomyślał, że jednak łatwiej będzie przejść w takiej grupie. Chwycił więc za plecak i rzucił Marcinowi:

- Masz rację. Razem będzie różniej.

Przed szałasem natknął się na Buńdę. Góral zwlekał z przypięciem nart, jak gdyby specjalnie czekał na Zdanieckiego.

- Pan z nami?

- Ha, spróbujemy. Jak się nie da, to najwyżej zawrócimy.

- To piknie - powiedział tamten z naciskiem. - Ale my się jeszcze nie umówili.

Zdaniecki szerzej otworzył oczy.

- Nie rozumiem, o co wam chodzi?

Buńda chciał coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili Urbanowicz powstrzymał go ostro:

- Dajcie spokój, Buńda. Rozliczymy się na Słowacji.

- Ach... o to chodzi - uśmiechnął się cierpko inżynier.

- To naprawdę głupstwo, panie inżynierze - powiedział pośpiesznie Urbanowicz, chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie. Jednocześnie posłał Buńdzie tak szydercze spojrzenie, że ten szybko zatrzasnął

kandahary i ruszył w wirującą śniegiem, zamgloną ubocz.

19

Pierwszy odcinek drogi, aż do sterczących pod przełęczą iskał, przeszli dość szybko i sprawnie. Buńda zakładał ślad. Prowadził łagodnymi zakosami. W żlebie śnieg był przewiany i łamliwy. Raz szli po ubitej wiatrem skorupie, to znowu zapadali się po pas w zaspach. Wichura wzmagala się. Śnieg wściekle bił w oczy, zapierał oddech. Do skał dotarli jednak bez przeszkód, w zwartej grupie.

W tym miejscu stok spiętrzał się w stromiznę. Inżynier Zdaniecki, który jako najbardziej doświadczony zamykał łańcuch narciarzy, spostrzegł że Lorant zostaje w tyle. Zaczekał więc na niego i zapytał, czy nie potrzebuje pomocy. W odpowiedzi Lorant posłał mu smętne spojrzenie, a potem przyspieszył gwałtownie i wnet dołączył do grupy. Powtarzało się to kilka razy, a gdy wreszcie przystanęli pod skałami, by zdjąć narty, Zdaniecki zauważył, że Lorant położył się na śniegu.

- Co panu jest? - zapytał, nachylając się nad nim. Lotnik gwałtownie odwrócił głowę.

- Wszystko w porządku - odparł słabym głosem.

Zdaniecki podał mu kijek.

- Niech pan wstanie. Jest pan zgrzany. Nie można tak leżeć w śniegu.

Lorant podniósł się z trudem. Inżynier przyjrzał mu się uważniej. Widział jego zsiniałą twarz, zapadnięte głęboko i przygasłe oczy. Przeraził się.

- Jak pan się czuje?

Tamten chciał coś odpowiedzieć, lecz w tej samej chwili uderzyła gwałtowna nawałnica śnieżna. Zachwiali się i przywarli do ziemi, by przeczekać najgroźniejszy podmuch.

Góry pokazywały swe białe, lodowate pazury.

Kiedy trochę ucichło, Lorant podniósł się pierwszy i bez słowa dołączył do grupy. Tamci zaczęli się już wspinać na pierwsze skały. Buńda szedł pierwszy. Przed sobą miał skalną grzędę, wymiecioną do czysta ze śniegu, połyskującą matowo skorupą chropowatego lodu. Ruszył więc wolno, krawędziami butów wybijając stopnie. Orbanowicz, Boruń posuwali się za nim. Lorant został nieco z tyłu. Na końcu szli obaj Zdanieccy.

Inżynier zatrzymał na chwilę syna.

- Marcin - zawołał poprzez wznoszące się wycie nawałnicy - idź za nim, uważaj... On jest strasznie słaby... Nie wiem... - Chciał powiedzieć: "Nie wiem, czy idą sobie radę", lecz wiatr wtłoczył mu słowa do otwartych ust.

Marcin zrozumiał, o co chodzi. Skinął głową i ruszył za Lorantem.

Pierwszą grzędę przebyli z ogromnym wysiłkiem, ale gdy znaleźli się na niewielkiej, zasypanej śniegiem płasience, przed sobą we mgle i zamieci zobaczyli następną - stromszą, pokrytą lodowym szkliwem i wypolerowaną przez wichurę.

Stali w milczeniu. Buńda oślepieniem śniegiem oczami lustrował zlodowaciałą pochyłość.

Wahał się. Przez chwilę ogarnęło go zwątpienie. Miał zamiar zawrócić, ale wtedy przypomniał sobie rozmowę z Bukowym. Teraz, jakby na przekór jemu i sobie, postanowił przeprowadzić tych ludzi przez przełęcz. W lodowej caliznie zobaczył ciemniejszą rysę prowadzącą ukosem przez grzędę. Z wściekłością jął kijkami rąbać w niej stopnie. Szedł z nieludzkim uporem, jak gdyby uwziął się i chciał przemóc własny strach. Lotnicy, widząc jego zaciętość, ruszyli za nim.

Nawałnica wznosiła się z każdą chwilą.

Młody Zdaniecki ze wzrastającym niepokojem obserwował Loranta. Ten bez wahania wszedł na grzędę. Pierwszą stromiznę pokonał z podobną jak Buńda zawziętością, lecz gdy znalazł się na przechyle, a wiatr natarł na niego, zachwiał się, narty wypadły mu ze zgrabiących rąk, a on obsunął się na kolana.

Marcin usiłował dotrzeć do niego, lecz zanim pokonał grzędę, Lorant bezsilnie opadł na oblodzone skały i jak człowiek pozbawiony kości zaczął się zsuwać...

- Trzymaj go! - zawołał Marcin do wspinającego się niżej ojca. Ten rzucił narty, chciał złapać Loranta, ale nie zdążył. Bezwładne ciało coraz szybciej sunęło w dół, wreszcie spadło na niższą grzędę i zniknęło w zmagającej się nawałnicy.

Teraz obaj pospieszyli na ratunek; schodzili gładką lodową stromizną. Nagle Marcin pośliznął się, podciął nogi ojcu i obaj zaczęli toczyć się w dół. Zatrzymali się dopiero w głębokim śniegu. Marcin wygrzebał się z trudem. Rozejrzał się. W oślepiającej śnieżycy zobaczył nad sobą zarys skalnej grzędy. Zaczął szukać Loranta. Przeciął na ukos stok. Po kilku krokach nastąpił na coś miękkiego, a gdy się pochylił, zobaczył leżącego człowieka. Chwycił go za ramiona, uniósł, potrząsnął. Lorant był jak z ciężkiej gumy, głowa i ręce opadły mu bezwładnie. Położył go więc na śniegu.

W tym momencie z upiornej mgławicy wyłonił się ojciec. Marcin opuścił bezradnie ręce.

- Zdaje się, że nie żyje - zawołał najgłośniejszym głosem.

Inżynier w trwożnym pośpiechu uklęknął obok leżącego lotnika, ujął w dłonie jego głowę, zajrzał mu w oczy. Oczy były nieruchome i martwe. Rozpiął więc wiatrówkę i przyłożył ucho do piersi. Nie usłyszał nawet szmeru. Wtedy wyprostował się w klęczkach i pełen trwogi wzrok

skierował na syna.

- Nie żyje - wyszeptał.

20

W kuchni było ciepło. Pachniało suszonym się za piecem drzewem i kapuśniakiem na boczku. Bukowa przysunęła garnek z kapuśniakiem na skraj blachy, zdjęła z półki dwa talerze.

- Toście pewno strasznie domarzli - spojrzała z ukosa w stronę stołu.

- Ej, domarzli, domarzli - Zuzaniak nabijał krótką, góralską fajeczkę. - Przydałoby się coś mocniejszego...

- Góralska herbata - zaśmiał się Jędrak.

- Nie zawracajcie mi głowy - ofuknęła ich z humorem Bukowa.

- Mamo - odezwała się z ławy Brońcia, młodsza siostra Jędrka - dyc widziałak u was w komorze...

- To na chorobą nie dej Boże - Bukowa drobnymi kroczkami z talerzami w dłoniach zbliżała się do stołu.

- Dyc jo chory - zartował Zuizaniak. - Coś mnie tak dżgo i dżgo w boku, co dychnąć nie mogę.

- Dejcież mamó, bo nos do cna przewiało - mrugnął porozumiewawczo Jędrak. - Dejcie, narobili my się przy tym drzewie. Całe było śniegiem zasute.

- No, wej - uległa Bukowa. - Wy byście z cłowieka duse wypucyli. A ty - zwróciła gniewne spojrzenie na Brońcie - na drugi roz to sie nie wtrącoj. Co będzie, jak kto, nie dej Boże, zachoruje? - Rzuciła ścierkę na ławę i znikła za drzwiami. Po chwili wróciła z ćwiartką spirytusu.

Wtedy za oknem szarpnął się na łańcuchu Buśtyn, a za chwilę dało się słyszeć jego ujadanie. Bukowy wstał, popatrzył z niepokojem na drzwi. Zuzaniak chwycił go za ramię.

- Pockoj, jo wyjdę zobaczyć. - Nie czekając na odpowiedź wyszedł do sileni. Kiedy znalazł się za progiem, w śmie i kurzawie ujrzał dwóch narciarzy zbliżających się do domu.

- Kto tam? - zawołał napiętym głosem. Ten, kto szedł pierwszy, krzyknął coś słabym głosem, lecz poświst wiatru zdusił jego słowa. Zuzaniak ruszył ku nim. Nagle zatrzymał się zdumiony.

- Pon inżynier, rany boskie! - Podbiegł do ślaniającego się narciarza i pomógł mu dojechać do progu.

*

Na drugi dzień rano, kiedy Jędrak Bukowy zapukał w drzwi na poddaszu, Zdanieccy leżeli jeszcze w łózkach. Bukowy przyniósł dzbanek gorącego mleka i kajzerki. Nalał najpierw inżynierowi. Ten pił z rozkoszą, a gdy skończył, zwrócił się do Jędrka:

- Mówię ci, chłopie, to tyło po prostu białe piekło. Zdawało się, że nas zdmuchnie z tej grzędy. Znasz ją przecie. Latem owce się tam pasą, a wczoraj trudno się było utrzymać.

- Tak... - powiedział Bukowy w zamyśleniu. - Góry potrafią być groźne... Ale co się stało temu lotnikowi?

Inżynier rozłożył ręce.

- Nie mam pojęcia. Może serce nie wytrzymało. To było straszne... straszne - powtórzył i nagle sponsepniał. - Wyobraź sobie, byliśmy zupełnie bezradni.

- Ale co z tamtymi? Dlaczego nie wrócili, kiedy spostrzegli, że was nie ma?

- Ba, żebym wiedział - włączył się do rozmowy Marcin. - W ogóle sytuacja była makabryczna. My przy tym martwym, a nasze narty dwadzieścia metrów wyżej. Początkowo potraciliśmy głowy. Co, bracie, robić? Walę w górę, a tu tak dmucha, że te dwadzieścia metrów szedłem chyba pół godziny, a w każdym razie tak mi się zdawało. Czołgałem się, bracie, bo myślałem, że mnie zwieje. Dochodzę do tego miejsca, gdzie zostawiliśmy deski, a tu desek nie ma. Rozpacz, bracie...

- Okazało się - wtrącił inżynier - że nam deski zdmuchnęło. Dopiero gdy ja zacząłem podchodzić, zobaczyłem je w kosówce.

- Mieliście szczęście, że nie pojechały dalej.

- Mówię ci, stary, bylibyśmy ugotowani - wtrącił Marcin. - Na hali i w lesie leży śnieg po pachy. Nie doszlibyśmy do was nawet za dwa dni.

- No dobrze - przerwał mu Bukowy - ale co z tamtymi?

- Bóg raczy wiedzieć - odparł za Marcina inżynier. - Podeszliśmy jeszcze z pięćdziesiąt

metrów, dalej nie puściło. Ale ich nie było, Pewno przeszli przez przełęcz.

Bukowy przetarł zasępienie czoło.

- Coś tu nie gra... Bo gdyby byli na górze, to powinni albo poczekać, albo zejść z powrotem. Takie jest prawo w górach. Z nimi też musiało się coś stać!

- Tak uważasz?

- No oczywiście. Buńda jaki jest, talki jest, ale chyba nie stracił głowy, a góry zna...

- W takich warunkach to każdy może stracić głowę - powiedział Marcin.

- Przede wszystkim - dorzucił Bukowy - w takich warunkach nie można pchać się w góry.

Inżynier kręcił chwilę głową.

- Ostrzegałem ich... ostrzegałem, a potem ja, stary dureń, sam poszedłem. Myślałem, że może się uspokoi... Mówię ci, Jędrus, nie mogę zapomnieć tego lotnika. Ułożyliśmy go w pozycji siedzącej, a on momentalnie skostniał. Oczy zawiąło mu śniegiem... - Inżynier sięgnął do wiszących na krześle spodni i z tylnej kieszeni wyciągnął skórzany portfel: - To jego dokumenty. Porucznik pilot, dziecko prawie... Dwadzieścia dwa lata... Odznaczony... I talki musiał zginąć!

Bukowy wziął dokumenty.

- Trzeba będzie odesłać do rodziny. Najlepiej przez panią Twardoszwą. - Położył portfel na stolku i zapytał: - A wy... co chcecie robić?

- My?... - zastanowił się Zdaniecki. - No cóż, trzeba będzie poczekać na pogodę, podreperować siły i w drogę - błysnął młodzieńczo szarymi jak stal oczami.

- Spróbujemy drugi raz - dorzucił Marcin. - A jak się nie uda, to do trzech razy sztuka.

Jędrzek Bukowy uśmiechnął się tajemniczo.

- Trzeci raz to chyba nie będziecie próbować. Dlaczego? - zdziwił się inżynier. Bo teraz nie puszczyć was samych.

*

Kiedy zszedł do kuchni, zobaczył matkę siedzącą na zydelku i obierającą ziemniaki. Brońcia sprzątała izbę.

- Bronka - powiedział głośno - ubieraj się.

- A co się stało?

- Pójdiesz do pani Twardoszowej. Matka rzuciła mu pełne obawy spojrzenie.

- Do Twardoszowej? A co chcesz od Twardoszowej ?

Bukowy wzruszył nerwowo ramionami. Zwrócił się znowu do siostry:

- Powiesz jej, że mogę przeprowadzić tych ludzi, którzy u niej jeszcze czekają.

- Jędrak! - zawołała matka. Rzuciła do koszyka z obierzynami nóż, wytarła ręce i uniosła się pełna bolesnego zdumienia.

- Mamo - powiedział łagodnie - przecie dobrze wiecie, że nie mogę tu dłużej siedzieć.

- Jędrak - wyszeptała - a ja myślałam, co ostaniesz w chałupie.

- A co - rzucił zniecierpliwiony - chyba nie chcecie, żeby po mnie przyszli i wyciągnęli z domu jak Władka Zycha.

Podeszła do niego drobnymi, niepewnymi kroczkami i delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Jędrusiu, przecie jeszcze Teka... Mówiłeś, co ci boli.

- Boli, to przestanie. - Naraz ujął jej dłonie i uściśnił ją mocno. - Mamo, nic nie mówcie. Wcześniej czy później i tak musiałbym stąd zwiewać.

Zakryła twarz dłońmi.

- O, Boże, mój Boże... Co ja tu bez ciebie... - nie dokończyła, gdyż głuchy szloch wyrwał się nagle z jej piersi.

- Nie płaczcie, mamo - powiedział twardo.

- Nie ja jeden muszę uciekać! - Potem zwrócił się do Brońci: - A ty ubieraj się. Oddasz jej dokumenty tego lotnika i powiesz, że dzień albo dwa po moim wyjściu musi zawiadomić pogotowie, żeby go stamtąd ściągnęli. Jest pod przełęczą Tomanową. Nie zapomnisz?

- Nie.

- No to spiesz się. I powiedz, żeby na jutro wieczór byli wszyscy gotowi!

W lesie było jeszcze mroczno, lecz gdy wyszli na halę, słońce przebiło się przez mgły, a z napęczniałych brząskiem chmur wyłoniły się nagle szczyty. Stały w chłodnej bieli świeżego śniegu, a ostra linia nawisów znaczyła ich poszarpane granie. Drzewa oblepił suty szron i zdawało się, że każda gałązka to rzeźba wyciosana w przejrzystym, mroźnym powietrzu.

Było ich sześciu: Bukowy, dwaj Zdanieccy i trzej oficerowie - dwóch młodych poruczników lotnictwa i jeden starszy, dyplomowany kapitan ze sztabu.

Jędrak Bukowy zakładał ślad. Prowadził łagodnymi zakosami, równym tempem, pozwalającym nawet najsłabszemu dotrzymać mu bez zmęczenia kroku. Pod jego deskami sucho i dźwięcznie szeleściły blaszki sadzi, a czuby nart ostro cięły nie skalaną biel śniegu.

Bukowy co chwila spoglądał na przełęcz. Zapowiadała się bezchmurna pogoda, a śnieg po mroźnej nocy był lekki, puszysty i nośny. Groziło im tylko jedno niebezpieczeństwo: w taką pogodę łatwo ich mogli wypatrzeć i zaalarmować graniczne placówki. Na szczęście było jeszcze wcześniej, więc Bukowy postanowił jak najszybciej sforsować przełęcz. Przyspieszył więc i skrócił zakosy. Spojrzał za siebie. Nikt nie zostawał w tyle.

Jeszcze kilka ostrych zakosów, kilka kęp przysypanej śniegiem kosówki i zatrzymali się pod skałkami. Bukowy zdjął narty, przewiązał je paskiem, a kiedy zaczął pokonywać pierwszą stromiznę, spoza wiszącej skały zobaczył siedzącego człowieka. Był przygotowany na ten widok, a jednak coś nim boleśnie targnęło.

Bukowy zatrzymał się gwałtownie. Wbił deski w śnieg, zdarł z głowy czapkę. Pełnymi bolesnej zadumy oczami patrzył na tę skamieniałą, skutą lodem postać pozostawioną w górskim pustkowiu jako drogowskaz albo przestroga. Był tak zamyślony, że inie spostrzegł, kiedy pozostali narciarze dołączyli do niego. Stali w milczeniu z obnażonymi głowami.

Naraz Bukowy skłonił się, jakby w ten sposób chciał oddać ostatni hołd wszystkim ofiarom gór. Potem szybko złapał deski, zarzucił je na ramię i z zawziętością zaczął rąbać stopnie w twardym jak beton śniegu.

Skały były oblodzone, ale w bruzdach i szczelinach trzymał się twardy, chropowaty śnieg, w którym można było bić wygodne stopnie. Najwięcej kłopotu oprawił im niebezpieczny nawis na samej grani. Ale i tę przeszkodę pokonali w krótkim czasie. Kijkami wycięli w nawisie wąskie przejście i po półgodzinnym wysiłku byli już na przełęczy.

- To już granica - zawołał z radością jeden z młodych lotników.

- Tak - potwierdził Bukowy. - W dole marny Czeską Tomanową, a dalej Cichą Dolinę.

- Uśmiechnął się wyrozumiale i dodał z naciskiem: - Najłatwiej przejść samą granicę.

Trudności zaczynają się dopiero na dole.

Zeszli szybko niżej, żeby zniknąć z linii horyzontu. Przypinali narty. Jędrrek spojrzął przed siebie. Tyle razy był na tej przełęczy, a jednak doznał teraz uczucia dziwnej lekkości, jak gdyby mroźne powietrze uniosło go w fantastycznie rzeźbioną przestrzeń. Pod sobą widział szeroką, rozległą dolinę, przed sobą miał potężny masyw Wielkiej Kopy. Jej zachodnie stoki i żleby tonęły w głębokich cieniach, podkreślających wyniosłość kopuły szczytu. Dalej, w błękitnawych mgiełkach stał potężny grzbiet Hrubego, a nieco z boku, jak baszta, wznosił się samotny Krywań.

- Zjeżdżamy - usłyszał obok siebie głos inżyniera Zdanieckiego.

- Tak - ocknął się z zadumy. - Ja pojedę pierwszy. A na końcu może Marcin. I panowie - zwrócił się do pozostałych - o jedno proszę: nie na wariata!

- Trzeba uważać - przytaknął mu inżynier. - Każde złamanie narty to po prostu nieszczęście.

Bukowy pchnął się lekko kijkami. Oстрыm trawersem przeciął słoneczny stok. Spod nart sypnęło pyłem, jak garścią rozpylonej rtęci, a potem za sunącymi deskami wzbił się tren roziskrzonego śniegu. Pierwszy śmig - narciarz ginie w kurzawie, by po chwili wyłonić się i wypłynąć na słoneczny stok; a potem śmig za śmigiem jak w radosnym tańcu.

W ruchach jego było tyle mistrzowskiego polotu, tyle finezji i piękna, że stojący pod przełęczą ludzie nie śmieli jechać za nim. Zdaniecki ruszył pierwszy. Szerszym łukiem przemierzył białą płaszczyznę i związał ją wolniejszym zakrętem.

I nagle cały stok zaroił się drobnymi sylwetkami, a narty rysowały jego gładzizną wężykami śladów. Gdzieś zakurzyło się gęściej, ktoś nie wytrzymał pędu i, jak drobna kukiełka, zarył się w puchu. Grzebał się chwilę, wstał, ruszył ciągnąc dalej przerwany ślad, a na stoku została ciemniejsza plama, jak wykrzyknik tego narciarskiego pisma.

- Fantastyczna jazda! - zawołał Marcin Zdaniecki, gdy jako ostatni zatrzymał się pod lasem zamykającym dno doliny.

- A mnie postawiło na uszach - śmiał się Szymek Drwęcki, młody lotnik, wygrzebując spod wiatrówki wałki gruzołowatego śniegu.

Zapanował wesoły nastrój. Byli zgrzani, zarumienieni, oczy im błyszczały po emocjach wspaniałego zjazdu. Bukowy uniósł do góry kijek.

- Panowie, teraz możemy natknąć się na drwali albo gajowego. Tak jak umówione, nikt się nie odzywa. Ja z nimi będę rozmawiać po słowacku. A w razie wpadki mówimy, żeśmy zabłądzili. I, proszę, ostrożnie. W lesie jest kilka ostrych zjazdów. - Pchnął się kijkami, zrobił kilka łyżwowych kroków i za chwilę zniknął wśród pierwszych, karłowatych smreczków.

Przy starym buku, gdzie łączą się drogi z Tomanowej i Wierchcichej, Bukowy zatrzymał się na chwilę. Przed nimi była zawalona pniami zwiezionego drzewa polana, a dalej stary barak, gdzie zwykle urzędował ktoś z leśników. Polana tonęła w granatowym cieniu. Dach baraku jarzył się w

słońcu. Było zupełnie cicho. Nie spostrzegł ani drwali, ani woźniców, ani nikogo z leśnictwa. Dał znak zbliżającym się z tyłu towarzyszom, żeby się zatrzymali, sam zaś skrajem lasu, wzdłuż potoku zaczął okrążyć polanę. Tak bacznie obserwował barak, że nie spostrzegł stojącego na brzegu potoku słowackiego górala. Był to suchy, żyłasty starzec, z twarzą pooraną, zmiętą i ptasią, z przymglonymi ciemną oczyma. Miał na sobie góralski kapelusz bez muszelek, połataną cuche, bukowe portki i rozlatujące się kapce. Z chytrym zadowoleniem przyglądał się kluczącemu między smreczkami narciarzowi. Nagle uniósł przed siebie sękaty kij i zawołał starczym głosem.

- Hej, ty!... Czego tu szukasz?

Bukowy zatrzymał się gwałtownie. Wnet jednak uspokoił się. Sylwetka górala wydawała mu się znajoma. Iluż to takich liptowskich, orawskich starców włóczyło się kiedyś po górach. Dogasające w nich życie pchało ich na górskie drogi a niedostatek, głód kazał im żebrać wśród turystów. Wszedł więc zza pnia i zapytał:

- Nie ma tu nikogo na polanie?

- Nie widziałem nikogo - odparł spokojnie, ale jego zachodzące bielmem oczy nieufnie świdrowały nieznanego.

- A financów albo patroli nie widzieliście po drodze?

- Ej, chłopcze - zaśmiał się chrypliwie - kto by to w taką zimę po górach chodził. Naraz jeszcze dociekliwiej przeszył go swym nieufnym spojrzeniem. - A ty skąd?

- Ja?... Widzicie, turysta... Wycieczkę prowadzę.

W oczach starca zjawił się błysk, a twarz mu nagle stężała. Uniósł sękaty kij i pogroził Bukowemu,

- Ino mi popod Krzyżne Liptowskie nie chodź! Ino mi tam nie chodź!

Bukowy doznał dziwnego uczucia, jak gdyby miał przed sobą człowieka niespełna rozumu. Uśmiechnął się łagodnie.

- Nie bójcie się, dziadku, pod Krzyżne nie pójdę.

- No wej - odetchnął z ulgą, ale w jego oczach, gdzieś na dnie źrenic, wciąż żarzył się niepokojąco błędny ogień.

- A co, nie wolno pod Krzyżne chodzić? - zapytał Bukowy.

- To moja dziedzina - krzyknął niemal góral i zatoczył kijem szeroki łuk nad głową. - Wszystko moje... od Krywania aż po Czerwone Wierchy... Wierchy moje, doliny moje, potoki...

- Toście bogaci, dziadku - zażartował Jędrek. Stary zbliżył się do Bukowego i zaczął mówić stłumionym głosem:

- Pod Krzyżnem jest zakopany cały kotliczek z talarami. Tyle złota, że czterech chłopów nie udźwignie. Same terezjańskie talary.

"Jestem w domu - pomyślał Bukowy. - To oczywiście poszukiwacz skarbów..." Żeby go usposobić, rzucił pogodnie:

- Mnie, dziadku, złota nie trzeba.

Góral uśmiechnął się, pokazując bezzębne dziąsła.

- Wszyscy tak mówią, że im złota nie trzeba, a po wierchach się styrmają. Jużem jednego takiego znalazł. W zaspach. Ledwo biedak zipał.

Bukowy drgnął. Pomyślał, że to może jeden z grupy Romka Buńdy. Doskoczył do górala i mocno złapał go za ramię.

- Kiedy to było, dziadku?

- Kiedy to było? - zamyślił się. - A jużci poza wczora...

- A gdzieście go spotkali?

Góral pokazał kijem w stronę wierchów.

- A tam, w Tomanowej... Mówię ci, że ledwie zipał.

- I co z nim?

- A co? Ja tam nie zawzięty. Zaprowadziłem go do Szuhajów. No wiesz, tam pod las. Taki był słaby, że ledwo się dowlókł. - Naraz zaśmiał się tak głośno, że go wnet kaszel złapał: - W taką kurniawę... W taki mróz złota szukał... No, wej... Chciał złota, to ma złoto.

Bukowy jeszcze mocniej ścisnął jego ramię. Potrząsnął nim.

- Dziadku, jak wam mówię, mnie złota nie trzeba... Zaprowadźcie mnie do Szuhajów... do tego człowieka.

Stary patrzył chwilę w oczy Bukowego, jak gdyby chciał zbadać, czy w jego zamiarze nie kryje się podstęp, a gdy tamten wytrzymał jego spojrzenie, rzekł z uśmiechem:

- Chodźmy, to przecież niedaleko. - Nagle znowu uniósł sękaty kij i pogroził nim Bukowemu : - Ino mi popod Krzyżne Liptowskie nie chadzaj... Ino mi złota nie szukaj.

Bukowy pociągnął go za rękaw.

- Prowadźcie, dziadku. Szkoda czasu. - I dał znak ukrytym w zaroślach towarzyszom, żeby dołączyli.

Stary prowadził ich drogą, a potem przez mostek skręcili w boczną śnieżkę. Śnieg na niej leżał głęboki, więc góral szedł wolno, przystawał często i głośno sapał.

Wszyscy się niecierpliwili. Jak najszybciej chcieli zobaczyć człowieka, którego góral znalazł w Tomanowej.

Wreszcie ukazała się przed nimi polana, a na niej, pod lasem, ujrzeni starą góralską chałupę. Była po okna zasypana śniegiem. Z komina bił prosty słup dymu. Na drodze za przechylem zobaczyli młodą kobietę z wiadrami... Wąską, wyslizganą ścieżyną pięła się z wodą ku domowi. Nie było widać jej nóg, więc zdawało się, że sunie jak pociągana sznurkiem marionetka. Na widok narciarzy zatrzymała się. Postawiła wiadra w śniegu i oczekiwała ich z wyrazem napięcia na smagłej, ładnej twarzy.

- Wy z Polski? - zapytała ostro Bukowego.

- Tak - odparł.

Kobieta przyjrzała mu się uważnie, a potem jej wzrok powędrował po twarzach zbliżających się narciarzy. Naraz schyliła się po wiadra i skinęła głową:

- To chodźcie za. mną.

Szli w milczeniu. Zza domu wyrwał się biały owczarek. Szczekał zajadle. W oknie ktoś odsunął firankę i przez zamgloną szybę obserwował zbliżających się narciarzy. Śnieg cienko skrzypiał pod stopami kobiety, a woda wychłapywała się z wiader, pozostawiając maleńkie sople.

Przed domem kobieta postawiła wiadra. Bez słowa weszła do sieni. Bukowy pośpiesznie odpinał narty, wreszcie gdy się od nich uwolnił, zrzucił plecak i wszedł za nią. W sieni zapachniało kiszoną kapustą i owczym serem. W kuchni napotkał przestraszone spojrzenie dziecka, dalej, za piecem, zobaczył uchylone drzwi ni to komory, ni drewni. Kobieta skinęła nań ręką, żeby wszedł głębiej. Schylił się, by nie uderzyć czołem o podpierającą strop belkę, i nagle w kącie na słomie zobaczył leżącego człowieka. Nieznajomy przykryty był starym kozuchem, spod którego wystawały owinięte szmatami nogi.

Bukowy podszedł bliżej. Pochylił się nad leżącym. Biło od niego gorąco i mdły zapach potu i ropy. Oczy miał przymknięte, twarz rozpaloną, a usta na wpół otwarte. Oddychał bardzo ciężko.

- To wasz? - zapytała cicho kobieta. Bukowy uklęknął przy chorym, chwycił go lekko za ramiona i uniósł.

- Bracie, skąd ty się tu wzięłeś? Czyś ty od Buńdy?

Chory z trudem otworzył ciężkie powieki. Spojrzał nieprzytomnymi, szklistymi oczyma i jęknął głucho.

Wtedy za plecami Bukowego zjawił się inżynier Zdaniecki.

- To on... Maciek Poznaję go - powiedział stłumionym głosem. Uklęknął, podparł opadającą bezwładnie głowę lotnika i zapytał dobitnie: - Chłopie, gdzie tamci? Gdzie twoi przyjaciele? Gdzie Buńda?

W oczach chorego na krótką chwilę zjawił się błysk świadomości.

- Gdzie Jurek? - wyszeptał cicho. Inżynier wyjaśnił krótko:

- Jurek to jeden z nich. Musiało się coś stać.

- Mówilem - szepnął Bukowy. - Ale dajmy mu spokój. On znowu stracił przytomność.

Bukowy usłyszał za sobą głos kobiety:

- Popatrzcie na jego nogi.

Kapitan Surma, który tymczasem zdążył wejść do komary, odchylił kożuch. Chwilę z odrazą przypatrywał się brudnym szmatom na nogach chorego. Wreszcie przemógł się, zaczął ostrożnie odwijać je. Ukazały się sine, spuchnięte i ropiejące palce.

- Obie stopy odmrożone - powiedział kapitan suchym głosem.

Zamienili pełne niepokoju spojrzenia. Zdaniecki wyciągnął wpiętą w kołnierz koszuli szpilkę. Zaczął kłuć stopę chorego powyżej kostki. Tamten nie reagował.

Kobieta wydała cichy okrzyk.

- Panie, dajcie mu spokój. Całą noc wołał tylko "gdzie Jurek? gdzie Jurek?". Z nim źle, panie.

- Gangrena - potwierdził inżynier.

Nagle w drzwiach pojawił się rostry chłop. Miał na sobie góralski kożuch i wełnianą kominiarkę. Patrzył nieufnie.

- Słuchajcie - powiedział głosem wyrażającym zniecierpliwienie - musicie go stąd zabrać... Dłużej nie możemy go tu trzymać. Przyjdą strażnicy albo kto doniesie... - urwał i tępo popatrzył na obnażone, ropiejące nogi. Zdaniecki podniósł się z klęczek.

- I tak nie może tu dłużej zostać - powiedział twardo i zdecydowanie. - Obie nogi odmrożone. Gangrena. - Zwrócił się do Słowaka: - Macie konia?

- Mam.

- To zapręgajcie - dodał Bukowy. - Jedziemy do szpitala.

Góral tak spojrzał, jakby nie zrozumiał, o co chodzi.

- Do szpitala? - powiedział przeciągle.

- Inaczej umrze.

Góral wzruszył ramionami.

- Łatwo wam mówić - do szpitala. A jak mnie złapią po drodze?

- Za to, że odwozicie chorego, nic wam nie zrobią.

- To wam się zdaje. On przecież z Polski. Z takimi tu się nie bawią.

Zdaniecki złapał go za rękaw kozucha.

- Gangrena. Rozumiecie, co to gangrena?

- Zapręgaj, Frano! Pan Bóg by ci nie wybaczył - zawołała kobieta.

Góral spojrzał na nią z ukosa.

- Co ty, Bożka?

- Zapręgaj! - rozkazała i nagle zwróciła się do Bukowego: - Jezusie, co my się strachu najedli... Calutką noc nie spałam. Myślałam, że kipnie.

Chłop zaklął cicho, jeszcze raz rzucił kobiecie pełne pretensji spojrzenie, a potem wyszedł szybko. Bukowy ruszył za nim. Wyciągnęli z szopy sanie. W gorączkowym pośpiechu zapręgali rozleniwionego ciepłym stajni konia. Dwaj piloci wynieśli ze stodoły kilka snopków słomy. Mościli nią dno sań. Zdaniecki sprawnie zmienił opatrunki na ropiejących nogach chorego, po czym owinęli go kocami i wynieśli do sań. Bukowy czekał już na nich.

- Zna pan drogę do Trzech Studniczek? - zapytał inżyniera.

- Znam.

- To zaprowadzi pan wszystkich do schroniska. Tam kierownikiem jest mój dobry przyjaciel, Tokacz. Powie mu pan, że ja was przysyłam. Gdybym nie wrócił do rana... Trudno. Sami będziecie sobie radzić.

- A jak nas nie przyjmie? - wtrącił Marcin.

- Przyjmie. To mój przyjaciel. Razem chodziliśmy na wspinaczki.

- A ty... Jędrak? - zapytał inżynier.

- Ja jadę z nim do szpitala.

- Może dać ci do pomocy Marcina?

- Nie, nie trzeba. Dam sobie radę. Mam jeszcze trochę znajomych w Smokowcu i w Łomnicy. Jestem pewny, że mi pomogą.

W tej chwili pomyślał o Hublu, towarzyszu z tras narciarskich i z górskich wspinaczek. Tak. Pojedzie wprost do Hubla; on ma dobre znajomości, był przez szereg lat najlepszym zjazdowcem reprezentacji czechosłowackiej. On mu na pewno pomoże. Spojrzał więc weselej na zatroskanego inżyniera.

- Niech się pan nie martwi. - Ruchem głowy wskazał leżącego już w saniach pilota: - Jeszcze dzisiaj wieczór będzie w szpitalu.

W tym momencie do sań, podszedł stary góral, który przez cały czas stał z boku i z uśmiechem obłąkanego człowieka przypatrywał się ludziom.

- Widzicie - zaczął drżącym głosem. - Mówiłem mu, żeby popod Liptowskie Krzyżne nie chodził. To moja dziedzina. Moja...

Bukowy chwycił bat, usiadł na osłonie i zawołał na gospodarza:

- Na co czekacie? Jedziemy.

23

Nadchodził zmierzch. Sanie sunęły wolno w wydrążonym w śniegu tunelu. Zgrzany koń buchał parą. Góral co chwila zeskakiwał z osłon i dla rozgrzewki truchcikiem biegł obok sań. Bukowy był bardzo zmęczony. Czuł, że ogarnia go sen. Przymykał oczy i wtedy zdawało mu się, że zamarza, bo mróz brał silny i od wschodu ciął przenikliwy wiatr. Otwierał więc z trudem oczy i walczył ze znużeniem.

Wśród uginających się pod okiścią świerków widać już było pierwsze zabudowania Smokowca. Dobiegały stamtąd głosy ludzkiego skupiska: gdzieś za domem ujadał pies, przez zasłony okien przenikały ciche tony płynącej z radia muzyki, jakaś kobieta nawoływała swoje dziecko. Po całodziennym w głuchym lesie odgłosy te wydały się Bukowemu miłe, przypominały mu, że znajduje się wśród ludzi.

Wiedział, że do Hubla trzeba skręcić za stojącym na wzniesieniu drewnianym pensjonatem. Pamiętał dokładnie pnącą się lasem dróżkę i kępę modrzewi przy ogrodzeniu. Przypomnił sobie nawet nie oszkloną werandę z wiszącymi nad wejściem rogami jelenia. Tam zwykle Pavel Hubl zostawiał narty, gdy wracali z wycieczki.

Gdy zobaczył drewnianą wieżyczkę, ucieszył się. Było już blisko do Hubla. Zeskoczył z sań, przebiegł truchtem kilkanaście metrów. Ruch rozgrzał go nieco i pokrzepił.

- Skręćcie w lewo pod górę - powiedział do górala wskazując na osłonę.

Ten ożywił się nagle. Zaczął smagać konia biczem.

Mieli już skręcić, kiedy Bukowy zobaczył przed sobą znajomą sylwetkę. Skrajem drogi szedł młody mężczyzna. Miał na sobie mieloną, lodenową kurtkę, narciarskie spodnie i kapce. Grubą narciarską czapkę zasunął głęboko na uszy. Bukowy poznał go od razu po ruchach i sposobie noszenia tej wełnianej czapki. Zeskoczył więc z sań i ruszył naprzeciw.

- Paweł! Paweł! - zawołał z nie hamowaną radością.

Hubl zatrzymał się. Na jego twarzy odbiło się zdumienie i zakłopotanie.

- To ty, Bukowy? - zapytał chłodno. - A skąd się tutaj wzięłeś?

Jędrka ścieło to chłodne przywitanie. Mimo to rozłożył szeroko ramiona, lecz Hubl cofnął się przezornie. Bukowy powiedział już spokojniej:

- Cześć. Mam cholerne szczęście, że cię spotkałem. Właśnie jechałem do ciebie.

- Do mnie? - zapytał, jakby chciał zyskać, na czasie, a potem rzucił pośpiesznie: - Przepraszam cię, ale nie mogę cię przyjąć, bo w domu nie ma nikogo. - Jego surowe spojrzenie spoczęło na człowieku leżącym w samach. - Kogo to wiesz?

- Właśnie - ożywił się Jędrka. - Musisz mi pomóc, Paweł. Cholerna sprawa. Obie nogi odmrożone, gangrena. Jak go nie zawieziemy natychmiast do szpitala, to długo nie pociągnie.

Twarz Hubla jeszcze bardziej stężała. Wolno zbliżył się do sań, odchylił lekko koc i zajrzał w twarz choremu.

- Polak? - zapytał z naciskiem.

- Tak.

- A gdzie sobie tak nogi odmroził?

- W górach, na granicy.

- Ciekawe... Skąd się tu wziął?

Bukowy chwycił go za ramię.

- Nieważne. Później pogadamy. Teraz pomóż mi, bracie, bo on wykituje.

Hubl zerknął na Bukowego z ukosa.

- A ty... pewno na Węgry?

- Nie - zaprzeczył z namysłem. Pierwszy raz przyszło mu na myśl, że z Hublem nie można być szczerym. Jego dziwne zachowanie było znakiem ostrzegawczym.

Hubl tymczasem uśmiechnął się tajemniczo i zapytał, jak gdyby nie dosłyszał odpowiedzi:

- I jego pewnie przeprowadziłeś?

Bukowy sposepniał, cofnął się, ogarnął Hubla chłodnym spojrzeniem.

- Ty... powiedz, może się boisz? Może nie chcesz mi pomóc.

Hubl wahał się chwilę. Jego wzrok błędził między Bukowym a leżącym na saniach chorym. Nagle w kącikach jego ust, pojawił się nikły uśmiešek.

- Nie martw się, Bukowy. Wszystko będzie w porządku. Ja zajmę się tym chorym, a ty... Widzę, że jesteś paskudnie zmachany. Poczekaj na mnie u "Lukasza".

- U "Lukasza"? - zdziwił się Jędrrek. Wiedział, że "Lukasz" to elegancka restauracja w Starym Smokowcu, miejsce, gdzie mógł go zobaczyć ktoś ze znajomych. Dodał pośpiesznie: - Wolałbym jednak gdzie indziej.

Hubl wyczuł jego wahanie.

- Nie bój się, bracie. Ja tam zaraz przyjdę - i nie czekając na odpowiedź, zawołał do górala: - A wy zawracajcie! Jedziemy do sanatorium.

*

W ten sposób Bukowy znalazł się u "Lukasza". Była to elegancka restauracja w myśliwskim stylu; główna sala podzielona na boksy, w boksach potężne stoły z bukowymi, wymytymi do białą blatami, wygodne ławy, a nad ławami trofea myśliwskie. Bukowy usiadł pod łbem potężnego odyńca, który błyskał szklanymi oczami i straszył szablami kłów.

Było ciepło. Pachniało grzonym winem i goździkami. W głębi na granitowym kominku płonęły wielkie polana, a z przeciwnej strony dochodziło przyjemne pobrzękiwanie porcelany i sztucców.

Bukowy zostawił plecak w szatni. Gdy wchodził, nikt na niego nie zwrócił uwagi. Wyglądał bowiem jak turysta, których o tej porze pełno było w restauracji.

Po chwili zjawił się kelner. Podał mu kartę. Jędrak nie spojrział nawet na nią. Zapytał po słowacku:

- Co macie dobrego?

- Jest paprykarz cielecy z gałuszkami...

- To proszę, i szklanę grzanego wina. Kelner drobnymi kroczkami potruczał w głąb sali. Bukowy czuł, że atakuje go sen. Przyjemne ciepło rozchodzące się po przemarzniętym do szpiku kości ciele obezwładniało go aksamitnie i miękko, a szum rozmów działał jak kołysanka. Nie wiedział, w którym momencie zasnął.

Ocknął się dopiero wtedy, gdy ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Był pewny, że to kelner przyniósł zamówienie. Uniósł więc z trudem głowę i wtedy nad sobą zobaczył nieznaną twarz mężczyzny i wlepione w niego oczy.

- To wy... Andrzej Bukowy?

- Taak - odparł bezmyślnie. Mężczyzna ścisnął go mocniej za ramię.

- To chodźcie ze mną.

Wtedy dopiero uświadomił sobie, że grozi mu niebezpieczeństwo. Cofnął się gwałtownie, ale tamten przytrzymał go i dodał:

- I radzę wam, nie uciekajcie...

- A co? - zachnął się Jędrak.

- Ciszej. Policja.

Doznał takiego uczucia, jakby mu ktoś wymierzył cios między oczy. Opadł bezsilnie na ławę. Potem nagle zebrał się w sobie. Pomyślał, że trzeba uciekać. Chciał pchnąć cywila i wybiec, lecz w tym momencie u wejścia zjawiło się rozbawione towarzystwo kilku słowackich oficerów. Znowu zawładnęło nim bezgraniczne znużenie. Najchętniej zasnąłby oparty o ten gładko heblowany stół.

Cywil powiedział cicho:

- Wyjdziemy spokojnie. Chyba wam nie zależy na tym, żeby zwrócili uwagę.

Bukowy wstał bez słowa. Minęli kelnera, roześmianych oficerów i dwie kobiety z policzkami czerwonymi jeszcze od mrozu, a gdy znaleźli się za drzwiami, tajniak skierował go do bocznych drzwi. Bukowy pchnął je. Wtedy zobaczył drugiego tajniaka. Tamten chwycił go za przeguby rąk, a ten, co go prowadził, błyskawicznie założył mu kajdanki.

Bukowy nie bronił się. "Cholera, po co ja szedłem do tego "Lukasza" - pomyślał.

24

Inżynier Zdaniecki czuł, że opuszczają go siły. Po krótkim zjeździe, kiedy narty same niosły i można było odetchnąć, zobaczył stromy zrąb, a środkiem niego, jak ciemniejszą krechę, szlak wyłobiony przez sanie. Szarzało, tylko na czubach świerków uginających się pod ciężarem szyszek i okiści żarzył się jeszcze blask odchodzącego dnia. Wśród pni panował już mrok.

Zatrzymał się. Czekał na zjeżdżających za nim towarzyszy, a gdy wszyscy już dołączyli, powiedział, siląc się na humor:

- Panowie, już niedaleko. Za pół godziny będziemy popijali gorącą herbatę.

Tamci nic nie odpowiedzieli. Patrzyli na stromy, usiany pniakami stok. Byli już bardzo zmęczeni i przemarznięci. Inżynier ruszył pierwszy. W mięśniach poczuł obezwładniające zmęczenie. Ruch, który rozgrzewa wypoczętego człowieka, ze zmęczonego wyciska tylko zimny pot. Mięśnie stają się wtedy sztywne, ołowiane, w żołądku odczuwa się mdlące ssanie, a w głowie znużenie. Dłonie kostnieją na uchwytych kijków, koszula przesiąknięta potem działa jak lodowaty kompres i tylko jedna myśl włada narciarzem - żeby to się skończyło... żeby nareszcie odpocząć.

Ostatkiem sił pokonali strome podejście. Potem zaczynał się ostry zjazd leśnym holwegiem. Narty niosły ich po sypkim jak cukier śniegu, a zmęczone nogi odmawiały posłuszeństwa. I wtedy najłatwiej upaść, złamać nogę, rozbić się. Trzeba było więc znowu przywołać siły, by panować nad rozpędzonymi deskami.

Inżynier zjeżdżał więc ostrożniej, gdzie się dało, płużył, a tam, gdzie było łagodniej, puszczał deski w niepohamowany pęd. Gdy zjazd się kończył, zobaczył rozległą polanę i nikłe światło przeciekające przez zwisy gałęzi. "To już schronisko" - odetchnął z ogromną ulgą.

Zatrzymał się na skraju lasu. Poczekał na towarzyszy.

- Panowie - powiedział szeptem - zaczekajcie tu. Ja pójdę zbadać sytuację.

- Nie mogę już dłużej. Ręce mi kostnieją. Czuję, że je odmroziłem - jęknął kapitan.

Zdaniecki rozłożył ręce.

- Wszyscy nie możemy iść. To ryzykowne.

- Mnie już wszystko jedno.

- Dawaj pan ręce. Rozetrę. - Porucznik Drwęcki podszedł do kapitana, ściągnął mu sztywne jak blacha brezentowe rękawice.

- Tylko cicho, panowie - powiedział inżynier, - Ja zaraz wracam.

- Trzymaj się, ojciec - zawołał za nim Marcin.

Zbliżał się do schroniska. Z tej strony widać było oświetloną werandę, a na tle zasłoniętych okien, jak na ekranie, przesuwały się cienie ludzkich postaci. Dochodziła tłumiona muzyka radiowa. Inżynier znał dobrze to schronisko. Brnąc po kolana w śniegu, okrążył budynek i po chwili znalazł się przed zakratowanymi drzwiami. Przez niewielkie okno w podmurówce zobaczył kuchnię, a w niej dziewczęta zmywające naczynia.

"Dobra jest - pomyślał - zapytam którąś z dziewczyn o Tokacza". Pchnął drzwi, wszedł do ciemnego korytarza. Był tak słaby, że zachwiał się i z okiennego parapetu strącił metalową puszkę. Cichy korytarz zappełnił się nagle alarmującym podzwaniem. Zdaniecki zaklął cicho. W tej samej chwili drzwi od kuchni uchyliły się, a w oświetlonej od wewnątrz szparze ukazała się dziewczyna.

- Kto to? - zapytała.

Zdaniecki zjawił się w smudze światła.

- Ja do pana Tokacza - powiedział po polsku. - Był cały oblepiony śniegiem, twarz miał siną, a z brwi zwisały mu małe sapie lodu. Wyglądał zapewne na bardzo wyczerpanego, gdyż dziewczyna cofnęła się, jakby ujrzała zjawę.

- Wy z Polski? - zapytała przestraszona.

- Ja do pana Tokacza - powtórzył z naciskiem.

- Pana Tokacza nie ma... - Rzuciła na stół ścierkę i uniosła wyżej garnek, jak gdyby chciała zagrozić mu drogę. - Nie ma go - powtórzyła.

- A gdzie jest?

- Pojechał końmi do Ważca... po prowiant.

- Do licha! - zaklął z cicha. - Kiedy wraca?

- Dopiero jutro.

- Jutro... - wyszeptał bezmyślnie i nagle zrozumiał beznadziejność położenia. Bezwiednym ruchem uniósł rękę i skubał chwilę zalodzone brwi.

- A wy z Polski?

- My wracamy z gór - odparł wymijająco.

- Ale wyście Polak?

- Widzicie, że z gór... i strasznie zmordowani. Chcielibyśmy przenocować.

Chwilę przyglądała mu się z tępym uporem. Nagle postawiła garnek na stole i skinęła głową.

- To chodźcie do kierowniczkii.

Zdaniecki zawahał się. Ostrożność nakazywała mu zostać, lecz walące się nań zmęczenie i myśl o marznących pod schroniskiem towarzyszach zadecydowały. Po kamiennych schodach wspięli się na wyższą kondygnację, potem długo szli ciemnym korytarzem. Zobaczył uchylone drzwi, a w głębi salę noclegową ze starannie pościelonymi łózkami. Owionęło go ciepło i z błogością pomyślał, jakby to było dobrze... Ale nie było czasu na rozkoszowanie się tym widokiem. Wnet znaleźli się w sali jadalnej. Jednym rzutem oka ogarnął jej wnętrze. W kącie dwa stoły oblepione ludźmi, na stołach karafki z winem, szklanki. Nagle usłyszał wyraźnie niemiecki język... Chciał się cofnąć, ale dziewczyna ruchem głowy wskazała na kobietę siedzącą za bufetem.

- To jest pani Tokaczowa.

Czuł na plecach wzrok siedzących przy stołach Niemców i coraz wyraźniej słyszał ich głosy, a w spojrzeniu Tokaczowej wyczuł zaniepokojenie. I znowu padło to nieznośne, ciche, niemal konspiracyjne pytanie:

- Wy z Polski?

Zdaniecki zebrał wszystkie siły, żeby się opanować.

- Tak - powiedział jeszcze ciszej. - Z polecenia Jędrka Bukowego.

- On z wami?

- Tak... ale chwilowo go nie ma.

Kobieta znacząco spojrzała w stronę Niemców.

- Rozumiem, ale mamy tutaj gości z Wiednia... a męża nie ma... pojechał po prowiant.

- Słyszałem. Może jednak dałoby się coś zrobić.

Kobieta potrząsnęła przecząco głową.

- Radzę wam wyjść jak najszybciej. Zdaniecki, mimo ostrzeżenia, tkwił jeszcze w miejscu, jak gdyby przymarzył do podłogi. Chwila dręczącego milczenia przedłużała się w nieskończoność. Słyszał śmiech Niemców, ich twardą, nieznośną mowę i brzęk szklanek.

Kobieta zwróciła ku niemu pełne niepokoju oczy, jakby się dziwiła, że on jeszcze nie odchodzi.

W tej chwili ktoś podszedł z boku, ujął go lekko pod ramię i wyszeptał:

- Niech pan wyjdzie i zaczeka na mnie przy narciarni.

Zdaniecki cofnął się zdumiony. Ujrzał młodego mężczyznę w narciarskim stroju, a na rękawie grubego swetra zobaczył emblemat Słowackiego Pogotowia Górskiego.

Młody człowiek uśmiechnął się pogodnie.

- Niech się pan nie boi...

Zdaniecki ruszył w kierunku werandy, nie patrząc w stronę Niemców, lecz czuł ich badawcze spojrzenia. Naraz usłyszał za sobą czyjś tubalny głos. Odwrócił się. Ku niemu toczył się tęgi mężczyzna z krótko przystrzyżonymi, ciemnymi wąsami. Biło od niego zapachem wina i dobrego cygara.

- Przepraszam - zagadnął wiedeńskim akcentem - pan, widzę, z gór. Chciałem się zapytać, jakie warunki.

Zdanieckiego zamurowało na chwilę, lecz wnet zażenowanie pokrył zdawkowym uśmiechem i odparł najuprzejmiejszym, na jaki go było stać, tonem.

- Tak, wracam właśnie z Koprowej. Warunki są znakomite, śnieg nośny. Trochę tylko za zimno.

Mówił znakomitą niemczyzną, więc na gładkiej i pulchnej twarzy Niemca zaznaczył się wyraz radosnego zdumienia.

- Pan może Niemiec?

- Nie.. Słowak - odparł bez namysłu.

- Pan pozwoli, że się przedstawię. Doktor Erich Mattern z Wiednia. Mam przedstawicielstwo pewnej wiedeńskiej firmy w Bratysławie. Przyjechaliśmy właśnie dzisiaj...

- Bardzo mi przyjemnie - skłonił się Zdaniecki. - Inżynier... Parliček - rzucił pierwsze, jakie mu przyszło na myśl, nazwisko. - Bardzo pana przepraszam, ale jestem porządnie zmęczony.

- Rozumiem, rozumiem - Mattern poklepał go kordialnie po ramieniu. - Będzie nam bardzo przyjemnie, jeżeli po odpoczynku raczy pan dołączyć do naszej kompanii. Mają tu zupełnie dobre wino.

- Dziękuję. - Zdaniecki skłonił się i odszedł spokojnie.

Gdy znalazł się przed schroniskiem, panowała już noc. W dali majaczyła porwana linia lasu, a nad czubami drzew wysypały się pierwsze gwiazdy. Ratownik czekał na niego ukryty za drzwiami narciarni.

- Panie - powiedział - musiał się pan pchać tam, gdzie Niemcy?

- Jestem cholernie zmęczony.

- Rozumiem. - Ratownik ujął go pod rękę. - Niech pan idzie za mną.

Szli tą samą drogą, co poprzednio z dziewczyną z kuchni, dopiero w korytarzu skręcili na drewniane schody i wspięli się na pierwsze piętro "Dokąd on mnie prowadzi? Czego on chce?" - przelatywały przez znużoną głowę pytania. - "Dlaczego podszedł do mnie? Może to podstęp?" Był jednak tak wyczerpany, że bez sprzeciwu szedł za ratownikiem. Ten zatrzymał się na samym końcu mrocznego korytarza i zapytał nieoczekiwanie:

- Słyszał pan o Władku Mrowcy, przewodniku z Zakopanego?

- Taak - wybąkał zdumiony.

- To zaraz go pan zobaczy. - Pchnął mocno drzwi.

Na ich widok z łóżka zerwał się szczupły, młody mężczyzna o suchej, nerwowej twarzy i wesołych ciemnych oczach.

Ratownik uśmiechnął się do niego znacząco:

- Coś się tak wystraszył, Władek, Przyprowadziłem ci gościa z Polski.

Twarz Mrowcy rozjaśniła się wesołym uśmiechem.

- To pan teraz przyszedł?

- Tak, i to nie sam. Jest nas pięciu.

- A gdzie reszta?

- Czekają w lesie. Pewnie już zamarzli.

- To ja po nich pójdę - ofiarował się słowacki ratownik. - Gdzie oni są?

- Tu, na skraju lasu przy szlaku z Podspadów - odparł pośpiesznie Zdaniecki.

Ratownik bez słowa wyszedł z izby. Mrowca przyjrzał się baczniej przybyszowi.

- Ale pan zmachany. Pewno ciężką mieliście drogę. Niech pan się rozbiera. Niech pan siada. Zaraz zrobimy herbatę - zapraszał go, podsuwając krzesło.

Inżynier całym ciężarem zwałił się na łóżko.

- Przemarzłem - powiedział. - A na pana czekają w Zakopanem.

- Wiem... Dziesięć dni temu miałem być na miejscu. Ale pan rozumie, to nie pociąg... Nie można kursować według rozkładu jazdy. - A potem dodał z uśmiechem: - Miałem ciężkie przejście przez węgierską granicę. Złapali mnie... Na szczęście udało mi się wyrwać.

Zdaniecki był tak zmęczony, że z trudem wydusił z siebie:

- Ale się Jędrak ucieszy, gdy pana zobaczy!

- Jaki Jędrak?

- No... Bukowy.

- Bukowy! - zawołał Mrowca i nagle żywiej błysnął oczami. - A gdzież ten cholerny harnaś?

25

Tego samego dnia Bukowego odwieźli na posterunek policji do Popradu. Posterunek mieścił się na skraju miasta w piętrowej kamienicy. Bez przesłuchania zaprowadzili go do podziemi i zamknęli w wilgotnej, betonowej celi. Był bardzo zmęczony, więc natychmiast zasnął na pryczy. Spał do rana. Dopiero o szóstej, kiedy było jeszcze ciemno, zbudził go rozdzierający głos kobiety. Początkowo nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje, lecz gdy zobaczył wysoko zakratowane okienko, potem brudne, obłazące szarą olejną farbą ściany, przypomniał sobie wczorajsze zdarzenia i nagle poczuł piekielny głód. Żałował, że u "Lukasza" nie zjadł zamówionego obiadu.

W korytarzu wciąż krzyczała kobieta. Ktoś uspokajał ją niskim, nasiąkniętym wściekłością głosem. Słysząc było ciężkie stąpanie, zgrzyt otwieranego zamka, trzaśnięcie drzwi, a potem ten nieludzki, świdrujący krzyk przycichł nagle.

Bukowy dla rozgrzewki zrobił kilka szybkich przysiadów. Ruch przywrócił mu równowagę ducha. Pomyślał, że jakoś wykręci się z tej wpadki. Nie mieli przeciw niemu żadnych obciążających dowodów. To, że odwoził chorego, świadczyło tylko za nim. Gdyby nawet czepiali się o nielegalne przekroczenie granicy, powoła się na Hubla. Ten go na pewno wyciągnie z aresztu. Niepokoił się tylko losem ludzi, których przeprowadził, ale wnet doszedł do wniosku, że Zdaniecki jest doświadczonym mężczyzną i da sobie radę.

Gdy tak rozmyślał, usłyszał zgrzyt klucza w zamku, a po chwili zobaczył policjanta wnoszącego śniadanie.

- Słuchajcie - zagadnął - nie wiecie, za co mnie aresztowali?

- Ja nie od tego, żeby wiedzieć - odparł gburowato. - Ja od tego, żeby pilnować.

Nie wdawał się dłużej w rozmowę. Z apetytem zjadł podłą polewkę i kawał razowca. Potem czekał długo. Nareszcie znowu głośnie kroki, znowu pobrząkiwanie kluczami, zgrzyt zanika i w progu obok strażnika ukazał się ten sam cywil, który go wczoraj aresztował.

- Chodźcie za mną - rozkazał, nie patrząc mu w oczy. - Wyprowadził go z podziemi przez parter na pierwsze piętro. Tu zapukał do drzwi, ktoś mu głośno odpowiedział, więc wszedł lekko popychając przed sobą Bukowego.

Przy Oknie, odwrócony tyłem do drzwi, stał mężczyzna w zielonym mundurze Hlinkowej Gardy. Palił leniwie papierosa. Bukowy zatrzymał się przed stołem zarzuconym papierami. Tamten odwrócił się wolno. Jędrzek cofnął się gwałtownie, jak gdyby otrzymał cios między oczy. Poznał Hubla.

- To ty! - powiedział zdławionym głosem. Hubl uśmiechnął się dziwnie. Dał znak ręką tajniakowi, żeby odszedł, potem zwrócił się do Bukowego kpiąco:

- Mówiłem ci, Bukowy, żebyś zawczasu nie dziękował...

Jędrkiem coś szarpnęło. Zacisnął pięści, zwarł mocno szczęki, zdawało się, że za chwilę rzuci się na Hubla. Ten usiadł za stołem i przesunął bezwiednie arkusz papieru.

- I, jak przyrzekłem, postaram ci się pomóc - dokończył nie patrząc na więźnia.

- Dziękuję ci, Hubl - wydusił z trudem Bukowy. - Od ciebie nie potrzebuję łaski.

- Nie martw się - ciągnął kpiącym tonem - odwieziemy cię do granicy, na Łysą Polanę. Nie będziesz musiał wracać przez góry. Warunki teraz nie najlepsze...

- Dziękuję - przerwał mu ostro. - Powiedz, co zrobiłeś z tym chorym?

- Tak jak powiedziałem. Umieściłem go w szpitalu.

- I co?

- Kiepsko z nim. Właśnie rano miałem telefon od dyrektora. Amputowali mu obie stopy.

- Ale żyje?

- Jak do tej pory... żyje - rzucił pospiesznie i niemal koleżeńskim gestem wskazał krzesło.

- Siadaj, Bukowy. Powiedz lepiej, co z tobą? Jędrzek milczał. Przypatrywał mu się wyzywająco. W opiętym mundurze, z opaską partyjną na ramieniu, Hubl przypominał teraz gestapowca. Nawet jego twarz nabrała odpychającego wyrazu.

Hubl zastukał nagle palcami.

- No, Bukowy... Powiedz coś o sobie... Nie krępuj się...

- To ty mnie kazałeś aresztować? - zapytał Jędrak.

Hubl wzruszył ramionami.

- Umówiłem się z tobą u "Lukasza", ale wybacz, nie miałem czasu.

W oczach Bukowego zapalił się błysk gniewu.

Zerwał się z krzesła, oparł ręce o krawędź stołu i nachyliwszy się, powiedział z naciskiem:

- Nie wiedziałem, że z ciebie taki drań i taka szuja.

Hubl poderwał się. Oczy nabiegły mu krwią, a twarz wykrzywił grymas wściekłości. Z całej siły walnął pięścią w stół.

- Zapominasz, gdzie jesteś i z kim rozmawiasz.

- Już teraz dobrze wiem. Nie spodziewałem się, że się tak ześwinisz.

- Milcz! - wrzasnął Hubl i nagle przesunął kaburę pistoletu na biodro.

- Nie strasz - uśmiechnął się Bukowy. - Zapominasz, że byliśmy kiedyś kolegami. Startowaliśmy razem. - Wolnym ruchem wskazał na przypiętą do bluzy odznakę. - Widzę, że masz jeszcze plakietkę z Chamonix...

- To były inne czasy - przerwał mu. - Zapomnij o tym.

- I ty byłeś inny.

Hubl opuścił na chwilę głowę.

- Wojna, człowieku. To nie moja wina, że znaleźliśmy się po przeciwnych stronach. - Nagle sprężył się, zmarszczył brwi, spojrzał surowo, jakby chciał zatuszować chwilę słabości. - A teraz, mów, gdzie są ci ludzie, których przeprowadziłeś z Polski? Bo ten chory to tylko jeden...

Bukowy milczał. Postanowił zmienić ton rozmowy. Po chwili rzucił niemal wesoło:

- Ty, Paweł, chyba żartujesz. Zaraz ci wytłumaczę, jak to było.

- Właśnie na to czekam.

- Myślisz, że w tak głupi sposób pchałbym się przez granicę? Znasz mnie trochę. Po prostu kłusowałem. Szedłem na jelenia...

Tamten zaśmiał się głośno.

- Kłamiesz. Ten chłop, co przywiózł was z Cichej, mówił mi, że było was sześciu.

- To się zgadza, ale nie zapytałeś go, skąd ja się tam wziąłem?

Hubl pokiwał kpiąco głową:

- Ty, Bukowy, nie myśl, że jestem taki naiwny. Mnie nie nabierzesz. Ja dobrze wiem, jak wygląda wasza robota. Ty i twoi koledzy przeprowadzacie ludzi na Węgry. Łapaliśmy już takich. Radzę ci, mów, gdzie tych pięciu?

Bukowy wzruszył ramionami.

- Sam przeszedłem granicę. Za jeleniem, rozumiesz? Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

Hubl uśmiechnął się kpiąco.

- Człowieku, mnie nie nabierzesz. Radzę ci, zastanów się. Jeżeli mi powiesz prawdę, to cię puszczę. Jeżeli będziesz kręcił, to wiesz, co cię czeka. Odwieziemy cię pięknie na Łysą Polanę, oddamy gestapowcom, a oni zabawią się z tobą. No, mów, to jedyny twój ratunek. - Przypatrywał mu się zimnymi, pełnymi zawziętości oczyma.

Ale w oczach Jędrka ujrzał nieugięty upór i pogardę.

- Mówisz czy nie? - powtórzył. A gdy Bukowy nawet nie drgnął, krzyknął: - Zaczekaj, zaraz będziesz inaczej śpiewał. - Otworzył szeroko drzwi w stronę korytarza: - Przyprowadźcie tego drugiego!

- Po co to wszystko, Hubl? - powiedział Bukowy, gdy tamten wrócił. - Niczego więcej nie dowiesz się ode mnie.

- Zobaczymy...

Bukowy cofnął się pod ścianę. Czekał w napięciu. Nagle przyszło mu na myśl, że mogli złapać kogoś z piątki. Może Zdanieckiego.

Po chwili w korytarzu odezwały się kroki. Klamka opadła, ktoś pchnął drzwi, a w progu obok tajniaka stanął Romek Buńda.

Na widok Bukowego uniósł zdziwiony głowę. W jego oczach pojawił się ostrzegawczy błysk. Tajniak pchnął Buńdę na środek pokoju, zatrzasnął za sobą drzwi. Romek jeszcze raz zwrócił głowę w stronę Jędrka. Ich spojrzenia starły się na ułamek sekundy; jedno ciężkie, niemal oskarżające, drugie - płochliwe. Hubl bacznie obserwował ich.

- Panowie się dobrze znacie.

Tamci dwaj milczeli; Buńda opuścił nisko głowę. Twarz miał spuchniętą i siną, oczy zapadnięte. Bukowy pomyślał, że go dobrze maglowali. Naraz Hubl zerwał się, podszedł do Jędrka, szarpnął go za ramię i wskazał ręką na Buńdę.

- Poznajesz go?

- Nie - odpowiedział spokojnie.

- A ty - doskoczył do Buńdy - znasz tego człowieka?

- Nigdy go nie widziałem.

Hubl wymierzył Bundzie suchy policzek, aż głowa górala odskoczyła do tyłu.

- A teraz? - wrzasnął. - Teraz przypominasz go sobie?

- Nie - odparł tamten z uporem.

- Przecież mówiłeś, że mieszkasz na Skibówkach. Mówiłeś czy nie?

- Mówiłem.

- To dziwne, obaj mieszkacie na Skibówkach i nie znacie się.

Wtedy z kąta odezwał się Bukowy.

- Daj spokój, Hubl, po co ta komedia. Znamy się, ale co z tego?

Hubl jednym skokiem znalazł się przy Jędrku. Szarpnął go za ramię. Zamierzył się, ale w ostatniej chwili cofnął rękę.

- Ty, Bukowy! - wrzasnął. - Od tej chwili nie jestem dla ciebie Hublem, rozumiesz? Jestem oficerem policji. Ja wszystko wiem. Razem przeprowadzacie ludzi...

Buńda zachnął się.

- Przecie wam mówiłem, że ja nie przewodnik, tylko przemytnik.

- Przemytnik - zaśmiał się cierpko Hubl. Był już za stołem. Jednym ruchem wyszarpnął szufladę, wyjął z niej małe zawiniątko, a kiedy je rozsupłał, na stół wypadły dwa zegarki, pierścionek i złoty medalik. - A to co?

Buńda wzruszył ramionami.

- Już wam mówiłem... towar.

- Ty mnie nie ucz, co się do nas przemyca. Dostałeś za to, żeś ich przeprowadził.

Buńda zerknął w stronę Bukowego; w jego oczach można było odgadnąć wstyd i jakby prośbę o usprawiedliwienie. Jędrzek pokiwał tylko głową. Hubl spostrzegł ten gest i wrzasnął na Bukowego:

- A ty ile bierzesz od jednego człowieka?

- Już ci mówiłem - powiedział chłodno - że sam przeszedłem granicę.

Hubl zawinał szybko przedmioty w chusteczkę i rzucił je do szuflady.

- Eee... co ja się będę z wami babrał. Nie chcecie mówić, to jeszcze dziś każę was odwieźć na granicę. Tam... - Nie dokończył, gdyż w tej chwili na dole dał się słyszeć przeraźliwy krzyk kobiety, a potem głośne krzyki i nawoływania. Hubl podbiegł do okna, otworzył je jednym szarpnięciem, wychylił się. - Co tam się dzieje, do jasnej... - zaklął.

Nikt mu jednak nie odpowiedział. Zatrzasnął więc okno i biegiem ruszył ku drzwiom. Za chwilę był już na korytarzu. W tym momencie krzyk kobiety przeszedł w przeciągłe wycie. "Zabijają go! Zabijają!..." - krzyczała.

Bukowy stał jeszcze chwilę w kącie, lecz gdy tylko usłyszał oddalające się kroki, jednym skokiem znalazł się przy oknie. Szarpnął je. Ustąpiło bez oporu. W mgnieniu oka ocenił położenie; spod okna dach stromo opadał ku rynnie, a za jej krawędzią, na dole, widać było pryzmę zwiezionego koks. Nie zastanawiał się dłużej; odbił się mocno od framugi, a potem - jak skoczek z trampoliny - poszybował w dół. Zwinęło go. Stoczył się po stromiźnie dachu i jeszcze w locie uczepił się rynny. Zawisł na rękach, lecz zardzewiała blacha nie wytrzymała jego ciężaru. Wyrwana z okuć, runęła razem z nim na stertę koks. Opadł jednak miękko, elastycznie na obie nogi. Nie odczuł nawet wstrząsu, tylko nad sobą usłyszał łomot, a gdy uniósł głowę, zobaczył skaczącego z okna Buńdę.

- Uciekaj w drugą stronę! - zawołał.

Buńda albo nie zrozumiał ostrzeżenia, albo bał się samodzielnej ucieczki, gdyż ruszył za Jędrkiem. Ten był już przy murowanym ogrodzeniu. Pokonał go jednym zrywem, a gdy znalazł się po drugiej stronie, zobaczył wąską uliczkę, ciągnącą się wśród rzadko rozrzuconych zabudowań. Biegł chwilę pod murem, potem zboczył między opłotki. Zapadając się po kolana w głębokim śniegu, z trudem dotarł do przetartej przez sanie drogi. Wtedy usłyszał pierwszy strzał... Ktoś wypalił zza muru. Obejrzał się. Buńda biegł wciąż za nim.

Minął starą szopę, potem zasypane śniegiem podwórze, znowu przesadził płot i nagle z ulgą zobaczył stromą skarpe po sam brzeg zarośniętą gęstymi krzakami. Jeszcze raz obejrzał się za siebie. Zobaczył Buńdę dobiegającego do płotu, a za nim dwóch uzbrojonych żandarmów i cywila. Żandarm strzelał z pistoletu.

Nie namyślał się wiele. Skoczył w gęstwinę, błyskawicznie stoczył się na dno głębokiego jaru i utonął w puszystym, głębokim śniegu. Poderwał się, lecz po kilku krokach potknął się i ugrzązł jeszcze głębiej. Doznał takiego uczucia, jak gdyby znalazł się w pułapce. Nad nim poruszyły się krzaki. Usłyszał trzask łamanych gałęzi, a po chwili ktoś z łomotem stoczył się na dno wąwozu. Z ogromną ulgą poznał Buńdę.

- Uciekaj! - usłyszał jego krzyk.

Rzucił się w stronę stromego brzegu wąwozu. Chwytając się krzaków, wspinał się mozolnie.

Za sobą słyszał chrapliwy, ciężki oddech Buńdy, a gdy się obejrzał, na wysokości skarpy zobaczył przedzierającego się przez krzaki żandarma. "Złapią nas" - przemknęła mu myśl. Ostatkiem sił wspiał się na skarpe, wyrwał się z zasieków zarośli i nagle wyrósł przed nim drugi mur. Na szczęście był niewysoki, tak że bez wysiłku mógł dosięgnąć jego krawędzi. Wsparł się więc palcami w chropowatą, oblodzoną krawędź i pomagając sobie kolanami, wdrapał się na mur. Pod sobą miał krzyże, groby, kamienne nagrobki, a dalej w kępie drzew kaplicę cmentarną. Zeskoczył między groby. Zboczył ku wydeptanej alei i w tej chwili usłyszał za sobą odgłos spadającego ciała, a potem stłumiony okrzyk. Obejrzał się. Buńda leżał pod żelaznym krzyżem i wyciągał ku niemu błagalnie ręce.

- Jędrak - jęczał - Jędrak, ratuj! Bukowy zawahał się. Z drugiej strony muru dochodziły gorączkowe nawoływania. Żandarmi byli już w jarze.

Buńda z ogromnym wysiłkiem uniósł się na kolana. Chciał wstać, lecz potknął się i runął twarzą w śnieg. Bukowy cofnął się. Złapał Buńdę za ramiona, zaczął go wlec. Ciało było ciężkie i bezwładne.

- Co ci jest? - zawołał w gniewnym pośpiechu.

- Rozprułem się na tym krzyżu.

Z ogromnym wysiłkiem dźwignął go wyżej, jego rękę przerzucił przez swoje ramię. Teraz lżej mu było wlec bezwładne ciało. Drobnymi krokami zbliżał się do kaplicy. Jeszcze raz obejrzał się. Tamtych jeszcze nie było. Widocznie mieli kłopoty z forsowaniem jaru.

Kiedy dowlóknął Buńdę do schodów kaplicy, usłyszał za sobą nawoływania żandarmów. Jednego z nich zobaczył na murze. Ogarnęła go panika. Chciał zostawić Buńdę na schodach, lecz ten kurczowo wczepił się w jego ramię. Powlókł go jeszcze kilka kroków. Przed sobą miał otwarte drzwi, przez które widać było trumnę na katafalku, a za nią ołtarz z obrazem ukrzyżowanego Chrystusa. Złapał więc Buńdę pod pachy i wciągnął do kaplicy.

Rozglądał się w narastającym popłochu, szukając schronienia. Z prawej zobaczył niszę. Ruszył w jej kierunku. Natrafił na niewielkie, niskie drzwi. Pchnął je. Ustąpiły. Z ogromnym wysiłkiem podniósł Buńdę, przekroczył próg i w tym momencie, nie widząc stopni, potknął się i wraz z Buńdą stoczyli się po schodach w ciemną, wilgotną piwnicę. Zatrzymał się dopiero na samym dole, wśród metalowych wieńców, skrzyń ze świecami i trumien. Wtedy właśnie usłyszał na górze ciężkie kroki wbiegających do kaplicy żandarmów i ich stłumione okrzyki.

Pomyślał, że ich nakryją, bo drzwi do piwnicy pozostały otwarte.

Pierwszy przeskoczył mur żandarm o rudych baczkach. Pod murem zobaczył na śniegu ślady uciekających. Pobiegł ich tropem, ale wnet je zgubił na wydeptanej już alejce. Zatrzymał się bezradnie. Wtedy dołączył cywil w lodenowej zielonej kurtce.

- Dalej! Dalej! - zawołał zziębnięty i pierwszy rzucił się w stronę kaplicy.

Dobiegli do schodków. Tutaj drogi rozgałęziały się w trzech kierunkach - jedna biegła ku cmentarnej bramie, druga na tyły kaplicy, a trzecia w bok, w stronę muru. Cywil zatrzymał się.

- Ty wal w tamtą stronę! - rozkazał żandarmowi, pokazując ścieżkę okrążającą kaplicę.

Żandarm ruszył bez słowa. Cywil wbiegł do kaplicy. W tej chwili dogonił go drugi żandarm, potężne chłopisko z czerwoną gębą. Wtoczył się do kaplicy z ciężkim sapaniem. Na widok trumny замуrowało go. Stał w szerokim rozkroku i wpatrywał się w mosiężnego aniołka, zdobiącego wieko trumny.

- Na co czekasz? - warknął na niego cywil w lodenowej kurtce.

Żandarm w popłochu jął krążyć wokół katafalku. Po chwili z bocznych drzwi umieszczonych naprzeciw niszy wysunął się starzec; był okryty starym kozuchem, na który zarzucił drelichowy płaszcz, na głowie miał włóczkową mykę, w dłoniach trzymał wieńce z jodłowych gałązek. Na widok żandarma wypuścił z rąk wieńce.

- W imię ojca... - wymamrotał - zdejm czapkę synu.

Żandarm sięgnął bezwiednie po czapkę, lecz cywil powstrzymał go pełnym nagany spojrzeniem i zwrócił się do grabarza:

- Nie widzieliście tu dwóch... uciekali przez mur?

Grabarz uśmiechnął się głupekowato. Uniósł dłoń do ucha.

- Mówcie głośniej - powiedział starczym głosem - bo nic nie rozumiem.

Cywil nachylił się do jego ucha.

- Dwóch uciekało - krzyknął. - Pewno się tu ukryli?

Starzec spojrzał zdumiony.

- Tutaj?... Eee... co też opowiadacie... Tu tylko ten nieboszczyk - wskazał na trumnę - i ja. Kto by się tu ukrywał.

Cywil zniecierpliwiony gestem ręki przeciął powietrze. Zaczął myszkować po kaplicy. Podwinął sukno katafalku, zajrzał za ołtarz, potem skierował się do bocznych drzwi, z których

wyszedł przed chwilą grabarz. Staruszek tymczasem podniósł wieniec i drobnym kroczkiem poczłapał za tajniakiem, obserwując go podejrzliwie, jak gdyby się obawiał, że zakłóci spokój w przybytku zmarłych.

Cywil odwrócił się gwałtownie.

- Mówicie, że tu nikogo nie było? Tamten znowu uniósł dłoń do ucha.

- Synu, mów głośniej, bo nie słyszę.

- Nikogo nie było? - wrzasnął cywil, tracąc cierpliwość.

Na twarzy starca pojawił się chytry uśmieszek.

- Są... są - wymamrotał bezzębnymi ustami - dwa nowe trupy. Jeden, to ho, ho! Sam naczelnik poczty w Łomnicy! Wieniec dla niego.

Cywil spojrzał na starca z odrazą. Zwrócił się do żandarma, który przez cały czas przypatrywał się metalowej główce aniołka.

- Idziemy! Pewno uciekli w drugą stronę.

*

Bukowy wtulił się między skrzynie. Czekał, kiedy na nikle oświetlonych smugą światła schodach zjawią się żandarmi. Tymczasem na górze słychać było tylko stąpania. Od czasu do czasu dolatywały stamtąd niezrozumiałe okrzyki. Raptem wszystko ucichło. Bukowy wyczołgał się spomiędzy skrzyń, potknął się o połamany lichtarz i zaklął cicho. Wtedy usłyszał zdławiony okrzyk Buńdy:

- Jędreku, uciekaj!

Podszedł do niego na klęczkach. Buńda leżał wśród wieńców i lichtarzy z głową opartą na wieku trumny. Był blady, a na jego czole lśniły wielkie jak groch krople potu. Bukowy wytarł mu czoło.

- Co ci? Co się stało?

- Brzuch rozprułem - wydusiłem z trudem. - Flaki mi wyszły na wierzch... zostaw mnie...

Bukowy chwycił go za ramię. Chciał go podźwignąć, lecz Buńda powtórzył głośniej:

- Zostaw. Ze mnie już nic nie będzie.

- Tamci odeszli - wyszeptał Jędrrek.

- Uciekaj. Ja już nie mogę. - Otworzył z trudem powieki i spojrzał niemal błagalnie. - Nie mogę...

Bukowy nachylił się nad nim. Pod głowę podłożył mu czapkę.

- Ty, Romek - zapytał - a co z tamtymi?

- Zostali na grani.

- Nie ci. Co z tymi, coś ich przeprowadził?

- Jeden... jeden zginął. Dwaj pojechali do Koszyc... pociągiem - mówił z wielkim trudem. Nagle zwrócił ku Bukowemu mgłą zachodzące oczy. - Jędrrek... mówię ci... tak dużo, że rozum straciłem... To moja wina.

Bukowy ocierał chustką jego zimne od potu czoło.

- Teraz nie myśl o tym.

- Potraciłem ludzi... Nie usłuchałem... I po co mi teraz te zegarki... Tamci zabrali...

- Nie myśl o tym - przerwał łagodnie. Buńda zachłysnął się własnym oddechem. Jego oczy zmatowiały.

- Jędrrek... - wyszeptał.

- Co?

- Nie myślałem, że tak głupio zginę... - głowa opadła mu na ramię. Znieruchomiał.

Bukowy chwycił go za barki, uniósł wyżej.

- Romek! Romek! - zawołał załamującym się głosem, lecz Buńda nie odpowiadał.

*

Przez chwilę miał takie wrażenie, że już nigdy nie wymknie się z tej piwnicy. Wnet jednak otrząsnął się z przygnębienia. Zaczął działać. Ciało Buńdy ułożył między dwiema skrzyniami i nakrył znalezionym wśród rupieci workiem. Stał nad zmarłym. Pochylił głowę, a w myśli powtarzał ostatnie jego słowa: "Nie myślałem, że tak głupio zginę". Potem przetarł twarz dłońmi, spojrzał w górę na nikłą smugę światła załamującą się na kamiennych stopniach i zbliżył się do schodów. Na

górze było cicho. Szedł wolno, wspinając się ze stopnia na stopień, a gdy dotarł do drzwi, jego twarz owionął powiew mroźnego powietrza. I nagle zrobiło mu się lżej.

Wyszedł ostrożnie z niszy. Na palcach skierował się do drzwi kaplicy, za którymi widać było wydeptaną ścieżkę i fragment pierwszego nagrobka. Gdy wychylił się zza katafalku, naraz drgnął. O dwa kroki od niego stał grabarz w drelichowym fartuchu i w wełnianej mycce na łysej głowie. Bukowy widział jego przygarbione plecy, wymykające się spod mycki kosmyki rzadkich włosów i brunatne plamy na pomarszczonej szyi. Starzec układał jodłowy wieniec obok trumny. Wtem, jakby wyczuł obecność człowieka, odwrócił się raptownie i wydał krótki okrzyk.

Bukowy zachował zimną krew. Uklęknął wolno przed trumną, skłonił głowę i poruszając wargami, udał, że się modli. Starzec patrzył na niego nieufnie, lecz po chwili, wiedziony ciekawością, zbliżył się drobnymi krokami do Bukowego.

- Niech będzie pochwalony - pozdrowił go głośno.

- Na wieki wieków...

- To wasz krewny? - zapytał starzec wskazując trumnę.

- Tak - odparł bezwiednie.

- Głośniej, bo nic nie słyszę.

- Krewny - huknął mu do ucha Bukowy. Stary pokiwał głową chcąc wyrazić żal.

- Dobry był człowiek ten Nachimek i tak mu przyszło kipnąć. Panie, świeć nad jego duszą.

- Świeć, Panie... powtórzył szybko Bukowy. - Odwrócił się i, trzymając nerwy na wodzy, oddalił się normalnym, może nawet zbyt wolnym krokiem.

Przed kaplicą krążyły wrony. Ich krakanie nadawało smętnemu otoczeniu jeszcze więcej grozy. Bukowy rozejrzał się bacznie. Aleje były puste, tylko z boku, przy drewnianym krzyżu, klęczała kobiecina opatulona czarną chustą. Pomyślał, że najbezpieczniej będzie wrócić tą samą drogą, którą dotarł do kaplicy... Spojrzał więc w stronę muru i ruszył swobodniejszym krokiem.

Kierownik schroniska, Tokacz, wracał rano z Ważca do Trzech Studniczek.

Było mroźno, a gdy słońce oświetliło drogę, śnieg zaiskrzył się fioletowo. Koń z trudem

ciągnął sanie. Góral, który prowadził konia, zabijał co chwila ręce i truchtał Obok sanek. Tokacz wtulił głowę w podniesiony kołnierz kozucha. Czuł, że twarz pali go od mroźnego powietrza. Przez chwilę oglądał pasące się na dalekiej polanie jelenie. Widać było, jak przednimi nogami odgrzebują spod śniegu gałązki. A kiedy wspięli się na najwyższe wzniesienie, zobaczyli cieniutkie słupy dymu bijące z domów w Podbańskiej.

Z zamyślenia wyrwał go woźnica.

- Panie Tokacz - zwrócił się nagle ożywiony - tam w lesie ktoś jest. - Pokazał batem w stronę zarośli.

Tokacz zeskoczył z sań. Wśród młodej smreczyny zobaczył przedzierającego się mozolnie mężczyznę. Nieznajomy był tylko w narciarskim swetrze, a głowę owiniętą miał kraciatym szalikiem. Tokacz zbliżył się do niego.

- Hej, człowieku! - zawołał.

Tamten nie spojrzał nawet w jego stronę. Zerwał się do ucieczki. Po kilku ruchach zachwiał się jednak i bezsilnie opadł w puszysty śnieg. Tokacz podbiegł do niego. Nieznajomy próbował podnieść się na klęczki, lecz znowu osunął się bezwładnie i pozostał na śniegu.

Tokacz złapał go za ramię.

- Nie bój się, człowieku! - Odwrócił go ku sobie i nagle wydał okrzyk zdumienia: - Jezus, Maria!... To ty, Jędrak?

Trwożnie zdumiony patrzył na jego siną twarz, na zapadnięte oczy, na popękane wargi i choć chciał powiedzieć kilka cieplejszych słów, nie mógł dobyć głosu z zaciśniętego gardła.

Bukowy uśmiechnął się nikle, a w jego oczach pojawiły się iskierki radości.

- Laco! - wyszeptał z ogromnym wysiłkiem. - Nie poznałem cię.

*

- To cię ten Hubl wspaniale urządził - powiedział Laco Tokacz. - Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej... On od dawna w Hlinkowej Gardzie... a szczerze mówiąc, jaki to Słowak... Po prostu spiski Szwab. Jego ojciec miał piekarnię w Kieżmarku. W domu mówili po szwabsku. - Tokacz otworzył drzwiczki pieca i dorzucił do ognia kilka polan. Zapachniało żywicą.

Poddasze było napchane ludźmi. Marcin Zdaniecki, dwaj lotnicy i kapitan grali przy stole w brydża. Inżynier popijał z menażki herbatę. Bukowy leżał w łóżku opatulony kocami. Twarz i ręce miał wysmarowane białą maścią przeciw odmrożeniu. Zdawało się, że zamiast twarzy ma maskę.

Teraz spojrział poważnie na Tokacza.

- To drań. Po prostu drań i szubrawiec - wydusił ze złością. - Żeby chociaż od razu powiedział, co i jak. A on podstępem... A ja, bracie, myślałem, że to prawdziwy sportowiec.

- Wśród sportowców też są dranie - przerwał mu inżynier Zdaniecki. - Taki Roerl - niby trener, a właściwie gestapowiec. Nie zapominaj, w jakich żyjemy czasach.

- Nie - zachnął się Bukowy. - Nie mogę się z tym pogodzić.

- Daj spokój, Jędrak - przerwał mu Tokacz. Wyjął z pieca rozżarzony węgielek i odpalał od niego fajkę. - Dziękuj Bogu, że tak się skończyło.

- Ja go jeszcze kiedyś spotkam - powiedział Bukowy, zaciskając zęby. - Mówię wam, myślałem, że już nigdy nie dojdę do schroniska.

- Miałeś szczęście, że cię znalazłem - rzucił w zamyśleniu Tokacz.

Bukowy uśmiechnął się nikle.

- Najgorsze, że nie miałem ani czapki, ani rękawic... No bo, wiecie, zwałem, tak jak stałem. A mróz w nocy był cholerny.

- Toś ładny kawał wędrował... aż z Popradu - dorzucił inżynier.

- To głupstwo, ale musiałem omijać wszystkie wsie i osady. Trzymałem się lasu. Pod Łomnicą spotkałem chłopca, co wioził drzewo. Dał mi kawałek spyrki. To mnie uratowało. A potem znalazłem ten szalik. Pewno ktoś zgubił po drodze. Zrobiłem z niego pierwszorzędną czapkę. Dzięki niemu mam jeszcze uszy - zażartował.

- I mózg ci nie zamarzał - roześmiał się Tokacz.

Inżynier z podziwem pokręcił głową.

- Twardy z ciebie chłop, Jędrak.

Bukowy zwrócił się w stronę stolika.

- No to co, panowie? Jutro walimy dalej.

- Mowy nie ma! - zawołał Tokacz. - Ty jeszcze dwa, trzy dni musisz posiedzieć!

- Zwariowałeś - zaprotestował żywo Bukowy. - Urwę się z nudów.

- Nie, Jędrak - powiedział inżynier tonem perswazji. - Nie puścimy cię wcześniej. Poczekamy, aż Władek wróci z Zakopanego i wtedy razem pojedziemy z tym kierowcą.

- Z jakim kierowcą?

- To nie wiesz? - zdziwił się Tokacz. - Z tym samym, który pierwszy raz przywiózł was z Kyssaku.

- Z Mikiem! - ucieszył się Bukowy.

- Właśnie. On już zupełnie do was przystał. Kursuje od granicy do granicy jak taksówkarz.

- Miko! - wyszeptał Jędrak w zamyśleniu. W pamięci przywołał wieczór u Tabora i zobaczył drobną postać słowackiego kierowcy; jego twarz i pogodny pełen wyrozumiałości uśmiech. Westchnął, a potem powiedział głośno. - Na szczęście mamy jeszcze prawdziwych przyjaciół.

CZĘŚĆ DRUGA

W MATNI

1

- Gratuluję, panie Jędrku, tym razem przeszedł pan trasę w rekordowym czasie! Pana zdrowie!

- Pułkownik Obertyński uniósł napełniony winem kieliszek i skinął w stronę Bukowego.

Siedzieli w restauracji "Pod Apostołami" przy placu Eskü. Był styczeń czterdziestego pierwszego roku. Na dworze mgliście, wilgotno, ni to późna jesień, ni wczesna zima; padał mokry śnieg, a wielkie płatki ledwie dotknęły czarnego asfaltu, zamieniały się w maziste krople deszczu. W restauracji było ciepło, przytulnie. Ruch niewielki. Od czasu do czasu przemknął kelner z tacą pełną szkła i porcelany, czasem pojawił się boy z papierosami.

- Pana zdrowie! - powtórzył Obertyński. Bukowy uczynił taki ruch, jakby go chciał powstrzymać.

- Przepraszam, ale najpierw wypijemy za tych, co w drodze!

Pułkownik nieco wyżej uniósł kieliszek.

- A więc za tych, co na szlaku! - Wychylili, Pułkownik baczniej przyjrzał się Bukowemu. - Niech mi pan powie, jak pan to zrobił? Spodziewaliśmy się pana dopiero pojutrze.

Bukowy uśmiechnął się nikle, jakby do swoich myśli... "Co ja ci będę opowiadał, człowieku. I tak nie zrozumiesz. Siedzisz wygodnie w Budapeszcie..." I niemal jednocześnie powiedział:

- Widzi pan, to wszystko zależy od szczęścia. Wyruszamy w drogę i nigdy nie wiemy, co nas czeka, gdzie to się urwie. Tym razem wszystko poszło gładko, miałem doskonałe warunki... No i szczęście.

Obertyński patrzył na Bukowego z nie ukrywanym podziwem.

- Niech pan nie będzie taki skromny. To był przecież wyczyn. W trzydzieści sześć godzin zrobić trasę Zakopane - Budapeszt przez dwie granice, trzy kraje... No, no - pokręcił głową i z kryształowej karafki napełnił kieliszki. - A teraz, to już twoje zdrowie, Jędrku!

- Dziękuję...

Wino było przyjemnie cierpkie. Łagodnym ciepłem rozchodziło się po żyłach, rozpalało krew i wprowadzało Bukowego w nastrój pogodnej zadumy.

- Tak - podjął po chwili. - Tym razem miałem wyjątkowe szczęście. W górach było pogodnie i

mroźno. Szedłem przez przełęcz pod Kopą... Zjazd był fantastyczny. Nawet nie wiedziałem, kiedy znalazłem się w Trzech Studniczkach, a tam już czekał na mnie Miko.

- Ten nasz Miko, to największy skarb, jaki mamy na Słowacji - przerwał mu Obertyński.

- Morowy chłop. Dzięki niemu kursujemy przez Słowację jak taksówką po Budapeszcie. A potem - dodał w zamyśleniu - poszedłem nie na Koszyce, a na Rozsnyó. Łatwiejsza droga. Znowu pogoda, znowu dobre warunki, a najważniejsze, że zdążyłem ma pośpieszny, który odchodzi rano. Widzi pan, że to wcale nie tak wielki wyczyn.

Pułkownik uśmiechnął się dobrodusznie.

- Pan mnie zadziwia. Mówi pan o tym przejściu jak o spacerze po Vaczi, a o ile dobrze sobie przypominam, nikt jeszcze nie zrobił tej drogi w tak krótkim czasie. Pan, oprócz szczęścia, ma jeszcze cholerny instynkt d wyczucie.

Bukowy wzruszył ramionami.

- Pan wie, jak to bywa. Ja też raz wlokłem się cały tydzień przez Słowację. Zdawało mi się, że nigdy nie dojdę do Zakopanego, a inni... - urwał nagle i spojrzał Obertyńskiemu w oczy.

Ten opuścił lekko głowę. Zabębnił palcami po krawędzi stołu.

- Inni - dodał cicho Bukowy - w ogóle nie doszli. Pamięta pan obławę w Preszowie, kiedy zgarnęli dwóch naszych i Stasię Gładczankę?

Pułkownik napełnił znowu kieliszki.

- Wojna, chłopie - powiedział szorstko. - My też jesteśmy żołnierzami, a gdzie drzewo rąbią tam... - nie dokończył, tylko uniósł kieliszek i wypił szybko, jak gdyby chciał w sobie coś stłumić. Potem zapytał: - Ile to razy zrobił pan tę trasę?

- Ile razy? - powtórzył Jędrrek zaskoczony i nagle uśmiechnął się rozbrajająco: - Wie pan, że nie liczyłem.

- Może piętnaście, albo i więcej.

- Może... Ale to przecież nieważne. Nie myślałem o tym. Idzie się i już. Czasem nie pamięta się o tym, że się przeszło, a czasem jedna tura liczy się za kilka. I czas jakoś leci.

- No tak... pułkownik tarł w zamyśleniu dobrze wygolony policzek. - Dawno już minął rok, jak poszliście z Wichniewiczem pierwszy raz.

- O właśnie - podjął pogodnie Bukowy - takie przejścia się liczą. Nie zapomnę do końca życia... Do tej pory nie mogę swobodnie ruszać ręką. - Jakby dla potwierdzenia uniósł ramię i opuścił gwałtownie.

- A potem przyprowadził pan lotników.

- To nie ja. To Władek.

- Tak, ale pan przeprowadził ich przez granicę. I od tego czasu...

- Kursuję - zakończył za pułkownika Bukowy.

Obertyński przyjrzał mu się uważniej, jak gdyby chciał zapamiętać to jedno słowo wypowiedziane tak swobodnie i tak trafnie określające jego rozmówcę.

- No tak - uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Chyba jest pan zadowolony z naszej współpracy?

- Jesteśmy żołnierzami, panie pułkowniku - odparł z namysłem Bukowy.

- Raczej towarzyszami broni - sprostował wesoło pułkownik i nagle zapytał poważnie: - A co u pana w domu?

Bukowy drgnął.

- Do domu, jak pan wie, nie zachodzę. Nie chciałbym narażać rodziny.

- Rozumiem, ale ma pan jakieś wiadomości?

- Matkę kilka razy wzywano na gestapo. Zwłaszcza po tej wyspie z Hublem. Od tego czasu mają oko na nasz dom. Dopytują się o mnie.

- To dobrze, że pan unika domu. - Wolnym ruchem sięgnął po karafkę, na której dnie złociło się jeszcze trochę wina. Rozlewał z rozwagą. - To dobrze, że pan jest ostrożny. Pamięta pan pierwsze miesiące po kapitulacji... Pierwsze Boże Narodzenie. Myśleliśmy wtedy, że za rok będziemy świętować w domu... A przez ten czas Niemcy zajęli Jugosławię, zgnetli Francję, zdawało się, że zmiotą Anglię. Zmieniło się, chłopie, ale na gorsze. I my pracujemy w coraz gorszych warunkach. Nie ma pan pojęcia, jak teraz Niemcy naciskają na Węgrów. Dawniej można było z Węgrami wszystko załatwić. Dzisiaj coraz trudniej. A na Słowacji... to pan sam wie najlepiej.

- Najważniejsze, że tu i tam mamy dobrych przyjaciół. Taki Miko. Nieraz się zastanawiam, dlaczego tak się naraża? Albo siostry Zamkowskie, te z Dobszyny. Wszystko zrobią, o co się tylko poprosi.

- No tak - pułkownik zerknął na zegarek, jakby chciał dać do zrozumienia, że czas rozmowy już mija. Szybkim ruchem uniósł kieliszek. - Jeszcze raz za tych, co na szlaku!

- To za Jaśka Lasaka - powiedział Bukowy - bo on właśnie jest w drodze do Zakopanego.

- Za Lasaka! - pułkownik szybko opróżnił kieliszek. - Przepraszam, ale mam spotkanie na

drugim końcu Budapesztu. Widzisz, chłopie - zażartował - że i ja tutaj kursuję. - Chciał wstać, lecz Bukowy zatrzymał go stanowczym ruchem.

- Przepraszam... dlaczego pan chciał się ze mną spotkać? Do tej pory kontaktowaliśmy się zawsze przez Marysię albo Antka Wichniewicza...

Pułkownik uśmiechnął się przekornie.

- A ty, chłopcze, coś myślał?

- Ja... no, oczywiście, że ma pan do mnie służbową sprawę.

Pułkownik położył mu dłoń na ramieniu.

- Chciałem cię po prostu zobaczyć - powiedział po ojcowsku. - Lubię cię, Jędrzek. Czasem trzeba sobie pozwolić na taki luksus, nawet w naszej robocie.

2

Padał gęsty, wilgotny śnieg i cały plac tonął w mglistej bieli. Jędrzek Bukowy stał na przystanku tramwajowym. Czekał na "czterdziestkę dziewiątkę". Chciał się dostać do mostu Małgorzaty, a stamtąd do stacji podmiejskiej kolei elektrycznej. Na rozgrzanych policzkach czuł przyjemne łaskotanie śnieżnych płatków. Chwilę spoglądał na majaczący w zamieci neon reklamujący szampan Törley'a. "Pij tylko szampan marki Törley'a" zapalał się na dachu kamienicy karminowy napis i gasł na chwilę, jakby zdławiony zamiecią. Dookoła parasole oblepione śniegiem jak watą, a pod parasolami skuleni z zimna ludzie. Na tramwajowej wysepce zrobiło się tłoczno. Wszyscy spoglądali w stronę placu Kalwina, skąd miał nadjechać upragniony tramwaj.

Po chwili Bukowy spostrzegł, a raczej wyczuł, że ktoś mu się uważnie przypatruje. Zerknął w bok i w tej samej chwili przywołał na pomoc wspomnienie. Niby w nagłym olśnieniu ujrzał obity tapetą przedpokój, a w nim lustro i odbicie kobiecej twarzy: biały czepek pielęgniarki, rozsypujące się, kasztanowe włosy, figlarne spojrzenie ciemnych oczu i wyraz przekory na wyraźnie wykrojonych wargach. To przecież Ewa Varfalvi!

- Poznaje mnie pan? - usłyszał mile brzmiący głos.

- Ewa! - zawołał uradowany. - Co za miłe spotkanie!

- Ewa, Ewa - powtórzyła z przekąsem. - A ja myślałam, że pan o mnie zapomniał.

- Bardzo panią przepraszani - tłumaczył się nieporadnie. - Niech pani sobie wyobrazi

zgubiłem wtedy kartkę z adresem... szukałem pani domu. Dwa razy byłem w Szenterzsebet, ale niestety...

- Niech pan się nie tłumaczy. I tak nic panu nie pomoże - mówiła żartobliwie. - Mam już o panu wyrobioną opinię. Czy to ładnie... zniknąć i nie dać znać o sobie?

- Ale... naprawdę zgubiłem tę kartkę. Bardzo mi przykro... - tłumaczył się speszony.

- Przykro, przykro - przekomarzała się, mrużąc filuternie oczy. - A my z babcią chcieliśmy już dać na mszę za pana.

- To pięknie. Ale ja mam dowód, że nie zapomniałem o paniach. Do tej pory przechowuję ubranie dziadka.

Ewa parsknęła zdrowym śmiechem.

- Nie ma pan pojęcia, jak pan komicznie w nim wyglądał.

- A pani tylko się ze mnie nabija.

- O, nie - rzuciła z udaną powagą. - Podziwiam, że pan przez rok nauczył się zupełnie przyzwoicie po węgiersku.

- No właśnie - zażartował. - I to wyłącznie z myślą o pani.

- Powiedzmy, powiedzmy. Chciałabym wierzyć... - urwała nagle, gdyż tłum na przystanku zafalował, a w głębi bulwaru, w mglistej zadymce, ukazał się tramwaj. Ujęła go mocno za rękę. - Mam nadzieję, że odwiezie mnie pan do domu - rzuciła pośpiesznie. - A zresztą nie puszczę pana, bo zniknąłby pan znowu na dwa lata. - Pociągnęła go energicznie za sobą. Wcisnęli się do zatłoczonego tramwaju, wtulili się w kąt platformy, a gdy tramwaj ruszył, nie spostrzegli, że nadal trzymają się za ręce.

- Ja... naprawdę się cieszę - powiedział po chwili Bukowy.

- A ja... - zamyśliła się na chwilę. - Nawet pan nie wie, jak mi było przykro, że pan nie dał znaku życia. Myślałam, że pan już daleko, daleko. To dziwne. Tak krótko był pan u nas, a jednak zawsze pana wspominamy - mocniej ścisnęła jego dłoń.

- Nie zasłużyłem na to - zażartował.

- Oczywiście, że nie. Myślałam, że pan wyjechał do Francji. Przecież wszyscy Polacy uciekali przez zieloną. A pan? - spojrzała pytająco.

- Ja?... - Przykro mu było kłamać, lecz, niestety, nie mógł powiedzieć jej prawdy. Rzucił więc wymijająco: - Tak się złożyło, że nie mogłem wyjechać.

- Martwiłam się o pana - powiedziała w zamyśleniu. - Przecież to wojna... a Polacy walczyli

we Francji.

- Nie każdy mógł się tam dostać - mruknął lekko urażony.

Zamilkli. Ewa odwróciła głowę. Przylgnęła policzkiem do zapoconej szyby. Chwilę przyglądała się przesuwającej się za oknem ulicy. Widział jej opuszczone powieki, zarys policzka, a na policzku kilka kropel nabrzmiałych przebijającym przez szybę światłem. Wciąż trzymał w dłoniach jej ręce. Chciał jej powtórzyć, że ogromnie cieszy się z tego spotkania, że często o niej myślał, a myśli były zawsze czułe, lecz ogarnięty wzruszeniem, nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Mech pan patrzy - odezwała się cicho - śnieg pada... Czy pan pamięta, tak ładnie mówił pan wtedy o górach i śniegu. Nie wiem dlaczego, zawsze widziałam pana na nartach na tle zaśnieżonych gór. - Spojrzała mu w oczy, a w jej źrenicach zapaliły się złote ogniki. - Czy pan od tego czasu jeździł na nartach?

Znowu kłopotliwe pytanie. Co na nie odpowiedzieć? Przecież dwa dni temu zjeżdżał z przełęczy Pod Kopą do Wierchcichej. Jeszcze teraz czuje cudowny pęd przywoływany nagłym wspomnieniem i widzi uciekającą spod desek stromiznę. Chętnie by jej opowiedział o tym karkołomnym zjeździe, a tymczasem...

- Nie - odparł po chwili.

- To szkoda... była taka piękna zima. "Piękna zima" - powtórzył w myśli i nagle, jak przez mgłę, zobaczył Tomanową, grań z cienistą falbanką nawisów, żleb skalny zasnuty lodem, a pod kamieniem skuloną postać zamrożonego lotnika. To też chciałby jej opowiedzieć, a jednak musiał kłamać.

- Niestety, nie miałem nart ani okazji. Nagle spojrzała ostrzej.

- Właściwie co pan robił przez ten czas i gdzie pan przebywał?

- Ja? - uśmiechnął się niemal bezradnie. - No cóż... Tak jak wszyscy uchodźcy, siedziałem w obozie.

- A teraz?

- Teraz też jestem w polskim obozie... w cywilnym oczywiście... w Leanyfalu.

Przez jej pogodną twarz przesunął się cień zaniepokojenia.

- Pan chyba coś przede mną ukrywa.

- Ja? Dlaczego?

- Bo nie mogę sobie pana wyobrazić beczynnym tkwiącym w obozie dla polskich uchodźców. Nie... nigdy w to nie uwierzę. - Ujęła go mocniej pod ramię i dodała wesoło: - Ale to przecież głupstwo. Mam nadzieję, że pan wstąpi do nas. Babcia się bardzo ucieszy.

"Musiałem kłamać" - myślał wracając na drugi dzień wieczorem do Leanyfalu. Podmiejski pociąg elektryczny jechał przez przedmieścia Budapesztu. Za zroszonymi oknami przesuwał się banalny krajobraz: rozsyпка lichych zabudowań, światła biegnące jak świetliki wśród mglistej, zagubionej przestrzeni, samochody z rozżarzonymi oczami reflektorów, niby ryby w mętnej wodzie, smętne mury fabryk i zasłane śniegiem tafle pól - wszystko w przyćmionym smętku miejskiej zimy.

Bukowy wcisnął się w kąt pod ścianę, nasunął na oczy kapelusz, podniósł kołnierz jesionki i zapadł w zadumę.

"Musiałem kłamać" - kołatała w nim myśl i wprowadzała go w stan zakłopotania. A mógł przecie - odrzuciwszy pewną granicę ostrożności - odegrać rolę bohatera. Jakby to było pięknie przyznać się do wszystkiego: "Tak, Ewo, jestem kurierem. Wyobraź sobie, otrzymuję niezwykle ważne zadania - przenoszę wojskowe szyfry, tajne dokumenty, pieniądze, czasem przeprowadzam ludzi. Czy masz pojęcie, jak ważną rolę odgrywam, na jakie narażam się niebezpieczeństwo? Nie, ty tego nie potrafisz zrozumieć. Nie wiesz, co to znaczy nocny marsz przez niedostępne góry w zimową zawieję; nie masz pojęcia jak mocnych nerwów wymaga przejazd samochodem z Kyssaku do Smokowca, kiedy wydaje ci się, że za każdym zakrętem stoi patrol, który zatrzyma samochód. Nie szłaś nigdy w deszczowy dzień przez rozmiękłe bezdroża; nie forsowałaś lodowatych potoków; nie zaznałaś panicznego strachu na widok zbliżającego się strażnika ani męki śmiertelnego zmęczenia, kiedy człowiek upada pod ciężarem plecaka... - Bukowy uśmiechnął się cierpko do siebie. - Nie, Ewo, nie powiem ci tego, muszę być dla ciebie zwykłym cywilnym uchodźcą, tkwiącym beczynnym w obozie w Leanyfalu".

3

Pchnął z rozmachem drzwi. Wszedł do oświetlonego jasno pokoju. Na jego widok z krzesła zerwała się Marysia, łączniczka majora Smygi.

- No, nareszcie - zawołała z ulgą. - Cały dzień szukam cię po Budapeszcie. Człowieku, co się z tobą działo?

- A o co chodzi?

Władek Mrowca uniósł się z wolna z łóżka.

- No tak - zakpił wesoło. - Ty się, bracie, włóczysz, a ja musiałbym iść za ciebie.

Bukowy spojrzał na niego zdumiony.

- Co się właściwie stało?

- Stary wścieka się. Kazał mi wytrzasnąć ciebie spod ziemi - wyjaśniła Marysia.

- Nie rozumiem.

- Masz być o dwudziestej trzeciej w poczekalni na Dworcu Wschodnim.

- Przecież ja dopiero co wróciłem. Obiecali mi przynajmniej dwa tygodnie odpoczynku.

- Nie mam pojęcia, co się stało. W każdym razie zbieraj się, bo nie masz dużo czasu.

Bukowy spojrzał na zegarek.

- I tak nie zdążę.

- Zdasz, zaraz pójde po taksówkę. No, rusz się, Jędrak. Na co czekasz?

Bukowy rozłożył szeroko ręce.

- Daję słowo, że nic z tego nie rozumiem. Stali chwilę w milczeniu. Pierwszy ożywił się

Władek. Podszedł szybko do szafy i wyciągnął plecak.

- Ja też nic nie rozumiem - powiedział wesoło - ale jak trzeba, to trzeba. - Rzucił mu pod nogi plecak.

Jędrak otworzył szerzej szafę i zaczął się pośpiesznie pakować. Rzeczy potrzebne do drogi miał odłożone, więc nie zajęło mu to dużo czasu. Marysia tymczasem pobiegła po taksówkę.

Mrowca usiadł spokojnie na łóżku, oparł się o ścianę i przymrużonymi oczami obserwował krzątanie kolegi.

- Przyznaj się, gdzie cię diabli nosili? - zahaczył.

- Co ci do tego?

- Nie chcesz się przyznać. Całą noc cię nie było. Odmawialiśmy za ciebie paciorki. - Łypnął burymi oczyma i rzucił kpiąco: - Pewno dziewczyna?

- Żebyś wiedział.

- Ładna?

- Sam się za kilka dni przekonasz.

- Ja?

- Ty. Bo dałem jej mój adres, a na jutro umówiłem się z nią u Gellerta. Jeżeli nie przyjdę, to zacznij mnie szukać. Nie znasz jeszcze Węgierek. - Nagle roześmiał się, jak gdyby całe napięcie minęło, i dodał niemal wesoło: - Wyobraź sobie, to ta sama, która mi pożyczyła ten ancug, co wisi w szafie.

- Fiu! - Mrowca gwizdnął zaskoczony. - To ty, Jędrak, masz cholerne szczęście.

- Szczęście... Jutro mam randkę, a tymczasem będę już chyba na Słowacji.

- W każdym razie odnalazłeś zgubę.

- Świetna dziewczyna - powiedział w zamyśleniu Bukowy. - A jak się tu zjawi, to powiedz jej, że musiałem wyjechać do Segedynu albo do Debreczyna.

- Nie martw się - zażartował Władek - ja się nią zaopiekuję po koleżeńsku.

W tej chwili wpadła do pokoju zdyszana Marysia.

- Jesteś gotowy? - zawołała od progu. Jędrak zarzucił ramię plecaka na ramię. Skinął ręką Władkowi.

- To cześć.

- Trzymaj się, Jędrak! - powiedział Mrowca, a jego ciemne, wesołe oczy nagle przygasły. Zamienili krótkie, twarde, lecz jakże wymowne spojrzenie. Nie powiedzieli ani słowa więcej.

Marysia targnęła Bukowego za rękaw.

- Chodź już. Taksówka czeka.

*

Przed Dworzec Wschodni zajechali na pół godziny przed odjazdem koszyckiego pospiesznego.

- Ja zatrzymam taksówkę dla starego, a ty wal szybko do poczekalni - powiedziała Marysia.

Poczekalnia trzeciej klasy była zapchana podróżnymi. W źle oświetlonej sali nad głowami unosił się warstwami sinawy dym z papierosów. Na ławkach spali zmęczeni oczekiwaniem ludzie. Gdzieś zanosilo się płaczem przebudzone dziecko. Między szarymi płaszczami mignęło czarne czako

z kogucimi piórami. Ktoś przywoływał głośno zagubionego towarzysza.

Bukowy przepychał się z trudem przez kłębiącą się ciżbę. Nagle pod oknem zobaczył znajomą sylwetkę Antka Wichniewicza. Ruszył w jego stronę. Po chwili obok Wichniewicza ujrzał Smygę.

- Nareszcie - przywitał go major ponurym głosem. - Myślałem, że już pan nie przyjdzie. - Był blady i ze złości zagryzał dolną wargę.

- Bardzo mi przykro - starał się usprawiedliwić Bukowy.

Smyga zmarszczył krzaczaste brwi.

- Cały dzień szukaliśmy pana. Co się z panem stało?

- Nie spodziewałem się. Pan przecież wie, że niedawno wróciłem z trasy.

Major błysnął gniewnie oczami.

- Zapomina pan, że pana też obowiązuje dyscyplina. Przecież wydałem wyraźne zarządzenie, że nie wolno wam oddalać się z domu bez zawiadomienia. A pan..

- Jest mi cholernie przykro - przerwał mu zniecierpliwiony Bukowy.

- To mnie nic nie obchodzi, czy panu jest przykro, czy nie. W normalnych warunkach wsadziłbym pana do paki.

Bukowy drgnął. W jego oczach pojawił się błysk gniewu.

- Komu pan to mówi? - powiedział cicho, lecz dobitnie i zamienił z Wichniewiczem porozumiewawcze spojrzenie.

- Panu.

- Może za ostro, majorze - wtrącił spokojnie Wichniewicz.

Major zachnął się gniewnie.

- I proszę, żeby się to nie powtórzyło. I żeby pan na przyszłość przestrzegał poleceń swoich przełożonych.

Bukowy cofnął się gwałtownie i wyzywającym spojrzeniem objął Smygę.

- A czy pan zawsze... - chciał zapytać, czy on zawsze wykonuje polecenia swoich przełożonych, lecz Wichniewicz przerwał mu stanowczo:

- Szkoda czasu, panowie - rzucił pojednawczo. - Grunt, że Jędrrek zdążył na pociąg.

Smyga łypnął spode łba i powiedział już spokojniej :

- W takim razie życzę panom powodzenia. - A potem zwrócił się do Bukowego: - Antek wytłumaczy panu, o co chodzi. - W milczeniu uściśnął im dłonie, odwrócił się i odszedł szybkim krokiem.

Bukowy patrzył za nim chwilę. Widział jego szerokie plecy okryte szarą jesionką i podniszczony kapelusz.

- Służbista - wyszeptał z pasją, jak gdyby w tym jednym słowie chciał zawrzeć cały swój gniew i żal.

Wichniewicz położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie przejmuj się. Nie znasz starego? Taki już jest. A teraz był strasznie zdenerwowany.

Bukowy z wolna skierował wzrok na Wichniewicza.

- A właściwie co się stało?

- Jasiek Lasak zginął na trasie - powiedział Antek.

Jędrak zbladł. W jego oczach widać było przerażenie.

- Wpadł.

- Nie wiadomo, co się z nim stało. Nie doszedł do Zakopanego.

- Skąd wiesz?

- Mamy dokładne wiadomości. Ostatni raz widział go Miko. Podwiózł go do Popradu, a potem... potem nikt go już nie widział. - Spojrzał na zegarek. - Musimy już iść do pociągu. Siądziemy w oddzielnych wagonach.

- Jasiek wpadł? - powtórzył w zamyśleniu. - A my właściwie po co jedziemy?

- Jasiek niósł bardzo ważną pocztę. Musimy sprawdzić, co się z nim stało, a przy sposobności chciałbym zorganizować nową trasę. Tamta już chyba spalona.

- Mamy w tym roku cholerną zimę - powiedział Miko, kiedy wsiedli do samochodu.

Jechali chwilę w milczeniu. Wąska droga ostrymi zakrętami pięła się pod strome zbocze. Spoza zamglonej szyby wyglądała jak tunel przebity w białej caliźnie śniegu. Dokoła las. Pnie pokonary oblepione śniegiem, gałęzie uginające się pod ciężką okiścią, a wszystko w perłowej mgiele.

- Cholerna zima - powiedział Bukowy. Wyjął z plecaka termos, odkręcał wolno zakrętkę. - Napijcie się, Miko? - zwrócił się do kierowcy. - Gorąca herbata z madziarskim rumem.

Miko skinął głową.

- Czemu nie? - Uśmiechnął się i zerknął wesoło w stronę siedzących za nim pasażerów. - Warto się napić, bo my w tym samym komplecie, co za pierwszym razem.

- Tylko wy zmieniliście samochód - wtrącił Wichniewicz.

- No tak... trudno by było wozić was tą starą, rozpadającą się landarą. Zwłaszcza w taką zimę. A ta tatra chodzi jak zegarek. - Jakby na potwierdzenie swych słów uderzył niemal pieszczotliwie w koło kierownicy.

Bukowy podał mu kubek z gorącą herbatą.

- Cholerna zima - powtórzył kierowca, kręcąc głową. - Trzy razy stanąłem w zaspach, jak po was jechałem. A wy pewno mieliście ciężką drogę przez granicę?

- Szkoda gadać - potwierdził Bukowy. - Nocą przysła okropna kurniawa, myślałem, że już nie dojdziemy do Kyssaku. Drogę znam na pamięć, a jednak trzy razy błędziłem. Mówię wam, piekło. I do tego Antek złamał nartę.

- Przy zjeździe - wyjaśnił Wichniewicz. - Śnieg zalepiał oczy. Zdawało się, że lecisz w przepaść. Jak mnie szurnęło, tak wpadłem w smreczki i nie mogłem się wygrzebać.

- Wyobraźcie sobie - dodał Jędrak - na drogę, którą robię w parę godzin, teraz straciłem prawie całą dobę. Przyszliśmy do Tabora zupełnie wypruci.

- Widać to po was. - Miko oddał kubek Jędrkowi. - A masz, bracie, madziarskiego papierosa?

Wichniewicz podsunął mu paczkę "symphonii".

- Nie ma to jak madziarskie. Mocne i nie kaszle człowiek po nich. - Wyciągnął zapałki, podał ogień kierowcy, a po chwili zagadnął: - Słyszeliście, że Jasiek Lasak zaginał na trasie?

Miko zapalał ostrożnie papierosa.

- No właśnie... taki morowy chłop. Nawet wierzyć się nie chce... kamień w wodę.

- To wy widzieliście go ostatni?

- Chyba tak... bo, jak mi wiadomo, nie doszedł do Trzech Studniczek. Pewno go w Popradzie

złapali, bo wtedy była obława. To było tydzień temu.

*

Tydzień temu Lasak nocą przekroczył granicę, a o świcie wyruszył z Mikiem w drogę. Dzień był mglisty i śnieżny. Po odwilży chwycił mróz, zamienił drogę w ślizgawicę. Miko z ogromnym trudem prowadził wóz. Za Nową Wsią wjechali w lasy. Zaczął sypać coraz gęstszy śnieg. Zalepiał szybę samochodu. Wycieraczki pracowały z trudem, odsłaniając przed oczami kierowcy wąski wycinek drogi. Z każdą chwilą jazda stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

Zmęczony nocną przeprawą Lasak zdrzemnął się. Jego ciężka głowa opadła bezwładnie na ramię Mika. Ten odsunął go delikatnie i w tej samej chwili poprzez zamgloną szybę zobaczył w dali człowieka. Stał przy drodze i ręką dawał znak, żeby się zatrzymali. Miko trącił Lasaka.

- Jasiek, uważaj!

Lasak ocknął się. Przetarł oczy i ruchem głowy dał znać, że spostrzegł tego człowieka. Pełni trwożnego wyczekiwania zbliżali się do stojącego przy drodze mężczyzny. Nagle Miko odetchnął z ulgą i roześmiał się głośno.

- Nie bój się, to Zapotoczny, leśnik z Podspadów.

Lasak z ulgą przymknął powieki. Wóz zatoczył się na śliskiej drodze, zabujał w koleinach i stanął przed oczekującym leśniczym.

- Zabierasz go? - zapytał Lasak z obawą w głosie.

- A co? To mój dobry znajomy. Pewno idzie do Popradu. Będzie nam weselej.

Tamten był już przy samochodzie. Otworzył drzwiczki i na widok Mika uniósł ręce gestem radosnego powitania:

- To ty, Miko? Bracie, ale mam szczęście! Autobus uciekł mi przed chwilą. - Wionęło od niego gorzałką i tytoniem.

- Siadaj, Frano! Siadaj! - przynaglał go kierowca. - Siadaj, niech stracę.

Leśniczy wtoczył się do samochodu i, zanim opadł na tylne siedzenie, zaczął podśpiewywać pijackim głosem.

- Ciszej, Frano! - strofował go zartobliwie Miko.

Ruszyli. Koła buksowały chwilę na oblodzonej drodze, potem mocniej szarpnęło i już gładko

potoczyli się w zasnutą mgłą krajobraz. Leśniczy klepał kierowcę po plecach:

- Uratowałeś mi życie - bełkotał uradowany, - myślałem, że zamarznę przy drodze. Autobus mi odjechał.

- Już słyszałem... słyszałem - śmiał się ubawiony Miko. - A gdzieżeś się tak zaprawił?

- Ho, ho! Bracie! - zamigał dłonią. - Drzewo od Horehrońców odbierałem, a te diaski piją jak smoki. Bez borowiczki nie odbierzesz... - zamigał palcami i zaśpiewał głośno. Nagle z kieszeni sukiennej kurtki wyciągnął płaską butelkę. Uniósł ją :z ogromnym szacunkiem i wysunął ku kierowcy. - Napij się, bracie. Będiesz czuł, że jedziesz z Franem Zapotocznym. No, nie cackaj się... Pij!

Miko odsunął butelkę.

- Ja tylko święconą wodę z chrzcielnicy - zażartował.

- Takiś kolega! Takiś przyjaciel! Z Franem Zapotocznym nie chcesz się napić.

- Nawet z księdzem Tisem - śmiał się dobrodusznie.

Wtedy mętne oczy leśnika zahaczyły o chmurną twarz Lasaka.

- A ty - trącił go butelką - coś taki markotny? Coś taki struty? Na pogrzeb jedziesz?

Miko zamienił z Lasakiem porozumiewawcze spojrzenie, jakby mu chciał powiedzieć: "nie przejmuj się". Potem jeszcze raz odsunął butelkę.

- Daj mu spokój, Frano.

Ale Zapotoczny nie ustąpił, targnął Lasaka za ramię i siłą chciał mu wcisnąć butelkę.

- Pij, nie przejmuj się. Zima ostra, trzeba się rozgrzać. No, pij, bracie!

Lasak wzruszył tylko ramionami, jakby się chciał pozbyć natręta. Miko ostrzej spojrzał na leśniczego.

- Daj mu spokój, to głuchoniemy.

Na twarzy Zapotocznego pojawił się grymas rozczarowania.

- Głuchoniemy - wybełkotał, lecz wnet natarł jeszcze mocniej: - To co, że głuchoniemy. Znam jednego takiego w Kieżmarku, niby nie mówi, a pije za dziesięciu. Gorzałka nie potrzebuje, żeby do niej gadać. - Z pijackim uporem starał się wcisnąć Lasakowi butelkę.

- Daj spokój, Frano - krzyczał niemal Miko. - Jak nie chce, to go nie zmusisz.

- Nie, to nie - zgodził się zawiedziony leśniczy. Machnął z rezygnacją ręką i z żalem zabełtał płyn w butelce. Po chwili, jakby na pocieszenie, odkorkował butelkę i pociągnął, aż mu w gardle zabułgotało. Potężny łyk gorzałka rozochocił go jeszcze bardziej. Złapał butelkę za szyjkę, zaczął nią wywijać nad głowami siedzących przed nim, a potem wysokim falsetem zanucił wesołą piosenkę. Kiedy skończył śpiewać, nachylił się do Mika. - Ty, Miko, zapomniałem ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Papiery masz w porządku?

Miko drgnął lekko i spojrzał ostrzegawczo na Lasaka. Ten siedział sztywno z kamienną twarzą.

- No, masz czy nie masz? - powtórzył leśnik natarczywie.

- Papiery? - powiedział przeciągle. - A co?

- To nie wiesz, od dwóch dni w całej okolicy obława? Szukają kogoś.

Mikowi drgnął nagle policzek i oczy nieco zmatowiały. Zerknął w stronę Lasaka, potem rzucił niemal swobodnie:

- Papiery zawsze mam w porządku. A kogo to szukają?

- Licho ich wie - zaśmiał się leśniczy. - Teraz wszyscy podejrzani. Mówią, że jakiegoś obcego, który uciekł z więzienia w Mikulaszu. Takie czasy, Miko - potakiwał z żalem głową. - Ale nie martw się, stary, przeżyjemy. - Naraz ucichł, jakby ta smępna refleksja obezwładniła go na chwilę.

Jechali w milczeniu. Las się kończył. Poprzez zasłonę ze śniegu w dole widać było osiedle, domy zasypane po dach śniegiem, płoty tonące w zaspach, kępy drzew z konarami uniesionymi jak ręce w błagalnym geście, ścieżki znaczone sinymi jak cień pasmami. Na przeciwnym stoku koń ciągnął naładowane sianem sanie i trzech chłopców zjeżdżało na nartach. W mglistym powietrzu wszystko wydawało się płaskie jak rysunek na przybrudzonym papierze.

Lasak czuł, że wali się na niego zmęczenie, a sen mąci mu myśl i zakleja powieki. Z wielkim wysiłkiem starał się zachować trzeźwość. Co chwila przecierał oczy, lecz to niewiele pomagało. Wreszcie, jak pływak w mętnej wodzie, dał się porwać wirowi zapomnienia. Zasnął. Obudził go dopiero przeraźliwy pisk hamulców. Zdawało mu się, że rozhuśtany samochód wali prosto na stojące przy drodze drzewa. Lecz to było tylko złudzenie. Wóz wypadł jedynie z zakrętu i toczył się bezwładnie po oblodzonej drodze. Przed nimi wyrósł nagle murowany dom i ludzie stojący po kolana w odgarniętym z jezdni śniegu. Dopiero teraz spostrzegł dwóch słowackich żandarmów. Jeden z nich stał z uniesioną do góry ręką. Stopował. Lasak czuł, że nagle krew odpływa mu z głowy, a dokoła robi się przeraźliwie pusto i szaro. A potem targnął nim strach. Złapał za klamkę. Chciał pchnąć drzwi i wyskoczyć z samochodu, lecz w tej samej chwili zmiarkował, że już za późno. Wóz w zwolnionym tempie toczył się wprost na dwóch żandarmów.

Zatrzymali się kilka metrów za nimi. Miko zwrócił ku Lasakowi pobladłą twarz.

- Spokojnie - szepnął i sięgnął do kieszeni po papiery.

Żandarm był już przy drzwiczkach. Szarpnął je, otworzył i rzucił służbowym tanem: - Proszę papiery.

Miko wolnym ruchem, jak gdyby chciał odwlec tę chwilę, podał swoje dokumenty. W tym samym momencie za jego plecami zakrzyknął wesoło leśniczy:

- Jak się masz, Zdenek! Niech to kule biją, sami znajomi! - i szerokim gestem wyciągnął dłoń w stronę żandarma.

Ten serdeczne powitanie skwitował ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

Nie uraziło to leśniczego; zaśmiał się głośno i wnet z kieszeni wyciągnął butelkę.

- Napij się, bracie, boś siny jak śmiertka! I pieską masz służbę. No, co się tak ceregielisz? Pij!
- Chciał siłą wepchnąć butelkę w wysuniętą po dokumenty dłoń.

Żandarm wydał wargi, potem jego policzki nabrzmiały od hamowanego śmiechu.

- Nie widzisz, że jestem na służbie? - parsknął, tracąc w jednej chwili całą służbową powagę.

- Na służbie, nie na służbie... ale napij się, bo cię trzęsie.

Żandarm odsunął butelkę. Przejrzał pobieżnie papiery Mika i sięgnął po dokumenty Lasaka. Ten, siląc się na spokój, podał mu słowacką legitymację.

W tym momencie leśniczy z pijackim uporem podsunął żandarmowi butelkę.

- Pij, Zdenek! To najlepszy dowód osobisty. Jak się ze mną napijesz, to będę wiedział, żeś morowy chłop.

Żandarm pokiwał głową z przyganą.

- No, no... gdzieś się tak, człowieku, zaprawił? Ciebie nie muszę legitymować. Wystarczy, żebyś chuchnął. Sięgnął po legitymację Lasaka i nagle jego oczy nabrały ostrego blasku. Zerknął najpierw na fotografię, a potem uważniej przyjrzał się twarzy.

Lasak cały stężał.

- A wy skąd? - usłyszał głos żandarma dochodzący jakby spoza grubej zasłony.

Otwierał już usta do odpowiedzi, gdy nagle leśniczy trącił go mocno w ramię.

- Nie poznajesz go, Zdenek? To przecież szpieg, którego szukacie - zawołał i zaniósł się chrapliwym śmiechem.

Żandarma ścięło. Jego ciemne oczy zwięzły się w świecące szpary. Naraz szybkim ruchem zamknął legitymację i oddał ją Lasakowi.

- Ale z ciebie żartowniś, Frano! - rzucił z przekąsem i salutując cofnął się za zwały śniegu.

- Z Bogiem! - skinął mu głową Miko. Zapalił silnik. Koła zabuksowały na lodzie, wóz zachwiało się, lecz po chwili ruszył i zaczął nabierać szybkości. Dopiero teraz Lasak poczuł, że cały jest mokry od potu. Przetarł rękami twarz. Obejrzał się. Leśniczy wciąż jeszcze wywijał butelką i mruczał niewyraźnie:

- Nie chciał uwierzyć, żeś szpieg! Nie chciał uwierzyć, żeś zdrajca!

Znowu padał śnieg, tworząc zasłonę z delikatnego muślinu wirujących płatków. Silnik pracował na ostatnich obrotach. Milczeli. Umilkł nawet Zapotoczny. Rozwalił się wygodnie, rozrzucił szeroko ręce, głowę odchylił za oparcie i chrapał. Lasak przymknął ciężkie powieki, lecz nie spał. Widział przed sobą żandarma, jego cienkie wąsiki i ostre jak szpilki oczy. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że tamten oddał mu legitymację. Chyba rubaszny i śliski żart Zapotoczego uratował mu życie...

Wspięli się na niewielkie wzgórze. W dole, w kępach nagich olch płynęła rzeka, w dali widać było mgliste zarysy miasta i warstwę burych dymów nad dachami. "To już Poprad" - pomyślał Lasak. Zastanawiał się, czy nie wysiąść przed miastem. Był jednak tak zmęczony, że nie potrafił zdobyć się na decyzję. Zacisnął więc mocniej powieki i dał się unosić prądowi biegnącego czasu.

Nagle poczuł, że wóz zaczyna tańczyć na drodze. Otworzył oczy. Byli na zakręcie. Niżej pod górę wspinał się wielki wóz transportowy. Miko manewrował kierownicą, lecz wóz toczył się bezwładnie. Niemiłosierny pisk hamulców... Zdławiony okrzyk Mika... Suną prosto pod koła potężnej ciężarówki. W ostatniej chwili Miko wyprowadził wóz z poślizgu i nie spostrzegł nawet, kiedy wylądowali w zasypanym śniegiem rowie.

*

Teraz jechali w tym samym kierunku, tą samą drogą, a śnieg tak samo zasłaniał muślinowym haftem płatków zimowy krajobraz.

Miko zakończył opowiadanie:

- Wpadliśmy w tę cholerną zaspę i już wiedziałem, że będą mnie musieli wyciągać. Lasak nie bardzo się zmartwił. Powiedział Wtedy, że może dobrze się stało, bo mogliby jeszcze raz zatrzymać wóz przed miastem. Umówiliśmy się, że za trzy dni będę na niego czekał na szosie w pobliżu Trzech Studniczek. Zarzucił plecak na ramiona i odszedł... To było we wtorek, tydzień temu. Od tego czasu ślad po nim zaginął. Dopytywałem się o niego w Popradzie, w Trzech Studniczkach. Nikt go nie widział. Może jednak doszedł do Zakopanego.

- Nie - powiedział Wichniewicz. - Mamy wiadomości, że nie doszedł.

Miko kręcił z żalem głową.

- No, no... taki morowy chłop i taka smutna historia... kamień w wodę.

5

- Czy to pewny człowiek, ten Horny? - zapytał Wichniewicz, zatrzymując się przed wystawą sklepu z pamiątkami.

Byli w Starym Smokowcu. Po wczorajszej zadymce wypogodziło się. Wiatr przetarł gęste chmury, a nad dachami domów, nad strzelistymi smrekami pokazał się szmat czystego błękitu.

Słońce chlusnęło spoza chmur oślepiającym blaskiem. W powietrzu wirowały jeszcze delikatne jak pył płatki śniegu. I wszędzie było biało, puszyście i jasno.

Bukowy zerknął przez ramię Wichniewicza na wystawę. Było tam kulika typowych prymitywnych pamiątek: drewniana kozica, wózek zaprzężony w jelenia, słowacki zbójnik z uniesioną ciupagą, wyszywanka przedstawiająca rodzajową scenę na górskiej hali, niedźwiadek wyrzeźbiony z jeleniego rogu, kierpce... zupełnie jak przed wojną w Zakopanem. Jędrrek uśmiechnął się z łagodną wyrozumiałością.

- Horny... - odparł w zamyśleniu. - Ja go dobrze znam jeszcze sprzed wojny.

- Ale czy on nie sypnie? Bukowy wzruszył ramionami.

- Do tej pory nikogo jeszcze nie sypnął. A zresztą, nie mamy innego wyjścia. Wczoraj cały dzień pętaliśmy się po Popradzie i niczegośmy się nie dowiedzieli. Jak chcesz mieć jakieś wiadomości, to musisz, bracie, ryzykować.

- A co on może ci powiedzieć? Jędrrek zachnął się zniecierpliwiony.

- Nie wiem. W każdym razie nasi zachodzą do niego. U niego zawsze można wymienić pieniądze, sprzedać zegarek. Handluje złotem i zawsze ma dobre kontakty. Zdaje mi się, że warto zaryzykować.

- Jak uważasz.

- W każdym razie ja pójdę sam. Rozumiesz, w cztery oczy łatwiej rozmawiać.

Jędrrek zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi. Pchnął je. Zadzwoił metalicznie uwieszony nad drzwiami dzwonek. Bukowy wszedł do środka. W sklepie nikogo nie było. Z kąta pod sufitem szklanymi oczami spoglądała wypchana sowa i zbójnik w brązowej guni unosił wysoko ciupagę, jakby chciał zagrozić drogę nieproszonemu gościowi.

Dopiero po chwili zakołysała się pluszowa kotara i spoza niej wysunął się cicho, niemal bezszelestnie mały, zasuszony człowiek w kożuchu zarzuconym na przygarbione plecy. Na widok przybysza znieruchomiał i łypnął trwożnie chytrymi oczyma.

- Nie. Nie ma mnie. Nie ma mnie - wysunął rękę ostrzegawczym gestem. - Jędrrek, radzę wam, uciekajcie stąd jak najszybciej.

Bukowy uśmiechnął się przekornie.

- Spokojnie, panie Horny. Mam do pana interes.

Horny zatrzęsł się w nieopanowanym ni to strachu, ni gniewie.

- Jędrrek, ty nie wiesz, co się tu dzieje... Ja już nie chcę mieć z Polakami do czynienia... Ja jestem uczciwy człowiek... Ja już dość mam...

- Spokojnie, panie Horny - Bukowy zdjął z przegubu ręki zegarek. Była to piękna omega, którą otrzymał w trzydziestym ósmym roku za zwycięstwo w slalomie na międzynarodowych zawodach w Zakopanem. Położył zegarek na ladzie i spojrzał wyczekująco na Hornego. - Potrzebne mi są pieniądze.

W oczach Hornego zapalił się chytry błysk.

- Ostatni raz, Jędrrek. Ostatni raz - powiedział przychylniej i drobnymi kroczkami powędrował za ladę.

- Załatwimy i wyrywam - uśmiechnął się Bukowy i dłonią nakrył zegarek.

- Ile chcesz za niego?

- Niedużo - mrugnął porozumiewawczo - ale najpierw niech mi pan powie, czy zna pan Jaśka Lasaka.

Horny cofnął się, jakby zwietrzył podstęp.

- Nie znam... Nie znam! - zawołał piskliwie. - Teraz nikogo nie znam.

- Zna pan go czy nie? Sklepikarz drapał się chwilę za uchem.

- Oj, Jędrrek... czy ja mogę wszystkich znać? Tylu was tu do mnie przychodzi.

- O właśnie... A kto był ostatnio?

Chytre spojrzenie sklepikarza poszybowało w stronę dłoni przykrywającej zegarek.

- Ubijemy ten interes czy nie?

- Ubijemy... tylko niech pian mówi, kto z naszych był ostatni?

Horny bezwiednym ruchem przetarł suche jak pergamin czoło.

- Zaczekaj... Był tu taki jeden.

- Kiedy?

- Może tydzień temu. - Nagle sięgnął po leżący pod ladą zeszyt w czarnej, sztywnej okładce. - Mogę ci powiedzieć dokładnie, bo kupiłem od niego złoty medalik z łańcuszkiem. Żółtymi od tytoniu palcami przerzucał zapisane kartki. - Tak, to było w ubiegłym tygodniu, w środę.

- Ma pan ten medalik? Horny spojrzał z politowaniem.

- Człowieku, dawno go sprzedałem. Teraz ludzie chętnie kupują takie rzeczy. Pieniądz spada na łeb na szyję, a złoto idzie w górę.

- Więc w środę - powtórzył Bukowy i pomyślał, że mógł to być właśnie Lasak. Zapytał więc szybko: - Jak ten człowiek wyglądał?

- Po prostu jak człowiek - uśmiechnął się kpiąco. - Taki krępy blondyn, niewielkiego wzrostu.

"Zgadza się" - pomyślał Bukowy i nagle wstąpiła weń nadzieja. Może właśnie teraz natrafił na ślad Jaśka. Przynaglił więc Hornego: - W jakim był wieku?

- Czy ja wiem... tak pod trzydziestkę, a może młodszy, bo wtedy był bardzo zbiedzony.

- A jak był ubrany?

Horny znowu uniósł dłoń do czoła.

- Czy ja wiem... No... tak jakby się wybierał w góry. Jak wy wszyscy. Pamiętam tylko, że miał nową, brezentową wiatrówkę. Zieloną...

- Zieloną. - Bukowy westchnął i nagle przygasł. Pamiętał doskonale, że Jasiak wyszedł z Leanyfalu w starej granatowej wiatrówce. - Na pewno była zielona?

- Zielona - odparł Horny z namysłem. - I jeszcze jedno zapamiętałem. Miał sukienne kapce. Nawet mnie trochę zdziwiło, że w kapcach wybiera się w góry. Bo wy przecież, sportowcy, zawsze w narciarskich butach.

- Na pewno był w kapcach? - zapytał Bukowy i pobladł lekko.

- Nie wierzysz? Dziwny z ciebie człowiek. Te kapce pamiętam, bo dobrze im się przyjrzałem.

- To nie on - wyszeptał Jędrak i dodał w myśli, że Lasak nie mógł być w kapcach. Zmarkotniał do reszty. Wolnym ruchem zgarnął z lady zegarek, włożył do kieszeni.

Horny westchnął zawiedziony.

- Nie chcesz sprzedać tego zegarka ?

- Rozmyśliłem się, panie Horny?

- Przecież mówiłeś, że potrzebne ci są pieniądze. Dobrze zapłacę. - Uczynił taki ruch, jakby mu chciał wyciągnąć zegarek z kieszeni.

- Wszystkim są potrzebne pieniądze - uśmiechnął się cierpko Bukowy.

Horny uniósł ręce gestem rozpaczony.

- Z wami to zawsze tak... Z wami nie można zrobić interesu - mówił gniewnie, a w kącikach jego ust zbierała się piana. - Człowiek zarobi dziesięć koron, a straci honor i jeszcze go się czepiają. Tajniacy tu do mnie przychodzili...

Bukowy spojrzał chłodno i przerwał mu oschle:

- Do widzenia, panie Horny.

- Bóg z tobą - rzucił z ulgą, a gdy Jędrak otwierał drzwi, dorzucił: - Nie radziłbym ci tu przychodzić... I strzeż się, bo tu niedawno była wielka obława.

Jędrak zatrzasnął za sobą drzwi. Żegnał go srebrzysty głos dzwonka. Przed sobą zobaczył Antka Wichniewicza. Wzruszył tylko ramionami.

- Nic z tego...

- I nie miał o nim żadnej wiadomości?

- Nie.

- To co robimy?

- Jedziemy do Tokacza... do Trzech Studniczek.

- Nie, Jaśka u mnie nie było. I od dwóch tygodni nikt od was do mnie nie zachodził - powiedział Laco Tokacz. - A jeżeli chodzi o was, to możecie być spokojni. Teraz u mnie wielki ruch. Nikt was nie zauważy. Możecie siedzieć nawet kuka dni.

Kierownik schroniska w Trzech Studniczkach od pierwszych dni kurierskiej, roboty pomagał Polakom. Czynił to w sposób tak swobodny i naturalny, jak gdyby nie nastęczało to żadnych trudności ani nie groziło niebezpieczeństwem. Przez izbę ratowników górskich na poddaszu przewinęły się dziesiątki kurierów i setki uciekinierów. Była to prawdziwa przystań na tym szlaku. Nieraz śmiertelnie wycieńczony kurier ostatkiem sił dowlekał się do progu schroniska. Laco Tokacz zawsze udzielał mu schronienia. Witął go pogodnym spojrzeniem i cichymi słowami dodawał otuchy. A kiedy zachodziła potrzeba, gotów był narazić się na największe niebezpieczeństwo.

Teraz stali w tej samej izbie ratowników na poddaszu. Izba była niewielka. Małe okienko wychodziło na las. Pod oknem w kątach stały dwa żelazne łóżka z wygniecionymi materacami. Między nimi prosty stół, dwa krzesła z czarnymi, śladami wypalonymi przez kochery. Na ścianie liny, czekany, haki, a z drugiej strony wyblakła fotografia przedstawiająca Krywań od strony Koprowej. Nic więcej. Wszystko surowe, proste, niemal ascetyczne. Tylko pogodny w ufnej zadumie blask oczu Tokacza udzielał tym ścianom nieokreślonego ciepła.

Bukowy ściągnął przez głowę sztywną jak skóra wiatrówkę. Rzucił ją na łóżko.

- O tym, że Jaśka tu nie było, wiedzieliśmy już w Budapeszcie - powiedział i spojrzał na Wichniewicza.

Ten drobnymi łyżkami pił herbatę.

- Tak - potwierdził. - I mamy informacje, że nie doszedł do Zakopanego.

Tokacz tymczasem wyciągnął spod łóżka stary, zniszczony plecak. Z tajemniczą miną położył go na stole.

Bukowy chwilę przyglądał mu się bacznie, potem szybko doszedł do stołu i kilkoma niecierpliwymi ruchami odpiął klapę plecaka. Na jej wewnętrznej stronie zobaczył przyszyty prostokątny kawałek skóry. Drgnął nagle.

- Przecież to plecak Jaśka Lasaka - rzekł zdumiony. - Skąd go masz?

- Jesteś pewny, że to plecak Jaśka?

- Murowane. On mi go kiedyś pożyczał.

- Dziwna historia. Jak wiecie, w zeszłym tygodniu było tu bardzo gorąco. Na całym Liptowie, od Mikulasza po Kieżmark, zrobili obławę. Do mnie też przychodzili kilka razy...

- Może pytali o Lasaka?

- Nie przerywaj. O Jaśka nie pytali. Szukali kogoś, kto uciekł z więzienia.

- To może Jaśka szukali? - wtrącił Wichniewicz. - Może Lasaka capnęli, a potem im zwiął.

- Nie wiem, kogo szukali. Pytali, czy nie nocował u mnie facet w zwykłym ceperskim ubraniu. To chyba nie chodziło o Lasaka.

- No tak - potwierdził Jędrzek Bukowy. - Jasiak był ubrany po sportowemu. Miał starą granatową wiatrówkę i granatowe narciarskie portki. A kiedy przyszli do ciebie i pytali o tego cepra?

Tokacz zastanawiał się chwilę. Tarł z przejęciem osypany czarnym porostem policzek.

- Pierwszy raz przyszli w środę, tydzień temu. Potem w czwartek było tu dwóch tajniaków z Popradu, a w piątek...

*

W piątek po obiedzie Laco Tokacz zaszedł do narciarni. Miał naprawić nartę. Drobnostka, przy zjeździe zawadził o kamień i wyrwał z deski kawałek stalowej krawędzi. Znalazł więc trochę czasu. Włożył deskę w imadło i zaczął wykręcać kawałek zniszczonej krawędzi. Dzień był pochmurny. Przez zamglone okno widać było fragment polany w kłębach zadymki. Zdawało się, że cała polana płynie i wiruje w nieokiełznanym rytmie uderzeń wiatru. Drzewa stały po czuby w gęstej mgle, a droga prowadząca do Koprowej znaczyła ledwo widocznym zarysem starych śladów.

I właśnie na tej drodze, w kłębach zawiei, ukazali się nagle ratownicy ciągnący tobogan. Zjeżdżali wolno, walcząc z porywami wiatru. Tokacz przerwał robotę. Zdziwił się, skąd raptem pojawili się ratownicy? Od rana bowiem trwała zadymka i nikt ze schroniska nie poszedł w góry.

Tymczasem ratownicy, jak w zwolnionym filmie, przesunęli się przez kadr okna. Po chwili Tokacz usłyszał ich dobijanie się do bocznych drzwi schroniska. Rzucił śrubokręt, ruszył w stronę korytarza. W sieni zobaczył czterech mężczyzn. Byli oblepieni śniegiem 5 lodem. Ich sine twarze, sopelki na brwiach, zapadnięte oczy i zbielełe wargi świadczyły, że długo przebywali w tej piekielnej kurniawie. Tokacz, mijając drzwi kuchni, krzyknął przynaglająco:

- Ej, dziewczęta, dawajcie gorącą herbatę z rumem. Ale piorunem!

Zbliżył się do pierwszego. Poznał go. Był to młody Tukaj z Łomnicy. Rękawicami otrzepywał ze spodni i butów zlodowaciały śnieg. Tokacz szarpnął go za ramię.

- Ty, Mirko, co się stało?

Tukaj spojrzął spod nasuniętego na oczy kaptura.

- Cholerna robota - powiedział zmęczonym głosem. - Od rana babraliśmy się w tej kurniawie. Dawaj herbaty, bom przemarzł.

- Zaraz będzie. Ale co... wypadek?

- W Szkaradnym Żlebie... Lawina - wykrztusił z trudem i z rezygnacją machnął ręką.

- Przysypało kogoś?

Tukaj zamiast odpowiedzieć, pokazał w stronę otwartych drzwi. Za drzwiami stał tobogan. Tokacz ruszył w tę stronę. Coś nim targnęło. Przez chwilę pomyślał, że to może któryś z kurierów. Kto oprócz nich mógłby pchać się w taką zadymkę i to najtrudniejszą drogą? Był już przy toboganie. Zobaczył na nim człowieka owiniętego szczelnie kocami, brezentem i przywiązanego linkami.

- Żyje? - zapytał głośno poprzez świst wiatru.

Ktoś z tyłu zawołał:

- Gdzie tam... Wieczne odpoczywanie. Tokacz wpatrywał się tępo w niewyraźny zarys leżącego pod kocami ciała. Wiatr targał jego włosami, rozpylony śnieg smagał twarz, a on ze schyloną głową wciąż tkwił w miejscu. Nie chciał nawet zgadywać, kogo przywołała ta ścięta lodem twarz leżącego na toboganie mężczyzny. "Jeszcze jeden... - pomyślał. - W tej chwili jeszcze bezimienny... A gdy odsłoni twarz..." Z odrętwienia wyrwał go napięty głos Tukaja.

- Może go znasz?

Tokacz odwrócił się gwałtownie. Tukaj stał w otwartych drzwiach. W zgrabiących dłoniach trzymał szklanekę parującej herbaty. Inni zdejmowali plecaki, otrzepywali ośnieżone ubrania. Tokacz cofnął się do drzwi.

- Ja? - powiedział zaskoczony.

- Może u ciebie nocował?

- A kto to taki?

Ratownik postawił szklanekę na kamiennym parapecie okna, odgarnął z czoła kaptur skafandra, ręką przetarł tający na twarzy śnieg i sięgnął do kieszeni wiatrówki. Sztywnymi palcami wyłuskiwał cienką książeczkę legitymacji.

- Stanisław Plawy... urodzony w 1914 roku w Lewoczy... odczytywał wolno.

- Plawy?... Nie znam takiego - odparł z ulgą.

- Możeś go widział? Może był u ciebie w schronisku? - Podał mu otwartą legitymację i wtedy Tokaczem szarpnęło. Zobaczył bowiem podobiznę Jaśka Lasaka. Zbliżył ją do oczu, oddalił... Nie mylił się. Z fotografii spoglądały na niego bystre oczy dobrze mu znanego człowieka. Nagle

westchnął głęboko, jak gdyby chciał zdławić atakujący go żal.

- Nie... Tej nocy nikt nowy u mnie nie nocował.

Tukaj spojrzał nieco zdziwiony.

- To skąd się wziął w górach? Szedł z tej strony... Widzieliśmy w lesie ślady.

- Pewno ominął schronisko.

Tukaj schował legitymację do kieszeni.

- Dziwna historia. Miał na sobie zwykłe cywilne ubranie, jakby się wybierał z wizytą. Tylko wiatrówkę miał sportową, no i narciarskie buty.

- A narty?

- Nart tośmy nie znaleźli. Może mu odpadły, gdy go porwała lawina. Pewno miał źle dopasowane wiązania.

- Mówisz, że szedł z zwykłym ubraniu?

- Nie wierzysz? - uśmiechnął się nikle. - Jak nie wierzysz, to zobacz!

Tokacz zawahał się. Wnet jednak podszedł do toboganu. W kłębach zamieci, w świście wiatru zdarł koc z głowy nieboszczyka; ukazała się osypana rudawym zarostem twarz, a raczej maska: mętne już i jakby oskarżające kogoś oczy, włosy zlepione lodem i zasypane śniegiem usta.

Tokacz schylił się, przyjrzał się uważnie leżącemu i nagle odczuł ogromną ulgę. To nie był Lasak.

Zarzucił z powrotem koc na głowę ofiary i powiedział głośno:

- Nie znam tego człowieka.

*

Teraz zapalał krótką fajeczkę.

- To nie był Lasak - powiedział z naciskiem. - Nie. mogłem się pomylić, bo przecież Jaśka znam tak dobrze jak ciebie - zwrócił się do Jędrka Bukowego, który tymczasem wyjmował rzeczy z plecaka. Kładł je na parapecie okna i na krześle. Na chwilę znieruchomiał, spojrzał zdumiony na Tokacza.

- W takim razie kto to był? Tokacz wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Fotografia w legitymacji była Jaśka Lasaka. Na to mogę dać słowo.

Wichniewicz wtrącił:

- Mówi pan, że dowód wystawiony był na nazwisko Stanisław Plawy?

- Tak - odparł bez wahania. - Pamiętam dokładnie każdą literę.

- Zgadza się. Był to fałszywy dowód słowacki Jaśka Lasaka. Sam mu go wręczałem.

- No dobrze - odezwał się Bukowy - ale skąd dowód Lasaka znalazł się u tamtego gościa?

Tokacz rozłożył ręce ruchem wyrażającym bezradność.

- Człowieku, skąd ja mogę wiedzieć?

- A plecak? Czy ten plecak miał ten gość, którego przysypało?

- Nie. Przywieźli go bez plecaka. Plecak znalazłem na drugi dzień w kosówce pod Szkaradnym Żlebem.

- To znaczy, że Jaśka mogło wtedy przysypać razem z tamtym.

- Nie sądzę, bo legitymację znaleźli ratownicy w kieszeni tego nieboszczyka.

- W takim razie nic z tego nie rozumiem. Tokacz uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie gorączkuj się. Trzeba się nad tym dobrze zastanowić. Na drugi dzień, gdy się tylko uciszyło, poszedłem zobaczyć lawinę - ciągnął spokojnie. - Wszystko się zgadzało. Było tak, jak mówili ratownicy. Ten gość nie znał gór, bo pchał się pod skały i przeciął żleb w najbardziej stromym miejscu. Dawno nie widziałem takiej ogromnej lawiny. Zjechałem grzędą w dół. A na dole, nad samym potokiem znalazłem w kosówkach plecak. Był przysypany. Tylko jeden rzemień wystawał spod śniegu.

Bukowy uniósł dłonie do oczu, jak gdyby chciał przywołać jakieś wspomnienie.

- Nie, to wykluczone, żeby Jasiak pchał się na te urwiska. Przecież dobrze wiedział, że to najbardziej lawiniaste miejsce.

- Ja myślę - wtrącił Wichniewicz - że ten facet miał nie tylko jego dowód, ale i plecak.

- To jednak nie takie pewne - rzucił z rozważą Tokacz. Podeszedł do szafy i spod rzuconej na jej dno liny wyciągnął czub złamanej deski. - To też znalazłem w lawinie.

Bukowy wyrwał mu czub z ręki. Obracał go na wszystkie strony. Naraz na ślizgu deski

zobaczył wypalony znak firmowy.

- "Zubki"! - zawołał. - Przecie to deski Lasaka. On miał te stare, "hikory".

Wichniewicz spojrział zaszępiiony.

- Jesteś pewny, że to jego deski?

- Na mur... Wichniewicz opuścił głowę.

- W takim razie Jasiek mógł zginąć z tamtym pod lawiną.

- Albo tamten - dodał spokojnie Tokacz - mógł mieć jego deski.

Wichniewicz skinął głową.

- To też możliwe... I wydaje mi się, że teraz nie rozwiążemy tej dziwnej zagadki. - Nagle zwrócił się do Tokacza: - A czy pan wie, co potem stało się z tym gościem, którego przysypała lawina?

- Dopytywałem się o niego. Ratownicy mówili, że zawieźli go do Smokowca.

- Czy ratownicy dowiedzieli się, kto to właściwie był?

- Nie. Nikt tego nie wie. Podobno zwłoki przewieziono do Mikulasza, do gmachu medycyny sądowej.

7

- Dolary powinny być wszyte w dno plecaka - powiedział Wichniewicz do Jędrka Bukowego, kiedy zostali sami na poddaszu.

- I są, bo dno jest grube - odparł Bukowy. Wyjął z kieszeni scyzoryk. Zaczął szybko rozpruwać skórzaną wkładkę. Po chwili przez rozpruty szew wsunął dłoń i wyciągnął kilka zielonych banknotów. - Teraz już jasne, że to plecak Jaśka - powiedział jakby do siebie. - Tylko co my teraz z nim zrobimy?

- Na razie włóż z powrotem pieniądze i zaszyj - poradził Wichniewicz.

- Czy on miał jeszcze coś przy sobie?

- Tak. Jasiek niósł bardzo ważną pocztę. Szyfry miał wszyte pod futrówkę butów.

- To znaczy, przypadły razem z butami.

- Nie wszystkie. Część, i to najważniejszą, wszyłem mu w pasek od spodni. Pod klamrę, rozumiesz.

- To gorzej - zasepił się Jędrak. - Bo jak go złapali... jeżeli zrobili dokładną rewizję...

- Trudno... - zamyślił się Wichniewicz. - Miejmy nadzieję, że nie znajdą. I w ogóle nie podoba mi się cała ta historia. Trzeba się zastanowić, co teraz robić.

Bukowy spojrział z niedowierzaniem.

- Jak to co? Musimy go szukać.

- Szukać? - zastanowił się Wichniewicz. - To nie taka prosta sprawa. Słyszałeś, co mówił Tokacz? Tamtym spod lawiny zajęła się policja. Oni tu będą węszyć dookoła, a my, prawdę mówiąc, nie mamy żadnego śladu.

- Boisz się? - zapytał zadziornie Bukowy.

- Nie. Po prostu zastanawiam się, czy warto się narażać.

Wichniewicz wolnym krokiem podszedł do okna. Chwilę zdrapywał paznokciami śnieżny nalot zmarzliny.

- Widzisz, to nie taka prosta sprawa - powtórzył. - Moim najważniejszym zadaniem jest zorganizowanie nowej trasy i punktów. Muszę się zorientować, jak wygląda droga na Piwniczną.

- Wiem - przerwał mu Jędrak. - Tylko nie załatwiliśmy jeszcze jednej sprawy, a ty...

- To co proponujesz?

Bukowy milczał chwilę. Wprawnymi, ruchami zaszywał rozprute dno plecaka. Nagle łypnął w stronę Wichniewicza.

- Najlepiej będzie, jak się rozdzielimy. Ja będę szukał Jaśka, a ty... Ty rób, co ci kazali.

Wichniewicz pokiwał głową.

- Ej, Jędrak, Jędrak... z ciebie zawsze wyłazi rogata dusza. Zastanów się, co możesz jeszcze zrobić dla Lasaka?

- Ja? - przeciągnął i głos mu nieco przygasł. - Nie wiem, ale czuję, że nie wszystko jeszcze stracone.

- Dobrze, ale co chcesz zrobić?

- Wrócę jeszcze do Hornego. Może Jasiak był u niego w tym czasie...

- Do Hornego możemy iść razem. A potem sygnujemy się w stronę Kieżmarku i Lewoczy. - Wichniewicz podszedł do Jędrka i położył mu dłoń na ramieniu. - No... Jędrak, tak będzie najlepiej.

Bukowy spojrział już łagodniej.

- Nie wiem, ale możemy spróbować.

*

Na drugi dzień wcześnie rano wyszli ze schroniska. Umówili się z Mikiem, że będzie na nich czekał w oznaczonym miejscu przy drodze.

Dzień był pogodny i mroźny. Między czubami smreków podnosiło się ciężkie, przymglone jeszcze słońce. Tam, gdzie liznęło biel, nadawało jej pomarańczowego połysku. Z drzew osypywały się warkocze śnieżnego pyłu.

Wydeptana, gładka ścieżka cienko skrzypiała pod butami. Szli szybko, bo ziąb ich poganiał. Kiedy zbliżali się do drogi, Bukowy przystanął nagle, jakby czegoś zapomniał.

- Ty - powiedział z nutką radości - mam pomysł... Przypomniałem sobie, że blisko Łomnicy, na drodze z Popradu jest dom.

- Jeżeli się nie mylę - przerwał mu Wichniewicz - to nie jeden dom tam stoi.

Jędrak syknął zniecierpliwiony.

- Ale to dziwny dom. Zupełnie pusty. Nocowałem tam kiedyś. Stoi daleko od drogi. Podobno właściciel wyemigrował.

- No dobrze, tylko co ten dom ma wspólnego z Lasakiem?

Bukowy uśmiechnął się tajemniczo.

- Może ma... bo Lasak wtedy wysiadł przed Popradem. Według mnie, był na to za cwany, żeby pchać się do miasta, gdzie pełno było policji i żandarmerii.

- Okrążył więc Poprad - wtrącił Antek, podążając za jego myślą.

- Właśnie. Okrążył Poprad, ale nie zdążył dojść do Trzech Studniczek. Było już późno i nie

zostało mu nic innego, jak przenocować w tym domu. Miał ze sobą śpiwór.

- Śpiwora nie było przecież w plecaku.

- Nie było... ale zabrał ze sobą. Zimą nie chodzi się bez śpiwora. Ja też tam kiedyś nocowałem. Było sucho i zupełnie cicho, tylko szczury przegryzły mi plecak, bo chciały się dostać do jedzenia. - Naraz wesoło trącił Wichniewicza w ramię. - To co, możemy chyba spróbować?

- Możemy - uśmiechnął się Antek i ruszył biegiem ku widniejącej między pniami drzew drodze.

Tatra Mika czekała już na nich.

*

Od szosy trzeba było przejść spadzistą drogą przez lichy, wyszczerbiony las. Dalej był mostek, wzgórze porośnięte wysokim jałowcem i potok, a za nim w kępach drzew kilka biednych chałup. Dom stał nad samym potokiem. Miał kamienną podmurówkę, pierwszą kondygnację z cegieł, a drugą, nie pasującą do całości - z drzewa. Nad zrębem dachu sterczała obita deskami wieżyczka. Dziwny dom, ni to willa; ni pretensjonalna czynszowa kamienica. Jednym słowem "kundlowaty" twór, budowany zapewne na raty. Teraz zupełnie opuszczany, ze zdartym dachem, z oknami zabitymi deskami, wyglądał upiornie w pełnym świetle zimowego dnia.

Bukowy zostawił towarzyszy w samochodzie. Sam wolno zbliżał się do domu. Wiatr zwiewał z resztek zwalonego dachu małe obłoczki śnieżnego pyłu, szarpał na wpół wyrwanymi z futryny drzwiami. Zardzewiałe zawiasy skrzypiały przeraźliwie, a z głębi domu dolatywało dziwne dudnienie, jakby ktoś walił pięścią w pustą beczkę. Bukowy zatrzymał się nagle; zobaczył nikłą ścieżynkę prowadzącą na werandę. "Czyżby ktoś tam mieszkał?" - pomyślał. Cofnął się przezornie za pień starej olchy. Dłuższą chwilę obserwował werandę. Było głucho, tylko z wnętrza domu wciąż dolatywało to głuche dudnienie. "Pewno telepie się nie domknięta okiennica" - pocieszył się w myśli. Ostrożnie zbliżył się do schodów.

Skradał się cichutko, niemal bezszelestnie. Wszedł na werandę. Podłoga była zasypana śniegiem. W kącie pod oknem stał stolik z wikliny, a na nim kilka wazoników z badyłami uschniętych kwiatów. Drzwi prowadzące do sieni były uchylone, a na nawianym przez wiatr śniegu widniały świeże ślady butów. Drgnął. Teraz już wiedział, że ktoś jest w głębi domu. I znowu usłyszał to dziwne dudnienie. Chciał się cofnąć, lecz po chwili ruszył przed siebie. Pod wiatrówką przesunął do przodu kaburę wisa, odpiął ją i położył dłoń na zimnym uchwycie pistoletu.

Przeszedł do sieni. Pod podeszwami czuł śliskość usuwającego się śniegu. Dwoma wydłużonymi susami dopadł otwartych na oścież drzwi. Wielki pokój był pusty, tylko w kącie stało czarne pudło fortepianu. Wyszczerbiona klawiatura błysnęła jak zęby gotowego do skoku potwora.

I nagle usłyszał za sobą czyjeś stąpanie, a potem coś trzasnęło jak przełamana gałąź. Odwrócił się i wyrwał z kabury pistolet. Korytarz był wciąż pusty.

Bukowy nie wytrzymał napięcia. Stłumionym głosem zawołał:

- Jest tam kto?

Znowu głucha cisza, jak gdyby cała rudera zapadła się w śnieżną, puchową czeluść. Potem w sąsiedniej izbie zastukały drobne kroki... i nagle w ramie drzwi, zjawiała się zgarbiona postać starej kobiety z naręczem porąbanych świeżo szczap. Starowina znieruchomiała, westchnęła trwożnie, drewna z łoskotem potoczyły się na podłogę. W jej dłoni został tylko niewielki toporek. Chwilę przypatrywali się sobie nieufnie. Bukowy wsunął pistolet do kabury.

- Nie bójcie się - powiedział siląc się na spokój. - Ja tu tylko... - nie dokończył, gdyż kobiecina zerwała się do ucieczki. Zastąpił jej drogę. Kobieta zasłoniła się toporkiem.

- Ja nic... ja nic... ja tu tylko po drzewo. Bukowy zatrzymał ją łagodnym gestem.

- Nie bójcie się. - Spojrzał na leżące u jego stóp szczapy. Zgarnął je i podał kobiecie. - Pewno na podpałkę?

- Tak - wyszeptała bezzębnymi ustami.

Na zarzewie... Zima, panie... Nie ma czym palić... Znowu ogarnęła go nieufnym wzrokiem. - A wy panie, pewno z policji?

Bukowy zaprzeczył ruchem głowy i uśmiechnął się zachęcająco.

Babina zerknęła chytrze.

- Bo tu, panie, już kilka razy przychodzili, dopytywali się, szukali...

Chwycił ją mocniej za ramię.

- Kogo szukali?

- A rozmaicie bywało - rzuciła ze starczą przezornością. Widząc, że nieznajomy jej nie ponagla, załamała ręce i dodała lamentującym głosem: - Panie, co się tu u nas dzieło! Skaranie boskie!

Bukowy zapytał ostrzej:

- O kogo się dopytywali? Kogo szukali?

Kobiecina nagle jak gdyby straciła siły i ochotę do rozmowy. Przygarnęła do suchej piersi drewna i rzuciła ostro:

- A... co mnie to, panie obchodzi? Najlepiej o niczym nie wiedzieć! - Wzruszyła ramionami. Poprawiając opadającą na oczy chustkę, drobnymi kroczkami ruszyła w stronę werandy.

Bukowy stanął w drzwiach. Chciał ją zatrzymać, lecz nie wiedział, co powiedzieć. Rzucił więc - bezmyślnie :

- To na podpałkę to drzewo?

- Na podpałkę, na podpałkę – zachichotała i wykrzywiła usta, jakby go chciała przedrzeć. Potem łypnęła bezzębnymi oczkami. - U nas mówi się: na zarzewie... A wy to pewno z Polski, bo tam tak mówią.

Bukowy wzruszył ramionami. Kobięcina wyciągnęła ku niemu zgięty artretyzmem palec:

- Nie wypierajcie się... Był tu taki jeden, co też mówił "na podpałkę".

Bukowy drgnął, targnięty radosnym przeczuciem.

- Kto to był? Kiedy?

- A mija dziś tydzień - powiedziała przeciągle, a potem zaczęła opowiadać z kobiecą drobiazgowością: - Tydzień mija jak go tu spotkałam. Przyszłam, jak dziś, po suche drzewo. Na polu strasznie kurzyło...

*

Padał mokry, gęsty śnieg, kiedy zbliżała się do rozwalonego domu Burycza. Dom stał w zadymce jak koszmarna zjawia. Przez mglistą zasłonę widać było ciemne plamy zabitych deskami okien, a w przedziwnym szmerze opadających płatków odzywało się przenikliwe skrzywienie drzwi.

Kobieta brnęła przez głęboki śnieg. Kiedy dotarła do werandy, przystąpiła słabo, otrząsając biały nalot śniegu ze starych kapców i z rąbka spódnicy. W ręku, pod chustą, trzymała toporek. Nie obejrzała się nawet. Przywykła bowiem do tych wędrówek po suche drzewo na podpałkę. Poczłapała więc w stronę uchylonych drzwi. Naraz spoza drzwi doszedł ją cichy jęk, jak gdyby ktoś westchnął żalostnie. Stała zdumiona. Zależnionym spojrzeniem wodziła po pustych ścianach. Było cicho. Śnieg tylko wirował w powietrzu. Pomyślała, że tamten żalostny jęk był złudzeniem. Ostrożnie weszła do pokoju. W kącie, niby okaleczony ptak z uniesionym czarnym skrzydłem, zamajaczył fortepian. Nagle wydała stłumiony okrzyk. Przy fortepianie ujrzała bowiem pod ścianą mężczyznę. Zwinięty w kłębek, jakby się bronił przed zimnem, rękami obejmował głowę. Był bez butów. Pojękiwał cicho.

W pierwszej chwili chciała uciekać, lecz gdy minęło pierwsze przerażenie, zbliżyła się ostrożnie i pochyliła nad leżącym mężczyzną.

- Jezusie - wyszeptała - co się wam stało?

Na dźwięk ludzkiego głosu mężczyzna z wysiłkiem uniósł się na łokciach i twarz zwrócił ku babinie. Patrzył chwilę nieprzytomnymi oczami.

- Gdzie ja jestem? - zapytał szeptem.

- Dyc na Polance, pod Łomnicą - odparła łagodnie. Na jego czole ujrziała nabiegły krwią guz i zakrzepłą już szramę. Uklękła pospiesznie, wysunęła przed siebie rękę, jak gdyby chciała dotknąć rany. - Chryste Panie, kto was tak wyzdajał?

Mężczyzna rozejrzał się w trwożnym pośpiechu. - Gdzie mój plecak? Gdzie narty? - krzyknął niemal. Chciał się podźwignąć, lecz nie zdoławszy nawet oprzeć się plecami o ścianę, zsunął się miękko na ziemię.

- Miałeś narty i plecak? - zapytała z niedowierzaniem. Chwilę rozglądała się po pustych kątach, jak gdyby chciała mu pomóc w daremnym poszukiwaniu.

Mężczyzna nie odpowiedział. Rękami objął zakrwawione czoło. Jęknął głośno.

Kobieta położyła dłoń na jego ramieniu.

- Cicho, synu... cicho... Zaraz pójde do leśniczówki. Niech zadzwonią po doktora.

- Nie! - zaprotestował gwałtownie. - Nie potrzeba doktora.

- Synu - pokiwała litościwie głową - przecie ty ledwo zipiesz. Domarzęś pewno... domarzęś. - I nagle z zaciekawieniem spojrzała na jego stopy w grubych wełnianych skarpetach. - A kto ci zabrał buty?

Nieznajomy z ogromnym wysiłkiem usiadł pod ścianą i z wyrazem zdumienia przypatrywał się swym stopom.

- Buty też... westchnął - wiatrówkę.

- Wszystko ci zabrali - wyszeptała z żalem kobiecina. - Co ty teraz zrobisz?

Mężczyzna przyjrzał się jej uważniej, jak gdyby dopiero teraz zrozumiał swe położenie. Naraz złapał ją za ramię.

- Słuchajcie... ja z Polski... Powiedzcie, czy możecie mnie zabrać do siebie?

- Z Polski? - wyszeptała zalękniona. Nagle jej zmięta, poszarzała twarz rozplynęła się w łagodnym uśmiechu. - Przecie nie mogę cię zostawić na tym mrozie. Chodź, to się u mnie zagrzejesz.

Kobieta baczniej przyjrzała się Bukowemu.

- To wy jego szukacie?

- Tak - rzucił pośpiesznie. - Powiedzcie, co się z nim stało?

- Taki był biedny, taki zmarznięty i obolały, że mi się płakać chciało...

- Ale co potem? - przynaglił ją ostrym głosem.

- Potem... - uśmiechnęła się łagodnie. - Chłop był z niego zdrowy i mocny. Po dwóch dniach chciał już wyrywać, ino, panie, został bez butów, bez niczego...

Bukowy chwycił ją za kruche ramię.

- Gdzie on teraz jest?

- W imię Ojca - przeżegnała się pośpiesznie - a skąd ja mogę wiedzieć? Przenocowałam go wtedy, nakarmiłam, a na drugi dzień dał mi pieniądze i powiedział: "Idźcie do Łomnicy, kupcie mi narciarskie buty i wiatrówkę". Butów nie było, ale wiatrówkę to mu przyniosłam.

- Jaką?

- Taką zieloną.

- Na pewno zieloną?

- Mówię wam, że zieloną. No i kapce...

- Kapce - zawołał uradowany i w tej samej chwili pomyślał, że Jasiek Lasak żyje. To przecież on był u Kornego i sprzedał mu złoty medalik z łańcuszkiem. Był tak radośnie zaskoczony, że chciał uścisnąć kobiecinę.

Ta jednak odsunęła się o pół kroku.

- Panie, co wy się tak dziwicie, że mu kupiłam kapce?

- To dobrze, dobrze - uspokoił ją. - Powiedzcie, czy on nie mówił wam, kto go wtedy napadł?

Kobiecina wzruszyła ramionami.

- Sam dobrze nie wiedział. Jak wchodził do tego domu, dostał w łeb i dopiero wtedy się ocknął, kiedy ja przyszłam.

Horny nie spodziewał się powtórnej wizyty Bukowego. Na głos dzwonka wychylił się zza kotary i gdy ujrzał kuriera, cofnął się, jakby zobaczył widmo. Jego drobna, tonąca w zmarszczkach twarz skamieniała.

- Nie bójcie się, panie Horny - odezwał się Jędrak. - Ja tylko na chwilę.

- Już raz powiedziałem, że nie chcę mieć z wami do czynienia. Czy ty, człowieku, nie rozumiesz, że mnie narażasz?

- Ostatni raz, daję słowo - uspokoił go Bukowy.

- Nie, nie! - zawołał tamten piskliwie i w przystępie gniewu podszedł do Jędrka, natarł nań, jak gdyby go chciał wypchnąć ze sklepu, lecz gdy spojrzał na roslą postać kuriera, ściszył nagle głos i bezradnie opuścił ręce. - Ja przez was zdrowie stracę, nerwy stracę... Ja już tego nie wytrzymam. Znowu byli u mnie tajniacy... I straż graniczna też się dopytywała.

Bukowy uśmiechnął się z politowaniem.

- Pewno chcą wiedzieć, czym pan handluje.

- Pytali o was. O jakiegoś Polaka.

Bukowy chwycił go za ramię i przyciągnął do siebie.

- Ja tu jestem ostatni raz, Horny, ale nie radziłbym kłamać. Jesteście pewni, że pytali o Polaka?

Mały człowieczek skulił się pod groźnym spojrzeniem Bukowego.

- Mówię jak na spowiedzi.

- O co was pytali?

Horny wyswobodził się z uścisku silnej ręki.

- O co mogli pytać? - cmoknął zniecierpliwiony. - Czy go znam? Czy był u mnie? Kto tu ostatni przychodził?

- A wy?

- Ja? - uśmiechnął się przebiegle. - Co ja mogłem im odpowiedzieć?... Ja nic nie wiem.

- To dobrze - skinął Bukowy głową. - Najlepiej nic nie wiedzieć, nie pamiętać... - Nagle powiedział ostrzej: - A przypominacie sobie człowieka, który sprzedał wam medalik ze złotym łańcuszkiem?

Horny drgnął. Jego oczy zwęziły się w szpary.

- Tego w zielonej wiatrówce? - Tak. I w kapcach.

- Człowieku, dlaczego mnie już drugi raz o niego wypytujesz?

- Bo to był mój kolega... Lasak.

Horny cofnął się, jak gdyby pchnięty niewidzialną siłą.

- Lasak?...

- Właśnie Lasak.

Sklepikarz wolnym ruchem przejechał dłonią przez łysinę.

Po chwili zapytał:

- Czy wy go jeszcze szukacie?

- Tak.

- To możecie go nie szukać.

- A co się stało?

- Aresztowali go w tym samym dniu, kiedy był u mnie. A potem przewieźli do Preszowa.

*

- Do Preszowa kawał drogi - powiedział Miko, kiedy minęli Łomnicę. Wychylił się zza kierownicy i z niepokojem spojrzał na chmury zasnuwające horyzont. - Znowu będzie padać.

Jechali chwilę w milczeniu. Nagle Wichniewicz poruszył się nerwowo.

- Jesteś pewny - zwrócił się do Jędrka - że Jaśka trzymają w Preszowie?

- Tak mi powiedział Horny.

- Mógł powiedzieć na odczepne.

- Nie... Przycisnąłem go... Zresztą po co miałby kłamać?

- No tak.

- A on ma dobre informacje. Taki facet, co handluje złotem i walutą, musi niektórych opłacać. Sam mi to dał do zrozumienia.

Miko zwrócił ku nim pełne troski spojrzenie.

- Jeżeli go trzymają w Preszowie, to poważna sprawa. Tam byle kogo nie zabierają.

- I trudno stamtąd wyjść - dorzucił Bukowy. - Ostatnio siedziało tam dwoje naszych. Porucznik Marian i łączniczka z Piwnicznej. Oddali ich Niemcom.

- Cholerna sprawa - powiedział cicho Wichniewicz i nagle zwrócił się do Mika: - W którym więzieniu tamtych trzymali?

- Nie chcę was martwić, ale w wojskowym, w specjalnym oddziale kontrwywiadu.

- Jeszcze gorzej - wtrącił Bukowy. - Słyszałem, że tam strasznie maglują.

Wichniewicz uderzył dłonią w kolano, jak gdyby w ten sposób chciał dodać towarzyszom otuchy.

- Nie ma co martwić się na zapas. Po pierwsze nie wiemy, czy Jasiek jest w Preszowie, a po drugie nie mamy pojęcia, w którym więzieniu. Przyjedziemy, to się rozejrzemy na miejscu. Tylko trzeba będzie strasznie uważać, bo to śmierdzące miejsce...

Zamilkli. Każdy zajął się własnymi myślami.

Pogoda się psuła. Początkowo padał drobny, suchy śnieg, ale gdy zbliżali się do Preszowa, zaczęło mocno wiać. Droga stawała się coraz trudniejsza. Słabe światła mozolnie rozdzierały ścianę z gęstej zamieci. Jechali niemal po omacku. Na wzniesieniach wiatr zdierał z szosy warstwę śniegu, pozostawiając zdradliwą gołoledź. W wykopach kotłowało się od siwych tumanów śnieżycy, a wóz coraz ciężiej pracował w nawianym śniegu.

Miko pochylił się nad kierownicą, Wbił oczy w skrawek oświetlonej szosy. Na jego zasepionym czole perlił się pot.

Zdawało się, że jadą przez wymarłą, białą pustynię.

Minęli uspięte osiedle. Z zawiei wyłoniły się nikłe zarysy domów. Przed zasypaną szybą przesunęły się przyćmione światła. Kilka furmanek stało we mgle; konie zwiesiły nisko głowy i pyski schowały w workach z obrokiem.

- Już niedaleko. Może dwanaście kilometrów - powiedział z ulgą Miko. Nacisnął pedał gazu.

Wóz zabujał się na oblodzonej drodze i nieco szybciej potoczył się poprzez ostatnie opłotki zabudowań. Dalej był las, a gdy wjechali między drzewa, przycichło nieco i droga stała się gładzsza.

Dopiero za lasem stało się to, czego się najbardziej obawiali: wóz wpadł w miąłką zaspę. Zakołysało nim gwałtownie, koła zaryły się w śniegu, pracowały jeszcze chwilę jak w gęstej pianie i nagle zatrzymały się.

Miko zaklął. Pierwszy wyskoczył z wozu. Stał chwilę w bezradnym milczeniu. Potem okrążył wóz, otworzył bagażnik, wyjął łopatę.

- Mamy wspaniałą robotę - zażartował. - Chodźcie, rozgrzejcie się!

Nie czekając na tamtych, jał odrzucać śnieg spod tylnych kół. Zdążył kilka razy machnąć łopata, kiedy w górze na drodze ukazały isię światła zjeżdżającego samochodu. Opadały wolno jak dwa błyszczące baloniki. Po chwili ze ściany mgły wyłonił się rozpędzony wóz. Miko uniósł łopatę, krzyknął głośno. Zapiszczały hamulce, zaśpiewały cienko opony; wóz zatańczył na zlodowaciałej drodze i w rozpędzie wpadł w zaspę.

Z wozu wyskoczyło dwóch mężczyzn. Zdawało się, wyłonili się wprost z wirującej zadymki. W smugach światła widać było ich ciemne sylwetki. Jeden z nich zawołał głośno po niemiecku:

- Co się stało? Dlaczego stoicie?

- Niemcy! - powiedział zdławionym głosem Miko.

Wichniewicz uniósł ostrzegawczo rękę.

- Tylko spokojnie! I jak najmniej gadania. - Brnąc w śniegu, zbliżył się do Niemca.

- Nie widzi pan, że zaspą - powiedział najczystsza Niemczyzną.

Na dźwięk ojczystej mowy Niemiec znieruchomiał.

- Panowie dokąd?

- Do Preszowa.

- My w tym samym kierunku.

Po chwili zwrócił się do towarzysza i tonem przełożonego zawołał:

- Ernst, bierz szybko łopatę.

Tamten bez słowa wykonał rozkaz. Z zajadłą gorliwością zaczął przekopywać się przez zaspę.

Bukowy tymczasem zbliżył się do bagażnika. Udając, że czegoś w nim szuka, wyjął ciężką korbę, schował ją pod wiatrówkę. "W razie czego - pomyślał - walnę w łeb tego z łopata. Z tamtym Antek powinien sobie poradzić". Stał za samochodem, w napięciu obserwował Niemców. Po chwili usłyszał głos Wichniewicza. Zerknął w jego stronę. Ze zdziwieniem stwierdził, że Antek prowadzi ożywioną rozmowę z wysokim Niemcem.

Stali z boku drogi i chwilę badali się niepewnymi spojrzeniami.

- Podróżować w taką pogodę to doprawdy pech - zagadnął Wichniewicz, chcąc sprowadzić rozmowę na wygodne dlań tory. - Panowie służbowo?

Niemiec cofnął się o pół kroku, jakby chciał lepiej przyjrzeć się rozmówcy.

- A pan? - zapytał ostro, pozostawiając Wichniewicza bez odpowiedzi.

- Ja... - zająknął się, lecz wnet rzucił spokojnie: - Ja do Preszowa w sprawach handlowych.

- Pan Niemiec?

- Nie, Słowak, tylko pięć lat studiowałem w Wiedniu.

- W Wiedniu! - zawołał Niemiec radośnie zdumiony. - W których latach?

- Od trzydziestego pierwszego.

Niemiec wyciągnął do Wichniewicza rękę, jakby go chciał uścisnąć.

- Człowieku, tośmy w tym samym czasie byli w Wiedniu! Ja na, prawie.

- A ja na politechnice.

- No proszę, co za spotkanie! - kordialnym gestem ujął Wichniewicza za ramiona. - Cieszę się, przyjacielu... Cieszę się... - Wionęło od niego koniakiem i mocną męską wodą kolońską. - Piękne to były lata.

- Piękne lata - podchwycił Wichniewicz z wrodzonym wdziękiem, lecz bez zbytnej poufałości. - Piękne lata i wesołe życie.

- Musieliśmy się spotykać - roześmiał się Niemiec, tracąc resztę nieufnej rezerwy. - Pamięta pan gospodę "Pod Złotą Miotłą"?

- Ba! - zawtórował mu śmiechem Wichniewicz. - Częściej tam chodziłem niż na wykłady.

- A Rudą Hildę?

- Ruda Hilda! - wykrzyknął Wichniewicz z udanym zachwytem. - Kto by nie pamiętał Rudej Hildy!? Bez niej nie było studenckiej zabawy. Pamięta pan tę piosenkę, którą Hilda zawsze

śpiewała? - Nie czekając na odpowiedź, zanucił pierwszą zwrotkę.

Niemiec podchwycił melodię. Za chwilę razem śpiewali wśród świstu wiatru i zawiei. Zakończyli wybuchem śmiechu. Niemiec pociągnął Wichniewicza w stronę swego samochodu.

- Musimy się napić. Taka okazja! - Spod pledu rzuconego na tylne siedzenie wyciągnął butelkę koniaku. - Francuski! - wykrzyknął radośnie podniecony. - Przywiózł mi go jeden kolega z Paryża. Pij, przyjacielu - wepchnął butelkę w dłonie Wichniewicza.

Ten wolno odkręcał nakrętkę korka.

- Za zdrowie Hildy! Za tamte lata! - przechylił butelkę, z przyjemnością pociągnął tęgi łyk.

- Za wesoły Wiedeń i studenckie czasy! - Niemiec pił długo i łapczywie. Zdawało się, że wypróżni całą butelkę, a gdy oderwał ją od ust, klepnął Wichniewicza w ramię. - Jak panu na imię?

- Toni.

- A ja Rudi... - Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili dał się słyszeć warkot silnika. Spojrzeli w stronę wozu. Miko siedział już za kierownicą, a Bukowy z drugim Niemcem, zapierając się w śniegu, popychali samochód.

- Na mnie czas - rzucił z ulgą Wichniewicz. Niemiec chwycił go za rękaw.

- Pan gdzie zatrzymuje się w Preszowie?

- Nie wiem jeszcze. Najpierw muszę załatwić swoje sprawy. - Chciał się wyswobodzić, lecz Niemiec przytrzymał go mocniej.

- Ja będę w hotelu "Vyhorlat". Niech pan wpadnie. Jest tam porządna knajpa i znakomita orkiestra. Pogadamy o wiedeńskich czasach.

- Z przyjemnością - odparł Wichniewicz. Ruszył ostro w stronę samochodu. Niemiec zawołał za nim:

- Toni, niech pan nie zapomni! Hotel "Vyhorlat". Czekam na pana.

9

Było już po dziesiątej, kiedy Wichniewicz zbliżał się do hotelu "Vyhorlat". Przez całą drogę zastanawiał się, czy to, co zamierza zrobić, nie jest zbyt ryzykowne.

W Preszowie Miko zawiózł ich do położonego za miastem skromnego domu. Młoda gospodyni przyniosła gorącą herbatę. Pili w milczeniu. Od kaflowego pieca promieniowało obezwładniające ciepło. Potem kobieta wniosła polowe łóżko i wielką kraciatą pierzynę. Wszyscy byli tak zmęczeni i przemarznięci, że na samą myśl o pierzynie ogarniał ich sen. A jednak Wichniewicz wyszedł, nie powiedziawszy, że idzie do "Vyhorlatu". Byli tak senni, że nie zapytali nawet, dokąd idzie.

Teraz zbliżał się do jasno oświetlonych okien hotelu. Spoza spoconych szyb słychać było zawodzące tony skrzypiec i metaliczny dźwięk cymbałów. W kręgach światła drobny śnieg sprawiał wrażenie, jakby ktoś sypał z mglistego nieba confetti. Minął stojące przed hotelem samochody i dwóch rozbawionych, nucących coś pijackimi głosami mężczyzn. Wszedł do hotelowej restauracji.

Szwajcar, tęgi mężczyzna z zawadiacko podkreślonym wąsem, otworzył przed nim drzwi i skłonił się z zawodową skwapliwością. Wichniewicz wcisnął mu w dłoń pięciokoronową monetę. Tamten pogłębił jeszcze swój ukłon i okraszył go sztucznym uśmiechem. Potem zjawia się szatniarka. Z fachową dociekliwością taksowała przez chwilę nowego przybysza. Widocznie nie bardzo jej się spodobał sportowy ubiór: lodenowa kurtka, ciężkie, turystyczne buty i narciarskie spodnie, lecz nowa pięciokoronowa moneta w jednej chwili przekonała ją, że ma do czynienia z solidnym gościem.

Wichniewicz przeszedł do sali restauracyjnej. Ogarnęło go natychmiast ciepło, blask jasno płonących światła i dźwięki cygańskiej kapeli. Rozejrzał się i ruszył między stoliki.

Sala była napchana rozbawionymi ludźmi. W kącie przy dużym i suto zastawionym stole Cygan o włosach błyszczących jak laka grał melodię, którą Wichniewicz dobrze znał z budapeszteńskich lokali. Antek czujnymi oczyma błędził po twarzach biesiadników. Szukał dwóch Niemców. Naraz ktoś złapał go za rękaw. Odwrócił się gwałtownie.

- Nareszcie, Toni! Nareszcie... - usłyszał radosny okrzyk. Zdziwił się, że ich wcześniej nie spostrzegł. Musiał być bardzo zmęczony. Niemiec uniósł się ciężko i niemal siłą usadził go na krześle.

Wichniewicz dopiero teraz mógł im się przyjrzeć dokładniej. Ten, który z nim rozmawiał, był wysoki, szczupły, barczysty i bardzo przystojny. Jego towarzysz - pękaty, ociężały, o twarzy znudzonego barana - nieufnie spoglądał spoza grubych okularów. Robił wrażenie człowieka oschłego i odpychającego. Zanim zamienili kilka chaotycznych zdań powitania, zjawił się kelner wraz z trzecim nakryciem i butelką wina. Niemcy byli już dobrze podchmieleni.

- Toni - klepał Wichniewicza Niemiec z pijacką wylewnością - pojedziesz z nami na polewanie... do Humennego... Nie masz pojęcia, jakie tam jelenie i jakie dziki...

Wichniewicz uśmiechnął się przekornie.

- Ja poluję tylko na kobiety - zażartował. Niemiec objął go mocno ramieniem.

- Musisz z nami jechać do Humennego. Jeżeli studiowałaś w Wiedniu, to musisz z nami pojechać.

- Jeżeli tam ładne kobiety, to z przyjemnością.

Niemiec nalał mu wina.

- Pij, przyjacielu... Pijemy wszyscy za zdrowie Rudej Hildy... Pamiętasz, jak na stole tańczyła kankana, a potem nosiliśmy ją na rękach. To były czasy... Pamiętasz, przyjacielu? I ta melodia, ta piosenka, którą zawsze śpiewała. Jak to idzie? - Próbował zanucić, lecz po kilku taktach zgubił rytm i melodię.

Wichniewicz podjął za niego. Zaczęli śpiewać, zrazu cicho, jakby ostrożnie wracali do tamtych czasów, a potem coraz głośniej, aż Cygan strzelił ku nim ognistymi oczami i przybliżył się. Wnet podchwycił melodię wiedeńskiego walczyka i ciągnął ją po swojemu na skrzypkach.

I wtedy zaczęła się szaleńcza zabawa.

*

Po kilku kieliszkach wina Wichniewicza zamroczyło, lecz potem nie pił już więcej. Był przeraźliwie trzeźwy. Z zuchwałą nonszalancją reżyserował tę pijacką zabawę.

Wnet cała kapela zgromadziła się wokół ich stolika. Cyganie, zachęcani kilkoma butelkami wina i sutymi napiwkami, grali na przemian wiedeńskie walce i madziarskie czardasze. Nie wiadomo skąd zjawiły się młode kobiety. Rudi, zrzuciwszy z siebie myśliwską kurtkę, tańczył na środku sali czardasza, ten drugi z ponurym uporem śpiewał walczyka, kobiety śmiały się, a Wichniewicz wszystkim dolewał wina.

Wreszcie przed północą, kiedy już mieli zamykać lokal, zjawił się kierownik sali i podszedł do ponurego Niemca w okularach.

- Czy pan Stolfe? - zapytał dyskretnie. Tamten zeszywniał nagle.

- Tak, a co się stało?

- Telefon z Wiednia do pana.

Stolfe przeprosił towarzystwo. Chwiejnym krokiem ruszył w stronę drzwi. Wichniewicz odprowadził go czujnym spojrzeniem.

Rudi nie zauważył jego zniknięcia. Po szaleńczym czardaszu wpadł nagle w nastrój pijackiego wzruszenia. Usiadł obok Wichniewicza, objął go ramieniem.

- Toni - bełkotał - jesteś moim przyjacielem czy nie?

- Jestem i zostanę na wieki. Wiedź nas złączył. - Wichniewicz z łatwością wpadł w jego ton.

- I Ruda Hilda - podjął, słaniając się Rudi.

Wichniewicz uznał, że nadszedł odpowiedni moment, by działać. Jeszcze dokładnie nie wiedział, w jaki sposób wykorzysta tę znajomość, rozumiał jednak, że nadarza się wyjątkowa okazja. Objął więc czule słaniającego się Rudiego.

- Późno już, Rudi. Jutro jedziemy na polowanie. Słyszysz? - potrząsnął nim mocniej.

Niemiec z trudnością otworzył mętne oczy. Czknął i zawołał ochoczo:

- Na polowanie! Na polowanie! - Nagle zwrócił się do stojącego pod ścianą kelnera: - Rachunek i butelka szampana.

Kelner zgiął się w ukłonie.

- Tak jest, proszę pana. Rachunek zaraz będzie... ale szampana nie możemy podać, bo już zamykamy lokal.

- Człowieku - krzyknął ostro Niemiec. - Dawaj szampana. Pijemy zdrowie Rudej Hildy!

Szampana pili już w hotelowym numerze.

Siedzieli w pokoju, Wichniewicz z obawą spoglądał na drzwi, czy nie zjawi się Stolfe. Widział go w hotelowym hallu, jak rozmawiał z jakimś cywilem, w którym na pierwszy rzut oka można było rozpoznać miejscowego tajniaka.

W hotelu było cicho. Od rozgrzanych kaloryferów biło gorąco, woda sennie szumiała w rurach. Wichniewicz otworzył okno. Na rozpalonej twarzy poczuł powiew chłodnego powietrza i łaskotanie płatków śniegu. Spojrzał za siebie. Rudi rozparł się w fotelu, nogi rozrzucił szeroko, w drżącej dłoni trzymał kieliszek do połowy napełniony szampanem. Nagle zwolnionym ruchem uniósł kieliszek w stronę Wichniewicza i wybełkotał, cicho:

- Toni... sam nie wiesz, jakie teraz życie... Pij, Toni!... Zaraz pójdziemy... - Nie dokończył. Ciężka głowa opadła mu na pierś, ręka zsunęła się wolno wzdłuż oparcia fotela.

Wichniewicz dobiegł do niego. Wyjął mu spomiędzy palców kieliszek. Kilka kropel pociekło na czystą, wykrochmaloną koszulę.

Kurtka myśliwska wisiała na krześle obok stołu. Wichniewicz ostrożnie otworzył drzwi. Wychylił głowę na korytarz. Rozejrzał się. Nikogo nie było. Nasłuchiwał z ogromną uwagą. Na całym piętrze panowała cisza, tylko z sąsiedniego numeru słychać było przytłumioną muzykę z radia. Cofnął się więc na palcach, zamknął za sobą drzwi. Potem podszedł do Niemca, zaklaskał w dłonie tuż przy jego uchu. Ten nie zareagował. Uderzył go lekko palcami w policzek - ani drgnął. Wtedy dopiero zbliżył się do wiszącej na oparciu krzesła kurtki. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Po chwili wyciągnął pękaty portfel. Błyskawicznie przerzucił tkwiące w nim dokumenty i wyłuskał z nich

legitymację służbową oprawną w brązowe płótno. Otworzył ją... i aż westchnął z radosnym zdziwieniem. Była to legitymacja SD - Urzędu do Spraw Bezpieczeństwa Rzeszy Niemieckiej. Lepszej nie mógł znaleźć. Schował ją szybko do kieszeni. Portfel wepchnął z powrotem do kurtki, a kiedy przez nieuwagę trącił kurtkę kolaniem, w jej bocznej kieszeni usłyszał ciche brzęknięcie. Sięgnął więc ręką. Natrafił na kluczyki do samochodu. I wtedy właśnie, jak gdyby pod wpływem nagłego olśnienia, zrodził się w jego głowie zuchwały plan...

Wtem na korytarzu usłyszał czyjeś ciężkie kroki. Był pewny, że to Stolfe. W jednej chwili zrozumiał, że najlepiej będzie obudzić Rudiego. Niech tamten myśli, że przez cały czas jego nieobecności trwała pijatyka. Złapał więc własny nie dopity kieliszek, uderzył mocno Rudiego w pierś. Niemiec ocknął się gwałtownie, zerwał się i krzyknął, lecz gdy zobaczył Wichniewicza, na jego zmęczonej twarzy ukazał się maślany uśmiech. W tym momencie ktoś pchnął mocno drzwi... W progu stał Stolfe. Chłodnymi, pełnymi czujności oczami wodził po pokoju, jak gdyby zwęszył jakiś podstęp. Chciał coś powiedzieć, lecz Wichniewicz uprzedził go. Udając, że się zatacza, wybełkotał:

- Dobrze, że pan przyszedł. Zostało jeszcze pół butelki szampana...

Rudi czknął głośno, patrzył chwilę nieprzytomnymi oczami. Nagle jego wysoka postać przełamała się i bezwładnie opadła na fotel. Stolfe podbiegł do niego, chciał go podźwignąć, lecz tamten całym ciężarem przelał mu się przez ręce.

- Napijmy się za Wiedeń - mamrotał kołysząc się na chwiejnych nogach.

Stolfe wyprostował się, spojrzał chłodno.

- Na dzisiaj już dosyć. Jesteśmy wszyscy porządnie zmęczeni.

Wichniewicz zaniósł się śmiechem.

- Jak dosyć, to dosyć - wysączył resztę szampana i z ulgą odstawił kieliszek. - W takim razie, dobrej nocy... Mam nadzieję, że jutro spotkamy się na śniadaniu.

- Wątpię - powiedział Stolfe z naciskiem - bo my bardzo wcześnie wyjeżdżamy.

Wichniewicz uczynił okrągły gest ręką, jak gdyby zaznaczył, że bardzo żałuje, a potem bez słowa wycofał się do drzwi. Czuł na sobie przenikliwe, chłodne spojrzenie Niemca.

Kiedy znalazł się na korytarzu, zrozumiał, że pokonał pierwszą, może najtrudniejszą przeszkodę. Cały korytarz przemierzył spokojnym krokiem, dopiero na schodach ruszył ostrzej. Zbiegł szybko do hallu.

Światła były pogaszone, tylko w recepcji paliła się ocieniona zielonym kloszem lampa. W jej świetle twarz łysego portiera przypominała oblicze wynurzającego się z mętnej wody topielca. Wichniewicz podszedł do niego energicznym krokiem. Zapytał ostro po niemiecku:

- Gdzie tu jest wojskowe więzienie?

Na ścianie wisiała podobizna szefa państwa, księdza Tiso, i godło państwowe Słowacji. Ksiądz Tiso spoglądał niemal dobrodusznie, jak wiejski proboszcz. Nie pasował do tej surowej izby ani ponurego wejrzenia oficera, który stał za wielkim biurkiem.

Wichniewicz do tej pory nie mógł zrozumieć, w jaki sposób udało mu się tu dostać?

Jeden telefon z budki telefonicznej... Powiedział wtedy ostrym, dobrze dobranym głosem, że jest z wiedeńskiego gestapo i chciałby się natychmiast widzieć z oficerem dyżurnym. Kiedy zajeżdżał przed bramę więzienną ukradzionym spod hotelu niemieckim samochodem, czekał już na niego podoficer. Niemieckie znaki rejestracyjne zrobiły swoje; nawet go nie wylegitymowano. Miał możliwość stwierdzić, jak daleko i jak skutecznie sięgają wpływy Niemieckiej Rzeszy.

Oficer miał posępne oblicze. Był zalękniony.

- Proszę, niech pan siada, panie Sturmführer Döpler - sztywnym ruchem wskazał na krzesło.

Wichniewicz nie skorzystał z propozycji.

- To pan jest oficerem dyżurnym? - zapytał po niemiecku.

- Nie, panie Sturmführer... Jestem prokuratorem do spraw specjalnych. Oficer dyżurny nie zna niemieckiego. Sprowadzili mnie tutaj specjalnie dla pana - dodał z odcieniem wymówki.

- Przepraszam - rzucił sucho Wichniewicz.

- Ale to bardzo poważna sprawa. - Przeszył go przenikliwym spojrzeniem i nagle zapytał niemal krzycząc: - Czy są tu u pana Polacy?

Oficer cofnął się, jakby zaskoczony tym tonem, lecz wnet się opanował.

- Wolałbym jednak - powiedział z namysłem - żeby pan wpierw wyjaśnił, w jakim celu...

- Dobrze - przerwał mu gwałtownie Wichniewicz. - Specjalnie przyjechałem z Wiednia w tej sprawie. Poszukujemy pewnego Polaka, który wymknął się naszym strażnikom na granicy słowackiej. Szedł na Węgry z bardzo ważną misją. Do Budapesztu jednak nie doszedł. Istnieje więc przypuszczenie, że został złapany na Słowacji...

- Ciekawe - oficer uśmiechnął się skąpo. - A skąd pan ma takie informacje?

- To przypuszczenie.

- W takim razie, dlaczego szuka go pan właśnie w naszym więzieniu?

Wichniewicz wyczuł, że popełnił jakąś nieostrożność. Zaryzykował więc i powiedział jeszcze ostrzej:

- Po drodze wstąpiłem do Popradu. Wasi ludzie poinformowali mnie, że w ubiegłym tygodniu aresztowali pewnego Polaka i wysłali go do was.

Oficer tarł chwilę osypaną rudawym włosom dłoń.

- To się zgadza...

- Czy mógłbym go zobaczyć? - zapytał Wichniewicz, nie chcąc dopuścić go do głosu.

- Przepraszam, a jak się tamten nazywał? Wichniewicz zawahał się. Chciał powiedzieć - Plawy, ale w ostatniej chwili powstrzymał się i chwilowe zmieszanie pokrył wybuchem gniewu.

- Przecież mówię panu, że chcę go zobaczyć. Znam go, bo go przesłuchiwałem.

- W Wiedniu? - dociekał tamten podejrzliwie, a na jego cienkich wargach zaigrał kąśliwy uśmiezek.

- Nie... w Zakopanem. Gdyby to była błaha sprawa, to, pan sam rozumie, nie fatygowałbym pana w nocy. Więc - napiął głos aż do krzyku - czy mógłbym go teraz zobaczyć?

Tamten rozłożył ręce nieco faryzeuszowskim gestem.

- Pan wybaczy, panie Sturmführer Döpler, ale ja muszę kierować się wskazówkami swoich zwierzchników. U nas do tej pory nie było takiego precedensu.

- Więc pan odmawia?

- Przepraszam pana, ale...

- W takim razie - zaryzykował Wichniewicz - proszę mnie połączyć z Bratysławą...

Oficer zbladł nieco, a jego oczy zmatowiały. Wolnym ruchem położył dłoń na słuchawce.

- Czy to konieczne? - zapytał niepewnym głosem, w którym Wichniewicz doszukał się wahania.

- Tak - powiedział nieco ciszej, lecz stanowczo - żądam, żeby pan dał mi zobaczyć tego więźnia.

Oficer tym samym niepewnym ruchem oderwał rękę od słuchawki.

- Jeżeli panu tak bardzo zależy - wzruszył ramionami i energicznym krokiem ruszył do drzwi.

Otworzył je jednym szarpnięciem. - Plutonowy! - zawołał w głąb korytarza. - Przeprowadźcie tego z separatki.

Wracając do biurka napotkał szydercze spojrzenie Wichniewicza. Opuścił nieco głowę i nie patrząc mu w oazy podsunął krzesło.

- Proszę, niech pan siada... Widzi pan, niepotrzebnie się pan denerwuje. My i tak złapanych na granicy Polaków odsyłamy wam do Generalnej Guberni.

Wichniewicz wyciągnął paczkę niemieckich papierosów, które zdążył zgarnąć ze stolika w hotelu "Vyhorlat". Poczęstował oficera.

- Wiem - powiedział - ale w tym wypadku bardzo nam zależy na czasie.

- I niepotrzebnie niepokoi się pan - rzucił pojednawczo. - Tego, którego pan za chwilę zobaczy, prześlemy wam jutro na stacji w Lubotynie.

Wichniewicz zaciągnął się głęboko papierosem. Miał takie wrażenie, że dłużej już nie wytrzyma wzrastającego napięcia. Chciał się nieco uspokoić, zyskać na czasie.

W pośpiechu kojarzył nasuwające się myśli: "Lubotyń... to stacja graniczna na linii do Muszyny i Nowego Sącza. Co się stanie, jeżeli zdążą Lasaka oddać w ręce Niemców? Może zażądać wydania więźnia? Nie... to niemożliwe. Jak się zachować, kiedy Lasak tu wejdzie?..." Wolnym krokiem przemierzał izbę. Starał się uporządkować tok myśli.

Oficer siedział sztywny i nadąsany za biurkiem. Spod pochylonego czoła wnikliwie obserwował nieoczekiwane gościa.

Wichniewicz zatrzymał się przed nim.

- A gdyby się okazało, że to właśnie ten, którego szukamy, czy wtedy moglibyście przekazać go nam bezpośrednio?

Oficer zabębnił palcami na krawędzi stołu.

- W takim wypadku musielibyśmy zwrócić się do Bratysławy.

- Aha... rozumiem - przytaknął głową, a w myśli dodał: "Nie ma co marzyć o wyciągnięciu go z tych murów" - a potem nagle ostro zapytał: - Odwozicie go samochodem?

- Niestety, pociągiem, bo na drogach zasy.

- Tak, rozumiem...

- Już nawet zawiadomiliśmy wasz posterunek graniczny w Leluchowie.

W korytarzu dały się słyszeć ciężkie kroki. Po chwili ktoś pchnął drzwi, a w progu ukazał się

Lasak z żandarmem.

Wichniewicz był przygotowany na to spotkanie, a jednak coś nim targnęło. Doznał takiego uczucia, jakby go ktoś ugodził kamieniem. Lasak szedł ze spuszczoną głową. Czoło miał przewiązane brudnym bandażem. Twarz siną od bicia, oczy podpuchnięte. Nagle uniósł głowę i wtedy ich spojrzenia spotkały się i starły. Lasak zachłysnął się powietrzem, lecz nie drgnął, tylko na dnie jego źrenic zapaliło się bezgraniczne zdumienie.

- Nie, to nie ten - rzucił Wichniewicz zawiedzionym tonem.

Oficer odetchnął z ulgą.

- To się pan, panie Sturmführer, niepotrzebnie fatygował. - Potem skinął ręką na plutonowego:
- Wyprowadzić.

Lasak jeszcze raz spojrział na Wichniewicza oczami błagającymi o pomoc. Wnet jednak z rezygnacją opuścił głowę. Odszedł.

Wichniewicz z udanym gniewem trzepnął dłonią w dłoń.

- Widzi pan, jaka ta nasza służba... Jechałem tyle kilometrów, żeby się przekonać, że to nie ten... Jutro muszę być w Bańskiej Bystrzycy. - Energicznym ruchem uniósł rękę. - Heil, Hitler!

Chciał wyjść, lecz prokurator zatrzymał go powściągliwym gestem.

- Przepraszam, to tylko formalność, muszę jednak wciągnąć do książki służbowej pańskie personalia.

Wichniewicz na mgnienie oka zawahał się. Wnet jednak pełnym nonszalancji ruchem sięgnął do kieszeni po legitymację, lecz jej nie wyjął, tylko powiedział ostro:

- Już panu mówiłem, Sturmführer Rudolf Döpler.

Oficer wolno przysunął gruby zeszyt, wyjął z kieszeni pióro.

- To już wiem - i nagle rzucił pióro, a rękę wyciągnął po legitymację ruchem, który mógłby się wydawać zaproszeniem do pozostania na miejscu. - Muszę zameldować szefowi o pańskiej wizycie.

Wichniewicz cisnął mu legitymację na stół. Ten rozłożył ją starannie, przyglądał dłonią i dłuższą chwilę przyglądał się fotografii. Nagle złożył szybko legitymację, a na jego zmęczonej twarzy ukazał się nic nie znaczący uśmiech. Podał legitymację Wichniewiczowi i powiedział:

- Nieco inaczej wygląda się w mundurze.

Przez branie przejechał bardzo wolno. W snopach reflektorów widział strażnika w ogromnym kożuchu i podoficera stojącego na baczność jak na paradzie wojskowej. I nagle doznał uczucia przedziwnej lekkości. Skręcił w tonącą w śniegu ulicę... Obejrzał się za siebie. W kręgu padającego z latarni światła zamykała się ciężka brama, niby dwa skrzydła siadającego ptaka. Dopiero wtedy dodał gazu. Wóz pomknął cicho. Pruł kołami aksamitną miękkość spadłego śniegu. W szeleście opon było coś kojącego.

Zatrzymał się w bocznej ulicy, obok hotelu. Chciał sprawdzić, czy nikt nie kręci się przed wejściem. Hotel tonął w zupełnej martwocie. Tylko z hallu przeciekało nikłe światło. Wprowadził więc wóz na to samo miejsce, z którego go zabrał. Kluczyki zostawił w stacyjce, a legitymację Döplera wepchnął pod schowek przy kierownicy. I dopiero gdy odchodził spod hotelu, poczuł, że wali się na niego zmęczenie. Szedł jednak szybkim krokiem, jak spóźniony przechodzień. Przed oczami wciąż widział zbiedzoną twarz Jaśka Lasaka i jego pełne bolesnego zdziwienia spojrzenie. I myślał tylko o jednym - jak zorganizować odbicie przyjaciela.

11

- To nie będzie łatwa sprawa - powiedział Miko.

Pili w pośpiechu gorącą kawę, którą przyniosła im milcząca gospodyni.

- Do Lubotyńia odchodzą dwa pociągi. Jeden o siódmej piętnaście, drugi po południu, o czternastej trzydzieści pięć. Nie wiem, którym go przewiozą. - Wichniewicz między jednym a drugim łykiem kawy wrzucał do plecaka porozwieszane na krzesłach rzeczy.

Bukowy wzruszył nerwowo ramionami.

- To nie najważniejsze... Można przecież przypilnować na dworcu. Grunt, żeby nie było dużej eskorty.

- Jeżeli się nie mylę - dodał Miko - to więźniów przewożą w osobnych przedziałach. Czasem nawet potrafią opróżnić z pasażerów cały wagon.

- No to co? - zniecierpliwił się Wichniewicz. - W tej chwili nie możemy wiedzieć, jak tym zastanawiać. Grunt, że w ogóle coś wiemy, tym zastanawiać. Grunt, że w ogóle coś wiemy. Musimy przede wszystkim zdecydować, gdzie go odbijemy. - Wyciągnął z kieszeni pomiętą mapę. Rozłożył ją starannie, przyglądał dłońią: - Tu jest Preszów, a tu Lubotyń i granica. Tu, między Plaweczem a Lubotyńiem, jest najdłuższy odcinek bez przystanków... I do tego lasy. Zdaje mi się, że to będzie

najlepsze miejsce.

Bukowy kręcił z powątpiewaniem głową.

- A mnie się zdaje, że trudno ustalać miejsce. To przecież wszystko zależy od sytuacji.

- Pięknie - uśmiechnął się Wichniewicz - ale Miko musi wiedzieć, w którą stronę ma jechać i gdzie na nas czekać,

Miko pochylił się nad mapą. Palcami tarł w zakłopotaniu ucho.

- No dobrze - rzekł z namysłem - możemy się umówić, ale jak ja tam dojadę, kiedy sami mówiliście, że zasy? A to przecież cholernie daleko.

Wichniewicz rozłożył ręce.

- Trudno, musimy próbować. No bo jak wyobrażacie sobie nasz powrót? Przypuśćmy, że udało nam się odbić Lasaka. I co dalej? Przecież na najbliższej stacji zaalarmują, wszystkie posterunki. Zaczną szukać... A w taką zimę niełatwo uciekać.

- A potem pchać się przez całą Słowację do granicy węgierskiej - dodał Bukowy. W jego głosie zabrzmiała minorowa nuta. - Wiecie dobrze, że lubię ryzykować...

- Kto z nas nie ryzykuje? - przerwał mu Miko. - Ja mogę jechać w stronę Lubotynia, ale co będzie, jak stanę w zaspach...

Zamilkli. Zrobiło się cicho. Za oknem było jeszcze ciemno. W izbie płonęła słaba żarówka. Spod sufitu mżyła bladym światłem na zaszępienie i zmęczone twarze. Pierwszy odezwał się Jędrzek Bukowy:

- Co my tak tutaj stoimy jak na pokucie? Niczego mądrzejszego nie wymyślimy.

- No jasne - uśmiechnął się Miko. - Ja zaryzykuję. Umówmy się na skrzyżowaniu dróg pod Lubotyńniem - pokazał palcem na nikłe kreski na mapie. - Znam to miejsce. Kiedyś odwoziłem tam jednych z Kieżmarku na polowanie. Jest tam kapliczka, a dalej, może o pół kilometra, leśniczówka. Umówmy się przy kapliczce.

- A kiedy tam będziecie? - zapytał Wichniewicz głosem, w którym wyczuwało się niepewność.

- To zależy, którym pociągiem zabiorą Lasaka. Jeżeli rannym, to może zdążę na wieczór, a jak popołudniowym, to na jutro rano.

- Tak... to jedyne wyjście - powiedział w zamyśleniu Wichniewicz.

Bukowy zarzucił plecak na ramiona.

*

Do rannego pociągu nie przywieziono Lasaka. Musieli więc czekać aż do pół do trzeciej. Niepokoił się, czy władze więzienne nie zmieniły planu i nie postanowiły wysłać Lasaka do granicy karetką więzienną? Te godziny przeżyli w wielkim napięciu.

Przed drugą byli znowu w okolicach dworca. Wichniewicz obawiał się, by po nocnym nalocie w więzieniu nie rozpoznali go. Ukrył się w niewielkiej kawiarni obok placu dworcowego; Miko zajął stanowisko w zaparkowanym samochodzie. Bukowy bez przerwy krążył między poczekalnią, główną halą dworcową i placem.

Piętnaście po drugiej na placu pojawiła się nagle karetka więzienna. Pierwszy spostrzegł ją siedzący w samochodzie Miko. Niezdarna buda zatoczyła szerokie koło i zatrzymała się z boku, przy wejściu do przechowalni bagażu. Po chwili wyskoczył z niej mężczyzna w cywilnym ubraniu. Okrążył samochód, otworzył kluczem tylne drzwiczki i czekał, aż wyprowadzą więźnia.

W tym momencie spostrzegł ich również Bukowy. Zbliżył się wolno do karetki. Najpierw ujrzał żandarma z karabinem przewieszonym przez przegub ręki, a potem... Tak, to był Jasiek Lasak. Wyszedł lekko przygarbiony, z głową wtuloną między uniesione bezradnie barki, ze skutymi rękami. Bukowy podszedł jeszcze bliżej. Lasak rozglądał się, jak gdyby kogoś szukał. Naraz drgnął. Zobaczył Jędrka. Zamienili tylko jedno krótkie spojrzenie i Bukowy minął karetkę...

W tej samej chwili Miko wyszedł z samochodu. Z właściwym mu spokojem wolno zamykał drzwiczki. Zatrzasnął je w chwili, gdy tamci ruszyli w stronę bocznego przejścia. Wtedy włożył kluczyki do kieszeni i ruszył za nimi. Widział wyraźnie tamtych trzech, jak szli przyspieszonym krokiem. Minęli halę z kasami bagażowymi, przeszli przez wąski korytarz i znikli za wahadłowymi drzwiami.

Na peronie było już tłoczno; Miko zgubił ich na chwilę z pola widzenia, lecz gdy odnalazł tor, z którego odchodził pociąg do Lubotyń, wyłuskał ich spośród cisnących się ludzi. Cywil szedł przodem, za nim Lasak, a na końcu uzbrojony konwojent. Przeciskali się bokiem. Cywil rozgarniał energicznie ludzi, a ci na widok skutego więźnia i żandarma z karabinem rozsuwali się w milczeniu. Wreszcie doszli do pierwszego wagonu za parowozem. Wspięli się na stopnie...

Chwilę później Jędrak Bukowy wchodził do kawiarni. W kącie pod oknem zobaczył Wichniewicza ukrytego za płachtą gazety. Skinął mu od drzwi. Ten wstał bez słowa. Ubrał się szybko. Za chwilę wychodzili już na ulicę.

- Dobra jest - rzucił Jędrak już za drzwiami.

- Jeden konwojent i jeden tajniak w cywilu. Wichniewicz skinął głową. Podał mu bilet, który rano kupił na dworcu.

- Tak jak umówione. Jedziemy w tym samym wagonie, ale oddzielnie. Za Plaweczem założę szalik na szyję. To będzie znak, że zabieramy się do roboty.

- Tak jak umówione - powtórzył Jędrak.

Do peronu nie zamienili ani słowa. Dopiero gdy zobaczyli Mika, Wichniewicz zbliżył się do niego, wyciągnął papierosa, tamten podał mu ognia.

- Pierwszy wagon za parowozem - powiedział wyraźnym szeptem.

- W porządku... A ludzie są w wagonie?

- Tak... Oni zajęli tylko jeden przedział. Trzymajcie się.

- Trzymaj się, stary! I postaraj się dojechać

- Wichniewicz zaciągnął się głębiej papierosem i ruszył w kierunku parowozu.

Bukowy szedł kilka kroków za nim.

*

Pociąg ruszył ospale. Zachybotąło wagonem, zadzwoniły bufory, koła zastukały na spoiwach szyn, a w oknie w zwolnionym tempie przesuwał się mglisty krajobraz: zwały węgla, wieża ciśnień, czerwone wagony towarowych pociągów... Dalej już pola i domy w kępach nagich drzew.

Lasak patrzył chwilę na puste pola, na wzgórze wznoszące się łagodnie stopniami cienistych miedz. Na wzgórzu rosło kilka świerków. Widać je było na tle siniejącego nieba. Przypominały zakapturzonych pokutników klęczących w głębokim śniegu.

Pociąg rozpedził się, szyny zadzwoniły weselej. W tym wzmagającym się rytmie więzień znajdował ulgę, lecz do tej pory nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że towarzysze odnaleźli go w preszowskim więzieniu. Kiedy w nocy w izbie komendanta zobaczył Wichniewicza, był tak zaskoczony, że zrodziło się w nim podejrzenie: może Antek pracuje z Niemcami, może właśnie przez niego oddają go w ręce gestapo? Jednak pojawienie się na dworcu Jędrka Bukowego rozwiało wszelkie wątpliwości. Teraz już wiedział, że chcą go odbić.

Spojrzał na cywila, który leniwym ruchem wyciągnął z kieszeni kurtki papierosy. Tamten, jak gdyby wyczuł, czego pragnie, podsunął mu pudełko.

- Zapal - powiedział szorstko.

Lasak uniósł skute ręce. Cywil z zakłopotaniem wyłuskał szybko papierosa i wsunął mu go

między wargi. Potem poczęstował żandarma.

- Nie palę. Od miesiąca nie palę - wyjaśnił żandarm bezbarwnym głosem. - Żona powiedziała, że dłużej nie wytrzyma, bo całe noce kaszlałem - wyjaśnił na usprawiedliwienie.

Cywil uśmiechnął się nikle. Podał Lasakowi ognia. Ten zaciągnął się dymem, lecz papieros mu nie smakował. Uniósł skute dłonie do ust, ujął papierosa między palce, rozejrzał się, gdzie by go zgasić. Cywil spojrzał gniewnie, jak gdyby chciał go skarcić. Po chwili wyrwał mu papierosa, rzucił na podłogę i z wściekłością zdusił butem.

- Niemieckie lepiej ci będą smakowały - powiedział z nutką pogróżki.

Lasak milczał. Przymknął na chwilę oczy, żeby opanować atakujące go drżenie. Nie wiedział, czy drży z zimna, czy ze wzrastającego podniecenia, ale czuł, że cały dygoce i zimny pot występuje na rozpalone czoło. I wiedział, że za chwilę zacznie szczekać zębami. Zastanawiał się chwilę, co Jędrak i Wichniewicz mają zamiar zrobić, przypuszczał bowiem, że jadą w tym samym wagonie. Nie widział ich jeszcze, miał jednak takie wrażenie, że ktoś stale przechodzi pod zasłoniętymi szczelnie drzwiami i wpatruje się uporczywie, jakby chciał przeniknąć wzrokiem przez brudne firanki. Może czekają, żeby dał im jakiś znak... Postanowił za wszelką cenę wyjść z przedziału. Poruszył się więc nerwowo i nagle Wstał.

Cywil poderwał się gwałtownie.

- Co robisz?

- A nic... - odparł spokojnie Lasak. - Ja tylko za potrzebą.

- To nie miałeś czasu w więzieniu? Lasak wzruszył bezradnie ramionami.

- Nie miałem.

Tajniak zachnął się gniewnie, jakby chciał go uderzyć, lecz wnet opuścił ręce i skinął na żandarma.

- Wyprowadźcie go. Tylko uważajcie! Żandarm dźwignął się ociężale. Karabin, który do tej pory trzymał między kolanami, przewiesił przez zgięte ramię i pierwszy otworzył drzwi. Cywil wyprzedził ich. Stał w otwartych drzwiach.

W korytarzu trzech podpici żołnierze raczyli się wódką. Za nimi na owiniętym w zielony brezent tobołku siedziała drzemiąca chłopka. Z lewej, za drzwiami prowadzącymi na platformę, stał rosły mężczyzna w narciarskim stroju. Cywil pchnął te drzwi i głosem nie znoszącym sprzeciwu zwrócił się do nieznanego.

- Przejdźcie do korytarza.

Tamten schylił się. Wolnym ruchem podniósł z podłogi plecak i nie spiesząc się przedelfował przed otwartymi drzwiami. Lasak poznał Bukowego.

Jędrak rzucił mu spokojne spojrzenie, jak gdyby chciał powiedzieć: "jeszcze nie pora", precyzyjnie się między żołnierzami i stanął pod oknem przy drzemiącej babinie.

Żandarm pchnął więźnia.

- No jazda!

*

Pociąg piał się pod górę. Lokomotywa pracowała ciężko, jakby jej brakło oddechu. Zdawało się, że to masa rozdygotanego żelastwa przebija się wolno przez ścianę z mgły i śniegu. Za zapoconymi szybami panował już mrok.

W wagonie zrobiło się luźniej; po drodze wysiadła już część pasażerów, pozostawiając w przedziałach płachty rozrzuconych gazet, zmięte papiery po jedzeniu, zapach wilgotnych okryć i kożuchów. Zostało jeszcze trzech pijanych żołnierzy i babina siedząca na owiniętym w brezent tobołku.

Kobieta tkwiła na korytarzu jak kwoka na swoim gnieździe. Drzemała z głową opadającą na piersi. Tylko od czasu do czasu, kiedy się ocknęła, otwierała szpary zaspanych oczu i cichym głosem pytała żołnierzy, czy to już Plawecz?

Żołnierze coraz głośniejsze śpiewali ukraińskie piosenki. Bukowy domyślił się, że to są Rusini z Łemkowskich wsi rozrzuconych w górach wzdłuż granicy. Nie zwracał na nich uwagi. Unikał rozmowy. Przed Plaweczem, kiedy w zamyśleniu stał z czołem opartym o chłodną szybę, jeden z nich, śniady, z cienkim wąsikiem, baczkami i skośnymi nieco oczami, podszedł do niego. Chwiał się, a w rękach trzymał butelkę borowiczki i szklanekę.

- Co tak sami stoicie? Napijcie się z nami - zagadnął po słowacku ze śpiewnym ukraińskim akcentem.

- Dziękuję - odparł spokojnie.

Żołnierz nie zrażony odmową nalał pół szklanki wódki.

- Jedziemy na urlop - zagadywał wesoło. - Na ruskie święta... Napijcie się... Chodźcie do nas.

Bukowy zawahał się, lecz wnet pomyślał, że z pewnością będzie napić się w korytarzu.

- Dobrze, ale tylko jednego. - Wyjął z jego zaciśniętych palców szklanekę z grubego szkła. Uniósł ją.

- Wesołych świąt!

- A wy skąd? - zagadnął tamten zdawkowo.

- Ja ze Spiszą, z Jurgowa - odparł, trzymając wciąż szklanekę w dłoni.

Żołnierz objął go badawczym spojrzeniem.

- Pewno w góry, na narty.

- Mam jedną sprawę do załatwienia w Lubotyniu.

- Bo tak wam się przyglądam. Wyglądacie na sportowca...

Bukowy wypił wódkę. Była mocna. Pachniała żywicą i jałowcem. Chciał jak najszybciej skończyć tę rozmowę, lecz w tej samej chwili w przedziale, w którym wieziono Lasaka, ktoś się poruszył. Na firankach zafalował cień i nagle w drzwiach ukazał się cywil. Na ramiona miał zarzuconą kurtkę, krawat rozluźniony, twarz zmiętą i zmęczoną. Zapalał papierosa. Naraz spojrział ukosem w ich stronę i zaczepnym głosem zwrócił się do żołnierza:

- A wy co tak po rusińsku śpiewacie? Nie znacie słowackich pieśni?

Żołnierz stęzał na chwilę, jego cienkie wąsiki drgnęły, a oczy nabiegły oleistym blaskiem.

- Po swojemu śpiewamy - powiedział wyzywająco. - To nie koszary. Na urlop jedziemy.

Bukowy cofnął się przezornie, lecz tajniak był już przy żołnierzu. Energicznym ruchem zarzucił na ramiona kurtkę i zapytał nie znoszącym sprzeciwu głosem:

- Z którego pułku jesteście?

- Ja?... przeciągnął tamten śpiwnie.

Z przedziału wysunęły się głowy jego kolegów. Młody blondynek o zadartym nosie zawołał po ukraińsku:

- Hrynio, czego chce od ciebie ten cywil? Żołnierz wzruszył ramionami.

- Nie wiem! Zapytaj lepiej jego.

Tajniak sprężył się nagle, jak gdyby szykował się do ataku, a jego głos zabrzmiał wysoko i gniewnie:

- Z którego pułku, pytam?

Trzeci żołnierz, dziobaty, o małych błyszczących oczkach, zaśmiał się, odsunął tego z wąsikami, stanął przed cywilem.

- A pan nie wie, że to tajemnica wojskowa?

- Tak nas uczyli - dorzucił blondynek. Cywil jednym ruchem wyszarpnął z kieszeni marynarki legitymację służbową. Mignął nią przed oczami żołnierzy.

- Jestem z żandarmerii. Dawajcie swoje przepustki.

Bukowym targnął niepokój. Zrozumiał, że sytuacja staje się coraz groźniejsza. Nie spuszczać oczu z cywila, cofał się drobnymi krokami, byle odsunąć się od żołnierzy. Tajniak zahaczył go ukośnym spojrzeniem.

- A wy... może też z nimi?

Teraz wszyscy na niego skierowali oczy. Chciał coś powiedzieć, lecz ten z cienkim wąsikiem uśmiechnął się kpiąco i uprzedził go:

- Nie widzicie, że to cywil?

Tajniak jeszcze chwilę patrzył na Bukowego, lecz wnet wyrwał z ręki żołnierza przepustkę, przeniósł wzrok na kawałek zadrukowanego papieru.

Pociąg zaczął zwalniać. Za oknami przesuwały się zamglone światła, zarysy budynków. Potem zapięły hamulce. Zbliżali się do stacji kolejowej. Bukowy odetchnął z ulgą. Dłonią przetarł szybę i przez mgnienie oka zobaczył białą tablicę z napisem - Plawecz.

Wśliznął się do przedziału. W kącie zobaczył Wichniewicza okrytego wiszącą nad nim lodenową kurtką. Antek wychylił spod kurtki pobladłą twarz.

- Co się stało? - zapytał szeptem.

- Cholera, jakaś głupia historia z żołnierzami. Pokiełbasiło się wszystko. Teraz trzeba będzie uważać. Siedź spokojnie - rzucił ostrzegawczo. Poprzez uchylone drzwi spojrział na korytarz. Tajniak zapisywał coś w notesie, lecz dwaj żołnierze przeciskali się już do wyjścia.

- To już Plawecz - szepnął Wichniewicz i bezwiednie spojrział na zegarek.

Było dwanaście po dziewiątej.

*

- Która godzina? - zapytał Lasak tajniaka.

- Pół do dziesiątej. - Tajniak spojrział nieco zdziwiony i nagle jego wąskie wargi przełamał ledwo widoczny uśmiezek. - Pół do dziesiątej - powtórzył. - Za dwadzieścia minut będziemy na miejscu.

W oczach więźnia zobaczył przerażenie i jeszcze coś, jakiś błysk, którego nie mógł odgadnąć.

- Człowieku, co się denerwujesz - odezwał się żandarm. - Niemcy też ludzie... Nie zrobią ci krzywdy.

Lasak syknął, jak gdyby chciał rzucić przekleństwo, i skierował wzrok na swe skute ręce. "Ech, gdyby nie te kajdanki - pomyślał. - Gdyby nie te kajdanki"... Spojrzał na zasłonięte drzwi. "Tamci chyba już nie przyjdą... Co się stało? Dlaczego tak przeraźliwie cicho?" Słysząc było tylko dudnienie kół, jak gdyby ziemia pod nimi wzdychała. A Lubotyń coraz bliżej. Nagle czas zaczął galopować... Jak do tej pory się dłużył, tak teraz uciekał z przerażającą szybkością. Czas człowieka straconego...

- Dajcie zapalić - powiedział stłumionym głosem.

Cywil, nie spiesząc się, wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Już wyłuskiwał jednego, gdy nagle za drzwiami odezwały się czyjeś kroki, a po chwili ktoś mocno zastukał. Tajniak wstał, jakby go ktoś pociągnął w górę za kołnierz.

- Kto tam? - zawołał napiętym głosem.

Nikt nie odpowiedział, tylko znowu odezwało się walenie w drzwi, a potem ktoś mocno szarpnął klamkę. Tajniak zamienił z żandarmem spojrzenia. Ten wolno przysunął do siebie karabin. Cywil, jakby na to tylko czekał, jednym ruchem odsunął firankę i wtedy Lasak za taflą szyby zobaczył Wichniewicza. Trzymał w ręce papierosa i spokojnymi gestami pokazywał, że prosi o ogień. Był to tak nieoczekiwany i zaskakujący widok, że cywil na chwilę zbaraniał. Potem przekręcił zapadkę, otworzył drzwi.

- Czy mogę prosić ognia? - powiedział Wichniewicz po niemiecku.

Tajniak rzucił żandarmowi zdumione spojrzenie, potem wolno sięgnął po zapalniczki.

- Przepraszam - dodał Wichniewicz i dziwny uśmiech przemknął przez jego napiętą twarz.

- Przepraszam... ale nie ma nikogo w wagonie.

- Proszę... proszę - wybełkotał po niemiecku cywil.

Pierwsza zapalniczka złamała się. Mały ogieniek z sykiem poleciał na podłogę; dopiero drugą cywil podsunął Wichniewiczowi i w tym samym momencie otrzymał cios w brzuch. Zatoczył się. Żandarm uniósł karabin, lecz nie zdążył wystrzelić, bo w tym momencie, jak spod ziemi, zjawił się

Jędrzek Bukowy. Zakotłowało się w ciasnym przedziale. Bukowy skoczył na ławkę, czymś twardym owiniętym w gazetę walnął żandarma w łeb. Ten wydał krótki, jękliwy okrzyk i bezwładnie zsunął się na podłogę.

- Wyrrywaj! - wrzasnął Bukowy do Lasaka napiętym do ostateczności głosem.

Lasak odepchnął leżącego mu na nogach żandarma. Rzucił się do drzwi. Przed sobą zobaczył

wiejską kobietę. Odepchnął ją. Już był na platformie. Skutymi rękami chwycił klamkę. Nie puściła. Wtedy nadbiegł Bukowy. Szarpnął do góry klamkę. Pchnął drzwi wagonu. Kłęby białej pary uderzyły im w twarz. Jędrak jedną ręką uczeplił się oblodzonej poręczy, drugą chwycił Lasaka za ramię.

- Skacz! - zawołał.

Lasak stał chwilę jak pływak nad mętnym nurtem wody. Bukowy pchnął go rozpaczliwym ruchem, potem zawisł na jednej ręce i rzucił się w mroczną czeluść. Przez chwilę zdawało mu się, że znalazł się w próżni, lecz wnet uderzył plecami o twardy śnieg. Zwinęło go, przekoziółkował, stoczył się ze stromego nasypu.

Na chwilę przywarł rozpaloną twarzą do śniegu. Było mu prawie dobrze. Wnet jednak zerwał się. Spojrzał w stronę oddalającego się pociągu. Zobaczył nikły błysk czerwonej latarni, a potem światła rozplynęły się w mroku. "Nie zatrzymali pociągu"! - przemknęła radosna myśl.

W tej samej chwili usłyszał wołanie Wichniewicza i zobaczył wyłaniającą się z mozołem jego sylwetkę. Bez słowa ruszyli wzdłuż nasypu. Brnęli po kolana w mroźnym i sypkim jak cukier śniegu. Nagle Bukowy zobaczył leżącego przed nim Lasaka. Przeraził się. Rzucił się na ziemię. Złapał Jaśka za ramiona i uniósł go.

- Jasiek, Jasiek - wyszeptał - co ci jest? Lasak otworzył oczy. Chwilę patrzył na Bukowego, jakby nie chciał uwierzyć, że to on, a potem wydusił załamującym się głosem:

- Nic mi nie jest. Nic. Tylko jestem cholernie zmęczony...

*

To była bardzo ciężka noc.

Początkowo chcieli jak najszybciej oddalić się od torów. Obawiali się, że żandarmi zatrzymali pociąg i zorganizują pościg. Uciekali więc na przełaj przez las. Noc była głucha, przepastna, a śnieg leżał głęboki. Brnęli na oślep, nie wiedząc, dokąd idą. Po godzinie morderczej ucieczki Lasak poczuł, że opuszczają go siły. Skute ręce krępowały mu ruchy, a kajdanki głęboko wrzynały się w przeguby. Wiatrówkę i rękawice zostawił w pociągu, więc mróz dokuczał mu coraz bardziej. Zdawało mu się, że kostnieje. Starał się dotrzymywać kroku tamtym dwóm, lecz co chwila potykał się w głębokim po kolana śniegu.

Bukowy zauważył to pierwszy. Zaczekał na niego.

- Jak się czujesz, Jasiek? - zapytał z obawą w głosie.

- Ej, płono... - odparł z wysiłkiem.

Jędrzek ściągnął swoje rękawice, nasunął je na dłonie Lasaka.

- Cholerne kajdanki - powiedział. - Żeby można było cię rozkuć.

- To nic... żeby tylko można gdzieś odpocząć. Jestem wypompowany. Nie daję już rady.

- Jeszcze trochę, Jasiu... Jeszcze trochę. Bukowy chwycił go pod ramię. Lasak oparł się z ulgą. Ruszyli wolno.

Szli jeszcze może pół godziny, aż napotkali polanę, a na jej skraju szopę, w której tutejsi górale przechowywali siano. Bukowy obszedł ostrożnie szopę, a kiedy przekonali się, że nie grozi im niebezpieczeństwo, wyrwał z drzwi skobel. Szopa po sam dach zawalona była sianem. Wygrzebali więc wielką dziurę, ułożyli się ciasno obok siebie, narzucili na wierzch siana i tak dygocząc z zimna, zapadając w krótkie chwile snu, dotrwali do rana.

O szarym świcie Bukowy pierwszy wygrzebał się z legowiska. Nałamał suchego chrustu i za szopą pod zwisami gałęzi rozpałił ognisko.

Grzali się w milczeniu.

Antek Wichniewicz wyjął z plecaka kawał węgierskiej paprykowanej słoniny. Kroił ją na grube plastry. Bukowy zgrabiłymi rękami łamał czerstwy chleb. Lasak pochylił się nad ogniskiem, wysunął przed siebie skute, spuchnięte dłonie, jakby całe ciepło chciał zagarnąć dla siebie.

- Bestyjo! - zaklął po góralsku. - Żeby mieć chociaż pilnik.

- Pilnikiem nie przepiłujesz tej stali - rzucił spokojnie Bukowy. - Za twarda.

Wichniewicz nadział na patyk kawałek słoniny. Piekł ją chwilę nad ogniem.

- Słuchaj - zagadnął ostrożnie. - Oddali ci pasek?

- Oddali... Ale plecaka ani butów nie mam.

- Plecak się znalazł. Jest u Tokacza - uśmiechnął się Wichniewicz. W kilku zdaniach opowiedział mu historię zasypanego przez lawinę tajemniczego mężczyzny, a kończąc zapytał: - Może ty wiesz, kto to był ten facet?

Lasak wzruszył ramionami.

- Człowieku, chciałbym wiedzieć. Bo wtedy, kiedy wszedłem do domu Burycza, zdążyłem zobaczyć jego czarne półbuty i zaraz dostałem w łeb, a jak się ocknąłem, nade mną stała ta babina. - Roześmiał się i zażartował: - Jak anioł, który spadł z nieba. A ja byłem bez butów, nart, bez plecaka i wiatrówki.

- I bez dokumentów - dodał Bukowy. - Widać, że mu najbardziej zależało na papierach.

- Ja go rozumiem - wtrącił Wichniewicz. - Facet miał nóż na gardle, był bez wyjścia. Każdy z nas na jego miejscu zrobiłby to samo.

- No tak... - zamyślił się Bukowy. - Jednego tylko nie mogę pojąć, dlaczego pchał się w góry.

- A co miał robić? - zaśmiał się Lasak. - Była przecież oblawa. Uciekał. W górach najbezpieczniej.

- Może to był ktoś z naszych. - powiedział Wichniewicz. - Polak... Uciekł z więzienia i chciał się dostać do Zakopanego... Może... - urwał nagle i palcami zdjął z patyka skwierczącą słoninę. - Zresztą trudno teraz dociec... Dziwna historia... I zdaje mi się, że nigdy nie rozwiążemy tej zagadki.

Jedli z wielkim apetytem, a gdy skończyli, Wichniewicz wyciągnął z kieszeni mapę. Usiadł na pieńku, mapę rozłożył na kolanach i przyglądał się jej w skupieniu. Nagle pokazał placem:

- Zdaje mi się, że my tu gdzieś jesteśmy...

- Myślisz? - zapytał Bukowy.

- W każdym razie na wschód od torów. Ile mogliśmy zrobić kilometrów?

- Niewiele... Szliśmy najwyżej dwie godziny... i w takim śniegu. Pięć, sześć...

- Ja też tak myślę - Wichniewicz tarł chwilę policzek. - Cholera, a do tych rozstajów, gdzieśmy się umówili z Mikiem, jeszcze kawał drogi. Gdybyśmy nawet...

- To nie ma sensu - przerwał mu ostro Bukowy.

- Co? - zdziwił się Wichniewicz.

- No bo pomyśl - powiedział Jędrak z rozważą. - Nie wiemy, czy Miko tam dojedzie. Przez całą noc padał śnieg. Warunki jeszcze gorsze niż wczoraj.

- Przecież umówiliśmy się z nim. Będzie czekał.

- A jak nie dojedzie? To co wtedy?

Wichniewicz złożył mapę.

- Właśnie, co wtedy? Do węgierskiej granicy nie dojdziemy.

Bukowy spojrzał na Lasaka. Ten uniósł lekko skute ręce, rzucił z naciskiem:

- Ja, bracie, nie ręcę za siebie. Wichniewicz z pasja trzepnął mapę.

- To co robić?

- Jest tylko jedno wyjście - powiedział spokojnie Bukowy.

- Do Polski... - dokończył za niego Lasak.

- No jasne. Stąd do granicy jest blisko... i wszędzie lasy i góry. A jak będziemy po drugiej stronie, to nie zginiemy.

12

- Gdzie jest teraz wasz syn?

- Nie wiem.

- Radzę wam nie kłamać, bo my tu wszystko o nim wiemy. No, przypomnijcie sobie.

- Nie wiem - odparła z uporem Bukowa. Kiedy poprzedniego dnia otrzymała wezwanie do gestapo, pomyślała, że może złapali Jędrka. Teraz wiedziała już, że tylko go poszukują. Doznała uczucia ogromnej ulgi. Człowieka, który siedział naprzeciw niej, znała z opowiadania. W Zakopanem nazywali go Willy Paluszek. Miał bowiem ucięty mały palec u prawej ręki. Znany był wśród ludności Zakopanego jako najokrutniejszy oprawca z katowni w Pałace. Pochodził podobno z Bielska, znał dobrze polski język, a podczas przesłuchań nie przebierał w sposobach wymuszania zeznań. Teraz na chwilę zajrzał do teczki, która leżała przed nim na stole.

- No - powiedział ostrzejszym głosem - może sobie przypomnicie, kiedy był ostatni raz w domu?

- W lipcu trzydziestego dziewiątego - odparła bez zastanowienia. - Dostał kartkę do wojska i od tego czasu nie widziałam go.

Niemiec jeszcze raz zerknął do teczki. Na wierzchu leżał telefoniczny raport z posterunku żandarmerii słowackiej w Lubotyniu. Słowacy donosili o odbiciu eskortowanego do granicy więźnia. Z raportu wynikało, że między stacjami Plawecz a Lubotyń dwóch nieznanymi osobnikami wtargnęło do przedziału zarezerwowanego dla eskorty, sterroryzowało eskortujących i wraz z odbitym więźniem zbiegło w nieznanym kierunku. W tej samej teczce leżał również raport komendanta posterunku policji w Popradzie, niejakiego Pawła Hubla, ze stycznia ubiegłego roku, donoszący o ucieczce Andrzeja Bukowego i Romana Buńdy z aresztu w Popradzie.

Willy Tessler, wiedziony zawodową intuicją, skojarzył te dwa raporty. Nie był jednak pewny, czy w odbiciu więźnia pod Lubotyń brał udział Bukowy. Dlatego wezwał do siebie jego matkę. Miał nadzieję, że jej zeznania wyjaśnią mu sprawę.

Przeniósł wzrok z teczki na kobietę i uśmiechnął się kpiąco.

- Mówicie, że w lipcu trzydziestego dziewiątego. To znaczy przed wojną?

- Tak. Potem go już nie widziałam. Tessler uderzył dłonią w blat stołu.

- Kłamiesz! Przed rokiem mówiłaś zupełnie co innego... Słuchaj, ty stara, który raz jesteś u nas na przesłuchaniu?

- Który? To wy najlepiej wiecie.

- Trzeci raz, a za każdym razem mówisz co innego.

- Zawsze mówię prawdę - powiedziała z niezłomnym uporem.

Gestapowiec zacisnął zęby, aż mu mięśnie na twarzy zagrały.

- Ty, stara, radzę ci, żebyś się zastanowiła. Wiesz dobrze, że stąd nie tak łatwo wyjść.

Bukowa przechyliła lekko głowę, skuliła się i powiedziała z udaną naiwnością:

- Panie, dyć nie wiem, o co wam chodzi?

- Dobrze wiesz, dobrze wiesz, - uśmiechnął się zjadliwie. - I my wiemy, że w lutym zeszłego roku twój syn był w domu.

- W imię Ojca... - przeżegnała się - pierwszy raz słyszę.

- I złapali go wtedy w Popradzie razem z... - zerknął do papierów - z Romanem Buńdą. Może wiecie, co się stało z Buńdą?

- Z Buńdą? No dyć ludzie mówią, co Romek nie żyje.

- Ale twój Andrzej żyje...

- Chwała Bogu! - uniosła ręce ruchem pełnym dziękczynienia i nagle zmieniła ton. Uśmiechnęła się niemal chytrze i zapytała niewinnie: - Panie, może wiecie, co się z nim stało?

Tessler zerwał się gwałtownie, zacisnął pięści i stanął przed nią pełen niepohamowanej wściekłości.

- Dość tej zabawy. My dobrze wiemy... Aresztowali go na Słowacji, ale przedtem był u was w domu.

Kobieta z jeszcze większym mistrzostwem udała zdumienie.

- W imię Ojca... przecie wam mówię, że go od wojny nie widziałam i nie wiem, co się z nim dzieje. Nic innego powiedzieć wam nie mogę.

- Dość! - przerwał jej gestapowiec. - Zaraz zobaczymy. - Nacisnął umocowany pod blatem

biurka dzwonek. - Zaraz zobaczymy - powtórzył z kpiącym uśmiechem.

Bukowa zastygła w zupełnym bezruchu. Coś nią targnęło boleśnie. Pomyślała, że może Jędrka złapali. Teraz przyprowadzą go tutaj albo przywloką zbitego. Tego najbardziej się obawiała.

Siedziała więc w bolesnym odrętwieniu i niewidzącymi oczami patrzyła na gestapowca. Ten przerzucał kartki w teczce Bukowego. Z jego warg nie schodził szyderczy uśmieszek.

Naraz za drzwiami dał się słyszeć ruch. Po chwili ktoś nacisnął klamkę. W narastającym lęku Bukowa odwróciła się ku drzwiom. W sercu poczuła gwałtowny iskurcz, a w głowie paniczny zamęt. Przymknęła oczy, a kiedy je rozwarła, w drzwiach zobaczyła gestapowca prowadzącego starą góralkę. Nie poznała jej. Twarz miała bowiem zapuchniętą, siną, a jej oczy tonęły w krwistych naciekach. Oprawca pchnął kobietę na środek pokoju.

Tessler zwrócił się do Bukowej:

- Przyjrzyj się jej dobrze - powiedział lodowatym głosem.

Bukowa uniosła dłonie do twarzy.

- Jezusie, zmiłuj się... - wyszeptała i wolno przeniosła wzrok na tamtą.

- Poznajesz ją? - usłyszała twarde słowa Tesslera.

- Nie.

- A znasz ją dobrze. To Ciulańczowa z Wałowej Góry.

Bukowa zachłysnęła się własnym oddechem.

- Jezusie... Władzia...

Ciulańczowa stała jak posąg. Nawet nie drgnęła. Tylko jej oczy pełne niewysłowionej męki błysnęły na chwilę żywszym blaskiem, a potem nagle przygasły.

Tessler skinął głową w stronę oprawcy.

- Wyprowadzić - rzucił po niemiecku. Tamten chwycił Ciulańczowa za ramię i pchnął w stronę drzwi. Bukowa znowu zakryła dłońmi oczy.

- No... powiedział Tessler, bębniąc palcami o krawędź biurka. - Nie poznałaś jej. I ciebie nie poznają, jeżeli nie wyśpiewasz nam wszystkiego. Ostatni raz pytam, gdzie jest twój syn? Bukowa oderwała dłonie od twarzy.

- Róbcie ze mną co chcecie, a ja wam nic innego nie mogę powiedzieć. - Uniosła lekko głowę i spojrzała prosto w oczy gestapowca. Twarz jego zniekształcił gwałtowny skurcz gniewu.

- Nic więcej nie macie mi do powiedzenia?

- Nic.

- To zobaczymy! - wrzasnął i nacisnął guzik dzwonka.

Po chwili w drzwiach zjawił się ten sam oprawca, który przyprowadził Ciulaczowa. Stał wyprężony. Bukową na jego widok ogarnęła dziwna słabość. Patrzyła chwilę na jego płaską twarz, wąskie usta i oczy pozbawione blasku. Pomyślała, że on właśnie będzie ją torturował.

Tessler uderzył lekko pięścią w stół.

- No, Bukowa, zastanówcie się, bo nie mamy czasu.

Kobieta wyprostowała się, jakby pod wpływem lęku poczuła przyływ nowych sił.

- Słuchajcie - powiedziała z godnością - nic innego nie mogę wam powiedzieć. Zrozumcie, ja sama zostałam z Brońcią. Gdyby Jędrak był w domu, tobym go zatrzymała. Bo pomyślcie tylko... mój chłop nie żyje... My same w domu, roboty huk. Kto ma wedle pola chodzić, kto ma gnój rozkidywać... Panie; już mi życie zbrzydło. Sił już nie mam... - Nagle spojrzała na gestapowca. W jego oczach spostrzegła błysk zainteresowania. Pomyślała, że może go przekona i zaczęła umyślnie mówić po góralsku: - Jo tu ręce zdzirom, a mój Jędrak po Słowacji się włócy! Pockoj, Jędrus! Pockoj! - uniosła zaciśniętą pięść. - Kie wrócis doma, to dostaniesz po kufie...

- Genug! - przerwał jej po niemiecku Tessler. Jednym szarpnięciem wyrwał z notesu bloczek i pośpiesznie coś zapisał. Naraz przeniósł wzrok na Bukową: - Słuchajcie, tym razem wam się udało. Ale będziecie codziennie meldować się o dziesiątej. Codziennie, rozumiecie? Bukowa z ulgą pokiwała głową.

- No dyć... I wicie, panie, jaki to syn! Zamiast matce pomóc, to się po świecie włóczy. Jo bym go po kufie sprąła - jęła pomstować po góralsku, lecz gestapowiec przerwał jej ostro.

- Dość tego! Codziennie o dziesiątej - wrzasnął i zniecierpliwionym ruchem wskazał drzwi. - Raus!

Kobieta ruszyła ku drzwiom. Miała wrażenie, że oprawca, który wciąż jeszcze tkwił przy drzwiach, zatrzyma ją. Szła wolno, nogi się pod nią uginały. Minęła wreszcie czarny mundur i odetchnęła z ulgą.

W tym samym czasie Bukowy, Wichniewicz i Lasak zbliżali się do stacji kolejowej w Leluchowie. Mieli za sobą niezwykle ciężkie przejście przez granicę. Od kilku godzin byli w drodze.

Lasak czuł, że opuszczają go ostatnie siły. Z ogromnym wysiłkiem wyciągnął nogi z głębokiego śniegu, który wydawał mu się twardy jak beton. Przestał się już nawet pocić, tylko czuł, że całe jego ciało ogarnia ołowiana ociężałość. Przed oczami migotały mu tęczne plamy, a sylwetki idących przed nim towarzyszy rozmazywały się na tle oślepiającego białego śniegu. I tracił czucie w skutych rękach. Jeszcze jeden krok... Jeszcze jeden nadludzki wysiłek... i miał ochotę upaść twarzą w śnieg, zanurzyć się w jego lodowatą masę i tak zostać, bez ruchu, bez nadziei.

Zobaczył, że idący przodem Bukowy zatrzymał się na skraju opadającego ostro brzegu. Dowlóknął się do niego i padł na klęczki.

- Zostawcie mnie - powiedział słabnącym głosem. - Idźcie sami... Ja już nie mogę.

Bukowy schylił się nad nim.

- Już niedaleko, Jasiu - powiedział niemal czule.

Spojrzał przed siebie. W dole pod stromym brzegiem płynęła rzeka. Była zamarznięta, tylko na bystrzynach poprzez skorupę lodu przebijała się czysta, niebieskawa woda. Za rzeką, jak biała tafla zakrzepłego jeziora ciągnęły się pola, a dalej tory i stacja kolejowa. Na torach stały dwa towarowe pociągi. Z tej wysokości wagony wyglądały jak pudełka zapalek.

- Antek - zwrócił się do Wichniewicza Bukowy - musimy dojść do tego pociągu. Może uda się...

- Co chcesz zrobić? - zapytał Wichniewicz pełnym powątpiewania głosem.

- Może uda się dotrzeć do Muszyny albo dalej. Inaczej nie ujdziemy daleko - ruchem głowy pokazał Lasaka.

- Można spróbować - powiedział Wichniewicz bez przekonania.

Bukowy podźwignął Lasaka, lecz ten bezwładnie osunął się na śnieg.

- Zostawcie mnie...

- Już blisko, Jasiu... Już blisko - mówił Jędrak zdławionym głosem.

Lasak uniósł się na klęczki.

- Gdzie my jesteśmy?

- Już w Polsce - powiedział Bukowy. Wparł się mocno w śnieg, rękę Lasaka zarzucił na swoje ramię i dźwignął go. Z wielkim wysiłkiem doszli do brzegu. Zaczęli schodzić, lecz po kilku

krokach Lasak pośliznął się, runął i porwał za sobą Bukowego. Stoczyli się aż do rzeczki. Bukowy długo wygrzebywał się z śnieżnego puchu. Klął chwilę, lecz w końcu uśmiechnął się i powiedział żartem do leżącego Lasaka:

- Fajną mieliśmy jazdę.

Lasak leżał bezwładnie. Z wysiłkiem otworzył zasypane śniegiem oczy.

- Zostaw mnie, Jędrak - wyszeptał. Jędrak uśmiechnął się.

- Coś ty, bracie, zwariował? Już niedaleko stacja, a ty takie rzeczy opowiadasz.

- Nie mogę.

Z góry nadszedł Wichniewicz.

- Weźmiemy go we dwóch - powiedział do Bukowego.

Podnieśli z ziemi Lasaka, ujęli go pod ramiona, ruszyli wolno. Lasak z trudem powłóczył nogami. Dyszał ciężko. Zdawało się, że nigdy nie dobrną do torów, a ten szmat białej przestrzeni jest bezbrzeżną pustynią.

Dotarli jednak. Zatrzymali się za zaroślami, przy ścieżce biegnącej wzdłuż nasypu. W odległości może pięćdziesięciu metrów widać było ostatnie wagony pociągu i kłęby siwej pary unoszącej się nad lokomotywą. Dolatywało jej głośne syczenie. Bukowy trącił Wichniewicza łokciem.

- Pójdę rozejrzeć się. Zaraz wracam.

Zmęczony Wichniewicz skinął mu tylko głową.

Bukowy ruszył ostrożnie wzdłuż torów. Zarośla kończyły się, dalej była już odsłonięta ścieżka. Pokonał ją biegiem. Wnet znalazł się za ostatnim wagonem. Ukrył się za nim. Nasłuchiwał, czy ktoś nie kręci się przy pociągu. Było zupełnie cicho, tylko ten suchy syk pary przeszywał zmrożone i jakby zastygłe powietrze. Bukowy wychylił się zza wagonu. Nie zauważył nikogo. Ruszył więc ostrożnie wzdłuż pociągu, rozglądając się, gdzie by można znaleźć odpowiednie schronienie. Po chwili spostrzegł niską lorę załadowaną belami prasowanego siana. Wspiął się na bufor i badał uważnie lorę. Pomiędzy belami zauważył szczeliny. Pomyślał, że w tych szczelinach będzie się można spokojnie ukryć. Nie zastanawiając się dłużej, wrócił do towarzyszy.

- I co? - przywitał go siny z zimna Wichniewicz.

- W porządku - odparł zadowolony. - Jest wagon z sianem. Będzie można przejechać kilka przystanków. - Z niepokojem spojrzął na Lasaka. Ten leżał bezsilnie w śniegu. Podeszedł więc do niego i położył mu rękę na ramieniu.

- Jasiu... pojedziemy na sianie... Będzie ciepło, Jasiu - powiedział żartobliwie.

Lasak podniósł się z wielkim trudem. Chwycili go pod ramiona i teraz już szybciej ruszyli w stronę pociągu, jak gdyby sama myśl o możliwości dalszej drogi dodała im sił.

Kiedy doszli do lory, Wichniewicz pierwszy wspiął się na osłonę. Przed sobą, między belami, miał taką wąską szczelinę, że z trudem w nią się wcisnął, a potem zniknął cały. Bukowy podsadził Lasaka na osłonę. Tam już złapał go za ramiona Wichniewicz i wciągnął do środka. Jędrak wdrapał się szybko na lorę, spostrzegł jednak, że dla niego nie starczy już miejsca. Postanowił szukać innego schronienia. Opuścił się szybko na tory. W tym samym niemal momencie z drugiej strony wagonu zobaczył człowieka. Widział tylko jego filcowe, wysokie buty. Zamarł w oczekiwaniu. Tamten ujrzał go również, gdyż nagle poruszył się i zawołał po niemiecku:

- Kto tam?

Bukowy nie odpowiedział. Tkwił jeszcze chwilę, jakby przymarzył do ziemi, lecz wnet zaczął wolno iść wzdłuż wagonu. Niemiec ruszył za nim.

- Stój! - zawołał.

Jędrak przyspieszył kroku. Jeszcze chwilę szli niemal równolegle, lecz gdy doszli do skrajów wagonu, Bukowy nagle zawrócił i zaczął biec w przeciwnym kierunku. Niemiec posłał za nim serię przez prześwit pod wagonem. Pociski zamlaskały w śniegu, lecz nie dosięgły uciekającego. Jędrak obejrzał się. Zobaczył niemieckiego bahnschutza przeciskającego się pod buforami. Skorzystał z tej sytuacji i jednym susem znalazł się pod wagonem. Zanim tamten się zorientował, był znowu po jego przeciwnej stronie. Teraz już się nie oglądał. Biegł wzdłuż pociągu... Nagle zobaczył, że drzwi jednego z wagonów są uchylone; skoczył więc na oblodzony stopień, w locie złapał się żelaznego uchwyty i za chwilę był w pustyni wagonie.

W pierwszej chwili pomyślał, że znalazł się w pułapce, lecz wnet zrozumiał, iż nie miał innego wyjścia. Przysunął się do uchylonych drzwi, pod wiatrówką przesunął kaburę pistoletu, otworzył ją i dłonią wyczuł chłodny uchwyt visa. Chwilę było cicho, jakby dokoła wszystko zamarło, potem odezwał się chrapliwy głos Niemca. Ktoś mu odpowiedział po polsku. Rozmowa urwała się. Bukowy przyłgnął ciasno do ściany. Czekał. Naraz usłyszał, że jacyś ludzie zbliżają się w jego stronę. Wolno wyciągnął pistolet. Zdecydował, że będzie się bronił...

Przez szparę widział wydeptaną obok toru ścieżkę, dalej drugi tor, skarpe nasypu, pole i brzeg rzeki osypany rzadkimi krzakami. I słyszał coraz wyraźniej skrzypienie śniegu pod butami zbliżających się ludzi. Najpierw ujrzał młodego człowieka w kolejarskiej czapce, w wyświeconym kożuchu, za nim bahnschutza z gotowym do strzału pistoletem maszynowym. Cofnął się przezornie. Czekał, kiedy wejdą do środka. Ale tamci minęli wagon, a po chwili ich głosy odezwały się po przeciwnej stronie pociągu. Bukowy przetarł odruchowo spocone czoło. Czekał jeszcze chwilę, aż tamci odejdą, potem ostrożnie zasunął drzwi.

"Nie znaleźli ani mnie, ani tamtych" - pomyślał z ulgą. Po jakimś czasie usłyszał gwizd lokomotywy, potem jazgot wagonowych wiązań, cienkie pobrzękiwanie szyn i poczuł, że pociąg zaczyna się toczyć. W tym samym momencie ktoś skoczył na stopień i szarpnął drzwi. Bukowy cofnął się do tyłu, błyskawicznym ruchem wyciągnął pistolet. Wtem w wejściu zobaczył kolejarską czapkę,

a pod jej daszkiem bystre niebieskie oczy. - Schowaj tę spluwę - powiedział kolejarz, zasuważąc za sobą drzwi. - I nie bój się, ja swój.

W głosie jego było tyle spokoju i zdecydowania, że Bukowy bez słowa wsunął pistolet do kabury.

- Czego chcesz?

- Widziałem cię, jak skakałeś do tego wagonu. Miałeś szczęście, że ten bahnschutz cię nie zobaczył.

- Miałem szczęście - powtórzył bezwiednie Bukowy.

- Zagadałem go... Powiedziałem, żeś uciekł w stronę rzeki. - Nagle bystrzej ogarnął Bukowego spojrzeniem. - A ty co za jeden?

- Ja? - uśmiechnął się Bukowy. - A ty po co pytasz? Przecież widzisz, że nie jadę dla przyjemności.

- Chciałem wiedzieć... bo pomyślałem...

- Co pomyślałeś?

- Widziałem już takich jak ty - rzucił pośpiesznie. - Tu niedaleko granica... Zdarza się...

- No właśnie - przerwał mu ostro Bukowy. Kolejarz uśmiechnął się zachęcająco.

- Nie bój się. Przecie widzisz, że chcę ci pomóc.

- Dziękuję. Powiedz dokąd ten pociąg jedzie?

- Do Krakowa przez Sącz i Tarnów.

- A gdzie się zatrzymuje?

- Tego nie wiem. To zwykły towarowy. Zatrzymuje się tam, gdzie go zatrzymają. A ty dokąd chcesz jechać?

- Ja tu nie jestem sam.

Kolejarz rozejrzał się po ciemnym wagonie, jakby kogoś szukał, lecz Bukowy szybko wyjaśnił:

- Na lorze z sianem jedzie dwóch moich kolegów. Musimy wysiąść jak najszybciej, bo jeden jest zupełnie wyczerpany i boję się, że nie dojedzie daleko.

Młody kolejarz tarł z przejęciem policzek.

- Cholera... trudna sprawa... Nie wiedziałem, że jeszcze dwóch jedzie z tobą. Trudna sprawa - powtórzył w zamyśleniu.

- Przecież wiesz, gdzie zatrzymują się pociągi.

- Według mnie to najpierw zatrzyma się w Muszynie albo w Piwnicznej. Ale tam nie radziłbym wam wysiadać. Stacje są obstawione. Mogą was złapać.

- To co radzisz? Kolejarz rozłożył ręce.

- Człowieku, co ja ci mogę poradzić. Najlepiej byłoby skakać, gdy pociąg zwolni.

- To odpada - przerwał mu Bukowy. - Ja tobym skakał, ale tamten... rozumiesz. On ledwo trzyma się na nogach. Boję się, że nie da rady.

- Innego wyjścia nie widzę - powiedział cicho kolejarz.

14

Brońcia stanęła na środku izby. Rozejrzała się dookoła. Izba tonęła w nieładzie. Na blasze pieca, na ławie stały nie pozmywane naczynia. W garnku kipiała woda. Przelewała się przez brzegi i syczącymi kroplami spadała na czerwoną blachę. Trzeba było zabrać się do pracy, lecz Brońcia była tak zdenerwowana, że nie wiedziała, od czego zacząć. Patrzyła chwilę na wrzącą wodę i nagle bezsilnie opuściła ręce. Spojrzała w okno. Po kilku dniach zadymki rozpogadzało się. Nad Regłami niebo było już przetarte i czyste, a spoza nawisów chmur wyłaniało się blade, zimowe słońce i rozpalało płaszczyzny pól. Naraz na drodze zadzwoniły sanki. Po chwili spoza jesionów wyłonił się koń ciągnący małe, góralskie gnatki. Na gnatkach siedział góral w kozuchu i w nasuniętej na uszy kominiarce. Poznała go. Był to Wojciech Zuzaniak. Jechał właśnie do nich, bo wczoraj umówili się, że pomoże im zwieźć gnój na pole pod Gronikiem.

- Mama jeszcze nie wróciła? - zapytał Zuzaniak wchodząc do izby.

- Nie - odparła Brońcia.

Zuzaniak zrzucił z siebie kozuch, usiadł pod oknem na ławie i w milczeniu skręcał papierosa. Brońcia podeszła do pieca. Odsunęła na bok garnek z kipiącą wodą.

- Boję się o mamę - powiedziała jakby do siebie.

Góral przejechał językiem po bibułce, zwinął ją w grubych, sękatych palcach.

- Ciekawe, dlaczego mamę wezwali na gestapo?

- Nie wiem.

- Może im o Jędrka chodzi?

- Może... ale wczoraj byłam u pani Twardoszowej. Mówiła, że był tu trzy tygodnie temu, ale teraz jest w Budapeszcie.

- No wej... - powiedział w zamyśleniu Zuzaniak. Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko. - Coś w tym musi być. Może kogo złapali, może ktoś sypnął albo... - urwał i w zamyśleniu ćmił papierosa. Nagle powiedział już zupełnie innym tonem. - No bo... mówił mi Jędrzej z Lasa, że wczoraj w Kościelisku jakiegoś Niemca nożem zadźgali.

Brońcia drgnęła.

- W Kościelisku?

- No wej, wyszedł ponoć z sanatorium i nie wrócił. Calutką noc w krzakach przeleżał. Dopiero rano go znaleźli. A ten, co go zabił, musiał mieć pewną rękę, bo go prosto w serce trafił.

- Dobrze... ale co ma do tego Jędrək?

- A nic... Tak tylko mówię...

- Przecie mamy w tej sprawie nie wzywali.

- Kto to wie - zamruczał góral. - Wszystkiego można się spodziewać. Dzisiaj takie czasy. I nie wiadomo, z której strony cię zajdą... Bo ten, co tego Niemca w Kościelisku zadźgał, to już niejednego ma na sumieniu.

- O kim mówicie? - przerwała mu zniecierpliwiona Brońcia.

Zuzaniak uśmiechnął się tajemniczo.

- O kim? No wej... o tym samym... Bo Dziadoń, gajowy, opowiadał, że dwa tyżnie temu w Lejowej jednego niemieckiego żołnierza zadźganego znaleźli. Dziwne rzeczy się dzieją...

Brońcia przetarła dłonią czoło.

- Poczekajcie, ja też o czymś takim słyszałam. Podobno miesiąc temu w Witowie pod Krowiarkami ktoś zabił niemieckiego strażnika. Jego też nożem zadźgali. Coś w tym musi być. Ale przecie mamy w tej sprawie na gestapo nie wołali.

- No nie - westchnął ciężko Zuzaniak - ale kto to może wiedzieć?

W tej chwili na podwórzu dało się słyszeć radosne skowytanie psa. Oboje spojrzeli w okno.

Na ścieżce za trzema jesionami ukazała się matka. Szła drobnym, szybkim krokiem. Głowę miała zwieszoną, oczy utkwione w ziemi. Brońcia wybiegła jej na spotkanie,

- O co was pytali, mamó? - zagadnęła nieśmiało.

Matka rzuciła jej pochmurne spojrzenie, minęła ją, weszła do izby. Dopiero w izbie, gdy odgarnęła z głowy ciężką chustę, powiedziała z naciskiem :

- Zapamiętajcie sobie, jakby kto pytał o Jędrka, to mówcie, że go od wojny nie było w domu.

- No wej... kto by to inaczej - potwierdził Zuzaniak.

- Ale co o Jędrku mówili? - wtrąciła zniecierpliwiona Brońcia.

- O Jędrku nic nie wiedzą... Zmiarkowałam, że ino mnie wypytywali.

- No to co się martwicie? Przecie pani Twardoszowa mówiła, że Jędrak w Budapeszcie.

Bukowa uniosła rękę.

- Chwała Ci, Boże... Alem się strachu najadła. - Zrzuciła z siebie chustkę, serdak i nagle bezsilnie opadła na ławę. - Ale w tym coś musi być, bo mi się kazali codziennie w Pałace meldować.

Brońcia chciała coś powiedzieć, lecz w tym momencie zaczął zaciekle ujadać Buśtyn, a na podwórzu ukazali się w ramie okna mali chłopcy z szopką. Było ich czterech; przodem szedł najmniejszy. Miał na sobie ogromny, wywrócony na wierzch włosiem kozuch, a w rękach niósł małą szopkę zrobioną z kolorowego papieru. Za nim kroczyło trzech kolędników w białych komeżkach. Wnet znaleźli się w sieni.

Brońcia podbiegła do drzwi, otworzyła je szeroko:

- Chodźcie chłopcy! Wejdźcie do izby! - zapraszała gościnnie.

Wtoczyli się, wnosząc ze sobą powiew chłodnego powietrza, zapach źle wyprawionego kozucha i blask roziskrzonych oczu. Ustawili się w równym szeregu, pochrząkiwali chwilę, poszturchiwali się, spoglądając w popłochu, kto ma zacząć kolędę. Wreszcie najwyższy z nich, o twarzy aniołka z wiejskiego kościoła, piegowaty, z zadartym nosem, siąknął ze trzy razy i zaintonował:

Anioł pasterzom mówił...

Teraz wszyscy podchwycili melodię nierównymi głosikami, a w izbie zrobiło się weselej i

jaśniej. Bukowa oderwała dłonie od twarzy. Chmurnym jeszcze spojrzeniem wodziła po dziecięcych, rumianych od mrozu twarzach, po oczach roziskrzonych piosenką, namarszczonych powagą czołach. I nagle doznała ulgi, jak gdyby coś w niej odtajało. Zatrzymała wzrok na najmniejszym z nich, Józusiu od Spyrkowskich. Chłopiec miał jasne jak len włosy, a oczy bure i błyszczące. Przypomnił jej się nagle mały Jędrus, kiedy dawno wyruszał z chłopcami od sąsiadów na kolędę. Wspomniała wieczór, kiedy przy naftowej lampie wycinała z tektury szopkę i oklejała ją błyszczącym papierem i staniolem. "Gdzie mój Jędrus teraz? Gdzie mój Jędrus?" - pomyślała w nagłym rozrzewnieniu.

A kolędnicy dokończyli już drugą zwrotkę. Wydierali się coraz głośniej i coraz fałszywiej. Wreszcie ich głosiki przeszły w kogucie pianie. Obniżyli więc głosy i kończyli niemal baranym basem.

- Dyr dum-tyrdum, nie z tej nuty, chłopcy, nie z tej nuty - zaśmiał się Zuzaniak i jął w kieszeni szukać drobnych monet.

Kolędnicy zamienili między sobą spłoszone spojrzenia. Józus Spyrkowski trącił chłopca o aniołkowatej twarzy i syknął:

- Na co czekasz, sietniaku!

Ten wyciągnął zza pazuchy woreczek z owsem, nabrał pełną garść ziarna i zaczął z rozmachem sypać po kątach:

- Coby się wam darzyło, coby się szczęściło... - mówił z przejęciem i nie żałował owsa. Ziarno jak grad zabębniło o ściany, a Józus przy tupnął jak tancerz na weselu i zaczął następną kolędę:

Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem...

Tym razem poszło już lepiej: trzech chłopcy ciągnęli równymi głosami, tylko ten, co sypał owies, spóźnił się nieco, ale wnet ich dogonił, ba, nawet ich prześcignął i gdy tamci śpiewali: "wesola nowina", ten był już przy słowach "narodziła Syna..."

Bukowa podniosła się z ławy. Drobnymi kroczkami zbliżyła się do półki, spoza garnków wydobyła blaszaną puszkę po herbacie. Wyjęła z niej kilka monet.

- Naści, chłopcy, coby się i wam poszczęściło w tym Nowym Roku... - wsunęła pieniądze najmniejszemu kolędnikowi.

Zachęceni sutym datkiem, malcy jęli wydierać się jeszcze głośniej.

- No wej! Dyć tak się śpiewa - zatarł z zadowoleniem dłoń Zuzaniak i swym niskim głosem dołączył do kolędników.

Brońcia klasnęła z uciechy w dłonie, matka z uśmiechem kiwała przyzwalająco głową. Byli tak zajęci, tak zasłuchani, że nie spostrzegli, jak ktoś otworzył wolno drzwi.

W progu stanął rosły, urodziwy góral lat około trzydziestu. Twarz miał wynędzniałą, osypaną od dawna nie golonym zarostem, a jego oczy płonęły dziwnym blaskiem, jakby miał gorączkę. Stał chwilę nieruchomo, potem cicho zamknął za sobą drzwi. Dopiero wtedy zauważył go Zuzaniak.

- To ty, Waluś? - powiedział zaskoczony. Naraz wszyscy spojrzeli na niego. Kolędnicy przerwali piosenkę, zamilkli. Zrobiło się nagle cicho i jakby powiało chłodem. Walek Niebies stał wciąż w tym samym miejscu i tym samym rozpalonym gorączką wzrokiem wodził bezwiednie po izbie.

Bukowa zachłysnęła się, jak gdyby ujrzała zjawę. Wnet jednak opanowała chwilowe zakłopotanie, podeszła do górala i łagodnie ujęła go za rękę.

- Siadajże, Waluś... siadajże...

Nic nie powiedział. Dał się bezwolnie doprowadzić do ławy. Usiadł obok Zuzaniaka i nagle jakby oprzytomniał.

- Nie było tu u was mojej Hanki? Bukowa skinęła na kolędników.

- Szczęść wam Boże, chłopcy. Dziękujemy za kolędę.

- Daj Boże - odparł Józus od Spyrkowskich. Zerknął na Walka Niebiesa i pierwszy ruszył do drzwi. W izbie zapanowała kłopotliwa cisza.

- Nie było tu mojej Hanki? - powtórzył Niebies pytanie.

Zuzaniak łagodnym ruchem położył mu dłoń na kolanie.

- Waluś, przecie wiesz, że Hanke dawno już Niemcy zabrali.

Niebies zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie zabrali... Hanusi wtedy doma nie było. - Przez jego posępną, piękną twarz przebiegł gwałtowny skurcz, a oczy w głębi źrenic zapłonęły gniewem. - Matkę zabili - powiedział zdławionym głosem - ojca zabili, Franka zabili, ale Hanusi nie było doma.

Zuzaniak pokręcił bezradnie głową, posłał Bukowej błagalne spojrzenie. Ta dorzuciła z kobiecą wyrozumiałością:

- Doma jej nie było, ale potem zabrali ją z Dzianisza, od ciotki Honorki...

Niebies uśmiechnął się przekornie.

- Wy mi tego, ciotko, nie mówcie. Ja lepiej wiem, jak i co było. Ja muszę znaleźć Hanusię.

Znowu chwila ciężkiej, nabrzmiałej bezradnością ciszy. Zuzaniak wolno sięgnął po tabakę, podsunął ją Walusiowi.

- Zakurzysz, Waluś?

Ten zaprzeczył ruchem głowy. Zuzaniak uśmiechnął się do niego niemal pogodnie i chcąc zmienić rozmowę zagadnął głośno:

- Tyś z Witowa przyszedł, Waluś?

- Nie.

- Myślałem, że z Witowa.

- Dawno w Witowie nie byłem - powiedział z naciekiem. Naraz jego gorączkowe spojrzenie spoczęło na wiszących, na ścianie starych, góralskich gęślikach. Uśmiechnął się jak dziecko, zdjął je z kołka, pogładził dłonią. Potem smykem przejechał po strunach i zaczął je stroić.

- Myślałem, żeś z Witowa przyszedł - powiedział Zuzaniak, jak gdyby chciał czymś zapełnić wlokący się czas. - Bo opowiadają, że w Witowie jakiegoś strażnika, grenzschutzta, nożem zadźgali.

Walek drgnął, a jego zarośnięta twarz stężała w bolesnym grymasie. Chwilę z uporem wpatrywał się w Zuzaniaka.

- Kto wam to mówił? - A ludzie...

- Ja o tym nie słyszałem - powiedział twardo i z pasją pociągnął smykem. Gęśle wydały piskliwy ton.

- I w Lejowej - wtrąciła nieśmiało Brońcia.

- Co w Lejowej? - zapytał Niebies przeciągle.

- No dyć... też Niemca zadźgali. Walek wzruszył ramionami.

- Nic o tym nie wiem. - Pociągnął jeszcze raz smykem, a potem zaczął grać. Grał zwykłą góralską melodię na dunajecką nutę, a jednak wydobywał ze skrzypiec tak smętne i głębokie tony, że nagle w izbie powiało chłodem. Nikt nie śmiał ruszyć się z miejsca. Siedzieli w milczeniu, jak gdyby ich ta muzyka paraliżowała. Naraz skrzypek urwał w połowie frazy, odłożył instrument i zapytał, nie patrząc na nich: - Nie wiecie, gdzie moja Hanka?

- Nie, Waluś... nie wiemy - Bukowa westchnęła ciężko, uniosła dłonie do oczu i nagle jej ciałem wstrząsnął spazm. - Skoro ty nie wiesz, to i my nie wiemy - dodała, łkając już głośniejsze.

Niebies spoglądał chwilę na nią oczami pełnymi dziwnego żaru.

- Nie płaczcie, ciotko - powiedział cicho. - Zobaczycie, za ja ją znajdę.

- Niech ci będzie, Walek... Niech ci będzie... - mruknął pojednawczo Zuzaniak. - A ty, Anielciu - zwrócił się do Bukowej - nie becz, bo ci to nic nie pomoże. Ani tobie, ani jemu.

Brońcia podeszła do okna, bo w tej właśnie chwili zobaczyła, że ktoś zbliża się do sieni. Struchlała.

- Niemcy - wyszeptała trwoźnie.

Spoza drzew wyłonili się dwaj niemieccy żołnierze w mundurach strzelców alpejskich. Szli prosto w stronę obejścia Bukowych. Pies szarpał się wściekle na łańcuchu. Żołnierze zatrzymali się na chwilę, lecz gdy spostrzegli, że łańcuch nie dosięga ścieżki, ruszyli szybko w stronę domu.

Bukowa zerwała się w popłochu; podbiegła do drzwi, lecz wnet zawróciła i bez celu zaczęła przestawiać garnki na blasze. Zuzaniak skręcał spokojnie papierosa.

- Ino spokojnie, Anielciu... Ino spokojnie - powiedział zerknąwszy przelotnie w okno. - Oni bez broni. Pewno na urlop przyjechali.

Walek Niebies powiesił na kołku skrzypce, potem cofnął się pod ścianę, oparł się o nią plecami, oczy utkwiał w drzwiach, jakby czekał na nich. W jego źrenicach żarzyło się coś niesamowitego. Brońcia pchnęła drzwi, wyszła do sieni. Niemcy byli już w progu. Jeden z nich, wysoki, smagły, o zimnych oczach, uniósł dłoń do daszka.

- Przepraszam, czy tu mieszka Maria Karpiel? - zapytał po niemiecku.

Brońcia odetchnęła z ulgą.

- Nie - rzuciła pośpiesznie - to nie tu. - Przystąpiła próg i pokazała w stronę sąsiedniego domu. - Karpiele tam mieszkają.

- A nam mówili, że tu - powiedział drugi żołnierz, niski blondyn ze szramą na twarzy.

Brońcia nie rozumiała, czego chce od niej. Przebiegła jeszcze kilka kroków i gwałtownymi ruchami pokazywała na widniejący za jesionami dom.

Żołnierz ze szramą na twarzy przyjrzał się jej nieufnie.

- Ona robi kilimy, makaty, takie rozmaite rzeczy wyszywa - wyjaśnił szorstkim głosem.

- Kilimy... To właśnie tam - zawołała Brońcia. - Maria Karpiel, ten nowy dom...

Żołnierz z niedowierzaniem kręcił głową, lecz jego towarzysz zawrócił bez słowa i na pożegnanie zasalutował. Brońcia cofnęła się do sieni. W progu natknęła się na Walka Niebiesa. Góral wzrokiem pełnym niepokojącego wyzwania obserwował odchodzących Niemców. Po chwili zjawiała się Bukowa.

- Nie wychodź teraz, Waluś - powiedziała lękliwie.

Niebies nie spojrział nawet na nią. Wciąż z uporem wpatrywał się w dwie oddalające się postacie. Naraz ruszył za nimi szybkim krokiem. Bukowa przytrzymała go za poję serdaka.

- Waluś... Wyszarpnął się, obejrzał i rzucił przez ramię:

- Zostańcie z Panem Bogiem...

- Boże prowadź - wyszeptała, a potem zwróciła się do Brońci: - Biedny chłopak, zupełnie mu się w głowie pomieszało od tego nieszczęścia.

15

Pociąg toczył się z łoskotem. W wagonie było ciemno, zimno i wilgotno. Jędrak Bukowy usiadł w kącie na starym worku, wcisnął się w załom ściany, ogarnął się rękami, jak gdyby pragnął zatrzymać trochę ciepła w przemarzniętym do szpiku kości ciele. Kolejarz stał przy uchylonych drzwiach. Ćmił papierosa.

- Zaraz będzie Żegiestów, a potem Piwniczna i Rytro - powiedział obojętnym głosem. - Znasz te strony?

- Znam. Byłem tu kiedyś latem.

- Najlepiej dla was byłoby skakać przed Piwniczną. Tam pociąg idzie pod górę. Zwalnia.

- Już ci mówiłem, że nie możemy skakać.

- Bo w Piwnicznej może się zatrzymać.

- To zaryzykujemy. Może nam się uda wysiąść.

- Nie radziłbym. Stacja jest obstawiana. W Piwnicznej w pensjonatach sporo Niemców. Sam rozumiesz, że jak wojsko, to zaraz żandarmeria...

- No tak - powiedział Bukowy w zamyśleniu. Czuł narastający niepokój. Nie wiedział, co się dzieje z Lasakiem i Wichniewiczem. Przypuszczał, że oni jeszcze bardziej niepokoją się o niego. Słyszeli przecież strzały na stacji w Leluchowie. Mogli nawet sądzić, że Niemcy go zastrzelili. Jeszcze za Leluchowem wspomniął kolejarzowi, że po dachach wagonów postara się przedostać do lory z sianem, lecz ten odradzał mu. Obawiał się, że ktoś może zauważyć łażącego po dachach człowieka, ustrzeże kierownika pociągu, a ten na wszelki wypadek mógłby zatrzymać pociąg. Zrezygnował więc z tego planu. Teraz gorączkowo szukał innego rozwiązania. - Ty - zagadnął z rozmysłem - a może by tak zatrzymać pociąg?

Kolejarz zwrócił ku niemu zatroskaną twarz.

- Można by spróbować, ale to na nic się nie zda. Zaraz wyskoczy obstawa.

- A ilu ich jest?

- Dwóch Niemców i kierownik pociągu.

- To niedobrze... - Bukowy wstał, podszedł do kolejarza. - Ty, a gdyby tak odczepić dwa ostatnie wagony?

Kolejarz uśmiechnął się chytrze.

- Ja o tym też myślałem. To, zdaje mi się, jedyne wyjście. Można zaryzykować. Jedziemy prawie cały czas w dół. Bufory są ściśnięte, tak że rozłączyć wagony to drobnostka. Tylko trzeba wybrać odpowiednie miejsce.

- Potrafisz, bracie?

- Coby nie. Nieraz już w biegu rozłączałem. Tylko ty musisz mi pomóc. Przejdziesz na platformę ostatniego wagonu. Tam jest hamulec. Jak ja ci dam znać, to zaczniesz hamować.

- Kapuję.

- Za Żegiestowem będzie las. Wtedy możesz spróbować dostać się na lorę, a potem na platformę ostatniego wagonu.

Bukowy skinął głową.

- W porządku.

Podszedł do drzwi. Przez szparę widział w dole zamrożoną rzekę. W tym miejscu tworzyła dwie wąskie, wciśnięte między strome góry pętla. Na przeciwnym brzegu, jakby przyklepione do wyniosłych zboczy, stały pensjonaty i sanatoria Żegiestowa. Gdzieś wysoko, pomiędzy pniami nagich drzew przemknął samochód. Z tej odległości wyglądał jak pełzający chrząszcz. Z kominów były błękitnawe słupy dymów. W dole na rzece ślizgali się na łyżwach mali chłopcy. Potem pętla się skończyła. Wjechali w zbity, ciemny świerkowy las.

Kolejarz trącił go łokciem.

- Próbuj, bracie!

Bukowy szerzej rozsunął drzwi wagonu, wspiął się na palce i, przytrzymując się jedną ręką, drugą zaczął obmacywać krawędź dachu.

- Tak nie dasz rady - usłyszał głos kolejarza. - Dach jest oblodzony i zasypany śniegiem. Musisz skakać i próbować ucześcić się lory.

- A jak nie zdążę? - zapytał.

- To już twoja sprawa.

Jędrrek spojrział pod nogi. Tory biegły po niewysokim nasypie. Między krawędzią wagonu a krawędzią nasypu zostawało niewiele miejsca.

Żeby skok się udał i żeby potem można było dostać się na lorę, trzeba było trafić na tę wąską przestrzeń i nie stoczyć się z nasypu. Zastanawiał się chwilę, czy warto ryzykować? A nuż skok się nie uda. Co wtedy? Tamci zostaną na lorze, a on na lodzie, pomyślał.

- Ty - usłyszał za sobą głos kolejarza - ja bym zrobił inaczej. Na lorę nie dostaniesz się, bracie. Ja bym skakał na platformę ostatniego wagonu. Dużo łatwiej, bo jest poręcz. Możesz się jej chwycić.

- Rozumiem. A ty, jak się dostaniesz między wagony ?

- O mnie się, bracie, nie martw.

Bukowy jeszcze szerzej rozsunął drzwi. Usiadł na podłodze wagonu, przesunął się bokiem, tak że utrzymywał się na samej krawędzi na jednym biodrze. Spojrział pod nogi. Zdawało mu się, że ziemia ucieka bardzo szybko spod kół wagonu. Czekał jeszcze chwilę, żeby się zebrać w sobie. Nagle odepchnął się lekko ręką, nogi podniósł wysoko przed siebie i skoczył, a raczej zsunął się. Wylądował miękko w śniegu. Poczł gwałtowne szarpnięcie, jak gdyby niewidzialna siła pchnęła go do przodu. Nie wytrzymał tego naporu i w rozpędzie upadł na wysunięte przed siebie ręce. Miał szczęście, nie stoczył się z nasypu, a gdy się podniósł, przebiegające wagony dudniły tuż przy jego uchu. Odwrócił się twarzą do pędzącego pociągu. Minęły dwa czerwone wagony, przemknęła lora i zbliżał się ostatni wagon. Zaczął biec w kierunku ruchu pociągu. Obejrzał się. Zobaczył oblodzoną poręcz tylnej platformy. W biegu wysunął przed siebie rękę, a gdy nadleciał ostatni wagon, złapał za poręcz obiema rękami. Szarpnęło go tak gwałtownie, że ręce zabołały w stawach. Zawisł na chwilę w powietrzu, potem podkurczył nogi i jednym wierzgnięciem postawił je na oblodzonym stopniu. Chwilę jechał w pozycji małpy zwisającej z gałęzi. Czuł, że opadnie. Ostatkiem sił dźwignął się na rękach, wygiął łukiem grzbiet, przekręcił się jak akrobata i stanął na stopniu.

"Udało się! Udało się!" - zdawało mu się, że te dwa pełne radości słowa niezliczonymi echemi rozbrzmiewają w rytmicznym stukocie kół, a gdy wychylił się, w przerwie między lorą z sianem a trzecim wagonem od końca zobaczył czerwoną chorągiewkę. To kolejarz dawał mu znak, że siedzi już na buforze. "Jak on to zrobił i kiedy? - pomyślał zdumiony. - Pewno skakał zaraz po mnie, ale jak mu się udało dostać między bufory?"

Nie było jednak czasu na zastanawianie się, gdyż po chwili czerwona chorągiewka zamigotała znowu między wagonami. Doskoczył więc do korby, odsunął bezpiecznik i jął przykręcać hamulec. Po chwili usłyszał zgrzyt, a potem, gdy przykręcił go jeszcze mocniej, zapiszczały koła. Wagon zaczął zwalniać. Toczył się jeszcze chwilę ze zgrzytem i piskiem, zanim stracił pęd i bezwładnie stanął na szynach. Bukowy błyskawicznie zeskoczył z platformy. Podbiegł do lory z sianem. - Antek! Jasiek! - zawołał z ogromnym przejęciem. - Wsiadajcie! Gazem, chłopcy!

Zanim dobiegł do przerwy między wagonami, zobaczył Wichniewicza wysuwającego niepewnie głowę spomiędzy bali sprasowanego siana.

- Co się stało?

- Złaźcie, ale to gazem! Wyrwamy!

Teraz wszystko potoczyło się w przyśpieszonym tempie: Antek Wichniewicz wyczołgał się spomiędzy bali, Bukowy wspiał się na osłonę lory i razem wyciągnęli Lasaka. Potem spuścili go na tory. Z drugiej strony nadbiegł kolejarz.

- Szybciej, panowie! Szybciej! - przynaglał ich napiętym głosem.

Bukowy z niepokojem przyjrzał się Lasakowi.

- Jak się czujesz, Jasiek?

- Już lepiej - odparł - tylko strasznie domarżłem... I te kajdanki - wysunął przed siebie skute rękę. W przegubach dłoni były sine i napuchnięte.

- Nie ma czasu - krzyknął kolejarz. - Potem go rozkujemy. Teraz musimy wyrwać.

Spojrzał na nasyp. Dwa odczepione wagony stały nieruchomo, a dalej tory już były puste. Tylko nad uginającymi się pod okiścią czubami świerków kłębiła się para.

Pociąg był już daleko.

*

Zapadał zmierzch. Las pogrązał się wolno w granatowych cieniach, na niebo wysypywały się pierwsze gwiazdy. Kolejarz szedł wydłużonym krokiem. Kiedy minął pierwsze zabudowania Kosarzysk, rozejrzał się. Szukał przydrożnej kapliczki. Za kapliczką powinien był skręcić w prawo, minąć mostek, a stamtąd do domu nauczycielki było już niedaleko.

Wnet przy drodze pod samotnym drzewem ujrzał murowaną kapliczkę. Przyspieszył, a kiedy minął mostek, na niewielkim wzniesieniu zobaczył upragniony dom.

Okna były szczelnie zasłonięte, tylko przez wąską jak kreska szparę przeciekała na śnieg migotliwa strużka światła. Kolejarz okrążył dom. Zbliżył się do okna. Zastukał cicho.

Na odgłos stukania ktoś wyszedł do sieni. Po chwili za drzwiami dał się słyszeć kobiecy głos:

- Kto tam?

- To ja... Błaszczyk. Niech mnie pani wpuści, pani Zaklicka.

Kobieta przekręciła klucz w zamku, pchnęła drzwi.

- A, to pan! - przywitała go, nie ukrywając zdumienia.

- Pani sama?

- Tak. Mąż jeszcze nie wrócił z Nowego Sącza.

- I nikogo nie ma u pani w domu?

- Nie, a dlaczego pan pyta? - spojrzała zaskoczona.

- Bo mam tu trzech... Trzeba ich przenocować - powiedział przytłumionym głosem.

- A kto ich przysyła?

- To zupełnie inna sprawa, pani Zaklicka - rzucił nieco zniecierpliwiony. - Kurierzy z Budapesztu. Są teraz u Zabułów pod Piwniczną, ale tam nie mogą zostać. Sama pani rozumie, że to niepewne miejsce.

Kobieta spojrzała z niedowierzaniem. Twarz jej nagle zastygła.

- Mówi pan, że kurierzy? A skąd oni się tu wzięli?

- Niech pani o nic nie pyta, tylko...

- Przecież muszę wiedzieć, kogo mara przenocować.

- Pani Zaklicka, ja nie mam czasu... Oni na mnie czekają. Muszę wiedzieć - tak albo nie, bo jeden jest chory i do tego skutu.

- Uciekli Niemcom?

- Nie. Słowakom, a dzisiaj przeszli granicę. Zresztą sami pani najlepiej opowiedzą.

Zaklicka niezdecydowanym ruchem uniosła dłoń do twarzy. Chwilę gładziła skroń palcami.

- Sama nie wiem... Widzi pan, mąż jeszcze nie wrócił z Nowego Sącza... Chętnie bym...

- Strasznie zbiedzeni, pani Zaklicka - podjął Błaszczyk z przejęciem. Spojrzał wyczekująco, a potem dodał: - Całą noc uciekali, a pani wie, co to znaczy. Tego, co skutu, odbili z pociągu...

Kobieta chwilę jeszcze tarła skroń. Naraz zdecydowanym ruchem opuściła rękę.

- No dobrze. Niech ich pan przyprowadzi. Tylko ostrożnie, żeby nikt nie zobaczył.

Szare oczy Błaszczyka nabiegły radosnym blaskiem.

- Pani Zaklicka, na mnie pani może liczyć. Już przecież nieraz...

- Dobrze, dobrze - przerwała mu pospiesznie. - Niech pan nie traci czasu. A ja tymczasem napalę w pokoju.

Kolejarz tkwił jeszcze chwilę w progu. Na jego surowej twarzy błąkał się ledwo dostrzegalny uśmiech. Nagle złapał za klamkę i powiedział ciepło:

- Wiedziałem, że na panią zawsze można liczyć.

*

W domu kolejowego dróżnika. Zabuły panował zaduch. W małej izbie unosił się zapach gotowanej kapusty. Przy rozpalonym do czerwoności piecu krzątała się wątła kobiecina z bladą, pergaminową przejrzystą twarzą. Kilkunastoletnia dziewczyna o smutnych, wodnistych oczach ubijała w cebrzyku ziemniaki dla świń. Dwaj młodszy od niej chłopcy siedzieli w kącie na ławce i błyszczącymi od przejęcia spojrzeniami wodzili po twarzach rozmawiających przy stole mężczyzn. W drugim kącie na łóżku płakało kilkumiesięczne dziecko.

Dróżnik, łykowany i wyschnięty czterdziestokilkuletni mężczyzna, nalewał do musztardówek wrzątek.

- Herbaty to my od trzydziestego dziewiątego nie widzieli - powiedział. - Dam wam trochę malinowego soku. To lepsze niż herbata. Rozgrzewa.

Kobieta podała mu monopolową butelkę z czerwonym jak atrament syropem.

- Maliny na wszystko dobre - dorzuciła śpiwnym głosem. - I na przeziębienie, i na kolkę, i jak człowieka coś boli... Ja tam sto razy wolę maliny od herbaty.

- A jak tylko przemarzniesz i zacnie cię trząść, to nie ma lepszej rzeczy. - Zabuła nalewał do każdej szklanki odrobinę soku. Gęsty płyn rozplýwał się krwistymi pasmami w przejrzystej wodzie. Nieraz spojrzenie dróżnika spoczęło na skutych rękach Lasaka. - Słuchajcie panie - powiedział ze współczuciem - nie wiem, czy się uda, ale spróbuję was rozkuć.

Lasak ocknął się. Otworzył ciężkie od atakującego go snu powieki.

- Zimno mi... - wyszeptał z trudem.

- Pilnikiem nie da rady - zauważył Bukowy.

Dróżnik uśmiechnął się cierpko.

- Ja tam o pilniku nie mówię. W drewnutni mam kowadło. Spróbujemy łomem na kowadle.

Lasak spojrział na napuchnięte, sine dłonie, potem uniósł się bez słowa.

- Panie - powiedziała od pieca kobieta - może najpierw napijecie się malin.

Spojrział na nią nieprzytomnymi oczami i bez słowa ruszył do drzwi. Krok miał chwiejny, a gdy ruszył do progu zatoczył się i byłby upadł, gdyby się nie uczeplił klamki. Bukowy podbiegł, chwycił go pod ramię i wyprowadził do sieni.

Przeszli przez zasypane śniegiem podwórze. Dróżnik szamotał się chwilę z kłódką. Wreszcie otworzył szopę. Zapalił lampę naftową i odnalazł małe, podręczne kowadło. Położył je na pniu do rąbania drzewa.

Lasak miał takie uczucie, jakby zagłębił się w lodowatą wodę. Dygotał. Zdawało mu się, że zamarza od środka, a jednocześnie trawi go gorączka. Przymknął piekące powieki. Pomyślał, że najlepiej byłoby usnąć, pogrążyć się do dna, aż do znieczulenia. Z odrętwienia wyrwał go głos Bukowego.

- No, Jasiu, dawaj te swoje bransolety.

Nie pojął żartu. Uklęknął, ręce wyciągnął przed siebie, a złącze kajdanek położył na klinowatym końcu kowadła. Dróżnik przyłożył do kajdanek kolejarski młotek.

- Trzymajcie - rozkazał Bukowemu. Do ręki wziął wielki, kolejarski młot. Ważył go chwilę w dłoni i przymierzał się, żeby uderzyć pewnie i dokładnie. Potem zamachnął się krótko. Młot spadł błyskawicznie, zabrzączało żelazo i nagle obie ręce Lasaka opadły bezwładnie.

Bukowy cmoknął z podziwu.

- Ale macie oko! I rękę nie od parady.

- No - powiedział Zabuła z przechwałą w głosie - rękę to mam jak jasny piorun, bo za młodu u kowala praktykowałem.

Za szopą zadzwoniły sanki. Zabuła wyprostował się. Nasłuchiwał z trwożną uwagą.

- Ki pieron o tej porze? - Pchnął drzwi, wyrzwał na podwórze. Za płotem w mroku ukazał się koń. Biła z niego para. - Kto tam? - zawołał dróżnik napiętym głosem.

- Panie Zabuła, otwórzcie bramę - dał się słyszeć radośnie podniecony głos Błaszczyka.

Dróżnik truchcikiem podbiegł do płotu. Rozsunął oba skrzydła przepustu. Po chwili sanki wjechały na podwórze, a w smudze światła padającej od uchylonych drzwi drewnutni, ukazał się granatowy płaszcz kolejjarza. Błaszczyk podbiegł do Bukowego.

- Wszystko gra - powiedział mrużąc wesoło oko. - Macie nocleg i jeszcze wam sanki załatwiłem.

16

Bukowego dręczył koszmarny sen: uciekał z pędzącego pociągu. Była noc, przez zamrożone okna w bladym, niemal trupim blasku księżycy widać było bezbrzeżną, śnieżną pustynię. Nic, tylko śnieg, seledynowy, jak gdyby podchodzący wodą. Przed nim był długi korytarz wagonu. Biegł równo przez całą długość pociągu, ale w miejscu, gdzie normalnie powinny być drzwi do przedziału, znajdowały się płyty z ciężkiego metalu, jakby z ołowiu lub pancernej stali. I nie było widać ani świateł, ani uchwytów, tylko czerwony chodnik, niby jedna krecha przekreślała nie kończąca się perspektywę. Bukowy uciekał, ale nie wiedział przed kim. Czuł tylko, że musi wyskoczyć z pędzącego obłądnego pociągu. Co chwila oglądał się za siebie. Słyszał wyraźnie tupot biegnących za nim prześladowców, lecz nie widział ich postaci. Wiedział jedynie, że grozi mu ogromne niebezpieczeństwo. Nagle zobaczył przed sobą dwie przyczajone postacie w czarnych mundurach. Zatrzymał się, zawrócił. Biegł w przeciwnym kierunku, ku temu wzmagającemu się tupotowi ścigających go ludzi. Obejrzał się. Nikogo za nim nie było, lecz gdy spojrzął przed siebie znowu zobaczył tych dwóch. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób znaleźli się przed nim, skoro przed chwilą go ścigali. Tracił już siły... Sto razy zawracał, sto razy słyszał za sobą tupot nóg i sto razy spostrzegał przed sobą ludzi w czarnych mundurach. Naraz zatrzymał się. Uniósł ręce do góry i zawołał zdławionym głosem: Nie mogę dłużej. Nie mogę...

Wtedy ktoś szarpnął go za ramię. Ocknął się. Zobaczył nad sobą pogodną twarz Błaszczyka.

- Wstawajcie. Zaraz będzie śniadanie. Bukowy przetarł dłonią twarz.

- Śniadanie... - wymamrotał zaspany. Rozejrzał się, chcąc sprawdzić, gdzie się znajduje. I nagle doznał ogromnej ulgi. Poznał ten sam mały pokój, w którym w nocy położyli się spać. Było ciepło. Obok niego leżał Antek Wichniewicz. Jego zarośnięty policzek odcinał się ostro od białej powleczonej poduszki. Na drugim łóżku zobaczył wystające spod pierzyny sinoczerwone, lekko opuchnięte stopy Lasaka. "Odmroził nogi" - pomyślał, a potem znowu opadły mu powieki. W całym ciele czuł dziwną ociężałość. Nie wiedział, czy z przemęczenia, czy nie otrząsnął się jeszcze ze snu.

Błaszczyk targnął go znowu za ramię.

- Wstawajcie, pani Zaklicka już czeka.

- A która to godzina? - zapytał Wichniewicz, nie otwierając oczu.

- Ósma dochodzi.

- Psiakrew, pospałbym jeszcze przynajmniej trzy dni.

Bukowy przeciągał się długo i rozkosznie. Ciepła izba, czysta pościel, dymiąca w dzbanku gorąca woda, to wszystko wydało mu się zupełnie nieprawdziwe i aż niepokojące. Z trudem wygrzebał się spod pierzyny. Zerknął w stronę Błaszczyka, który usiadł na krześle i w milczeniu ćmił papierosa.

- A ty, bracie - zażartował - to jak anioł stróż.

Błaszczyk uśmiechnął się.

- Jaki tam anioł stróż. Po prostu tak się złożyło.

Bukowy podszedł do Lasaka. Nachylił się nad nim.

- Jego nie trzeba budzić - usłyszał głos Błaszczyka. - Pani Zaklicka zaglądała już do niego. Mówi, że ma gorączkę.

Jędrak przyjrzał mu się uważniej. Lasak leżał z szeroko rozrzuconymi rękami, usta miał otwarte, a wargi spieczone i popękane.

- Dali mu szkołę - powiedział, kręcąc głową.

- Tydzień maglowania w Preszowie, a potem cała noc w kajdankach.

- Przejdzie mu - rzucił dobrodusznie Błaszczyk. - Grunt, że cały i między swoimi.

Bukowy zbliżył się do wiszącego nad umywalką lustro. Przyjrzał się swemu odbiciu. Przejechał dłonią po szorstkich od zarostu policzkach.

- Trzeba się ogolić - powiedział przeciągle Naraz zwrócił się do Błaszczyka: - A ty... co z tobą będzie?

Kolejarz wzruszył ramionami.

- O mnie się nie martw. Dam sobie radę.

- No dobra, ale do Leluchowa nie masz po co wracać.

- Niby nie.

- Przez nas straciłeś robotę.

- To głupstwo. Mnie już kolej obmierzła. A o robotę tutaj nietrudno... W lesie przy drzewie można lepiej zarobić.

- A nie będą pana poszukiwać, kiedy zobaczą że pan zniknął nagle? - zapytał Wichniewicz.

- Będą - odparł z naiwną dobroduszością. - Zmiarkują, że te wagony to ja odczepiłem. Ale to głupstwo.

- Dla pana to wszystko głupstwo - rzucił Wichniewicz, nalewając wodę do miednicy.

Zapadło krótkie milczenie. Po chwili Bukowy zagadnął:

- A ta gospodyni... To pewna osoba?

- Pani Zaklicka? - Błaszczyk ożywił się nagle. Oczy mu pojaśniały. - To przecie dusza nie człowiek. Ja ją dobrze znani. Ona już niejednemu pomogła. W czterdziestym roku, jak tu ludzie przez granicę na Węgry szli, to nieraz u niej i dziesięciu nocowało. Dusza nie człowiek... A jej mąż tak samo. Mało dziś takich ludzi jak oni.

Wichniewicz zamienił z Bukowym porozumiewawcze spojrzenie, a potem znowu zagadnął:

- Mówi pan, że pomagała uciekinierom?

- No jakże... czasem sama ich przez granicę przeprowadzała, bo w Słowacji ma krewnych.

Wichniewicz uśmiechnął się do Bukowego. - No widzisz, Jędrak, jakżeśmy trafili.

*

- Ty, Jędrak - powiedział Wichniewicz, kiedy Błaszczyk wyszedł z pokoju - mnie się zdaje, żeśmy trafili w dziesiątkę. Granicę mamy o krok, pewnych ludzi i jeszcze kontakty na Słowacji.

- Trzeba będzie z nią pogadać - dorzucił spokojnie Bukowy.

- Zostaw to mnie.

- Właśnie o tym myślałem. Ja będę musiał sypnąć się do Zakopanego, a wy z Jaśkiem poczekacie tu na mnie. Będziesz miał czas obgadać całą sprawę.

Wichniewicz spojrzał nań z troską.

- Może odpoczniesz jeden dzień?

- Zwariowałeś? Kości by się zastały. Zresztą Twardoszowa czeka. Pewno wszyscy się niepokoją.

- Cholera! - zaklął cicho Wichniewicz. - Szkoda, że tylko część tej poczty została. To, co miał w butach pod futrówką, przepadło. Ale mam nadzieję, że to były te same szyfry.

- Te same? - zdziwił się Jędrak.

- Często tak się robi. Dla asekuracji, rozumiesz?

W tym momencie w drzwiach ukazała się głowa pani Zaklickiej.

- Panowie, kawa wystygnie...

Przy śniadaniu Jędrak poczuł, że ogarnia go jeszcze większa ociężałość. Jedzenie mu nie smakowało. Z zazdrością spoglądał na Wichniewicza, fetory z wielkim apetytem pochłaniał kromki chleba grubo posmarowane topioną słoniną i popijał kawą zbożową. "Gorączka mnie chwyta" - pomyślał i instynktownie dotknął dłonią czoła.

- Czy źle się pan czuje? - zapytała kobieta.

- Nie, nie - odparł pośpiesznie. - Jestem tylko trochę wypompowany.

Wichniewicz zwrócił na niego baczne spojrzenie.

- Może ja pójdę, a ty zostaniesz przy Jaśku?

- Ale skąd - Jędrak zachnął się niecierpliwie. - Mówię ci, że nic mi nie jest.

- To pan zaraz wyrusza? - zapytała Zaklicka.

- Tak.

- Szkoda, bo gdyby pan poczekał, to za godzinę, albo i wcześniej, jedzie do Łopuszny nasz sąsiad.

- To pewny człowiek? - zapytał Wichniewicz.

- Nie wspomniałabym o tym, gdybym nie miała do niego zaufania.

- Smolej? - odezwał się Błaszczuk.

- Właśnie Smolej - skwapliwie potwierdziła gospodyni.

- Z nim to możesz jechać na koniec świata - uśmiechnął się kolejarz.

- No to jak? - zagadnął Wichniewicz i posłał Jędrkowi przyzwalające spojrzenie.

- To się nawet dobrze składa - powiedział Bukowy z namysłem. - Do Łopuszny to szmat drogi... - W tej samej chwili poczuł, że chwytają go dreszcze. Przestraszył się, lecz nic nie powiedział.

- No, niechże pan je, panie Jędrku - usłyszał obok siebie głos Zaklickiej.

Popatrzył w jej stronę i z jeszcze większym przerażeniem stwierdził, że jej sylwetka rozplywa się jak we mgle i traci kontury. "Mam gorączkę" - pomyślał.

17

Pod wieczór zbliżali się do Łopusznej. Nad nagimi wzgórzami wisiała ciężka tarcza przymglonego słońca. Niebo płonęło po zachódniej stronie, a w dali widać było dziwnie dalekie i błękitne góry.

Bukowy otulił się szczelniej baranicą. Czuł, że słabnie. Był ociężały i senny. Piekł go powieki, skóra mu cierpła, a przez plecy co chwila przebiegały dreszcze. Przerażała go myśl, że w drodze złapie go choroba. Przed sobą miał jeszcze całonocny marsz do Zakopanego. Jechał więc milczący i zasępiony.

Smolej obserwował go z coraz większym niepokojem.

- Co ci jest? - zapytał z obawą.

- Czuję, że bierze mnie gorączka.

- Zagrzejes się w karcmie. Napijes się wódki, to ci minie - powiedział stary góral. Wywinął batem nad grzbietem konia. - Wiooo!... Wiooo, Kaśtan! - zawołał przeciągle. Zmęczony koń ruszył ostrzej, a sanie zadzwoniły weselej.

Minęli pierwsze chałupy, potem zbczyli z nowotarskiej drogi ku Dunajcowi. Z daleka zobaczyli karczmę Hilera. Szyby połyskiwały płomieniem w pożodze zachodzącego słońca, a z komina prostym słupem szedł dym. Przed karczmą stało kilka chłopskich sań. Konie zwiesiły głowy, szukając obroku na dnie worków. Z głębi karczmy dochodziły tłumione okrzyki i pijackie pośpiewywania. Smolej pierwszy wyskoczył z sanek. Wytarł spoconego konia wiechciem siana, nakrył go derką, a na łeb narzucił mu worek z owsem.

Weszli do karczmy. W pierwszej izbie przy lśniącym mosiądzem szynkwasię tłoczno było od pijanych chłopów. Za bufetem opasły mężczyzna w ceratowym fartuchu toczył piwo. Żłocisty płyn burzył się w kufkach, a piana z sykiem spływała na niklowaną ladę. Gospodarz krótkim, lecz ostrym spojrzeniem otaksował wchodzących gości.

- Dawno was tu nie było, Smolej - rzucił góralowi na przywitanie, a potem baczniej przyjrzał się Bukowemu. Ten nie zwrócił na to uwagi. Przepchnął się między ludźmi, przeszedł do drugiej izby. Tutaj też było tłoczno. Chłopi gęsto obsiedli stoły. Nad głowami zebrała się ciężka chmura machorkowego dymu. Zdawało się, że ludzie pływają w mętnej wodzie.

Bukowy znalazł wolne miejsce pod ścianą na ławie. Usiadł i nagle poczuł, że mąci mu się w głowie, coraz większą słabość ogarnia całe jego przemarzniałe do szpiku kości ciało. Zdawało mu się, że izba z ludźmi zaczyna falować, rozpląwać się, rozmazywać w gęstniejącym mroku. Przymknął oczy, żeby pozbyć się tego wrażenia, a kiedy je znowu otworzył, zobaczył przed sobą młodą dziewczynę w białym fartuchu.

- Co podać? - jakby z daleka usłyszał jej głos.

Smolej spojrzał na Bukowego pytająco.

- No to co zjemy?

- Jest smażona kiszka z ziemniakami i gulasz. - Dziewczyna zręcznymi ruchami ścierała stół i zbierała naczynia.

- Może być dwa razy kiska - powiedział Smolej. - No i pół litra...

- Ja nie będę pił - zaprotestował Bukowy. Smolej uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Uwidzimy... Mówię ci, co wódka dobrze ci zrobi. Pół litra, panno Tereniu - rzucił dziewczynie z przekornym błyskiem w oczach.

Dziewczyna odeszła pogrążając się kuflami. Bukowy odprowadzał ją spojrzeniem, ale zanim doszła do bufetu, znikła mu w nasuwającej się szarości. I znowu wszystko zafalowało, jak gdyby porwane mętym wirami. Nagle z tego wiru wyłoniła się wyraziście ostra, dzika, niemal zbójcka twarz górala. Bukowy szerzej otworzył oczy. Widział teraz wszystko w mocno zarysowanych konturach. Na środku izby stał góral w sile wieku. Odzienie miał na sobie nędzne, ale wyraz ciemnych, szklistych od wódki oczu wyzywający i pełen nieokiełznanej fantazji. Wyprostował się, uniósł rękę, zamigał palcami, potem zrobił kilka drobnych, tanecznych kroków, a gdy wreszcie przystanął, zanucił zrazu cicho, lecz dobitnie:

Chłopcy na zbój chodzili,

gorzoleckie wypili.

Ostawili ino wodę,

a jo wody pić nie mogę.

- Ciszej że, Brzega! Ciszej że - zawołał spoza bufetu karczmarz. Jego nalana twarz stężała i oczy pociemniały od gniewu.

Góral posłał mu pełne wzgardy spojrzenie. Tanecznym krokiem poszybował w stronę

szynkwasu. Przytupnął kilka razy, zatrzepotał uniesioną ręką i podjął jeszcze głośniej:

Ni mom złotych talarów,
ni mom srybnych dularów.
Ni mom flinty ani gwera,
ino w rzyci mom Hitlera! Hej!

Zakończył krótkim, wyzywającym okrzykiem i powiódł roześmianymi oczami.

Zrobiło się cicho. Ludzie spojrzeli po sobie trwoźnie, lecz wnet od bufetu zabrzmiał huczny śmiech. Hiler przybladł, a jego obwisłe policzki drgnęły nerwowo.

- Uważajcie, Brzega, gdzie jesteście i co śpiewacie - powiedział ostro.

Brzega oparł się o krawędź szynkwasu.

- Panie Hiler, nie powiem wam ani tak, ani siak... Ino dejcie jesse dwa zjazdowe. Dla mnie i dla Władka - skinął ręką w stronę młodego chłopca, który siedział pod ścianą i mrużył roześmiane oczy.

Karczmarz wyciągnął rękę i uczynił taki ruch, jakby żądał pieniędzy.

- Pięć pięćdziesiąt, Brzega.

- Jakie pięć pięćdziesiąt?

- Nie zapłaciliście jeszcze za poprzednie.

- Wpróżdziej dejcie, a potem będziemy płacić.

- Nie ma tak dobrze. Najpierw zapłaćcie, a potem będziecie pić...

Góral zmrużył zbójnickie oczy, wysunął do przodu głowę, jakby chciał zaatakować Hilerą.

- Co wam sie nie podoba, panie Hiler? Szynkarz cofnął się przezornie.

- Taki już u mnie porządek.

- A u mnie insy - zachnął się gniewnie Brzega. Nagle przechylił się przez szynkwaz, wyciągnął ku szynkarzowi rękę. Zdawało się, że go złapie za gardło.

Hiler przesunął się za szklaną gablotę z przekąskami. Po drodze złapał duży kufel.

- Uważajcie, Brzega! - zawołał napiętym głosem. - Na takich jak wy znajdzie się sposób.

Góral zaklął, rzucił się ku niemu. Chciał go dosięgnąć, lecz w tej samej chwili dwaj rośli chłopci złapali go za ramiona i odciągnęli.

- Dejze spokój, Władek! Dejze spokój! - powiedział ktoś z boku.

Nagle w obu izbach umilkło, a za oknami dał się słyszeć warkot motoru. Po chwili na drodze ukazał się motocykl z przyczepą i dwa niemieckie hełmy błysnęły w łagodnym blasku zachodzącego słońca. Motocykl zatoczył szerokie koło. Zatrzymał się przed wejściem do karczmy.

Szynkarz z łomotem postawił kufel na szynkwasio.

- No, śpiewajcie dalej, Brzega! Śpiewajcie! Góral zatoczył się do tyłu, odtrącił trzymających go chłopów.

- Panie Hiler - powiedział stłumionym głosem - my się jeszcze spotkamy - i splunął z obrzydzeniem pod ladę. A gdy wracał na swoje miejsce, uśmiechnął się i cichutko zanucił:

Poza bucki, pod gronie

Idą na zbój Białcanie...

Nie zdążył dokończyć, bo w tej właśnie chwili Niemcy weszli do karczmy. Przez karczmę powiało chłodem. Jeden z nich, rosły, barczyste chłopisko o twarzy płaskiej, wgniecionym nosie i pełnym buty wejrzeniu, zatrzymał się w przejściu między dwiema izbami, stanął w rozkroku, powiódł po sali oczami, jakby kogoś szukał. Ludzie udawali, że go nie widzą, odwracali się, podnosili ze stołów kufle, kieliszki, zabierali się do odstawionego jedzenia. Zdawało się, że nikt go nie zauważył.

Smolej trącił pod stołem Bukowego.

- Tylko spokojnie... Oni wypiją co nieco i zaraz stąd pójda.

Bukowy skinał tylko głową. Pochylił się nad talerzem. Grzebał widelcem w rozpatroszonej kaszance. Jedzenie mu nie szło.

Tymczasem do żandarmów podbiegł Hiler. Uraczył ich najuprzejmiej, na jaki w tej chwili było go stać uśmiechem i poprowadził do stolika, przy którym siedziały dwie opatulone chustkami kobieciny. Te usunęły się bez słowa. Zabrały spod ławki koszyki pełne kłębów surowej wełny. Nie oglądając się na nikogo, wyszły cicho, jakby je wymiotło.

Żandarmi siedli za stołem. Zdjęli hełmy, automaty przewiesili przez lewe ramię. Ich żandarmskie blachy pobrzękiwały cicho o guziki mundurów.

Tymczasem szynkarz gorliwie wycierał przed nimi blat stołu; zdawało się, że na wskroś przetrze deski.

- Bier oder wódka? - wydusił z siebie razem z maślanym uśmiechem.

- Piwo - zawołał po polsku drugi żandarm, niski, przysadzisty, o nalanej twarzy. - Piwo powtórzył i roześmiał się, ciesząc się językowym sukcesem.

- Warm oder kalt?

- Ciepła, ciepła - zamruczał Niemiec i w przystępie dobrego humoru dał karczmarzowi kuksańca w bok.

Hiler za ten objaw serdeczności podziękował mu jeszcze szerszym uśmiechem. Wnet skłonił się i potruchtał do bufetu.

W karczmie zapanowała martwa cisza.

Bukowy od momentu wejścia żandarmów ocknął się z chorobliwego odrętwienia. Teraz widział wszystko jasno, wyraziście. Był jednak tak zobojętniały, że nie czuł strachu. Pragnął jedynie jak najszybciej wydostać się z tej zatęchłej, zadymionej dziury.

- Idziemy - powiedział cicho do Smoleja. Sięgnął po leżący pod ławką plecak.

Smolej złapał go za rękę.

- Nie teraz... oni najpierw wyjdą.

Bukowy wzruszył tylko ramionami. Nagle ciszę zmaćił dziwny szmer. Ludzie siedzący przy oknach wyzierali na drogę, szeptali. Po chwili usłyszeli daleki śpiew, jakby od strony rzeki zbliżał się chór. Wreszcie za zmarzniętymi szybami ukazał się dziwny korowód.

- Szopka idzie... Kolędnicy... Jasełka będą... - zaszeptali siedzący najbliżej okien.

Wtem drzwi karczmy rozwarły się szeroko, rozległ się głośny śpiew, wesołe nawoływania, pohukiwania, a w drzwiach zjawił się rogaty diabeł. Wpadł z wrzaskiem, z chichotem, w diabelskich płasach, wywijając widłami przemierzył obie izby i nagle zatrzymał się przed żandarmami.

I stała się rzecz dziwna, szmer przeszedł w pomruk, a potem cała karczma gruchnęła śmiechem. Tęgi Niemiec w pierwszej chwili spąsował ze złości, lecz druga fala śmiechu obezwładniła go zupełnie. Tuszując chwilowe zakłopotanie, roześmiał się głupkowato. Chciał targnąć diabła za ogon, lecz zanim go dosięgnął, dostał klapsa w rękę. I znów ludzie zanieśli się śmiechem.

Tymczasem w izbie zjawiała się biała śmierotka ze srebrną kosą, za nią Herod w złocistym

kołpaku, dwaj aniołowie szeleszczący bibułą skrzydeł i trzech odziani w kozuchy pasterze. Ludzie rozsunęli się, zostawiając wolny środek izby, Trzej pasterze ustawili się w szeregu. Trzy razy zastukali kijami o podłogę, trzy razy klasnęli w dłonie i zaczęły się jasełka. Kolędnicy zbili się w ciasną grupę, gromkimi głosami wesoło zaintonowali:

Dzisiaj w Betlejem,

Dzisiaj w Betlejem,

Wesoła nowina...

Głos poniósł się po zapchanej izbie tęgo, świetlicie. Jaśniej błysnęły oczy słuchaczy. Tylko Hiler, który podawał niemieckim żandarmom piwo, z niepokojem spoglądał w stronę kolędników. Dziwiło go, że wszyscy mają na twarzach maski, a w masce Heroda doszukał się podobizny Hitlera. Ten sam wąsik, ten sam kosmyk opadający na niskie czoło i bardzo podobne oczy.

Kiedy przebrzmiała kolęda, przed kolędników wysunął się anioł. Złożył pokornie ręce, opuścił głowę i głosem pełnym nabożnej pogody zaczął recytować:

Narodził się w stajence,

Narodził się Panience.

W żłobie go złożyli,

Siankiem go okryli...

Tymczasem Herod rozparł się na ławie, potrząsnął złotym berłem. Głosem pełnym frasunku żalił się diablowi:

Jam Herod, król Judei.

Nie mogę zasnąć w pościeli.

Nie mogę zjeść chleba krzynki,

Ani wypić wina odrobinki.

Diabeł, jak gdyby na to tylko czekał, doskoczył z boku. Satanicznym szeptem zaczął kusić zaniepokojonego władcę.

Dam ci dobrą radę.

Zwołaj zbrojną gromadę.

Niech litości ni mają,

Niech sycicie dzieci zarzynają.

Król zerwał się z ławy, zatoczył złotym berłem, zawołał potężnym głosem:

Hej, hajduki, siepacze, pachołki!

Idźcie w ćtyry strony świata.

Litości nie miejcie.

Syćkich ścinojcie.

Niech się ciurkiem krew leje,

Zanim zadnieje.

W tej chwili spoza drzwi wyskoczyła śmierć Jak nie zacznie wywijać kosą nad głową krwawego króla, jak nie zacznie tańcować wokół królewskiej mości, to aż szmer poniósł się po izbie, a ludzie wybałuszyli oczy, dech im w piersiach zaparło.

A ty zbereźniku jeden,

Toś ty taki!

Niewinnych chces mordować,

Nad światem panować!

Kosa świsnęła nad głową Heroda. Ktoś od drzwi zawołał z przejęciem: - Zabij bestyję jedną! Zabij bezkurcyjol I nagle cała izba zawrzała. Wszyscy w masce Heroda rozpoznali podobiznę niemieckiego führera. Zaklaskały z uciechy kobiety, zawyskali młodzi chłopcy, zabuczeli starzy górale. Zdawało się, że za chwilę rzucą się na drżącego ze strachu króla. Ten upadł przed śmiertką na kolana. Błagalnym głosem zawołał:

Litości... litości...

Dam wam złota całą furę,

Dam srybła całą górę,

Dam pereł bez liku...

Śmierotka doskoczyła z kosą:

O, ty bezwstydniku!

Telo grzechów mas na sumieniu,

Co włosów na ciemieniu.

A diabeł zatańczył wokół Heroda diabelski taniec. Dźgał go widłami, tarosił, targał.

Nic ci nie pomoże.

Chodź do piekła potworze!

Chciałeś powyrzynać wszystkich,

Chodź do piekła za swe zbytki!

Zarzucił mu pętlę na szyję i jął go wodzić po środku izby jak ciołka na rzeź. Znowu huk oklasków, znowu radosne wyskanie i rubaszny śmiech.

Niemcy bawili się równie dobrze jak górale. Nie rozumieli, o co chodzi. Ten tęgi z czerwoną gębą bił z uciechy kuflem o blat stołu, wykrzykiwał coś po niemiecku, śmiał się, aż mu łzy z oczu ciekły. Drugi zawołał ubawiony:

- Das ist wunderbar! Fantastisch!

Na dźwięk niemieckiego języka diabeł zatrzymał się nagle. Zwrócił ku żandarmowi rogatą maskę. Zaśmiał się niemal po diabelsku, zarechotał i już był przy żandarmie. Wywinął widłami, zatańczył drobnymi kroczkami, a potem nagle zaimprovizował:

A tobie co tak wesoło?

Widzę po twoim wejrzeniu,

Ze sporo masz na sumieniu...

- To ten, co Staśka Gubałę pod Lubaniem zastrzelił - rozległ się z kąta ostry głos. Wszyscy zwrócili głowy w tamtą stronę. Z przerażeniem zobaczyli Brzegę, jak chwiejnym krokiem zbliża się do Niemców. Z dziką wściekłością kopnął zawadzające mu krzesło, wyciągnął oskarżająco rękę. - To on! Staśka zastrzelił i chłopca od Migosiów z Waksmundu! - pokazał na barczystego żandarma.

Ten jednym ruchem zerwał przewieszony przez lewe ramię automat.

- Czego chce ten człowiek? - zawołał w stronę bufetu.

- On jest pijany... Zupełnie pijany - odkrzyknął Hiler. Kilkoma skokami był przy Brzedze. Chwycił go za rękaw bluzy, siłą odciągnął na bok. - Brzega, na miłość boską, co wy robicie?

Brzega odtrącił go. Oczy nabiegły mu krwią, twarz nabrała dzikiego wyrazu. Rzucił żandarmowi wyzywające spojrzenie. Zamigał mu przed oczyma palcami. Zaśpiewał zuchwale:

Ni mom złotych talarów...

Ni mom srybnych dularów...

- Genug! - wrzasnął żandarm i bliżej przysunął automat.

Brzega zaśmiał się szyderczo.

- A co, nawet śpiewać nie wolno? - zapytał głośno, a potem podjął piosenkę:

Ni mom flinty ani gwera...

Ino w rzyci mom Hitlera!

- Hände hoch! - wykrztusił żandarm i ruchem głowy skinął na towarzysza.

Ten rzucił się na Brzegę, gdy nagle stało się coś nieoczekiwanego: chłopiec przebrany za diabła chwycił ze stołu ciężki kufel i błyskawicznie rąbnął żandarma w głowę. Dwaj aniołowie doskoczyli do drugiego: jeden chwycił za automat, drugi wymierzył mu cios między oczy. Zakotłowało się. Jakaś kobieta wrzasnęła przeraźliwie. Stolik potoczył się z brzękiem po podłodze. Rosły Niemiec bronił się jeszcze chwilę, lecz wnet doskoczyli do niego pasterze. Przydusili go do ziemi, wyrwali mu automat, kazali wstać. Podnosił się wolno, najpierw na klęczki, potem zupełnie się wyprostował i z przerażeniem na twarzy uniósł do góry ręce. Ten tęgi z nalany pyskiem leżał jeszcze na podłodze.

- Wstawaj! - zawołał diabeł i kopniakiem zmusił go do posłuszeństwa.

18

Bukowy pomyślał, że dłużej nie może zostać w tej karczmie. Przez cały czas toczących się przed jego oczami zdarzeń dygotał z gorączki i nerwowego napięcia. Kilkakrotnie chciał już wyjść, lecz Smolej za każdym razem go zatrzymywał. Góral obawiał się, że niepotrzebnie zwróci na siebie uwagę.

Od chwili wejścia kolędników Jędrak przeczuwał, że coś się stanie. W pewnym momencie, podczas odgrywania jasełek, u jednego z pasterzy pod rozchylnym kozuchem spostrzegł pas i kaburę pistoletu. Był już pewny, że to nie są zwyczajni kolędnicy.

Schylił się po plecak.

- Słuchajcie - powiedział do Smoleja - na mnie już czas.

- Pockoj, jo tys ide. - Góral podniósł się z ławy. Jego pełne żalu spojrzenie poszybowało w stronę stojącej na stole wódki: - No, wej - westchnął - nawet my nie wypili.

Bukowy zarzucił plecak na jedno ramię. Skierował się do drzwi. Karczma opustoszała. Ludzie wymykali się cichaczem. Zostali tylko: pijany Brzega, kolędnicy i żandarmi. Kiedy przechodził obok nich, aniołowie ściągali z żandarmów ubranie. Dyrygował nimi jeden z pasterzy, u którego Jędrrek Bukowy spostrzegł poprzednio pistolet.

- Prędeż, chłopcy! Prędeż! - przynaglał ich drżącym z emocji głosem.

Bukowemu przez chwilę wydawało się, że gdzieś już słyszał ten głos. I sylwetka pasterza przypominała mu kogoś. "Może mi się tylko tak zdaje" - pomyślał. Minał ich. Spokojnym krokiem ruszył do sieni. Przed drzwiami usłyszał za sobą ten sam, znajomy głos.

- Jędrrek, zaczekaj chwilę.

Odwrócił się. Za nim stał człowiek przebrany za jasełkowego pasterza.

- Nie poznajesz mnie? - zapytał.

- Nie...

Tamten uchylił na chwilę maski.

- To ty, Tadek? - wyszeptał zdumiony Bukowy. Poznał Opielę. W łańcuchu napływających skojarzeń przez jego wyobraźnię przemknęło kilka obrazów. Opiela podczas natarcia czołgów pod Rozwadowem. Jego dłonie kurczowo zaciśnięte na uchwyty cekaemu, jego oczy utkwione w toczącym się żelaznym pojeździe i to niewiarygodne opanowanie, które pozwalało mu podpuszczać czołgi na trzydzieści metrów. A potem granica węgierska... Składają broń... I znowu Tadek Opiela... Z nieludzkim skowytym biegnie wzdłuż szeregu żołnierzy z karabinem w dłoniach. On jeden nie złożył broni. On jeden uciekł z karabinem na polską stronę. I teraz stoi przed nim z wyczekującym półuśmiechem na twarzy. - Tadek - powtórzył Bukowy z radosnym drżeniem w głosie.

- Co tu robisz? - zapytał Opiela,

- Ja? Idę do Zakopanego.

Opiela zrobił taki ruch, jakby chciał go zatrzymać.

- Poczekaj. Muszę z tobą pogadać. - Odwrócił się i zawołał do swoich chłopców: - No co, gotowe?

- Gotowe - odkrzyknął jeden z aniołów.

Żandarmi stali już boso w bieliźnie. Ten wysoki, barczysty, przymknął oczy i szybko poruszał zsiniałymi wargami. Może się modlił, a może przeklinał chwilę, w której dał się zaskoczyć. Drugi wodził rozbieranymi oczami i powtarzał cicho:

- Das ist unmöglich... das ist unmöglich...

- Wyprowadzić ich, chłopczy! - rozkazał Opiela.

Bukowy wyszedł przed nimi. Mrok już zapadał. W załomach terenu leżały granatowe cienie. Stado wron z krakaniem krążyło nad nagimi drzewami. Bardzo daleko, poza garbem wzniesienia jarzył się jeszcze jaśniejszym rąbkiem łańcuch Tatr.

Przed karczmą było pusto. Stały tylko sanki Smoleja. Koń zwiesił nisko głowę, tkwił w zupełnym odrętwieniu. Na jego zadzie szarzał gruby szron.

Naraz w drzwiach karczmy ukazali się dwaj żandarmi, a za nimi jeden z aniołów z "rozpylaczem". Wiatr zaszeleścił w bibule skrzydeł. Niemcy mieli w oczach paniczny strach. Szli w białym. Ten gruby co chwila podciągał gacie opadające z wyniosłego brzucha. Potem wysypała się cała grupa kolędników. Na twarzach mieli jeszcze maski, a w rękach trzymali broń. Diabeł dźgnął widłami tego rosłego.

- Wyrwij do Nowego Targu! - zawołał. - I dziękuj Bogu, żeś żywy.

Żandarm uniósł czerwoną stopę, jakby stąpał po rozpalonej blasze, lecz nie ruszył się.

- Nie strzelaj! - jęknął po niemiecku. Wtedy dobiegł do niego Opiela. Zamierzył się, lecz go nie uderzył, tylko zbliżył do jego twarzy zaciśnięte pięści i zawołał gniewnie:

- Ach, ty sukinsynu! Powinienem cię rozwalić! - Pchnął go tak silnie, że tamten zatoczył się. - Raus! Looooos! - ryknął po niemiecku.

Pierwszy usłuchał go ten pyzaty. Trzymając gacie w garści, ruszył wolno, jak gdyby czekał na serię w plecy, lecz gdy pojął, że nie zamierzają strzelać, wyrwał truchtem, a potem galopem rzucił się do ucieczki. Gacie opadły mu do kolan. Podciągnął je w biegu. Ten drugi biegł za nim równym krokiem. W półmroku zimowego wieczoru widać było ich białe postacie i migające rytmicznie czerwony spody stóp. Biegli tak aż do nowotarskiej drogi. Nagle ten gruby zatrzymał się, obejrzał, a gdy zobaczył, że nikt go nie ściga, ruszył już wolniej. Wnet zginął za kępami krzaków.

Opiela zbliżył się do Bukowego. Zdjął maskę. Twarz jego szarzała w mroku, a oczy połyskiwały groźnie, kryjąc w źrenicach resztki gniewu.

- Udało im się - powiedział szybko. - A wszystko przez tego cholernego Brzegę - dodał, jakby się chciał tłumaczyć. - Zepsuł nam całą robotę. Mieliśmy się na nich zasadzić przy moście. Wtedy nie musieliby w gaciach uciekać do Nowego Targu... - Naraz spojrział łagodniej, uśmiechnął się, ujął Bukowego za obie ręce. - Jędreku, cholernie się cieszę, że cię spotkałem.

- Szkoda, że tak... - Bukowy dokończył gestem zakłopotania. - Ja, bracie, nie mam czasu.

- Dokąd walisz?

- Do Zakopanego.

- O tej porze?

- Mam przed sobą całą noc. Rano muszę być na miejscu.

- Szkoda - powiedział Opiela w zamyśleniu. - Miałem cholerną ochotę pogadać z tobą. Którędy idziesz?

- Na Białkę.

- To się dobrze składa, bo my w tym samym kierunku. Będzie ci różniej.

Bukowy zasepił się. Pomyślał, że to ryzykowne iść z tymi ludźmi. A nuż żandarmi spotkają po drodze kogoś ze swoich, a potem zorganizują pościg.

Opiela trącił go przyjaźnie.

- No, bracie, nad czym się zastanawiasz. Nie bój się, my znamy takie ścieżki, że nikt nas nie znajdzie.

- Nie mam się czego bać - odparł bez przekonania Jędrak.

- To cieszę się. Od Białki będziesz miał już niedaleko.

Spojrzał w stronę swoich ludzi. Ci zrzucali z siebie jasełkowe odzienie. Opadły na ziemię anielskie skrzydła, czerwony kołpak króla Heroda, białe prześcieradła śmiertki. Spod masek ukazały się proste, surowe twarze. Ktoś zebrał to wszystko na jedną kupę i podpalił. A potem ruszyli w drogę.

Szli może godzinę, może dłużej. Bukowy poczuł, że słabnie. Starał się dotrzymać im kroku, lecz nogi stawały się coraz cięższe, a w piersi brakowało oddechu. Zostawał więc w tyle.

- Co ci jest? - zapytał zaniepokojony Opiela.

- Mam gorączkę - odparł niechętnie.

- Człowieku, nie mogłeś wcześniej powiedzieć - zaniepokoił się Opiela. - Mogliśmy cię zaprowadzić do kogoś. Znamy tu ludzi...

- Rano muszę być w Zakopanem - powiedział słabnącym głosem. - A wy nie czekajcie na mnie. Pójdę wolniejszym tempem.

- Bracie, nie mogę cię tak zostawić.

- Głupstwo. Już nieraz byłem w gorszych tarapatach.

- Nie, to mnie nie znasz - uśmiechnął się Tadek. - Odprowadzę cię do Zakopanego.

- Mówię ci, że nie trzeba.

Opiela nie słuchał go dłużej. Zatrzymał ludzi. Powiedział im, żeby doszli do Białki, tam przenocowali, a rano rozeszli się do domów,

- Nie czekajcie na mnie - rzucił na zakończenie. - Ja jutro będę w Nowym Targu, na Kowańcu.

Ludzie ruszyli bez słowa. Nad las wydźwignął się księżyc. Zrobiło się nagle jasno, a śnieg leżał ciężki od blasku. I dalekie góry wyłoniły się nagle, stały na horyzoncie jak świetlisty obłok, Opiela wyciągnął papierosa.

- Zapalisz?

- Nie... Mdił mnie na sam widok papierosa.

- To musisz być porządnie chory. Bukowy nic nie powiedział.

Ciął chłodny wiatr, więc schowali się za drzewa. Opiela w zamyśleniu ćmił papierosa. Nikły oświecenie oświetlał jego wychudłą, ostro rzeźbioną twarz.

- Kursujesz do Budapesztu? - zagadnął po chwili.

- Tak się złożyło... A ty co robisz? Opiela roześmiał się cicho.

- Widziałeś...

- To twój oddział?

- Nie mamy oddziału. Zebraliśmy się tak na ochotnika, żeby wykończyć tego żandarma... Tego wysokiego z końską mordą. Ale oddział można zorganizować w każdej chwili. Morowa wiara. Tylko że teraz zima i trudno się utrzymać. Na wiosnę to pewno pójdziemy w las, bo już dłużej nie można czekać - mówił spokojnym, jakby wyważonym głosem. Wypluł niedopałek. Spojrzał z ukosa na Bukowego.

Ten stał plecami oparty o pień drzewa. Oczy miał przymknięte, oddech chrapliwy i ciężki. Opiela rzucił pocieszająco:

- Nie przejmuj się. Rano będziemy w Zakopanem. Zaraz odpoczniemy chwilę, a potem pójdziemy twoim tempem.

Bukowy skinął tylko głową, lecz po chwili powiedział cicho:

- Nieraz cię wspominałem. Z ciebie był cholerny kozak. I dobrześmy się rozumieli przy cekaemie.

Opiela uśmiechnął się cierpko:

- Wojna jak wojna. To były jednak czasy... Człowiek czuł, że żyje, bo przynajmniej bił się. A teraz, szkoda gadać.

- A po kapitulacji?... Coś robił po kapitulacji?

- No co? Wróciłem do domu, robiłem w warsztatach kolejowych w Nowym Sączu. Zrobili my jeden sabotaż, drugi... A potem ostrzegli mnie, że trzeba, bracie, brykać... Wystarałem się o nową kennkartę i teraz jestem Zdzisław Pazdur. Ładne nazwisko, co? - zażartował.

- Nie szukali cię?

- Jakże by mnie nie szukali... Ale wśród swoich człowiek nie zginie. Robotę zawsze znajdę, bo mam smykałkę. Jakoś się żyje.

Bukowy otworzył oczy, przetarł dłonią rozgrzane czoło.

- Morowy z ciebie kolega - powiedział jakby do siebie. Naraz złapał Opielę za rękaw. - Ty, Tadek, chodźmy, bo czuję, że zamarzam.

Opiela nasunął na uszy wełnianą czapkę. Ruszył pierwszy. Pod jego stopami zachrząścił śnieg.

Szli przez Białkę, Bukowinę, Olczański Wierch. Droga była ciężka, nie przetarta. Szukali więc ścieżek, łączących rozrzucone po groniach i wierchach osady. Księżyc skrył się za nadchodzące na niebo chmury. Świat stał się nagle mroczny i płaski, a droga coraz dłuższa. Bukowy tracił siły. Zdawało mu się, że śni, a we śnie przeżywa męczarnie marszu bez celu i bez końca. Czasem tracił świadomość, dokąd idzie. Najchętniej ległby w mroźnym śniegu i został, jak wyczerpane do kresu sił zwierzę. Ale wtedy wracała świadomość. Machinalnie szukał palcami zaszytego w szwie wiatrówki małego zwitka papieru. To ten strzępek zapisany drobnymi jak mak literami, ten arkusik, który od Budapesztu, zaszyty w pasku Lasaka, przewędrował przez dwie granice, był powodem tego upiornego marszu. "Może w tej chwili nie ma już żadnego znaczenia, żadnej wartości? Może jest po prostu arkusikiem papieru?" - nasuwała się czasem myśl. Wnet jednak zjawiała się inna: "A może właśnie od niego zależy teraz czyjeś życie lub los wielu osób?" Szedł więc z nadludzkim uporem i szedłby zapewne jeszcze dalej, gdyby zaszła potrzeba. Nad ranem minęli Olczę.

- No toś, bracie, prawie w domu - powiedział Opiela, kiedy zatrzymali się na chwilę.

Bukowy podał mu rękę.

- Dziękuję ci, Tadek. Bez ciebie trudno by mi było...

- Głupstwo - uśmiechnął się łagodnie i przyjrzał mu się uważniej. W mroku widział jego zapadłą twarz i oczy płonące gorączkowym blaskiem. - Aleś ty, Jędrrek, zbiedzony - dodał z nutą współczucia. - Musisz się wykurować.

- To przejdzie. A ty... gdzie teraz idziesz?

- Na dworzec. Zaraz odjeżdża pociąg do Nowego Targu.

- No to... jeszcze raz dzięki.

- Nie ma za co. Cieszę się, że cię spotkałem. I wiesz co?... - urwał, jak gdyby stracił wątek.

- Co?... - zapytał Bukowy słabnącym głosem.

- Tak sobie pomyślałem, że gdybyśmy byli razem, rozumiesz, w jakiejś dobrej pace... to moglibyśmy dużo zrobić. No, ale ty wracasz pewno na Węgry.

- Wracam.

- No właśnie... Tak sobie tylko pomyślałem. - Mocniej uściśnął dłoń Bukowego. - Trzymaj się, Jędrzek.

- Cześć.

Opiela odwrócił się, ruszył spokojnym, lekko rozkołysanym krokiem, tak jak chodzą ludzie z gór. Bukowy stał jeszcze chwilę wpatrzony w jego rozplywającą się w mroku sylwetkę. W rozpalonej gorączką głowie snuły się niejasne myśli. Oto znowu odchodzi człowiek, iż którym w niezwyklej okolicznościach krzyżowały się zawite szlaki jego życia. Czy dojedzie do Nowego Targu? Może spotkali się ostatni raz.

Wtem poczuł, że bierze go ziąb. Dygotał cały i szczekał zębami, a na czoło wystąpił mu zimny pot. Chwila bezruchu obezwładniła go. Nie miał sił ruszyć się z miejsca. Oparł się o drzewo, gorącym policzkiem przylgnął do chropowatej kory. To mu sprawiło ulgę. Zastanawiał się, co ma teraz zrobić. Najchętniej poszedłby wprost na Jagiellońską do Twardoszowej i pozbył się przesyłki. Obawiał się jednak popełnić nieostrożność, Postanowił, że do Twardoszowej pośle z przesyłką siostrę. Myśl ta wydała mu się najszluszniejsza. Pójdzie do domu. Tylko ten jeden raz złamie zasadę, że nie wolno zatrzymywać się u rodziny. Jest przecież chory, potrzebuje opieki. Nagłe postanowienie dodało mu otuchy i siły. Ruszył wolno, jakby na nowo próbował kroku, a gdy po chwili wpadł w rytm marszu, skierował się na drogę Pod Regłami.

Ten ostatni odcinek okazał się najtrudniejszy i najdłuższy. Bukowy tracił resztki sił. Nogi mu sztywniały, a całe ciało ogarniała obezwładniająca niemoc. W głowie czuł szum, przed oczyma latały mu świetliste płaty; każda wyniosłość zdawała się być przeszkodą nie do pokonania. Bał się, by nie upaść, więc stawiał ostrożnie stopy, jakby kroczył po cienkim i kruchym lodzie. Zataczał się, ślaniał, tracił poczucie czasu i rzeczywistości; zdawało mu się, że nigdy nie dojdzie do domu.

Wreszcie w szarzyźnie zimowego ranka zobaczył trzy wyniosłe jesiony. Przywitał je z taką radością, z jaką rozbitek wita rąbek wyłaniającego się na horyzoncie łądu.

Już drugi dzień Walek Niebies krążył wokół domu Karpielów jak wilk dokoła owczarni. Czekał, kiedy będzie mógł uderzyć na upatrzoną ofiarę. Poprzedniego dnia, gdy dwaj Niemcy po krótkiej wizycie wyszli z domu Karpielów, Walek zaszedł do nich niby to na pogwarke. Jego pojawienie się nie zdziwiło domowników. Już kilka razy do nich zachodził dopytując się o swoją żonę, Hanusię. Przyjęli go, jak zwykle, z tajonym zniecierpliwieniem i współczuciem. Tym razem jednak nie zapytał o Hanusię. Usiadł w milczeniu pod ścianą, spojrzenie utkwiał w oknie i nagle zapytał:

- Co ci Niemcy chcieli od was?

- Niemcy? - zdziwiła się Karpielka, tęgawa kobieta o dobrodusznym wyglądzie. - No dyc chcieli kupić kilim.

- I kupili?

- Nie, bo nie miałam sposobnego w domu. Ale posłałam Helcię do Marysi od Gutów, a Helcia przyniosła taki, jaki im trzeba...

Walek przypatrywał się jej podejrzliwie.

- To znaczy, żeście im nie sprzedali.

- Dyc ci mówię... Jutro mają przyjść obejrzeć

- Jutro... - powiedział w zamyśleniu. Po chwili wstał i wyszedł bez pożegnania.

Rano był już pod Karpielami. Krążył w bolesnym podnieceniu; raz zachodził przez młodnik od drogi Pod Reglami, to znowu przez krzaki od zamarzniętego potoku. Niby pajęczą siecią oplótł dom dobrze już wydeptanymi ścieżkami. W skłóconych ze sobą myślach powtarzał: "Po coś tu przyszedł, przecie ich dwóch... dwóm nie dasz rady..." Potem pocieszał się: "A może przyjdzie tylko jeden... Tylko jeden..." Wtedy sięgał za serdak, gdzie za paskiem zatknięty miał nóż myśliwski. Kładł dłoń na jego gładkiej rękojeści z jeleniego rogu i jakaś dziwna siła wprowadzała całe jego ciało w chorobliwe dygotanie. Wtedy, jak gdyby w gorączkowym przywidzeniu, przed oczyma przesuwały się te same obrazy: ...Wieżie drzewo z lasu. Koń cały w pianie, dymi, napina spocony grzbiet, a w dali, pod brzegiem, widać już ich dom... Drogę zabiega mu mały Jasiek od Szymoszków. Woła z daleka: "Nie jedźcie haw, stryku! U was Niemcy!" Potem zalany słońcem kamienieć, woda dzwoni pod lodem, kamienie pod śniegiem wyglądają jak przysypane wapnem czaszki. Nagle od domu prowadzą ich troje: matkę, ojca i młodszego brata - Franka. Idą, brnąc w głębokim śniegu, wysoko unosząc nogi, a Niemcy za nimi. Śnieg skrzy się pod zachodzące słońce, że trudno coś zobaczyć. Ojciec, matka, Franek stają plecami do rzeki. Na ich twarze pada zimne światło zachodu. Mrużą oczy, jakby spoglądali gdzieś daleko za gronie. A Niemcom widać tylko przygarbione plecy - ciemne od głębokiego cienia. I nagle ojciec unosi zaciśniętą pięść. Woła coś. Wtedy w jego słowa, jak grzmot usuwającego się piargu, wpada pierwsza seria strzałów.

"A Hanusi między nimi nie było - powtarza szeptem Walek. - Gdzie moja Hanusia?" Nie chce ludziom wierzyć, że Hankę wcześniej zabrali od Tomkowych, a potem zawieźli ją do Czarnego

Dunajca i rozstrzelali z kilkoma innymi ludźmi w lasach pod Chyżnem.

Zdarzyło się to w grudniu, przed Bożym Narodzeniem. Teraz jest styczeń. Słońce już wyżej stoi nad zakutymi w śniegi wierchami, ale ból został ten sam i ten sam żaloszny zamęt w skłóconych myślach.

Stał w zaroślach nad potokiem, uporczywie wpatrywał się w wycinek drogi widoczny między domami. Było tak cicho, że słyszał cienie charczenie wody pod lodem i własny oddech. Naraz za domem Bukowych coś zadzwoniło. Niebies stęzał w oczekiwaniu. Po chwili na drodze ukazał się koń, a za nim gnatki naładowane nawozem. Młody góral szedł z boku wywijając bezmyślnie batem.

Niebies cofnął się w głąb zarośli. Zawiedziony obserwował chwilę przesuwaną się między domami gnatki. Potem wydeptaną przez siebie ścieżyną przeszedł na drugą stronę drogi, pod Księży Las, lecz zanim doszedł do drzew, zatrzymał się gwałtownie. Na pustej drodze, za mostkiem, ujrzał bowiem Niemca. Poznał go. Był to jeden z tych dwóch, którzy dopytywali się u Karpiełki o kilimy. Szedł szybkim, sprężystym krokiem. Jego ciemny mundur odcinał się wyraźnie od białego tła. Walek nie chciał wierzyć własnym oczom.

- Jest sam... sam... sam... - powtarzał uradowany.

Tamten nie spojrzał nawet w jego stronę. Minął dom Bukowych i wnet wszedł do Karpiełki. Niebies tymczasem zawrócił w stronę potoku, skąd lepiej było widać obejście Karpiełków. Wcisnął się w zarośla. W bolesnym wyczekiwaniu obserwował dom.

Było zupełnie cicho, tylko gdzieś daleko, na polach Pod Regłami wciąż dzwoniły gnatki. Przed domem suszyła się bielizna. Sztywne prześcieradła poruszały się lekko, odbijały łagodny blask słońca. Dwa gołębie wabiły się w powietrze, zatoczyły szeroki krąg i usiadły na dachu. Kudłaty pies wałęsał się, obwąchując podmurówkę domu, a za oknem widać było kwitnące pelargonie w doniczkach. Czas się dłużył...

Naraz drzwi zaskrzypiały, dał się słyszeć czyjś niewyraźny głos, a po chwili zza węgła wyszedł Niemiec z pokaźną paczką pod pachą. Walek nie czekał już dłużej. Przeskoczył potok i kryjąc się za zaroślami ruszył w stronę mostku:

Kiedy wspiał się na skarpę i spojrzał na drogę, Niemiec jeszcze nie wyłonił się spoza rosnących przy drodze smreczków. Niebies oparł się o barierę. Popatrzył w dół. W tym miejscu woda niebieskawo przebijała się przez lód, tworząc szkliste zacieki. Bulgotała wśród niewidocznych kamieni. Niebies wolno ściągnął futrzaną rękawicę. Wsunął ją w kieszeń serdaka. Potem położył dłoń na rękojeści noża i wtedy krew jak gorący płomień uderzyła mu do głowy. Przed oczyma zatańczyły szare płyty. Zadygotał. Mocno zacisnął dłoń na rękojeści noża.

Śnieg zachrząścił miąłko pod butami Niemca, lecz Walek nie obejrzał się. Wbił oczy w niebieski naciek lodu. Czekał. Tamten zbliżał się... Niebies najpierw zobaczył jego wydłużony cień na śniegu. Cień przesuwał się szybko i coraz głośniejsze chrząścił śnieg pod stopami Niemca, lecz góral wciąż tkwił lekko przechylony przez barierę. Dopiero gdy wyczuł go tuż za plecami, wyprostował się wolno. Kącikiem oczu ujrzał daszek żołnierskiej czapki i ciemny profil na tle szklatego nieba.

Przepuścił go... Nagle jak fryga błyskawicznie okręcił się wokół własnej osi, skoczył, pewnym chwytem złapał Niemca za twarz, zamknął mu usta, a drugą ręką pchnął nożem w pierś. Niemiec jęknął głucho, szarpnął się, lecz żelazny uścisk zatrzymał go na miejscu. Jeszcze chwilę prężył się, wnet jednak bezwładnie osunął się na pierś Niebiesa. Ten podtrzymał go, powlókł do bariery, jednym szarpnięciem przerzucił przez poręcz. Martwe ciało opadło głucho na zlodowaciałe łożysko potoku. Niebies zsunął się ze skarpy. Chwycił Niemca za nogi i zawlókł pod most. Stał nad nim jeszcze chwilę. Potem z jego piersi wydobył się cichy jęk.

- Gdzie jest Hanusia?... Gdzie Hanusia?

20

Bukowa pracowała gorączkowo: wniosła na górę dwie deski, przybiła je na krzyż do podpór obramowujących wejście na poddasze, potem w łoktusie zносиła siano i ubijała je za skrzyżowanymi deskami. W ten sposób szybko zamaskowała drzwi prowadzące do pokoju Jędrka. Denerwowała się nie tyle samą pracą, co niespokojnymi myślami. Zbliżała się bowiem dziesiąta, a ona o tej godzinie miała być na gestapo. Co chwila ogarniał ją paniczny strach. Co będzie, jeśli z Pałace pošlą kogoś po nią? Przecież nie powie, że musiała najpierw dobrze ukryć syna! Ale nie może go teraz zostawić bez opieki. Przyszedł w takim stanie, że ledwo doczołgał się do progu, a teraz przez grubą warstwę siana słyhać jego chrapliwe rżęzenie i wyrzucane w gorączce okrzyki.

- Co robić? Co robić? - powtarzała w panicznej trwodze. Gdyby była Brońcia! Ba, ale Brońcia poszła do pani Twardoszowej i po doktora. Stała chwilę z bezradnie opuszczonymi rękami, dopiero głośny okrzyk Jędrka wyrwał ją z zamyślenia. Odgarnęła siano, z trudem uchyliła drzwi i przez szparę wcisnęła się na poddasze.

Na odgłos jej kroków Jędrak zerwał się, usiadł na łóżku i wbiwszy w nią nieprzytomne spojrzenie, zapytał nieswoim głosem:

- Gdzie ja jestem?

Podeszła do niego na palcach, położyła dłoń na rozpalonym czole.

- W domu jesteś, Jędrus... W domu - powiedziała powstrzymując łzy.

Jeszcze raz spojrział na matkę, potem opadł bezsilnie na poduszkę. Przymknął oczy. Jego twarz była szara, zbiedzona, oczy głęboko zapadnięte. Oddychał ciężko, a przy każdym oddechu płuca grały mu chrapliwie.

- Brońcia już poszła? - zapytał cicho.

- Nie martw się. Dawno już poszła.

- I zabrała to, co jej dałem?

- Bądź spokojny, Jędrusiu.

- I żeby uważała..

- Bądź spokojny. Ona już wie, co robi. Naraz szerzej otworzył oczy i uważnie spojrzał na matkę.

- Słuchajcie, mamó, ja tu u was nie mogę zostać.

- Nie trubuj się, Jędrusiu - powiedziała płacząco, lecz wnet opanowała wzruszenie i dodała twardziej: - Nie trubuj się. Przyjdzie doktor, zbada cię... A potem... może cię przewieziemy do Zuzaniaków.

- Idźcie do Zuzaniaka i powiedzcie mu, żeby mnie zabrał do siebie.

- Dobrze, Jędrusiu, ale teraz dzień... Mógłby kto jeszcze zobaczyć. Przyjdzie doktor, to uwidzimy.

- Po coście posyłali po doktora? Bukowa załamała bezsilnie ręce.

- Synu, przecie ty ledwo zipiesz. Przyjdzie doktor Wawryszewski. On ciebie zna. Zbada cię, powie, co robić.

Jędrusiu przymknął ciężkie powieki, zapadł na chwilę w odrętwienie. Widać było jak pod kołdrą jego pierś wznosi i opada w przyspieszonym, urywanym rytmie. Bukowa podeszła bliżej, otuliła go, podwinęła rogi kołdry, a potem położyła chłodną dłoń na jego czole. Było rozpalone i mokre od potu.

- Jezusie... Jezusie... - wyszeptała. Łzy potoczyły się po jej rumianych policzkach.

Jędrusiu rzucił się nerwowo, uniósł się na łokciach i, nie otwierając oczu, zawołał:

- Jasiu, skacz! Skacz! Na co czekasz! - Potem opadł na poduszkę i powiedział niewyraźnie: - Żeby nie te kajdanki... żeby nie te kajdanki...

Matka struchlała. Chwyliła wiszący na poręczy łóżka ręcznik, delikatnie wytarła mu twarz.

- Cichoże, synu... cichoże... w domu jesteś... Nic ci się nie stanie - szeptała. Wtem drgnęła, znieruchomiała. Usłyszała bowiem, że na dole drzwi skrzypnęły cienko i ktoś wszedł do sieni. Rzuciła ręcznik, przecisnęła się przez uchylone drzwi, a gdy zgarniała z powrotem siano, z dołu doszedł ją głos:

- Jest tam kto? Jesteście, ciotko?

Poznała głos Walka. Zbiegła szybko na dół. W sieni stał Niebies. Jego osypana ciemnym zarostem twarz była sina od mrozu i nieruchoma, tylko w oczach tlił się obłądny blask.

- Znowuś przyszedł! - ofuknęła go szorstko. - Dyc zrozum, Walek, że tak ciągiem nie możesz przychodzić.

Patrzył na nią ponuro i tępo, jak gdyby jej słowa nie docierały do jego świadomości. Po chwili zapytał stłumionym głosem:

- Nie było tu u was mojej Hanusi? Bukowa zachnęła się gniewnie:

- Panie Boże, zlituj się... przecie tobie zupełnie się w głowie pomieszało. Hanusi nie ma i nie będzie, a ty wracaj do domu, bo nie masz tu czego szukać. Molestujesz ino ludzi i molestujesz.

Walek cofnął się, lecz nie wyszedł. Tylko jego rozpalone oczy na chwilę przygasły.

- Co wam się stało, ciotko? - zapytał trzeźwo, jak gdyby gniew Bukowej przywrócił mu świadomość.

- Co by sie miało stać - odparła gderliwie. - Nic sie nie stało, ino zaraz ide z domu. Przyjdź kiedy indziej.

Walek przechylił nieco głowę, uśmiechnął się żałośnie.

- Ja ino chciałem na gęślikach zagrać. Ogromny żal ścisnął ją za serce, pod powiekami zapiekły łzy.

- Ej, Waluś, Waluś - powiedziała łagodnie - co z tobą będzie... Biednyś ty, Waluś... - Potem skinęła głową. - No, chodź, zagraj se, ale mówię ci, że zaraz wychodzę.

*

W tym czasie od Księżego Lasu do mostku zbliżał się patrol niemiecki; przodem szedł żandarm z psem na smyczy, a za nim dwóch z karabinami przewieszonymi przez ramię. Szli z ociężałą obojętnością, jak gdyby im zbywało czasu i dla rozrywki nadłożyli drogi. Kiedy zbliżali się do mostku, pies, który do tej pory biegł swobodnie przy nodze żandarma, napiął linewkę, z jeżył sierść i zawarczał krótko. Wnet zбочzył z drogi i, mimo nawoływań przewodnika, zaczął złazić do potoku.

- Hans! - zawołał kroczący z tyłu żandarm. - Tam ktoś leży. - Zeskoczył ze skarpy, chciał wyprzedzić psa, lecz ten zaskowytał i rzucił się ku leżącemu pod mostem Niemcowi.

Żandarm ze szlifami podoficera; nadszedł ostatni. Chwilę stali w kamiennym milczeniu. Potem podoficer pochylił się nad trupem, złapał go za ramiona i przewrócił na plecy. Zobaczyli młodą,

przystojną twarz wykrzywioną grymasem przerażenia i na wpół otwarte, siwe oczy. Podoficer zaklął, zamienił z żandarmami zdumione spojrzenie, uklęknął obok martwego. Pies skowytał żałośnie.

- Jeszcze jeden - powiedział żandarm ze szramą na twarzy.

- Znasz go - zapytał podoficer.

- Nie. To pewno ktoś na urlopie.

Podoficer rozpiął płaszcz martwego. Szybkimi, nerwowymi ruchami szukał w bluzie kieszeni. Po chwili wyciągnął portfel z dokumentami, a z portfela książeczkę wojskową.

- Jest - powiedział urzędowym tonem i szybko odczytał: - Franz Johannes Benewein, Leutnant, dwudziesty czwarty pułk strzelców alpejskich z Insbrucku.

- No, to ładnie zakończył urlop - dorzucił żandarm z ryżawym wąsem.

Podoficer spiorunował go wzrokiem. Zaczął kląć.

- Verfluchten... Już czwarty podobny wypadek w tym miesiącu... Znowu nożem i w ten sam sposób. - Podźwignął się i krzyknął: - Na co właściwie czekacie?

Żandarmi spojrzeli po sobie w popłochu. Nikt się jednak nie ruszył, jak gdyby widok martwego oficera odebrał im zdolność działania. Dopiero donioślejszy skowyt psa zwrócił ich uwagę. Pies szarpał się, wspinał, chciał się zerwać. Żandarm popuścił mu nieco linewki. Wtedy pies ruszył w stronę rosnących przy podporze mostka krzaków i z warczeniem dopadł leżącej na śniegu rękawicy. Obwąchiwał ją ze wszystkich stron.

- Mamy ślad! - zawołał podoficer. Podniósł rękawicę z ziemi. Była to zniszczona, połatana, futrzana rękawica o jednym palcu. Podoficer przyglądał się jej uważnie. Potem jeszcze raz dał ją powąchać psu. Ten zaskowytał i rzucił się na poszukiwanie tropu. Odnalazł go bardzo szybko...

Bukowa usiadła na ławie. Wciągała kapce. Ręce jej się trzęsły, kiedy zapinała klamerki. Zerknęła bokiem na Niebiosa. Ten wciąż jeszcze przygrywał na skrzypkach.

- Walek - rzuciła zniecierpliwiona - ja już wnet wychodzę.

Ręka mu drgnęła, smyk osunął się na strunach, a skrzypki wydały jękliwie fałszywy ton.

- Dyc możecie iść. Ja tu jeszcze zostanę.

- Zrozumże, Walek, muszę zaprzeć drzwi. Spojrzał na nią nabiegłymi oleistym blaskiem oczyma.

- To mnie zamkniecie.

- Ej, Waluś, Waluś - westchnęła i nagle zapytała ostro: - Powiedz, po coś ty znowu tu

przyszedeł?

- Ja? - uśmiechnął się żałośnie. - No, dyć po Hanusie...

Bukowa uniosła oczy ku powale z wyrazem zupełnej bezradności. Chciała krzyczeć, pomstować, ale gdy spojrzała na Niebiesa, coś ją zdusiło boleśnie.

- Waluś - powiedziała łagodniej - powiedz mi, ale tak po prawdzie, co z tobą będzie? Mówię ci, zmarniejesz. Zamiast wrócić do chałupy, wziąć się do gazdowania, to ty ino czas przeonaczasz. Lepiej byś przyszedł ku nam, dopomógł, bo przecie wiesz, że my same z Brońcią. Między ludźmi może byś o tym swoim nieszczęściu zapomniał. A tak...

Niebies nie słuchał jej. Uniósł skrzypki do brody, przejechał smykem po strunach.

- Ostaw, Waluś - krzyknęła niemal. - Nie słyszysz, że do ciebie gadam? Mówię ci, ostaw, bo prasnę tymi gęślikami o ścianę. - W głosie jej zabrzmiał bezsilny gniew. Chciała podejść, wyrwać mu skrzypki, lecz w tej samej chwili, za oknem dało się słyszeć ujadanie Buśtyna.

Bukowa wyjrzała, na podwórze. Biały owczarek szarpał łańcuch, wspinał się, szczyrzył zęby. Spozą jasieni odezwał się przeciągły skowyt innego psa. Bukowa struchlała.

- Co to? - zapytała, tknięta złym przeczuciem.

Naraz spoza drzew wyłonił się wilczur, a za nim trzy postacie w hełmach. Bukowa wydała stłumiony okrzyk i uniosła dłonie do twarzy.

- Niemcy!

I nagle czas ruszył przyspieszonym tempem. Niebies rzucił na ławę skrzypki, dopadł drzwi, a gdy znalazł się w sieni, zawahał się, bo Niemcy byli już na podwórzu. Pies skowytał zajadle, żandarmi krzyczeli coś niezrozumiale. Niebies szarpnął drzwi i zasłonił się nimi, ale pies poszedł prosto na niego. Dopadł go za drzwiami. Niebies odrzucił go potężnym kopniakiem. Pies potoczył się przez całą sień, lecz nie ustąpił, rzucił się z jeszcze większą zajadłością. Biegnący za nim żandarm ścigał już z ramienia karabin. Walek wyrwał zza, pasa nóż. Przeorał nim skaczącego mu do gardła psa. Ten ze skowytem upadł na ziemię, maznął ją gorącą krwią i znieruchomiał. Niemiec coś krzyknął, uniósł karabin, ale zanim zdążył wystrzelić, góral runął na, niego z nożem. Tamten zasłonił się karabinem, tak że nóż ześliznął się po lufie. Niebies zatoczył się w głęboki śnieg. Nie upadł jednak, tylko drobnymi krokami przebiegł jeszcze w kierunku węgła i wtedy skosiła go seria z automatu. Runął twarzą w puszysty śnieg i znieruchomiał.

Z izby doszedł rozpaczliwy krzyk Bukowej:

- Jezusie! Jezusie!

Ujadanie, skowyt psów, okrzyki Niemców wyrwały Jędrka z pełnego majaków snu. Zdało mu się, że to, co go otacza, jest dalszym ciągiem sennego koszmaru. Słyszał jednak wyraźnie niemieckie słowa padające twardo jak kamienie. Zerwał się. Był tak słaby, że nogi ugięły się pod nim. Zatoczył

się i chwiejnym krokiem doszedł do okna. W tej właśnie chwili rąbnął automat, jakby ktoś prętem przejechał po żelaznych sztachetach i nagle w niewielkim odcinku okna Jędrak ujrzał padającego Niebiosa. Nie poznał go, lecz zrozumiał, że wokół domu dzieje się coś groźnego. Potem z dołu doszedł nieludzki krzyk matki. Wtedy dopiero zaczął się w popłochu ubierać.

Na dole trzej żandarmi wpadli do kuchni. Na widok skamieniałej z przestachu i bólu kobiety zamarli na chwilę w bezruchu. Bukowa oderwała dłonie od twarzy. Jej wykrzywione krzykiem usta bezgłośnie wyszeptały jedno jedyne słowo: "Jędrus!" Trwało to mgnienie powieki. Nagle podoficer doskoczył do kobiety i pchnął ją kolbą na ławę. Zatoczyła się, zakryła rękami głowę. Na jej barki i plecy posypały się straszliwe ciosy. Jęknęła cicho, osunęła się na podłogę. Żandarm ze szramą na twarzy kopnął ją.

- Wstawaj, ty stara wiedźmo! - ryknął. Jednym szarpnięciem poderwał ją z podłogi.

Bukowa zachwiała się. Opadła na ławę. - Czego chcecie! Czego ode mnie chcecie?

- Milcz! - zawołał podoficer. Rozejrzał się rozbieranymi oczyma po izbie i nagle, jak gdyby ogarnięty szałem, zaczął kolbą automatu zrzucać z półek naczynia. Posypały się skorupy glinianych garnków, zabrzączały blaszane rondle i wnet podłogę zasłoniło szkło i odłamki. Naraz zatrzymał się przed Bukową. Zamierzył się kolbą, lecz napotkał na tak uporczywe spojrzenie, że ramię jego zwisło w powietrzu. Zaklął przez zaciśnięte zęby, a potem zapytał chrapliwym głosem:

- Gdzie twój mąż? Gdzie twoje dzieci? Bukowa wciąż patrzyła na niego pełnymi nienawiści i pogardy oczyma.

- Gdzie mąż? - krzyknął podoficer.

Kobieta milczała. Pchnął ją, a żandarm ze szramą na twarzy doskoczył i uderzył pięścią w twarz. Zalała się krwią, lecz nie powiedziała ani słowa, tylko wciąż mierzyła ich rozplómiętym wzrokiem. Żandarmi rozbiegli się po domu. Podoficer wpadł do białej izby, z wściekłością rozjuszonego zwierzęcia zdierał z łóżek pierzyny i stopy starannie poukładanych poduszek. Ten ze szramą na twarzy wpadł do sieni. Rozejrzał się. Zobaczył wąskie schody prowadzące na górę. Przycisnął bliżej automat i ostrożnie jął wspinać się po trzeszczących stopniach. Bukowa stała w drzwiach. Drżącą dłonią wycierała bezwiednie krew z twarzy, a jej oczy śledziły każdy krok żandarma. "Już po Jędrku" - pomyślała. Przypomniała sobie bowiem, że wychodząc z poddasza nie zdążyła dobrze zakryć drzwi sianem.

Żandarm był już na górze. Zobaczył przed sobą dwie jaśniejące w mroku, zbite na krzyż deski i ścianę z siana. Chciał się cofnąć, lecz w tej samej chwili spostrzegł, że bokiem siano jest odgarnięte, a w głębi znajdują się drzwi. Zrozumiał, że to zamaskowana kryjówka.

- Horst! - zawołał napiętym głosem. - Horst, chodź tu!

Po chwili z dołu odezwał się głos trzeciego żandarma.

- A co?

- Weź tę babę i chodź szybko!

Trzeci żandarm, przysadzisty, o twarzy bezmyślnego barana, pchnął przed siebie Bukową.

- Looosss! - ryknął, a gdy kobieta opierała się, pchnął ją mocno kolbą automatu. - Looosss!

Bukowa wolnym krokiem ruszyła przed siebie. Szła wolno, a jednak zdawało jej się, że nigdy tak szybko nie znalazła się na górze. Tam czekał już na nią ten ze szramą.

- Otwieraj! - warknął i przepuścił ją przed siebie.

- Nie mam klucza - powiedziała wyzywająco. Nie zrozumiał jej. Zaklął plugawie i sam pchnął drzwi. Były zamknięte od wewnątrz. Cofnął się więc, rozpędził i całym ciałem natarł na drzwi. Za pierwszym razem nie puściły. To jeszcze bardziej go rozwścieczyło. Runął więc z ogromnym impetem, aż deski zatrzeszczały, pękły, a drzwi wyleciały z zawiasów. Wpadł do środka, zobaczył rozrzuconą pościel, a przed sobą otwarte okno z firanką wzdętą od powiewu powietrza.

- Uciekł! Uciekł - zawołał do stojącego za nim Horsta.

Bukowa drobnym kroczkiem podeszła do drzwi.

- Jędrus... Mój Jędrus... - wyszeptała bezgłośnie. Widziała na łóżku rozrzuconą pościel, poduszkę z wyciśniętym wgłębieniem spoczywającej niedawno głowy. Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób chory syn mógł zwlec się z pośłania. Patrzyła na falującą w powiewie firankę, na sylwetki biegających i krzyczących coś żandarmów i nagle ogarnęła ją obezwładniająca radość. "Nie złapali go... przynajmniej jego nie złapali - powtarzała w myśli. - Dokąd on pójdzie w taki mróz... Jezusie... dokąd on pójdzie?"

Tymczasem Jędrus już był nad potokiem. Zsunął się ze stromego brzegu. Upadł twarzą w śnieg. Chciał się podnieść, lecz brakło mu już sił. Leżał więc bezwładnie; na rozpalonych policzkach czuł kojący chłód śniegu. Był tak wyczerpany i słaby, że gdy uniósł głowę, a przed sobą zobaczył porośnięty smreczyną brzeg, nie mógł pojąć, skąd się tutaj znalazł. Pamiętał tylko, że skacząc z okna zgubił jeden nie zasznurowany but. Teraz czuł, że bosa stopa piecze go i z wolna drętwieje. Wsparł się na łokciach, próbował podczołgać się do smreczków, lecz gdy przepełznął może dwa metry, znowu opadł bezsilnie.

"Zostanę tu... Zamarznę..." - przemknęła alarmująca myśl. Podniósł się na kolana. Zdawało mu się, że jest ciężki, jakby odlany z ołowiu, a każdy ruch wymaga nieludzkiego wysiłku. Chciał wstać. Na próżno... Znowu zwałił się w miałki, zmrożony śnieg... "To już koniec..." Przestraszył się tej myśli. Zaczął się czołgać. Puszysty śnieg wydał mu się ciężki jak beton, a brzeg - stromy jak niedostępna turnia. A jednak posuwał się metr po metrze, metr po metrze...

Kiedy wreszcie znalazł się na szczycie stromego brzegu, przed sobą zobaczył zasłane śniegiem pole, a w odległości może dwudziestu metrów górala zwałającego gnój z gnatek. Otworzył usta, chciał krzyczeć, lecz głos uwiązł mu w ściśniętym gardle. Uniósł się na kolana.

Wtedy góral zauważył go. Rzucił widły i ruszył ku niemu, brnąc w głębokim śniegu,

- Jędrak! Jędrak! - zawołał zdławionym głosem.

Bukowy osunął się. Nawet go nie poznał. Leżał wtulony twarzą w śnieg i czekał, aż do niego podejdzie. A kiedy uniósł głowę, zdawało mu się, że to cień sunie ku niemu przez białe pustkowie.

21

- Ale pan ma końskie zdrowie, panie Jędrku - powiedziała Twardoszowa. Bukowy uśmiechnął się blado.

- Zdrowie i szczęście - wyszeptał słabym jeszcze głosem. - Bo gdyby mnie Franek Sieczka nie znalazł, dawno bym już wyciągnął nogi.

Dwa tygodnie minęło od dnia, kiedy Jędrkowi udało się uciec żandarmom. Przez ten czas leżał u Zuzaniaków. Pierwszy tydzień walczył ze śmiercią. Teraz powoli dochodził do zdrowia.

- Baliśmy się bardzo o pana - ciągnęła Twardoszowa. - Obustronne zapalenie płuc, to przecież nie żarty. No, ale najgorsze już za nami.

Bukowy przymknął oczy, jak gdyby myślami chciał wrócić do tamtych chwil. Westchnął ciężko.

- Najgorsze za nami - powtórzył bez przekonania. Chciał zapytać o matkę, lecz ogarnął go lęk. Powiedział przeciągle: - Czy ja wiem? Czasem myślę, że lepiej było nie uciekać.

Twardoszowa uniosła ręce gestem zdumienia.

- Niechże pan nie opowiada takich rzeczy. Jest pan młody, dzielny... Całe życie przed panem.

- Całe życie... - uśmiechnął się cierpko - a tu byle Szwab może człowieka zastrzelić na drodze. Jak psa... Po prostu jak psa... Nawet gorzej, bo oni lubią psy.

- Nie - zaprotestowała. - Nie można tak mówić, bo gdyby wszyscy tak myśleli, to już dawno musielibyśmy się poddać.

Bukowy sięgnął po stojącą przy łóżku szklanką gorącego mleka. Pił chwilę drobnymi łykami,

Naraz żywiej spojrział w stronę Twardoszowej.

- Mówi pani, że Antek z Jaśkiem Lasakiem już na Węgrzech. Czy to pewna wiadomość?

- Najpewniejsza w świecie. Inżynier był u mnie przed trzema dniami. W tym samym dniu miał wracać z Lasakiem do Budapesztu.

- To dobrze. Przynajmniej im się udało.

- Wichniewicz chciał przyjść do pana, ale uważałam, że lepiej będzie...

- Oczywiście - przerwał jej Bukowy. - Lepiej zachować ostrożność. A Lasak... jak z jego nogami?

- Miał silnie odmrożone, ale ta nauczycielka z Kosarzysk tak się nim troskliwie zaopiekowała, że szybko wyzdrowiał.

Jędrrek znowu przymknął oczy.

- Przeklęta była ta wyprawa... - powiedział po chwili w zamyśleniu.

- Niech pan nie narzeka. Wyprawa była wspaniała. Odbiliście Lasaka...

- Nie o tym mówię.

- Rozumiem pana - powiedziała cicho. Milczeli chwilę.

Bukowy patrzył w małe okienko warsztatu stolarskiego, w którym ukrywał go Wojciech Zuzaniak. Za oknem w mglistej poświacie leżał zimowy krajobraz. Na pierwszym planie kawał pola pod fioletowym odreflektorów śniegiem, dalej niby smuga cienia, skraj jodłowego lasu, a nad nim w różowej mgiełce skały. W widoku tym było coś kojącego. Jędrrek uśmiechnął się. Twardoszowa, jakby tym zachęcona, powiedziała:

- Ach, zupełnie zapomniałam. Po drodze wstąpiłam do Karpielki. Mają już wiadomości od Brońci.

- Co z Brońcią? - poruszył się nerwowo.

- Siedzi spokojnie u ciotki Honorki w Dzianiszu. Miała szczęście, że wtedy nie było jej w domu.

- A mama? - zapytał cicho Bukowy.

- Mama... - przeciągnęła trwoźnie. - Mama wciąż jeszcze w Pałace na gestapo.

- Żyje?

- Tak... Dostajemy stale grypsy od Ciułaczonej. Bukowy uniósł się na łokciach i z wyrazem udręki spojrział na kobietę.

- Widzi pani... Wyrzucam sobie ciągle, że wtedy poszedłem do domu. Lepiej by było, gdybym

zdechł po drodze...

- Przecież był pan śmiertelnie wyczerpany - rzuciła pocieszająco.

Bukowy usiadł na łóżku; dłońmi zakrył oczy.

- Nigdy sobie tego nie daruję... Nigdy...

- Panie Jędrku - powiedziała łagodnie i delikatnie ujęła jego ramię. - Niechże pan zrozumie, że to wszystko stało się przez Niebiosa.

- Nie - zaprzeczył. - Za Warka nic by jej nie zrobili. To przecież obłąkany. A na górze, na poddaszu znaleźli moje fałszywe dokumenty. To przede mną mama siedzi w Pałace.

Kobieta pogładziła go po ramieniu jak syna.

- Uspokój się, chłopcze... Pan był przecież chory... Cóż pan mógł zrobić?

Bukowy opadł na poduszkę. Jego wychudła twarz ostro odcinała się od białej pościeli. Zapadnięte oczy błyszczały dziwnym światłem. Milczał chwilę, a potem wyszeptał:

- Bo widzi pani... tak strasznie chciałem zobaczyć matkę... Tak strasznie, że to było silniejsze ode mnie.

CZEŚĆ TRZECIA

NIEZNAJOMA Z BARU "BOLERO"

1

Była sierpniowa, deszczowa noc. Wiatr gwizdał ponuro w konarach drzew, a drzewa chwiały się pod naporem nawałnicy. Przez krajobraz pogrążony w mroku, skąpany w strugach ulewy przebiegał się nocny pociąg zmierzający z przygranicznej stacji Rozsnyó do Budapesztu. Koła głucho, rytmicznie dudniły na szynach. Poprzez wycie wichru przedzierał się żałosny gwizd lokomotywy.

W przedziale trzeciej klasy siedziały trzy osoby: Władek Mrowca, starsza kobieta o wyglądzie urzędniczki niższego stopnia, i węgierski chłop - tęgi, z rozlaną twarzą, z oczami ciężkimi od snu. Nad nim na półce piętrzyły się tobołki. Zapewne jechał z towarem na targ.

Mrowca oparł bezwładnie głowę o ścianę wagonu. Na chwilę zapadł w niespokojny półsen. Wnet jednak obudziło go bolesne rwanie w ramieniu. Rana, którą opatrzył prowizorycznie w Rozsnyó, nabrzmiwała teraz bólem i pulsowała. Mrowca zaciskał zęby, żeby nie krzyczeć. Po chwili poczuł nagłą ulgę, a po zdrętwiałej ręce rozlało się niemal błogie ciepło. Był tak zmęczony i wyczerpany z upływu krwi, że nie pojął, iż to rana zaczęła broczyć.

Siedząca naprzeciw Mrowcy kobieta usłyszała głośnie kapanie. Ocknęła się z męczącego odrętwienia. Rozejrzała się z zaciekawieniem. Nagle jej spojrzenie spoczęło na bezwładnie zwisającej ręce Mrowcy. Zobaczyła zalaną krwią dłoń. Cofnęła się gwałtownie i wydała stłumiony okrzyk.

- Proszę pana... proszę pana - dotknęła ramienia Mrowcy. - Co się panu stało?

Władek wzdrygnął się wyrwany z omdlenia. Chwilę wodził nieprzytomnymi oczami.

- Krew - powiedział przeciągle przebudzony chłop. - Pewno jaki wypadek.

- Wypadek - powtórzył bezwładnie Mrowca. - Właśnie jadę do szpitala.

Chłop ziewnął głośno.

- Pewno przy robocie?

Mrowca nic nie odpowiedział. Podniósł się z trudem, lecz był tak słaby, że zatoczył się i upadł ciężko na ławkę. Kobieta zerwała się. Z trwożną zapobiegliwością chciała mu pomóc, lecz Mrowca odsunął ją łagodnie. Zebrał wszystkie siły i ruszył ku drzwiom przedziału.

- Może panu pomóc? - usłyszał za sobą głos kobiety.

- Dziękuję - odparł szorstko.

Szarpnął drzwi, wyszedł na korytarz. Na twarzy poczuł ożywczy wiew wdzierającego się przez nie domknięte okno powietrza i chłodne krople deszczu. Ruszył przed siebie. Korytarz był pusty. W głębi mdłym światłem migotała przyćmiona żarówka. Poszedł w tę stronę. Po chwili znalazł drzwi do toalety. W wiszącym nad umywalką lustrze zobaczył swoją twarz. Przeraził się. Była trupio blada, obca, jak gdyby należała do innego człowieka. "Źle ze mną - przemknęła myśl przez skołataną głowę. - Żeby tylko dojechać do Budapesztu... do Jędrka... Telepes... ulica Telepes... tramwaj sześćdziesiąt siedem..." Oparł się plecami o drzwi i z ogromnym wysiłkiem zaczął ściągać wiatrówkę. Zabrało mu to sporo czasu, gdyż przy każdym ruchu ranne ramię przeszywał wzmagający się ból. Kiedy wreszcie wyswobodził się ze sztywnej od zakrzepłej krwi wiatrówki, otworzył kran, zakrwawioną rękę podsunął pod strugę wody. Potem z rękawa flanelowej koszuli oddał kawałek materiału. Wylał nim dokładnie rękę. Krew jednak wciąż spływała cienką, prawie czarną strugą. "Musiałem oberwać w tętnicę - pomyślał. - Dlatego jestem tak cholernie słaby. Żeby tylko dojechać do Budapesztu... Nie wolno mi zostać po drodze..." Oddał drugi, większy kawałek flaneli i przewiązał nim rękę poniżej rany. Zacisnął jak mógł najsilniej. Krew przestała spływać. Był jednak tak wyczerpany i słaby, że nie miał sił wciągnąć na siebie wiatrówki. Leżała u jego stóp. Nie potrafił nawet schylić się po nią. Targnął nim gwałtowny niepokój. Co się stanie, jeśli ktoś będzie próbował dobijać się do toalety? Zsunął się więc na kolana. W tej samej chwili usłyszał mocne łomotanie do drzwi, a potem niespokojny głos kobiety:

- Proszę pana, co panu się stało? Proszę pana...

- Nic... nic - odkrzyknął słabym głosem. - Zaraz wracam.

Z nadludzkim wysiłkiem wsunął zdrową rękę w rękaw wiatrówki, a potem całą wiatrówkę nasunął na głowę. Szamotał się chwilę, by wbić się w sztywny brezent. Udało się. Rannej ręki nie próbował jednak wkładać w rękaw. Uniósł się z klęczek, podstawił twarz pod nikły strumień wody. To go nieco otrzeźwiło. Potem wytarł twarz chustką i wrócił do przedziału.

Kiedy wchodził, widział jeszcze dwie zamazane twarze i otwierające się usta. Mówili coś do niego, lecz on ich już nie rozumiał. Zwalił się na ławkę, wtulił w swój kąt i zapadł w pełne majaczeń omdlenie. Zbudziło go dopiero mocne szarpnięcie za ramię, a kiedy otworzył oczy, ujrzał nad sobą twarz tej samej kobiety i usłyszał, jakby z bardzo daleka, jej głos.

- Już Budapeszt... Trzeba wysiadać. Przetarł dłonią rozpaloną gorączką twarz, lecz nie podniósł się.

- Budapeszt, proszę pana - powtórzyła łagodnie kobieta.

Pomyślał, że jeżeli teraz nie wstanie, dadzą znać na pogotowie, przewiozą go do szpitala i zaczną się badanie - skąd ten postrzał w ramię? Nie, do tego nie mógł dopuścić.

- Już idę - powiedział.

Wsparł się na zdrowej ręce, wstał z ogromnym wysiłkiem i chwiejnym krokiem skierował się

ku wyjściu.

- A plecak? - usłyszał za sobą głos kobiety. Zatrzymał się. Zaczekał, aż poda mu plecak. Nie miał sił podziękować. Skinął tylko głową, chwycił plecak za ramię i, nie zrzuciwszy go na ramię, ruszył przed siebie. Na szczęście plecak był lekki, niemal pusty.

Nie wiedział, kiedy i jak znalazł się na peronie. Było zimno, zaczął chłodny deszcz. Ludzie szli w kierunku bocznego wyjścia. Wlókł się za nimi. Wszyscy go mijali i zdawało mu się, że stoi w miejscu. Hala dworca była ponura i ciemna. Światła przygaszone. Minał ją z uczuciem ulgi. Po drodze nikt nie zwrócił na niego uwagi. Dopiero przed dworcem zobaczył dwóch żandarmów. Przechadzali się wolnym, miarowym krokiem. Na ich widok skierował się w stronę postojów taksówek. Zdawało mu się, że zmiierają ku niemu. Słyszał tupot ich ciężkich butów, ale nie miał siły odwrócić się. Czekał więc, kiedy dojdą do niego. Tymczasem z boku, jak gdyby z nieprzeniknionej szarżyny, wyłoniła się postać kobiety z przedziału.

- Pan jest chory - usłyszał jej niski głos. - Może pana odprowadzić do punktu opatrunkowego?

- Nie, dziękuję...

- To niedaleko. Tu, na dworcu...

- Dziękuję...

Czekał, kiedy żandarmi zbliżą się do niego, lecz oni, zmyleni towarzystwem kobiety, zawrócili nagle. Widział, jak oddalają się i giną w szarudze, jakby się wtapiali w gęstą mgłę. Odetchnął. Kobieta ujęła go pod ramię.

- Dokąd pan jedzie?

- Ja... do szpitala - rzucił zachowując resztki przezorności.

- Do którego?

- Do Świętego Jana.

- To może ja pana podwiozę.

- Nie... dziękuję.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Jak pan uważa, ale pan ledwo trzyma się na nogach.

- Nic mi nie jest - powiedział jeszcze bardziej szorstko i odpychająco.

W tej chwili podjechała taksówka. Kierowca wychylił głowę znad opuszczonej szyby.

- Proszę, kto z państwa? Kobieta podeszła do taksówki.

- Mam do pana prośbę. Niech pan odwiezie tego pana do szpitala Świętego Jana. I proszę uważać... on bardzo chory.

Taksówkarz wyskoczył z wozu, podbiegł do Mrowcy, pomógł mu wsiąść. Kiedy ruszyli, Władek powiedział cicho:

- Na ulicę Telepes, numer osiemdziesiąt siedem.

Kierowca zwrócił ku niemu zdumione spojrzenie.

- Na Telepes nie ma szpitala.

- To nie szkodzi. Niech pan jedzie na Telepes.

Kierowca przyjrzał mu się bacznie. Naraz na jego twarzy zaigrał figlarny uśmiezek.

- Rozumiem. Ta starsza pani myślała, że pan chory, a pan... - przymrużył porozumiewawczo oko - pan pewno dobrze zahulał.

Władek nic nie odpowiedział. Opadł bezwładnie na oparcie tylnego siedzenia i z wielką ulgą przymknął oczy. Przez chwilę zdawało mu się, że jest jeszcze w pociągu. Powtarzał w myśli: "Żeby tylko dojechać do Budapesztu... do Jędrka... Telepes... Żeby mnie po drodze nie złapali..." Potem nagle zapadł w omdlenie, z którego wyrwał go głos kierowcy:

- Panie... obudź się pan... Jesteśmy na miejscu.

Władek z trudem otworzył oczy.

- Gdzie ja jestem? - zapytał słabym głosem. Kierowca kręcił z niedowierzaniem głową.

- Ale pan się zaprawił... ho... ho... Nawet pan własnego domu nie poznaje.

Dopiero teraz Mrowca ocknął się, przetarł oczy. Za zamgloną szybą taksówki zobaczył znajomy dom Varfalvich. Sięgnął do kieszeni po portfel, wyciągnął banknot i, nie spojrzawszy nań, wręczył go taksówkarzowi. Ten zaczął wydawać resztę...

- Nie trzeba - powstrzymał go Mrowca. Kierowca z jeszcze większym zdumieniem spojrzął na pasażera.

- Pięknie panu dziękuję! - Z nie ukrywaną radością schował dwudziestopengowy banknot do kieszeni. Nie spodziewał się tak wysokiego napiwku. Wyskoczył więc z wozu, otworzył tylne drzwi i z gorliwą uprzejmością pomógł Mrowcy wydostać się z taksówki. - Może pana zaprowadzić do domu?

- Nie... - zaprotestował Mrowca.

- A jednak może... bo pan ledwo trzyma się na nogach.

Mrowca nie miał siły wydobyć z siebie głosu. Zaprzeczył tylko ruchem głowy. Zachwiał się. Drobnymi kroczkami doszedł do płotu i oparł się oń plecami. Nic już nie widział... Przed oczami latały mu szare i różowe płaty, ręka przestała boleć, oładnęła nim ogromna słabość. Usłyszał tylko warkot odjeżdżającej taksówki, a potem wokół zapanowała ciemność i cisza. Stał tak długą chwilę oparty plecami o ogrodzenie, z głową opuszczoną na piersi, z rękami zwisającymi bezwładnie. Nie czuł nawet, że rana znowu zaczęła broczyć, a krew ciężkimi kroplami kapiała na mokre płyty chodnika.

Naraz ogarnął go straszliwy lęk. Zdawało mu się, że wokół niego wszystko szarzeje w sypiący się popiół, a jego ciało nasiąka ołowianym ciężarem. I nagle zrozumiał, że coś się kończy... Jeszcze tylko musi dobrać do domu... Jeszcze oddać Jędrkowi to, co przyniósł z Polski... Jeszcze tylko... Z nadludzkim wysiłkiem wyprostował się. Trzymając się zdrową ręką sztachtet płotu, zaczął wolno przesuwać się ku furtce. Dotarł do niej. Pchnął ją i całym ciężarem wtoczył się do ogrodu. Byłby zapewne runął, gdyby się nie przytrzymał klamki. Zatoczył się razem z furtką i znowu wzdłuż ogrodzenia jął przesuwać się ku widniejącej w dali werandzie. Zdawało mu się, że okna domu są gdzieś daleko, daleko, na końcu niezmierzonej drogi. Parł jednak naprzód krok za krokiem, jak gdyby przedzierał się przez niewidzialną zasłonę. Jeszcze trzy kroki... jeszcze dwa... jeszcze jeden... Już jest przy schodkach prowadzących na werandę. Wtem potknął się o stopień i runął na twarz. Głową uderzył o drzwi. Chciał się podnieść, lecz zanim dźwignął się na kolana, znowu osunął się na stopnie. Leżał chwilę w zupełnym omdleniu. I znowu jasna jak błyskawica myśl przemknęła przez jego umysł:

"Muszę dojść do Jędrka... Muszę..." Podźwignął się na klęczki. Zaczął łomotać w zamknięte drzwi.

2

Jędrzek Bukowy po pełnej nieoczekiwanych zdarzeń wyprawie do Polski w styczniu 1941 roku, kiedy to wraz z Wichniewiczem odbili z pociągu uwięzionego Lasaka, wrócił do Budapesztu i zamieszkał u Ewy Varfalvi. Pułkownik Obertyński zgodził się na to, zwłaszcza że Ewa z wielkim poświęceniem pomagała kurierom w Budapeszcie. Stworzono więc u niej zapasową bazę, gdzie w razie potrzeby nocowali kurierzy udający się w drogę do Polski i łącznicy przybywający do Budapesztu z innych krajów.

Władek Mrowca, wyruszając do Zakopanego, zatrzymał się również u Varfalvich. Nie więc dziwnego że teraz, kiedy znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, tutaj właśnie szukał schronienia.

W nocy, kiedy Mrowca przyjechał do Budapesztu, Ewa miała dyżur w szpitalu, a babci

Varfalvi nie było w Budapeszcie; wyjechała do rodziny do Veszprem. Jędrak Bukowy spał jak zwykle na poddaszu. W głębi nocy obudził go łomot. Ktoś głośno dobijał się do drzwi. Wyrwany ze snu, zbiegł szybko na dół, przeszedł na werandę. Kiedy zbliżał się do drzwi, łomot ucichł nagle. Bukowy zajrzał przez zroszone szyby, lecz nikogo nie zobaczył. Zdziwił się, gdyż przed chwilą słyszał wyraźnie natarczywe dobijanie się do drzwi. Zapalił światło. Podeszedł ostrożnie do drzwi. Chciał uchylić, lecz nie ustąpiły. Pchnął je mocniej, w świetle smugi światła ujrzał leżącego na stopniach mężczyznę. Nie poznał go w pierwszej chwili.

- Kto tam? - zawołał przytłumionym głosem.

Mężczyzna nie odpowiedział. Leżał nieruchomo. W smudze światła widać było jego skulone plecy. Bukowy mocniej pchnął drzwi. Chcąc je otworzyć, musiał tamtego zepchnąć ze stopni. Potem precyzyjnie się ostrożnie przez uchylone drzwi i wy dostał się na zewnątrz. Wtedy targnął nim ogromny niepokój. Po sportowej wiatrówce, spodniach i butach wnioskował, że to ktoś ze swoich. Zdjęty przerażeniem, pochylił się nad leżącym, chwycił go za ramiona, uniósł i odwrócił twarzą do światła. Wtedy dopiero go poznał.

- Władek, Władek... - wyszeptał.

Mrowca zwisał bezwładnie. Jego wynędzniała, twarz była trupio biała, na wpół otwarte oczy nie zdradzały życia, usta nie chwytaly oddechu. Bukowy uniósł go wyżej, nogą otworzył szerzej drzwi i wciągnął Mrówce na werandę. Tutaj położył go na podłodze. Szybkimi ruchami podciągnął wiatrówkę. Wtedy zobaczył zalaną krwią koszulę i rękę przewiazaną flanelową szmatą. Z rany broczyła jeszcze krew.

- Władek... Władek... - szeptał w trwożnym uniesieniu. Ale Mrowca nie reagował na jego słowa. Jędrka ogarnęła panika. Nie chciał uwierzyć, że jego najlepszy przyjaciel nie żyje. Uniósł go, oparł jego głowę o swe ramię i zaczął masować siną twarz. - Władek, co ci się stało?... Władek, odezwij się!... Władziu... - Naraz spojrział w wywrócone, półprzymknięte oczy i zobaczył w nich martwy i szklisty blask. Zrozumiał, że nic go już nie uratuje. Ułożył go na podłodze, a na zboczony krwią brzuch naciągnął sztywny brezent wiatrówki. I nagle ogarnął go straszliwy żal. Objął Mrowcę i zapłakał gorąco, boleśnie...

*

Dzień był mroczny. Chmury kłębi się przewalały się pod dachami, a wiatr targał uchyloną okiennicą. I co chwila słyhać było żalosne staccato deszczu na zamglonej szybie.

Przez małe okno przeciekało na poddasze szare światło słotnego dnia. Na starej kanapie, przykryte kocem, leżały zwłoki Władka Mrowcy. Spod koca wymykał się jedynie ciemny kosmyk jego włosów.

Pułkownik Obertyński położył na stole zniszczone, wytarte portfel. Rozłożył go. Po chwili zaczął wyjmować dokumenty. Czynił to wolno, ostrożnie, jakby się bał, by nie rozpadły się w jego dłoniach. Przeglądał uważnie każdy papierek i odkładał go na bok. Wtem zwrócił się do majora Smygi, który stał za nim i bacznie śledził każdy jego ruch.

- To znaczy - odezwał się przeciągle - miał wyruszyć z Zakopanego we wtorek...

- A dzisiaj mamy piątek - podjął służbistym tonem Smyga. - Przyszedł więc bez opóźnienia. - Przeniósł wzrok na Bukowego, który starannie obstukiwał plecak. - Ciekaw jestem, kto go tak paskudnie urządził... i gdzie?

Bukowy drasnął go ponurym spojrzeniem.

- Przecież pan wie, że to nie spacer po Krupówkach ani po Vaczi...

Obertyńskiego zdziwił nieco zaczepny ton Jędrka. Odłożył na bok ostatni świstek papieru i powiedział jakby do siebie:

- To bardzo dziwne. Ma wszystkie dokumenty, wszystkie rzeczy... Chyba go nigdzie nie zatrzymali.

- Twardy chłop. Przywłókł się ostatkiem sił - wtrącił Smyga.

Bukowy syknął zniecierpliwiony.

- Niepotrzebne mu teraz pana pochwały.

- Jędre... - przerwał mu pułkownik - coś, chłopie, taki rozdrażniony?

Bukowy zachnął się gniewnie. - Cholerny świat... nie widzicie, co się stało?

- W tym cały sęk, że nie wiemy, jak do tego doszło. Przykra historia - rzucił Obertyński. Odsunął na bok dokumenty i przysunął do siebie brudną chusteczkę do nosa zawiązaną mocno za cztery rogi. Zaczął ją ostrożnie odsuptywać. Po chwili wyjął z niej damski, złoty zegarek.

Smyga aż syknął z wrażenia.

- Pan pozwoli - wyciągnął rękę do pułkownika - ja się na tym znam.

Pułkownik bez słowa oddał mu zegarek. Smyga ujął go za misterną, złotą bransoletkę i uniósł pod światło. Przyglądał się ze wzrastającym zaciekawieniem.

- No, proszę - powiedział pełnym podziwu głosem - złoty schaffhausen i do tego damski.

- Naraz zwrócił się do Bukowego: - Czy pan widział kiedyś u niego ten zegarek?

- Nie - odparł Jędre bez wahania.

- To ciekawe - rzucił Smyga z przekazem. - Taki zegarek ze złotą bransoletką kosztuje furę forsy. Skąd mógł się znaleźć przy nim?

- Może chciał zrobić komuś prezent - wtrącił Obertyński. - Może jakiejś kobiecie.

- To niemożliwe - zaprzeczył żywo Bukowy. - Nie stać go było na to.

Smyga jeszcze chwilę oglądał pod światło zegarek.

- Wspaniała jubilerska robota, a sam zegarek najwyższej marki. No, proszę, może właśnie ten zegarek pozwoli nam rozwiązać całą zagadkę.

Bukowy spojrzał ostro w jego oczy.

- O czym pan myśli?

Smyga położył zegarek na stole.

- No, cóż... Ostatnio zdarzało się, że kurierzy na własną rękę przynosili przez granicę...

- Chciał pan powiedzieć "przemycali". Major uśmiechnął się cierpko.

- Można to i tak nazwać... Chociaż w tych warunkach trudno kogoś posądzać o przemyt. Po prostu w Polsce ludzie wyprzedają się z rozmaitych rzeczy, a tutaj dobrze za to płacą...

Bukowy zbladł. W jego oczach zapalił się błysk gniewu.

- To pan nie znał Władka. I jak pan śmie go posądzać? - powiedział wyzywająco.

- Panowie - wtrącił spokojnie Obertyński - nie możemy nikogo posądzać, dopóki cała sprawa się nie wyjaśni. Można jedynie wnioskować, że ktoś z Polski chciał komuś posłać ten zegarek i poprosił Władka, żeby go przeniósł...

- A Władek - wpadł w pół słowa Smyga uczynił to wbrew wyraźnemu rozkazowi, że nie wolno kurierom przynosić nic prócz oficjalnych przesyłek.

Bukowy zachnął się gniewnie.

- Cholerny świat... panie majorze, przecież ja sam prznosiłem dolary dla pana rodziny.

Smyga drgnął. Zmierzył go pełnym wściekłości spojrzeniem.

- Pan zapomina, że to zupełnie inna sprawa...

- To znaczy panu wolno, a kurierowi nie...

- Spokojnie, panowie - wkroczył energicznie Obertyński. - W ten sposób do niczego nie dojdziemy i tracimy niepotrzebnie czas... To trzeba będzie wyjaśnić i wtedy... - urwał w pół słowa,

gdyż właśnie rozkręcił automatyczny ołówek, a z jego środka wyciągnął niewielki zwitek. - O, proszę, mamy szyfry - powiedział z ulgą. Podał zwitek Smydze.

Major zabrał karteczkę i podszedł z nią do okna. Rozwinął ją. Była gęsto zapisana drobnymi jak mak cyframi. Wyjął z kieszeni powiększające szkło i w milczeniu studiował szyfrowany tekst.

Tymczasem Obertyński wstał od stołu, rozejrzał się z zakłopotaniem po poddaszu. Jego wzrok padł na leżące pod kocem zwłoki Mrowcy. Chwilę patrzył na nie oczyma ciężkimi od smutku, potem zwrócił się do Bukowego:

- No tak, Jędrek... Czuję, że będziemy mieli piekielne trudności.
- Największe będzie miała Ewa - powiedział nieco cierpko Bukowy.
- Czy ona zna całą sprawę?
- Musiałem jej powiedzieć, kiedy wróciła z nocnego dyżuru.
- Rozumiem. I co teraz? - Przymknął oczy i w roztargnieniu tarł policzek.

Od okna odezwał się Smyga:

- Wszystko w porządku. Potwierdzenie odbioru pieniędzy i poczty.
- Tylko to? - zapytał Obertyński.
- Niczego więcej nie spodziewaliśmy się.
- Tak, majorze. A teraz musimy zdecydować, co robić dalej.

Smyga rzucił przelotne spojrzenie na zwłoki Mrowcy.

- Ech, ten Władek - powiedział zniecierpliwiony. - Przez cały czas chodził jak naoliwiona maszyna, a teraz narobił nam takiego bigosu...

- Jak pan może tak mówić! - krzyknął Bukowy. Jego twarz stężała w gniewnym grymasie. - Jak pan śmie...

Obertyński położył mu rękę na ramieniu.

- Uspokój się, chłopie...

Przez suchą twarz Smygi przemknął kąśliwy uśmiezek.

- Przepraszam... Ale przecież musimy z nim coś zrobić, a panowie wiecie, jaka teraz sytuacja. Już pół naszej organizacji siedzi w twierdzy w Siklos albo kibluje w Hadiku. Przepraszam, ale ja nie

mam ochoty... - urwał, jakby zrozumiał, że się zapędził.

Bukowy pokiwał z politowaniem głową.

- No tak... pan zawsze się asekuruje, żeby tylko się nie narazić.

Smyga zmarszczył krzaczaste brwi.

- Wypraszam sobie. Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, w jakich tu pracujemy warunkach?

Bukowy uśmiechnął się kpiąco.

- A my w jakich?

- Zresztą - rzucił wymijająco Smyga - mamy tutaj konkretny wypadek i musimy trzeźwo stwierdzić, że sytuacja jest diabelnie trudna.

- I znaleźć z tego jakieś wyjście - wtrącił pojednawczo Obertyński.

Smyga wyczuł w jego głosie wahanie i niepewność. Natarł więc ostro:

- Sytuacja jest piekielnie trudna. Wkopaliśmy się w cholerną kabałę i jak najszybciej musimy się pozbyć...

- Czego, panie majorze? - przerwał mu Bukowy.

Smyga unikał jego wzroku.

- W każdym razie nie możemy wyprawić pogrzebu. Czy pan sobie zdaje sprawę, czym by to groziło? Zaraz sekcja zwłok, dochodzenie, śledztwo... No i zapomina pan, że Władek jest na fałszywych papierach.

Bukowy zacisnął pięści. Zbliżył się do majora.

- Pytam, co pan chce zrobić?

Smyga cofnął się o pół kroku. Posłał Obertyńskiemu spłoszone spojrzenie, jak gdyby u niego szukał pomocy.

- No cóż... Są rozmaite sposoby... Można upozorować wypadek... albo...

- Albo co?

- No, powiedzmy... stworzyć taką sytuację, żeby władze myślały, że utonął.

Bukowy tak mocno zaciskał pięści, aż mu zbieleły knykcie palców.

- Wrzucić do Dunaju, jak ścierwo... To chyba razem z panem.

- Jędrrek! - zawołał ostro Obertyński. - Niech pan się opamięta.

Bukowy zatoczył się, jak gdyby chciał z boku natrzeć na Smygę i uderzyć go, lecz opanował się. Uniósł tylko wysoko zaciśnięte pięści i powiedział przeciągle:

- To taką otrzymuje zapłatę... To tak się mu odwdzięczacie... - Rozpaczliwym ruchem wskazał na zwłoki Władka Mrowcy. - Od trzech lat chodził jak maszyna. Zima nie zima, deszcz nie deszcz, kurniawa nie kurniawa. Jego koledzy siedzą po wszystkich więzieniach Słowacji i Gubernatorstwa, inni gryzą już ziemię, a pan - spojrzał nienawistnie na majora - ot tak, po prostu, do Dunaju... To wy nas jeszcze nie znacie... My górale... Z nami nie przejdzie...

Smyga zbladł, cofnął się jeszcze o pół kroku i nagle powiedział zupełnie innym tonem:

- Przepraszam pana. Może pan mnie źle zrozumiał...

- O nie... dobrze zrozumiałem. Umyć ręce i cześć. Żeby tylko nie mieć kłopotu.

- Bukowy! - rzucił ostro Obertyński. - Pan się również zapomina... Przywołuję pana do porządku. Rozumiem, że jest pan rozdrażniony, ale to jeszcze pana nie zwalnia od subordynacji. I w ogóle - powiedział już łagodniej - wszyscy jesteśmy zaskoczeni i przybici. W tej sytuacji należy działać z rozwagą. Ciekaw jestem, co pan by zrobił na naszym miejscu?

- Ja? - uśmiechnął się żałośnie Bukowy. - Rozumiem, panowie są od wielkich spraw, od planów, strategii, rozkazywania. Ale dziwi mnie, że zamiast zbadać, w jakich okolicznościach Władek został raniony...

- To jest inna sprawa - przerwał mu Smyga.

Jędrrek nawet nie spojrzał w jego stronę. Dokończył :

- ...panowie chcecie się jak najszybciej pozbyć kłopotu. Nie musicie się martwić. Dobrze. Postaram się sam to załatwić.

3

Deszcz padał cały dzień, a wieczorem szybko nastał zmrok. Bukowy stał przy oknie poddasza i z niepokojem spoglądał na widoczny z tego miejsca skrawek ulicy. Czekał na karetkę pogotowia. Krople spływały po szybie, ogród tonął we mgle. Od strony stacji kolejowej dochodziły cienkie, świdrujące gwizdy lokomotyw i drzewa szumiały ponuro. Oto muzyka żegnająca Mrówce.

Bukowy obejrzał się. Zdawało mu się, że ktoś się poruszył. Ale to było złudzenie. Mrowca

leżał martwy. Do tej pory Jędrak (nie mógł uwierzyć w ten nieodwracalny fakt. Władek nie żyje. Miesiąc temu szli razem do Zakopanego, Władek był jak zwykle wesoły. Dowcipkował. W Koprówce zatrzymali się przy szałasach. Mieli tam znajomą słowacką góralkę. Władek zalecał się do niej. A teraz...

Czuł, że żal wzmaga się w nim gwałtownie. Coś go dławi, łzy cieką mu bezwładnie po policzkach. Otarł je dłonią i pomyślał, że Władek nie byłby z tych łez zadowolony. Przypomniał sobie jedną rozmowę z Mrowca. Była zima. W Cichej zastała ich straszliwa kurniawa. Nie mogli tego dnia przejść przez granicę, więc nocowali w zasypanym po dach szałasie. Całą noc spędzili na rozmowie. Pamięta dokładnie, że Władek w pewnym momencie zapytał: "Jędrak, powiedz, kto z nas dłużej pożyje?" Starł się wtedy zbyć go żartem, ale Władek był natarczywy. "Słuchaj - mówił - prędzej czy później capną nas albo zastrzelą. To jest przecież loteria. Uda się albo nie uda. Przecież wiesz, jak ktoś z nas wychodzi z bazy, to inni myślą: wróci czy nie wróci? A ilu już nie wróciło. Co się będziemy bujać. Ja jestem na wszystko przygotowany. Dlatego mogę sobie żartować". A po chwili namysłu dodał: "Jędrak, mam do ciebie jedną prośbę. Zapamiętaj dobrze. Jak mnie wcześniej... rozumiesz... to ty, bracie kup sobie litr dobrego wina, idź, bracie, gdzie w las albo na gronie i nie płacz za mną, tylko wypij i zaśpiewaj, żeby mi tam - wskazał ręką ku górze - weselej było..."

- Żeby mi tam weselej było - powtórzył Bukowy szeptem. Zbliżył się do Mrowcy. Stał chwilę w zupełnym odrętwieniu, potem gwałtownym ruchem odrzucił koc z jego głowy. Długo wpatrywał się w martwą twarz przyjaciela. Zdawało mu się, że śpi. Oczy miał już zamknięte, czoło pogodne, rysy spokojne, a wokół ust mięśnie ułożyły się w półuśmiech, jakby jeszcze po śmierci z czegoś kpił i żartował. - Nie pójdziemy już razem, Władek - wyszeptał Bukowy. - Sam pójdiesz w ostatnią turę przez góry i potoki...

Wtedy na dole usłyszał zajeżdżający samochód. Nakrył z powrotem twarz zmarłego kocem. Zbiegł na dół. W korytarzu natknął się na Ewę. Była w białym kitlu, w czepku sanitariuszki, a na ramiona miała zarzuconą pelerynę. Za nią z noszami szedł Wichniewicz i jakiś Węgier. Obaj byli ubrani jak sanitariusze.

- Wszystko w porządku - powiedziała szeptem Ewa. - Możemy go zabierać.

Wichniewicz podał mu biały kitel.

- Pójdiesz z nami?

- Tak.

Węgier uściskał mu dłoń.

- Jestem ze szpitala Rakos... znajomy siostry Varfalvi.

- Dziękuję panu.

- Nie ma za co. Przesłał mnie doktor Szabolcsay.

Minęli go. Weszli na górę. Bukowy usłyszał głos Ewy:

- Załatwiłam, jak można było najlepiej.

- Dziękuję ci. I przepraszam za kłopot.

- Nie mów tak. Przecież Władek był naszym wspólnym przyjacielem. Jak się czujesz?

- Rozumiesz, że nie najlepiej.

- Rozumiem. Chciałabym ci coś powiedzieć, ale nie mogę.

- Mów. Nie krępuj się.

- Coraz bardziej boję się o ciebie,

- Takie już nasze życie.

- Posłuchaj mnie... czy nie mógłbyś nareszcie skończyć z tym chodzeniem...

- Nie mogę... i nie chcę.

- Mógłbyś to zrobić dla mnie. Żylibyśmy spokojniej...

- To nieprawda. A zresztą teraz nie mogę...

- Trudno... - spojrzała w górę, gdyż na schodach zjawili się Wichniewicz z Węgrem. Znosili na noszach ciało Mrowcy. Schody były bardzo wąskie i spadziste, więc musieli z trudem przeciskać się i uważać, by zwłoki nie spadły z noszy.

Bukowy zarzucił na ramiona deszczowiec.

- Idziemy - powiedział do Ewy. Odwrócił się i pierwszy wyszedł na werandę.

Jechali w milczeniu przez całe, ogromne miasto. Bukowy siedział w karetce pogotowia, obok zwłok Mrowcy. Z drugiej strony ulokował się Wichniewicz. Ćmił w zamyśleniu papierosa.

- Jak myślisz - zapytał cicho - gdzie go rąbnęli?

- Chyba na granicy słowacko-węgierskiej albo już na Węgrzech. Inaczej nie dojechałby do Budapesztu.

- I skąd wziął się przy nim ten złoty zegarek?

- Nie mam pojęcia. Znasz naszą robotę...

Wiesz, że w drodze wszystko może się zdarzyć.

- To bardzo ważne... Bukowy wzruszył ramionami.
- Teraz to właściwie nic już nie ma znaczenia,
- Dla niego tak, ale dla nas... Może być grubsza wsypa.
- Zobaczymy.
- Będziemy musieli iść jego trasą. Na pewno widzieli go ludzie...
- Przede wszystkim Miko.
- Miko i może ktoś na granicy.
- To można sprawdzić - powiedział Jędrak - ale życia mu nie wrócisz...

Chwilę jeszcze jechali wzdłuż wysokiego muru. Naraz karetka zatrzymała się przed szeroką, żelazną bramą. Ewa wyskoczyła z szoferki. Weszła szybko do bocznych, ukrytych w murze drzwi. Po chwili ktoś od wewnątrz otworzył bramę. Karetka wtoczyła się wolno na otoczone zewsząd szarymi murami podwórze. Deszcz szemrał w blaszanych rynnach, wiatr targał samotnym drzewem, wyrastającym z nędznego skwerku. Gdzieś wysoko nad murami paliła się mdlawo słaba latarnia, a w jej blasku podwórze nabierało jeszcze bardziej posępnego wyglądu.

Ktoś otworzył drugą żelazną bramę. Wichniewicz z Węgrem wyciągnęli z sanitarki nosze. Ruszyli w stronę ciemnego korytarza.

- To prosektorium - powiedziała szeptem Ewa.
- Ale nie bój się, załatwiłam, żeby Władka nie tknęli.

Bukowy spojrzał na nią z wdzięcznością.

Korytarz był długi, szary, betonowy, jak tunel. Szli jeszcze chwilę, potem minęli ponurą salę zawałoną surowymi trumnami, wreszcie zatrzymali się w zupełnie pustym pomieszczeniu. I tutaj ściany były betonowe, jak w schronie, a pod sufitem paliła się odratowana żarówka. W jej nikłym blasku twarze ludzi wyglądały jak szare maski.

Wichniewicz z Węgrem postawili nosze na podłodze. Po chwili z bocznych drzwi wyszedł mężczyzna w białym kitlu, jakby od dawna czekał na ich przybycie, rzucił porozumiewawcze spojrzenie w stronę Ewy i nagle zwrócił się do Bukowego:

- To pan jest jego przyjacielem?
- Tak - odparł szeptem, jak gdyby bał się zmącić spokój tego ponurego pomieszczenia.

Mężczyzna nerwowym ruchem poprawił okulary i wyciągnął dłoń.

- Miło mi pana poznać. Doktor Szabolcsay...

- Słyszałem o panu... Chciałbym panu podziękować...

Doktor rozłożył ręce ruchem wyrażającym zażenowanie.

- To zbyt poważna sprawa, żeby dziękować - nerwowym ruchem zdarł z nosa okulary i zaczął je przecierać połą kitla. - Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, jak bardzo się narażamy - mówił cicho, lecz wyraźnie. - Chciałbym wyjaśnić, że jedyny sposób... to uznanie pana przyjaciela za człowieka nie zidentyfikowanego. Czy pan mnie dobrze zrozumiał?

- Tak.

- Niestety nie ma innej rady. - Znowu gest wyrażający zakłopotanie. - Dlatego - zwrócił się do stojących obok - chciałem prosić wszystkich obecnych... Od tej chwili ten człowiek przestał istnieć... Pochowamy go po chrześcijańsku, ale zaznaczam, żeby nikt z państwa nie przychodził już tutaj ani na cmentarz... - to powiedziawszy skończył wycierać okulary i szybkim ruchem nałożył je, jakby dając do zrozumienia, że nie ma już nic do powiedzenia. Skłonił się. Ruszył ku drzwiom, lecz w progu jeszcze raz odwrócił się. - I jeszcze jedno... pamiętajcie, panowie, robię to tylko dla Polaków... - Suchy ukłon i doktor zniknął za drzwiami.

Bukowy pierwszy podszedł do leżącego na noszach Mrowcy. Pochylił nad nim głowę. Inni otoczyli nosze ze wszystkich stron. Stali w milczeniu. Gdzieś za zamkniętymi przed chwilą drzwiami słychać było dziwne dudnienie, jak gdyby ktoś przetaczał ciężkie puste beczki po betonowej podłodze. A potem nastąpiła martwa cisza.

Jędrak przymknął oczy. Chciał się uwolnić od tego posępnego otoczenia. Nagle zdało mu się, że idą z Władkiem przez słoneczne upłazy Wierchcichej. Jest jesień. Jafer czerwieni się na skalnych grzędach, złocą się bujne trawy, kraśnieją skorusy i wiatr sucho szeleści w kiściach kosodrzewiny. I jest szumnie... Światło faliście przetacza się przez wysokie granie, nad którymi kłębią się jasne obłoki... I w tej chwili Bukowy w myśli zanucił piosenkę, którą nieraz śpiewali z Władkiem:

Potoki z Róztoki

Spływojcie, spływojcie,

Kiej umieroł bede,

Piknie mi zagrajcie...

Na drugi dzień pogoda zmieniła się. Był słoneczny dzień. Bukowy miał się spotkać z Obertyńskim na Wyspie Św. Małgorzaty. Szedł boczną aleją wysadzaną starymi topolami. Drzewa puszyły się soczystą, świeżą zielenią. Między pniami widać było skrawek Dunaju, na rzece sunął spacerowy statek. Słysząc było wesołe pogwizdywanie syreny i przytłumioną melodię płynącą z głośnika radiowego. Bukowy szedł zamyślony. Naraz z bocznej alei wyłoniła się znajoma sylwetka Obertyńskiego. Zbliżyli się do siebie, w milczeniu uścisnęli sobie dłonie.

- Kiedy pan wyrusza? - zapytał Obertyński.

- Jeszcze dzisiaj wieczorem, żeby nad ranem przejść granicę.

- Rozumiem... To dobrze, bo bardzo nam zależy na wyjaśnieniu tej sprawy. Radziłbym jednak uważać. Należy przypuszczać, że gdzieś po drodze Władek miał wpadkę, dlatego musi pan być bardzo ostrożny.

Bukowy nic nie odpowiedział. Szli chwilę w milczeniu. Na wystrzyżonych trawnikach kosy poszukiwały pożywienia. Gdzieś w oddali słysząc było przeraźliwy krzyk pawia. I ruda wiewiórka jak płomień przemknęła między zwisami gałęzi. Obertyński kącikiem oczu przypatrywał się Bukowemu. Nie poznawał go. Jędrak był bardzo przybity.

- I jeszcze jedno - zagadnął Obertyński niepewnie - chciałem pana przeprosić za majora. Przyznaję, że zachował się zbyt szorstko...

- Szorstko... - uśmiechnął się cierpko Bukowy.

- Pan go dobrze zna. On już jest taki. Ale muszę panu powiedzieć, że on również bardzo mocno przeżył ten nieszczęśliwy wypadek.

- Lepiej nie mówmy o tym - przerwał mu sucho Bukowy.

- Jak pan uważa. Wiem, że jest pan bardzo przygnębiony. Nie dziwię się. My wszyscy... po swojemu...

- Tak, po swojemu...

Obertyński spojrzał surowiej na Jędrka.

- Może pan chce, żebym komu innemu powierzył to zadanie?

- Nie. Chętnie pójdę, bo już nie mogę wytrzymać w Budapeszcie.

Obertyński dobrał odpowiedni, służbowy ton i zaczął rzeczowo:

- Musi pan sprawdzić całą trasę, wszystkie punkty. Trzeba ustalić, w którym miejscu zdarzyło się to nieszczęście... Do tej pory nie możemy nikogo puszcząć tą trasą. I jeszcze jedno. Jutro z

Zakopanego wyrusza Lasak z jedną bardzo ważną figurą z Warszawy. Powinien pan postarać się złapać ich na trasie i uprzedzić o wpadce. Czy pan mnie dobrze zrozumiał?

- Tak - odparł spokojnie Bukowy.

- A my tutaj - dodał Obertyński - zaczniemy badać całą sprawę na swoją rękę. Najbardziej zagadkowa jest historia z tym zegarkiem, ale tym zajmie się już Wichniewicz.

*

O świcie Bukowy przeszedł granicę pod Rozsnyó. Do wsi było jeszcze pięć kilometrów. Droga prowadziła górzystymi przylaskami. Dzień był pogodny, a leśne ścieżki puste o tej porze. Szedł więc pewnie, bez obawy, zwłaszcza że drogę znał niemal na pamięć. Dopiero przed samą wsią zboczył, żeby okrążyć placówkę słowackiej straży granicznej. Wnet znalazł się przed domem sióstr Novomeskich.

Było jeszcze cicho. Na trawie leżała gęsta rosa. W drzewach śpiewały zięby. Dom tonął w cieniu rzucanym przez kępy starych lip. Bukowy obszedł ostrożnie dom i znalazł się przed małym okienkiem spiżarni. Odetchnął z ulgą. Okienko było zawieszona zieloną makatką: znak, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Zaszedł więc pod drzwi prowadzące do sieni. Zastukał.

Po chwili ktoś wyjrzał przez okno, a potem za drzwiami dały się słyszeć podniecone głosy.

Wkrótce w progu ukazała się starsza siostra Novomeska, Marta. Bez słowa przywitania wpuściła Bukowego do sieni. Dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi, rzuciła wesoło:

- Wszyscy święci! Skąd się pan tu wziął, panie Jędrku?

Bukowy zrzucił z ramion plecak.

- Jestem i nikt mnie stąd nie wypędzi, zanim nie zjem porządnego śniadania - zażartował.

Poczuł się nagle bezpieczny i szczęśliwy, jak gdyby wszedł do własnego domu. W ubiegłym roku, kiedy organizowali z Wichniewiczem nową trasę, u sióstr Novomeskich założyli punkt etapowy. Był to, jak do tej pory, najszcześniejszy i najpewniejszy punkt na całej trasie. Dwie stare panny z godnym podziwu poświęceniem pomagały kurierom, a dom ich stał się przystanią na burzliwych szlakach. Obie zajmowały się kilimiarstwem. W przytulnych, pełnych dziwnych zakamarków pokojach wszędzie stały warsztaty tkackie, krosna. Po kątach pełno było szablonów kilimiarskich, kłębków kolorowej wełny, a w całym domu panowało niezastąpione ciepło, które obie siostry wносиły swym pogodnym usposobieniem. Kurierami opiekowały się jak własnymi synami. Nic więc dziwnego, że zjawienie się ich ulubieńca wywołało wybuch radości i ogólną krzątaninę; Marta pobiegła do kuchni po gorącą wodę, Mela zajęła się przygotowaniem śniadania.

- Coś pan bardzo nam zmizerniał - powiedziała Marta, wysoka koścista kobieta o dobrodusznej twarzy i bystrych, siwych oczach.

- Ostatnio nie bardzo nam się wiedzie - rzucił Jędrek.

Mela, pulchna, okrągła niewiasta, o twarzy młodej dziewczyny i stale śmiejących się oczach, dolewała Bukowemu kawy.

- Tylko proszę jeść... jeść i niczym się nie martwić - zachęcała gościa sepleniąc leciutko.

- U pań człowiek zapomina o wszystkich zmartwieniach - żartował Bukowy. Naraz spoważniał i zapytał: - Kiedy tu był Władek Mrowca?

- Mrowca? - powiedziały niemal jednocześnie i zamieniły ze sobą zdziwione spojrzenia. Marta dodała: - Czy coś się stało?

- Nie - zaprzeczył nazbyt gorliwie. Chwilowo nie chciał wtajemniczać siostr w sprawę Władka. Pragnął tylko uzyskać jak najwięcej potrzebnych im informacji. - Nic się nie stało... tylko chciałbym wiedzieć, kiedy tu był i czy stąd wyszedł?

Marta zwróciła się do siostry:

- Kiedy to było, Melu?

- Zaraz, zaraz - zastanawiała się chwilę. - Chyba w czwartek. Tak, oczywiście. W czwartek był jarmark w Dobszynie...

- A dlaczego pan pyta? - zagadnęła poważnie Marta, utkwivszy w Bukowym zatroskane spojrzenie.

Bukowy wzruszył tylko ramionami.

- A nic... Po prostu chciałem wiedzieć. Czy był zdrowy?

- Najzdrowszy na świecie. I wesoły jak zwykle...

- A kto go przywiózł? - Jak to kto? Miko.

- Kiedy przyjechali?

- Pod wieczór... Może była piąta albo nawet wcześniej.

- Czy nie pokazywał złotego zegarka... takiego damskiego?

Mela zachichotała cichutko.

- Ach, o to panu chodzi. Oczywiście... tylko nie on... To ta młoda kobieta, która z nim była,

miała ten zegarek. Bukowy drgnął.

- To Władek nie był sam?

Marta szerzej rozwarła zdumione oczy.

- Pan nic o tym nie wie? Władek przyprowadził z Polski jakąś młodą, śliczną kobietę.

- Nie - odparł niemal spokojnie - Władek sam przyszedł do Budapesztu.

- To dziwne - wtrąciła Mela. - Coś takiego... Myśmy się też dziwiły. Taka piękna, wytworna, aż trudno było uwierzyć, że wytrzymała tę ciężką drogę. - Przyjrzała się uważniej Bukowemu. - A pan naprawdę nic o tym nie wiedział?

- Nie, nie wiedziałem - odparł pośpiesznie. - A najważniejsze, że nikt o tym nie wiedział w Budapeszcie. Może w drodze przyłączyła się do Władka - dodał w zamyśleniu.

- Nie - zaprzeczyła Marta - bo mówili, że idą od Zakopanego.

- Czy to była jego znajoma? Marta zamyśliła się.

- Nie sędzę. Z zachowania można było wnioskować, że nie bardzo dobrze się znają.

- A ten zegarek... miała przy sobie?

- Zegarek był jej - odparła Marta. - Ale ona chciała go sprzedać.

- Nie, to wcale nie było tak - przerwała siostrze Mela. - Ona najpierw chciała u nas zostawić zegarek, ale my nie miałyśmy wtedy pieniędzy, więc zapytała, gdzie by można go spieniężyć. Mówię jej: "Przecież pani w tej dziurze nie dostanie za niego nawet połowy ceny". Ale ona uparła się i powiedziała do Władka: "Niech pan to jakoś załatwi, bo nie lubię być bez pieniędzy".

- Ciekawe - zastanowił się Bukowy - do czego potrzebne im były pieniądze? Przecież granica pod nosem, a Władek miał zapewne węgierskie pengö...

- Może wydali po drodze? - zastanowiła się Marta. - Zresztą nie mam pojęcia... Dość, że Władek chciał iść do Bohora, no wie pan, do tego handlarza, u którego czasem zmieniacie dolary.

- Wtedy Marta mu powiedziała - wtrąciła żyro Mela - żeby się nie narażał, bo z Bohorem rozmaicie bywa.

- I sama poszłam do niego - podjęła Marta.

- Ale Bohor złapał się za głowę: "Moja pani Novomeska, skąd ja pani wezmę tyle pieniędzy? Z takim zegarkiem niech pani jedzie do Bratysławy".

No i na tym stanęło, że przyniosłam go z powrotem, a ona jeszcze miała pretensje, dlaczego go

nie sprzedałam. Widzi pan, jacy są ludzie.

- Więc nie sprzedali tego zegarka? - zapytał z naciskiem Bukowy.

- Nie. Zdecydowali, że sprzedadzą go po węgierskiej stronie.

- Czy dobrze sobie pani przypomina, jaki to był zegarek?

- Oczywiście - wyprzedziła siostrę Mela. - Przepiękny złoty schaffhausen z cudowną ażurową bransoletką. Wspaniała jubilerska robota.

- To ten sam - powiedział w zamyśleniu Jędrak i zaraz wyjaśnił: - Bo widzi pani, Władek przyszedł do Budapesztu bez tej kobiety, ale z tym zegarkiem.

- A co się z nią stało?

- Nikt tego nie wie. Przyszedłem właśnie w tej sprawie.

- To nieprawdopodobne - powiedziała Marta - bo przecież wyszli od nas razem, jak tylko się ściemniło. Musiało się coś stać w drodze. - Naraz ruchem pełnym zaskoczenia uniosła dłoń do czoła.

- Chryste Panie, czyżby Władek... Czy Władek tego nie wyjaśnił?

- Nie mógł wyjaśnić - powiedział Bukowy ściszym głosem - bo przyszedł ranny i nieprzytomny i zmarł na progu mojego mieszkania...

- O Boże!... - wydały jednocześnie okrzyk rozpacz.

Zapanowało długie milczenie.

- To straszne - powiedziała po chwili Marta. - Taki człowiek, taki dzielny człowiek...

Bukowy przetarł dłonią twarz.

- Przepraszam - zwrócił się do Marty - czy mogłaby pani zatelefonować z poczty do Dobszyny, do Mika?

- Miko jest w drodze - wyjaśniła starsza Novomeska. - Pojechał po Lasaka.

- W porządku. Będę musiał tutaj na niego poczekać.

Wichniewicz umówił się z Molnarem w "Abazii" na placu Mussoliniego. Kiedy zbliżał się do kawiarni, na trasie z daleka zobaczył łysą, starannie wygoloną głowę komisarza węgierskiej policji. Skinął mu ręką i, omijając oblepione ludźmi stoliki, zbliżył się do niego. Molnar przywitał go żartobliwie:

- Pewno znowu masz do mnie jakąś niezwykle ważną sprawę?

- Zgadłeś - rzucił z uśmiechem. - Ale najpierw napijmy się po jednym koniaku i wodzie z lodem, bo piekielny upał.

Molnar skinął głową. Był to niski, krępy mężczyzna o śniadej, wyrazistej twarzy i ciemnych przenikliwych oczach. Pracował w Komisariacie do Spraw Cudzoziemców. Wichniewicz dawno już nawiązał z nim kontakt i dzięki jego przychylności i dla Polaków otrzymywał niejednokrotnie bezcenne informacje. Teraz, kiedy od Obertyńskiego otrzymał rozkaz rozpracowania sprawy Mrowcy, postanowił zacząć od Molnara. Był nieco zbity z tropu, gdyż sprawa była niezwykle mglista. Miał bowiem w ręku jedną jedyną nić - złoty, damski zegarek. Zastanawiał się, jak zacząć rozmowę z Molnarem, wnet jednak doszedł do wniosku, że w toku przyjacielskiej pogawędki znajdzie klucz do głównego tematu.

- Słuchaj, Tibor - powiedział swobodnym tonem - chodzi mi o usunięcie z ewidencji policji papierów jednego z naszych ludzi. Czy da się to szybko zrobić?

Ciężkie, zatroskane spojrzenie Molnara spoczęło przelotnie na twarzy Wichniewicza.

- Spróbuję... - powiedział z rozważą - ale pamiętaj, że czasy się zmieniły. Dali mi już do zrozumienia, że za dużo zajmuję się polskimi sprawami... Nie masz pojęcia, jak się Niemcy wami interesują.

- Rozumiem, ale to bardzo ważna sprawa.

- A co się stało?

- Ważna sprawa. Czy ci to nie wystarczy ?

- Masz rację. Najlepiej jak najmniej wiedzieć, Jak on się nazywał?

- Figurował w ewidencji jako Jan Chrobak.

- W porządku - Molnar wyciągnął papierową serwetkę i drobnym pismem zanotował nazwisko.

Wichniewicz z zadowoleniem stwierdził, że jedną sprawę załatwił bez kłopotów. Chodziło bowiem o usunięcie z ewidencji policyjnej Władka Mrowcy. Zjawił się kelner z dwoma kieliszkami koniaku i z pysznie perlącą się wodą sodową z lodem.

Wichniewicz skinął w stronę Molnara.

- Dzięki, nasz aniele stróżu. - Wypili. - A teraz mi powiedz, czy nie słyszałeś przypadkowo o jakiejś strzelaninie na granicy w okolicy Rozsnyó?

- Te sprawy do nas nie należą - odparł Molnar, - Tym zajmuje się żandarmeria,

- Ale gdybyś się czegoś przypadkowo dowiedział, to bądź tak dobry, i daj mi znać.

- Zastrzelili kogoś z waszych?

- Nie wiem - odparł wymijająco Wichniewicz. - I jeszcze jedno. Interesuje mnie sprawa złotego, damskiego zegarka firmy Schaffhausen. Gdybyś przypadkowo...

- Człowieku - przerwał mu Molnar - za wiele ode mnie wymagasz. To znowu sprawa policji kryminalnej...

- Niekoniecznie. W każdym razie sygnalizuję ci...

- W porządku - uśmiechnął się przyjaźnie komisarz. - A ja chciałbym cię przestrzec, żebyś się teraz jak najmniej pokazywał. Rozumiesz mnie? Nie chciałbyś chyba przesiedzieć się w Siklos albo w Hadiku? I jeszcze jedno, zmień jak najszybciej mieszkanie. Możesz być zameldowany w hotelu, ale mieszkać gdzie indziej.

- Zabawny jesteś - roześmiał się Wichniewicz. - Dawno to zrobiłem.

- To w porządku. Widzę, że jesteś pojętny. Ale, Antek - dodał zatroskanym głosem - uważaj na siebie. Wiesz jak teraz. Wczoraj, na przykład, aresztowali doktora Bako.

- Tego z Izby Handlowej ?

- Tego samego. Domyślałem się, że miał kontakty z wami.

- Bako - powiedział w zamyśleniu Wichniewicz i nagle pomyślał, że ta sprawa może się łączyć z wypadkiem Mrowcy. Bako był jednym z wielu Węgrów, którzy pomagali Polakom. Z racji swego stanowiska w Izbie Handlu Zagranicznego, miał wiele kontaktów z cudzoziemcami i dostarczał Obertyńskiemu cennych informacji, zwłaszcza z terenu Wiednia.

Molnar wychylił resztę koniaku.

- Już muszę iść, stary. I jeszcze raz cię ostrzegam, uważaj na siebie. To rada starego policjanta.

Wichniewicz uściśnął mu dłoń.

- I sądzę, że przyjaciela. Molnar wstał od stolika.

- W porządku - uśmiechnął się porozumiewawczo. - Sprawę ewidencji załatwię. W tych dwóch następnych będę się starał czegoś dowiedzieć. - Skinął mu przyjaźnie. - Trzymaj się, stary!

- A ty miej nas w swojej opiece - żartował Wichniewicz.

Po odejściu Molnara wyszedł z kawiarni i z pierwszej ulicznej budki telefonicznej zadzwonił do pani Bako. Rozmawiał z nią po niemiecku, obawiając się, że telefon może być na podsłuchu. Poprosił ją o spotkanie w ważnej sprawie, dotyczącej jej męża. Nie wspominał ani słowem o rozmowie z Molnarem i udawał, że nic nie wie o aresztowaniu doktora Bako.

Spotkali się na bulwarach, przy hotelu "Vadasz" Kürt".

- Jakie to szczęście, że pan do mnie zadzwonił - przywitała go, gdy usiedli w rzędach krzeseł ciągnących się wzdłuż alei spacerowej.

Była to kobieta w średnim wieku, elegancka i bardzo starannie ubrana. Miała na sobie kostium z szarego jedwabiu i zgrabny słomkowy kapelusik. Wyglądała jednak na bardzo przygnębioną, a jej piękne, migdałowe oczy nosiły ślady płaczu. Po kilku słowach przywitania dodała poważnie:

- Szukałam pana w całym Budapeszcie. Dzwoniłam do hotelu, ale powiedzieli mi, że pan wyjechał. Chciałam się koniecznie z panem skomunikować. Pan już wie, oczywiście, co się stało.

- Tak. Dowiedziałem się przed godziną.

- Czy pana też szukają?

- Chwilowo nie, ale na wszelki wypadek nie nocuję w hotelu.

Pani Bako westchnęła żałośnie.

- Ach, panie Antku, nie ma pan pojęcia, co ja przeżywam.

- Rozumiem panią... Właśnie chciałem panią zapytać, w jakich okolicznościach aresztowali męża?

- To było zupełnie nieoczekiwane. Rano przyszli jacyś dwaj cywile i powiedzieli, że zabierają go na przesłuchanie. Żadnych wyjaśnień, ale ja domyślałam się, że to w związku z Polakami. Przecież niedawno aresztowali Szczypińskiego i księdza Gorędę. On się z nimi często spotykał. Pan zresztą najlepiej wie, jak on wam pomagał.

- Wiem. Ale czy to ma związek z jakąś konkretną osobą?

- Nie mam pojęcia. Dzwonili z prokuratury, że jest nakaz aresztowania. Zaraz skontaktowałam się z adwokatem. Teraz czekam na jego odpowiedź.

- Dziwna historia. Pani mąż miał przecież znakomite kontakty z wpływowymi osobistościami w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Jestem ogromnie zaskoczony. Niech mi pani powie - zapytał spokojnie - czy nie było w ostatnich dniach jakichś okoliczności, które by wskazywały...

- Ach - westchnęła - zapomniałam panu powiedzieć, że zaraz po aresztowaniu męża przyszła do

mnie jakaś Polka. Ogromnie się przeraziłam. Nie chciałam jej wpuścić do mieszkania.

- Kto to był?

- Przypuszczam, że nikt z tutejszych uchodźców. Świetnie ubrana, elegancka, bardzo przystojna. Chciała koniecznie zobaczyć się z moim mężem.

Wichniewicz drgnął, lecz nie dał poznać po sobie zaskoczenia.

- Mówi pani, że bardzo ładna i świetnie ubrana?

- Tak - potwierdziła skwapliwie. - Ja znam się na tym. Mówię panu, to co miała na sobie, pochodziło z najelegantszych magazynów. Przecież wasze panie nie mają na to pieniędzy.

- Tak... - mruknął w zamyśleniu. - A czy nie podała swego nazwiska.

Pani Bako rozłożyła ręce.

- Pan wybaczy, ale byłam tak zaskoczona, że zapomniałam zapytać. Pan sobie wyobraża moją sytuację... Przyznam się, chciałam się jej jak najszybciej pozbyć. Skłamałam, że mąż na jakiś czas wyjechał z Budapesztu.

- A ona?

- No cóż, to ją bardzo zmartwiło.

- O nic więcej nie pytała?

Pani Bako jęła miąć białe jedwabne rękawiczki.

- Właśnie... zupełnie zapomniałam. Pytała o kogoś z Polaków. O jakiegoś Morawca, Morowca...

- Może o Mrówce - podsunął Wichniewicz.

- O, właśnie - odetchnęła z ulgą - o jakiegoś Mrówce. Tak, na pewno Mrowca. - Naraz na jej twarzy odbiło się zakłopotanie. - I niech pan powie, czy dobrze zrobiłam?

- A co pani powiedziała?

- Po prostu, żeby się zapytała o niego w barze "Bolero".

- Dlaczego właśnie w "Bolero"? Pani Bako uśmiechnęła się niepewnie.

- No tak... u barmanki... bo mój mąż zostawia! tam często wiadomości dla różnych Polaków. - Spojrzała pytająco. - Czy może zrobiłam jakieś głupstwo?

Wichniewicz odparł po chwili namysłu:

- Trudno... już się stało. Wszystko zależy od tego, kto to był. I jeszcze jedno - zapytał - jakim językiem rozmawiała z panią?

- Po niemiecku - odparła bez zastanowienia, - A mówiła znakomitą niemczyzną...

- A czy wspominała może o złotym zegarku?

- O zegarku? - zdziwiła się kobieta. - Nie... Na pewno nie.

6

Bar "Bolero" otwierano o godzinie dziesiątej.

Przed dziesiątą Wichniewicz znalazł się na ulicy Dorotea. Miał jeszcze trochę czasu, więc skręcił w boczną ulicę i po chwili był już na naddunajskich bulwarach. Miasto tonęło w mroku. Od kilku miesięcy zarządzono w Budapeszcie zaciemnienie. Od rzeki szedł chłodny powiew. Po drugiej stronie, na tle rozgwieżdżonego nieba rysowała się poszarpana sylwetka Królewskiego Zamku. Samochody sunęły wolno, rzucając na jezdnię sine światło z zamalowanych na niebiesko reflektorów.

Wichniewicz starał się uporządkować sprawy związane z tajemniczą śmiercią Władka Mrowcy. Za każdym jednak razem napotykał nieoczekiwane trudności. Wszystko gubiło się w niejasnościach i domysłach. Domysłem było również kojarzenie aresztowania doktora Bako z wypadkami mającymi - jak przypuszczał - miejsce na granicy słowacko-węgierskiej. A mimo to zastanawiała go zbieżność faktów. Władek wrócił do Budapesztu w piątek. Dwa dni później, w niedzielę, aresztują doktora Bako. W tym samym dniu w mieszkaniu doktora zjawiała się tajemnicza Polka mówiąca znakomicie po niemiecku i stara się odnaleźć doktora. Gdyby to miało jakikolwiek związek ze sprawą Mrowcy, Wichniewicz mógłby sobie pogratulować, że ma wyjątkowe szczęście.

Spojrzał na zegarek. Było pięć po dziesiątej. Zawrócił więc i szybkim krokiem udał się na ulicę Dorotea. Przed wejściem do baru przywitał go wbity w wyzłoconą liberię szwajcar.

- Sługa uniżony pana inżyniera. Dawno pana u nas nie było. - Obdarzył pierwszego gościa zawodowym uśmiechem i pchnął przed nim kryształowe drzwi.

Wichniewicz po marmurowych schodach wszedł do niewielkiego hallu. Tutaj wyrósł przed nim kierownik sali. W czarnym fraku z białym, błyszczącym gorssem wyglądał jak angielski lord. Skinął z godnością głową i zapytał:

- Czy pan inżynier życzy sobie stolik?

- Dziękuję. Chwilowo siadę przy barze.

Znowu uklon i zapraszający gest ręki. Wichniewicz wszedł do niewielkiego baru. Panował tu półmrok. Błyszczały tylko lustra w gablocie z trunkami i butelki połyskujące wszystkimi odcieniami barw. Spozza baru uniosła się tęgawa blondynka. Na jej twarzy zjawiał się szczerzy uśmiech.

- Co za gość, co za gość!... Co się z panem dzieje? Był pan u nas chyba przed potopem. Czym mogę służyć?

Wichniewicz usadowił się wygodnie na barowym stołku.

- Jeżeli się pani ze mną napije, to proszę dwa koniaki.

- Z panem, panie inżynierze, z największą rozkoszą. - Z zawodową zręcznością napełniła dwa kieliszki i podsunęła dwie szklanki wody z lodem. - Co się z panem działo? - powtórzyła pytanie.

- Jeżeli pani powiem, że od ostatniego pobytu w barze przespałem cały czas, to i tak pani nie uwierzy.

- Pan jak zwykle dowcipny... i miły...

- To dzięki pani... bo w zasadzie jestem tępy i ponury.

- Żartuje pan... Jest pan najmiłszym z naszych gości...

Tak upłynęły pierwsze minuty na wymianie nic nie znaczących słów, półuśmiechów, półżartów. Z tej rozmowy można było jedynie wnioskować, że Wichniewicz jest tutaj mile widzianym i cenionym gościem. Wkrótce przy barze zjawily się inne postacie - para młodych ludzi wpatrzona w siebie z uniesieniem pierwszej miłości, stary lowelas z monoklem w oku, samotny mężczyzna w typie sportowego bożyszczka.

Wichniewicz pił już trzeci koniak. Z rosnącym niepokojem rzucał spojrzenia ku drzwiom, w których miała się zjawić tajemnicza, piękna Polka. Upłynęła godzina. W sąsiedniej, dansingowej sali dyskretnie grały dwa fortepiany, a na parkiecie z wytworną nudą snuły się pary. Oczekiwana kobieta nie zjawiała się.

Wichniewicz przeniósł się w kąt baru i wygodnie rozsiadł się w fotelu. Powoli tracił nadzieję. Miał już zamiar wyjść, kiedy nagle w drzwiach ukazała się młoda, samotna kobieta. Pani Bako nie myliła się, była bowiem bardzo ładna i bardzo wytwornie ubrana. Wysoka, szczupła, o rasowej sylwetce i długich zgrabnych nogach. Włosy kasztanowate, skóra śniada, oczy ciemne i jakby lekko przymglone zadumą. Ruchy miała płynne. Opanowanym, zwolnionym krokiem podeszła do barmanki.

Wichniewicz wstał i zbliżył się do bufetu. Nie spuszczał z niej oczu. Kobieta spojrzała chłodno na barmankę i zapytała najpłynniejszą niemczyzną:

- Przepraszam, czy mogłabym zostawić u pani list dla pewnego Polaka?

- Dla kogo, jeżeli można zapytać - zagadnęła barmanka przyglądając się bacznie przybyłej.

Kobieta spokojnym ruchem wyciągnęła z torebki list i podała go barmance.

- Tu pani ma nazwisko.

- Ach tak... - powiedziała uprzejmie barmanka. - Pan Władysław Mrowca?

- Tak - odparła sucho kobieta. - Gdyby pani była tak uprzejma...

Barmanka posłała pytające spojrzenie w stronę Wichniewicza. Ten lekko skinął jej głową.

- Bardzo proszę - powiedziała z namysłem - ale ja, niestety, nie znam takiego pana.

- Nie zna pani pana Mrowcy? - zdziwiła się kobieta.

- Nie. Ten pan tutaj nigdy nie przychodził... Ale - dodała z wyszukaną uprzejmością - jeżeli pani na tym zależy, mogę przechować ten list.

Kobieta zawahała się. W jej ciemnych, zaćmionych lekkim smutkiem oczach drgało przez chwilę światło. Wyciągnęła rękę po list, lecz nie odebrała go.

- Sama nie wiem... - powiedziała cicho, jakby do siebie. Z kłopotu wybawiła ją barmanka.

- Chwileczkę, proszę pani. Jest tutaj jeden Polak, może on zna tego pana - rzuciła z uśmiechem i spojrzała w stronę Wichniewicza. - Panią inżynierze...

Wichniewicz przybrał postawę najobojętniejszą, na jaką było go w tej chwili stać, i zbliżył się do kobiety.

- W czym mógłbym pani pomóc? - zapytał po polsku.

W ciemnych oczach kobiety pojawił się jaśniejszy błysk.

- Ach... to pan Polak - powiedziała zaskoczona.

Wichniewicz uśmiechnął się zachęcająco,

- Jak pani słyszy i widzi... - skłonił się z wyszukaną elegancją i wymienił nazwisko, pod którym znano go w barze: - Antoni Pasierbowicz... - a widząc w jej oczach niezdecydowanie, znowu zagadnął z właściwą sobie uprzejmością: - Czy ma pani jakieś kłopoty?

- Nie, nie - odparła nieco szorstko i nagle opanowała chwilowe zakłopotanie. Spojrzała bystro na Wichniewicza, jakby chciała go otaksować, i dodała pospiesznie: - Po prostu szukam jednego znajomego... I chciałam zostawić dla niego list.

- Można wiedzieć, jak się nazywa?

- Mrowca - powiedziała krótko.

Władek Mrowca występował w Budapeszcie pod nazwiskiem Chrobak, więc Wichniewicza zdziwiło, skąd ta kobieta zna jego prawdziwe nazwisko. Może знаła Władka wcześniej? Nie miał czasu na rozmyślanie.

- Mrowca?... - powtórzył udając, że stara się sobie kogoś przypomnieć. - Zaraz, zaraz... coś, kiedyś słyszałem o takim... Ale, przepraszam - zapytał podstępnie - kto to właściwie jest? Nieznajoma przyjrzała mu się nieufnie.

- Po prostu uchodźca.

- A czy nie ma pani jego adresu?

- Gdybym miała, nie szukałabym go listownie.

- Oczywiście - uśmiechnął się z zażenowaniem. - Widzi pani, chciałbym pani pomóc... Ja doskonale orientuję się w tutejszych kręgach polskich i znam sporo ludzi. Gdyby pani bliżej określiła...

Oczy kobiety przygasły, a jej twarz nabrała surowego wyrazu.

- W takim razie, dziękuję panu. Był pan naprawdę bardzo uprzejmy - skinęła mu głową i odwróciła się.

- Mrowca - powiedział głośno Wichniewicz, chcąc ją koniecznie zatrzymać. - Czy to nie przewodnik z Zakopanego?

Zatrzymała się gwałtownie.

- Tak. Jego właśnie poszukuję.

- Widzi pani, dopiero teraz sobie przypominałem. Oczywiście, Władek Mrowca, znakomity przewodnik. Wiele o nim słyszałem.

- Ale czy zna go pan osobiście?

- Nie - odparł pośpiesznie - ale znam wielu zakopiańskich górali i, gdyby pani na tym zależało, mógłbym...

- Tak - przerwała mu w połowie zdania - bardzo mi na tym zależy. Niech pan się z nimi skontaktuje. Byłabym panu bardzo wdzięczna. I to jak najszybciej, bo zależy mi na czasie.

W tej chwili wyczuł w niej ogromną nerwowość i napięcie. Zrozumiał, że połknęła rzucony haczyk. Wskazał na dwa stojące w kącie baru fotele.

- Bardzo by mi było miło, gdyby się pani ze mną czegoś napiła, a ja postaram się zrobić dla pani wszystko, co w mojej mocy.

- Pan jest naprawdę bardzo miły, ale dziękuję, czeka na mnie taksówka.

- To przecież drobnostka... Pani pozwoli, zaraz ją odprawię. - Ruszył w kierunku drzwi, lecz ona go zatrzymała.

- Nie, dziękuję panu. Muszę wracać. Jestem solidnie zmęczona. - Delikatnym ruchem ujęła jego dłoń. - W takim razie, jeszcze raz bardzo pana proszę, gdyby pan mógł dowiedzieć się czegoś o Mrowcy albo skontaktować mnie z nim, to proszę do mnie zadzwonić.

- Lepiej by było, gdybyśmy się wieczorem spotkali.

- Dobrze - odparła z namysłem. - Możemy się spotkać w tym barze... powiedzmy, o wpół do jedenastej, a na wszelki wypadek zostawię panu telefon. Dwadzieścia pięć trzysta szesnaście.

- Chwileczkę... Dwadzieścia pięć trzysta szesnaście - zapisał pospiesznie w notesie. - Mam nadzieję, że potrafię tego Mrówce odszukać.

- Byłabym panu bardzo wdzięczna, a tymczasem do zobaczenia.

- O, przepraszam - zatrzymał ją łagodnie - a kogo mam prosić do telefonu?

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Krystynę Hemerling. Zapamięta pan?

- Oczywiście. Chyba do końca życia - zażartował.

Krystyna skinęła mu głową. Odeszła tym swoim wolnym, opanowanym krokiem. Kiedy zniknęła za drzwiami, Wichniewicz ruszył za nią. Przez kryształowe szyby widział jej wysmukłą, zgrabną sylwetkę przemierzającą hall, a potem zstępującą bez pośpiechu ze schodów. Zszedł do wyjścia i ukrywszy się za drzwiami, obserwował ulicę. Krystyna stała chwilę na chodniku. Wnet jednak zjawiał się samochód. Podjechał wolno. Nie była to jednak taksówka, lecz bardzo elegancki wóz marki alfa-romeo. W wozie siedział starszy mężczyzna. Z tej odległości Wichniewicz zobaczył tylko jego wyraźny profil, wymykające się spod kapelusza siwiejące włosy, biały kołnierzyk i ciemną marynarkę. Mężczyzna otworzył drzwi samochodu. Krystyna usiadła obok niego i po chwili samochód szybko ruszył w kierunku placu Vörösmarty'ego.

Wichniewicz stał jeszcze chwilę w zamyśleniu.

- Krystyna Hemerling - powiedział szeptem.

Restauracja "Guel Baba" znajdowała się przy niewielkim skwerze u przyczółka budziańskiego mostu Małgorzaty. Z letniego pawilonu roztaczał się szeroki widok na Dunaj, Parlament i plac Bema, na którym wznosił się pomnik uwielbianego przez Węgrów generała. Wichniewicz, który umówił się o dziewiątej z Molnarem, nie podziwiał jednak pomnika. Popijał w skupieniu czarną kawę i z dreszczykiem myślał o czekającej go rozmowie.

Wczoraj po rozstaniu z Krystyną Hemerling udał się na pocztę i w specjalnej książce telefonicznej sprawdził, że podany przez nią numer należy do pensjonatu "Duna" przy ulicy Damjanicha. Rano pojechał na znaną mu dobrze ulicę i u dozorczy dowiedział się, że pensjonat należy do pani Melindy Hoff, wdowy po radcy cesarsko-królewskim, rodowitej wiedenki, posiadającej jednak obywatelstwo węgierskie.

Z tymi wiadomościami przyszedł na spotkanie z Molnarem. Nie czekał na niego długo. Molnar zjawił się z pięciominutowym opóźnieniem i jako człowiek punktualny tłumaczył się złym połączeniem tramwajowym.

- Nie szkodzi - uspokoił go Wichniewicz. - Najważniejsze, mów, jakie masz dla mnie wiadomości.

Molnar chustką wycierał spocone czoło.

- Piekielny upał - powiedział wesoło - a ty każesz mi myśleć. Czy nie mogłeś poczekać do wieczora ? - Nie, stary.

- No więc - zaczął poważnie - sprawę usunięcia z ewidencji tego człowieka załatwiłem, jak powiedziałem. W sprawie zegarka nic nie wiadomo. W Budapeszcie w ciągu doby kradną prawdopodobnie dziesięć zegarków, a jeżeli chodzi o strzelaninę na granicy, to telefonowałem do jednego tajniaka z żandarmerii i, niestety, też kłapa. Po prostu nic o tym nie wiedzą.

- Masz u mnie butelkę najlepszego tokaju.

- Dziękuję. Wolałbym wypić z normalnym człowiekiem zwykłą wodę sodową.

- I postawię ci najwytworniejszą kolację u Gundla, jeżeli poświęcisz ten dzień dla mnie.

- Pasuję - rzekł stanowczo komisarz. - Dzisiaj jestem zavalony własnymi sprawami.

- Nie denerwuj się - uspokoił go Wichniewicz. - Ja zawsze mam nosa, Tibi. W tym wypadku chodzi o bezpieczeństwo kilku dobrze ci znanych i przyjaznych osób, a może i twoje...

- Może! - zachnął się Molnar. - Ty lepiej dbaj o swoje sprawy. Mną się nie przejmuj.

- Chcesz, żeby nas wszystkich posadzili w Siklos?

- O mnie bądź spokojny. Ja mam dobrą asekurację.

- No, nie wiadomo... - przymrużył porozumiewawczo oko. - Wobec nich niejedno masz na sumieniu. A ta robota jest dla ciebie stworzona i ma pewne przyjemne strony. Otóż - zaczął żartobliwie - chodzi o to, żebyś śledził pewną piękną, ba, bardzo piękną kobietę, która podaje się za Polkę, a jest... jeżeli się nie mylę... - Urwał na chwilę i dodał poważniej: - W tej chwili nie mogę ci powiedzieć, jakiej jest narodowości. Dość na tym, że mówi po niemiecku, jak gdyby kończyła Heidelberg albo berlińską Hochschule...

- Wykluczone - przerwał mu rozpaczliwym gestem, - Człowieku, za wiele ode mnie wymagasz.

- A jeśli ci powiem, że prawdopodobnie przez nią aresztowano doktora Bako...

- To niemożliwe.

- Właśnie że bardzo możliwe. Rozmawiałem z panią Bako i, wyobraź sobie, ta kobieta zaraz po aresztowaniu zjawiała się w ich mieszkaniu.

- To jeszcze nie dowód.

- Zaraz, zaraz... Dodam ci, ale o tym zaraz zapomnij, że przez nią również stracił życie nasz człowiek, którego wczoraj usuwałeś z ewidencji.

Molnar zwrócił na Wichniewicza swe bystre spojrzenie.

- Jesteś tego pewny?

- Gdybym był pewny, tobym cię nie prosił...

- Rozumiem. - Molnar rozłożył szeroko ręce. - Stary, ty mnie coraz bardziej zaskakujesz. - Naraz przeciął dłonią powietrze, jak gdyby zdecydował się na wszystko. - Do grobu mnie wpędzisz... No, mów, o co ci chodzi.

Wichniewicz uśmiechnął się rozbrajająco.

- No proszę... wiedziałem, że na ciebie zawsze można liczyć. - Potem nagle ściszył głos. - Ona mieszka w pensjonacie "Duna" na Damjanicha. Musisz ją wziąć pod obserwację... w jaki sposób to już twoja sprawa. Chciałbym jednak wiedzieć, co robi w Budapeszcie i z kim się kontaktuje?

- I jeszcze jakich używa perfum? - zażartował Molnar.

- Tego nie wymagam - odpowiedział wesoło Wichniewicz. - W każdym razie przed dziesiątą muszę się z tobą spotkać, bo potem mam z nią randkę w "Bolero".

- Ho, ho... - Molnar pokręcił z podziwem głową - uwodzisz!

- Coś w tym rodzaju. Uwodzę służbowo, dla dobra sprawy.

W tym samym dniu po południu Miko z Lasakiem przyjechali do sióstr Novomeskich. Bukowy oczekiwał ich z ogromną niecierpliwością. Kiedy tylko weszli do domu, odciągnął ich do drugiego pokoju i z miejsca zapytał zaniepokojony:

- A gdzie ten ważny gość z Warszawy?

- Został w Zakopanem - odparł Lasak. - Coś się pokiełbasiło. Mówił, że nie może ryzykować, bo jest przerwana łączność radiowa z Budapesztem. Czeka na nawiązanie łączności.

Bukowy zasępił się. Zastanowiła go zbieżność zerwania łączności z wypadkiem Władka Mrowcy. Po chwili zwrócił się do Mika.

- Ty przewiozłeś Władka z tą kobietą. Czy Władek nie mówił ci, co to za jedna?

- Władek nic nie mówił, a ja o nic nie pytałem - odparł spokojnie Miko.

- Czy ona jechała od początku?

- Tak... - zdziwił się kierowca. - Zabrałem ich spod Wychodnej.

- To znaczy razem przekroczyli naszą granicę?

- W każdym razie przyszli razem od Wychodnej.

- Nic ci się nie wydało podejrzane? Miko uśmiechnął się pogodnie.

- Człowieku, tyle już rzeczy przy was widziałem, że niczemu się nie dziwię. Mogę tylko powiedzieć, że kobieta była pierwszej klasy. Przystojna, elegancka i jakaś taka nie wasza.

- Co przez to rozumiesz?

- No... inna... To można było od razu poznać. I ubrana inaczej. Żebyś widział, jaką miała wiatrówkę i jakie buty! Ja się na tym znam. Wasi ludzie chodzą w starych rzeczach, a ona wszystko miała pierwszorzędne. I do tego była bardzo pewna siebie.

- Jak to wyczułeś?

- Nie musiałem wyczuwać. Widziałem. Dała mi, bracie, pięćdziesiąt koron. Widać, że jest ładowana

- No dobrze, a o czym oni mówili po drodze? Miko roześmiał się.

- Znasz, bracie, Władka. Jak zobaczy dobrą sukienkę, to chory. Bajerował ją przez całą drogę...

Zalecał się do niej.

- A ona?

- Śmiała się z niego. Dobrze się bawiła.

- A o jakichś ważniejszych sprawach nie rozmawiali?

- Mówili coś o pani Twardoszowej, ale dokładnie nie pamiętam. Jak się prowadzi wóz, to trudno zwracać uwagę na co innego.

- O pani Twardoszowej?... - zamyślił się Bukowy.

Lasak, który do tej pory w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, wtrącił nieoczekiwanie:

- Ja też coś o niej słyszałem.

- O kim? - zapytał Bukowy.

- No... o tej kobiecie. Nazywa się Hemerling...

- Coś o niej słyszał?

- Pani Twardoszowa pytała mnie, czy nie spotkałem Władka z nią w drodze.

- Hemerling? - zdziwił się Bukowy. - Jesteś pewny, że tak się nazywa?

- No jasne... Krystyna Hemerling.

- Czy to jakaś cudzoziemka?

- Człowieku - zaśmiał się Miko - ona lepiej mówi po polsku niż ty.

- Ale nazwisko...

- Mało macie Wagnerów, Weberów, Schulzów i Müllerów w Polsce? Hemerling taki sam dobry Polak jak inni. A ona do tego kobieta pierwsza klasa. Mówię ci, Jędrzek, jakbyś ją zobaczył, tobyś tylko gębę rozdziawił...

Bukowy złapał Lasaka za ramię.

- Ty, Jasiek, to bardzo ważna sprawa. Jesteś pewny, że pani Twardoszowa wysłała ją z Władkiem?

- Na mur... Przecież by mnie nie pytała, czy spotkałem ją w drodze.

Bukowy niezdecydowanym ruchem uniósł dłoń do czoła i przejechał palcami po włosach.

- To ciekawe. I nie tak proste, jak wam się zdaje.

Lasak trącił go żartobliwie.

- A dlaczego tak wypytyjesz?

- No właśnie - powiedział przeciągle Bukowy. - Bo Władek wrócił do Budapesztu bez niej, a po drodze został postrzelony.

- Władek?... - powiedział Lasak stłumionym głosem.

- I nie żyje - dodał Bukowy.

Zamarli na chwilę w bolesnym zdumieniu. Potem Bukowy krótko opowiedział im o zdarzeniach, które miały miejsce trzy dni temu.

- To straszne - wyszeptał przybity Miko. - Taki człowiek... Taki przyjaciel...

Lasak zacisnął wargi aż do bólu.

- A ona?

- Nie wiem. Właśnie w tej sprawie wysłał mnie stary. I dziwi mnie, że na trasie właściwie wszystko w porządku. Doszli do tego miejsca spokojnie. Potem wyszli w stronę granicy.

- To może postrzelili go na granicy? - wtrącił Miko.

- Prawdopodobnie, bo Władek przyszedł z pocztą. Jedna tylko sprawa wydaje mi się podejrzana - w Budapeszcie nic nie wiedzieli o tym, że on ją prowadził.

- Mówiłem ci, że łączność radiowa była zerwana.

- Ale od kiedy?

- Tego nie wiem. Może właśnie ona to spowodowała... - powiedział w zamyśleniu Lasak.

9

O dziewiątej wieczorem Wichniewicz czekał na Molnara w winiarni hotelu "Vadasz Kürt."

Sala była zatłoczona ludźmi. Na podium grała cygańska kapela. Tęgi primasz przymknął orzechowe oczy i w błogim rozmarzeniu ciągnął smykem smętną cygańską melodię. Cymbalista, jak

prestidigitator, uderzał pałeczkami w struny, wydobywając z nich perliste tony, a chudy kontrabasista o twarzy hinduskiego fakira przebierał w sennej zadumie palcami po grubych jak postronki strunach. W kącie, przy stole, podochocone towarzystwo zgodnymi głosami śpiewało rzewną piosenkę...

Wichniewicz co chwila spoglądał na drzwi, przez które przewijali się nie znani mu ludzie. Wreszcie kilka minut po dziewiątej na tle oszklonych drzwi zobaczył starannie wygoloną głowę Molnara. Komisarz ujrzał go od razu i szybko zbliżył się do stolika.

- Konam z pragnienia - powiedział siadając przy Wichniewicz. - Jeżeli w tej chwili kelner nie przyniesie mi dużego szprycera, to zemdleję.

Wichniewicz wytwornym ruchem zatrzymał przechodzącego obok kelnera. Zamówił dla Molnara podwójny szprycer i nachyliwszy się, niecierpliwie zapytał:

- Jakie rezultaty?

Molnar uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Miałeś rację, ta Krystyna Hemerling to klasa... Warto było za nią pospacerować.

- Tibi, mów, bo umieram z ciekawości.

- Z ciekawości przyjemnie byłoby umrzeć. Ja tymczasem umieram z pragnienia.

- Nie żartuj.

- Mój stary, o poważnych sprawach trzeba mówić wesoło.

- O właśnie... na to tylko czekam.

- A więc - zaczął Molnar, lecz w tej samej chwili zbliżył się kelner z tacą pełną napojów i na stoliku postawił wielki szprycer w pięknie zroszonej szklance. Molnar chciwym ruchem ujął szklankę i jednym tchem wypił całą jej zawartość. - Cudowne! - mlasnął z zachwytem. - Nie zamieniłbym tego szprycera nawet na Krystynę Hemerling.

Wichniewicz syknął zniecierpliwiony.

- Tibi... mów, bo cię trzasnę.

- Po pierwsze - rzucił komisarz bez wstępu - nie jest zameldowana, a jak ci wiadomo, każdy cudzoziemiec w ciągu dwudziestu czterech godzin powinien zgłosić się do naszego biura.

- To było do przewidzenia.

- Po drugie... przed południem między dziesiątą a jedenastą udała się taksówką na plac Vörösmarty'ego i wstąpiła do niemieckiego biura podróży "Mitteleuropa Reise Büro" i tam przez pół godziny siedziała w gabinecie wyższego urzędnika, niejakiego Huberta Hausnera...

- Niemca?

- Nie. Hausner jest obywatelem węgierskim, pracującym od kilkunastu lat w tym biurze. Sprawdziłem wszystko dokładnie. Często wyjeżdża do wiedeńskiej centrali, jak również do innych niemieckich miejscowości. Prowadzi dział propagandy.

- Widziałeś go?

- Oczywiście, bo po półgodzinnej rozmowie wyszli razem z budynku.

- Jak ten facet wygląda?

- Elegancki starszy pan...

- Włosy przyprószone siwizną - przerwał mu Wichniewicz. - Bardzo starannie ubrany w angielskim stylu, okulary w złotej oprawie i wóz marki - jeżeli się nie mylę - alfa-romeo.

- Jesteś genialny - cmoknął z podziwem Molnar. - Ale powiedz, skąd ty to wiesz?

- Prosta sprawa. On ją wczoraj przywiózł do "Bolero", a potem czekał na nią. Jedno mnie tylko zastanawia, skąd ona go zna?

- Tego jeszcze nie wiem. W każdym razie są w dobrej komitywie, bo zawiózł ją do... no, zgadnij!

- Nie mam pojęcia.

- Do państwa Bako.

Wichniewicz chlasnął dłonią w krawędź stołu.

- Tego się nie spodziewałem. Czego ona tam szukała?

- Po prostu doktora Bako.

- Ciekawe... Przecież pani Bako już raz odprawiła ją z kwitkiem.

- Widocznie bardzo jej zależy na tym spotkaniu.

- Sprawdziłeś?

Molnar uśmiechnął się wyrozumiale.

- Człowieku, nie byłbym starym policjantem, gdybym nie poszedł do pani Bako w twoim imieniu. Powiedziałem, że nie chcesz jej narażać. Jednym słowem wymyśliłem dobrą bajeczkę, ale nie wiele od niej się dowiedziałem. Ona jest bardzo zastraszona. Powiedziała mi tylko, że pani Krystyna Hemerling przyprowadziła Hausnera jako dowód swej niewinności. Rozumiesz, Węgier

samym wyglądem wzbudzający zaufanie. Ale pani Bako nie dała się nabrać, powtarzała w kółko, że mąż wyjechał w sprawach służbowych i do tej pory nie wrócił.

Wichniewicz zabębnił palcami na krawędzi stolika.

- To zastanawiające...

- W jakim sensie?

- Obala częściowo nasze przypuszczenia, że doktor Bako został aresztowany z jej powodu. Bo jak wytłumaczyć fakt, że powtórnie udała się do niego?

- Może przez niego ma nadzieję znaleźć kontakt z waszą organizacją?

- Tak... - powiedział Wichniewicz w zamyśleniu - to istotnie jedna z możliwości. Dopóki jednak nie będziemy wiedzieli, kto to jest Krystyna Hemerling, wszystko jest tylko domysłem. - Powolnym ruchem przysunął do siebie kieliszek z nie dopitym koniakiem i spojrzał pytająco: - To wszystko, czego się o niej dowiedziałeś?

Komisarz uśmiechnął się tajemniczo.

- O nie. Po wizycie u doktora Bako pojechali do Komitetu Polskiego, gdzie pani Hemerling starała się wyrobić papiery uchodźcy i pytała o możliwość zameldowania się w Budapeszcie.

. - O, to ciekawe - zawołał Wichniewicz. - Z jakim skutkiem?

- Rozmawiałem z Banachowiczem. Powiedział mi, że uprzedzono go o jej obecności w Budapeszcie.

- To ja to zrobiłem - wtrącił pośpiesznie Wichniewicz.

- Domyśliłem się. Banachowicz wytłumaczył jej grzecznie, że starania o papiery powinna zacząć od przedstawienia ludzi, którzy mogliby poświadczyć jej tożsamość. Wtedy ona powołała się na ciebie.

- Brawo. Widzisz, Tibi, jakie wzbudzam zaufanie. I jeszcze czego się o niej dowiedziałeś?

- Resztę dnia poświęciła na zakupy. Odwiedziła najdroższe magazyny w okolicach Vaczi. Można więc sądzić, że jest dobrze nadziana. A jeżeli chodzi o perfumy, to używa "Mikado" Chanel. - Przymrużył porozumiewawczo oko i uśmiechnął się cierpko: - Powiedz, czy jesteś ze mnie zadowolony?

- Niezupełnie - zażartował Wichniewicz. - Miałem nadzieję, że przy sposobności wylegitymujesz ją i przekonasz się, jakimi posługuje się dokumentami. Molnar rozłożył ręce, udając zakłopotanie:

- Wybacz, nie otrzymałem od ciebie takiego polecenia.

- W takim razie otrzymasz je obecnie.

- Żartujesz.

- Przeciwnie. O dziesiątej mam się z nią spotkać w "Bolero". Ty tymczasem będziesz uważnie pilnował, kiedy ona wyjdzie z baru, podejdziesz do niej i po prostu wylegitymujesz ją.

Molnar oniemiał na chwilę. Potem spojrzał chłodno na Wichniewicza i zaśmiał się drwiąco.

- Człowieku, cały dzień straciłem dla ciebie. Popełniłem już dwa przestępstwa: pierwsze, że w ogóle z tobą rozmawiam; drugie, że pracuję - jako policjant - przeciwko sobie, i jeszcze trzecie, bo dawno już powinienem cię wsadzić do paki. - Uniósł szklankę ze szprycerem i skinął w stronę Wichniewicza: - A tak szczerze mówiąc, to będziemy siedzieć razem.

- Ale dostaniemy się na karty historii - zakpił dobrotliwie Wichniewicz. Zerknął na zegarek. - Na mnie już czas, Tibi. Zjaw się za pół godziny pod "Bolero". Liczę na ciebie.

Molnar skrzywił się żartobliwie.

- Stary, ty naprawdę za wiele ode mnie wymagasz.

Wichniewicz posłał mu jeden ze swych najmielszych uśmiechów.

- O tym będziemy mieli czas porozmawiać we wspólnej celi. Cześć! Czeka na mnie jedna z najciekawszych kobiet, jakie w życiu spotkałem.

10

Czekał już pół godziny.

Siedział w kącie baru przy stoliku. Na sali w smugach zmieniających się świateł snuły się pary, przez kotarę ze złotego muślinu przenikały tony dwóch fortepianów. Znakomity duet "Dorrit and George" wybijał smętnie rytm modnego slow-foxa "So much ladies love you...", wprowadzając tańczących w nastrój błędnego rozmarzenia, a przy obłożonym barze barmanka Gabi rozlewała kolorowe alkohole do kryształowych kieliszków. Wypił już dwa koniaki, które lekko zamąciły mu w głowie. Teraz postanowił napić się kawy. Nie czekając na kelnera, podszedł do baru.

- Podwójną czarną, Gabi - powiedział nieco markotnym głosem.

Barmanka przymrużyła porozumiewawczo oko.

- Nie przychodzi?

- Taki już mój los - zażartował. - Całe życie czekam... I nie wiem na co.

- Jeżeli to dama, która tu wczoraj była, to warto poczekać - uśmiechnęła się i podała mu kawę.

W tej samej chwili ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się, drgnął mimowolnie. Za nim stała Krystyna Hemerling. Dotyk jej dłoni był łagodny i jakby ufny.

- Przepraszam pana za spóźnienie - powiedziała cicho.

- Nie ma za co. Ja tu i tak codziennie przychodzę - rzucił nonszalancko. - Bardzo się cieszę, że pani się zjawiała. Mam dla pani ciekawe wiadomości.

Krystyna rozejrzała się znacząco, dając do zrozumienia, że w obecności ludzi nie chce z nim rozmawiać. Zrozumiał ją.

- Mam tu stolik - wskazał ruchem głowy. - Czego się pani napije?

- Dziękuję. Na nic nie mam ochoty. Zresztą czekają na mnie... Chciałam tylko...

- Rozumiem - przerwał jej i zabrawszy z bufetu kawę, skierował się do stolika. - A może jednak wypije pani moją kawę? - zapytał, kiedy już usiedli.

- Nie, dziękuję. Pan jest bardzo miły. Chciałam tylko zapytać... - spojrzała znacząco.

Wichniewicz ochłonął z chwilowego zażenowania i teraz już swobodnie, tonem nieco żartobliwym, powiedział:

- Widzi pani, chciała pani wczoraj uciekać, a tymczasem ja w ciągu jednego dnia odnalazłem Władka Mrowcę.

W jej ciemnych, nieco przymglonych oczach, zapaliły się jasne ogniki.

- To wspaniale. A gdzie on jest? - W szpitalu.

- W szpitalu? W jakim szpitalu?

- Tego, niestety, nie mogę pani powiedzieć. Jest ranny, a do tego ma jakieś trudności. Prosił mnie, żebym nikomu nie mówił...

- A co mu jest? - zapytała z niepokojem w głosie.

- Ma postrzał w ramię.

- Czy coś groźnego?

- Nie. W każdym razie tak mi powiedział lekarz.

- Pytał o mnie?

- Oczywiście. Bardzo się ucieszył wiadomością od pani.

- To dziwne... dlaczego nie chce się ze mną spotkać?

- Nie mam pojęcia. Domyślam się, że po prostu boi się. Jest pewno w tarapatach. Pani chyba rozumie. Otrzymał postrzał przechodząc granicę...

- Ale go nie złapali?

- Nie. Udało mu się uciec i przyjechać do Budapesztu.

Krystyna łypnęła nieufnie w stronę Wichniewicza.

- A pan... ciekawa jestem, w jaki sposób pan go odnalazł? - zapytała chłodno.

Wichniewicz był przygotowany na to pytanie.

Uśmiechnął się jakby do własnych myśli i odparł przeciągle:

- Widzi pani, ja mam tu dobre kontakty. W tym wypadku, wybaczy pani, że nie wyjaśnię pani wszystkiego.

Jej śniada twarz nagle stężała, oczy zmatowiały.

- To pana sprawa. Ale mnie zależy, żeby jak najszybciej spotkać się z Mrowcą. Mam do niego niezwykle ważną sprawę. On sam zresztą wie dobrze o tym...

- I ja się domyślam - rzucił wyzywająco. - Niestety nie mogę pani wytłumaczyć, dlaczego Mrowca nie chce ujawnić miejsca swojego pobytu.

- Przecież pan mówi, że jest w szpitalu. W szpitalu każdego można odwiedzić.

- Oczywiście - uśmiechnął się porozumiewawczo. - Tylko nie wiadomo, czy nie jest obserwowany.

- Ach tak... - wyszeptała w zamyśleniu, a potem zagadnęła szorstko: - Pan wybaczy, ale nie mogę zrozumieć, że pan, który go nie znał, tak łatwo go odszukał, a tymczasem ja... - Utknęła na chwilę, a potem dorzuciła jeszcze chłodniej: - Jemu powinno tak samo jak mnie zależeć na tym, byśmy się jak najszybciej skontaktowali.

- Jemu oczywiście zależy... wywnioskowałem to z rozmowy... ale wolałby, żeby się pani skontaktowała przez kogoś postronnego. Wyczuwam, że nie chce pani narażać...

- Mnie? - spytała napiętym głosem.

- Czy pani czuje się tutaj zupełnie bezpieczna? Krystyna chwilowe zmieszanie zatuszowała przelotnym grymasem ust.

- Tak... A dlaczego pan pyta?

- Bo widzi pani - powiedział z wyrozumiałym uśmiechem - ja przypadkowo wstąpiłem dzisiaj do Komitetu na placu Kalwina i rozmawiałem z panem Banachowiczem. Powiedział mi, że pani powoływała się na mnie...

- Ach, tak - przerwała mu nieco zakłopotana - przepraszam pana, że nie porozumiałam się z panem wcześniej...

- Przecież nic się nie stało. Będzie mi bardzo miło, jeżeli będę mógł pani pomóc.

- Bo, widzi pan, pan jest jedynym Polakiem, którego tutaj spotkałam.

- A Mrówce... czy zna go pani od dawna?

- Władka? O, proszę pana, on przecież uczył mnie jeździć na nartach...

- To pani zna dobrze Zakopane - wtrącił z uśmiechem.

- Znakomicie. Przyjeżdżałam tam każdej zimy. Cudowna miejscowość, a Władek cudowny chłopiec. Taki prawdziwy...

- I dziwi się pani, że nie chce pani narażać - wrócił do poprzedniej myśli, bojąc się, by Krystyna nie skierowała rozmowy na inne tory. - Niech pani zrozumie, wyczuwam, że on znajduje się w niebezpieczeństwie.

Krystyna odsunęła się lekko i z dystansu objęła spojrzeniem Wichniewicza.

- Przepraszam pana - w głosie jej znowu zabrzmiał ten szorstki, jak gdyby przeznaczony do samoobrony ton - pan stale powtarza: "wyczuwam", "zdaje mi się", "jeśli się nie mylę", a ja uważam, że pan coś przede mną ukrywa.

Wichniewicza zaskoczyła ta nagła zmiana w jej głosie i w wyrazie twarzy. Uczynił nic nie znaczący gest ręką i rzucił z uśmiechem:

- Niestety, myli się pani. Zrobiłem dla pani, co było w mojej mocy, i chętnie służę pani...

- Dziękuję panu za to wszystko, co pan dla mnie zrobił - powiedziała jeszcze bardziej oschle. - Ale sądzę, że nie może mi pan pomóc. Postaram się... - wstała szybko, zgarnęła ze stolika torebkę i rękawiczki.

Wichniewicz zatrzymał ją spokojnym, lecz stanowczym ruchem.

- Widzę, że nie ma pani do mnie zaufania.

- Przepraszam, ale... właściwie nie znam pana,

- I ja pani - uśmiechnął się cierpko - a mimo to chciałbym pani pomóc, bo widzę, że pani jest w ciężkiej sytuacji.

- To bardzo miło z pana strony, jednak naprawdę dziękuję. Może jakoś sama dam sobie radę.

Wichniewicz zrozumiał, że w tej misternej grze ona bierze nad nim górę. "Kuta na cztery nogi - pomyślał. - Wyczuła mnie i stara się wycofać". Nie mógł jej jednak puścić. Postanowił zagrać ostatnią kartą. Wolnym ruchem sięgnął do kieszeni i palcami wyczuł chłodny, ciężki metal.

- Pani znów się niecierpliwi - powiedział opanowanym głosem - a ja tymczasem mam dla pani niespodziankę. - Zaryzykował. Nie wiedział, jaki związek może mieć złoty zegarek z jej osobą, domyślał się jednak, że skoro Mrowca przyniósł go z tej tragicznej wyprawy, Krystyna powinna coś o nim wiedzieć. Szybkim ruchem wyciągnął zegarek i pokazał jej z daleka.

Krystyna w pierwszej chwili cofnęła się lekko, lecz wnet opanowała się i wyciągnęła rękę. W tym odruchowym geście stygła na chwilę, a cała jej postać wyrażała zdumienie i niepewność.

- Skąd pan go ma? - wyszeptała.

- Władek przesyła go pani.

Krystyna odetchnęła lekko, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Dlaczego pan nie pokazał go wcześniej ?

- Ach, jaka pani niedomyślna! - rzucił już wesoło. - Ja do tej pory nie byłem pewny, czy pani jest prawdziwą Krystyną Hemerling. - A po chwili dodał: - Tak jak pani nie wie, czy ja nazywam się Antoni Pasierbowicz.

- Ach tak... - westchnęła z ulgą i nagle opadła na fotel. Z torebki wyciągnęła srebrną papierośnicę.

Wichniewicz obserwował każdy jej ruch. Widział, jak drżą jej ręce, kiedy wyciąga papierosa z karminowym ustnikiem. Podał jej ognia.

- W takich sprawach trzeba zachować największą ostrożność - dodał spokojnie. Złotego schaffhausena położył przed nią na stoliku.

Popatrzyła przelotnie, lecz nie zabrała go.

- Czy Władek powiedział panu, że to mój zegarek?

- Nie. Kazał mi tylko oddać go pani.

- Bardzo się cieszę, że go odzyskałam - powiedziała w zamyśleniu i dopiero wtedy ujęła go za

złotą bransoletkę i wolno wsunęła do torebki. - Śmieszne, ale chciałam go sprzedać na granicy...

- To pani z Władkiem przechodziła przez zieloną? - zapytał siląc się na zupełną obojętność.

- Władek nie wspominał panu o tym?

- Nie. Mówiłem przecież pani, że Władek jest teraz bardzo ostrożny.

Krystyna spojrzała ostro w oczy Wichniewicza.

- Tak. Władek przyprowadził mnie z Polski... To znaczy doprowadził mnie do granicy węgierskiej. Przy przejściu granicy natknęliśmy się na patrol słowacki. Była noc. Wywiązała się strzelanina. Nie wiem, jak to się stało, w każdym razie zgubiliśmy się. Prawdopodobnie Władek chciał ściągnąć na siebie pościg, a mnie w ten sposób uratować... - Naraz uśmiechnęła się żałośnie. - Właściwie, po co ja to panu opowiadam, skoro Władek nie wspomniał nawet o tym.

Wichniewicz uśmiechnął się tajemniczo. Nie mógł opanować radosnego podniecenia; dowiedział się przecież rzeczy zasadniczej - to właśnie ta kobieta, która teraz siedzi przed nim i z roztargnieniem mnie w swych pięknych, kształtnych dłoniach jedwabne rękawiczki, była towarzyszką przeprawy Mrowcy przez granicę. Czy prawdziwie opisuje bieg zdarzeń? Czy nie wprowadza go w błąd? Bezwiednym ruchem przesunął stojącą przed nim filiżankę.

- Teraz już wiem, dlaczego pani tak zależy na tym spotkaniu.

Krystyna potrząsnęła energicznie głową.

- Nie. Nie wie pan. Prócz tego, że chciałabym go zobaczyć, mam dla niego, lub dla jego przełożonych, niezwykle ważne wiadomości... - urwała na chwilę, jak gdyby zrozumiała, że może zbyt szybko się zagalopowała, lecz wnet podjęła spokojnie: - I dlatego bardzo bym pana prosiła, żeby mnie pan skomunikował z kimś, komu mogłabym te wiadomości przekazać.

*

Molnar punktualnie o pół do jedenastej przyszedł pod bar "Bolero".

Był ciepły, sierpniowy wieczór. Nad ciemną ulicą wisiał kawał rozgwieźdzonego nieba, a z sąsiedniego skweru powiew niósł zapach maciejki. Molnar przeszedł spokojnie wzdłuż ulicy. Była niemal pusta, tylko przed barem stało kilka zaparkowanych samochodów. Czujnym okiem policjanta zlustrował okolicę. Na rogu przy chodniku zobaczył elegancki samochód. Z daleka poznał wóz Hausnera. Minał go spokojnym krokiem, jak zwyczajny przechodzień, a kącikiem oczu spostrzegł siedzącego za kierownicą mężczyznę. Po siwych włosach i okularach poznał nieodłącznego towarzysza Krystyny Hemerling.

"A więc przyszła na spotkanie z Antkiem" - pomyślał, kiedy znalazł się po przeciwnej stronie ulicy. Przez niewielki pasaż przeszedł na naddunajskie bulwary, a potem spiesząc się, by tymczasem Krystyna nie ulotniła się z baru, okrężną drogą znalazł się znowu przed "Bolero". Okna były szczelnie zasłonięte, tylko złotawy odblask na szybach i przytłumione tony dwóch fortepianów świadczyły o tym, że wewnątrz lokalu trwa zabawa.

Podszedł do upatrzonej poprzednio ławki, usiadł z wnikliwością zawodowego wywiadowcy, obserwował wyjście z baru. Czekał dość długo. W tym czasie przez kryształowe drzwi baru przewijali się rozmaici ludzie, przeważnie samotni mężczyźni. Szwajcar w szamerowanej złotem liberii przepuszczał ich, kłaniając się głęboko. Krystyna Hemerling długo nie zjawiała się. Wreszcie na tle oświetlonych drzwi ujrzał jej smukłą sylwetkę. Szła tym swoim wolnym, nieco rozkołysanym krokiem. Kierowała się prosto do ukrytego za rogiem samochodu Hausnera.

Molnar ruszył na jej spotkanie. Zdawało się, że go w ogóle nie zauważyła, dopiero kiedy trzy kroki przed nią zatrzymał się, uniosła lekko głowę i obrzuciła go przelotnym spojrzeniem.

- Przepraszam - zatrzymał ją. Odgiął klapę marynarki i pokazał policyjny znaczek. - Czy mogę panią prosić o dokumenty?

Mówił po węgiersku, więc Krystyna nie rozumiała go. Uczyniła taki ruch, jak gdyby go chciała minąć, lecz on zastąpił jej drogę.

- Czego pan sobie życzył - zapytała ostro po niemiecku.

- Jestem z policji. Proszę o dokumenty - powiedział uprzejmie tym samym językiem.

Krystyna drgnęła, cofnęła się o pół kroku i tak spojrzała na Molnara, jak gdyby go dopiero teraz zobaczyła.

- Nie rozumiem... - wyszeptała. - O co właściwie panu chodzi?

- Przepraszam panią... to tylko formalność... Wolnym ruchem sięgnęła po torebkę, lecz nie otworzyła jej. Jeszcze raz otaksowała go wzrokiem i nagle powiedziała ostrzej:

- Tu niedaleko czeka na mnie jeden pan. Może pan będzie uprzejmy odprowadzić mnie do niego.

Komisarz skłonił się z wyszukaną grzecnością.

- Bardzo chętnie to uczynię, wcześniej jednak prosiłbym panią o wylegitymowanie się.

Krystyna zawahała się, lecz po chwili szybkim ruchem otworzyła torebkę, wyciągnęła z niej paszport i podała go Molnarowi.

Ten już z daleka na okładce paszportu zobaczył niemieckiego orła ze swastyką. Wolnym ruchem sięgnął po paszport. Przyświecił latarką. Otworzył...

- Kristin Hemerling - przeczytał przytłumionym głosem - urodzona w Wiedniu dnia dziesiątego maja tysiąc dziewięćset piętnastego roku... Obywatelka Rzeszy Niemieckiej...

- Zgadza się - przerwała mu oschle. - Czego pan chce się jeszcze dowiedzieć?

Molnar przesunął snop światła z paszportu na jej twarz. Ujrzał jej przymrużone oczy, zaciśnięte usta.

- Przepraszam... ale gdzie pani teraz mieszka?

- Ja... - zawahała się. - Chwilowo u znajomych... Dzisiaj dopiero przyjechałam z Wiednia.

- I nie jest pani zameldowana.

- Powtarzam, że dzisiaj wieczorem przyjechałam z Wiednia.

Zamknął paszport i oddał go właścicielce.

- Jeszcze raz panią przepraszam - skłonił się lekko. - I przypominam, że jutro powinna się pani zameldować.

- Tak. Dziękuję panu - rzuciła szybko i nie chowając paszportu ruszyła przed siebie.

11

Na drugi dzień rano Wichniewicz chciał się jak najszybciej skontaktować z Obertyńskim. Czynił to zwykle za pośrednictwem łączniczki Marysi. Tym razem jednak nie zastał jej w domu. Postanowił więc zaryzykować i, wbrew wyraźnemu rozkazowi szefa, udać się wprost do jego "meliny". Przy placu Franciszkanów złapał taksówkę i kazał się wieźć do Starej Budy.

Uliczka była wąska, wybrukowana polnym kamieniem i pełna niepowtarzalnego uroku. Wzdłuż starych, zmurszałych kamienic ciągnął się chodnik z wyszlifowanych płyt kamiennych. Nad stromymi dachami widać było szmat pogodnego nieba, a słońce ukosem oświetlało wykute w piaskowcu portale. Wichniewicz zatrzymał się przed niewielką wystawą. Za witryną widać było kilka przyprószonych pyłem starych obrazów, a nad drzwiami, na mosiężnej tabliczce widniał wygrawerowany napis: "Handel dziełami sztuki - Lajos Soos". Po chwili namysłu pchnął okute brązem drzwi. Zadźwięczał srebrzyście uwieszony nad drzwiami dzwonek i nagle Wichniewicz znalazł się w wąskiej, mrocznej sali zawalonej pod sufit płótnami, posążkami, gobelinami, starymi meblami. Pachniało tu farbą olejną, śniedzią i zastarzałym kurzem. W głębi, pod pięknym płótnem holenderskiego mistrza stało stare biurko, na którym paliła się ocieniona zieloną umbrą lampa. Spoza biurka uniósł się stary, kościsty mężczyzna z siwą czupryną opadającą na poźółkłe czoło. Chwilę

przypatrywał się dociekliwie przybyszowi.

Wichniewicz skłonił się.

- Przepraszam pana, przyszedłem po ten stary sztych angielski, o którym rozmawialiśmy wczoraj...

Na posiekanej zmarszczkami twarzy antykwariusza pojawił się porozumiewawczy uśmiech.

- Niech pan pójdzie na górę - rzekł ciepłym głosem. - Mój pomocnik panu pokaże. - A potem dodał mrużąc oko: - Pięknie, pięknie, panie inżynierze. Nie zapomniał pan naszego hasła.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże - rzucił żartobliwie Wichniewicz. Miął starego mężczyznę, odsunął ciężką, pluszową kotarę i po stromych schodach ruszył w górę.

- Ach, to pan - przywitał go nachmurzony Obertyński.

- Przepraszam, ale mam tak pilną sprawę, że nie mogłem czekać.

- W porządku. Niech pan wchodzi.

Znaleźli się w niewielkim pokoju, magazynie antykwariusza. Ten sam zapach, co na dole, panował wśród zawieszonych płótnami ścian i ten sam nastrój spokojnej zadumy ogarniał ludzi, którzy tu wchodzili.

- Proszę, niech pan siada i mówi, co się stało. - Obertyński energicznym gestem wskazał przybyszowi fotel.

Wichniewicz jednak nie skorzystał z zaproszenia. Podszedł do okna, uchylił je nieco i zwięźle zdał raport z realizacji powierzonego mu zadania.

Obertyński słuchał w skupieniu, a kiedy Wichniewicz skończył, powiedział ciężkim głosem:

- Mówi pan, że ona ma niemiecki paszport.

- Tak. I urodziła się w Wiedniu. Jedno jest tylko zastanawiające - nie ma węgierskiej wizy.

- Jest pan pewny?

- Oczywiście. Molnar dobrze przyjrzał się jej paszportowi.

- To jest zupełnie logiczne. Przecież nie mogła brać wizy, skoro nielegalnie przekroczyła granicę. No i dlatego nie meldowała się w Biurze Ewidencji Cudzoziemców.

- Dziwna sprawa - powiedział w zamyśleniu Wichniewicz.

- Dla mnie nie ma w tym nic dziwnego. Niech pan dobrze zanalizuje fakty. Co my o niej

wiemy?

- Obertyński nerwowym krokiem zaczął przemierzać pokój od okna do drzwi i z powrotem. Czasem tylko zatrzymywał się przed Wichniewiczem i żywymi gestami akcentował swe wywody.

- Co wiemy? Piękna, elegancka kobieta kontaktuje się z kurierem, który podejmuje się przeprowadzić ją przez zieloną granicę do Budapesztu. Po drodze, na granicy słowacko-węgierskiej zdarza się coś, co ich rozdziela. Trudno bowiem wierzyć w jej wersję opowiadania.

- Trudno również jej zaprzeczyć - wtrącił Wichniewicz.

- A czy ona panu powiedziała, w jaki sposób dostała się do Budapesztu?

- Tak. Mówiła, że nad ranem spotkała w lesie gajowego, który za ofiarowany mu pierścionek wykupił jej bilet z jakiejś przygranicznej stacji.

- A do kogo skierowała się w Budapeszcie?

- Należy przypuszczać, że do Hausnera.

- O, właśnie - uśmiechnął się cierpko Obertyński. - Do pana Hausnera, urzędnika niemieckiego biura podróży.

- Molnar twierdzi, że to Węgier.

- To nie ma dla nas znaczenia. Mało to Szwabów na Węgrzech? Jedźmy dalej. W Budapeszcie Krystyna Hemerling gorączkowo szuka kontaktu z nami. Udaje się do doktora Bako.

- Przepraszam, panie pułkowniku, ale skąd ona mogła wiedzieć, że Bako jest z nami związany?

- A, tego, niestety, nie mogę panu powiedzieć. W każdym razie cała pańska relacja potwierdza to, że chce się z nami skontaktować.

- Tak, tylko nie wiemy, w jakim celu. Obertyński zatrzymał się gwałtownie i z politowaniem pokiwał głową:

- Panie Antku, mnie się zdaje, że pan jest pod jej urokiem i chce jej pan bronić. Niech pan się dobrze zastanowi, w jakim celu Krystyna Hemerling, mając niemiecki paszport i mogąc przyjechać do Budapesztu luksusowym ekspresem przez Wiedeń, nagle decyduje się na ciężkie przejście przez zieloną? Czy to pana nie zastanawia?

- Tak, ale tu jest dużo niejasności. Przecież mając niemiecki paszport mogłaby z łatwością wystarać się przez niemiecki konsulnat o węgierską wizę i zameldować się w Budapeszcie.

- W takim razie proszę mi powiedzieć, dlaczego chodziła do Polskiego Komitetu i chciała się zarejestrować jako uchodźczynie?

Wichniewicz wzruszył ramionami.

- No, proszę - podjął Obertyński. - Ładnie byśmy wyglądali. Mielibyśmy na karku człowieka z polskimi papierami i niemieckim paszportem w kieszeni.

- Więc co pan chce zrobić? - zapytał ostro Wichniewicz.

Obertyński nie odpowiedział. Opuścił głowę, przejechał palcami przez siwiejące włosy i ruszył wolnym krokiem ku oknu. Naraz zatrzymał się.

- Pan myśli, że to łatwa decyzja. Jestem przekonany, że skoro ona - jak pan wspomniał - знаła Władka, skłoniła go do tego, by ją przeprowadził przez zieloną do Budapesztu.

- Nie wierzę, żeby Władek tak lekkomyślnie postąpił. Znamy go dobrze... Należałoby czekać na Jędrka Bukowego. Może on po drodze zebrał jakieś informacje.

- Czekać, czekać - w głosie Obertyńskiego zabrzmiało zniecierpliwienie. - Pan doskonale wie, w jakiej jesteśmy sytuacji. Wszystko wali nam się na głowę. Mówiłem już panu, że od kilku dni nie mamy połączenia radiowego z Warszawą. Teraz aresztowali Bako. Jak go dobrze przycisną, zacznie śpiewać i wszyscy jesteśmy na widelcu... - Twarz jego zachmurzyła się, a głos jeszcze bardziej zmarkotniał. - A dzisiaj dostałem wiadomość, że zlikwidowano naszą całą placówkę w Bukareszcie. Siedzą Szretyński, Golęba i inni. Poczekajmy jeszcze trochę, dajmy jej wolną rękę, a spotkamy się w węgierskim kontrwywiadzie, a potem w twierdzy w Siklos.

Wichniewicz opadł na fotel.

- Przepraszam, ale o tym nie wiedziałem..

- To właśnie komunikuję panu. I czy panu nie przyszło na myśl, że właśnie w tym samym czasie, kiedy pani Krystyna Hemerling wybrała się na wycieczkę do Budapesztu, wokół nas sypią się drzazgi?

- Ja też się nad tym zastanawiałem - powiedział Wichniewicz. - Tylko... - umilkł i chwilę spoglądał na swą dłoń. jak gdyby z niej chciał wyczytać odpowiedź.

Obertyński uśmiechnął się drwiąco.

- No proszę, proszę... Niech pan się nie krępuje. Potrzebna jest mi dobra rada.

- Tylko... - przeciągnął Wichniewicz - nie powinniśmy popełnić pomyłki.

Obertyński gniewnym gestem przeciął ręką powietrze.

- Lepiej zrobić jedną pomyłkę, niż narażać dziesiątki ludzi. Czy pan mnie dobrze zrozumiał? - Spojrzał przenikliwie w oczy Wichniewicza.

- Tak...

- To świetnie - powiedział już łagodniej. - W takim razie, zaraz pan do niej zadzwoni i umówi się pan z nią... powiedzmy na czwartek. Ja tymczasem wszystko zorganizuję.

- A jeśli nie przyjdzie?

- To wtedy dostanie pan ode mnie porządną reprimendę, bo popełnił pan błąd. Nie trzeba było legitymować jej na ulicy.

- Musiałem sprawdzić...

- Ale mógł pan ją spłoszyć. Zresztą jest już za późno zastanawiać się nad tym. Teraz trzeba działać. Miejmy nadzieję, że przyjdzie, bo bardzo jej na tym spotkaniu zależy. - Ujął go mocno za ramię. - Niech mnie pan słucha uważnie. Weźmie pan samochód. Zmieni pan w nim tabliczki rejestracyjne. Jasne?

- Jasne.

- Gdzie się pan z nią umówi?

- Na ulicy Regi Posta w "Presto". Tam bezpiecznie, bo jest pasaż w obu kierunkach.

- W porządku. Zawiezie ją pan do Csilaghegy, do tej starej cegielni, w której spotkaliśmy się w ubiegłym roku. Zna pan drogę?

- Tak.

- Tam już będzie czekał na pana Smyga.

Wichniewicz czuł, jak drobne krople potu występują mu na czoło. Wolnym ruchem wyciągnął chusteczkę, lecz nie wytarł czoła, gdyż spostrzegł, że ręka mu drży. Obertyński spojrział na niego uważniej.

- Rozumiem pana - powiedział nieswoim głosem. - Ale niech pan się trzyma, chłopie... Taka już nasza robota.

12

Za pięć czwarta Wichniewicz był już na ulicy Regi Posta. Nie wszedł jednak do "Presto". Chciał bowiem sprawdzić, czy Krystyna przyjdzie sama. Zatrzymał się więc kilka budynków przed kawiarnią i udając, że ogląda wystawę, obserwował bacznie ulicę.

Punktualnie o czwartej zauważył błękitne alfa-romeo Hausnera. Cofnął się więc przezornie do otwartej bramy i w napięciu śledził samochód. Ten wolno minął kawiarnię, a potem skręcił w boczną ulicę. Za kierownicą siedział Hausner, a obok niego Krystyna.

"Asekuje się" - pomyślał Wichniewicz, wychodząc z bramy. Obecność Hausnera zaniepokoiła go. Komplikowała cały plan. A nuż Krystyna zażąda, by Hausner udał się razem z nimi. Co wtedy jej odpowie? Był rozdrażniony, lecz wnet opanował się. Pomyślał bowiem, że dawał sobie radę w gorszych sytuacjach, więc i teraz powinien wywiązać się z powierzonego mu zadania. Zapalił papierosa, wolnym krokiem skierował się do kawiarni.

W "Presto" było niemal pusto. Na bufecie syczał przyjemnie elektryczny ekspres do kawy, z radioodbiornika płynęła cicha muzyka. Ktoś grał na skrzypcach pełne subtelnych odcieni "Tańce Hiszpańskie" de Falli. Przy jednym stoliku siedziała młoda para: dziewczyna w karminowej sukni, z włosami opadającymi na nagie ramiona i chłopiec wpatrzony roziskrzonymi oczyma w swoją partnerkę. Obok starszy pan w marynarce z surowego jedwabiu czytał gazetę. W całym lokalu panował senny nastrój upalnego popołudnia.

Wichniewicz usiadł naprzeciw drzwi. Zamówił kawę. Zanim jednak kelnerka zdążyła mu ją podać, w ramie drzwi zjawiała się Krystyna. Skinął jej na przywitanie ręką. Wstał. Podeszła szybko. Jej krok, gesty, napięte rysy zdradzały wielkie zdenerwowanie.

- Wszystko w porządku - powiedział Wichniewicz, chcąc ją uspokoić. - Nie mam dużo czasu, Jedziemy do Csilaghegy.

Na jej twarzy zarysowało się zdumienie.

- Csilaghegy? A gdzie to?

- To niedaleko pod Budapesztem.

- Czy nie mógł pan się umówić w mieście? Wichniewicz wzruszył ramionami.

- Pani wybaczy, ale nie ja wyznaczyłem miejsce spotkania.

- Tak - szepnęła z zakłopotaniem. - A z kim właściwie mam się spotkać?

- Z jednym ze zwierzchników Władka Mrowcy. Tak jak pani sobie życzyła.

- To dobrze - powiedziała przeciągle. - Tylko - spojrzała przelotnie na Wichniewicza - chciałam pana uprzedzić, że może nas ktoś śledzić.

Wichniewicz w tej chwili pomyślał o Hausnerze. Zastanowiło go, dlaczego Krystyna ostrzega go przed kimś, kto stale jej towarzyszy.

- Nie wiem, o kim pani myśli - rzucił pośpiesznie.

- Bo wczoraj - wyszeptała cicho - po wyjściu z baru wylegitymował mnie jakiś węgierski

tajniak.

Wichniewicz uspokoił się.

- Tym niech się pani zbytnio nie przejmuję.

To mógł być po prostu przypadek. Samotna kobieta, wieczorem... - uśmiechnął się porozumiewawczo. - Zresztą... takie teraz czasy. - Skinął na przechodzącą obok kelnerkę: - Zapłacę. Kelnerka uśmiechnęła się zalotnie.

- Pan przecież nie wypił kawy.

- Nie szkodzi. Wypiję ją jutro o tej samej porze - zażartował i wręczył dziewczynie monetę. Potem ujął lekko Krystynę pod ramię. - Możemy iść - powiedział.

Zatrzymała go spokojnym ruchem.

- I jeszcze jedno. Czy mogę mieć zaufanie do tego człowieka, z którym mam się spotkać?

Wichniewicz uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Jeżeli oni ufają pani, to może pani być zupełnie spokojna.

- W takim razie idziemy - rzuciła ostro i energicznie skierowała się ku drzwiom.

Samochód miał zaparkowany na ulicy Paryskiej. Był to sportowy wóz marki BMW. Kiedy zbliżał się do wozu, rozejrzał się bacznie, czy gdzieś w pobliżu nie ujrzy Hausnera. Z ulgą stwierdził, że nie było ani jego, ani błękitnego alfa-romeo. Odjechali więc spokojnie w kierunku placu Vörösmarty'ego i dopiero tam w lusterku zobaczył sunący za nim samochód Hausnera. Zdziwił się, gdyż alfa-romeo zjawił się tak nagle i tak nieoczekiwanie, że trudno było pojąć, w jaki sposób Hausner upatrzył moment, w którym wsiedli do samochodu. Udał jednak, że niczego nie zauważył, i aż do mostu Małgorzaty jechał zupełnie wolno. Dopiero na moście Wichniewicz przyspieszył. Był pewny, że zgubi go w labiryncie wąskich uliczek Starej Budy. Hausner jednak trzymał się uparcie i nie pozwalał oddalić się nawet o sto metrów.

Minęli most, wjechali w bulwar Horthy'ego, a potem skręcili w ulicę Wiedeńską. Zrazu ulica biegła prosto szeroką asfaltową jezdnią, dopiero w Starej Budzie zawężyła się, przecinając luźno rozsypane stare zabudowania. Teraz Wichniewicz postanowił zgubić Hausnera. Ujrzał przed sobą sunący skrajem ulicy tramwaj. Przyspieszył więc gwałtownie, wyprzedził wlokący się tramwaj, skręcił tuż przed nim w boczną uliczkę. Zazgrzytały hamulce, zapiszczały opony, zarzuciło gwałtownie, a Wichniewicz dodał gazu i z ogromną szybkością wpadł w cienisty tunel wąskiego zaułka. Spojrzał w lusterko. U wylotu ulicy przejeżdżał właśnie tramwaj. Alfa-romeo nie mógł skręcić w tę stronę. Nacisnął jeszcze pedał. Wóz zatoczył się na śliskiej jezdni, zabujał od krawężnika do krawężnika. Gwałtowne hamowanie. Znowu pisk opon, znowu jęk hamulców i samochód wpadł w poprzeczną ulicę. W lusterku już nie było widać wozu Hausnera. Wichniewicz kluczył jeszcze chwilę wśród starobudziańskich zaułków, a gdy się upewnił, że nikt go już nie ściga, wjechał z powrotem na wiedeńską szosę.

Teraz dopiero przyjrzał się Krystynie. Siedziała blada, milcząca, z zaciśniętymi wargami.

- Miała pani rację - powiedział nieco kpiąco - ktoś jechał za nami.

Stanowczym ruchem złapała go za ramię.

- Niech się pan zatrzyma. Wracamy.

Nie zatrzymał jednak wozu. Zwolnił jedynie.

- Co się stało?

- A nic... rozmyśliłam się.

- Przecież pani mnie uprzedzała. Szarpnęła mocniej.

- Proszę się zatrzymać. Ja wysiadam.

- Czego się pani obawia ?

- Po prostu nie mam do pana zaufania - powiedziała ostro. - Niech pan zatrzyma wóz, bo zacznę krzyczeć.

Nacisnął na hamulec. Wóz wolno potoczył się na skraju drogi. Wichniewicz nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Sądził, że Krystyna za wszelką cenę chce się skontaktować ze zwierzchnikami Mrowcy. W tej chwili cały misternie ułożony plan brał w łeb. Jeżeli ją teraz wypuści, co wtedy powie Obertyńskiemu? Siłą jednak nie mógł jej zatrzymać.

- Dokąd panią zawieźć? - zapytał, chcąc zyskać na czasie.

- Dziękuję - odparła chłodno. - Znajdę tu jakąś taksówkę i wrócę do miasta.

- Nie rozumiem pani. Dlaczego pani tak szybko zmieniła swe postanowienia?

- Już panu powiedziałam. Nie mam do pana zaufania.

- Dziwne... a ja mam mieć do pani?

- To pana sprawa.

Wichniewicz czuł, że traci ostatnią szansę. Nie mógł wypuścić tej kobiety. Powiedział więc poważnie:

- Zagrajmy w otwarte karty. Tego człowieka, który za nami jechał, widziałem już w pani towarzystwie. On miał panią asekurować...

Uśmiechnęła się cierpko.

- A to już moja sprawa.

- Nie przeczę... ale niech się pani dobrze zastanowi. Wiozę panią na spotkanie z człowiekiem, który konspiruje. Czy pani przypuszcza, że on byłby zadowolony, gdyby ktoś trzeci dowiedział się o jego istnieniu?

- W tej chwili mało mnie to interesuje.

- A jednak chciała się pani z nim spotkać.

- Tak... ale nie w takich okolicznościach.

- Na inne nie może pani liczyć. Nas obowiązują tu żelazne prawa...

- Nas? - udała zdziwienie. - To pan też konspiruje?

- Właśnie... chciałem to wyjaśnić. To nasze pierwsze spotkanie w "Bolero" nie było przypadkowe. Przyszedłem uprzedzony przez panią Bako...

- Domyśliłam się od razu.

- Więc widzi pani, że my też szukaliśmy kontaktu z panią. A teraz pani chce ten kontakt zerwać. Podobno ma pani dla nas jakieś ważne wiadomości...

- Nie, już nie mam - powiedziała stanowczo. - I dziwię się, że tak pieczołowicie ukrywacie przede mną Władka Mrówce. Niech pan będzie spokojny. Postaram się go odnaleźć.

- Władek nie żyje.

Drgnęła. Złapała go kurczowo za ramię.

- Nie wierzę panu,

- Niestety, tak... Przyjechał ranny do Budapesztu... i umarł z upływu krwi.

- A zegarek?

- Zegarek miał przy sobie.

- Skąd pan wiedział, że to był mój zegarek?

- Nie wiedziałem. Czasem trzeba zaryzykować. Czasem się wyczuje.

Jej cała postać nagle zwiotczała. Ukryła twarz w dłoniach i trwała tak kilka chwil. Naraz oderwała ręce od oczu i spojrzała jakoś dziwnie, jak gdyby chciała się z czegoś usprawiedliwić.

- Więc Władek nie żyje. Skinął tylko głową.

- Teraz rozumiem - powiedziała w zamyśleniu. - Pewno myślicie, że to ja... - urwała nagle i bezwładnie opadła na oparcie. Przymknęła oczy, westchnęła. Wichniewicz zastanawiał się, czy jest tak dobrą aktorką, czy też prawdziwie przeżywa tę wiadomość. Coś mu podszeptało, że w tej chwili nadszedł decydujący moment. Jeżeli go nie wykorzysta, straci ostatnią szansę. Powiedział więc spokojnie:

- My nie posądzamy pani, staramy się tylko wyjaśnić istotne dla nas sprawy, dlatego ten człowiek, do którego panią wiozę, zaryzykował to spotkanie.

Wyprostowała się, usiadła sztywno, przetarła dłonią czoło, a potem z torebki wyciągnęła paczkę papierosów, lecz nie zapaliła, tylko przez chwilę zwijała papierosa między palcami. Nagle zdecydowała się:

- W takim razie ja też zaryzykuję. Niech pan jedzie!

Wichniewicz zerknął na zegarek. Była szesnasta trzydzieści.

*

Dwie godziny wcześniej Obertyński wracał z miasta do antykwariatu Lajosa Soosa. Na schodach wiodących na pięterko zatrzymał się na chwilę, gdyż wydało mu się, że ktoś porusza się w magazynie. Nie mylił się. Wnet drzwi się uchyliły, a w szparze ukazała się głowa łączniczki.

- Ach, to ty Marysiu - powiedział z ulgą. Otworzyła szerzej drzwi i przepuściła go do środka.

- Jasiak Lasak wrócił z Zakopanego - zakomunikowała służbiście.

- Sam przyszedł?

- Tak.

- A Bukowy?

- Jędrak był u sióstr Novomeskich, a potem poszedł do Zakopanego.

- A ten facet z Warszawy?

- Został w Zakopanem.

- To dobrze - powiedział z ulgą.

Marysia zatrzepotała gęstymi jak szczoteczki rzęsami.

- I byłam u pani Bako.

- I co?

- Wypuścili doktora Bako.

- Dziewczyno! - zawołał Obertyński. - Dlaczego mi dopiero teraz o tym mówisz? Widziałas go?

- Tak. Powiedział, żebyśmy byli spokojni. Jego aresztowali zupełnie przypadkowo w sprawie jakiejś afery finansowej szwajcarskiej firmy eksportowo-importowej "Atlas". Po prostu jakaś fatalna pomyłka.

Obertyński przymknął na chwilę oczy.

- Pomyłka - wyszeptał w zamyśleniu. - Gdzie jest Lasak? - zapytał po chwili.

- Jak zwykle, u Beli Ujlakiego.

- To wal szybko po taksówkę. I spiesz się, bo nie mamy czasu.

*

Bela Ujlaki mieszkał na ulicy Barcs, blisko centralnego punktu Pesztu - skrzyżowania ulicy Rakoczego z Wielkimi Bulwarami. Od pewnego czasu kurierzy, którzy przybywali z Polski, zatrzymywali się w jego mieszkaniu. Ożeniony był bowiem z Polką, która z wielkim poświęceniem i zapałem pomagała polskim uchodźcom.

O tej porze taksówka wioząca Obertyńskiego z Marysią z trudem przedzierała się przez mknący bulwarami sznur autobusów, ciężarówek i samochodów. Obertyński niecierpliwił się. Stale spoglądał na zegarek i ponaglał kierowcę, by się spieszył. Od chwili, gdy usłyszał o wypuszczeniu doktora Bako, zaczął powątpiewać o celowości decyzji w sprawie Krystyny Hemerling. Teraz miał nadzieję, że poczta, którą przyniósł z Zakopanego Lasak, wiele mu wyjaśni.

- No, nareszcie - odetchnął z ulgą, kiedy zatrzymali się przed starą, czynszową kamienicą na ulicy Barcs.

Wbiegli na schody, na drugim piętrze skierowali się do oszklonej galerii, ciągnącej się wzdłuż całego budynku. Marysia nacisnęła guzik dzwonka. W kuchennym oknie wychodzącym na galerię ukazała się drobna twarz pani Hanki. Gospodyni, ujrawszy Marysię, szybko wpuściła ich do mieszkania.

- Jest Jasiek? - zapytał zdyszany Obertyński.

- Jasiek śpi. Przyszedł bardzo zmęczony.

- To niech pani go obudzi. Ważna sprawa.

Pani Hanka z wyrzutem spojrzała na przybyszów. Nie powiedziawszy słowa, uniknęła za drzwiami. Po chwili wpuściła ich do pokoju. Lasak siedział na łóżku, gwałtownymi ruchami przecierał zaspane oczy.

- Miałaś przyjść dopiero wieczorem - powiedział do Marysi, ziewając przeciągle, ale kiedy za jej plecami ujrzał Obertyńskiego, znieruchomiał ze zdziwienia.

- Gdzie pan spotkał Bukowego? - zagadnął pułkownik.

- U Novomeskich. Czekał tam na mnie i Mika.

- Trasa czysta?

- Tak. Przeszedłem zupełnie spokojnie.

- A dlaczego Jędrak poszedł do Zakopanego?

- Chciał się porozumieć z panią Twardoszową w sprawie tej kobiety, którą przeprowadzał Władek. - W krótkich słowach opowiedział przebieg rozmowy z Bukowym, a potem zakończył: - Miał sprawdzić, z czyjego polecenia Władek zgodził się ją przeprowadzić.

Obertyński podszedł do niego, mocno chwycił go za ramię.

- Człowieku, to bardzo ważne. Jesteś pewny, że Twardoszową skierowała tę kobietę do Władka?

- Tak mi mówiła - odparł. - A zresztą napisała coś do pana. Może i o tym coś będzie. - Podszedł szybko do leżącego na krześle plecaka. Z bocznej kieszeni wyjął starannie zapakowany bandaż. Podając go pułkownikowi, dodał: - Mówiła, że trzeba tylko zanurzyć w occie. Nie pisała kodem, bo się bardzo spieszyła.

Obertyński wydarł zwitek bandaża z rąk Lasaka.

- Marysiu, przynieść ocet i jakieś naczynie. Dziewczyna zniknęła w korytarzu, tymczasem"

Obertyński zerwał z bandaża papierową opaskę.

- To nasz stary sposób - powiedział jakby do siebie. - Nie bardzo bezpieczny, no ale tym razem...

- Dobry sposób - przerwał mu Lasak. - Nikt się nie domyśli, że na bandażu można pisać listy. A ten gość z Warszawy - dodał po chwili - został w Zakopanem.

- Dobrze zrobił, bo nie mamy połączenia radiowego.

W tym momencie zjawiała się Marysia z butelką octu i porcelanową miską. Obertyński wyrwał jej z rąk miskę. Chwilę szamotał się z korkiem. Wyciągnął go zębami, potem nalał do miski octu, rozwinął bandaż i zanurzwszy go w płynie, wolno przesuwając go przez miskę. Na białej taśmie bandaża zaczęły występować sinawe litery. W miarę upływu czasu Obertyński coraz szybciej przesuwając bandaż między palcami, a na jego twarzy odbijało się coraz większe napięcie. Wreszcie odrzucił bandaż i zwrócił się do Marysi:

- Zatrzymałaś tę taksówkę na dole? Łączniczka wzruszyła ramionami.

- Przecież pan nie kazał.

- To złap nową, ale piorunem. Jedziemy do Csilaghegy.

*

Wichniewicz zatrzymał wóz w akacjowym zagajniku. Było duszno i parno. W zasiękach przesiewających światło gałęzi śpiewały ptaki. Pachniało więdnącą już trawą.

- Dalej nie da już rady - powiedział do Krystyny.

Skinęła tylko głową. Pomógł jej wysiąść z samochodu. Szli chwilę przez akacjowy zagajnik po twardej i popękanej glinie. Potem nagle spoza kępy drzew wyłoniła się stara cegielnia, a nad nią garbate wzgórze porośnięte dzikimi krzakami. Wąską ścieżką wspięli się na zwały zeschniętej na beton gliny. Dookoła w lekkim powiewie wiatru szeleściły bujne chwasty. I mały, zwinnie czyżyk uwijał się wśród dojrzałych ostów. Niżej były stare zabudowania: szerniałe od słońca ściany, dach wygięty jak grzbiet starej, kościstej szkapy, sterta rozmytej, nie wypalanej cegły, zardzewiałe powyginane szyny, porzucone wagoniki, zwoje przewodów, niby wyrwane z ziemi żyły, a wszystko w bujnych, wysuszonych, szeleszczących sypko chwastach.

W tym posępnym, martwym krajobrazie połyskiwała czarna tafla wody, zastygła w gliniance jak atrament, odbijająca w sobie kawał nieba i zarys widniejącego na horyzoncie wzgórza.

Cały czas szli w milczeniu. Nie spojrzeli nawet na siebie. Naraz Wichniewicz zatrzymał się przed walącą się szopą. Nad wyrwanymi z zawiasów drzwiami wisiał na jednym gwoździu szyld, którego zatartych liter nikt jednak nie zdołałby odczytać. Wichniewicz wszedł po spróchniałych stopniach. Krystyna zatrzymała się na chwilę, jak gdyby chciała się cofnąć, lecz wnet ruszyła za nim. Weszli do sieni. Deski zatrzęszczały pod stopami i nagle powiało wilgocią i chłodem.

Krystyna drgnęła.

- Gdzie mnie pan prowadzi? - zapytała cicho.

- To właśnie tu - odparł nieswoim głosem.

W tej chwili szare, łuszczące się farbą drzwi uchyliły się gwałtownie, a w progu stanął Smyga. Chwilę przyglądał się Krystynie z drapieżną dociekliwością. W jego oczach pojawił się szklisty błysk.

- To ze mną pani ma się spotkać - powiedział cicho, lecz dobitnie i kanciastym ruchem wskazał drzwi.

Krystyna uniosła rękę, jakby chciała go przywitać, lecz on skinął tylko głową w kierunku drzwi. Kobieta posłała Wichniewiczowi pełne zdziwienia spojrzenie. Tamten jednak nie patrzył na nią. Zawahała się...

- No, proszę - głos Smygi zabrzmiał rozkazująco.

Wzruszyła ramionami, jakby chciała otrząsnąć coś z siebie, i szybkim krokiem weszła do środka. Było to pomieszczenie biurowe dawnego kantoru. W półmroku widniało zabite deskami okno. Kilka starych, połamanych mebli - stół, krzesło, biurko, wieszak na ubrania - oplatała gęsto pajęczyna, na podłodze leżały zdeptane gazety, rozprute teczki z biurowymi aktami. Zalatywało stęchlizną, gnijącymi deskami. Przez szpary w deskach sączyło się żółte światło, w którym niby złociste łuski, wirował drobny jak puder kurz.

Krystyna weszła pewnym krokiem, jak człowiek zdecydowany na wszystko, lecz nagle zatrzymała się. W kącie pokoju zobaczyła bowiem drugiego mężczyznę. Stał oparty o ścianę, z rękami splecionymi na piersi i bacznie się jej przyglądał. Cofnęła się i wydała cichy okrzyk.

- Niech się pani niczego nie obawia - powiedział nieco kpiąco Smyga. - Tu sami swoi.

Krystyna cofnęła się jeszcze o pół kroku. Obejrzała się, lecz natrafiła na nie znoszący sprzeciwu wzrok Wichniewicza. Chwilę stała w trwożnym zakłopotaniu, lecz nagle wyprostowała się, uniosła głowę i powiedziała pewnym głosem:

- Mam wiadomości z toru. Pegaz będzie biegał w drugiej gonitwie...

Smyga zamienił z tym drugim szybkie spojrzenie. Zdawał się być zaskoczony, lecz wnet zmarszczył czoło i rzucił ostro:

- Tym razem pani nas nie wykołuje. Gdzie pani ma swój paszport?

Kobieta drgnęła, odwróciła się i krzyknęła niemal w stronę Wichniewicza:

- Dokąd pan mnie przyprowadził?

- Ciszej! - Smyga doskoczył do niej i jednym szarpnięciem wydarł jej z rąk torebkę.

Krystyna zatoczyła się i oparła o wyklejoną tapetą ścianę. Powoli uniosła dłonie do twarzy, jak gdyby chciała się na chwilę ukryć za nimi. Wolnym ruchem przetarła twarz, a gdy oderwała od niej

ręce, patrzyła zuchwale i wyzywająco.

- Mam wiadomości z toru... Pegaz...

- Ciszej! - przerwał jej Smyga. Otworzył torebkę i szybkim ruchem wyszarpnął z niej paszport. Naraz uśmiechnął się złośliwie. - Fräulein Kristin Hemerling, obywatelka Niemieckiej Rzeszy...

Krystyna przerwała mu napiętym do ostateczności głosem:

- Niech pan mnie wysłucha. Mam wiadomości z toru. Pegaz...

- Spokojnie! - Smyga doskoczył do niej. Chwycił ją mocno za ramię.

Z kąta odezwał się matowy, nieco drżący głos te-go drugiego:

- Najpierw niech pani wyjaśni, co było z Władkiem Mrowcą... I kim pani jest?

Krystyna szarpnęła się, lecz nie wyswobodziła się z mocnego chwytu Smygi.

- Wszystko wyjaśnię - powiedziała niemal spokojnie - lecz najpierw muszę być pewna, z kim rozmawiam. - Przymknęła oczy, jak gdyby chciała zebrać nowe myśli i siły. Potem powiedziała akcentując każde słowo: - Mam wiadomości z toru. Pegaz będzie...

- Dość tego - przerwał jej brutalnie Smyga. Puścił ją, podszedł do biurka i nagle z kieszeni wyrwał pistolet. - Daję pani pięć minut.

- Niczego ode mnie się nie dowiedzie.

- Daję pani jeszcze pięć minut i szansę... Tylko musi pani wszystko powiedzieć... - Wolnym ruchem zdjął z przegubu zegarek i położył go na biurku.

Krystyna Hemerling opuściła na chwilę głowę, lecz wnet uniosła ją i spojrzała śmiało w oczy Smygi.

- Ostatni raz powtarzam: mam wiadomości z toru. Pegaz będzie biegał w drugiej gonitwie.

Smyga uśmiechnął się nikle i skierował wzrok na zegarek.

- Niech pani nie traci czasu. Upłynęło już pół minuty...

Wichniewicz, który stał najbliżej drzwi, usłyszał daleki odgłos czyichś kroków. Brzmiały one coraz wyraźniej, jak gdyby ktoś szedł po łamliwym lodzie. Uchylił lekko drzwi i w tej samej chwili wśród wysokich chwastów zobaczył biegnącego Obertyńskiego, a za nim Marysię.

Dał prawie niewidoczny znak Smydze. Ten instynktownie wysunął przed siebie pistolet.

- Nasi - powiedział cicho Wichniewicz. Krystyna drgnęła, odwróciła się, jak gdyby

oczekiwała nowej napaści. Kroki zadudniły teraz zupełnie wyraźnie. Wnet zatrzeszczały przegniłe stopnie schodków, a w szparze uchylonych drzwi wszyscy ujrzeli biegnącego Obertyńskiego. Wichniewicz otworzył mu szerzej. Pułkownik wpadł do ciemnego pokoju, a gdy ujrzął przed sobą kobietę, opuścił nagle ręce gestem, w którym można było wyczuć ogromną ulgę.

- Niech pani powie hasło - wykrztusił zdyszany.

- Mam wiadomości z toru. Pegaz będzie biegał w drugiej gonitwie - wyszeptała z trudem.

Obertyński zbliżył się.

- A my jednak stawiamy na Menueta - rzucił szybko, jak gdyby bał się straty czasu.

Krystyna westchnęła głęboko. Nagle jej ciało zwiotczało. Zachwiała się, lecz nie upadła, tylko oparła się ramieniem o ścianę i przyłgnęła policzkiem do chropowatych desek.

- Boże, Boże... co ja przeżyłam... Obertyński podszedł do niej, położył delikatnie dłoń na jej ramieniu.

- Niech się pani uspokoi. Proszę... Teraz już wszystko w porządku... Już dobrze... - Naraz zwrócił się do oniemiałych ze zdumienia i powiedział: - Panowie, zostawcie nas samych.

*

- Wyjdźmy stąd. Tu strasznie duszno - powiedziała po chwili Krystyna. Wyprostowała się, miękkim, delikatnym ruchem poprawiła włosy, a potem podeszła do torebki leżącej na biurku. Wyjęła z niej paczkę papierosów.

Obertyński podał jej ognia.

- Widzi pani - rzucił łagodnie - jedno potknięcie, jedno nieprzewidziane zdarzenie powoduje cały łańcuch nieporozumień i błędów. Ogromnie mi przykro, że tak się stało, ale niech mi pani wierzy, nie mogliśmy inaczej... - urwał nagle i sam zapalił papierosa.

- Chodźmy stąd - powtórzyła zmęczonym głosem.

Wyszli z zatęchłej szopy na przestrzeń falującą złocistym upałem. Kiedy przedzierali się przez wysokie osty, z szeleszczącego gąszczu podrywały się motyle, trzmiel buczał miodowo, szybując nad ich głowami, w krzewach śpiewały ptaki. Wąską ścieżką podeszli na zbocze. Tutaj w cieniu leżał zwalony pień starej topoli. Krystyna usiadła. Chwilę patrzyła na przymglony płat błękitu, jak gdyby chciała przywrócić go swej świadomości.

Obertyński spoglądał na nią z zakłopotaniem.

- Mieliśmy szczęście - zaczął oględnie - dzisiaj właśnie wrócił kurier z Zakopanego i przyniósł wiadomości od pani Twardoszowej...

Spojrzała z niedowierzaniem.

- Chyba dużo wcześniej miał pan wiadomości przez radio.

- Niestety, nie. Po wyjściu pani z Zakopanego została przerwana łączność z Warszawą.

- Ach! - zachłysnęła się własnym oddechem. - Teraz zaczynam rozumieć.

- Na szczęście pani Twardoszowa była na tyle przezorna, że przez kuriera uprzedziła nas o pani przybyciu i podała hasło. Kurier przyszedł dopiero dzisiaj, więc pani rozumie...

- Niezupełnie, bo wszystko jest bardzo dziwne.

- I przykre, niestety... Mam zbyt skąpe wiadomości od Twardoszowej. Szczerze mówiąc, nie wiem, w jakim celu pani przyszła do Budapesztu. Czy pani jest Niemką?

- Nie - zaprzeczyła żywo.

- Ale paszport...

- Paszport mam niemiecki... Ale niech pan mnie posłucha. Jestem Polką. Urodziłam się w Wiedniu, ale moi rodzice byli Polakami i wychowałam się w Polsce. Po śmierci ojca matka moja wyszła powtórnie za mąż za Austriaka, który ma do tej pory przedstawicielstwo wiedeńskiej firmy w Warszawie. Moi koledzy szkolni wciągnęli mnie do konspiracji i poradzili, żebym przyjęła nazwisko ojczyma i obywatelstwo Trzeciej Rzeszy. Czy pan mnie dobrze zrozumiał?

- Tak - powiedział w zamyśleniu Obertyński. - Ale dlaczego, mając paszport niemiecki, zdecydowała się pani iść przez zieloną granicę?

- Ale pan niecierpliwy - powiedziała nieco przekornie. - W Warszawie pracowałam w biurze podróży "Mitteleuropa Reise Büro". Miałam kontakty z dyrekcją kolei. Przenosiłam ważne wiadomości o transportach wojskowych. Niestety, ostatnio wyczułam, że mnie podejrzewają. Po prostu zaczął mi się grunt palić pod nogami. Moi przełożeni z konspiracji postanowili, że dłużej nie mogę zostać w Warszawie.

- Rozumiem - uśmiechnął się Obertyński - stąd kontakt z panem Hausnerem.

- Muszę przyznać, że zebraliście o moim pobycie dokładne wiadomości.

Obertyński rozłożył szeroko ręce.

- Co robić? To nasz obowiązek.

- Tak... - rzuciła cierpko - ale nie wiedzieliście, że przyniosłam dla was niezwykle ważne

materiały dotyczące rozkładów jazdy pociągów wojskowych w Gubernatorstwie i na wschodzie.

- Gdzie je pani ma? - zapytał z zawodową dociekliwością.

- Niech się pan nie obawia. Po przyjeździe do Budapesztu dobrze je ukryłam. Otrzyma pan je jeszcze dzisiaj.

Obertyński zaczął krążyć wokół pnia posuwistym krokiem.

- Co za pech! - uderzył pięścią w rozwartą dłoń. - Co za fatalny pech! Jedno niepowodzenie na granicy, a mielibyście okropne komplikacje...

- Komplikacje? - zdziwiła się Krystyna.

- Obojętne, jak to nazwiemy. Jednym słowem, tragiczny splot wydarzeń. A wszystko zaczęło się wtedy na granicy węgiersko-słowackiej. Pani wie, że Władek...

- Tak - przerwała mu szybko i nagle jej głos stał się matowy, wezbrany żalem. - Jestem pewna, że Władek poświęcił się dla mnie. To było tak nieoczekiwane. Pan sobie nie wyobraża. Noc... zupełnie ciemno i nagle strzały. Władek ściągnął na siebie pościg. Zgubiliśmy się. Nie wiedziałam, co robić. Całą noc przeleżałam w lesie, a rano spotkałam węgierskiego gajowego. Dałam mu pierścionek. Jakiś przyzwoity człowiek. Odprowadził mnie na stację, kupił bilet. No i w ten sposób znalazłam się w Budapeszcie...

Obertyński pokręcił z podziwem głową.

- Trzeba przyznać, że zachowała się pani bardzo przytomnie. Pierwsze kroki skierowała pani oczywiście do Hausnera.

- Nie miałam innego wyjścia. Z Hausnerem spotykałam się często w Warszawie. On załatwiał u nas rozmaite sprawy.

- Czy nie obawia się pani, że on może...

- O nie... - przerwała mu stanowczo - pan nawet nie domyśla się, że właśnie on niejednokrotnie wam pomagał.

- Hausner? - zdziwił się Obertyński.

- Właśnie Hausner. Otrzymaliście od niego bardzo ważne wiadomości za pośrednictwem doktora Bako.

Obertyński trzepnął się dłonią w udo.

- Proszę! To dopiero niespodzianka!

- Mam nadzieję, że pan o tym natychmiast zapomni. I teraz już nie zdziwi się pan, że za

pośrednictwem doktora Bako szukałam z wami kontaktu.

- O, widzi pani - podjął z werwą - jeszcze jeden fatalny zbieg okoliczności. W tym czasie Bako zostaje aresztowany. Czy pani dziwi się, że wiązaliśmy ten fakt z przybyciem pani do Budapesztu?

Krystyna wzruszyła ramionami.

- Po tym, co tutaj przeżyłam, niczemu się nie dziwię.

- Ale pani wie, że doktor Bako został już zwolniony.

- Dziękuję za informację - powiedziała cierpko. - Wiedziałam wcześniej od panów.

Obertyński zapalał nowego papierosa. Chwilę zwijał go w palcach.

- To dziwne - powiedział w zamyśleniu. - Nie wiem, jak to nazwać: seria pechowych zdarzeń, splotów okoliczności, niepowodzeń... W każdym razie trafiła pani na czas, kiedy wszystko zwraca się przeciwko nam, a tym samym zwracało się przeciwko pani.

- Czy to tylko splot okoliczności? - zapytała z naciskiem.

- Nie wiem, ale proszę uważnie słuchać. Pani z Władkiem wpada na patrol na granicy, aresztują Bako, przerywa się łączność z Warszawą, a do tego ostatnia wiadomość: aresztowali naszych ludzi w Bukareszcie.

Krystyna spojrzała uważniej.

- W tej sprawie mam dla pana niezwykle ważną wiadomość. Człowiek, za pośrednictwem którego utrzymujecie łączność z Istambułem, pracuje dla niemieckiego wywiadu.

- Dargen! - zawołał zdumiony Obertyński.

- Właśnie on.

- Skąd pani wie?

- Z bardzo dobrego i pewnego źródła. Ale wybaczy pan, nie mogę tego powiedzieć.

- Rozumiem... rozumiem... - Nagle pomyślał że to od Hausnera albo za jego pośrednictwem Krystyna zdobyła tę informację. - Dargen - powtórzył zaciskając mocno zęby. - Tego się nie spodziewałem. Oczekujemy go w tych dniach w Budapeszcie...

- Właśnie dlatego - wtrąciła Krystyna - tak bardzo zależało mi na skontaktowaniu się z wami.

- Teraz już wszystko rozumiem - powtórzył i nagle pogodniej spojrzał na Krystynę. - Tym razem, mam nadzieję, nie popełnimy żadnej pomyłki.

CZEŚĆ CZWARTA

OSTATNIA TURA

1

"To już koniec - pomyślał, kiedy na moment uchwycił oskarżające spojrzenie człowieka, który go przesłuchiwał. - To już na pewno koniec. Szkoda tylko, że tak nędznie przyjdzie mi umrzeć".

- Jak się nazywasz? - Usłyszał jego niski, napięty głos.

- Andrzej Bukowy.

Na wargach przesłuchującego zawisł na chwilę ledwo dostrzegalny uśmiezek.

- Kłamiesz. My o Jędrku Bukowym słyszeliśmy dużo dobrych rzeczy. A ty napadasz, rabujesz...

- Bukowy był kurierem - odezwał się niski, krępy mężczyzna w połatanym kozuchu. - Bukowy by tego nie zrobił.

- Ja jestem Bukowy! - krzyknął prawie, lecz wiedział, że oni go nie słuchają.

- Gdzie masz dokumenty? - Dowódca oddziału wysunął rękę. Jego dłoń z wierzchu była osypana ciemnym zarostem, a pory skóry granatowe. Typowa dłoń kolejjarza. I miał na sobie kolejarski płaszcz, niemieckie saperki, wpuszczone w nie sukienne spodnie, a na głowie wełnianą kominiarkę.

- Niemcy mnie złapali i odebrali wszystkie dokumenty.

Ten w połatanym kozuchu zaśmiał się sucho.

- Cholerny świat! Niemcy cię złapali i tak od razu puścili?

- Uciekłem.

- Uciekłeś Niemcom, a przyłączyłeś się do tych bandytów.

- To był przypadek. Spotkałem ich w szałasie. Nie miałem co jeść...

- A skąd miałeś karabin? Może Niemcy ci dali ?

- Karabin im odebrałem. Potem schowałem w szopie nad rzeką.

- Tak po prostu odebrałeś?

- Odebrał karabin - zaśmiał się dowódca. - Jakbyś był mężczyzną, tobyś się chociaż przyznał, a ty bujasz jak najęty. Myślisz, że ci uwierzmy. Powiedz przynajmniej, jak się naprawdę nazywasz?

- Andrzej Bukowy... I nie mam nic wspólnego z tymi dwoma - ruchem głowy wskazał na dwóch rozebranych do bielizny mężczyzn.

Stali boso pod skutą lodem ścianą skalnego urwiska. Jeden z nich, ryży, sękaty i barczysty, miał twarz w czerwonych bąblach i ropnych naciekach, a oczy zapuchnięte; drugi, niski, chudy, żylasty, z suchym jak pergamin czołem, naznaczonym świeżą blizną. Obaj dygotali z zimna i szczękali zębami. Słysząc wyraźnie ten niesamowity dźwięk wydobywający się zza zaciśniętych warg.

- Nie masz z nimi nic wspólnego - powiedział ponuro dowódca w kolejarskim płaszczu. - I naraz zwrócił się do tamtych. - Hej, wy, poznajecie go?

Ryży splunął na kamienie i zaśmiał się chrapliwie.

- Coby nie... - A potem skinął kudłatą głową w stronę Bukowego. - Ty, nie wstydz się... Chodź do nas... Znajdzie się miejsce.

Odstąpił o krok od swego kamrata i nagle Bukowy zobaczył między nimi puste miejsce, jakby dla niego przeznaczone. Wzdrygnął się. Chciał się cofnąć, lecz ten w kozuchu pchnął go na środek zalanego słońcem kamieńca.

- Rozbieraj się!

- Nie! Nie zrobicie tego - powiedział cicho, tak cicho, że aż się zdziwił własnym spokojem.

- Rozbieraj się! - Dowódca patrzył na niego tak, jak gdyby wyrok już zapadł i nie było odwołania. - Jeżeli chcesz umrzeć jak mężczyzna, zrzucaj z siebie te łachy, bo inaczej to... cię powiesimy.

Bukowy spojrział na spienioną rzekę. Przez moment pomyślał, że rzuci się w jej nurt. Niech za nim strzelają, niech go poszatkują, ale nie pójdzie do tamtych.

- No, na co czekasz? - zawołał spod urwiska Ryży. - Weselej nam będzie z tobą.

Nie patrzył na nich. Wciąż jeszcze widział przejrzystą wodę, wzdętą i spienioną na ogromnych głazach, niosącą kawałki lodu, i drugi brzeg, porośły rdzawymi pękami wikliny.

- Nie zrobicie tego - powtórzył nieco głośniej. - Ja... ja... - Chciał powiedzieć, że jest niewinny, ale zrozumiał, że każde słowo jest już zbyt ciężkie. I tak mu nie uwierzą. Widział to w zwężonych, nasiąkniętych oleistym blaskiem oczach dowódcy. I nagle poczuł, że mgła przyćmiła mu oczy, a myśl stała się mętna i niezdolna ogarnąć tego, co się wokół niego dzieje. A potem wszystko stało się jasne, jak ten splacheć nieba wiszący nad czarnymi czubami wysokich jodeł.

- To już koniec!

I wtedy doznał takiego uczucia, jak gdyby zdarzenia całego jego życia zawęziły się w tę jedną chwilę, a ta jedna chwila stała się całym życiem. I ujrzał siebie jednocześnie w tysiącach miejsc, wśród tysiąca innych ludzi, w tysiącu okoliczności... A potem z tej plątaniny przesuwał się jak filmowa taśma obrazów wyłoniły się oczy Ewy... migdałowe, łagodne, pełne nieprzewidzianej obietnicy. I z daleka, jak gdyby spoza szumu rwącej rzeki, usłyszał jej cichy głos:

- Czy naprawdę musisz iść na to spotkanie?

*

- Czy naprawdę musisz iść na to spotkanie?

- Nie muszę, ale chcę. Zrozum, od tygodnia nie widziałem nikogo z naszych... W ogóle nie wiem, co się dzieje...

- Przecież Smyga nawet cię o to nie prosił.

- Smyga ma się spotkać z Jaśkiem Lasakiem.

- No właśnie... Więc po co ty... Po co?

- Chcę się zobaczyć z Jaśkiem. Chcę z nim pogadać.

- O czym? Ostatnio siedział tu trzy godziny...

- Ty tego nie rozumiesz... Po prostu chcę z nim pogadać.

- Jak uważasz...

Ewa odwróciła się ku oknu, ujęła stojącą na framudze butelkę z wodą i w milczeniu podlewała kwiaty. Weranda była pełna łagodnego blasku i ciepła. Przez uchylone okno szedł powiew niosący zapach ziemi, kory i smolistych, pękających pąków. Słysząc było głośnie bzykanie objadającej się o szyby osy i dalekie gwizdy lokomotywy.

Bukowy oparł się o ścianę. Z zakłopotaniem przyglądał się Ewie.

- Słuchaj, Ewa., tyle razy prosiłem cię, żebyś nie mieszała się w te moje sprawy...

- Twoje sprawy... - powiedziała nabrzmiałym żalem głosem. - Wciąż słyszę: moje sprawy, moje sprawy, jak gdyby te twoje sprawy nie były naszymi sprawami.

- Nie gniewaj się, ale muszę pogadać z Lasakiem. On idzie do Polski... Chciałbym posłać coś dla Brońci...

Ewa odwróciła się. Spojrzała łagodniej.

- Nie możesz poczekać?... Przecież stale ktoś chodzi do Polski.

- Już dawno nic jej nie posłałem. Wiesz, jak teraz... Ona siedzi u ciotki w Maruszynie. Potrzebne jej pieniądze.

- Rozumiem, ale koniecznie dzisiaj?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie wiem, doprawdy, ale wolałabym... Bukowy przygarnął ją do siebie. Chwilę gładził jej włosy.

- Powiedz, dlaczego się tak o mnie boisz?

- Boję się... Coraz bardziej się boję.

- Widzisz, że to jest nie do zniesienia.

- Wiem... Ale nic na to nie poradzę.

- Kiedy masz dyżur w szpitalu?

- Zaczynam o dwunastej.

- To wpadnę do ciebie... Zamelduję się, żebyś mnie zobaczyła... Dobrze?

- Dobrze... - wyszeptała bez przekonania i mocniej przyłgnęła do niego.

2

Smyga umówił się z Lasakiem w gospodzie "Pod czterema siwkami" na dziesiątą. Była dopiero dziewiąta, więc Bukowy postanowił wstąpić po drodze do Komitetu. Miał bowiem otrzymać od Burzyńskiego, jednego z urzędników, nową legitymację dla Zwijacza, znajomego górala, który niedawno przyszedł z Polski.

Dzień był pogodny. Od południa szedł ciepły wiatr. Niósł zapach zbliżającej się wiosny.

Bukowy rozpiął płaszcz. Na twarzy czuł łagodny powiew wiatru. Minął skwer, na którym stary mężczyzna kopał szpadlem stwardniały przez zimę klomb. Zapachniało gorzkawo świeżą ziemią i wilgotną korą. W krzewach trzepotały wróble, a gdzieś na pobliskim drzewie gruchał dziki gołąb. I było błękitnawo, faliście, cudownie.

Bukowy przypomniał sobie, że ma kupić papierosy. Z daleka zobaczył wielką wywieszkę: "Dohany", przeciął więc ulicę i skierował się do kiosku z papierosami. Kiedy zbliżał się do drzwi, drogę zastąpił mu nieznajomy mężczyzna.

- Przepraszam - zagadnął po węgiersku - gdzie tu znajduje się Komitet Polskich Uchodźców?

Bukowy wyczuł w madziarskiej mowie polski akcent. Uśmiechnął się przyjaźnie i odparł po polsku:

- Tu zaraz, po drugiej stronie. Mężczyzna spojrzał zdziwiony.

- A skąd pan poznał, że ja Polak?

Ha - zaśmiał się Bukowy - bo my wszyscy mówimy po węgiersku krakowskim akcentem.

- Ja spod Lwowa - sprostował nieśmiało jegomość. Był niski, baryłkowaty i miał na sobie jesionkę przerobioną z wojskowego płaszcza. Zaskoczony radośnie nieoczekiwanym spotkaniem podjął z werwą rozmowę: - Bo ja, panie, z obozu, z Kazinczbarczika... Staram się, żeby przyjęli, panie, syna do polskiego gimnazjum w Balaton-boglar... I żeby nas, panie, przenieśli tam do obozu... Bo to, panie, zawsze lepiej razem.

- Niech się pan nie obawia, załatwię panu od ręki.

- Bo pawie - ciągnął jegomość z kresową wylewnością - mój syn dobrze się, panie, uczy... Do węgierskiej szkoły chodzi, a lepszy od samych Węgrów...

- To gratuluję.

- I córka tak samo, panie. Dostała nagrodę od samego föszolgabiro. Moje dzieci zdolne, panie...

- To nie ma pan przynajmniej z dziećmi kłopotów - rzucił wesoło Bukowy. - Ja tu na chwilę po papierosy...

Jegomość zdarł z głowy czapkę, skłonił się nisko.

- To ja... najserdeczniej panu dziękuję.

- Nie ma za co...

Wszedł do kiosku. Kupił dwie paczki "symphonii" i węgierską gazetę. Na pierwszej stronie ujrzał wybity tłustymi czcionkami nagłówek: "Regent Miklos Horthy spotka się dzisiaj z kanclerzem Hitlerem..." Złożył gazetę, wepchnął ją w kieszeń, wyszedł. W tej samej chwili usłyszał od strony

budynku, w którym mieścił się Polski Komitet, przeraźliwy krzyk, jak gdyby ktoś wołał o pomoc. I nagle w to wołanie wdarła się suchym ściegiem krótka seria z automatu. A potem z bramy na ulicę wybiegł chwiejnym krokiem ten sam człowiek, z którym przed chwilą rozmawiał. Przebiegł kilka kroków. Naraz zatoczył się jak pijany, chwycił się za brzuch, zgiął w pół i twarzą runął na ulicę. Za nim wyskoczyło dwóch niemieckich żołdaków w hełmach. Chwycili go za nogi, błyskawicznie wciągnęli do bramy. Trwało to tak krótko, że Bukowy w pierwszej chwili nie mógł pojąć, co się stało. Wydało mu się, że to przywidzenie albo chwila halucynacji...

Cofnął się do najbliższej bramy. Ulica nagle opustoszała. W oknach ukazały się wystraszone twarze. Ktoś biegł wzdłuż jezdni wybijając podszwami rytm przerażenia. Jakieś dziecko zaniósło się płaczem. Bukowy ujrzał obok siebie starą kobietę w czarnej chuście na głowie. Wyblakłymi od starości oczyma patrzyła tępo w stronę, skąd posypały się strzały.

- Jezus Maria... Jezus Maria... - powtarzała drżącym głosem.

Za jej plecami zjawił się młody człowiek w robotniczym kombinezonie. Kobięcina załamała rękę.

- Święty Boże, co to się dzieje?

- To pani nie wie, że w nocy Niemcy zajęli Budapeszt - powiedział robotnik.

- W imię Ojca! Niemcy? Przecie wczoraj w radiu mówili, że nasz regent pojechał do Hitlera.

- Widzi pani... Hitler zaprosił regenta, a tymczasem... Widzi pani, jakich mamy przyjaciół.

Kobieta chwilę spoglądała z niedowierzaniem. Jej osypana rzadką szczeciną broda trzęsła się, a szczęka opadała coraz niżej.

- Mój Boże - westchnęła - to już naszych zaczynają mordować.

Robotnik ruchem głowy pokazał w stronę Polskiego Komitetu.

- Tamten to pewno Polak... Oni już rano tam byli. Strzelają do każdego, kto wejdzie... Ale i na nas przyjdzie kolej, niech się pani nie boi...

"Strzelają do każdego, kto wejdzie..." - pomyślał Bukowy. Ogarnęło go żalodne zakłopotanie. - "Papierosy... gdyby nie te papierosy... Co za dziwne zrządzenie losu... A tamten... Tamten szedł z taką ufnością... Dlaczego go nie powstrzymałem?... Dlaczego to wszystko dokoła takie dziwne, nie dające się przewidzieć..."

Poczuł na sobie spojrzenie starowiny. Zobaczył jej mętne oczy w czerwonych, skrofulicznych obwódkach, a potem usłyszał drżący głos:

- No widzi pan, jakie to straszne. Jaki ten świat podły...

Mruknął coś niewyraźnie, skinął jej głową i wyszedł na ulicę.

*

Lasak nie przyszedł na spotkanie ze Smygą. Czekali pół godziny w ogromnym napięciu, potem wyszli z gospody "Pod czterema siwkami" Złe i niepewnie czuli się zamknięci wśród ścian. Teraz wspinali się stromymi uliczkami Rozsadombu, a kiedy w zacisznym zakamarku, pomiędzy rozrzuconymi na budziańskich wzgórzach willami znaleźli wygodną ławkę, usiedli w milczeniu.

- Ale co z Lasakiem? - zapytał Bukowy.

- No widzi pan, wszystko się sypie. A dzisiaj miał wyruszyć do kraju. - Naraz jego ciężkie spojrzenie spoczęło na Jędrku. - Co za szczęście, że pan przyszedł...

- Chciałem pogadać z Jaśkiem.

- Rozumiem... ale w tej chwili pan jest jedynym człowiekiem... - urwał nagle i jeszcze raz popatrzył na Bukowego. - Chyba pan mi nie odmówi?

Jędrak wzruszył ramionami.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Domyśla się pan, że ktoś będzie musiał iść za Lasaka - rzucił szybko, jak gdyby chciał się pozbyć balastu.

- To znaczy... ja.

- Niech ranie pan zrozumie. W tej sytuacji nie mam innego wyjścia.

- Przecież nie ja jeden zostałem.

- Tak, ale gdzie ja mam ich szukać. Widzi pan, co się dzieje. Sam pan był pod Komitetem. Zarabiali tam kilku Bogu ducha winnych ludzi, tak jak tego, o którym pan opowiadał. Wiem również, że gestapo kursuje już po mieście i wyłapuje w domach kogo popadnie. W takiej sytuacji nie mogę dłużej czekać, bo mam ważną przesyłkę.

Bukowy zerwał spod ławki suche źdźbło trawy. Łamał je w palcach na drobne kawałki.

- Droga teraz nie będzie łatwa - powiedział jakby do siebie. - Dawniej można było przynajmniej spokojnie dojechać do granicy, a teraz?

- Znam pana dobrze. Jestem pewny, że da pan sobie radę. Bukowy uśmiechnął się cierpko.

- To się tylko tak mówi. Przecież warunki zmieniły się w jednej chwili. Kto to może wiedzieć,

jak wygląda teraz trasa? I co się dzieje na granicy?

Smyga przyjrzał mu się dociekliwiej. - Chyba pan się nie boi? Bukowy zachnął się.

- Nie o to chodzi, panie majorze. Ale niech pan dobrze pomyśli... Nie można puszczać ludzi na chybił trafił. Najpierw trzeba mieć rozpoznanie.

- Ma pan rację - rzucił szybko. - Ale nie bierze pan pod uwagę, że to cholernie pilna sprawa. Nie mogę dłużej czekać, czy pan mnie rozumie?

- Nie, bo już znam kilka takich wypadków, kiedy była niezwykle pilna sprawa, a potem...

- To pan odmawia? - przerwał mu oschle.

- Nie odmawiam, tylko radzę panu dobrze się zastanowić.

- W takiej sytuacji nie mam na to czasu. Czy pan wie, że to może ostatnia nasza przesyłka?

- Tak. Zdaję sobie z tego sprawę.

- A więc?...

- I powiem panu - ciągnął Jędrak spokojnym niemal głosem - że robię to tylko dla Lasaka. Czy pan sobie przypomina, że on kiedyś, chyba w czterdziestym pierwszym, musiał iść za mnie?

- Tak... Wtedy, kiedy była ta wpadka w Popradzie, a potem odbiliście go z pociągu. Pamiętam... - Naraz przysunął bliżej teczkę, którą uprzednio położył na ławce i rzucił niemal służbowo: - Tym razem przeniesie pan dużą sumę pieniędzy. Ściślej mówiąc, dolarów. Nie będzie pan miał przy sobie żadnej obciążającej korespondencji ani dokumentów. Tylko pieniądze...

- Wystarczy - uśmiechnął się kpiąco Bukowy. - Ile tego jest?

- Dwadzieścia pięć tysięcy.

- Wystarczy...

- Te pieniądze dawno już powinny być w kraju. Nie posyłałbym teraz pana, gdyby to nie było pilne. Czekają na nie. - Bukowy skinął tylko głową. Smyga chwycił go mocno za rękę. - Szczerze mówiąc, to nawet lepiej, że pan z nimi idzie. Pan jest najbardziej doświadczony i przy tym ma pan cholerne szczęście.

- Dziękuję. Szczęście też może się skończyć - powiedział Bukowy w zamyśleniu.

- Panu sprzyja od samego początku. - Położył na kolanach ciężką, skórzaną teczkę, otworzył ją i wyjął dużą puszkę ovomaltyny, popularnej odżywki dla dzieci i sportowców. Puszka była zupełnie nowa, szczelnie zaklejona firmową opaską.

Bukowy pokręcił z uznaniem głową.

- Sprytnie pan to wymyślił. Ovomaltina wzmacnia i dodaje sił - zażartował. Potem zapytał poważnie: - Jaką trasą mam iść?

- To już zależy od pana i od sytuacji. Daję panu wolną rękę. Z jednym warunkiem - niech pan lepiej omija Zakopane... A puszkę odda pan w Rabce pani doktor Felicji Sumali. Ona mieszka w sanatorium dla dzieci przy ulicy Orkana. Zapamięta pan?

- Tak. Doktor Felicja Sumala, sanatorium dla dzieci przy ulicy Orkana - powtórzył Bukowy.

- I jeszcze hasło: "Jestem ojcem małej Małgosi". A odzew: "Małgosia czuje się coraz lepiej". - Wyciągnął z kieszeni mały kartonik. - Na wszelki wypadek zapisałem to panu na kartce. Niech pan się dobrze nauczy, a potem zniszczy.

Bukowy trzymał chwilę kartonik i przypatrywał się wielkim, zamasyście skreślonym literom, a myśli jego stały się gęste i niepokojące. Ten drobny arkusik papieru wywołał z jego pamięci zdarzenia ostatnich lat. Ile to razy wręczano mu taki właśnie skrawek papieru, gdzie wśród kilkunastu, kilkudziesięciu liter mieściła się zapowiedź dni pełnych niebezpieczeństw, trudu, znoju, niepokoju, niby nie odczytany szyfr nie zbadanego losu. Złożył kartkę...

- I co dalej? - zapytał cicho.

- No właśnie... - powiedział przeciągle Smyga. - Gdybym to wiedział.

- Pytam, co będzie ze mną? - uśmiechnął się Bukowy.

- A... rozumiem. Chodzi panu o pański stosunek służbowy. - Rozłożył szeroko ręce. - Panie Jędrku, cóż ja teraz mogę panu powiedzieć. Już panu wspomniałem, że to może nasza ostatnia przesyłka, ostatnia tura... Po wykonaniu tego zadania zwalniam pana z wszelkich obowiązków... Może pan zostać w kraju.

- Tak... mogę zostać w kraju. A jeżeli wrócę?

- Nic panu w tej chwili nie mogę powiedzieć. Czy ja wiem, co będzie z nami, z organizacją... Możemy się ewentualnie umówić, że zostawię dla pana wiadomość u Soosa w antykwariacie. Ale kto to może wiedzieć, czy Soosa też nie zwiną.

- Nie pomyślałem o tym... A pan? Co pan zamierza robić?

- Ja? - zastanawiał się chwilę. - No cóż... Ja muszę czekać na rozkazy... A tymczasem uważać, żeby mnie nie nakryli.

- A nasi chłopcy?

Smyga tak spojrzał, jak gdyby nie zrozumiał pytania.

- No, kurierzy - dorzucił twardo Bukowy.

- A... chłopcy - uśmiechnął się. - O nich niech pan się nie martwi. Oni dadzą sobie radę. - Naraz wstał i w pośpiechu zaczął zapinać palto. - Przepraszam pana. Umówiłem się z szefem. Kiedy pan wyrusza?

- Postaram się jak najszybciej. Chyba wieczorem.

Smyga wyciągnął szeroką, kościstą dłoń.

- Panie Jędrku, co tu mówić, nie bardzośmy się zgadzali...

- I nie bardzo lubili - dorzucił cierpko Bukowy.

- O, nie... ja pana zawsze bardzo ceniłem.. Nie wiem, czy się kiedyś jeszcze spotkamy... Ale jeżeli ma pan do mnie żal, to niech mi pan wybaczy.

- I pan mnie, panie majorze. Major długo przytrzymał dłoń Jędrka w swojej dłoni.

- I... złam kark, chłopcze! Ale trzymaj się. "Trzymaj się"... - powtórzył w myśli i bolesny skurcz ścisnął jego gardło. Chciał coś powiedzieć, lecz w gorzkim odrętwieniu spoglądał tylko, jak Smyga oddalał się. Szedł coraz szybciej, jak gdyby uciekał, jakby się bał, że Bukowy go jeszcze zatrzyma. Jędrak nie ruszał się z miejsca. Czuł, że się dławi. A kiedy tamten zginął za zakrętem, wyszeptał bezgłośnie:

- Za tyle lat ponieważ... Za tyle lat...

*

"Co ja jej powiem?" - pomyślał, kiedy po dwunastej wchodził do szpitala.

Korytarz był długi, pusty i przeraźliwie biały. Słyszał wyraźnie odgłos swoich kroków na wykładanej kafelkami podłodze, a w mijanych drzwiach widział mętne odbicie swej postaci i wciąż powtarzał: "Co ja jej teraz powiem"?

Szedł coraz wolniej, jak gdyby chciał odwlec chwilę spotkania. Czuł narastające, żalodne zakłopotanie. Naraz oszklone drzwi uchyliły się, a w progu zobaczył znajomą sylwetkę doktora Szabolcsay'ego.

- Ach, to pan... - przywitał go zaskoczony lekarz. Zdarł okulary i swoim zwyczajem zaczął czyścić szkła połą lekarskiego kitla. - Niech pan chwilę poczeka, zaraz zawołam siostrę Ewę. - Chciał zawrócić, lecz zatrzymał się w połowie zamierzonego obrotu i zapytał: - No, co pan na to wszystko? Ładnie nas urządzili.

- To było do przewidzenia - powiedział spokojnie Bukowy.

- Ale w ten sposób! - w głosie doktora brzmiało oburzenie. - Słyszał pan, podobno w nocy przyjechały z Wiednia dwa turystyczne pociągi... Ładni turyści! W walizkach mieli broń i umundurowanie... I proszę sobie wyobrazić zajęli miasto bez jednego strzału. - Nasunął na nos okulary i tak spojrział, jak gdyby oczekiwał od Bukowego komentarza.

Ten jednak milczał. ~ A pan?... - zapytał lekarz nieco zdziwiony. - Nie boi się pan, że pana aresztują?

Bukowy uśmiechnął się nikle.

- Postaram się, żeby mnie to nie spotkało.

- Bo nie wiem, czy pan słyszał - ciągnął podniecony lekarz. - Gestapo szaleje w mieście. Aresztowali już kilku naszych deputowanych i wielu ludzi z opozycji. Niech pan na siebie uważa... A gdyby miał pan jakieś kłopoty, to proszę zwrócić się do mnie...

- Dziękuję, panie doktorze.

W tej chwili w końcu korytarza ukazała się Ewa. Doktor uznał, że jego obecność jest zbędna.

- Niech pan uważa - rzucił na pożegnanie. - I proszę pamiętać, że jest pan wśród przyjaciół.

- Dziękuję...

Ewa ujrzała go z daleka. Zbliżyła się drobnym krokiem, jak gdyby chciała biec.

- To świetnie, że przyszedłeś, bo umierałam ze strachu... - powiedziała, wyciągnąwszy do niego rękę.

Ujął jej dłonie, uściśnął je mocno. I nagle bez zastanowienia, prosto i niemal brutalnie powiedział:

- Ewa, ja dzisiaj wyruszam do kraju. Drgnęła, jak gdyby ją coś boleśnie ukuło.

- Dzisiaj?... A co się stało?

- Lasak nie przyszedł na spotkanie. Muszę iść za niego.

Wyrwała dłonie z jego uścisku i uniosła je do twarzy.

- A tak cię prosiłam, żebyś nie szedł... Miałam przeczucie.

- Słuchaj, może to lepiej, że w tej sytuacji nie będę w Budapeszcie.

- Lepiej? - spojrzała przez pęczniejące pod powiekami łzy. - A ja zostanę sama. Boże! -

westchnęła boleśnie. - Ty wciąż tylko znikasz i znikasz. Jesteś, a właściwie cię nie ma. Zjawiasz się, żeby się pożegnać... A ja w wiecznym strachu... - Nagle zwiotczała i oparła głowę o jego ramię. Objął ją łagodnie. Pod dłonią czuł drgające w bezgłośnych spazmach jej plecy.

- Ewa... - wyszeptał łagodnie. Wyprostowała się. Chustką ocierała z policzków łzy.

- Przepraszam cię... Wiem, że nie może być inaczej... Ale powiedz przynajmniej, że wrócisz.

- Nie wiem.

- Przynajmniej powiedz.

- Jeżeli tylko będę mógł, to wrócę.

- Przepraszam cię, że beczę - powiedziała już spokojniej. Naraz w jego ręce zobaczyła owiniętą w gazetę puszkę. - Co tam masz? - zapytała z uśmiechem.

- Ovomaltinę.

- Kupiłeś ma drogę?

- Tak.

- Głuptasie... Trzeba było mi powiedzieć, to ja bym ci kupiła...

- Głupstwo. Wstąpiłem po drodze do sklepu.

- Kiedy wyruszasz?

- Wieczorem... Ale nie mogę iść do domu. Rozumiesz, mogą mnie szukać u ciebie.

- To ja się zwolnię...

- O to chciałem cię prosić. Jedź do domu. Zabierz plecak i wszystkie potrzebne do drogi rzeczy. Śpiwór jest na strychu. Nie zapomnij. I kup dużo żarcia... To co zwykle...

- Może trochę konserw.

- Świetnie... Tylko gdzie się umówimy?

- Najlepiej tu, w szpitalu. O której?

- O czwartej.

Bukowy zbliżał się do granicy w Zachodnich Tatrach.

Cały tydzień był już w drodze. Od Rozsnyó szedł piechotą. Na Słowacji wstąpił jedynie do sióstr Novomeskich po narty. Potem słowackie góry przemierzył bezdrożami, lasami, perciami, jak wilk, który omija wszystkie strefy niebezpieczeństwa i skrada się do upragnionego celu.

Kiedy za Dobszyną wszedł w hornatyńskie lasy, poczuł się pewniej, a jednocześnie doznał dziwnego wrażenia, jak gdyby coś się w górach zmieniło. W nocy, kiedy spał w opuszczonym szałasie, słyszał kilkakrotnie nikły jak brzęczenie komarów warkot samolotów. Nad ranem obudziło go dalekie, dochodzące spoza leśnej ściany wołanie. Zerwał się, spakował plecak i o szarym, pełnym przejmującej ciszy brzasku, ruszył w dalszą drogę.

W górach leżał jeszcze głęboki śnieg. Z wielkim trudem prowadził ślad poprzez zalesione stoki, nagie upłazy, zalane wiosennym słońcem polany. Z daleka omijał osiedla. A jednak w południe natknął się na ludzi. Zaskoczyli go w głębokiej dolinie. I dziwnie w tych horehrońskich stronach zabrzmiała ich śpiewna mowa.

Radzieccy spadochroniarze początkowo podeszli do niego nieufnie, ale gdy się dowiedzieli, że wraca do Polski, zaczęli wypytywać o drogę na Kralową Holę, gdzie mieli punkt zborny i miejsce spotkania ze słowackimi partyzantami.

- Ja w tę samą stronę - powiedział z rozważą. - Możecie iść ze mną.

Po drodze przyłączył się do nich mały oddział robotników kolejowych ze Zwolenia, a potem dwóch dezertarów z hlinkowskiego wojska. Szli cały dzień i pół nocy. Dopiero gdy gwiazdy zaczęły blednąć na matowym niebie, pod niżną halą zatrzymała ich wysunięta placówka partyzancka. Wypruci z sił, przemarznięci znaleźli schronienie w nędznych szałasach. Kiedy wstali, był już pełny dzień. Słońce wstało wysoko nad garbatymi wzgórzami, a w dali w miedzianej poświacie widać było wysokie Tatry ze skalnym szańcem Garłucha na pierwszym planie. Świat wydawał się szeroki, ogromny.

- Zostań z nami - mówili do Bukowego słowaccy partyzanci. - Nowe czasy idą... Rusza się cała Słowacja... Dość mamy rządów księży i faszystów...

- Ja do Polski. Do swoich - odparł krótko.

Pożegnali go po bratersku, życzyli dobrej drogi. Znowu wybrał najtrudniejszą, najmniej uczęszczaną drogę. Gęstymi lasami wzdłuż stoków Wapiennicy przedzierał się w stronę doliny Czarnego Wagu. Droga, która w zwykłych warunkach trwałaby kilka godzin, teraz zajęła mu cały dzień. Pod wieczór z daleka zobaczył wieżę kościoła w Liptowskich Tepliczkach. Był już bardzo zmęczony. Znalazł więc okoloną gęstym młodnikiem polanę, rzucił się na splechcę wyłaniającego się spod śniegu mchu i czekał do zmroku. Miał przed sobą najtrudniejszy odcinek drogi - całą Kotlinę

Liptowską, gęsto usianą wsiami i osadami, pozbawioną lasów. Postanowił przebyć ją nocą.

Po dwóch dniach mozolnego kluczenia znalazł się wreszcie w Tatrach, w Dolinie Raczkowej. Ranek był mglisty. Śnieg twardy jak beton. Zdjął więc narty i leśnymi stokami zaczął wspinać się pod zbocza Magury. Chciał bowiem ominąć drogę biegnącą dnem doliny, często odwiedzaną przez patrole. Kiedy wszedł na górny skraj lasu, słońce przebiło się przez mgły, a z szarych kłębow wyłoniła się potężna i jakby przez mgły jeszcze wywyższona grań Bystrej. Skuty lodem szczyt płonął w pełnym blasku jak odlany z metalu. I granatowe pasmo cienia biegło wzdłuż śnieżnych nawisów.

Bukowy szedł przez wyłaniające się spod śniegu pole kosodrzewiny, krył się wśród załomów skalnych, przecinał przepastne zleby. Było pusto, mgły rozplływały się w prażącym słońcu, a cienie sunęły wolno po firnowych polach i stokach. Dochodził już do wyższego tarasu doliny, gdy nagle usłyszał ostrzegawczy gwizd. Po chwili spoza wielkich głazów wyłonił się człowiek z karabinem.

- Stój! - zawołał napiętym głosem. Bukowy zatrzymał się na śnieżnej płasni. Nie miał odwrotu. Tamten wolno zbliżał się do niego. Był w przepasanym rzemieniem serdaku, narciarskich spodniach, a na głowie miał wełnianą czapkę. Szedł wolnym, rozkołysanym krokiem człowieka obytego z górami. Kiedy zbliżył się na odległość rzutu kamieniem, zatrzymał się, podciągnął wyżej karabin i zawołał po słowacku:

- Coś ty za jeden?

- Nie widzisz? - odkrzyknął Bukowy. - Idę do Polski.

- Masz broń?

- Nie.

- To chodź do mnie.

Bukowy zszedł nieco niżej, między skały. Tamten śledził każdy jego ruch, a gdy znaleźli się twarzą w twarz, zapytał ostro:

- Człowieku, co tu robisz?

- Do Polski idę.

- Polak?

- Słyszysz, że Polak. Z Zakopanego.

- A czegoś tu szukał? Bukowy wzruszył ramionami.

- Wracam z Węgier... z Budapesztu. Tamten przyjrzał mu się uważniej. W jego ciemnych oczach pojawił się błysk zainteresowania.

- Z Budapesztu - powiedział przeciągle, a potem na jego młodej, zarośniętej twarzy zrodził się

uśmiech. - Ty... tak jakbym cię znał... Jakbym cię gdzieś widział.

- Możliwe... - Bukowy spojrzał na karabin, który chłopak wciąż trzymał w pogotowiu, lufą skierowany w jego pierś. - I odłóż tę pukawkę...

Tamten cofnął się, lecz nie opuścił karabinu.

- Jakbym cię gdzieś widział - powtórzył z naciskiem.

- Możliwe - zachnął się Bukowy. - Ja tu często przed wojną chodziłem. Byłem przewodnikiem...

- A znasz gajowego ze Stabejki?

- Martina? No a jakże...

- To mój ojciec. Teraz już wiem... W gajówce u ojca cię widziałem. - Opuścił wolno karabin.

- A ty - zahaczył nagle Bukowy - co ty tu robisz?

Młody Martin znowu wyżej podciągnął karabin, a jego chłopięcą twarz nagle stężała.

- Muszę de zaprowadzić do naszych. Taki mam rozkaz.

- Do naszych?... A któż to taki?

- Zaraz się przekonasz. - Skinął głową, nakazując, żeby ruszył przed nim.

- Wolałbym teraz wiedzieć. Partyzanci?

- Nie bądź taki ciekawy. - Przecie znasz mnie.

- Znam... ale rozkaz rozkazem - rzucił twardo i pchnął go lekko lufą karabinu.

Schodzili stromym zlebem, wśród kęp kosodrzewiny, sietniaczych skorusów i smreczków oblepionych cienką skorupą lodu, a gdy obeszli skalną zerwę, Bukowy ujrzał wydeptaną w śniegu ścieżkę, prowadzącą ku okapowi skalnemu. Znowu znaleźli się w kosodrzewinie. Wąziutka ścieżka ginęła w jej rozwichrzonych zasiekach, a potem doprowadziła ich na pochyłą płaszczyznę zasypaną drobnymi głazami. Pod skalnym nawisem Bukowy zobaczył dobrze zamaskowaną ścianę postawioną z nie okorowanych okrąglaków, a w ścianie zbite z surowych desek drzwi na rzemiennych zawiasach.

Naraz ktoś wewnątrz koliby pchnął drzwi. W pełnym słońcu ukazał się rosły mężczyzna o twarzy ostro rzeźbionej i przenikliwych, ciemnych oczach. Miał na sobie skórzaną kurtkę przepasaną wojskowym pasem, u którego wisiał w kaburze ciężki pistolet. Był bez czapki, a jego czarne włosy przetykała siwizna.

- Turysta! - rzucił żartobliwie na widok Bukowego, dźwigającego narty i plecak. - Na wycieczkę, co?

- Coś w tym rodzaju - odparł podobnym tonem.

- No to włącz, bracie! - ruchem głowy wskazał otwarte drzwi.

Bukowy oparł narty o ścianę.

- Czego ode mnie chcecie? - zapytał zaczepnie. - Puśćcie mnie, bo nie mam czasu.

- Wchodź - rozkazał tamten już ostrzej. - I nie bój się.

Bukowy musiał się schylić, by przejść przez niskie drzwi. W głębi panował półmrok. Kamienne ściany lśniły wilgotnym nalotem. W jednym kącie było legowisko wysłane cetyną i suchą, górską trawą, w drugiej stał zbity z surowych desek stół, a za nim ława. Na legowisku siedział młody góral. Czyścił rozebrany karabin. Ten w skórzanej kurtce zatrzymał się na chwilę w drzwiach i mówił coś cicho do młodego człowieka, który przyprowadził Bukowego. Naraz zatrzasnął drzwi.

- To wy pewno kurier z Budapesztu? - zagadnął bez wstępu.

Bukowy wzruszył ramionami.

- Po prostu wracam do Polski. Bo chyba wiecie, że w Budapeszcie już Niemcy...

- Wiem, wiem - rzucił pojednawczo. - A wy niepotrzebnie się boicie. My swoi... Siadajcie - szerokim ruchem wskazał ławę.

- Właśnie - powiedział z rozwagą Bukowy - nie wiem, z kim rozmawiam.

- Nie domyślacie się?... No, siadajcie, siadajcie.

Bukowy usiadł na skraju.

- Domyślać to się domyślam... Partyzanci?

- No... widzicie. - Przysunął bliżej opleciony wikliną gąsiorek. - Napijecie się?

- Nie, dziękuję. Jestem cholernie zmęczony. Już tydzień jak wyszedłem z Pesztu.

- Rozumiem - mruknął tamten i napełnił aluminiowy kubek. Zapachniało cierpkim winem. Pił drobnymi łykami. - Pewno mieliście ciężką drogę.

- Cholernie ciężka.

- Spotkaliście naszych?

- Tak... I ruskich spadochroniarzy.

- Tak... Teraz już niemal co dzień nowe zrzuty. - Nagle jego połyskliwe oczy baczniej drasnęły Bukowego: - A wy do Zakopanego?

- Tak. Naraz jego głos nabrał ostrości.

- Jak się nazywacie? Bukowy spojrzał zdziwiony. - Czy to ma jakieś znaczenie? Tamten uśmiechnął się przekornie.

- Może... Bo to zawsze lepiej wiedzieć, z kim człowiek ma do czynienia.

Bukowy mimo woli spojrzał na drzwi. Przez szpary widać było zalany słońcem śnieżny stok i zwisające z okapu sople. Były tak jasne, jak gdyby toczono z samego blasku.

- Ten, który mnie tu przyprowadził, mówił, że mnie zna. I ja znam jego ojca, gajowego ze Stabejki. Więc...

- Wiem - przerwał mu człowiek w skórzanej kurtce. - Ale ja dużo słyszałem o waszych kurierach.

- Od kogo?

- Od pewnego szofera z Dobszyny.

- Mika? - zawołał zdumiony Bukowy.

- Właśnie od Mika - powiedział tamten, potrząsając głową. - A wy to tacy ostrożni, że aż dziw...

- Od Mika? - powtórzył wesoło Bukowy. - A gdzie on teraz? W Budapeszcie mówili, że go aresztowali. To były wiadomości sprzed dwóch miesięcy.

- To prawda, że go aresztowali, ale po tygodniu puścili. Widocznie chcieli go śledzić, żeby znaleźć ślad do was, ale on prysnął w góry, do partyzantów.

- Gdzie on teraz jest? - zapytał Bukowy radośnie podniecony.

Człowiek w skórzanej kurtce rozłożył ręce.

- Żebym to ja wiedział. Pewno gdzieś w Niżnych Tatrach, pod Diumbirem... Byłem z nim razem w brygadzie Janosika... Świetny chłop... A potem przenieśliśmy się tutaj...

- Jeżeli go zobaczycie, to powiedzcie, żeście spotkali Bukowego. I pozdrówcie go ode mnie, ale tak od serca...

Mężczyzna wyciągnął wielką, osypaną ciemnym włosiem dłoń.

- To wy Bukowy... Miko najwięcej o was opowiadał... Ale się chłop ucieszy, ale się ucieszy...

W tym momencie za drzwiami usłyszeli zbliżających się ludzi. Ktoś kogoś głośno zawołał. Ktoś mówił przytłumionym głosem. Człowiek w skórzanej kurtce zerwał się, podszedł do drzwi i pchnął je mocno.

- Co tam, chłopcy? - zawołał nie wychodząc z koliby.

- Panie kapitanie, panie kapitanie - wołał ktoś z dołu. - Nasi rozbili pod Pribeliną cały oddział hlinkowców... Trzech zabitych... Jeden ranny... A jednego prowadzą...

Wnet w jasnej ramie drzwi Bukowy zobaczył trzech zbliżających się ludzi. Dwóch młodych słowackich górali prowadziło mężczyznę ubranego w zielony, myśliwski strój. Jeniec jak tylko ujrzał przed sobą dowódcę oddziału, zawołał wzburzonym głosem:

- Panie kapitanie, to jakieś nieporozumienie. Ja nic nie mam wspólnego z hlinkowcami. Ja tam byłem zupełnie przypadkowo...

Bukowy drgnął. Głos zbliżającego się człowieka wydał mu się dziwnie znajomy. Wytężył więc wzrok i przyglądał się jego sylwetce odbijającej się ostro od oślepiającego tła śnieżnych pól. Pod światło nie mógł zobaczyć jego twarzy, lecz i sylwetka przypominała mu kogoś. Dopiero gdy tamten wszedł do koliby i obrócił się bokiem, Bukowy zdumiał się jeszcze bardziej. Poznał Hubla. Ten był tak wzburzony, że nie zauważył siedzącego za stołem Bukowego.

- Ja tam byłem zupełnie przypadkowo - zawołał - Prosiłem ich, żeby mnie podwieźli autem...

- A kto wy jesteście? - zapytał ostro kapitan.

- Ja... - zastanowił się na ułamek chwili. - Urzędnik z Bratysławy. Byłem w Mikulaszu i prosiłem ich, żeby mnie podwieźli do Pribeliny. Przyjechałem w sprawie kupna drzewa...

- Kłamiesz! - zawołał młody góral, ciemny, ogorzały, o twarzy rumianej jak u dziecka. - On kłamie, panie kapitanie - zwrócił się do dowódcy. - Słyszeliśmy, jak im rozkazywał.

- Siedział w szoferce, na honorowym miejscu - dodał z boku drugi partyzant, niski chłopiec o kabłąkowatych nogach.

- Siedziałem w szoferce, bo tam mnie posadzili - odparł Hubl arogancko.

- Spokojnie! - osadził go kapitan. - Macie jakieś dokumenty?

Hubl sięgnął do wewnętrznej kieszeni myśliwskiej kurtki tak zamaszystym ruchem, jakby za chwilę miał wyjąć niezbity dowód swej niewinności, lecz dłoń jego utknęła jak w smole.

- Co za pech - powiedział już ciszej. - Może wypadły mi podczas tej szarpaniny.

- Kłamiesz - prychnął mu w twarz partyzant. - Pewno je wyrzuciłeś w krzaki.

Hubl zmierzył go pełnym nienawiści spojrzeniem, lecz udawał, że go nie słucha. Coraz

bardziej nerwowo przeszukiwał kieszenie. Kapitan przypatrywał mu się spod namarszczonych brwi. Naraz na jego twarzy ukazał się grymas zniecierpliwienia.

- Dosyć! - powiedział ostro. - Wyłóżcie wszystko, co macie w kieszeniach, na stół.

Hubl cofnął się. Jego ciemna twarz poszarzała.

- Przepraszam... o co mnie posadzacie?

- No, prędeż, prędeż - ponaglił go kapitan. Hubl wolno zbliżył się do stołu. Nagle zatrzymał się, jak gdyby go coś ścisnęło. W tej właśnie chwili zobaczył wpatzonego w niego Bukowego. Ich spojrzenia starły się jak rzucone przeciw sobie kamienie. Nastąpiła krótka chwila ciężkiego milczenia.

Bukowy oczami wyobraźni zobaczył go w hlinkowskim mundurze, na tle pokoju popradzkiej policji. Usłyszał - jak gdyby spoza kotary minionego czasu - pełen wyższości głos: "Zapominasz, że znaleźliśmy się po przeciwnej stronie..." A potem, jakby na zasadzie kontrapunktu, wywołał z pamięci słoneczny dzień w Chamonix, kiedy objęci braterskim niemal uściskiem pozwali francuskiemu fotoreporterowi do zdjęcia... Dwaj najlepsi zjazdowcy środkowej Europy...

W tej krótkiej chwili milczenia czas rozsypywał się w odpryski drobnych, prawie nieuchwytnych momentów, a w myśli nasunęło się pytanie: "Zdemaskować go, czy udąć, że go nie znam?"

Tymczasem stał przed nim człowiek, który cztery lata temu aresztował go i chciał wydać Niemcom. Bukowy poczuł, że krew bucha mu do głowy, a przed oczami zagęszcza się ćma. Uniósł się wolno, nachylił ku Hublowi i powiedział przez zaciśnięte zęby:

- Paweł, tośmy się jednak spotkali,

- To wy się znacie? - usłyszał z boku zdumiony głos kapitana.

Hubl drgnął, cofnął się, wykonał taki ruch, jak gdyby chciał uciekać. Po chwili jednak opanował się i pod ciężkim spojrzeniem Bukowego wymamrotał:

- Tak... startowaliśmy razem w zawodach.. To było - zaciął się. Poruszał jeszcze wargami, lecz nie mógł wydusić głosu z zaciśniętego strachem gardła.

W tę krótką chwilę ciszy wdarł się nabrzmiąły wściekłym gniewem okrzyk:

- To jest Hubl... Ja go poznaję! - Młody góral, który do tej pory w kącie na legowisku czyścił spokojnie karabin, raptem zerwał się, doskoczył do partyzanta, jednym szarpnięciem wyrwał mu automat. - To Hubl! - odtrącił drugiego, tego na kabłąkowatych nogach i, szarpnąwszy Hubla za ramię, odwrócił go ku sobie: - To ty - zawołał - zarąbałeś mojego brata w Wychodnej! Teraz ja cię rozwałę! - Uniósł wyżej lufę automatu, lecz w tej samej chwili kapitan podbił mu broń wymierzoną w pierś Hubla, seria pocisków poszła w okrągłaki. Posypały się drzazgi. Cała koliba napełniła się hukiem i dymem.

- Jano! - krzyknął ostro kapitan. Złapał za dymiącą jeszcze lufę automatu. - Cc ty robisz, Jano!

Góral patrzył chwilę na gniewną twarz kapitana. Jego zaciśnięte gniewem usta przełamał grymas płaczu.

- Panie kapitanie... panie kapitanie, to on... to on rozwalił mojego brata...

- Wyjdź! - rozkazał twardo dowódca. Chłopiec opuścił głowę. Oddał automat towarzyszeni i wolnym krokiem wyszedł z koliby. Kapitan przeniósł wzrok na Hubla.

- Hubl - powiedział przez zaciśnięte zęby. Zamierzył się, lecz jego ciężka ręka zawisła w powietrzu i opadła. Kapitan splunął Hublowi pod nogi. - Hubl - dodał już ciszej - my z wami teraz pogadamy.

4

Kiedy opuszczał kolibę, Hubla wyprowadzali do lasu. Jeszcze raz ich oczy spotkały się w krótkim, męskim starciu. Bukowy w jego oczach nie wyczuł ani żalu, ani oskarżenia. Hubl patrzył twardo, jakby chciał powiedzieć: "Trudno, przegrałem... Tak być musiało".

"Tak być musiało... - powtórzył w myśli Bukowy, kiedy przypinał narty. Zaprowadzą go w największą gęstwinę i rozwalą jednym wystrzałem, żeby nie robić huk. Tak podyktowało bezlitosne prawo wojny... Bezlitosne, czasem ślepe, ale w tym wypadku sprawiedliwe..."

Potem, kiedy ostrym zakosem wspinał się pod Raczkową Przełęcz, jeszcze raz pomyślał o Hublu. Zobaczył go na nartach, z numerem startowym na piersiach, jak płynnie mijał w pędzie slalomowe bramki... Takim chciałby go zatrzymać w pamięci...

Pod wieczór był już w Chochołowskiej. Drogę wskazywał mu wrodzony instynkt człowieka gór i wyostrzona uwaga. Myślał, że warto nadrobić kilka kilometrów, byle nie natknąć się na niemiecki patrol. Przeciął więc dolinę i stromym żlebem wspiął się na Chochołowskie Mnichy, potem na Bobrowiec, a z Bobrowca leśną granią zszedł na Halę Przysłop.

Kiedy zbliżał się do szałasów, w lesie panował już mrok. Tylko dalekie szczyty, wyłaniające się spośród świerków, żarzyły się jak dogasające stosy. A niebo nad nimi było granatowe i przepastne.

Wybrał najbliższej położony szałas. Postanowił w nim spędzić noc.

Spał mocno i długo, a kiedy się obudził, słońce wysoko już stało nad Kominiarskim Wierchem. Niebo było czyste, a mroźne powietrze wróżyło pogodny dzień. Zebrał się szybko. Na

małej wiatrze stopił w menażce bryłę czystego śniegu, zagotował wodę i zrobił herbatę. Z wielkim apetytem zjadł resztki czerstwego chleba z wędzoną słoniną. Pokrzepiony ruszył w dalszą drogę. Wciąż trzymał się grani między Chochołowską a Bobrowiecką. Kiedy doszedł do Siwiańskich Turni, zobaczył przed sobą skalną grzędę. Słońce grzało mocno w plecy, a pod rozmiękłym śniegiem ciurczyła woda. Niżej, w lesie śpiewały już zięby. Ich wiosenny zew niósł się wesoło poprzez rozslonecznione rozłogi.

Za przełęczką drogę zagroził mu wielki jak dom głaz, obrzeżony gęsto kosodrzewiną. Ominął go dołem po piargu i wyszedł na trawiastą płasienkę. Chwilę przedzierał się przez kosówkę, a gdy stanął na wygrzanej słońcem trawiastej półce, znieruchomiał z wrażenia. Niżej, pod stromą skałą, leżało dwóch mężczyzn. Wygrzewali się w słońcu.

Bukowy chciał się cofnąć, lecz zahaczył butem o kamień i stracił go z grzędy. Tamci dwaj zerwali się jak wyrzuceni sprężyną. W ich gwałtownych ruchach było więcej przerażenia niż bojowości. Jeden z nich, wysokie chłopisko, ryzawe, z opuchniętą czerwoną gębą, porwał leżący na ziemi karabin.

- Stój! - zawołał zdławionym głosem.

Bukowy opuścił bezradnie ręce. Był tak zaskoczony, że nie próbował nawet uciekać. Stali chwilę w milczeniu, badając się czujnymi oczyma. Bukowy ocenił ich w jednej chwili: ten rzyż miał na sobie niemiecki, skórzany płaszcz i niemieckie saperki. Można by rzec, Niemiec, gdyby nie dziwne nakrycie głowy, składające się z miękkiego, filcowego kapelusza, przewiązanego pod brodą wełnianym szalikiem. Drugi - niski, żyłasty, o twarzy przypominającej tapira, był w nowym prawie futrze, pokrytym czarnym bostonem i przyozdobionym bogatym bobrowym kołnierzem. Palto sięgało mu niemal kostek, a dołem było wystrzępione. Widać jego właściciel przeszedł w nim szmat drogi. Obaj byli uzbrojeni i obaj patrzyli spode łba. Jednym słowem - typy spod ciemnej gwiazdy.

Bukowy odetchnął z ulgą. Niezawodny instynkt mówił mu, że tym razem nie grozi mu niebezpieczeństwo. Zawołał więc wyzywająco:

- Czego chcecie?

- A ty czego tu szukasz? - odkrzyknął ten chudy i bliżej przysunął do siebie myśliwski sztucer.

- I coś ty za jeden? - dodał ponuro Rzyż.

- Ja was o nic nie pytam - powiedział Bukowy. - Idę swoją drogą.

Zamienili niepewne spojrzenie, jakby się chcieli naradzić. Bukowy wyczuł chwilę wahania. Ruszył szybkim krokiem. Spod butów usypał się piarg, drobne kamyki toczyły się na leżącą niżej łachę śniegu. Kiedy zbliżył się na kilka kroków, Rzyż zastopował go.

- Stój! I powiedz, skąd idziesz?

- Skąd mogę iść? - odparł kpiąco. - Przecież dobrze widzicie.

Ten chudy wysunął z bobrowego kołnierza zniszczoną, osypaną rzadkim zarostem twarz.

- Nie widziałeś Niemców?

- Nikogo nie spotkałem.

- A może partyzantów? - zagadnął już łagodnie Ryży.

- Mówię wam, że nie spotkałem żywej duszy. - A ty?... Dokąd, bracie? - rzucił niemal przyjaźnie.

- Przed siebie.

- Każdy przed siebie idzie... ale wie dokąd.

- Co ci z tego przyjdzie, jak ci powiem, że do Nowego Targu.

Ryży uniósł ramiona gestem zniecierpliwienia.

- Coś ty taki hyrny i honorowy. Nawet po ludzku nie chcesz pogadać.

- Bo nie mam czasu.

- He... - zaśmiał się Chudy - nie masz się do czego spieszyć. Wcześniej czy później cię złapią.

Bukowy odwzajemnił się nic nie znaczącym uśmiechem. Ruszył przed siebie, jakby ich chciał ominąć, ale Ryży zagroził mu drogę karabinem.

- Co się tak spieszysz, bracie - powiedział przeciągle. - My do ciebie jak ludzie, a ty... bracie...

- To mów, czego chcecie? - powiedział ostro. Chytre spojrzenie Chudego spoczęło dłużej na plecaku.

- Masz żarcie?

- Mam trochę, ale mi chyba nie zabierzecie. Czeka mnie jeszcze długa droga.

- Ty - w oczach Ryżego zapaliły się gniewne błyski - ty z nami nie żartuj. Podzielimy się tym, co masz. Tak będzie sprawiedliwie.

A Chudy dodał, szczerząc próchniejące zęby:

- Od dwóch dni nie jemy.

Bukowy pomyślał, że za cenę puszek konserw nie warto ryzykować. Rzucił na piarg narty, zdjął plecak, położył go na płaskim kamieniu i szybko rozsznurował. Na wierzchu miał jeszcze dwie węgierskie konserwy i kawałek paprykowanej słoniny. Rzucił więc konserwę Ryżemu. Ten złapał ją

w locie.

- I co jeszcze? - zagadnął, waząc puszkę w ciężkiej jak łopata łapie.

- Mam kawałek słoniny, ale nie ma się czym dzielić.

- To daj cały - zaśmiał się Chudy. Bukowy sięgnął po słoninę.

- Masz! Na zdrowie!

- Coś ty taki honorowy - warknął ponuro Ryży. - Pokaż no, bracie, ten plecak, może coś jeszcze znajdziemy.

Bukowy schylił się gwałtownie, poderwał plecak z ziemi.

- Plecaka mi nie zabierzecie.

Ryży cofnął się o pół kroku. Wolnym ruchem uniósł karabin na wysokość piersi Bukowego.

Ten zobaczył okrągły otwór lufy i rtęciowy blask na oksydowanej stali. Cofnął się.

- Czego chcesz? - zapytał przez zaciśnięte zęby. - Dostałeś więcej, niż chciałeś.

- Daj mu spokój, Wacek - powiedział Chudy pojednawczo.

- Ty się nie wtrącaj. Niech nie będzie taki honorowy. Naraz jego czerwona, strupiasta twarz sposepniała, a w oczach na dnie źrenic pojawił się groźny błysk. - Dawaj plecak! - skinął głową na Bukowego.

Jędrak w tej samej chwili pomyślał o puszcze z ovomaltiną. Co będzie, jeśli znajdą pieniądze. Puskę miał schowaną głęboko w śpiworze. Może jej nie znajdą. A jeśli zechcą zabrać mu śpiwór?... Wahał się.

- No dawaj! - wrzasnął Ryży i wyżej podciągnął karabin.

- Ty... tego mi nie zrobisz - rzucił zuchwale Bukowy. Nagle zwrócił się do Chudego, w którego oczach wyczytał cień współczucia: - Powiedz mu... Ja wam mogę dać jeszcze jedną puszkę.

- Dawaj plecak! - usłyszał napięty do granic wytrzymałości głos Ryżego i zobaczył, że tamten repetuje karabin.

- Masz! - rzucił mu plecak pod nogi. Ryży kopnął go w stronę kamrata.

- Przeszukaj, Zenek!

Chudy, nie spiesząc się, chwycił plecak za rzemienie, przewrócił i kilkoma potrząśnięciami wysypał na piarg całą jego zawartość. Menażka i puszka konserw potoczyły się po stromiźnie. Na

wierzchu został zapasowy sweter, bielizna i zwinięty śpiwór. Ryży cofnął się, trzymając cały czas Bukowego na muszce. Zerknął bokiem na śpiwór.

- Co to? - zapytał zdziwiony.

- Taki worek do spania - powiedział cicho

Chudy. Chwycił śpiwór za dwa rogi i jednym rzutem rozwinął go. Chwilę kręcił głową: - Niezła rzecz. Przyda się...

- Jeszcze żeby dwa były... - dodał z mdłym uśmiechem Ryży. - Nie masz drugiego? - zapytał kpiąco Jędrka.

Ten milczał. Drżał cały. Jeżeli mu zabiorą śpiwór, a ze śpiworem puszkę z dolarami, to cała wyprawa na nic... "Tyle dni poniewierki" - pomyślał, nie spuszczając tamtych z oczu.

Chudy tymczasem rozłożył śpiwór na piargu i śmiejąc się, położył się na nim.

- Dobra rzecz - powiedział do Ryżego. - Przeciwreumatyczny worek do spania. Ja śpię pierwszą noc... - Naraz poderwał się i nerwowymi ruchami zaczął obmacywać płachtę śpiwora. - Coś tu jest, bo tak strasznie gniecie... - powiedział do siebie.

Bukowy z przerażeniem zobaczył, że Chudy pod delikatnym jedwabiem wymacał puszkę. Po chwili wyciągnął ją ze śpiwora i ze zdumieniem pokazał Ryżemu.

- Patrz, Wacek...

Tamten obejrzał się na chwilę. Bukowy szybkim jak mgnienie skokiem dopadł go, chwycił za lufę. W tej samej chwili padł strzał. Głuchy łoskot podniósł się po leśnym roztoczu i zmaćił ciszę. Jędrak nie wypuścił lufy. Dobrze wymierzonym ciosem kolana ugodził Ryżego w brzuch, jednym szarpnięciem wydarł mu karabin. Ryży zgiął się jak ścięty. Upadł. Ten drugi sięgnął po leżący na ziemi sztucer, lecz zanim go podniósł, dostał straszliwy cios kolbą w szyję. Zwinął się jak poczwarka, stoczył po piargu na łachę brudnego śniegu. Tam szeroko rozpostarł ramiona i zamarł na chwilę.

Jędrak doskoczył do plecaka. Zaczął go pośpiesznie pakować. Wpychał bezładnie bieliznę, sweter, śpiwór, a potem zbiegł kilka kroków niżej i spośród kamieni podniósł puszkę z pieniędzmi...

W tym momencie Ryży podniósł się na kolana.

- Zostaw choć karabin - jęknął, krzywiąc z bólu usta.

- Ty bandziorze! - zaklął Bukowy. - Żebyś mógł rabować, napadać...

- Zostaw... Zginiemy z głodu. Bukowy mocniej ścisnął karabin.

- Najchętniej to bym cię rozwalił, bandyto!

- Tyś nie lepszy - jęknął Ryży. Podźwignął się na rękach, wstał. Twarz miał jeszcze skrzywioną bolesnym grymasem, a oczy pełne hamowanego gniewu. Dyszał ciężko. - Tyś nie lepszy od nas!

Bukowy podszedł do plecaka. Szybko wepchnął puszkę między bieliznę. Zasznurował plecak, a potem sztucer przewiesił przez ramię. Spojrzał na tamtych. Ryży stał zgięty, trzymając się obiema rękami za brzuch. Chudy wciąż jeszcze leżał na śniegu. Jęczał.

Jędre skinał lufą karabinu na Ryżego.

- Ty... Ja odchodzę, a wy... Wy tu zostaniecie jeszcze pół godziny. Nie ruszajcie się z tego miejsca, bo jak was spotkani, to zastrzelę. Rozumiesz?

Tamten łypnął gniewnie oczami.

- Miej litość... Zostaw przynajmniej sztucer. Bukowy nie spojrzał już na niego. Zarzucił na ramiona plecak, szybko zaczął schodzić po śnieżnej łąsce, a potem, gdy znalazł się już w lesie, puścił się biegiem.

"Co za pech - pomyślał. - I tacy szmatławcy mogli mnie wykończyć".

Przypomniawszy sobie słowa Smygi, kiedy żegnali się w Budapeszcie. "Pan jest najbardziej doświadczony, a przy tym sprzyja panu szczęście..." Uśmiechnął się do tej myśli. Miał ogromne szczęście. Co by to było, gdyby ten Ryży o ułamek sekundy wcześniej nacisnął spust, albo ten drugi wcześniej podniósł z ziemi sztucer? Albo... Nie chciał o tym myśleć. Doznał takiego uczucia, że teraz bez przeszkód dojdzie do Rabki. Miał dobrze obmyśloną trasę. Wzdłuż Siwego Potoku zejdzie ku drodze prowadzącej do Czarnego Dunajca, przetnie ją w zalesionym miejscu, potem trawersem wejdzie na Palenicę, a z Palenicy przez Ciche, Maruszyne będzie się pchał w stronę Gorców... Nie da się już zaskoczyć...

Nad potokiem znowu przypiął narty. Zjazd był ciężki. Wezbrana woda przebijała już lody, z szumem toczyła się wśród głazów. Trzeba było zjeżdżać wzdłuż stromego brzegu, wymijając gęste smreczyny, wspinać się i kluczyć wśród pni.

A jednak ta karkołomna jazda sprawiała mu przyjemność. Miał takie wrażenie, jakby przejeżdżał gigantyczną trasę slalomu. Wnet znalazł się przy czarnodunajskiej drodze...

Tutaj rozejrzał się bacznie. Miał ze sobą karabin i sztucer. Sztucer postanowił zatrzymać. Zawsze raźniej idzie się z bronią. Karabin jednak trzeba było zostawić. Zastanawiał się, gdzie? Tymczasem ruszył w stronę rzeki. W tym miejscu Czarny Dunajec rozlewał się szeroko na rozległym kamieńcu, woda była płytka. Zatrzymał się więc na brzegu. Z boku, o kilkadziesiąt metrów, zobaczył starą szopę. Doszedł do niej. Od strony rzeki, pod dachem, leżały ułożone pod ścianą deski. Znalazł w ich stercie szeroką szparę. Wsunął weń karabin. Potem zatrzymał się na chwilę nad rzeką. Było cicho. Tylko woda szumiała w skalnym łóżysku, a lód krucho pękał przy brzegach. Jeszcze raz się rozejrzał. Na drugim brzegu rosły wysokie olchy, a wśród kamieni rudymi pękami krzewiła się wiklina. Na śniegu nie było ani jednego śladu. Szybko ruszył. Wszedł do wody. Silny prąd podcinał

mu nogi, a śliskie kamienie usuwały się spod butów. Nie zwracał na to uwagi. Szedł coraz szybciej i coraz bliżej był drugiego brzegu... Naraz jakiś cień przemknął wśród szarych pni olch. W tej samej chwili Bukowy usłyszał okrzyk: - Halt! Hände hoch!

5

Oficer gestapo, który go przesłuchiwał, nazywał się Lemke. Miał przyłizane włosy, nieskazitelny przedziałek, czoło gładkie jak naciągnięty pergamin, twarz podłużną, kanciastą i wąskie, proste jak sina krecha usta. Nosił szkła, a za tymi szklami tkwiły głęboko osadzone, chłodne oczy. Mówił dobrze po polsku.

- No tak... - powiedział cicho. Wolnym ruchem otworzył leżącą przed nim teczkę, wyjął z niej trzy legitymacje. Przesuwał je chwilę długimi, kościstymi palcami. Potem otworzył pierwszą. Z dozą sarkazmu przeczytał: - Budaj Antal, urodzony w Sopron. - Podsunął ją bliżej Bukowemu, jak gdyby chciał się z nim droczyć. Po chwili rozłożył niewielką książeczkę oprawną w brązowe płótno: - Ondrej Gasperek, urodzony w Nitrze, obywatel słowacki... - Wreszcie nerwowym ruchem podniósł do oczu kennkartę z niemieckim stylizowanym orłem. - Walery Pawłowski, urodzony w roku 1913 w Limanowej, zamieszkały w Kasinie... Pięknie, co? - Rzucił kennkartę na biurko, otworzył leżącą obok teczki kopertę, a z niej wyłuskał fotografię dużego formatu. Przyjrzał się jej ze zjadliwym uśmiechem, potem podsunął pod oczy Bukowemu. Na zdjęciu Jędrzek zobaczył siebie z numerem startowym na piersi i z nartami na ramieniu. Gestapowiec uśmiechnął się kpiąco. - A to kto?

- To ja - odparł spokojnie Bukowy. - A tamci trzej ?

- To też ja.

- A teraz jak się nazywasz?

- Andrzej Bukowy.

- Sportman, narciarz, przewodnik... Pięknie, co? A tak głupio wpadłeś... - Ruchem niemal doskonale spokojnym, urzędniczym odłożył fotografię, zajrzał do papierów w teczce. - Masz tu u nas duże konto... W lutym czterdziestego roku ucieczka z więzienia w Popradzie... Pierwszy list gończy... Nagroda dziesięć tysięcy koron... Rok później napad na eskortę policji słowackiej w Lubotyniu i odbicie więźnia... Drugi list gończy... Nagroda pięćdziesiąt tysięcy koron... Matka Agnieszka, z domu Hyc, w Auschwitz... Siostra, Bronisława, poszukiwana przez Polizei... No, pięknie, co?... - Naraz zgarnął wszystkie papiery do teczki. Zamknął ją z hukiem, a potem spojrzał dociekliwie: - Widzisz, że mamy o tobie dokładne informacje i cierpliwie czekaliśmy na ciebie. - Wolnym ruchem przysunął do siebie puszkę ovomaltyny, przechylił ją i na biurko wysypał zwinięte banknoty. - A teraz powiedz, skąd masz te dolary?

- Już wam raz mówiłem - odparł niemal spokojnie Bukowy.

- Kłamałeś - powiedział syczącym szeptem oficer, - Nikt nie uwierzy, że to twoje pieniądze.

- Handlowałem w Budapeszcie złotem.

Na sinych wargach gestapowca pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiezek,

- Ty... Bukowy... zastanów się lepiej, bo teraz jeszcze rozmawiamy spokojnie. - Wtem jego blada twarz nabrała groźnego wyrazu: - Mów, od kogo masz pieniądze i dla kogo je niosłeś?

- Mówiłem... Gestapowiec przerwał mu ostro:

- Takie bajeczki to nie dla nas. Nikt ci nie uwierzy, że zarobiłeś dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

- Jeżeli nie wierzycie, to trudno. Nic innego nie mogę wam powiedzieć.

- Byłeś przecież kurierem.

- Nigdy nie byłem kurierem. Przeprowadzałem ludzi przez granicę za pieniądze, a potem w Budapeszcie handlowałem...

- Genug! - wrzasnęła Lemke. Wnet jednak opanował się i jął mówić z jadowitą uprzejmością: - Ty, Bukowy... dam ci jedną radę... Za długo czekaliśmy na ciebie, żebyś teraz robił z nas wariatów. Ja lubię sportowców i postaram się być wyrozumiałą. Wszystko zależy od ciebie. Jeżeli będziesz rozmawiał z nami po ludzku i powiesz wszystko, jak było, postaram się, żeby nie stała ci się krzywda... W przeciwnym razie, wiesz dobrze, co cię czeka...

- Wiem - powiedział niemal zuchwale Bukowy.

- To dobrze, że wiesz... Ale ja ci jeszcze przypomnę. Po pierwszym przesłuchaniu będziesz jeszcze zaciskał zęby i upierał się przy swoim. Po drugim zaczniesz się zastanawiać, czy warto się upierać, a po trzecim będziesz szmatą... szmatą, rozumiesz... i będziesz mówił to, czego od ciebie zażądamy. Więc po co niepotrzebnie przedłużać sprawę, skoro możemy załatwić wszystko czysto i szybko.

Bukowy spojrzał na martwą jak maska twarz gestapowca. W jego szklach widział własne odbicie, fragment okratowanego okna, a za oknem szare konary nagich drzew. Pomyślał, że może teraz, kiedy go jeszcze nie męczą, powinien wytoczyć ten ostatni argument, w którym pokładał wszystkie nadzieje. Wnet jednak zrozumiał, że za wcześnie. Nie uwierzą. Najpierw musi przejść pierwsze bicie, żeby myśleli, że mówi pod presją.

Wzruszył więc lekko ramionami i powiedział z rozmysłem:

- Macie protokół z pierwszego przesłuchania. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Lemke zabębnił palcami na krawędzi biurka.

- Zastanów się, Bukowy.

- Już dobrze się zastanowiłem.

Lemke wstał. Jeszcze raz rzucił Bukowemu przelotne spojrzenie... Po chwili wyprostował się i zawołał suchym głosem:

- Brauer!

Ktoś pchnął drzwi, a w progu ukazał się niski, krępy gestapowiec o twarzy płaskiej i blisko siebie osadzonych oczach. Trzasnął obcasami, wyprężył się w służbistym oczekiwaniu.

Lemke uczynił krótki ruch ręką.

- Wyprowadzić go!

*

Po godzinie przy wlekli go znowu do pokoju Lemkego. Kiedy wchodził, w szklach gestapowca zobaczył swoje odbicie. Przeraził się. Z rozciętej wargi na brodę spływała strużka krwi. Twarz miał siną, a oczy ginęły w opuchliznie i krwawych naciekach. Nie poznał siebie.

Lemke przywitał go szyderczym uśmiechem.

- I po co ci to było, Bukowy? Zastanowiłeś się?

- Tak - powiedział z chłodną rozwagą.

- Więc skąd masz te dolary?

- Zrabowałem.

Lemke znieruchomiał. Otworzył usta w bezgranicznym zdumieniu, lecz po chwili zmarszczył brwi i rzucił ostro:

- Nie żartuj, Bukowy.

- Ja wcale nie żartuję... Możecie sprawdzić.

- Zrabowałeś? - w głosie gestapowca zabrzmiała nutka kpiny. - Ty... patriota, bohater... zrabowałeś pieniądze.

Bukowy wyruszył ramionami.

- Trzeba żyć... Zabezpieczyć się na przyszłość...

Lemke trzepnął dłonią w blat biurka.

- Das ist unmöglich - rzucił po niemiecku - Du, mensch... Ty mnie chcesz wykiwać...

- Możecie sprawdzić - powiedział Bukowy z naciskiem. - Skumałem się z takimi dwoma... Spotkałem ich w górach... Razem napadaliśmy na ludzi po naszej i po słowackiej stronie...

- Z jakimi dwoma?

- A tacy jedni... Oni jeszcze grasują...

Lemke odsunął się od biurka, jakby chciał lepiej przyjrzeć się przesłuchiwanemu.

- Das ist unmöglich... - powtórzył cicho. - My dobrze wiemy, coś ty robił przez te lata. Byłeś kurierem.

Bukowy uśmiechnął się.

- Niech pan się dobrze zastanowi, czy kurier przechodziłby granicę ze strzelbą myśliwską i z karabinem. Możecie to sprawdzić.

- A skąd miałeś tę broń? - wrzasnął wyprowadzony z równowagi gestapowiec.

- Napadliśmy na słowackiej stronie na jednego leśniczego.

- Gdzie?

- A to było w Małej Fatrze, gdzieś pod Czyczmanami. A potem napadliśmy na adwokata pod Mikulaszem... Zabraliśmy mu złoto i futro z bobrowym kołnierzem. Jeżeli uda wam się złapać tych dwóch, to się przekonacie...

Lemke zerwał nagle okulary, wyjął chusteczkę i przecierał szkła nerwowymi ruchami.

- Złoto, mówisz? A gdzie macie to złoto?

- Ukryliśmy w górach...

- Gdzie?

- W górach - powiedział przeciągle Bukowy. - Mogę was zaprowadzić. Wtedy pan przekona się na własne oczy.

- Ile tego jest?

Bukowy spojrział ukradkiem na puszkę z dolarami.

- Dobrze to nie wiem, ale na pewno dużo więcej niż w tej puszcze, bo są i pieniądze...

- Pieniądze... - powiedział Lemke w zamyśleniu.

Naraz wstał, podszedł do okna i odwrócił się plecami, jakby nie chciał pokazywać twarzy. Bukowy śledził każdy jego ruch. Wiedział, że w tym momencie rozstrzyga się jego los. W ruchach gestapowca wyczuł wahanie. Nagle tamten odwrócił się, chwilę patrzył przenikliwie w oczy Bukowego, jak gdyby pragnął przejrzeć go na wskroś i wyczytać prawdę. Jędrak wytrzymał to spojrzenie. Lemke podszedł bliżej, oparł się o biurko, nachylił i powiedział przez zaciśnięte wargi:

- Bandyta!... - W głosie jego zabrzmiała ni to nuta rozczarowania, ni podziwu. Potem nachylił się jeszcze głębiej: - Ty, Bukowy - cedził przez zęby - masz ostatnią szansę, ale pamiętaj, jeżeli przekonam się, że to bujda, każę cię na miejscu rozstrzelać. - Wyprostował się, sięgnął po leżącą na biurku papierośnicę. Zapalił. Potem nagle zawołał: - Brauer!

Po chwili w drzwiach zjawił się ten sam gestapowiec, który wyprowadzał Bukowego poprzednio. Trzasnął obcasami.

- Brauer - powiedział Lemke, nie patrząc na Jędrka - posadźcie go w oddzielnej celi i dajcie mu dobrze zjeść, z naszej kuchni, rozumiecie... I jeszcze jedno. Zawołajcie lekarza, żeby go dobrze opatrzył. Jutro musi być w dobrej kondycji.

6

Wybrał to miejsce z rozwagą doświadczonego taternika. Kiedyś, przed wojną, ściągał z Pogotowiem z tego żlebu zabłąkanego we mgle narciarza. Pamiętał dokładnie każdy szczegół terenu. Żleb początkowo łagodnie spadał z Trzydniowiańskiego Wierchu ku Starorobociańskiej. Potem urywał się stumetrową zerwą. Z prawej była skalna grzęda, którą można się było przedostać do sąsiedniego, bardzo stromego żlebu schodzącego na dno doliny. Tędy można było uciekać. W wyobraźni sto razy układał plan działania i sto razy widział odmienną sytuację. Wreszcie postawił wszystko na los przypadku. Jedno było pewne: jeżeli nie zdoła uciec, będzie zgubiony.

Na Trzydniowiański podchodzili od strony Jarząbczej. Było ich razem sześciu: on, Lemke, dwóch gestapowców i dwóch grenzschutzów z oddziałów strzelców alpejskich. Szli bez nart. Od Jarząbczej wspinali się hawiarską drogą. Ranek był pogodny i mroźny. Śnieg leżał twardy, sfirnowy. Cienie smreków kładły się na białe pola zębatymi plamami jak harpuny. W załomach skał było granatowo, firnowe pola błyszczały jak rozpalone blachy, głos kroków niósł się swobodnie w rozrzedzonym powietrzu.

Szli w milczeniu. Przodem dwóch strzelców, za nimi Bukowy, dwóch gestapowców, a na końcu Lemke. Twardy śnieg chrząścił pod narciarskimi butami, osypywał się ziarniście. Słysząc było ciężkie oddechy. Bukowy bał się jednego: żeby tylko nie ustać w drodze. Czuł bowiem, że ogarnia go słabość. Miał za sobą osiem dni z Budapesztu i dwa dni udręki w gestapo. Po wczorajszym przesłuchaniu cały był obolały. Najbardziej dokuczały mu pogruchotane żebra. Nie mógł swobodnie oddychać ani poruszać się. Zaciskał jednak zęby i nie dawał poznać, że idzie ostatkiem sił.

Wydostali się wreszcie na grań. Stanęli na niewielkim siodełku, od którego ku Starorobociańskiej opadał ten żleb.

- To tutaj, niedaleko - powiedział Bukowy pokazując wyciągniętą ręką turniczki wznoszące się na grzędzie.

Tamci spojrzeli z niedowierzaniem.

Widok był groźny: na grani wznosił się wysoki nawis śnieżny, pod nim było śnieżne pole zwężające się ku stromemu żlebowi. W padającym od nawisu cieniu wydawało się strome, przepastne. Żeby dojść do turniczek, trzeba było sforsować nawis, przeciąć stromy żleb i wspiąć się na prostopadłe skały.

- Ale wybrałeś sobie miejsce - powiedział ponuro Lemke.

Bukowy wzruszył tylko ramionami. Dwaj strzelcy alpejscy zbliżyli się do krawędzi nawisu. Jeden z nich odezwał się, kręcąc bezradnie głową:

- Trudne przejście. Nie wiem, czy damy radę. Trzeba było zabrać linę i czekany.

Bukowy zrozumiał ich. Podeszedł do tamtych, spojrzął w dół, a potem pewnym głosem powiedział w stronę Lemkego:

- Trzeba zeskoczyć z nawisu, a później to już głupstwo.

Lemke przełożył jego słowa na niemiecki. Strzelcy jeszcze chwilę kręcili głowami, wnet jednak jeden z nich usiadł na twardym, zlodowaciałym nawisie, ostrożnie ześliznął się w dół. Poniosło go może z dziesięć metrów, lecz zręcznie przyhamował krawędziami butów i zatrzymał się na stromiźnie.

- Można! Można! - zawołał z ulgą.

Lemke skinął na Bukowego.

- No, Bukowy... Tylko nie próbuj uciekać. Jędrak rozejrzał się. Dwaj gestapowcy stanęli po obu stronach Lemkego z gotowymi do strzału automatami. Ich czarne sylwetki ostro odbijały się od czystego nieba. Drugi strzelec szukał dogodniejszego zejścia w nawisie. Bukowy w jednej chwili ocenił sytuację. Teraz nie mógł uciekać. Gestapowcy sprzątnęliby go z automatów, zanim zdążyłby ześliznąć się do gardzieli żlebu. Jedyne wyjście zejść niżej i schować się za przechył

- No, Bukowy - usłyszał napięty głos Lemkego.

Czas nagiął. Usiadł więc na krawędzi nawisu, wolno ześliznął się na stromiznę. Był tak słaby, że ledwo utrzymał się na nogach. Zdążył jednak przyhamować i zatrzymać się obok oczekującego nań strzelca. Drugi strzelec czekał jeszcze chwilę, ale wnet i on ześliznął się z nawisu. Wzięli go między siebie. Zaczęli schodzić. Po chwili okrył ich cień. Od żlebu wiał ostry wiatr, a śnieg był twardy jak beton, pokryty cienką skorupą łupliwego lodu. Strzelec szedł ostrożnie. Krawędziami butów rąbał ledwo zaznaczające się stopnie. Bukowy wyczuł, że Niemiec się boi, bo stopnie były coraz skąpsze i coraz słabiej pracowały napięte mięśnie nóg. Zerknął w górę. Sylwetki stojących na nawisie gestapowców zniknęły już do połowy. Spojrzał przed siebie. Strzelec zatrzymał się na chwilę, jakby się zachwiał. I wtedy Jędrak nie wytrzymał. Kilkoma drobnymi, niezwykle szybkimi krokami był już przy nim. Wyglądało to tak, jak gdyby chciał mu pomóc, lecz w momencie, gdy go dosięgnął, podciął mu nogi.

Wszystko nagle stało się ruchem. Strzelec z zawrotną szybkością zaczął się staczać w gardziel zlodowaciałego żlebu. Jeszcze się bronił, jeszcze starał się unieść na nogi, lecz znowu go poderwało i coraz szybciej sunął ku przepaści.

Bukowy utrzymał się na nogach. Zakantował lekko krawędziami butów, niby w narciarskim szusie ugiął kolana i niesiony pędem, kierował się ku skalistej grzędzie. Nad nim ktoś krzyknął, ktoś zaklął głośno. W tej samej chwili krótka seria z automatu wdarła się w ciszę. Słyszał nad głową suchy świst pocisków. Już był na grzędzie. Z ogromnym pędem wpadł na trawiastą płasienkę. Zdawało się, że go zwinie, że nie wytrzyma tego straszliwego naporu, lecz on jak skoczek odbił się od skalnego występu i płynnym szusem przesadził kamienie. Wpadł w kępę kosodrzewiny. Nogi zaplątały się w sprężyste gałęzie, szarpnęło nim straszliwie, kilka razy przeokoziłkował przez zbity gąszcz. W ostatniej chwili zdołał się zatrzymać na skalnej półce. Widział, jak drugi Niemiec sunął bezwładnie po oblodzonym stoku, w piekielnym pędzie wpadł między leżące na dnie doliny głazy i tak został bez ruchu.

Z prawej był ten drugi, mniej stromy i nie przerwany zerwą żleb. Bukowy skierował się ku niemu. Kilkoma skokami znalazł się w cienistej gardzieli. W tym momencie w górze usłyszał nową serię z automatu. To poderwało go do dalszej ucieczki. Odbił się od skalistej grzędy, zaczął zjeżdżać na butach w dół. Niosło go coraz szybciej, coraz szybciej... Zdawało mu się, że traci kontakt ze śniegiem i płynie w powietrzu. Przed sobą zobaczył kępy kosodrzewiny, a niżej zamrznięty potok.. Chciał wyhamować, więc płynnym łukiem, niby narciarskim śmigiem, zmienił kierunek. Pęd był jednak tak wielki, że znowu zniosło go w kosówkę, zwinęło... Przeleciał przez gąszcz i nagle znalazł się na dnie zamrzniętego potoku.

Spojrzał w górę. Na krawędzi nawisu, niby na okapie gigantycznego dachu, widniały trzy drobne sylwetki. Tamci też go spostrzegli. Po chwili zagrały automaty. Bukowy podniósł się szybko, przebiegł kilkanaście kroków i wnet znalazł się wśród pierwszych sietniaczych smreków. Zaśmiał się, z dziką radością zawołał:

- Strzelajcie! Strzelajcie!

Pod wieczór mgła podeszła w doliny. Zalała górskie roztocza mętnymi falami, a świat, do tej pory szeroki i pogodny, skurczył się i sposepniał.

Bukowy cały dzień kluczył po stokach otaczających Chochołowską, krył się w najgłębszych lasach, szedł najtrudniejszymi szlakami, byle nie natknąć się na Niemców, Wiedział, że Lemke zaalarmował cały zakopiański garnizon, a Niemcy przeczesują okolicę. Kilka razy ujrzał ich z daleka, lecz zawsze umknął im w porę. Kiedy spostrzegł, że mgła zatapia góry, odetchnął z ulgą. We mgle zawsze trudniej znaleźć uciekiniera.

Teraz zbliżał się do szałasów na Hali Przysłop. Był tak wyczerpany i głodny, że słał się na nogach, a jednak starczyło mu jeszcze sił, by dowlec się do znajomego szałasu i rzucić się na wiązkę zdeptanego siana...

*

W tym samym czasie na polanie pod Palenicą - wierchem wznoszącym się lesistą kopułą nad Kościeliskiem, trzech mężczyźni siedzieli przy małej wiatrce. Rudy barczysty chłop i ten drugi, chudy, czarny, odziany w futro z bobrowym kołnierzem - odsunęli się od trzeciego, który dopiero dwa dni temu przyłączył się do nich. Z zawiścią spoglądali na karabin, który tamten trzymał przezornie na kolanach. Umówili się, że odbiorą mu go tej nocy. Bez broni nie mogli dłużej błąkać się po górach.

Ten trzeci, śniady Cygan, o gęstej, czarnej czuprynie, zdawał się nie zwracać na nich uwagi. Przysunął do siebie obszarpany, stary plecak, wyjął zeń owinięte w kawałek worka skrzypce, Odwijął je wolno. Potem zaczął stroić.

- Przestań - powiedział Ryży stłumionym głosem.

Cygan nawet nie spojrział na niego. Przejechał jeszcze raz smykem, wydobywając ze skrzypiec żalosne tony. Po chwili zaczął grać na madziarską nutę.

- Mówię ci, przestań - głos Ryżego zabrzmiał ponuro i ostrzegawczo.

Cygan znieruchomiał. Błyszczące dziwnym blaskiem oczy skierował na Ryżego.

- A co ci?

- Nie słyszałeś w południe strzałów? Cygan wzruszył ramionami.

- Mało to teraz strzelają?

Tamten łypnął groźnie mętnymi oczami:

- Mówię ci, przestań, bo ci te skrzypce rozłupię.

Cygan uśmiechnął się dziwnie, jeszcze raz wzruszył ramionami i niechętnie odłożył skrzypce. Ten drugi, chudy, z oczami ostrymi jak u łasicy, wytarł wierzchem dłoni spieczone wargi.

- Teraz to nawet w górach nie ma spokoju - powiedział przeciągle. - Pełno luda się kręci; jak nie Niemcy, to partyzanci, jak nie partyzanci, to Niemcy... Nawet Ruscy się zjawiają. Rzucają ich na spadochronach. Pełno ich po słowackiej stronie.

Cygan uśmiechnął się blado i znowu podniósł skrzypce. Ryży rzucił mu piorunujące spojrzenie.

- Ty... ile razy mam ci mówić.

- Co ci szkodzi... Smutno...

- A jak usłyszą... przyjdą... złapią... ładnie będziesz wyglądał.

- Mnie i tak wszystko jedno... Co to za życie, kiedy nawet zagrać nie można.

Chudy poruszył się niespokojnie.

- Daj mu zagrać, Wacek. Co ci szkodzi... - powiedział stłumionym głosem i mrugnął porozumiewawczo.

Ryży machnął z rezygnacją ręką.

- A niech gra... On i do piekła ze skrzypcami pójdzie.

W oczach Cygana pojawił się jasny blask. Chwycił skrzypce, przejechał dwa razy smykem, potem przymknął w rozmarzeniu oczy i zaczął grać cicho... tak cicho, że ledwie powietrze zadrgało. Wtedy Chudy podniósł się. Zgarnął przydługie poły futra, mocniej przepasał się surowym rzemieniem i udał, że się oddala, ale kiedy przechodził obok Cygana, błyskawicznym ruchem schylił się, chwycił za lufę i porwał mu karabin z kolan.

Cygan wstał, jak pchnięty sprężyną.

- Co robisz? - zawołał zdławionym głosem. Chudy cofnął się o dwa kroki. Uniósł lufę karabinu.

- Tobie przecież niepotrzebny - zażartował wisielczo.

- Oddaj!

- Nam się bardziej przyda - rzucił z boku Ryży i roześmiał się chrypliwie.

Chudy zarepetował broń.

- Po co ci karabin? Starczą ci skrzypce... Na karabinie nie będziesz grał...

- Oddaj! - krzyknął Cygan załamującym się głosem.

Ryży pokiwał kudłatą głową.

- Nie szarp się... I tak zostaniesz z nami... Jaka to różnica, czy ty go będziesz miał, czy my...

Cygan cofnął się, zacisnął pięści, jak gdyby gotował się do ataku, ale ujrawszy skierowaną w jego stronę lufę, opuścił bezradnie ręce.

- Tacy koledzy - splunął. - Nie zostanę z wami! Nie zostanę!

W oczach Chudego pojawił się gniewny błysk.

- Jak nie zostaniesz, to zmiataj! I to już! - przyciągnął do siebie kolbę, a lufę podniósł na wysokość jego głowy.

- Nie zostanę - wyszeptał Cygan. Schylił się po leżący przy ognisku plecak, wrzucił do środka skrzypce i złapawszy plecak za rzemienie, zaczął się cofać, nie spuszczając z oczu Chudego. Kiedy był już wśród pni drzew, splunął jeszcze raz i zawołał: - Nie zostanę! A wy i tak zadyndacie na szubienicy.

Ryży schylił się. Ze zlodowaciałego śniegu wyrwał płaski kamień. Cisnął go w stronę Cygana, lecz jego już nie było widać. Zniknął w gęstej smreczynie. Ryży wrócił do ogniska, spojrzął w stronę Chudego. Ten uśmiechnął się szeroko, ujął karabin w obie ręce i cisnął kamratowi. Ryży złapał go w locie. Chwilę przyglądał się mu z uwagą, potem chlasnął dłonią w kolbę.

- W porządku - powiedział. - Teraz możemy tam iść.

*

Była to nędzna szopa, w której latem składano siano. Stała pod samym lasem, a do najbliższego przysiółka - Roztok - trzeba było iść pół godziny. Gładcanka przeniosła się do niej jesienią, kiedy Niemcy spalili jej dom w Kajsówce. Oszalowała deskami ściany, przegrodziła szopę. Z jednej strony przegrody umieściła krowy i dwie owce, a z drugiej zrobiła palenisko. Mąż jej Wojtek Gładczan - od lat już w partyzantce. Z matką został tylko jedenastoletni syn, Maciek. Mieli nadzieję, że przetrwają tu do końca wojny.

Pod paleniskiem trzaskały wesoło smolne bierwiona. Maciek usiadł na zydlu, wyciągnął przed siebie dłonie, grzał je w łagodnym ciepłe bijącym od ogniska. Na blasze syczała woda. Kobieta ugniatała na desce ciężkie jak glina ciasto. Naraz gdzieś wysoko, w mglistym powietrzu ponad szopą odezwał się przeciągły wizg, niby brzęczenie komara. Maciek uniósł głowę. - Słyszeliście, mamó... Znowu lecą...

- Co ci ta leci?

- Dyć samoloty... Podobno Buscy broń zrzucają... po słowackiej stronie.

- Skąd wiesz?

- A dyć mówili, że na granicy pod Hurhocim Wierchem chłopci spadochron znaleźli... I całą skrzynię amunicji...

Kobieta westchnęła.

- Lepiej by spyrkę zrzucili albo kiełbasę... Chłopiec roześmiał się głośno.

- No, wej, lepiej by było... A rano chłopcy pod Kajsówką widzieli cały oddział naszych... Podobno pod Czarnym Dunajcem Niemców rozbili... - Urwał nagle, gdyż w tej samej chwili ktoś mocno załomotał we drzwi. Kobieta znieruchomiała w trwożnym oczekiwaniu. Chłopiec wstał, ostrożnie podszedł do drzwi.

- Nie otwieraj! - krzyknęła przerażona. Drobnymi krokami podbiegła do drzwi. Po drodze wycierała oblepione ciastem dłonie. Po chwili całe drzwi zadygotały, zapiszczały w zawiasach. Ktoś walił w deski kolbą.

- Kto tam? - zawołała zdławionym głosem.

- Swoi, swoi... Otwierać - odezwał się za drzwiami męski, niski głos.

- Nikogo nie wpuszczę - odkrzyknęła. Podparła drzwi ramieniem, jak gdyby chciała przygotować się do odparcia ataku.

- My od waszego męża... Z oddziału... Kobieta zamieniła z chłopcem porozumiewawcze spojrzenie.

- Wpuście, mamó, to od taty - wyszeptał Maciek.

- Nie wpuszczę - powiedziała twardo. - Niech przyjdą za dnia. - A potem zawołała w stronę drzwi: - Za dnia przyjdźcie.

- Mamy ważne wiadomości - odezwał się drugi głos, wyższy i nieco piskliwy. Chłopiec spojrzał błagalnie,

- Puście ich...

Przeżegnała się pospiesznie. Wolno odsunęła zasuwę. Ktoś pchnął drzwi i nagle w bijącym od naftowej lampy świetle ukazali się ci dwaj - jeden ryży, w niemieckim skórzanym płaszczu, drugi ciemny, w futrze z kołnierzem postawionym wysoko na uszy. Wtoczyli się niosąc ze sobą chłodny powiew wieczoru i zastały odór potu zmieszany z zapachem machorki. Obaj byli zmordowani, wynędzniali, a z ich oczu biło coś groźnego.

Kobieta wydała stłumiony okrzyk. Trwożnie spojrzała na tkwiący w dłoniach Ryżego karabin. Chłopiec cofnął się do paleniska.

- Nie bójcie się - powiedział Ryży stłumionym głosem.

Ten w futrze zatrzasnął za sobą drzwi. Rozejrzał się przymrużonymi oczyma, a gdy stwierdził, że prócz tych dwojga nikogo nie ma w szopie, zapytał:

- Nie widzieliście tu w okolicy Niemców?

- Nie... wyszeptała kobieta, cofając się pod ścianę.

- A innych tu nie było?

Kobieta opanowała pierwszy atak lęku, wyprostowała się, rzuciła niemal wyzywająco:

- A co wy się tak dopytujecie? Radziłabym wam uciekać, bo tu nieraz patrole zachodzą. Mówcie, co macie do powiedzenia i...

- Spokojnie! - przerwał jej Ryży. Chłopiec przez cały czas przypatrywał się im szeroko rozwartymi oczami. Teraz podszedł do matki.

- A co z tatą?

Ryży uśmiechnął się kpiąco.

- Zdrow... Nic mu nie będzie.

Kobieta zachnęła się gniewem. Jej piękne, ciemne oczy błysnęły jak u osaczonej kocicy.

- Mówiliście, że od męża, ale widzę...

- Nie tal? ostro! - krzyknął Ryży. Jeszcze raz z uwagą rozejrzał się po kątach. Potem rzucił już łagodniej: - Nie bójcie się, chcemy z wami spokojnie pogadać.

- To mówcie, czego chcecie?

- Nic wielkiego... Trochę żarcia... Chleba, spyрки, sera...

- Nie mani - powiedziała «twardo. - Wszystko już inni zabrali.

Ten w futrze uśmiechnął się kpiąco.

- Poszukaj, to może coś się znajdzie. Kobieta chwyciła mocno chłopca za ramię, przygarnęła do siebie.

- Źleście trafili. U mnie bieda.

- Bieda - uśmiechnął się niemrawo Ryży. - U nas jeszcze większa...

- Ale ja do was po prośbie nie przyjdę. Ryży spojrział ponuro spod krzaczastych brwi.

- My nie po prośbie. A Chudy dodał z boku:

- Coście taka niegościnna... - Podciągając opadające do kostek futro, zbliżył się drobnymi krokami do stojącego w kącie, przykrytego białą łoktusą cebrzyka. - A to co? - zapytał z chytrym uśmiechem.

Kobieta rzuciła się w jego stronę. Zabiegła mu drogę.

- Wszystkiego mi nie zabierzecie!

Odrzucił ją jednym pchnięciem i zdarł z cebrzyka łoktusę. Na wierzchu cebrzyka była drewniana pokrywa przyciśnięta sporym kamieniem. Chudy chciał odsunąć kamień, lecz kobieta natarła na niego, chwyciła go za bobrowy kołnierz i chciała odciągnąć, lecz w tej samej chwili Ryży krzyknął głosem nie znoszącym sprzeciwu:

- Stój!

Usłyszała, że repetuje karabin. Cofnęła się, oparła plecami o ścianę i zawołała jękliwie:

- Strzelajcie, psie krwie! Strzelajcie! Chudy poprawił bobrowy kołnierz.

- Po co tyle krzyku... o trochę bryndzy. Możemy się podzielić.

Zacisnęła zęby. Zawołała w straszliwym gniewie:

- Nie dam! Nie zabierzecie mi wszystkiego!... Chudy doskoczył do niej. Chwycił ją w pól.

Zaczęli się szamotać. Kobieta jęknęła głucho i przeciągle jak ranne zwierzę. Chłopiec zapłakał. Rzucił się na Chudego i jął go okładać pięściami. Ten kopnął go. Objął mocniej kobietę, rozwartą dłonią zasłonił jej usta.

- Nie krzycz, głupia! Nie krzycz... Oczy masz złe, ale ładne... Cholernie ładne i ogniste...

Odepchnęła go, wymknęła się z uścisku, a kiedy zobaczyła skaczącego z zaciśniętymi pięściami chłopca, chwyciła go za przegub ręki i odciągnęła. Potem spojrzenie jej spoczęło na karabinie. Ryży stał o trzy kroki, broń trzymał gotową do strzału... w jego przymrużonych oczach

czaiło się okrucieństwo.

- No, co - powiedział przeciągle. Na co czekasz?

Kobieta ogarnęła się, wepchnęła pod spódnicę rozerwaną bluzkę.

- O oczy wam chyba nie chodzi - powiedziała zgryźliwie. W jej źrenicach pojawił się nowy błysk, zdradzający kobiecą przebiegłość. Podeszła bliżej paleniska. - Jakżeście głodni, to zaraz uwarzę zacierek...

- Trzeba było tak od razu - uśmiechnął się Chudy. - Ładnaś i nie taka głupia...

Wzruszyła ramionami.

- A wy od razu z karabinem... - Podeszła wolno do paleniska.

Ryży ruszył za nią. Jego ogromny cień przesłonił połowę izby. Kobieta nachyliła się nad kociołkiem, zerknęła za siebie. Widziała jego płaską, opuchniętą, osypaną rudym zarostem twarz i małe, wodniste oczy... Udała, że przesuwa kociołek na środek paleniska. Naraz złapała kociołek, chlusnęła wrzącą wodą prosto w twarz Ryżemu. Ten jęknął, zasłonił oczy ramieniem... Karabin wypadł mu z rąk, głucho uderzył o spróchniałe deski podłogi. Chudy rzucił się po karabin, lecz zanim go dosięgnął, otrzymał straszliwy cios rozpalonym kociołkiem w głowę. Miętko osunął się na ziemię.

Kobieta chwyciła chłopca za rękę, pociągnęła za sobą i biegiem dopadła drzwi. Pchnęła je. Nie obejrzawszy się, wybiegła z szopy...

Chudy ocknął się z zamroczenia. Uniósł się na klęczki, zobaczył leżący na podłodze karabin. Chwycił go, wstał i chwiejnym krokiem ruszył do drzwi. Na dworze było mglisto, w dali majaczyły osnute przedzą mroku drzewa, a bliżej wydeptana ścieżka ciemniejszym szlakiem biegła przez szarzynę śnieżnego pola. I ziąb szedł od lasu... Na ścieżce nikogo już nie było.

Odwrócił się. Jego kamrat stał plecami oparty o ścianę. Zgiętym ramieniem osłaniał poparzoną twarz. Jęczał. A kiedy usłyszał kroki i odsłonił twarz, Chudy aż krzyknął z wrażenia. Twarz była czerwona i opuchnięta, oczy tonęły w fałdach nabrzmiąłych powiek.

- A to suka! - wyszeptał Ryży przez zaciśnięte wargi. Nagle krew uderzyła mu gorącą falą do głowy i pociemniało w oczach od gniewu. Doskoczył do paleniska. Z wściekłością kopnął ułożoną na ceglach blachę. Blacha głucho uderzyła o ścianę, a przepalone cegły z łoskotem posypały się na podłogę. W ataku szału kopał bez opamiętania obmurowanie paleniska, a potem butem rozgarnął dogasający żar. Węgłe z sykiem potoczyły się na podłogę. Chudy splunął wściekle i nagle zawołał:

- Uciekamy, Wacek! - Chwycił kamrata pod ramię i pociągnął ku drzwiom.

Kiedy wychodzili z szopy, płomienie ogarniały już podłogę...

"Byle dojść do Dzianisza do ciotki Honorki... Do Dzianisza". Ta jedna myśl tłukła się w zmańczonym, skołatany umyśle Bukowego. Był już tak słaby, że co chwila przystawał, opierał się o najbliższy pień i, dysząc ciężko, odpoczywał. "Byle dojść do Dzianisza".

Przy Siwej Polanie spotkał chłopców zwożących drzewo. Dostał od nich kawałek chleba. Szedł dalej, żując chleb. Mdlilo go. W oczach miał coraz gęstszą ćmę i coraz bardziej bolały go pogruhotane żebra.

Kiedy minął drogę do Czarnego Dunajca, przypomniał sobie, że nad rzeką, w starej pajcie zostawił karabin. "Dobrze by było mieć przy sobie broń... Dobrze by było..." Teraz ta myśl owładnęła nim i powracała natarczywie jak fraza na zdartej płycie. "Dobrze by było mieć broń... Kto wie co mnie jeszcze czeka..."

Gęstymi młodnikami powlókł się ku pajcie. Pod daszkiem, wśród równo ułożonych desek, znalazł karabin. Wyciągnął go i chwilę ważył w dłoni. Czuł jego ciężar i naraz zdało mu się, że teraz już łatwiej będzie dobrnąć do celu tej morderczej wędrówki... Trochę niżej, gdzie rzeka rozlewa się szeroko na kamieńcu, przebrnął przez wodę. Potem skrajem lasu skierował się ku Palenicy.

Kiedy dochodził do polany, z daleka poczuł swąd pogorzeliśka. Nie zwrócił na to uwagi. Szedł wolnym, chwiejnym krokiem. Karabin wciąż trzymał w dłoni. Ziarnisty, zlodowaciały śnieg chrzęścił miałko pod jego butami, a z gałęzi opadały drobne grudki lodu. I las był coraz rzadszy.

Nagle rozwarła się przed nim polana. Śnieg na niej leżał rozpalony słonecznym blaskiem, a bokiem kładły się długie, zębate cienie. I wąska ścieżka biegła łukiem przez śnieżne pole, a w dali dymił jeszcze szkielet spalonej szopy. Cofnął się. Brzegiem lasu okrążył polanę. Doszedł do miejsca, gdzie ścieżka wbiegała do lasu, i wtedy usłyszał za sobą czyjeś kroki. Drgnął, chciał się obejrzeć, lecz w tej samej chwili ktoś z boku krzyknął napiętym głosem:

- Rzuć broń!

Zachwiał się, jak gdyby raptem ziemia ustąpiła spod stóp. Staął, lecz nie wypuścił karabinu.

- Rzuć broń, bo strzelam - usłyszał ten sam głos.

Wtedy dopiero zerknął w bok. Zobaczył wyłaniającego się spoza wykrotu młodego górala. Był w bukowych portkach, w serdaku, na głowie miał baranią góralską czapkę, a w dłoniach trzymał automat.

- Ja swój - zawołał cichym, ale nabrzmiałym radością głosem.

Góral wyżej podciągnął lufę automatu.

- Rzucaj! I ręce do góry!

- Ja swój... - powtórzył szeptem, lecz gdy zobaczył, że góral jeszcze wyżej podnosi lufę, opuścił karabin i z trudem uniósł ciężkie jak kłody ramiona. W tej chwili spoza drzew wyszedł ten drugi, który szedł za nim: rosły mężczyzna w brezentowej kurtce i narciarskiej wełnianej czapce z pomponikiem. Zbliżył się szybko. Powiedział jakby z ulgą:

- No... to mamy jeszcze jednego.

Bukowy patrzył na nich w radosnym zakłopotaniu. Nie zdawał sobie sprawy, co się stało.

- Ja swój, chłopcy - powiedział nieco głośniejszym głosem. - Uciekłem Niemcom... Ja swój...

Mężczyzna w narciarskiej czapce uśmiechnął się cierpko.

- Dobrze, dobrze... Zaraz zobaczysz swoich...

A młody góral zaszedł go od tyłu, pchnął lekko lufą automatu i rozkazał:

- Idziemy!

*

Doszli do rzeki...

Woda szumiała wiosennym przyborem, niosła kawałki błękitnego lodu, wzdymała się na wielkich głazach. Szli jeszcze chwilę stromym podmytym przez nacierający prąd brzegiem, a potem przedarli się przez gęstą smreczynę i stanęli na zalanym miedzianym blaskiem kamieńcu. W pierwszej chwili Bukowy ujrzał kilku uzbrojonych ludzi i dwa juczne konie z cekaemami na grzbietach. Potem pod stromą, skutą jeszcze lodem ścianą zobaczył tamtych dwóch - Ryżego i Chudego. Stali boso, w bieliźnie. Brudne gacie opadały im na kolana, podarte koszule w strzępach zwisały z ramion. Twarze mieli stężałe jak maski.

Partyzant w narciarskiej czapce pchnął Bukowego na środek kamieńca.

- Panie sierżancie - zwrócił się do człowieka w granatowym, kolejarskim płaszczu - przyprowadziliśmy jeszcze jednego.

Sierżant gwałtownym gestem wskazał na stojących pod skałą.

- Poznajesz ich?

- Tak... - powiedział słabym głosem Bukowy. - Spotkałem ich pod Siwiańskimi Turniami.

- A wy go poznajecie? - zawołał do stojących pod skałą,

- Coby nie - zawołał z dziką radością Ryży, Uniósł rękę. Skinął na Bukowego: - Ty, nie wstydz się kolegów... Chodź tu do nas.

Powiało chłodem... Bukowy dopiero teraz zrozumiał, że wokół niego dzieje się coś złego.

- Ja nie mam z nimi nic wspólnego...

- Spokojnie - przerwał mu sierżant głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Ciebie teraz nie pytamy... - I nagle wzrok przeniósł na stojącą z boku kobietę.

Stała wyprostowana, godna i pełna niewysłowionego żalu.

- A wy go poznajecie?

Kobieta utkwiała swe ciemne oczy w Bukowym. Przypatrywała mu się z chłodną rozwagą.

- Ja... nie wiem... W południe trzech przechodziło wedle polany... Tych dwóch - skinęła głową w stronę skały - i trzeci z karabinem. Ale widziałam go z daleka...

- To on - zawołał spod skały Ryży. - To on był z nami. Ty... chodź tu do nas... Jest jeszcze miejsce...

Sierżant dopiero teraz przyjrzał się baczniej Bukowemu. Stał przed nim człowiek obdarty, zbiedzony, wynędzniały. Twarz jego ginęła w szczeciniastym zaroście, a oczy w krwawych naciekach. "Tak wyglądają ci, którzy uciekli z oddziałów albo włóczą się i rabują" - pomyślał i ostro zapytał:

- Jak się nazywasz?

Jędrak spojrzał zdumiony, jakby go zaskoczyło to pytanie i chciał zwlekać z odpowiedzią. Dopiero po chwili odparł niepewnie:

- Andrzej Bukowy.

"Kłamie" - przemknęła pierwsza myśl. Sierżant słyszał o Jędrku Bukowym. Na Podhalu często wspomniano o jego brawurowych wyczynach.

Wiedział, że jest kurierem. Nie mógł jednak dopasować sylwetki tego wynędzniałego człowieka do owianej legendą postaci sławnego kuriera. Uśmiechnął się więc kpiąco.

- Kłamiesz - powiedział. - My o Jędrku Bukowym słyszeliśmy dużo dobrych rzeczy. A ty napadasz, rabujesz.

Jeniec drgnął, stężał, a potem krzyknął napiętym głosem:

- Jestem Bukowy!

"Zaczyna się denerwować. Widocznie czuje, że nie wierzymy tym kłamstwom. Gdyby był Bukowym, nie protestowałby tak niezręcznie... - myślał. - A zresztą, jeżeli jest Bukowym, to powinien mieć jakieś dokumenty. Może nawet nie na to nazwisko, ale fałszywe papiery węgierskie czy słowackie..."

- Gdzie masz dokumenty? - zapytał już łagodniej.

- Niemcy mnie złapali. Odebrali wszystkie dokumenty...

"Chce się wymigać... Najłatwiej wykręcić się Niemcami... Gdyby go Niemcy złapali, nie wypuściliby go tak łatwo... Przecież Bukowy od dawna był poszukiwany..."

Jak gdyby na potwierdzenie tego toku myśli, odezwał się Gładczan, mąż napadniętej w nocy kobiety:

- Cholerny świat! Niemcy cię złapali i tak od razu puścili?

Jeniec spojrzał bezradnie nabiegłymi krwią oczami.

- Uciekłem...

"Gdyby uciekł Niemcom - pomyślał sierżant - to nie kumałby się z tymi bandytami. A zresztą nie tak łatwo teraz uciec. Niemcy czują, że tracą grunt pod nogami..."

I znowu w ten splot myślowych dociekań wdarł się nabrzmiały gniewem głos Gładczana:

- Uciekłeś Niemcom, a przyłączyłeś się do tych bandytów?

Jeniec zadrżał cały. Jego postać zwiotczała. Zdawało się, że za chwilę upadnie. Jednak wyprostował się i powiedział z wielkim wysiłkiem:

- To był przypadek. Spotkałem ich pod Siwiańskimi Turniami. Napadli na mnie...

Spod skały dał się słyszeć nasiąknięty nienawiścią głos Ryżego:

- To ty na nas napadłeś.

Sierżant był już niemal pewny, że to jeden z tych trzech. Przecież tamci dwaj nie przyznawaliby się do niego, gdyby nie miał z nimi nic wspólnego. Zapytał więc twardo:

- A skąd wzięłeś karabin? Może Niemcy ci dali?

- Karabin im odebrałem.. Potem schowałem w pajcie nad rzeką...

"Płacze się - myślał sierżant. - Nie warto dłużej go przesłuchiwać. Wszystko właściwie jest

jasne. Mieli jakieś zbójckie porachunki..." Zaśmiał się głośno.

- Gdybyś był mężczyzną, tobyś się przynajmniej przyznał, a ty bujasz jak najęty. Myślisz, że ci uwierzmy. Powiedz przynajmniej, jak się nazywasz?

Tym razem jeniec odpowiedział bez namysłu:

- Andrzej Bukowy... - A potem dodał: - I nie mam nic wspólnego z tymi dwoma...

"Już wyuczył się tej śpiewki... Nie może znaleźć nic konkretnego na swoją obronę. Sprawa jest zupełnie jasna..." - Sierżant zdecydował w myśli, że trzeba z tym jak najszybciej skończyć.

- Nie masz z nimi nic wspólnego - powiedział jakby do siebie i nagle, żeby się ostatecznie upewnić, zwrócił się do tamtych dwóch stojących pod skałą: - Hej, wy... poznajecie go?

Ryży splunął na kamienie.

- Coby nie - odkrzyknął, a potem skinął kudłatą głową w stronę jeńca i z dzikim okrucieństwem zawołał: - Ty, nie wstydz się... Znajdzie się miejsce...

Sierżant nie patrzył już w tamtą stronę. Jego ciężkie spojrzenie spoczęło na twarzy Jędrka. Ten zupełnie zwiotczał, jak gdyby doszedł do wniosku, że nie warto dłużej się bronić. Kiedy Ryży odstąpił do swego kamrata, zostawiając puste miejsce dla jeńca, ten cofnął się gwałtownie, lecz Gładczan złapał go za ramię i pchnął na środek kamieńca.

"Dość już tej historii" - pomyślał sierżant. Zbliżył się do Bukowego i powiedział ostro:

- Rozbieraj się! Jędrak cofnął się.

- Nie! Nie zrobicie tego - rzucił cicho, tak cicho, że aż się zdziwił, skąd w nim tyle spokoju.

Sierżant popatrzył nań chłodno, jakby wyrok już zapadł i nie było odwołania.

- Jeżeli chcesz umrzeć jak mężczyzna, to zrzucaj z siebie te łachy, bo inaczej to cię powiesimy.

Bukowy spojrzał na spienioną rzekę. Przez moment pomyślał, że rzuci się w jej nurt. Niech za nim strzelają. Niech go poszatkują, ale nie pójdzie do tamtych.

- No... ty! Na co czekasz? Weselej nam będzie z tobą - zawołał spod urwiska Ryży.

Jędrak nie patrzył na nich. Wciąż jeszcze widział przejrzystą wodę, wzdętą i spienioną na ogromnych głazach, niosącą z prądem kawałki lodu, i drugi brzeg porośnięty rdzawymi pękami wikliny.

- Nie zrobicie tego - powtórzył już głośniej. - Ja... ja - chciał powiedzieć, że jest niewinny, lecz zrozumiał, że słowa są zbyteczne. I tak mu nie uwierzą. Widział to w zwięzionych, błyszczących oczach sierżanta. I nagle mgła przyćmiła mu oczy, a myśl stała się mętna i niezdolna ogarnąć, co się wokół niego dzieje. A potem wszystko stało się jasne jak ten splacheć nieba wiszący nad czarnymi

czubami jodeł. "To już koniec!"

I wtedy doznał takiego uczucia, jak gdyby zdarzenia całego jego życia zawęzły się w tę jedną chwilę, a ta jedna chwila stała się całym życiem. Potem z plątaniny obrazów wyłoniły się oczy Ewy - migdałowe, łagodne, pełne nieprzewidzianej obietnicy. I z daleka, niby spoza rwącej rzeki, usłyszał jej cichy głos:

- Czy naprawdę musisz iść na to spotkanie? A potem usłyszał inny głos. Człowiek, który stał opodal i od dłuższego czasu przyglądał mu się ze wzmożoną uwagą, zwrócił się nagle do sierżanta:

- Ty... Wałek, może jednak poczekamy na Pazdura...

To jedno słowo utknęło w jego świadomości jak strzała w miękkim pniu drzewa.

- Pazdur! - zawołał zdławionym głosem. - Ja go znam. Służyliśmy razem w wojsku... On może za mnie zaświadczyć.

- Znasz Pazdura? zapytał zdumiony sierżant.

- No jasne... Przeszliśmy razem całą kampanię wrześniową... On się nazywa Tadeusz Opięła.

Otoczyli go nagle zwartym kołem i długo patrzyli, jakby nie chcieli wierzyć, że stoi na tym słonecznym kamieńcu, oddycha i żyje.

- To ty naprawdę jesteś Bukowy?...

W tym momencie na drugim brzegu, wśród kęp rdzawej wikliny ukazał się jeździec. Jechał ostrym kłusem. Spod kopyt góralskiego konika przyskały kamienie. Nagle zawrócił i skierował konia do rzeki. Bukowy poznał go. Rzucił się ku kamienistemu brzegowi, zatrzymał się nad wodą.

- Tadek! Tadek! - zawołał.

W tej samej chwili siły go opuściły. W głowie czuł zamęt, a przed oczami ujrzął wirujące płaty nieba. Osunął się. Jeszcze chwilę słyszał dudnienie końskich kopyt i chlupot wody, a potem wszystko ucichło... Pod policzkiem czuł gładkość nagrzanego słońcem kamienia i jakaś myśl zwiewna, krucha przyplątała się z ogromnej, szarej pustki: "Jakie okrutne jest życie. I jakie piękne, kiedy jeszcze raz... na nowo można poznać jego smak..."

nie wiedział, czy to dzień, czy noc. Majaczył, a w majakach wszystko przeżywał od nowa. Na trzeci dzień pod wieczór, poprzez utkane mchem ściany ziemianki usłyszał daleki śpiew. Zdawało mu się, że jest w domu, na Skibówkach, a popod Regle idą chłopcy i śpiewają na dunajecką nutę. Wstał. Ubrał się szybko. Zarzucił na plecy kozuch, pod którym leżał. Wszedł... Zawirowało mu w głowie. Zachwiał się, lecz nie upadł, tylko oparł się plecami o ścianę i tak stał długo. Nad czarnymi czubami smreków widział przepastne niebo usiane gwiazdami. W radosnym podnieceniu zdało mu się, że to niebo jest stokroć bardziej przepastne, niż było, a gwiazdy świecą po stokroć silniej, niż w istocie świeciły. I powietrze było czyste, tęgie jak wino. Niżej, na polanie, zobaczył płonącą watrę. Wokół niej siedzieli górale.

Ruszył ku nim. Krok miał jeszcze niepewny, chwiejny. Szedł więc wolno, ostrożnie omijając łąchy zlodowaciałego śniegu. Zatrzymał się przy starym smreku. Oparł się plecami o chropowaty pień. W zadumie słuchał piosenki. Śpiewali ją na dwa głosy. Pierwszy głos niósł się jak muzyka rwącego potoku; drugi smętnie, okrągło jak poszum wiatru.

Płynie woda, płynie skroś łęgi spokojna.

Płace matka, syna zabrała jej wojna...

Przymknął oczy. Zdawało mu się, że ta piosenka przepływa przez niego jak ożywczy prąd. Nutę znał doskonale, ale słów nigdy nie słyszał. Pomyślał, że pewnie ułożył ją któryś z tych góralskich chłopców od Dunajca, od Bustryka, Bańskiej czy Maruszyny, jak dawniej układali ich ojcowie, dziadowie, pradziadowie... Ta skalista ziemia plennie rodziła artystów. Wystarczyło dać chłopcu kozik do ręki, żeby z kawałka lipowego drewna wystrugać małe arcydzieło. Wystarczyło dać mężczyźnie siekiere, by z pnia jodły wyciosał cudownie piękną, symetrycznie doskonałą płazę.

Ocknął się z zadumy, bo nagle piosenka nabrała rytmu wojennego marsza.

Wzieni karabiny, wzieni rąbanice.

Pośli w góry hyrni na te dujawice.

"Pośli w góry hyrni..." - powtórzył w myśli. Poczuł się nagle mocniejszy. Sam przecież był jednym z nich, z tych, co pierwsi poszli przez dujawice, kurniawy, przez góry skute lodami i śniegiem na nieznanne szlaki, a potem bili się, ginęli - na kurierskich trasach, we francuskich Vogezech, na piaskach Libii i Egiptu, nad zamglonym Londynem, na bezkresnych oceanach. Oni... synowie tej skalistej ziemi.

Do ogniska ktoś dorzucił suchych gałęzi. Płomienie zakołysały się nad stosem, posypały się

iskry. A oni dalej śpiewali:

Płynie woda bystra, na wantach się pieni.

Nie płac matuś, nie płac, syćko się odmieni...

- Syćko się odmieni - usłyszał za sobą znajomy głos. Obejrzał się. Zobaczył zbliżającego się Opielę.

Opięła podał mu paczkę papierosów.

- Zakurzysz?

- Nie, dziękuję... Słyszysz, jak śpiewają?

- Ej, ty góralu - uśmiechnął się Opiela. - Jak się czujesz?

- Lepiej, panie poruczniku - zażartował.

- To dobrze. I co chcesz robić?

- Muszę iść do Rabki.

- Człowieku, przecie nie masz tych pieniędzy.

- To nic... Muszę im dać znać o sobie... Powiedzieć, co się stało.

- A potem? - Opięła przyjrzał mu się uważnie.

- Potem? - odparł Bukowy w zamyśleniu. - Potem wrócę do was.

Warszawa, marzec 1973